

Tytuł oryginału

127 HOURS. BETWEEN A ROCK AND A HARD PLACE

Mapy Guenter Vollath

Redaktor prowadzący Beata Kołodziejska

Konsultacja Wojciech Wiltos

Redakcja Maria Wirchanowska

Redakcja techniczna Małgorzata Juźwik

Korekta Maciej Korbasiński Ewa Grabowska

Copyright © 2004 by Aron Ralston Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.,
Warszawa 2011

Świat Książki Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o. ul. Rosola 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie Piotr Trzebiecki

Druk i oprawa Wrocławska Drukarnia Naukowa

ISBN 978-83-247-2211-2 Nr 7969

Pasja: to, co cierpię, na co przystaję, co znoszę i co jest moim przeznaczeniem.

Gdy tak szczęśliwie miniesz syrenie pobrzeże, Nie wytykam ci drogi. Czy okręt obierze Drogę w lewo lub w prawo, sam rozważysz sobie, Która lepsza. Ja tylko opiszę ci obie: Na jednej z wód wyłażą skał stromych urwiska; Wzdęty wal Amfitryty o nie się rozpryska. Skały te zowią bogi w swej mowie Błędnyimi. Tutaj niechybna zguba czyha na żeglarza: Ciała ludzkie i belek okrętowych szczęty Schloną albo płomienie, albo mórż odmęty.

Dalej są dwie opoki: jednej szczyt się jeży Aż w niebiosa, a na nim gruby obłok leży, Co nie znika ni latem, ni czasu jesieni; We środku ma jaskinię; otwór jej zwrócony Ku ciemnościom Erebu. Więc oną jaskinię Okręt twój, Odyseju, niechaj tak ominie. W tej jamie Skilla siedzi, słyhać ją z daleka: Skomli jak miot szczeniąt i jak one szczeka. Okropna to poczwara i nikt jej widoku Nie zniesie; sam bóg nawet nie dotrzyma kroku. Łap dwanaście szkaradnych jest u tej bestyi I sześć szyj wyciągniętych, a na każdej szyi łeb sprośny; w paszczy zębów trzy rzędy, a przy tem Gęstych, a chropoczających przeraźliwym zgrzytem. Nie pochłubił się dotąd nikt z żeglarzy, By nie miał od niej szkody; każda jej paszczęka Zwykle z łodzi unosi jednego człowieka.

< Blisko od niej zobaczysz drugą taką skałę. Jest tam figowe drzewo ze skały zwieszone, Pod nim groźna Charybda tyka morze słone: Trzykroć w dzień je wyrzuca, trzykroć wciąga w siebie. A gdy wciąga, o niechże nie będzie tam ciebie! Już by i sam Posejdon nie mógł cię ratować. Pamiętaj Odyseju, łódź swoją sterować Najbliżej popod Skillę, gdyż większym jest zyskiem Sześciu ludzi utracić niż zginąć ze wszystkim.

Homer, Odyseja (tłum. Lucjan Siemieński)

ANA

I D AH 1

★Boise

WYOMING A-

■. ' J

Salt Lake City

PARKNJ

'^Denver

Colorad cn Springs \ Pueblo

Santa Ee

) KANIONU i

r Humphreys

Albuquerque

ARIZONA

NOWY MEKSYK

Si-

\Phoenix

Tucson

El Paso

ZATOKA ; KALIFORNIJSKA

100 mil

100 km

PROLOG

Kraina bandytów

Był lepszym przewoźnikiem na rzece niż kowbojem, lepszym kucharzem niż bandytą napadającym na pociągi, ale mimo to John Griffith, którego znakiem szczególnym było jedno oko niebieskie, a drugie piwne, stanowił cenny nabytek dla Dzikiej Bandy, czyli gangu Butcha Cassidy, podczas jej działalności w. krainie Robbers Roost we wschodniej części stanu Utah. Blue John, jak nazywał go pierwszy pracodawca, pojawił się na tym terenie w charakterze kucharza podczas spędu bydła należącego do Harrisa, niedaleko Cisco, około stu dwudziestu kilometrów od Grand Junction. Po niespełna dwóch latach uczciwej pracy, w roku 1890, ten trzydziestopięcioletni mężczyzna przyłączył się do Jima Walla, alias Silver Tip, i Indianina Eda Newcomba,

przy spędzie bydła na farmie zwanej 3B. Rządził nią osławiony Jack Moore; człowiek ten udzielał gościny Dzikiej Bandzie podczas jej częstych odwiedzin w rejonie, którego granice wytyczały rzeki Dirty Devil, San Rafael, Green i Kolorado. Banda, która spędzała tu nieraz całą zimę albo zakładała obóz przy okazji jakiegoś napadu czy też pomagała przy stadach bydła, zawsze była mile widziana.

Silver Tip, Blue John i Indianin Ed wspomagali bandę jako trio drugorzędnych wspólników, służąc swoimi umiejętnościami przy kradzieży bydła, rabunkach czy sporach z konkurentami. W 1898 pomogli Moore'owi schwytać resztki stada, nim wyruszyli na wyprawę, której celem była kra-

11

dzież koni w Wyoming. W drodze powrotnej Moore stracił życie w strzelaninie. Z początkiem następnego roku, kiedy grupa wróciła na swe ulubione tereny po dostarczeniu skradzionych koni do Kolorado i ich sprzedaniu, Silver Tip, Indianin Ed i Blue John zgarnęli najlepsze wierzchowce z rancz wokół Moab i Ponticello. Chłopcy nigdy nie przejmowali się oddziałami pościgowymi - które z reguły omijały ten rejon z daleka - ale wiedzieli, że prawo depcze im po piętach w związku z ich ostatnim wyczynem.

W jednym z mniejszych wąwozów Roost Canyon, pewnego ranka pod koniec lutego, Indianin Ed wspinał się na skały pod nawisem, gdzie grupa spędziła noc ze swym łupem - dwoma zwierzętami jucznymi i sześcioma skradzionymi końmi. Nagle poranną ciszę rozdarł huk strzału; pocisk odbił się rykoszetem od skalnej ściany i przeszedł przez nogę Eda powyżej kolana. Indianin upadł na piasek i wczołgał się za krzewy, do wnęki, gdzie schronili się Blue John i Silver Tip, prowadzący już wymianę ognia z grupą pościgową, która dopadła przestępców dzięki pozostawionym przez nich śladom i resztkom wieczornego ogniska. Blue John ostrzeliwał się, wiążąc siły przeciwnika, podczas gdy Silver Tip wymknął się z wnęki i wspiął na krawędź kanionu, skąd oddał trzy strzały nad głowami ludzi szeryfa. Członkowie grupy pościgowej wycofali się do Roost Canyon, dosiedli koni i popędzili na złamanie karku do swoich rancz i domów, by przechwalać się walką, którą stoczyli z Dziką Bandą.

Był to ostatni raz, kiedy trzech mężczyzn pracowali razem czy brali udział w jakimś przestępstwie. Potem powiesili broń na kołkach i rozpoczęli nowe życie. Przeszli do historii i znaleźli wielu naśladowców.

Indianin Ed Newcomb wyleczył nogę i, jak przypuszczano, wrócił do Oklahomy, gdzie słuch po nim zaginął. Silver Tip uciekł z więzienia w Wayne County w Utah po odsiedzeniu dwóch lat z dziesięcioletniego wyroku i osiedlił się ostatecznie w Wyoming, gdzie dożył w spokoju swych dni. Blue Johna Griffitha widziano po raz ostatni jesienią 1899 roku, kiedy to opuścił Hite nad rzeką Kolorado i skierował się w stronę przystani promowej, by wyruszyć w podróż jedną z najpiękniejszych i najgroźniejszych dróg wodnych na Zachodzie. Choć przypuszcza się, że zszedł na brzeg i udał się do Arizony, a może nawet Meksyku, nie widziano go na przystani i nikt więcej o nim nie słyszał.

12

dzież koni w Wyoming. W drodze powrotnej Moore stracił życie w strzelaninie. Z początkiem następnego roku, kiedy grupa wróciła na swe ulubione tereny po dostarczeniu skradzionych koni do Kolorado i ich sprzedaniu, Silver Tip, Indianin Ed i Blue John zgarnęli najlepsze wierzchowce z rancz wokół Moab i Ponticello. Chłopcy nigdy nie przejmowali się oddziałami pościgowymi - które z reguły omijały ten rejon z daleka - ale wiedzieli, że prawo depcze im po piętach w związku z ich ostatnim wyczynem.

W jednym z mniejszych wąwozów Roost Canyon, pewnego ranka pod koniec lutego, Indianin Ed wspinał się na skały pod nawisem, gdzie grupa spędziła noc ze swym łupem - dwoma zwierzętami jucznymi i sześcioma skradzionymi końmi. Nagle poranną ciszę rozdarł huk strzału; pocisk odbił się rykoszetem od skalnej ściany i

przeszedł przez nogę Eda powyżej kolana. Indianin upadł na piasek i wczołgał się za krzewy, do wnęki, gdzie schronili się Blue John i Silver Tip, prowadzący już wymianę ognia z grupą pościgową, która dopadła przestępców dzięki pozostawionym przez nich śladom i resztkom wieczornego ogniska. Blue John ostrzeliwał się, wiążąc siły przeciwnika, podczas gdy Silver Tip wymknął się z wnęki i wspiął na krawędź kanionu, skąd oddał trzy strzały nad głowami ludzi szeryfa. Członkowie grupy pościgowej wycofali się do Roost Canyon, dosiedli koni i popędzili na złamanie karku do swoich rancz i domów, by przechwalać się walką, którą stoczyli z Dziką Bandą.

Był to ostatni raz, kiedy trzech mężczyzn pracowali razem czy brali udział w jakimś przestępstwie. Potem powiesili broń na kołkach i rozpoczęli nowe życie. Przeszli do historii i znaleźli wielu naśladowców.

Indianin Ed Newcomb wyleczył nogę i, jak przypuszczano, wrócił do Oklahomy, gdzie słuch po nim zaginął. Silver Tip uciekł z więzienia w Wayne County w Utah po odsiedzeniu dwóch lat z dziesięcioletniego wyroku i osiedlił się ostatecznie w Wyoming, gdzie dożył w spokoju swych dni. Blue Johna Griffitha widziano po raz ostatni jesienią 1899 roku, kiedy to opuścił Hite nad rzeką Kolorado i skierował się w stronę przystani promowej, by wyruszyć w podróż jedną z najpiękniejszych i najgroźniejszych dróg wodnych na Zachodzie. Choć przypuszcza się, że zszedł na brzeg i udał się do Arizony, a może nawet Meksyku, nie widziano go na przystani i nikt więcej o nim nie słyszał.

Tylko jeden z tej trójki pozostawił trwały ślad na tym terenie. Blue John Canyon i Blue John Springs po drugiej stronie zlewiska, naprzeciwko miejsca, gdzie doszło do pamiętnej zasadzki, noszą imię niegdysiejszego kucharza, woźnicy dylizansu i koniokrada, który włóczył się po tej krainie przez dziesięć lat, tuż przed przełomem wieków.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czas geologiczny to także teraźniejszość"

To najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Jest wiele takich miejsc. Każdy mężczyzna, każda kobieta nosi w sercu i myślach obraz miejsca idealnego, znanego czy nieznanego, rzeczywistego czy wyobrazonego... Ludzka zdolność odczuwania podobnej tęsknoty nie zna granic. Teologowie, duchowni, astronauta słyszą nawet głos gdzieś z góry, docierający do nich z zimnego i czarnego krańca przestrzeni międzyplanetarnej, głos, który mówi o ich własnym idealnym miejscu.

Dla mnie jest nim Moab w Utah. Nie chodzi mi oczywiście o samo miasto, ale jego otoczenie - krainę kanionów. Gładkie i śliskie skały. Czerwony kurz, spalone słońcem urwiska i samotne niebo - wszystko, co można znaleźć tam, gdzie kończą się dręgi.

Edward Abbey, Desert Solitaire

Postrzępione smugi - ślady pozostawione przez odrzutowce - przecinają bładoniebieskie niebo nad czerwonym pustynnym płaskowyżem, a ja zastanawiam się, ileż to spalonych słońcem dni widziały od swych narodzin te pustkowia. Jest sobotni poranek 26 kwietnia 2003 roku, jadę samotnie rowerem górskim po gruntowej drodze o zdartej nawierzchni w odległym południowo-wschodnim zakątku Emery County, w środkowo--wschodnim Utah. Godzinę wcześniej zostawiłem swojego pikapa na par-

kingu przy szlaku turystycznym prowadzącym do kanionu Horseshoe, który stanowi geograficzne okno Parku Narodowego Kanionów, w odległości dwudziestu ośmiu kilometrów na północny zachód od legendarnego rejonu Maze, ponad sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od wielkiego, zwieńczonego ostrymi grzaniem pasma San Rafael, trzydzieści dwa kilometry na zachód od Green River i mniej więcej sześćdziesiąt cztery kilometry na południe od trasy 1-70, słynnej arterii handlowej i drogi ostatniej szansy („Następna stacja benzynowa: 160 km”). Tu, gdzie przez sto sześćdziesiąt kilometrów ciągną się odsłonięte płaskowyzę, między ośnieżonymi szczytami gór Henries na południowym zachodzie (ostatnim w Stanach Zjednoczonych pasmem, które nazwano, zbadano i umieszczono na mapach) a La Sals na wschodzie, napotykam silny wiatr z południa, dokąd zmierzam. Wiatr nie tylko ogranicza skutecznie tempo jazdy -jestem na najniższym biegu i z całej siły naciskam pedały na niewielkiej pochyłości, by choć odrobinę posuwać się do przodu - ale też tworzy na drodze przypominającej tarkę płytkie zaspy z brązowego piasku. Staram się je omijać, ale miejscami zakrywają cały trakt i mój rower utyka w miejscu. Już trzykrotnie musiałem pokonywać pieszo szczególnie długie i suche grzędzawiska.

Jazda byłaby o wiele łatwiejsza, gdybym nie miał tego ciężkiego plecaka. W normalnej sytuacji nie ciągnąłbym ze sobą podczas wyprawy rowerowej dwunastu kilogramów zapasów i sprzętu, ale czeka mnie licząca czterdzieści pięć kilometrów runda jazdy rowerowej i canyoningu -wędrówki po dnie systemu głębokich i wąskich wąwozów - co zabierze mi większość dnia. Poza czterema litrami wody w trzylitrowym termoizolacyjnym bukłaku i litrowej plastikowej butelce mam pięć batonów czekoladowych, dwa burrito i babeczkę czekoladową, wszystko w reklamówce w plecaku. Będę na pewno głodny, nim wrócę do samochodu, ale zapasy wystarczą na jeden dzień.

Prawdziwy ciężar stanowi sprzęt wspinaczkowy: trzy zakręcane karabinki, dwa zwykłe, lekki przyrząd asekuracyjno-zjazdowy, dwa zwoje taśmy grubości centymetra, dłuższa taśma z dziesięcioma nylonowymi pętlami zwanymi daisy chain, uprząż, lina dynamiczna długości sześćdziesięciu metrów i grubości dziesięciu i pół milimetra, taśma rurowa długości siedmiu i pół metra i o średnicy centymetra, wreszcie rzadko przeze mnie używane narzędzie wielofunkcyjne multitool (dwa ostrza i kombinerki),

16

na wypadek gdybym musiał przeciąć taśmy zaklinowane w punkcie asekuracyjnym. W plecaku mam także czołówkę, słuchawki, odtwarzacz CD z kilkoma płytami, zapasowe baterie AA, aparat cyfrowy i cyfrową minikamerę wideo, do tego baterie i pokrowce ochronne.

Wszystko to ma swój ciężar, ale uważam, że jest niezbędne, nawet sprzęt rejestrujący. Uwielbiam fotografować niesamowite kolory i kształty, które można napotkać w głębokich szczelinach kanionów, i prehistoryczne malowidła, zachowane w niszach skalnych. Dodatkową korzyścią z tej wyprawy będzie bliskość czterech stanowisk archeologicznych w kanionie Horseshoe, z setkami petroglifów i piktogramów. Na mocy ustawy Kongresu Stanów Zjednoczonych włączono ten samotny i wyizolowany kanion do sąsiedniego Parku Narodowego Kanionów, głównie z myślą o ochronie liczących pięć tysięcy lat rytów i malowideł - milczącego zapisu istnienia pradawnego ludu - odkrytych wzdłuż koryta Barrier Creek na dnie Horseshoe. W miejscu zwanym Wielką Galerią można zobaczyć dziesiątki nadludzi o wzroście sięgającym trzech metrów i górujących w szyku bojowym nad stadami niezidentyfikowanych zwierząt; przytłaczają te stworzenia, jak i obserwatora, swoimi długimi, ciemnymi ciałami, szerokimi barami i nawiedzonym wzrokiem. Owe niesamowicie masywne sylwetki dziwnych zjaw stanowią najstarszy i najlepiej zachowany na świecie artefakt tego rodzaju i są tak niezwykle, że antropolodzy ochrzcili ich ciężki i nieco posępny artyzm mianem stylu Barrier Creek. Choć nie dysponujemy materiałami pisanymi, które mogłyby pomóc w odszyfrowaniu celu, który przyświecał artystom, kilka z tych postaci to myśliwi z włóczniami i pałkami. Większość ich, pozbawiona nóg i ramion, z rogami na głowach, zdaje się unosić w powietrzu niczym

koszmarne demony. Bez względu na znaczenie, które im nadawano, w owych tajemniczych postaciach uderza to, że na przestrzeni tysięcy lat zachowały swą indywidualność, my zaś musimy przyjąć do wiadomości, że obrazy te przetrwały dłużej i w lepszym stanie niż większość najstarszych artefaktów zachodniej cywilizacji. Świadomość owa prowokuje pytanie: co pozostanie z rzekomo zaawansowanych społeczeństw za pięć tysięcy lat? Zapewne nie nasze dzieła sztuki ani jakikolwiek dowód na to, jak mało mieliśmy wolnego czasu (skoro z jakiegoś powodu większość nas marnotrawi ten luksus przed telewizorem).

* * *

W

Spodziewając się w kanionie wody i błota, włożyłem stare buty turystyczne i grube wełniane skarpety; moje stopy pocą się, naciskając pedały, podobnie jak nogi opięte spodenkami kolarskimi z lycry pod beżowymi nylonowymi szortami. Nawet przez tę podwójną warstwę czuję, jak siodełko boleśnie ugniata mi pośladki. Od pasa w górę jestem ubrany w podkoszulek z emblematem mojego ulubionego zespołu rockowego Phish i niebieską czapkę bejsbolową. Wodoszczelną kurtkę zostawiłem w samochodzie; dzień zapowiada się ciepły i suchy, tak jak wczoraj, kiedy to pokonałem dwudziestokilometrowy szlak Slick Rock, biegnący na wschód od Moab. Gdyby zaczęło padać, wąski kanion byłby ostatnim miejscem, w którym chciałbym się znaleźć, z kurtką czy be? niej.

Lubię podróżować bez ciężkiego bagażu, zastanawiałem się więc, jak pokonać większy dystans z mniejszymi zapasami, by dotrzeć dalej w określonym czasie. Poprzedniego dnia miałem tylko swój bukłak na wodę, kilka części zamiennych do roweru i aparat, nędzne pięć kilogramów w przypadku czterogodzinnej jazdy tam i z powrotem. Wieczorem, zrezygnowawszy ze sprzętu rowerowego, pokonałem osiem kilometrów, by odwiedzić Castle Valley; miałem ze sobą tylko wodę i sprzęt fotograficzny, łącznie trzy kilogramy. Dzień wcześniej, we czwartek, wraz z moim przyjacielem Bradem Yule'em z Aspen uprawialiśmy wspinaczkę i jazdę na nartach na górze Sopris, liczącym prawie cztery tysiące metrów władcy zachodniego Kolorado; wziąłem ze sobą dodatkowe ubranie i sprzęt ratunkowy na wypadek lawiny, ale mimo wszystko udało mi się nie przekroczyć ośmiu kilogramów.

Kulminacją mojej pięciodniowej wyprawy będzie podjęta w sobotę wieczorem próba samotnego pokonania na rowerze stuścisiedziesięciokilometrowego szlaku White Rim w Parku Narodowym Kanionów. Gdybym zabrał ze sobą podobne zapasy, z jakich korzystałem podczas pierwszej trzydniowej wędrówki tym szlakiem w roku 2000, musiałbym taszczyć plecak o wadze trzydziestu kilogramów i miałbym obolałe plecy przed pokonaniem pierwszych piętnastu kilometrów. Tym razem obliczyłem, że wystarczy mi około siedmiu kilogramów bagażu i że pokonam szlak w niespełna dwadzieścia cztery godziny. Oznacza to rygorystyczne przestrzeganie planu korzystania z wody. Istnieją niewielkie możliwości uzupełniania jej zapasów, nie ma też mowy o spaniu, a przystanki na trasie zostaną ograniczone do niezbędnego minimum. Moim największym zmartwie-

18

niem nie jest to, że zmęczą mi się nogi (wiem, że tak będzie, ale wiem też, jak sobie z tym poradzić), lecz raczej fakt, że, hmm, dolne partie mojego ciała uniemożliwią w pewnym momencie jazdę. „Śpiączka krocza”, jak się to określa, jest wynikiem odczulenia tej części ciała narażonej na bezustanną stymulację. Ponieważ od ostatniego lata nie pokonałem na rowerze dłuższego dystansu, moja wytrzymałość w przypadku siodełka

jest niepokojąco niska. Gdybym zaplanował tę wyprawę dwa dni wcześniej, zafundowałbym sobie przynajmniej jedną dłuższą jazdę w okolicach Aspen. Jednak, jak się okazało, w ostatniej chwili zrezygnowałem wraz z kilkoma przyjaciółmi ze środowowej wspinaczki, co pozwoliło mi odbyć pielgrzymkę na pustynię, gdzie oswajałem się z ciepłem i krajobrazem tak bardzo różnym od omiatanych wiatrem gór. W innych okolicznościach zostawiłbym swoim współlokatorom szczegółowy plan, ale ponieważ opuściłem dom w Aspen, nie mając pojęcia, co zamierzam robić, powiedziałem tylko, że wybieram się do Utah. Podczas jazdy z góry Sopris do Utah we czwartek wieczorem pośpiesznie analizowałem możliwości, przeglądając swoje przewodniki. Rezultatem są te wymyślone pod wpływem chwili, improwizowane wakacje, podczas których przewidywany jest nawet udział dzisiejszego wieczoru w wielkiej imprezie pod gołym niebem niedaleko Gobiin Valley State Park.

Zbliża się wpół do jedenastej, kiedy chowam się w cień samotnego jałowca i rozglądam po spalonej słońcem okolicy. Pofałdowana i pokryta poszyciem pustynia zniża się w dali ku malowanym skalnym kopułom, ukrytym uskokom, omszałym i spaczonym skarpom, krętym i umęczonym kanionom, połamanym monolitom. To kraina złego losu, złych czarów. Kraina Edwarda Abbeya, czerwona ziemia jałowa, która zaczyna się tam, gdzie kończą się drogi. Ponieważ przyjechałem tu zeszłego wieczoru po zmroku, nie mogłem zobaczyć dokładnie krajobrazu. Omiatając wzrokiem teren ku wschodowi i szukając jakichkolwiek śladów kanionu, który stanowi cel mojej wyprawy, wyjmuję czekoladową babeczkę z piekarni w Moab. Okazuje się, że muszę ją na dobrą sprawę połknąć - tak ona, jak i moje usta wysuszone są wiatrem pozbawionym choć odrobiny wilgoci. Dostrzegam liczne ślady bydła świadczące o desperackich próbach jakiegoś ran-czera, który starał się żyć w tym miejscu wbrew nieprzychylności pustyni. Stada wydeptały kręte szlaki w miejscowej florze, która rozprzestrzenia się na niezmierzonej powierzchni. Koronka traw, wysokie na trzydzieści

19

centymetrów kaktusy i czarna makrobiotyczna skorupa, wszystko to okrywa swym płaszczem czerwoną ziemię. Popijam resztki babeczki - z wyjątkiem kilku ostatnich okruchów w opakowaniu - z bukłaka przez rurkę przytwierdzoną do paska od plecaka.

Wsiadam na rower i ruszam w dalszą drogę, korzystając z osłony grzbietu, który wznosi się przede mną i chroni przed wiatrem, ale na szczycie następnego wzgórza znów muszę zмагаć się z powiewami. Po dwudziestu minutach uporczywego pompowania nogami po przypominającym palenisko trakcie widzę grupę motocyklistów, która mija mnie w drodze ku Maze. Kurz wzbijany przez ich maszyny wieje mi prosto w twarz, zatyka nos, wnika w oczy i ich kąciki, przykleja mi się nawet do zębów. Krzywię się z powodu pyłu na wargach, oblizuję zęby i uparcie podążam dalej, zastanawiając się, dokąd zmiierzają ci zmotoryzowani podróżnicy.

Sam odwiedziłem Maze tylko raz, niemal dziesięć lat temu, i trwało to zaledwie pół godziny. Kiedy nasza grupa raftingowa przybiła do brzegu, by rozbić obóz nad rzeką Kolorado na plaży zwanej Spanish Bottom, wspiąłem się trzysta metrów wyżej, do miejsca znanego jako Domek Lalki. Wznosiły się nade mną formacje skalne wysokości od piętnastu do trzydziestu metrów, kiedy niczym liliput pokonywałem piaskowce i granity. Gdy wreszcie odwróciłem się i spojrzałem na rzekę, znieruchomiałem gwałtownie, po czym usiadłem na najbliższym głazie, by podziwiać widok, który się przede mną roztaczał. Po raz pierwszy, patrząc na pustynię w całej jej okazałości i twórczej mocy, uświadomiłem sobie jedno - że jako przedstawiciele rasy ludzkiej jesteśmy maleńcy i jednocześnie odważni.

Nisko w dole, za łodziami wyciągniętymi na brzeg kotłowała się wściekła rzeka. Nagle, patrząc na jej kasztanowy nurt, zrozumiałem, że właśnie w tym momencie żłobi kanion w otoczeniu tysięcy kilometrów

kwadratowych pustynnego płaskowyżu. Usadowiony w Domku Lalki, odniosłem zaskakujące wrażenie, że oto jestem świadkiem narodzin całego krajobrazu, jakbym stał na krawędzi eksplodującej kaldery. Widok ten przywodził na myśl świt czasu, tę prehistoryczną epokę poprzedzającą wszelkie życie, kiedy istniał tylko pusty ład. Czując się tak, jakbym spoglądał przez teleskop na Drogę Mleczną i zastanawiał się, czy jesteśmy sami we wszechświecie, uświadomiłem sobie z oślepiającą jasnością pustynnego światła,

20

- 'W

jak kruche i ulotne jest życie, jak niewiele znaczymy w porównaniu z siłami natury i rozmiarami kosmosu. Gdyby moi towarzysze wsiedli na te dwie tratwy znajdujące się w odległości zaledwie półtora kilometra i odpłynęli, byłbym całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi. W ciągu piętnastu, góra trzydziestu dni zagłodziłbym się na śmierć, podążając w górę rzeki i starając się dotrzeć do Moab, i nigdy nie ujrzalbym śladu drugiego człowieka. Jednak, pomijając bezludność otaczającej mnie pustyni, nie dawała mi spokoju pewna optymistyczna myśl, która pozwalała pozbyć się poczucia własnej ważności. Nie jesteśmy ważni i wspaniali dlatego, że znajdujemy się na samym szczycie łańcucha pokarmowego, ani dlatego, że potrafimy kształtować swoje środowisko - ono nas przetrwa dzięki niezgłębionym siłom i niezwykłom mocom. Zamiast poddać się własnej marności, okazujemy dzielność, gdyż staramy się kierować swoją wolą pomimo naszej efemerycznej i kruchej obecności na tej pustyni, na tej planecie, w tym wszechświecie. Siedziałem tak jeszcze przez dziesięć minut obdarzony spojrzeniem równie szerokim jak widok z tego stromego miejsca, a potem zszedłem do obozu i uporałem się szybko z kolacją.

* * *

Jadąc drogą wzdłuż metalowego przepustu, który znaczy miejsce wyschniętego źródła w West Fork - zachodniej odnodze kanionu Blue John - mijam oznakowane skrzyżowanie, gdzie polna droga skręca ku Hanksville, małemu miastu, od którego dzieli mnie godzina drogi, na zachód od bramy wiodącej do Capital Reef National Park. Hanksville to osada najbliższa Robbers Roost i Maze i miejsce, gdzie znajduje się jedyna w okolicy naziemna linia telefoniczna. Kilometr dalej mijam pochyłą trawiastą równinę, pełniącą niegdyś funkcję pasa startowego i lądowiska, zanim jakaś katastrofa nie zmusiła tych, którzy tam latali, do poszukiwań pewniejszego gruntu. To prowizoryczne lotnisko dowodzi, że jedynym skutecznym środkiem transportu, który pozwala tu dotrzeć z jednego miejsca do drugiego, są małe samoloty i helikoptery. Czasem jednak podróż dokądkolwiek po prostu się nie opłaca, nawet jeśli umie się latać. Lepiej zostać w domu.

Mormoni próbowali za wszelką cenę wytyczać w tej części kraju drogi, ale i oni wycofali się w końcu do bardziej cywilizowanych miejscowości,

21

Green River i Moab. Dziś te mormońskie szlaki są w większości porzucone, a ich funkcję przejęły wciąż przejezdne trakty, do których trudniej dotrzeć jakimś pojazdem mechanicznym niż sto lat temu na grzbiecie konia czy wozem. Swoista ironia losu. Minionej nocy przebyłem prawie dziewięćdziesiąt kilometrów po jedynej, nieutwardzonej zresztą, drodze we wschodniej połowie dwóch okręgów, by dotrzeć do celu - dwuipółgo-dzinna jazda po nawierzchni przypominającej tarkę i ani jednego światła czy domostwa. Ranczerzy z pogranicza, koniokradzy, górnicy w kopalniach uranu, wiertacze zatrudnieni przy wydobyciu ropy naftowej - wszyscy oni odcisnęli swe piętno na tej ziemi, ale w końcu przegrywali z pustynią mamiącą fałszywym bogactwem.

Owi poszukiwacze szczęścia i majątku nie byli pierwszymi, którzy zawitali do tej krainy, by opuścić ją wkrótce jako ziemię jałową. W ciągu wieków pojawiały się tu i znikwały na dnie wąwozów kolejne fale pradawnych społeczności. Zwykle to susza lub ingerencja wrogich band sprawiały, że życie na terenach górskich czy pustyniach leżących dalej na południe wydawało się łatwiejsze. Czasem jednak trudno wyjaśnić gwałtowną ewakuację całej kultury z jakiegoś miejsca. Pięć tysięcy lat temu lud z Barrier Creek pozostawił swoje piktogramy i petroglify w Wielkiej Galerii i Alcove Gallery; potem ginie po nim wszelki ślad. Ponieważ jego przedstawiciele nie pozostawili jakichkolwiek źródeł pisanych, ich zniknięcie jest zarówno zagadką, jak i pożywką dla wyobraźni. Patrząc na ich dzieła, stojąc w ich domach, ogrodach i na śmietniskach, czuję się związany z tymi pierwotnymi pionierami, którzy zamieszkiwali te kaniony tak dawno temu.

Gdy wydostaję się na odsłonięty płaskowyż, a wiatr chłodzi mnie po twarzy, zaczynam z niecierpliwością wypatrywać ostatniego odcinka trasy, gdzie zakończę jazdę. Nie mogę się doczekać, kiedy uwolnię się od tego wiatru, który uparcie mnie poniża.

Sądząc po tym, co zobaczyłem po drodze, są pewne zasadnicze różnice między dniem dzisiejszym a czasami Blue Johna Griffitha. Biuro Zarządu Ziemi utwardziło liczący sto lat szlak konny i ustawiło gdzieniegdzie drogowskazy, ale nie ma tu tych wszechobecnych ogrodzeń, tak charakterystycznych dla pozostałej części Zachodu. Być może właśnie brak drutu kolczastego sprawia, że miejsce to wydaje się tak przerażająco odległe od wszelkiej cywilizacji. Spędzam mnóstwo czasu na odludnych terenach - dwa albo trzy dni w tygodniu na pustkowiach wytyczonych

22

przez władze, nawet zimą, lecz większość ich nie sprawia wrażenia tak odizolowanego jak ta boczna droga. Kiedy o tym myślę, moje odosobnienie przeradza się nagle w całkowitą samotność i wydaje się bardziej dojmujące. Choć tutejsze miasta okrzepły od czasu niespokojnych dni, kiedy okolica Robbers Roost zdobywała sławę, owa leżąca na uboczu pustynia jest tak samo jak wtedy dzika i nieprzyjazna.

Półtora kilometra za przełęczą Burr tortura pięćdziesięciokilometrowej jazdy pod wiatr dobiega końca. Zsiadam z roweru i prowadzę go do jałowca, a potem zakładam kłódkę na tylne koło. Nie martwię się o to, że ktoś może grzebać tu przy moim wehikule, ale jak mawiał tata: „Nie ma sensu kusić uczciwych ludzi”. Chowam kluczyki do lewej kieszonki i kieruję się ku głównej atrakcji, kanionowi Blue John. Podążam na skrótym jelenim szlakiem, słuchając ulubionej muzyki na odtwarzaczu CD, kiedy wiatr nie szumi mi już tak paskudnie w uszach. Pokonuję trzy wydmy sproszkowanego czerwonego piaskowca i docieram do piaszczystego żlebu. Widzę, że znalazłem drogę do wciąż żłobionego kanionu. Dobrze, to właściwa trasa, myślę sobie i w tym momencie dostrzegam dwoje ludzi, którzy po chwili znikają w głębi kanionu, około trzydziestu metrów dalej. Zeskakuję na piasek naniesiony przez wodę i gdy obchodzę żleb z drugiej strony, dostrzegam wędrowców - dwie kobiety, jak mi się z tej odległości wydaje.

Zastanawiam się zdumiony, jakie jest prawdopodobieństwo spotkania kogoś na tym pustkowi. Po trzech godzinach spędzonych z własnymi myślami i być może pragnąc pozbyć się tego uczucia samotności, które ogarnęło mnie na drodze, ściągam z uszu słuchawki, po czym przyspieszam kroku, by dogonić te dwie osoby. Poruszają się szybko, muszę niemal biec, by ich nie zgubić, i dopiero po kilku ładnych minutach mogę stwierdzić, że się w ogóle do nich zbliżyłem. Oczekiwałem, że sam zejdę do kanionu, ale spotkanie z ludźmi takimi jak ja w zapomnianych przez Boga miejscach sprawia mi zazwyczaj przyjemność, zwłaszcza jeśli potrafią dotrzymać mi kroku. Tak czy inaczej, nie mogę uniknąć w tym momencie ich obecności. Przy

następnym zakręcie oglądają się za siebie i widzą mnie, ale nie przystają, by zaczekać. W końcu doganiam je, ale nie mogę ich wyprzedzić, ponieważ się nie zatrzymują.

Uświadomiwszy sobie, że będziemy przez jakiś czas wędrować razem, dochodzę do wniosku, że powinienem nawiązać rozmowę.

- Cześć - mówię. - Jak leci?

23

Nie jestem do końca pewien, czy są zadowolone ze spotkania obcego człowieka na tym pustkowiu. Odpowiadają mi zdawkowym „cześć”.

Z nadzieją na coś bardziej osobistego próbuję ponownie:

- Nie spodziewałem się, że spotkam dziś kogokolwiek w kanionie.

Choć jest sobota, to miejsce wydaje się tak odległe od cywilizacji, tak

nieokreślone, że od strony drogi nie potrafiłbym go nawet dostrzec, choć na mojej mapie kanion z pewnością zaznaczono.

- Zaskoczyłeś nas, podkradając się w ten sposób - odpowiada kobieta

0 kasztanowych włosach, ale potem się uśmiecha.

- Och, przepraszam. Miałem słuchawki na uszach i .byłem zajęty myślami - wyjaśniam. Odpowiadam jej uśmiechem i przedstawiam się: -Jestem Aron.

Wyraźnie się odprężają i wymieniają swoje imiona. Brunetka, która ze mną rozmawia i która wydaje się bardziej otwarta, to Megan, druga to Kristi. Megan ma włosy do ramion, wiją się kusząco wokół jej twarzy o zaróżowionych policzkach i orzechowych oczach. Jest ubrana w niebieską bluzę z długim rękawem i zamkiem błyskawicznym u góry

1 niebieskie spodnie turystyczne, ma też niebieski plecak - gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że lubi niebieski kolor. Blond włosy Kristi zebrane są z tyłu w koński ogon, dzięki czemu widać na czole piegi od słońca i jej głębokie szaroniebieskie oczy. Oprócz ubrania - prosty biały T-shirt, niebieskie szorty, pod spodem długa czarna bielizna - zauważam, że Kristi ma małe srebrne kolczyki w kształcie kółek i ciemne okulary w sztucznej rogowej oprawie z paskiem o węzowym wzorze. To dość niezwykle, że ktoś nosi w kanionie kolczyki, ale sam nie prezentuję się oszałamiająco, więc daruję sobie jakiegokolwiek uwagi na temat mody. Obie kobiety są po dwudziestce i dowiaduję się, że pochodzą z Moab. Staram się szybko zapamiętać ich imiona i dopasować je do konkretnej osoby, by się później nie mylić.

Megan, jak się zdaje, nie ma nic przeciwko rozmowie. Opowiada pospiesznie, jak minęły koniec szlaku prowadzącego do Granary Spring i błąkały się przez godzinę po pustyni, nim znalazły wejście do kanionu. Mówię, że chyba lepiej jechać na rowerze niż samochodem, ponieważ krajobraz przesuwa się wtedy wolniej.

- Boże, gdybyśmy jechały na rowerach, to uschłybyśmy na wietrze, za-nimbyśmy tu dotarli - śmieje się Megan, co ostatecznie przełamuje lody.

24

Kanion to wciąż płytke koryto potoku - suchy, piaszczysty parów -położone między podwójnymi wydrami wysokości około dziesięciu metrów. Nim pojawi się trudniejszy teren, oddajemy się przyjacielskiej pogawędce; rozmawiamy o naszym życiu w spolaryzowanych społecznościach dwóch kurortów - Moab i Aspen. Dowiaduję się, że podobnie jak ja, obie pracują w przemyśle rekreacyjnym. Jako szefowe logistyki w Outward Bound zajmują się dostarczaniem sprzętu ekspedycyjnego z magazynu firmy w Moab. Wyjaśniam, że pracuję w sklepie ze sprzętem turystycznym w Aspen.

Wśród niezbyt zamożnych mieszkańców naszych miast panuje milcząca zgoda co do tego, że lepiej być biednym, a mimo to bogatym w doświadczenia - spełniając swoje marzenia - niż cieszyć się tradycyjnym bogactwem i nie móc realizować swoich pasji. Miejscowy proletariat żywi podskórne przekonanie, że życie kuracjusza to coś w rodzaju piętna. Lepiej nie mieć grosza przy duszy niż być zamożnym turystą (jednak miejscowi są w dużym stopniu od nich zależni, więc ów elitaryzm nie jest szczególnie uczciwy). Rozumiemy, że jesteśmy po tej samej stronie.

To samo dotyczy naszej wrażliwości, jeśli chodzi o środowisko naturalne. Oboje uważamy, że Edward Abbey - bojowy ekolog, eseista potępiający rozwój, turystykę i górnictwo, piwosz, waleczny ekoterrorysta, wielbiciel dzikich ostępów i kobiet (najchętniej z dzikich ostępów, choć na nieszczęście trudno je znaleźć) - to mędrzec środowiska naturalnego. Przypominając sobie jeden z jego ekscentrycznych cytatów, mówię, że uwielbiał skrajności.

- Napisał chyba w jakimś eseju: „Oczywiście, wszyscy jesteśmy hipokrytami. Jedynym prawdziwie szczerym aktem obrońcy środowiska naturalnego byłoby palnięcie sobie w łeb. W przeciwnym razie bezustannie zatruwa się to miejsce swoją obecnością". To parafraza, ale tak się właśnie wyraził.

- Nieco makabryczne - zauważa Megan, a na jej twarzy pojawia się udawany wstyd, że sama się nie zastrzeliła.

Porzucamy temat Eda Abbeya i odkrywamy, że mamy doświadczenie w canyoningu, zwłaszcza jeśli chodzi o kaniony szczelinowe. Kristi pyta mnie o ulubione miejsce, a ja bez wahania opisuję swoje przeżycia w kanionie Neon, czyli noszącej tę nieoficjalną nazwę odnodze systemu Escalante River w środkowo-południowym Utah. Rozwodzę się w poetycki sposób o tym, jak pięciokrotnie schodziłem tam z użyciem liny, o specjal-

25

Kanion to wciąż płytke koryto potoku - suchy, piaszczysty parów -położone między podwójnymi wydrami wysokości około dziesięciu metrów. Nim pojawi się trudniejszy teren, oddajemy się przyjacielskiej pogawędce; rozmawiamy o naszym życiu w spolaryzowanych społecznościach dwóch kurortów - Moab i Aspen. Dowiaduję się, że podobnie jak ja, obie pracują w przemyśle rekreacyjnym. Jako szefowe logistyki w Outward Bound zajmują się dostarczaniem sprzętu ekspedycyjnego z magazynu firmy w Moab. Wyjaśniam, że pracuję w sklepie ze sprzętem turystycznym w Aspen.

Wśród niezbyt zamożnych mieszkańców naszych miast panuje milcząca zgoda co do tego, że lepiej być

biednym, a mimo to bogatym w doświadczenia - spełniając swoje marzenia - niż cieszyć się tradycyjnym bogactwem i nie móc realizować swoich pasji. Miejscowy proletariat żywi podskórne przekonanie, że życie kuracjusza to coś w rodzaju piętna. Lepiej nie mieć grosza przy duszy niż być zamożnym turystą (jednak miejscowi są w dużym stopniu od nich zależni, więc ów elitaryzm nie jest szczególnie uczciwy). Rozumiemy, że jesteśmy po tej samej stronie.

To samo dotyczy naszej wrażliwości, jeśli chodzi o środowisko naturalne. Oboje uważamy, że Edward Abbey - bojowy ekolog, eseista potępiający rozwój, turystykę i górnictwo, piwosz, waleczny ekoterrorysta, wielbiciel dzikich ostępów i kobiet (najchętniej z dzikich ostępów, choć na nieszczęście trudno je znaleźć) - to mędrzec środowiska naturalnego. Przypominając sobie jeden z jego ekscentrycznych cytatów, mówię, że uwielbiał skrajności.

- Napisał chyba w jakimś eseju: „Oczywiście, wszyscy jesteśmy hipokrytami. Jedynym prawdziwie szczerym aktem obrońcy środowiska naturalnego byłoby palnięcie sobie w łeb. W przeciwnym razie bezustannie zatruwa się to miejsce swoją obecnością”. To parafraza, ale tak się właśnie wyraził.

- Nieco makabryczne - zauważyła Megan, a na jej twarzy pojawia się udawany wstyd, że sama się nie zastrzeliła.

Porzucamy temat Eda Abbeya i odkrywamy, że mamy doświadczenie w canyoningu, zwłaszcza jeśli chodzi o kaniony szczelinowe. Kristi pyta mnie o ulubione miejsce, a ja bez wahania opisuję swoje przeżycia w kanionie Neon, czyli noszącej tę nieoficjalną nazwę odnodze systemu Escalante River w środkowo-południowym Utah. Rozwodzę się w poetycki sposób o tym, jak pięciokrotnie schodziłem tam z użyciem liny, o specjal-

25

nych wgłębeniach (głębokich, stromych i gładkich dziurach w dnie kanionu, pozwalających utrzymać równowagę, kiedy nie ma się partnera) i o Złotej Katedrze - osobliwym tunelu z piaskowca w daszku niży o rozmiarach Bazyliki Świętego Piotra. Oznacza to zjazd w wolnym zwisie przez niemal dwadzieścia metrów i lądowanie w wielkim rozlewisku wody, a potem konieczność doptynięcia do brzegu.

- To fenomenalne, musicie się tam wybrać - mówię na koniec.

Kristi opowiada mi z kolei o swoim kanionie, który leży po drugiej

stronie drogi wiodącej z Granary Spring. To jedno z górnych rozwidleń odpływu Robbers Roost, ochrzczonego przez jej przyjaciół z firmy mianem „halucynogennego”. Kristi opisuje wąską szczelinę w kształcie litery V, gdzie człowiek przemierza kanion wciśnięty między ściany, na wysokości około pięciu metrów od dna, mając pod stopami prześwit szerokości kilku centymetrów, a niżej jeszcze mniejszy.

Dodaję w myślach to miejsce do listy przyszłych wędrówek.

Kilka minut później, tuż przed wschodem księżyca, docieramy do stromego i gładkiego zejścia skalnego zwiastującego pierwszą szczelinę i głębsze, węższe odcinki, które przyciągnęły nas do kanionu Blue John. Zjeżdżam pięć metrów w dół, sunąc na podeszwach butów; zostawiam za sobą dwie czarne smugi na różowym piaskowcu i ląduję w piasku pod skalnym zboczem. Słyszac hałas, Kristi wyłania się zza narożnika i widzi mnie przykucniętego na piasku. Przypuszcza, że spadłem.

- O Boże, wszystko okej? - pyta zaniepokojona.
- Tak, tak, nic mi nie jest. Zrobiłem to celowo - mówię szczerze, ponieważ mój zjazd był naprawdę zaplanowany.

Dostrzegam jej spojrzenie, jest pogodne i pełne rozbawienia; dziewczyna wierzy mi, ale uważa, że mądrzej byłoby poszukać łatwiejszego zejścia. Rozglądam się i dostrzegam znacznie bezpieczniejszą trasę, która pozwoliłaby uniknąć ryzykownego zjazdu. Czuję się trochę głupio.

Pięć minut później docieramy do pierwszej przeszkody, trudnego i stromego progu; najlepiej byłoby schodzić twarzą do skały, wykonując ruchy odwrotne od tych, które stosowałoby się przy wspinaczce. Schodzę pierwszy, potem sięgam do plecaka, żeby wyjąć kamerę i filmować Megan i Kristi. Ta druga wyciąga pięciometrową czerwoną taśmę z równie czerwonego plecaka wspinaczkowego i przeciąga ją przez metalowy ring, który jakaś poprzednia grupa zawiesiła na drugiej pętli taśmy owiniętej wokół

nych wgłębieniach (głębokich, stromych i gładkich dziurach w dnie kanionu, pozwalających utrzymać równowagę, kiedy nie ma się partnera) i o Złotej Katedrze - osobliwym tunelu z piaskowca w daszku nyży o rozmiarach Bazyliki Świętego Piotra. Oznacza to zjazd w wolnym zwisie przez niemal dwadzieścia metrów i lądowanie w wielkim rozlewisku wody, a potem konieczność dołynięcia do brzegu.

- To fenomenalne, musicie się tam wybrać - mówię na koniec.

Kristi opowiada mi z kolei o swoim kanionie, który leży po drugiej

stronie drogi wiodącej z Granary Spring. To jedno z górnych rozwidleń odpływu Robbers Roost, ochrzczonego przez jej przyjaciół z firmy mianem „halucynogennego”. Kristi opisuje wąską szczelinę w kształcie litery V, gdzie człowiek przemierza kanion wciśnięty między ściany, na wysokości około pięciu metrów od dna, mając pod stopami prześwit szerokości kilku centymetrów, a niżej jeszcze mniejszy.

Dodaję w myślach to miejsce do listy przyszłych wędrówek.

Kilka minut później, tuż przed wschodem księżyca, docieramy do stromego i gładkiego zejścia skalnego zwiastującego pierwszą szczelinę i głębsze, węższe odcinki, które przyciągnęły nas do kanionu Blue John. Zjeżdżam pięć metrów w dół, sunąc na podeszwach butów; zostawiam za sobą dwie czarne smugi na różowych piaskowcu i ląduję w piasku pod skalnym zboczem. Słyszac hałas, Kristi wyłania się zza narożnika i widzi mnie przykucniętego na piasku. Przypuszcza, że spadłem.

- O Boże, wszystko okej? - pyta zaniepokojona.
- Tak, tak, nic mi nie jest. Zrobiłem to celowo - mówię szczerze, ponieważ mój zjazd był naprawdę zaplanowany.

Dostrzegam jej spojrzenie, jest pogodne i pełne rozbawienia; dziewczyna wierzy mi, ale uważa, że mądrzej byłoby poszukać łatwiejszego zejścia. Rozglądam się i dostrzegam znacznie bezpieczniejszą trasę, która pozwoliłaby uniknąć ryzykownego zjazdu. Czuję się trochę głupio.

Pięć minut później docieramy do pierwszej przeszkody, trudnego i stromego progu; najlepiej byłoby schodzić twarzą do skały, wykonując ruchy odwrotne od tych, które stosowałoby się przy wspinaczce. Schodzę pierwszy, potem sięgam do plecaka, żeby wyjąć kamerę i filmować Megan i Kristi. Ta druga wyciąga pięciometrową czerwoną taśmę z równie czerwonego plecaka wspinaczkowego i przeciąga ją przez

metalowy ring, który jakaś poprzednia grupa zawiesiła na drugiej pętli taśmy owiniętej wokół

kamienia tkwiącego solidnie w zagłębieniu poza krawędzią zbocza; system bez trudu utrzyma ciężar człowieka. Chwyciwszy taśmę, Megan zaczyna schodzić tyłem po ścianie. Musi ominąć przeszkodę - zaklinowany głaz, tkwiący między ścianami kanionu, który blokuje skądinąd łatwe zejście ku pogłębiającej się szczelinie. Kiedy Megan jest na dole, Kristi niepewnie rusza w jej ślady, gdyż nie ufa systemowi taśm. Gdy dociera do nas, wspina się z powrotem, by odzyskać taśmę Kristi.

Pokonujemy pieszo około dziesięciu metrów i dochodzimy do kolejnego progu. Ściany tym razem znajdują się blisko siebie, dzieli je jakiś metr przestrzeni. Megan rzuca plecak poza krawędź i manewruje między ścianami, podczas gdy Kristi robi kilka zdjęć. Obserwuję, jak Megan schodzi, i pomagam jej, wskazując najlepsze chwytaki - oparcia dla dłoni i stóp. Kiedy Megan jest na dole, odkrywa, że jej plecak przemaka. Okazuje się, że od rurki bukłaka z wodą odpadł ustnik, kiedy cisnęła plecak w dół, i woda zaczęła wsiąkać w piasek. Szybko odnajduje niebieski plastikowy ustnik i powstrzymuje wyciek, dzięki czemu nie musi wracać na początek trasy. Przemoczony plecak nie stanowi większego problemu, ale strata wody - tak. Schodzę ostatni z założonym plecakiem, a delikatny sprzęt cyfrowy sprawia czasem, że utykam w szczególnie wąskich miejscach. Przeciskam się między małymi głazami i wpycham w szczelinę między ścianami, by ruszyć dalej opadającym dnem kanionu. W pewnym miejscu napotykam kłoc drewna i wykorzystuję go jako drabinę na odcinku, gdzie może się zmieścić tylko bardzo szczupły człowiek.

Choć dzień nad krawędzią skał jest coraz cieplejszy, powietrze w dole robi się chłodniejsze, kiedy pojawia się czterystumetrowy odcinek, gdzie ściany wznoszą się na wysokość sześćdziesięciu metrów, a dzieli je tylko czterometrowa odległość. Blask słońca nigdy nie sięga dna tej szczeliny. Podnosimy parę kruczych piór i zatykamy za czapki, a potem robimy sobie zdjęcia.

Osiemset metrów dalej napotykamy kilka odnóg, które schodzą ku Main Fork, dokąd zmierzamy, a ściany w górze rozwierają się i ukazują niebo, a także progi w głębi kanionu. Znowu skąpani w słońcu, przystajemy, by podzielić się moimi batonami czekoladowymi, które zaczęły się już roztopiać. Kristi częstuje Megan, ta jednak odmawia, a Kristi oświadcza:

- Naprawdę nie mogę jeść tego sama... a zresztą mogę, czemu nie -i śmiejemy się we trójkę.

27

Zgadzamy się, choć nie jesteśmy tego do końca pewni, że ta ostatnia odnoga na lewo od Main Fork to West Fork, co oznacza, że Megan i Kristi kończą wędrówkę i wracają na drogę znajdującą się jakieś siedem kilometrów dalej. Ociągamy się z pożegnaniem, kiedy Kristi proponuje:

- Chodź, Aron, wybierz się z nami... pójdziemy po twój samochód, posiedzimy, napijemy się piwa.

Jestem jednak zdecydowany dokończyć planowaną wyprawę, więc mówię:

- Posłuchajcie, dziewczyny, macie uprząż, ja mam linę. Chodźcie ze mną w stronę niższej szczeliny, zjedziemy z Wielkiego Progu. Zwiedzimy Wielką Galerię... Podwiozę was później do waszego samochodu.

- Jak to daleko? - pyta Megan. ,

- Ze trzynaście kilometrów.

- Co? Nie dasz rady wrócić przed zmrokiem! Lepiej chodź z nami.

- Naprawdę już się zdecydowałem na ten zjazd, no i chcę zobaczyć petroglify. Ale wrócę na szlak prowadzący do Granary Spring, żeby się z wami spotkać.

Zgadzą się. Siadamy i jeszcze raz oglądamy mapy, potwierdzając naszą lokalizację na mapce z kanionem Blue John w przewodniku, którym się posługiwaliśmy, żeby znaleźć tę odległą szczelinę. W moim najnowszym wydaniu Canyon Hiking Guide to the Colorado Plateau Michaela Kelseya opisano ponad sto kanionów, a przy każdym zamieszczono odrębną mapkę. Autor kreślił je na podstawie własnego doświadczenia, a każda z nich i opis trasy to prawdziwe dzieło sztuki. Książka, pełna przekrojów poprzecznych podstępnych szczelin, wskazówek dotyczących ukrytych petroglifów i stanowisk artefaktów, a także szczegółów na temat sprzętu wspinaczkowego, punktów asekuracyjnych i głębi wodnych, oferuje wystarczająco dużo informacji pozwalających podjąć decyzję co do dalszej drogi albo zorientować się, gdzie jesteś, lecz nic więcej. Odkładamy mapy i wstajemy. Kristi mówi:

- Na tej rycinie malowidła wyglądają jak istne duchy. Są trochę niesamowite. Wierysz, że Galeria da ci jakąś siłę, energię?

- Hm. - Zastanawiam się nad jej pytaniem. - Nie mam pojęcia. Czuję jakiś związek z tymi petroglifami, kiedy oglądałem je wcześniej. Sprawiały mi zadowolenie. Bardzo chcę je zobaczyć.

Megan pyta mimo wszystko, by się upewnić:

- Na pewno nie chcesz iść z nami?

Ja jednak obstaję przy swoim wyborze, tak jak one przy swoim.

Kilka minut przed ich odejściem potwierdzamy chęć spotkania po zmroku w ich obozowisku niedaleko Granary Spring. Paru moich znajomych z Aspen planuje dziś wieczór imprezę w odległości około osiemdziesięciu kilometrów na północ od Gobiin Valley State Park. Ustalamy, że pojedziemy tam we troje. Większość uczestników zamierza posłużyć się papierowymi talerzykami jako drogowskazami określającymi miejsce spotkania; moi znajomi postanowili użyć w tym celu wielkiego pluszowego Scooby-Doo, który będzie informował, gdzie należy skręcić. Kiedy już zrobię to, co zaplanowałem - po całodniowej wyprawie, dwudziesto-pięciokilometrowej jeździe na rowerze i równie długiej wędrówce kanionami - zasłużę sobie na odpoczynek i, mam nadzieję, zimne piwo. Dobrze też będzie znów ujrzeć te dwie miłe damy, i to tak szybko. Umawiamy się jeszcze, że nazajutrz rano wybierzemy się do kanionu Little Wild Horse - to niezbyt trudna trasa w Gobiin Valley. Jako nowi przyjaciele rozstajemy się o drugiej po południu, uśmiechając się i machając sobie na pożegnanie.

* * *

Ponownie sam, zagłębiam się w kanion zgodnie z planem wędrówki. Po drodze zastanawiam się, co zrobić z resztą wolnego czasu. Teraz, kiedy wiem, że w niedzielę będę zwiedzał Little Wild Horse, myślę sobie, żeby wrócić mniej więcej na siódmą do Moab. Będę miał dość czasu, by przygotować sprzęt, prowiant i wodę z myślą o wyprawie rowerowej szlakiem White Rim w Parku Narodowym Kanionów i zdrzemnąć się, nim wyruszę przed północą. Jeśli pokonam pierwsze czterdzieści pięć kilometrów przy świetle czołówki i gwiazd, powinienem przebyć liczącą sto sześćdziesiąt kilometrów trasę późnym popołudniem w poniedziałek i zdążyć jeszcze na przyjęcie, które zaplanowałem z przyjaciółmi na wieczór tego samego dnia w Aspen.

Nagle potykam się na stercie luźnych kamyków naniesionych przez ostatnią gwałtowną powódź; macham rękami, by utrzymać równowagę. Od razu skupiam całą uwagę na trasie wędrówki.

Wciąż mam krucze pióro zatknięte za pasek niebieskiej czapki z tyłu głowy i widzę jego cień na piasku.
Wygląda idiotycznie - zatrzymuję się

29

w otwartym kanionie i robię zdjęcie swojego cienia z piórem. Nie zwalniając kroku, odpinam paski plecaka na brzuchu i piersi, przesuвам bagaż do przodu i zaczynam grzebać w jednej z zewnętrznych kieszonek, żeby włączyć przenośny odtwarzacz CD. Aplauz publiczności cichnie, słysząc powolną rytmiczną gitarę, a potem słowa: „How is it I never see The waves that bring her words to me?”.

Słucham koncertu zespołu Phish, na który się wybrałem do Las Vegas 15 lutego, czyli przed trzema miesiącami. Chłonę przez chwilę muzykę i uśmieciam się. Świat sprawia mi zadowolenie: oto moje szczęśliwe miejsce. Świetna muzyka, samotność, umysł wolny od wszelkich trosk. Ożywienie, które przynosi wędrówka w pojedynkę, i możliwość panowania nad tempem marszu rozjaśniają mi myśli. Poczucie .bezwiednego szczęścia - które nie wynika z czegoś konkretnego, ale właśnie z tego, że jestem szczęśliwy - to jeden z powodów, dla których decyduję się na tego rodzaju wysiłek; zapewnia mi czas, bym mógł się skupić na samym sobie. Wrażenie zjednoczenia ciała i umysłu ożywia ducha. Czasem, kiedy się nad tym zastanawiam, na jakiejś wzniosłej płaszczyźnie, dochodzę do wniosku, że samotna wędrówka to moja metoda osiągania stanu transcendentnego, rodzaj pieszej medytacji. Nic mi z tego nie wychodzi, kiedy siedzę i próbuję medytować w stylu indyjskiej mantry. To dzieje się tylko podczas samotnej wędrówki. Niestety, gdy uświadamiam sobie, że oto nadeszła ta chwila, uczucie mija, powracają myśli, transcendencja ulatnia się bez śladu. Staram się za wszelką cenę przygotować samego siebie na to ulotne i przemijające wrażenie wewnętrznego i ostatecznego dobrostanu, ale moje własne myśli na jego temat nie pozwalają mi się na nim skupić. Choć efemeryczne, owo towarzyszące takiej chwili uczucie zadowolenia podnosi mnie na duchu na wiele godzin, a nawet dni.

Jest druga piętnaście po południu, blask słońca i cienka warstwa stratusów sprawiają, że pogoda jest sprzyjająca, jakby zachowywała pożądaną równowagę. Na odsłoniętych odcinkach kanionu temperatura jest o kilka stopni wyższa niż na dnie głębokiej szczeliny. Widzę w górze kilka opierzonych cumulusów, które przechylają się niczym zagubione klipry, ale nie ma cienia. Napotykam szerokie i żółte koryto potoku z prawej strony i sprawdzam mapę. To jest East Fork - wschodnia odnoga kanionu. Kristi i Megan na pewno wybrały podczas drogi powrotnej właściwe rozwidlenie. Decyzja wydawała się wtedy słuszna, ale nawet oczywiste

30

decyzje wymagają na tym pustkowiu namysłu. Orientacja w głębokim kanionie bywa skomplikowana. Od czasu do czasu ulegam myśli, że nie ma się czego obawiać; po prostu idę przed siebie. Mając po obu stronach wysokie na dziewięćdziesiąt metrów ściany skalne w odległości półtora metra od siebie, nie mogę przecież zgubić dna kanionu, tak jak się gubi drogę wspinaczkową na zboczu góry. Ale zdarzało mi się już wcześniej tracić orientację.

Przypominam sobie samotną wyprawę do kanionu Paria. Po przebyciu jednej trzeciej drogi przestałem się orientować, gdzie jestem, i to całkowicie. Pokonałem osiem kilometrów, nim znalazłem jakiś charakterystyczny punkt, który mogłem zlokalizować na mapie. Było to niezwykle istotne, ponieważ musiałem znaleźć wyjście przed zapadnięciem nocy. Kiedy szuka się wejścia (lub wyjścia), to czasem zboczenie z trasy na pięćdziesiąt metrów może człowieka zmylić. Dlatego teraz oglądam mapę z uwagą. Kiedy pokonuję kanion, sprawdzam mapę jeszcze częściej niż w górach - co dwieście metrów.

„If we could see the many waves That float through clouds and sunken caves She'd sense at least the words

that sought her On the wind and underwater".

Piosenka zamienia się w coś atonalnie słodkiego, ale nie zwracam na to uwagi, kiedy mijam po prawej stronie kolejne płytkie i piaszczyste koryta. Z mapy wynika, że ten strumień odpowiada czemuś, co Kelsey nazwał Little East Fork, i że spływa z płaskowyżu ochrzczonego przezeń mianem Goat" Park.

Terasy i pofałdowane, porośnięte jałowcem pogórza Goat Park po mojej prawej stronie wznoszą się ponad liczącą sto siedemdziesiąt milionów lat Carmel Formation, pochyłą skałą, która składa się na przemian z liliowego, czerwonego i brązowego piaskowca drobnziarnistego, wapienia i warstwy osadowej łupków. Skała ta jest bardziej odporna na erozję niż starszy i naniesiony przez wiatr piaskowiec Nawaho, który tworzy gładkie, czerwone urwiska malowniczych kanionów szczelinowych. Miejskami rezultatem tej zróżnicowanej erozji są kolumny skalne, wolno stojące baszty i stożki, wreszcie wysokie wydmy o barwie kamienia, rozsiane na górnych partiach zboczy kanionów. Sąsiadujące ze sobą faktury, kolory i kształty warstw skalnych Carmel i Nawaho odzwierciedlają niegdysiejsze krajobrazy, które je ukształtowały - wczesne morze jurajskie

31

i późną pustynię triasową. Wywodzące się z wielkiego morza osady formacji Carmel wyglądają jak stwardniały muł, który wysychł zaledwie przed miesiącem. Z drugiej zaś strony krzyżujące się wzory w piaskowcu Nawaho ujawniają swe pochodzenie od ruchomych wydm piaszczystych - jedna wysoka na cztery i pół metra wstęga w urwiskach ukazuje linie biegnące ku prawej stronie; następne wstęgi będą ku lewej, a nad nimi widać idealnie pionowe linie uwarstwienia. Na przestrzeni eonów wydmy raz za razem zmieniały kształt pod wpływem siły wiatru wiejącego po starodawnej, podobnej do Sahary pustyni, pozbawionej jakiegokolwiek roślinności. W zależności od tego, czy kształty piaskowca zostały stworzone przez wiatr, czy przez wodę, wyglądają albo jak topornie wyrzeźbione kopuły piasku, albo jak wygładzone klify. Całe to piękno wywołuje na mojej twarzy nie-gasnący uśmiech.

Obliczam, że mam jeszcze do pokonania dystans około kilometra, nim dotrę do wąskiej szczeliny nad liczącym dwadzieścia metrów wysokości Wielkim Progiem. Ta biegnąca na długości dwustu metrów szczelina wytycza połowę mojej trasy w kanionach Blue John i Horseshoe. Kiedy dotrę do niej, czeka mnie kilka zejść, ominięcie paru występów skalnych, a następnie mniej więcej sto dwadzieścia pięć metrów bardzo wąskiej szczeliny, w niektórych miejscach szerokiej na zaledwie czterdzieści centymetrów. Dotrę tamtędy do platformy, gdzie dwa nity tworzą punkt asekuracyjny do zjazdu na linie. Nity to z reguły śruby rozporowe długości kilku centymetrów i o średnicy kilkunastu milimetrów, osadzone w otworach wykutych ręcznie albo wywierconych wiertarką bezprzewodową, przytrzymujące metalowe zaczepy w kształcie litery L, zwane plakietkami. Mają one dwa otwory - jeden w części prostej, do mocowania śruby w skale, i drugi w części zakrzywionej, gdzie można zapiąć ekspres lub karabinek. Kiedy nit jest właściwie osadzony i umocowany w skale, można bez większych obaw powierzyć mu ciężar nawet kilku tysięcy kilogramów, ale w wąskich kanionach skała często kruszy się wokół mocowania śruby rozporowej z powodu częstych powodzi. Dobrze jest mieć dwie śruby z plakietkami i korzystać z nich jednocześnie, na wypadek gdyby jedna zawiodła.

Mam linę, uprząż, przyrząd asekuracyjny i taśmę, a także czołówkę, która się przydaje do wypatrywania węży w szczelinach, nim włoży się do nich rękę. Już rozmyślam o wędrowce, która mnie czeka po zjeździe, zwłaszcza o Wielkiej Galerii. Przewodnik Kelseya nazywają najwspaniał-

32

szym panelem piktograficznym na wyżynie Kolorado, a styl Barrier Creek „tym, do którego przyrównywane

są wszystkie inne", co wzbudziło moje głębokie zainteresowanie, gdy tylko o tym przeczytałem dwa dni temu, w drodze do Utah.

„Gold in my hair In a country pool Standing and waving The rain, wind on the runway”.

Zasłuchałem się w piosenkę i ledwie dostrzegam, że ściany kanionu zwężają się coraz bardziej, tworząc początek szczeliny, która teraz bardziej przypomina alejkę na zapleczu między dwoma magazynami niż ulicę między drapaczami chmur. Towarzyszy mi brzmiący jak hymn riff gitarowy, gdy mój krok zmienia się niemal w dumny marsz, a prawa pięść wybija w powietrzu rytm. Po chwili docieram do stromego spadku w dnie kanionu. Gdyby płynęła tędy woda, byłby to wodospad. Twardsza warstwa piaskowca świadczy o większej odporności na erozję wywołowaną powodziami; ten ciemny konglomerat tworzy krawędź spadku. Występ, na którym stoję, dzieli od dna kanionu około trzech metrów. Dalej, w odległości około sześciu metrów, między ścianami tkwi pień drzewa w kształcie litery S. Stanowiłby on łatwiejszą drogę zejścia, gdybym mógł dotrzeć do niego górą, ale trudniej się tam dostać wzdłuż wąskiej i dość pochyłej półki z konglomeratu po mojej prawej stronie niż trzymetrową drogą w dół, za krawędzią, którą mam przed sobą.

Wykorzystuję kilka wyciętych w skale po lewej ręce chwytów, by zejść poniżej półki; przytrzymuję się piaskowcowych huecos - wyżłobionych przez wodę zagłębień w ścianie - niczym uszu dzbanka. Po chwili, kiedy się wyciągam jak struna, moje nogi kołyszą się sześćdziesiąt, może dziewięćdziesiąt centymetrów nad dnem kanionu. Puszczam się i odpadam od suchej ściany dawnego wodospadu, po czym ląduję w piaszczystym zagłębieniu, które wyżłobiła w podłożu woda spadająca z góry. Moje stopy uderzają o wyschnięte błoto, które pęka i kruszy się jak tynk. Buty grzęzną mi w czymś, co przypomina sproszkowane krwinki. Wydostaję się z nich bez trudu, ale nie mógłbym pokonać progu, wspinając się na niego bezpośrednio z tego miejsca. Jestem skazany na dalszą wędrówkę; nie ma odwrotu.

W słuchawkach rozbrzmiewa nowa piosenka, kiedy przechodzę pod pnem w kształcie litery S, a kanion schodzi niżej, osiągając głębokość dziewięciu metrów nad piaskowymi kopułami w górze.

33

„I fear I never told you the story of the ghost That I once knew and talked to, of whom I never boast”.

Wciąż widać blade niebo ponad tą trzymetrową szczeliną w powierzchni ziemi. Na mojej drodze pojawiają się dwa zaklinowane głazy wielkości furgonetki. Jeden tkwi na wysokości trzydziestu centymetrów ponad piaszczystym dnem kanionu, drugi leży na ziemi, dokładnie pośrodku tego skalnego korytarza. Przechodzę przez obydwie przeszkody. Kanion zwęża się do szerokości ponad metra, a węzowaty tunel wiedzie mnie najpierw w prawo, potem w lewo i znów w prawo, wreszcie pojawia się stosunkowo prosty odcinek, potem znów skręcam w lewo i w prawo, cały czas schodząc coraz niżej.

Potężne działanie wody wyrывało z piaskowcowych ścian głazy wielkości piłki plażowej i nanosiło kloce drewna, które tkwią u góry kanionów na wysokości dziesięciu metrów. Te głębokie odcinki szczelinowe to ostatnie miejsca, w których ktoś chciałby przebywać podczas burzy. Niebo ponad kanionem może być czyste, ale oberwanie chmury nad zlewiskiem oddalonym nawet o piętnaście czy trzydzieści kilometrów może sprawić, że nieuważny wędrowiec zostanie pokiereszowany albo się utopi. Podczas ulewy grunt nie wchłania szybko wody. We wschodniej części Stanów Zjednoczonych gleba dniami i tygodniami przyjmuje wodę, a rzeki wylewają dopiero po długim czasie, nawet jeśli poziom opadów wynosi kilkanaście czy kilkadziesiąt centymetrów. Na terenie pustynnym natomiast twarda i spieczona słońcem gleba zachowuje się jak terakota z wypalanej gliny i powódź może się zacząć od nieznacznego deszczu, kiedy na ziemię w ciągu pięciu minut spada kilka milimetrów wody. Strumienie toczące się po nieprzepuszczalnym jałowym podłożu zamieniają się w rwące potoki zasilane licznymi dopływami i wkrótce dnem szerokiego na dwanaście metrów kanionu

płynie potok głębokości trzydziestu centymetrów. Ta sama ilość wody zamienia się w wąskiej przestrzeni w katastrofalny nurt. W miejscach, gdzie ściany dzieli odległość metra, strumień staje się głębokim na trzy metry chaosem przewalającym się błota i rumoszu. Przenosi głazy, rzeźbi kaniony, zawała zwężenia niesionym materiałem i zabija wszystko, co nie może wspiąć się wyżej.

Na tym krętym odcinku wąskiego kanionu osad z niedawnej powodzi pokrywa ściany na wysokość trzech i pół metra ponad przypominającym plażę dnem, a liczące dziesiątki lat ślady wyflukiwania nakładają się na

34

różowe i liliowe rysy odsłoniętej skały. Kręte ściany zniekształcają płaskie linie warstw i przyciągają moją uwagę w jednym miejscu, gdzie pojawia się zakręt o sto osiemdziesiąt stopni. Przystaję, żeby zrobić kilka zdjęć. Dostrzegam, że w stosunku do zegarka licznik czasu w aparacie cyfrowym spóźnia się o minutę. Na wyświetlaczu jest 14.41, sobota po południu, 26 kwietnia 2003 roku.

Kiwam głową w takt muzyki, pokonując kolejne dwadzieścia metrów, i docieram do trzech zaklinowanych głazów, przez które przechodzę. Potem widzę pięć następnych, każdy wielkości dużej lodówki, wtłoczonych między ściany kanionu na różnych wysokościach nad jego dnem, co przypomina kamienisty tor przeszkód. Rzadko się zdarza, by tyle głazów znajdowało się na tak niewielkim odcinku. Pierwszy tkwi na wysokości trzydziestu centymetrów, muszę więc przeczołgać się pod nim na brzuchu. Nie robiłem tego jeszcze w trakcie swojej wędrówki, ale nie mam wyboru. Następny zaklinował się nieco wyżej. Wstaję i otrzepuję się, potem kucam i znów przechodzę pod spodem. Pełnę na czworakach, potem muszę się położyć i manewrować ciałem, co pozwala mi pokonać wszystkie przeszkody. Wąwóz ma w tym punkcie głębokość osiemnastu metrów - oznacza to spadek o piętnaście metrów poniżej wydm na długości sześćdziesięciu metrów.

Dochodzę do następnego progu. Ten ma wysokość ponad trzech czy czterech metrów, jest o trzydzieści centymetrów wyższy niż poprzedni, ten sprzed dziesięciu minut, i odznacza się inną geometrią. Między ścianami tkwi następny głaz wielkości lodówki. Znajduje się trzy metry od krawędzi, na której stoję, i na takiej samej wysokości jak ona, przez co przestrzeń w dole sprawia klaustrofobiczne wrażenie krótkiego tunelu. Ściany nie rozszerzają się za spadkiem ani nie rozwierają u dołu w półkoliste wgłębienie; szczelina ma szerokość metra na krawędzi progu, podobnie jak na długości następnych piętnastu metrów w głąb kanionu. Czasem przeciskam się w tak wąskich przejściach, opierając stopy i plecy o przeciwległe ściany. Kontrolując napór z jednej i drugiej strony poprzez przesuwanie dłoni i stóp po ścianach, mogę bez większego trudu poruszać się w dół lub w górę ciasnej szczeliny, dopóki da się zachować kontakt między ścianami a moimi dłońmi, stopami i plecami. Ta technika jest znana jako kominowa: tak właśnie można się wspinać wewnątrz komina.

Tuż pod występem, na którym stoję, znajduje się zaklinowany głaz

35

wielkości dużej opony autobusowej, tkwiący mocno w tunelu między ścianami; sterczy na jakieś pół metra poza mój występ. Jeśli zdołam na nim stanąć, to będę miał do pokonania wysokość niespełna trzech metrów, a więc mniejszą niż ta, na której znajduje się występ. Zawisnę na rękach, a potem wykonam krótki skok na pokryte okrągłymi kamykami dno kanionu. Zsuwam się w dół z krawędzi występu, opierając się stopą i dłonią o ściany, i schodzę na głaz. Przywieram plecami do południowej ściany i prostuję lewe kolano, dzięki czemu moja stopa wpięra się w ścianę północną. Prawą sprawdzam, czy głaz jest solidnie osadzony. Wydaje się, że wytrzyma mój ciężar. Opuszczam się niżej i staję na nim. Podtrzymuje mnie, ale chwieje się lekko. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że nie będę schodził w dół, trzymając się ścian, kucam i chwytam się tylnej części głazu, zwracając twarz ku górze, ku krawędziom kanionu. Zsuwam się brzuchem po

zewewnętrznej stronie kamienia i zawisam na wyciągniętych maksymalnie ramionach, jakbym próbował spuścić się z dachu domu.

Kołysząc się, czuję, że głaz reaguje drżeniem i zgrzytem; mój ciężar jest zdolny go poruszyć. Orientuję się błyskawicznie, że sytuacja jest zła, instynktownie puszczam się i ląduję na okrągłych kamykach w dole. Kiedy spoglądam w górę, widzę, jak podświetlony od dołu kamień leci wprost na mnie, pochłaniając niebo. Odruchowo zasłaniam się rękami. Nie mogę się cofnąć. Mam tylko nadzieję, że zdołam odepchnąć spadający kamień, żeby nie uderzył mnie w głowę.

Następne trzy sekundy ciągną się ślamazarnie. Czas się rozrzedza, jakbym śnił, a moje reakcje ulegają opóźnieniu. Wszystko rozgrywa się w zwolnionym tempie: głaz przygważdża mi lewą rękę do południowej ściany, moje oczy rejestrują tę kolizję, ja zaś wyszarpuję kończynę, kiedy kamień odbija się rykoszetem od skały i przygniata mi prawą rękę na wysokości nadgarstka, razem z dłonią i wyciągniętymi palcami. Potem zsuwa się jeszcze trzydzieści centymetrów, ciągnąc za sobą moją rękę i zdzierając skórę z przedramienia. Zapada cisza.

Paraliżuje mnie niedowierzanie, kiedy wpatruję się w prawą dłoń, która niknie w nieprawdopodobnie małej szczelinie między głazem i ścianą kanionu. W ciągu kilku sekund reakcja mojego systemu nerwowego - ból - wypiera pierwszy szok. Dobry Jezu, moja ręka. Ogień, który ją trawi, przyprawia mnie o panikę. Krzywię się i wyrzucam z siebie warkliwe: „Kurwa!”.

36

Umysł rozkazuje ciału: „Wyciągnij stamtąd rękę!”. Szarpnię się trzykrotnie w żalosalnej próbie uwolnienia dłoni. Nic z tego, zakleszczyła się.

Niepokój mąci mi myśli; przesywający ból pełźnie od nadgarstka do ramienia. Czuję się jak oszalały i krzyczę: „Cholera, cholera, o cholera!”. Ogarnięty desperacją umysł przywołuje apokryficzną zapewne historię, w której nabuzowana adrenaliną matka podnosi przewrócony samochód, żeby uwolnić spod niego swoje dziecko. Podejrzewam, że ta opowieść jest zmyślona, ale nie dałbym głowy, czy właśnie teraz, kiedy dosłownie zalewają mnie wewnętrzne chemikalia, nie jest najlepsza okazja, by uwolnić się za pomocą brutalnej siły. Przyciskam się do wielkiego głazu, napieram na niego, pcham lewą ręką, staram się unieść go kolanami. Mam dobre, solidne oparcie dzięki dwudziestopięciocentymetrowej półce pod stopami. Stojąc na niej, wsuwam uda pod głaz i pcham raz za razem, stękając: „No dalej... rusz się!”. Nic.

Odпочydam, a potem znów atakuję skałę. I znowu nic. Przesuwam stopy. Macam głaz od spodu, szukając lepszego uchwytu, zmieniam ułożenie lewej ręki na powierzchni kamienia, biorę głęboki oddech i napieram na przeszkodę mocniej niż poprzednio. „Uff...”, wysięk pozbawia mnie powietrza w płucach, a gwałtowny oddech niemal zagłusza cichy, głuchy dźwięk, jaki towarzyszy drgnieniu kamienia. Jego ruch jest prawie niewyczuwalny. Osiągam jedynie to, że przesywa mnie nowe ostrze nieprawdopodobnego bólu. Sapię gwałtownie: „Och, kurwa!”.

Przesunąłem głaz o ułamek centymetra i kamień jeszcze bardziej przygniótł mi nadgarstek. To draństwo waży więcej ode mnie (fakt, że w ogóle nim poruszyłem, świadczy o mojej determinacji) i teraz pragnę tylko, by przesunęło się z powrotem. Znów przybieram odpowiednią pozycję, zaczynam ciągnąć ręką górną część głazu i udaje mi się przesunąć go odrobinę, jakbym dokonał odwrotności poprzedniego działania. Ból trochę ustępuje. W trakcie tych wszystkich prób zdzieram sobie i siniaczę skórę na lewym mięśniu czworogłowym powyżej kolana. Pocę się okropnie. Posługując się lewą dłonią, podciągam do ramienia prawy rękaw koszuli i ocieram czoło. Moja klatka piersiowa unosi się rytmicznie. Muszę się napić, ale kiedy pociągam z rurki bukłaka, okazuje się, że jest pusty.

Mam jeszcze litr zapasu w butelce znajdującej się w plecaku, ale po kilku sekundach uświadamiam sobie, że przecież nie zsunę go z prawego ramienia. Ściągam z szyi aparat i stawiam na głazie. Uwolniwszy lewe

37

ramię z paska, odciągam ten prawy, wsuwam głowę w pętlę i przeciągam pasek przez lewe ramię, tak że opina mi tułów. Ciężar sprzętu wspinaczkowego, kamery i butelki z wodą ciągnie plecak do ziemi, pod moje stopy, które następnie uwalniam z pętli. Wyciągam z dna plecaka ciemnoszarą butelkę, zdejmuję nakrętkę i zanim uświadamiam sobie, co robię, biorę trzy ogromne łyki, a potem przerywam picie, by złapać oddech. Po chwili pojmuję - w ciągu pięciu sekund pochłonąłem jedną trzecią całego zapasu wody, jakim dysponuję.

„Niech to diabli, człowieku, zakręć butelkę i odstaw ją. Ani kropli więcej”.

Zakręcam starannie butelkę, chowam ją do plecaka na swoich kolanach i trzykrotnie głęboko oddycham.

„Okej, czas się odprężyć. Nie wydostaniesz się stąd dzięki adrenalinie. Zastanówmy się spokojnie i sprawdźmy, na czym stoimy”.

O dziwo, upłynęło pół godziny od wypadku. Decyzja, by trzeźwo spojrzeć na sytuację i dać sobie spokój z bezowocnymi próbami uwolnienia ręki, pozwala zapanować nad rozpiekającą mnie energią. Nie zanosi się na szybki koniec, więc trzeba zacząć myśleć. Żeby to zrobić, muszę się opanować.

Najpierw postanawiam dokładnie zbadać miejsce, w którym głaz przygniata mi nadgarstek. Za sprawą grawitacji i tarcia kamień zaklinował się i jest teraz zawieszony na wysokości około metra nad dnem kanionu, w kilku punktach oparcia. Przeciwległa ściana zabezpiecza go w trzech takich punktach. Moja dłoń i nadgarstek, unieruchomione w makabrycznym uścisku ze skałą, tworzą po drugiej stronie czwarty punkt. Myślę: Moja dłoń wcale tam nie tkwi - w gruncie rzeczy odpycha głaz od ściany. Rany, jestem załatwiony.

Sięgam palcami lewej ręki do prawej, to znaczy do jej widocznej części wzdłuż północnej ściany kanionu. Wsuwam je w małą szczelinę nad punktem uwięzienia i dotykam kciuka, który przybrał już chorobliwie szary kolor. Jest przekrzywiony na bok w tej wąskiej przestrzeni i wygląda przerażająco nienaturalnie. Prostuję go wskazującym i środkowym palcem lewej dłoni. Prawa jest całkowicie pozbawiona czucia. Akceptuję to z niejaką obojętnością, jakbym diagnozował stan innego człowieka. Ten kliniczny obiektywizm działa na mnie uspokajająco. Niezdolna do odbierania jakichkolwiek bodźców dłoń nie wydaje się tak bardzo moja -

38

gdyby była moja, czułbym nią dotyk, a to dotyczy dopiero nadgarstka. Biorąc pod uwagę wygląd dłoni, fakt, że podczas wypadku nie słyszałem żadnego chrzęstu, oraz to, co czuję pod palcami lewej ręki, dochodzę do wniosku, że nie mam prawdopodobnie pękniętych kości. Podejrzewam jednak, że nie obyło się bez uszkodzenia tkanki miękkiej, wiem też, że mogłem sobie coś złamać głębiej, wewnątrz kończyny. Tak czy inaczej, nie jest dobrze.

Badając spodnią stronę głazu, mogę dotknąć małego palca prawej dłoni i określić jego położenie. Jest zakrzywiony do wewnątrz, jakbym nie do końca zacisnął pięść; wydaje się, że moje mięśnie znajdują się w stanie wymuszonego skurczu. Nie mogę rozluźnić dłoni ani wyprostować żadnego z palców. Próbuję poruszyć każdym z osobna. Brak jakiegokolwiek reakcji motorycznej. Staram się rozluźnić mięśnie, by zacisnąć dłoń w pięść, ale nie wyczuwam nawet najlżejszego drgnienia. Naprawdę nie jest dobrze.

Podnoszę rękę na wysokość piersi, ale nie mogę dotrzeć palcem wskazującym do miejsca, w którym

powinien dotknąć prawego nadgarstka od dołu. Mały palec ledwie się wsuwa w przestrzeń między głazem a ścianą, muskając rękę z boku nadgarstka. Przerывam tę penetrację i patrzę na swój lewy nadgarstek, oceniając jego obwód na jakieś sześć centymetrów. Prawy jest zgnieciony do jednej szóstej swej normalnej grubości. Gdyby nie opór kości, głaz spłaszczyłby mi dłoń całkowicie. Sądząc po jej bladym odcieniu i tym, że podczas kontuzji nie doszło do utraty krwi, jest prawdopodobne, że w zakleszczonej kończynie ustało krążenie. Brak czucia czy ruchu oznacza zapewne uszkodzenie nerwów. Bez względu na odniesione kontuzje moja prawa dłoń wydaje się całkowicie odizolowana od układu krwionośnego, a także nerwowego i ruchowego. To już trzy pozycje na liście „nie jest dobrze”.

Odzywa się wewnętrzny głos, który kwituje przekleństwami wszelkie prognozy: „Cholera! Jak to się mogło stać? Jak, kurwa? Jak mogłeś, kurwa, pozwolić, żeby pieprzony głaz przygniótł ci rękę? Spójrz tylko! Masz zmiażdżoną dłoń; obumiera, człowieku, i nic nie możesz na to poradzić. Jeśli w ciągu dwóch godzin nie przywrócisz w niej krążenia, będzie po niej”.

„Nie, nie będzie. Uwolnię się. Bo jeśli mi się to nie uda, to stracę więcej niż dłoń. Muszę się stąd wydostać!”, odpowiada rozum, ale nie on tu kontroluje sytuację; strumień adrenaliny nie przestał jeszcze płynąć.

39

„Jesteś uwięziony, przygwożdżony i załatwiony”. Nie lubię ulegać pesymizmowi, ale diabeł na moim lewym ramieniu nie owija w bawełnę. Ten mały, rymujący drań ma rację: moja przyszłość maluje się w czarnych barwach. Ale jest o wiele za wcześnie, żeby ulegać rozpacz.

„Nie! Zamknij się, gadanie nie pomoże”. Lepiej analizować sytuację, dowiedzieć się czegoś. Ktokolwiek odzywa się na moim prawym ramieniu, ma rację - nie o rękę powinienem się martwić. Jest poważniejszy problem. Rozważanie pomniejszego zagadnienia tylko pozbawi mnie sił. W tej chwili muszę się skupić na zdobywaniu informacji. Podjąwszy tę decyzję, przestaję zaprzeczać temu, co się wydarzyło.

Po prawej stronie, kilkadziesiąt centymetrów ponad górną powierzchnią głazu przy północnej ścianie, widzę na piaskowcu maleńkie strzępki swojego ciała, kawałeczki włosów z ręki i smużki krwi. Gdy głaz ciągnął za sobą moją rękę w dół ściany, działał razem z gładkim piaskowcem Nawaho jak tarka, zrywając cienkie paski skóry z jej zewnętrznej warstwy. Spoglądam na spód ręki, szukając śladów krwi, ale niczego nie widzę, nawet pojedynczej kropli.

Odchylając głowę, trącam daszek czapki, a moje okulary przeciwsłoneczne spadają na plecak u stóp. Podnoszę je i dostrzegam, że się porysowały godzinę wcześniej, kiedy miałem je na nosie w trakcie wędrowki słonecznym odcinkiem kanionu. „To bez znaczenia” - mówię sobie w duchu, ale kładę je na głazie, bliżej lewej strony.

Słuchawki zsunęły mi się z uszu, ale teraz, kiedy jestem już spokojniejszy, słyszę aplauz tłumu z nagrania koncertowego. Hałas zamiera, kiedy płyta się kończy, a nagła cisza podkreśla powagę sytuacji. Jestem nieodwracalnie uwięziony - stoję w przyćmionym świetle na dnie kanionu i mogę się przesunąć jedynie o kilka centymetrów w górę i w dół albo w bok. Moją fizyczną sytuację pogarsza fakt, że nikt, kto zacznie się niepokoić moją nieobecnością, nie wie, gdzie jestem. Naruszyłem pierwszą zasadę, która obowiązuje przed podjęciem samotnej wędrowki w takiej głuszy - nie zostawiłem odpowiedzialnej osobie szczegółowego planu swojej trasy. Oddalony o trzysta kilometrów od samochodu, jestem sam w rzadko odwiedzonym miejscu, pozbawiony możliwości kontaktu z kimkolwiek, kto znalazłby się poza liczącym pięćdziesiąt metrów zasięgiem mojego głosu.

Sam w sytuacji, która bardzo szybko może się okazać tragiczna.

Zegarek wskazuje 15.28, a więc od chwili, gdy głaz spadł mi na rękę, upłynęło prawie czterdzieści pięć minut. Robię przegląd wszystkiego, co mam przy sobie, lewą ręką opróżniając systematycznie plecak. W plastikowej torbie oprócz batonów czekoladowych i papierowej torebki z okruchami babeczki znajdują się dwa burrito z fasolą - łącznie daje to około pięciuset kalorii. W zewnętrznej kieszeni plecaka mam odtwarzacz kompaktowy, płyty, zapasowe baterie AA, minikamerę cyfrową. Jest tam też multitool i czołówka z trzema diodami. Układam sprzęt elektroniczny, biorę narzędzie i czołówkę, a potem kładę je na głazie obok okularów.

Wkładam kamerę do pojemnika na gogle, którego używałem do ochrony sprzętu, i chowam do kieszeni plecaka wraz z innymi gadżetami. Poza butelką i pustym bukłakiem na wodę mam jeszcze tylko zieloną i żółtą linę wspinaczkową w czarnej torbie zapinanej na zamek błyskawiczny, uprząż i niewielki zwój taśmy, którą wziąłem ze sobą z myślą o zjeździe z Wielkiego Progu.

Następnie zaczynam analizować po kolei wszystkie możliwe środki, dzięki którym mógłbym się stąd wydostać. Najpierw przychodzą mi do głowy proste rozwiązania, choć niektóre z nich to bardziej pobożne życzenia niż wynik trzeźwej oceny sytuacji. Może ktoś będzie wędrował tym odcinkiem kanionu i mnie znajdzie - niewykluczone, że pomoże mi się uwolnić albo przynajmniej da ubranie, żywność i wodę, a sam ruszy po pomoc. Może Megan i Kristi dojdą do wniosku, że coś się stało, kiedy nie przybędę na spotkanie, i zaczną szukać mojego wozu, a potem zawiadomią Służbę Parku Narodowego. Może moi przyjaciele Brad i Leah Yule zrobią to samo, gdy nie pojawię się na wielkiej imprezie dziś wieczorem. Nie wiedzą jednak z całą pewnością, czy się tam zjawię, ponieważ nie zadzwoniłem do nich, będąc wczoraj w Moab. Jutro, w niedzielę, wciąż będzie trwał weekend - może ktoś tu zawędruje, wykorzystując wolny dzień. Jeśli nie zjawię się do poniedziałku wieczór, moi koledzy z pewnością zaczną się niepokoić, może nawet zawiadomią policję. Albo mój szef w sklepie, gdzie pracuję, zadzwoni do mojej mamy, kiedy nie pojawię się we wtorek w pracy. Minie zapewne kilka dni, zanim Ludzie się zorientują, dokąd się udałem, czyli w środę mogą już zacząć mnie szukać i jeśli znajdą mój samochód, to sprawa nie powinna być trudna.

Głównym problemem jest jednak to, że mam zbyt mały zapas wody, by czekać tak długo na ratunek - około 0,7 litra, w skutek nieszczęsnego łyku sprzed kilku minut. Na pustyni można przeżyć bez wody przeciętnie od dwóch do trzech dni, czasem zaledwie dzień, jeśli człowiek podejmuje duży wysiłek w czterdziestostopniowym upale. Przypuszczam, że wytrwam do poniedziałkowej nocy. Jeśli wcześniej nadejdzie ratunek, to tylko dzięki mało prawdopodobnemu spotkaniu z jakimś innym wędrowcem, nie zaś w wyniku zorganizowanej akcji poszukiwawczej wyszkolonych ludzi. Innymi słowy jest to tak prawdopodobne jak wygranie na loterii.

Z natury jestem osobą niecierpliwą; kiedy sytuacja wymaga czekania, muszę się czymś zająć, by czas szybciej mi upływał. Może należę do pokolenia, które oczekuje natychmiastowego zaspokojenia swoich potrzeb, albo moja wyobraźnia ucierpiała od zbyt częstego oglądania telewizji, w każdym razie bardzo źle znoszę bezruch. W mojej obecnej sytuacji jest to zapewne plus. Mam problem do rozwiązania - muszę się stąd wydostać - więc skupiam myśli na tym, co pomoże mi wygrzebać się z pułapki. Wykluczam kilka pomysłów, które są zbyt głupie (na przykład roztrzaskanie zapasowych baterii o kamień w nadziei, że kwas wniknie w skałę, ale nie naruszy mi jednocześnie ręki), i sporządzam listę innych możliwości, poczynawszy od tej, która najbardziej mi odpowiada: obrobić kamień wokół dłoni multitooliem; umocować liny i założyć punkt asekuracyjny nad głową, by unieść głaz; amputować rękę. Dochodzę szybko do wniosku, że każda z tych opcji jest wykluczona: nie mam narzędzi, które pozwoliłyby mi usunąć dostatecznie dużo kamienia, by uwolnić dłoni; nie mam dość

siły, nawet gdybym dysponował jakimś wyciągiem, by poruszyć głaz. Choć wydaje się to najlepszym wyjściem z sytuacji, nie mam odpowiednich narzędzi, wiedzy ani siły psychicznej, by odciąć sobie rękę.

Postanawiam skupić się na jednej z prostszych opcji - na obtłukiwaniu kamienia. Nie chodzi zapewne o produktywny wysiłek, tylko o to, by stłumić myśli o amputacji. Sięgam po multitool i wyciągam dłuższe z dwóch ostrzy. Myśl, że postanowiłem uzupełnić swój sprzęt o ten przedmiot, sprawia mi zadowolenie.

Wybieram łatwo dostępny punkt na kamieniu, naprzeciwko swojej piersi i w odległości około dziesięciu centymetrów od prawego nadgarstka, i skrobię skałę czubkiem ostrza na odcinku dziesięciu centymetrów. Jeśli uda mi się usunąć fragment kamienia poniżej tej linii i z powrotem

42

• -

w stronę palców na długości około piętnastu centymetrów, to zdołam uwolnić dłoń. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że zaznaczona część głazu ma miejscami grubość około siedmiu i pół centymetra, to będę musiał usunąć ponad decymetr sześcienny. To mnóstwo skały, a wiem, że obtłukiwanie piaskowca będzie mozolną robotą.

Moja pierwsza próba wcięcia się w kamień wzdłuż niewyraźnej linii, którą zazaczyłem, kończy się tym, że ledwie naruszam twardą powierzchnię. Próbuje ponownie, naciskając tym razem mocniej, ale rączka noża bardziej wrzyna mi się w dłoń, niż ostrze naznacza skałę. Zmieniam sposób trzymania narzędzia i dzierżąc je jak Norman Bates swój nóż w Psychozie, dźgam kamień w tym samym miejscu. Bez widocznego efektu. Staram się dostrzec jakąś linię pęknięcia, słaby punkt głazu, coś, co mogę zaatakować, ale niczego takiego nie ma. Nawet jeśli się skupię na niewielkiej krystalicznej wypukłości powyżej nadgarstka, gdzie być może zdołam odłupać kawałek, to czeka mnie wiele godzin pracy, zanim zdołam usunąć chociażby ten mały zmineralizowany fragment.

Uderzam skałę podbiciem dłoni, wciąż trzymając w niej nóż, i rzucam z rozpaczliwym jękiem: „Dlaczego piaskowiec jest tak twardy?”. Mam wrażenie, że ilekroć wspinałem się na piaskowcowe formacje skalne, zawsze odrywałem kawałek, którego się chwyciłem, a teraz nie mogę zrobić wyżłobienia w tym głazie. Biorę się do pospiesznego eksperymentu, którego celem jest zbadanie względnej twardości ściany skalnej. Trzymając nóż jak pióro, bez trudu wyrzynam dużą literę C na powierzchni po północnej stronie, około trzydziestu centymetrów ponad prawą ręką. Powoli, nie spiesząc się, wydrapuję więcej drukowanych małych liter, Z-A-S, potem robię przerwę, by zmierzyć powierzchnię wzrokiem i rozmieścić w myślach pozostałe słowa. W ciągu pięciu minut udaje mi się wygrawerować jeszcze kilka wyrazów, potem je podretuszować, aż wreszcie mogę przeczytać całą frazę: „Czas geologiczny to także terażniejszość”.

Właśnie zacytowałem alpinistę Gerry'ego Rocha, który napisał to w swojej książce Classic Commandments of Mountaineering (Klasyczne nakazy wspinaczki). Innymi słowy: „Uważaj na spadające głazy”. Jak uświadamiają sobie ludzie żyjący na liniach uskoków, procesy kształtowania i formowania skorupy ziemskiej wciąż trwają. Linie uskoków przesuwają się, nieczynne wulkany wybuchają, zbocza gór zamieniają się w błoto i zsuwają w dół.

43

Pamiętam wędrowkę ze swym przyjacielem Markiem Van Eeckhoutem po polu pełnym głazów, czyli złomisku. W pewnym momencie doszliśmy do skały wielkości domu. Obaj powiedzieliśmy jednocześnie:

„Rany, ale wielka!”. Próbowaliśmy sobie wyobrazić, co to byłby za widok, gdyby kolos takich rozmiarów oderwał się od progu wysokiego na trzysta metrów i runął w dół, rozrzucając na boki kamienne odłamki, by roztrzaskać się z apokaliptyczną siłą.

Lecz formacje skalne nie powstają w środku nocy, kiedy nikt nie patrzy. Widziałem, jak zapadają się brzegi rzek, jak lodowce cielą się i wyrzucają z siebie potężne kawały lodu, jak głazy spadają ze swych» podniebnych perci. Myśl Gerry'ego Roacha ma przypominać wspinaczom, że kamienie spadają cały czas. Niekiedy głaz odrywa się sam, czasem coś go obluzuje. Niekiedy spada, gdy człowiek jest tak daleko, że go nie widzi, a jedynie słyszy grzmot; czasem spada, kiedy człowiek albo jego partner znajduje się pod nim. Innym razem drgnie w posadach, choć ledwie go dotknąłeś. A czasem spadnie, kiedy już na nim stoisz... kiedy wykorzystujesz go jako oparcie dla dłoni, a on się przesuwa... kiedy twoja głowa znajduje się na jego drodze i wyciągasz ręce do góry, by się osłonić...

Rzadko się zdarza. Ale się zdarza. Właśnie się zdarzyło.

Ten głaz przygniatający mój nadgarstek tkwił na swoim miejscu już od bardzo dawna, na długo przed moim pojawieniem się tutaj. A potem nie tylko spadł na mnie, lecz także uwięził mi rękę. Jestem skonsternowany. Jakby ten kamień został tam umieszczony specjalnie, niczym sidła, i czekał na mnie. To miała być łatwa wyprawa, bez szczególnego ryzyka, nie-przekraczająca moich możliwości. Nie wspinam się na wysoki szczyt w środku zimy, tylko robię sobie krótkie wakacje. Dlaczego ostatnia osoba, która przechodziła tędy przede mną, nie poruszyła tego głazu? Musiała przecież, pokonując ten odcinek kanionu, robić to samo co ja, tak samo manewrować. Jaki pech mnie prześladowe, skoro ten głaz, tkwiący tu od niezliczonych wieków, uwolnił się w tym samym ułamku sekundy, w którym moje ręce znajdowały się na jego drodze? Pomimo oczywistych dowodów świadczących o czymś przeciwnym, wydaje się rzeczą astronomicznie nierealną, że tak się stało.

Jakie jest prawdopodobieństwo...?

ROZDZIAŁ DRUGI

Początki

Góry są środkiem, człowiek celem. Chodzi nie o to, by dotrzeć na szczyt, lecz by udoskonalić człowieka.

Walter Bonatti, wiośki alpinista

W sierpniu 1987 roku, kiedy miałem dwanaście lat, moja rodzina przygotowywała się do przeprowadzki z Indianapolis do Kolorado, co miało związek z karierą zawodową mojego ojca. Podczas odwiedzin u pewnego przyjaciela rodziców we wschodniej, rolniczej części Ohio w lipcu tego samego roku znalazłem encyklopedię na temat pięćdziesięciu stanów Ameryki i zająłem tam z myślą o swoim przyszłym domu. W tamtym czasie nie zdarzyło mi się nigdy oddalić nawet o piętnaście kilometrów od rzeki Missisipi. Wobec rychłej przeprowadzki na Zachód chciałem się dowiedzieć, co mnie czeka. Przyznaję, że byłem uprzedzony - w głowie miałem zakodowany obraz jeźdźców na koniach, narciarzy i zwałów śniegu, który zakrywał cały stan przez okrągły rok.

To, co znalazłem w tej książce, nie tylko potwierdziło moje przypuszczenia, ale wręcz mnie przerażyło. Było tam zdjęcie szczytu Pikes, a podpis pod nim informował, że widok z niego zainspirował autorkę słów piosenki Ameryka the Beautiful. W moich dwunastoletnich oczach ów szczyt jawił się tak poszarpany, że wydawał się karykaturą dzikiej przyrody. Nie

miałem wówczas pojęcia, że wiedzie tam zarówno linia kolejowa, jak i droga, i że na ich końcu znajduje się parking z restauracją i sklepem pamiątkarskim. Na tym etapie mojego życia idea wielkiej wyprawy ograniczała się do lasu za domem, trasy rowerowej na działce niedaleko domu mojego przyjaciela Chrisa Landisa i wreszcie Eagle Creek Reservoir na obrzeżach Indianapolis. Mój świat wędrówek nie obejmował gór, zwłaszcza o wysokości ponad czterech tysięcy metrów. Przestraszony przewróciłem kartkę.

Zobaczyłem ludzi zjeżdżających na nartach po nieprawdopodobnie stromych zboczach, i to z szybkością, która zagrażała życiu. Choć pokonywałem na swoich stalowych sankach nasypy, rowy i ulice naszej dzielnicy, a nawet zjeżdżałem ze sporej górkę w części miasta na północ od naszego domu, zawsze mogłem hamować nogami. Jak się to robi na nartach?

Znów przewróciłem kartkę i ostatnie zdjęcie wstrząsnęło mną do głębi. Przedstawiało ludzi, którzy uprawiali narciarstwo biegowe na ulicach Denver po burzy śnieżnej. Na drogach nie było żadnych pojazdów, tylko szeregi ludzi na nartach. Przerażony zatrzasnąłem książkę. Moja wyobraźnia zaczęła uzupełniać koszmarny scenariusz. Ludzie w Kolorado nigdzie nie jeżdżą samochodami, tylko uprawiają narciarstwo biegowe. W drodze do szkoły, do pracy, do sklepu spożywczego - dokądkolwiek - poruszają się tylko na nartach, jak w jakiejś skandynawskiej krainie czarów. Nawet w środku lata. W przekonaniu dzieciaka, który urodził się w Ohio i dorastał jako typowy mieszkaniec Indiany, wychowując się w uwielbieniu dla świętej trójcy - koszykówki, koszykówki i wyścigów samochodowych Indy - jazda na nartach, nawet na płaskim terenie, stanowiła ideę tak obcą jak jazda na wielbłądzie.

W miarę jak coraz głębiej utwierdzałem się w swej wizji miejsca, do którego miała się przenieść moja rodzina, zacząłem wierzyć, że Kolorado to stan wyłącznie narciarzy, że cały jego krajobraz poprzecinany jest trasami narciarskimi i że wśród mieszkańców panuje swoista segregacja według umiejętności narciarskich. Jak zdołam się zaaklimatyzować, skoro nie potrafię jeździć na nartach? Po lekturze tej książki płakałem co wieczór przed zaśnięciem i trwało to cały tydzień. Moi przyjaciele, choć smutni z powodu naszego rychłego rozstania, byli podekscytowani, że przenoszę się do Kolorado. Mówili mi, że jazda na nartach będzie wielką

frajdą. Nie zdawali sobie sprawy, że właśnie to tak bardzo mnie przerażało. Pewnego wieczoru, przy kolacji, zauważywszy, że mam zaczerwienione oczy i pociągam nosem, moi rodzice zaniepokoiли się nie na żarty.

- Zdaje mi się, że płakałeś. Co się stało? - spytał tata.
- Boję się - skłamałem. Nie bałem się, byłem wręcz przerażony perspektywą wyjazdu do Kolorado.

Tata starał się mnie pocieszyć:

- Wiem, że przeprowadzka to rzecz trudna. Zostawiamy naszych przyjaciół. Ale wiesz, że znajdziesz sobie nowych, prawda?
- Tak. Nie dlatego się boję.
- Więc dlaczego?

Kiedy już wyjaśniłem tę historię z książką, rodzice uśmiechnęli się i zapewnili mnie, że nie ma tam aż tyle śniegu, bym musiał jeździć do szkoły na nartach, co poprawiło mi nastrój. Przed przeprowadzką polecieliśmy do Kolorado na mały rekonesans i pomijając paskudną opaleniznę, której się nabawiłem w parku wodnym, przekonałem się, że miejsce to nie jest aż tak nieprzyjazne, jak początkowo sądziłem. Kiedy już przenieśliśmy się tam na dobre, wstąpiłem w grudniu do klubu narciarskiego i już pod koniec drugiego dnia na nartach

szusowałem po trasach narciarskich, wyprzedzając swoich nowych przyjaciół. Zmierzyłem się nawet z najtrudniejszym terenem w Winter Park Mary Jane, kurorcie, który miał się stać moim ulubionym miejscem na całym świecie, jeśli chodzi o muldy.

W trakcie przystosowywania się do nowego środowiska przeżyłem brzemienne w skutki przygodę na wycieczce w Górach Skalistych. Podczas tej dwutygodniowej wyprawy z innymi trzynasto- i czternastolatkami na bezdroża parku narodowego po raz pierwszy dźwigałem na plecach ciężki bagaż i spędziłem noc z dala od domu. Sezon narciarski stłumił mój strach przed górami. Byłem gotów nawiązać z nimi prawdziwy romans, nawet o tym nie wiedząc.

Pierwszego dnia naszej wycieczki, która miała miejsce pod koniec czerwca, niezwykle podniecony faktem, że jestem w tak wspaniałym miejscu jak zachodnia strona parku, przemierzałem szlak w podskokach, pomimo ciężaru plecaka. Moja szalona energia zaskarbiła mi niebawem przezwisko, które nosił perkusista orkiestry mapetów - „Zwierzak”. Nasi dwaj opiekunowie mieli pełne ręce roboty, ponieważ musieli bezustannie

47

powstrzymywać mnie przed wybieganiem na czoło grupy. Po lunchu dołożyli mi do plecaka wielkie wiaderko z masłem orzechowym, którym nasza piętnastoosobowa grupa miała się żywić podczas kolejnych postojów, do chwili uzupełnienia zapasów, ale i tak znikąłem za każdym zakrętem, a jeden z opiekunów wołał: „Zwierzak! Zaczekaj na nas!”.

Pierwszego wieczoru, kiedy zapadał z wolna zmierzch, rozproszyliśmy się wokół naszego obozowiska na liczącym prawie trzy tysiące metrów wzniesieniu w Big Meadows, każdy z notatnikiem w dłoni, zachęceni przez opiekunów, byśmy pisali albo rysowali, co dusza zapragnie. Usiadłem w wysokiej trawie pośrodku łąki, tuż obok płytkiego strumienia

0 zwirowatym dnie, i zacząłem bawić się z wodą. Po pięciu minutach spędzonych nad brzegiem zobaczyłem, jak zza zastony drzew wyłania się samica jelenia mulaka i zmierza w stronę potoku. Strzygła uszami

1 wstrząsała łbem, opędzając się od dokuczliwych owadów. Zastygłem w miejscu oczarowany, podczas gdy łania paradowała dumnie po łące, od prawej strony ku lewej. Znajdowałem się w pewnej odległości od grupy, ponieważ wszyscy trzymali się bliżej namiotów. Samica dotarła do wody, a ja odchyliłem się, by sięgnąć po notatnik, i ostrożnie go otworzyłem, bojąc się, że najdelikatniejszy nawet szelest może wystraszyć zwierzę. Przez następne pięć minut, które wydawały się pięcioma godzinami albo pięcioma sekundami, łania piła ze strumienia, ja zaś szkicowałem jej kształt na kartce, dopóki się nie odwróciła i nie ruszyła z powrotem w stronę lasu.

Kiedy kwadrans przeznaczony na nasze osobiste refleksje dobiegł końca, wszyscy byli milczący i zamknięci w sobie, dopóki nie wbiegłem do obozu z relacją o łani. Pozostałe dzieci były pod wrażeniem, a ja z dumą pokazywałem swój szkic - nie było to w żadnym wypadku genialne dzieło sztuki, ale jako dowód mojego zachwytu spełniało swe zadanie. Dwa dni później, na wielkim złomisku, które wznosiło się na wysokości ponad trzech tysięcy metrów, doświadczyłem radości, jaką daje wspinaczka na kamienie wielkości domów. Moczyliśmy się w rozlewisku lodowatego strumienia - śnieg sięgał samej wody. Tej samej nocy dostałem nauczkę - przekonałem się, że nie należy zostawiać przed namiotem przeпоconego obuwia, kiedy w okolicy grasują jeżozwierze (zjadły skórzane cholewki, sznurowadła i języki, redukując moje buty do kłapek).

Następnego lata, w 1989 roku, wybrałem się na obóz wędrowny po

całym stanie, obejmujący wspinaczkę niedaleko Estes Park, rafting na rzece Kolorado w pobliżu Grand Junction i jazdę konną na ranczu niedaleko Gunnison. Nie przemieniałem się jeszcze w wyczynowca, ale coś już we mnie kiełkowało, i cztery lata później, kiedy wybrałem się do Pitts-burgha na studia na Carnegie Mellon University, czułem się tak, jakbym wrósł w Zachód na dobre. Stałem się w głębi duszy mieszkańcem Kolorado - „napływowym tubylcem”. W Pensylwanii, gdy odczuwałem tęsknotę za domem, to przybierał on w mych myślach postać przestrzeni, słońca i górskich szczytów tych drugich stron rodzinnych, zachodnich. Kiedy ludzie pytali mnie, skąd pochodzę, a ja im mówiłem, że z Kolorado, w ich oczach pojawiał się błysk, który lubiłem. Pozbawiony obecności „rodaków”, z którymi mógłbym dzielić tęsknotę za Górami Skalistymi, wzdychałem niepokieszony do zaśnieżonych stoków narciarskich.

* * *

Wspinałem się na swój pierwszy czterotysięcznik, szczyt Longs - jedną z pięćdziesięciu dziewięciu gór w Kolorado przekraczających tę magiczną wysokość - w lipcu 1994 roku, ze swoim najlepszym przyjacielem Jonem Heinrichem. Longs dominuje nad północną częścią łańcucha Front Range, na północny zachód od Boulder. Góra ta (4300 m n.p.m.) jest szesnastym pod względem wysokości szczytem stanu i jednym z najświetniejszych. Choć jej spektakularna wschodnia ściana (East Face), znana jako Diament, przyciąga światowej klasy wspinaczy, kusząc swymi czystymi granitowymi ścianami, względnie łatwe podejście od strony Keyhole pozwala tysiącom amatorów dotrzeć każdego lata na szczyt. Joe i ja korzystaliśmy z rad Dicka Rigo, taty naszego przyjaciela Brandona, zastępowego drużyny skautów, który osobiście zaliczył kilkadziesiąt czterotysięczników. Pan Rigo przekazał nam parę podstawowych zasad obowiązujących przy zdobywaniu takich szczytów - zaczynać wcześniej, zabrać ze sobą wodę i żywność, ubranie przeciwdeszczowe, mapę, i zacząć zejście przed godziną dwunastą, by uniknąć piorunów będących wynikiem niemal codziennych popołudniowych burz. Zasady te w większości zignorowaliśmy.

Jon niósł w ręku pojemnik z kilkoma litrami wody; nasze plecaki wypchane były kanapkami, batonami i kurtkami narciarskimi. Nim dotarliśmy do linii drzew, ponad którą już nie rośnie (w przypadku szczytu

Longs to około trzech tysięcy metrów), zdjęliśmy koszule i posmarowaliśmy się kremem z filtrem przeciwsłonecznym. Postępy we wspinaczkę porównywaliśmy z kserokopią mapy, którą tego ranka wzięliśmy ze strażnicy, i zaznaczaliśmy na niej godzinę, ilekroć docieraliśmy do jakiegoś charakterystycznego punktu. Trudno powiedzieć, byśmy pobili rekord szybkości przy wchodzeniu na szczyt, ale zakładaliśmy, że bez trudu powrócimy przed zmrokiem. Szeroki szlak wspinał się ku Granitowej Przełęczy (Gra-nite Pass), blisko wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów. Trasa wiła się kilkakrotnie zakosami, nieraz o trzysta sześćdziesiąt stopni, i w końcu dochodziła do Boulderfield, płaszczyzny o powierzchni kilometra kwadratowego, pełnej głazów wielkości autobusu i leżących jeden na drugim. Przekąsiliśmy coś pod czystym niebem przy Keyhole, postrzępionej niszy o stromych bokach, w północnej grani. Następnie zacząłem się wspinać na skały po północnej stronie Keyhole i wpełzłem na turniczkę, która wznosiła się na wysokości około dziewięciu metrów ponad głową Jona. Zrobił mi zdjęcia, kiedy siedziałem tam ze zwisającymi poza krawędź nogami. Zszedłem na dół, a Jon wspiął się, żeby mi z kolei zrobić zdjęcie jemu.

Choć znajdowaliśmy się na wysokości ponad trzech tysięcy dziewięciuset metrów, najtrudniejsze wciąż było przed nami - najpierw niełatwe trawersowanie po granitowych blokach, które tworzyły zbocze po zachodniej

stronie północnej grani, a potem stroma wspinaczka w górę Trough Couloir, wysokiego na sto pięćdziesiąt metrów kuluaru, gdzie spotkaliśmy kilkunastu innych wędrowców, którzy mieli poważne kłopoty z oddychaniem po wysiłku, jakiego wymagało pokonanie żlebu (gęstość powietrza na wysokości bliskiej czterem tysiącom metrów jest dwa razy mniejsza niż na poziomie morza, więc ilość dostępnego tlenu jest znacznie ograniczona). Jon zaproponował, byśmy ruszyli szybko na szczyt kuluaru, najpierw jeden, potem drugi, i przekonali się, ilu ludzi zdołamy wyprzedzić. Ruszył pierwszy i ostatecznie przegonił wszystkich pozostałych. Kiedy znajdował się w połowie drogi, wystartowałem. Starając się za wszelką cenę prześcignąć jakąś parę przed zwężeniem żlebu przy wysokim na ponad metr stopniem skalnym, poczułem, jak przyspiesza mi oddech, ale ponieważ nie byłem zaaklimatyzowany do takiej wysokości nad poziomem morza, moja klatka piersiowa poruszała się w ograniczony sposób. W końcu palenie w płucach pokonało mnie i musiałem zatrzymać się przy stopniu. Choć wyprzedziłem wszystkich pozostałych wspinaczy, Jon był o kilka minut szybszy ode mnie. Zauważy-

50

lem, co wydało mi się ważne, że zmuszenie ciała do tak bolesnego wysiłku może sprawić dużo zadowolenia.

Gdy zbliżyliśmy się wyłącznie o własnych siłach do wysokości czterech tysięcy metrów, perspektywa dotarcia na szczyt zaczęła nas przyprawiać o ekstazę. Najpierw jednak okrążyliśmy zewnętrzny narożnik, by znaleźć się pod Homestretch, wysokim na dziewięćdziesiąt metrów zacięciem utworzonym w rozpadlinie, gdzie dwie części ścian szczytu tworzą wewnętrzny narożnik, jak otwarta książka.

To było nasze ostatnie zadanie przed postawieniem stopy na szczycie Longs - pokonać tę gładką płaszczyznę, czepiając się skały jedynie rękami. Pod nami ściany opadały ku głębokiej na sześćset metrów rozpadlinie, skąd od czasu do czasu docierały gwałtowne podmuchy wiatru, co mogło działać na nerwy. Zatrzymaliśmy się, by obserwować jakiegoś zdobywcę szczytu w niebieskich džinsach, który schodził ponad nami z Homestretch. Był obrócony plecami do zbocza i na przemian zsuwał się na stopach i zjeżdżał na tyłku. Jego niepewny styl w tak wymagającym miejscu trochę nas zaniepokoił; zaczęliśmy żartować, że gdyby się ześliznął, to straciłby nas obu niczym wysokogórska kula bilardowa. W ostrogiętym punkcie, za dużym odłamek, który oderwał się od ściany, minęliśmy tego człowieka i kontynuowaliśmy wspinaczkę. Po trzech minutach dotarliśmy na otwarty skalisty płaskowyż Longs i dla uczczenia naszego wyczynu długo się ściskaliśmy. Jon na odwrocie mapy napisał dla swojej dziewczyny Nikki „Kocham cię”, a ja zrobiłem mu zdjęcie, kiedy trzymał w powiewach wiatru ten kawałek papieru, z uśmiechem zdradzającym objawy niedotlenienia organizmu.

Pomimo późnego startu zeszliśmy ze szczytu i pokonaliśmy Homestretch przed drugą po południu. Na północnym zachodzie zbierały się chmury, ale pogoda nam sprzyjała. Kiedy znów znaleźliśmy się pod Key-hole, zatrzymaliśmy się na następny posiłek i zaczęliśmy przyglądać się z uwagą zaśnieżonemu zboczcu po naszej prawej ręce i wschodniej stronie północnej grani. Myślę, że ten pomysł przyszedł nam do głowy jednocześnie, ponieważ spojrzeliśmy na siebie i oznajmiliśmy: „Zjedziemy po śniegu!”. Nie wydaje mi się, by któryś z nas wiedział, co to jest ześlizgiwanie się po stoku, ale wgramoliliśmy się na wierzchołek najdłuższego płata śniegu długości około dwustu metrów i włożyliśmy spodnie narciarskie. Zbocze było dostatecznie strome, jeśli chodzi o ryzyko zejścia lawi-

ny, ale, biorąc pod uwagę letnią porę, bardziej się obawialiśmy, że zsuniemy się na sam dół, do dolnej krawędzi, i polecimy, jak wystrzeleni z procy, na Boulderfield. Jon pierwszy rozpoczął trzydziestosekundowy zjazd, rozrzucając na wszystkie strony śnieg, który tryskał mu spod butów, i pohukując z radości. Wrzasnąłem

za nim, żeby zrobić mi zdjęcie, kiedy będę dostatecznie blisko, po czym usiadłem na śniegu i popędziłem za Jonem na złamanie karku.

Zjeżdżając rynną, którą pozostawił Jon, w śliskich nylonowych spodniach, przekroczyłem niebawem prędkość pozwalającą na jakąkolwiek kontrolę ruchów. Podskakując na niewidocznych przeszkodach i pędząc w dół, uprzytomniłem sobie, że zachłapię głazy krwią, jeśli nie zwolnię. Prerażony, wbiłem obie dłonie w śnieg i zacząłem hamować obcasami - natychmiast chlusnęła mi w twarz mokra breja. Kiedy nachylenie stoku zmniejszyło się u dołu śnieżnego pola, z jeszcze większą zaciętością wbiłem palce w ziemię i zacząłem mocniej kopać stopami, aż w końcu, na wpół oślepiony, zatrzymałem się obok Jona, kilkadziesiąt centymetrów przed głazami. Z miejsca wybuchnęliśmy radosnym śmiechem i krzyknęliśmy: „Zróbmy to jeszcze raz!”. Wspinając się tam, gdzie zostawiliśmy plecaki, próbowałem rozruszać zdrętwiałe z zimna dłonie i otrzepywałem je z kryształków lodu. Wymyśliłem, że tym razem będę trzymał małe ostro zakończone kamienie pełniące funkcję hamulców.

Kiedy już najedliśmy się strachu do syta, ruszyliśmy ku Granite Pass i pokonaliśmy wschodnią flankę góry Lady Washington. Nim dotarliśmy do linii drzew, zaczęły się zbierać chmury. Pobiegliśmy, żeby uciec przed zbliżającym się deszczem. Pędząc jak szaleni po szlaku, ochrzciliśmy tę pierwszą eskapadę mianem Szybkiego Zejścia Górskiego, w skrócie SZG. Nim dotarliśmy do naszego land cruisera, czułem się całkowicie zainfekowany doświadczeniem, jakim było zdobycie pierwszego w życiu czterotysięcznika, i wiedziałem, że to dopiero początek.

* * *

W roku 1993 wybrałem się z ojcem na tygodniowy spływ i tak mi się to spodobało, że dwa lata później skorzystałem z ojcowskich kontaktów z firmami organizującymi rafting w pobliżu Buena Vista. W tydzień po powrocie z college'u, kiedy ukończyłem drugi rok, zatrudniłem się na całe lato jako przewodnik. Pod koniec maja 1995 roku wprowadziłem się do

52

motelu połączonego z hangarem dla łodzi, czyli do bazy operacyjnej Independent Whitewash, firmy mojego szefa, Billa Błocka. Byliśmy jedną z mniejszych firm na rzece, organizując spływy dwoma czy trzema łodziami dziennie. Więksi dostawcy sprzętu bili nas dziesięciokrotnie na głowę. Jednak szef zatrudniał trzech przewodników, a to oznaczało, że wraz z Pe-te'em, moim nowym przyjacielem, kolegą po fachu i współlokatorem, pracowaliśmy niemal każdego dnia. Mogłem oczywiście wziąć sobie więcej wolnego niż te siedem dni, które zaplanowałem tego lata, ale nowa „praca” sprawiała mi tyle frajdy, że rzadko miałem ochotę na coś innego. Z powodu opadów śniegu, które zimą przekroczyły w tych okolicach o czterysta procent roczną średnią, lato roku 1995 było największym sezonem wodnym w historii spływów na rzece. Bystrza, które zwykle odznaczały się trzecią albo czwartą klasą, osiągnęły klasę piątą, najwyższą - zmieniając się nawet w giganty nie do pokonania - podczas gdy przeszkody w rodzaju Graveyard i Raft-Ripper zniknęły zupełnie. Na obsługiwanym przez nas odcinku rzeki zginęło w tym sezonie trzech ludzi - dwaj właściciele prywatnych łodzi i pracownik innej firmy - my zaś widzieliśmy, jak w kanionie woda przybiera z szybkością ponad dwóch tysięcy czterystu centymetrów sześciennych na sekundę, czterokrotnie szybciej niż przeciętnie i dwukrotnie szybciej niż podczas ostatniej największej powodzi. Czułem w takiej sytuacji, że tracę coś cennego, kiedy nie pełniłem akurat funkcji przewodnika.

Nawet gdy większość nas miała za sobą dwudniowy spływ kanionem Brown, przy wykorzystaniu dostępnego sprzętu i we współpracy z wyszkolonymi partnerami, razem z przewodnikami z innych firm ładowałem do furgonetki kajaki, zarówno klasyczne, jak i nadmuchiwane, i jechaliśmy w górę doliny, by zmierzyć się z

bystrzami jeszcze groźniejszymi - dzięki wielkiej wodzie. W dni, kiedy nasi szefowie uważali, że rzeka jest zbyt niebezpieczna, by pływać po niej z klientami, urządzaliśmy spływy wyłącznie dla przewodników. Mierzyliśmy się z najbardziej wymagającymi trasami w kanionie, a nawet urządzaliśmy sobie nocne przejażdżki w blasku księżycy. Społeczność wodniaków w górnej części doliny Arkansas ceniła niezwykle ryzykanckie przedsięwzięcia, nawet jeśli graniczyły z szaleństwem. Pewnego popołudnia, w lipcu, wybrałem się z naszym trzecim przewodnikiem, Steve'em, do sklepu w Buena Vista i kupiliśmy dwa nadmuchiwane materace dla dzieci, odpowiednie do basenu. Te dziecięce tratwy metrowej długości miały kształt łodzi wiosło-

53

wych, z dwudziestopięciocentymetrowymi nadmuchiwanymi burtami wokół cienkiego i giętkiego dna z plastiku. Kosztowały dziesięć dolarów za sztukę i na dobrą sprawę nie nadawały się na żaden spływ. Od chwili, gdy Pete opowiedział nam o tym sprzęcie, żartowaliśmy sobie, że pokonamy na nim kanion Brown. Wybraliśmy się jednak na południe od miasta i spuściliśmy nasze „łódzie” na wodę jak zawsze nieokiełznanej Arkansas, powyżej trzynastokilometrowego odcinka bystrzy pierwszej i drugiej klasy, najmniejszych na rzece, ale i tak dostatecznie silnych jak na nasz kiepski sprzęt. Uzbrojeni w kamizelki ratunkowe, czerpaki wycięte z plastikowych pojemników na mleko i wiosła kajakowe ruszyliśmy z prądem, porywając się na misję w rodzaju „nie próbujcie tego w domu” i z powodzeniem pokonailiśmy na swoich śmiesznie żalonych łódeczkach jedną z największych rzek stanu.

Pod koniec sierpnia wybrałem się wraz z trzema najlepszymi przyjaciółmi, bez wyjątku rzeczniymi neofitami, na nocny spływ kanionem Brown na jednej tratwie. Było to przeżycie znacznie bardziej intensywne niż wyprawa z innymi przewodnikami na kilku tratwach. Numer polegał na tym, że zaplanowałem wszystko na czas nowiu księżycy, nie zaś pełni. Przy takiej ciemności, kiedy rzeka, brzeg, ściany kanionu i niebo zlewały się w jedną atramentową plamę, o powodzeniu decydowała nawigacja. Z powodu jakiejś niewidocznej przeszkody któryś z moich przyjaciół mógł wpaść do rzeki, gdzie zniknąłby w kompletnej ciemności.

Na spokojnych odcinkach powierzchnia wody odbijała gwiazdy. Jeśli nie było ich widać, oznaczało to obecność jakiejś przeszkody, skały czy bystrza. Chwilami skąpe światło ukazywało jedynie spienione szczyty fal, ale kiedy już wpłynęliśmy do kanionu, jego wysokie ściany stłumiły wszelką iluminację i przez piętnaście kilometrów dzielących nas od celu musiałem polegać wyłącznie na swojej pamięci. Tuż przed pierwszym bystrzem, Ruby's Riffle, krótkim odcinkiem drugiej klasy, otarłem przedni lewy narożnik tratwy o dużą skałę. Potem jednak, podczas pokonywania trzynastu kolejnych bystrzy, w tym klasy trzeciej i czwartej, wszystko poszło jak z płatka, a my przeżyliśmy coś niezwykle i niemal surrealistycznego. Kiedy nurt rzeki był spokojny, nikt nie chciał zakłócać ciszy; wydawało się to w jakiś sposób niewłaściwe. Zamiast rozmawiać, patrzyliśmy w górę. Ja i moi przyjaciele nigdy jeszcze nie widzieliśmy takiej mnogości gwiazd. Unosiły się przed naszymi oczami promienne, a ja

54

pojąłem po raz pierwszy w życiu, że wszechświat nie jest płaską powierzchnią, lecz trójwymiarowym łonem. Wydawało mi się, że wystarczy spojrzeć, by dostrzec, jak niektóre gwiazdy chowają się za innymi.

* * *

Po ukończeniu studiów z najlepszym wynikiem w swojej grupie i otrzymaniu licencjatu z budowy maszyn - a także zrobieniu specjalizacji z francuskiego i gry na fortepianie, co było kierunkiem pomocniczym - w maju 1997 zacząłem pracować jako inżynier mechanik dla Intel Corporation w Ocotillo w Arizonie, czyli rozległym południowo-wschodnim przedmieściu szybko rozprzestrzeniającego się Phoenix. Potem, w marcu 1999, przeniósłem się do Tacomy w stanie Waszyngton, a we wrześniu tego samego roku do Albuquerque w

Nowym Meksyku. Ale to właśnie w 1997 roku, po studiach, znów obudziła się we mnie długo usypiona fascynacja dzikimi bezdrożami amerykańskiego Zachodu. Przed wyjazdem do Arizony chciałem się nagrodzić za sukcesy w nauce i zdobycie dobrej, jak przypuszczałem, pracy, więc zaplanowałem nie tyle wakacje, ile superwakacje. Miała to być Wyprawa Nad Wyprawami. Zamierzałem wyruszyć na północ swoją hondą CRX z 1984, najpierw do parków narodowych Grand Teton, Yellowstone i Glacier, a następnie do Kanady, żeby objechać Park Narodowy Banff i Icefields Parkway, po czym dotrzeć do Vancouver i parków narodowych Cascades, Olympic i Rainier, kończąc na Crater Lake, Yosemite i Zion. Trzydzieści dni, prawie dziesięć tysięcy kilometrów i dziesięć parków narodowych.

Jak się okazało, nie dotarłem zbyt daleko. Ponieważ był koniec maja, na dużych wysokościach wciąż leżał śnieg, co początkowo ograniczyło moje wyprawy do niżej położonych miejsc. Najpierw zapuściłem się nad jezioro Phelps w Tetons, gdzie rozbiłem obozowisko nad brzegiem. Pierwszego dnia, o zmierzchu, zobaczyłem na tle zachodzącego słońca kłepę. Nazajutrz rano ujrzałem dwa łyse orły, które unosiły się nad wodospadem, a potem, następnego dnia, wypatrzyłem niedźwiedzia grizzly w lesie obok drogi. Ruszyłem dalej i zrobiłem zdjęcia gór odbijających się w potłuczonych szybach opuszczonych domów w Antelope Flats. Tego samego wieczoru zaplanowałem następną wyprawę, dwudniową wycieczkę nad jezioro Bradley, gdzie zamierzałem rozbić obóz, czyli bazę wypadową przed próbą zdobycia Middle Teton, najłatwiejszego technicznie

55

—

spośród większych szczytów w parku. Kiedy spytałem strażnika leśnego, jak mogę wspiąć się na jedną z gór, jego spojrzenie przygasiło mój zapał - spojrzenie, które mówiło: „Jeśli musisz mnie pytać, to zdrowy rozsądek mi nakazuje, bym ci nie mówił”. Pokazał mi na mapie pod szkłem na biurku, jak dostać się nad jezioro Bradley, wyjaśnił, że na szlakach zalega głęboki śnieg, i dodał na koniec: „Jeśli nie masz rakiet śnieżnych, to będziesz się zapadał po pas”. Nie bardzo mu wierzyłem, ale wypełniłem stosowny formularz i siedziałem cicho.

Wczesnym popołudniem wyruszyłem z plecakiem na trzydniową samotną wyprawę w góry - pierwszą, podczas której miałem spędzić noc w pojedynkę. W plecaku niosłem sprzęt do rozbijania obozowiska, a w małym fioletowym plecaczku, który trzymałem na piersi, znajdował się prowiant i naczynia. Mniej więcej półtora kilometra za szlakiem prowadzącym do jeziora Taggart zwały śniegu osiągnęły taką głębokość, że zapadałem się przy każdym kroku. Ponieważ nigdzie w okolicy nie dostrzegłem jakichkolwiek śladów, byłem zapewne pierwszym od dłuższego czasu wędrowcem, który zapuścił się na ten szlak, być może od początku zimy. Ugiąłem się pod ciężarem plecaka. Śnieg stawał się coraz głębszy, im wyżej wchodziłem i pokonywałem zaokrąglone wzniesienia morenowe, pozostawione przez lodowce. Po godzinie mozolnego posuwania się do przodu zacząłem się zbliżać do lasu u szczytu kolejnego wzniesienia i dość dużej zasy. Kiedy moje nogi zapadały się na głębokość kilkudziesięciu centymetrów, czułem, jak w golenie kłują mnie ostre lodowe kryształki wypełniające średnią warstwę białej pokrywy. Po piętnastu minutach, mając pełno śniegu w butach i nogawkach spodni, straciłem czucie poniżej kolan i zimna wilgoć nie była już taka dokuczliwa. Zwaliwszy się kilkakrotnie na ziemię, zmieniłem strategię i ostatnie siedem metrów dzielące mnie od grzbietu zasy pokonałem na brzuchu, po czym usadowiłem się ciężko na jej ubitej krawędzi. Dysząc z wysiłku, spojrzałem przez lewe ramię na szereg głębokich dziur, które po sobie zostawiłem, i zrozumiałem, co miał na myśli strażnik.

Sprawdziłem na mapie, że mam jeszcze do pokonania dystans około pół kilometra przed dotarciem do południowej strony jeziora Bradley i ponad kilometr, by je obejść i dotrzeć do miejsca, gdzie zamierzałem rozbić obóz. Znajdowałem się na krawędzi lasu, gdzie śnieg wyglądał na bardziej zbity i twardszy. Po prawej stronie znajdowało się niewielkie zbocze,

56

po którym zjechałem na plecach. Wstałem i gdy tylko zrobiłem pierwszy krok, zapadłem się po pas. „Och, zapowiada się długa wędrówka”, powiedziałem głośno i pomyślałem, że zabranie rakiet śnieżnych byłoby naprawdę mądrą decyzją, choć nigdy wcześniej w nich nie chodziłem.

Po dwóch godzinach mozołu dotarłem do krótkiej kładki po północnej stronie jeziora, walcząc po drodze ze śniegiem do pasa. Ponad koronami drzew zwisały się chmury i widziałem tylko kilkadziesiąt metrów pionowego zbocza góry od strony zachodniej, gdzie w oparach mgły znikły wiecznie zielone choiny.

Jakieś sto metrów za kładką natrafiłem na tablicę z symbolem obozowiska, zakopaną niemal całkowicie w śniegu, mniej więcej siedem metrów od brzegu jeziora. Pełen ulgi, że po nieoczekiwanej czterogodzinnej mordędze dotarłem na miejsce przed zmrokiem, rozbiłem swój zielony dwuosobowy namiot tuż obok tablicy, na niewielkim skrawku ziemi i zmarzniętych igieł sosnowych. Bolały mnie z zimna stopy. Siedziałem w wejściu do namiotu i rozwiązywałem sznurowadła przemoczonych butów turystycznych. Kiedy je zdjąłem, z obu chlusnął istny potop roztopionego śniegu. Byłem tak zmęczony, że nie zważałem na wodę ciekącą na podłogę namiotu ze skarpet, gdy ściągałem je z pomarszczonych stóp. Rozcierając mokre palce, drgnąłem gwałtownie na dźwięk pękającej w pobliżu gałązki. Nasłuchiwałem uważnie; w końcu zza gęstych krzewów, które rosły w odległości dwunastu metrów po lewej stronie, dotarł do mnie odgłos pluskania w jeziorze. Pomyślałem, że to może toś wychodzący o zmierzchu z ukrycia, jak ten, którego widziałem nad jeziorem Phelps. Zaintrygowany, wychyliłem się za połę namiotu i ujrzałem średniej wielkości czarnego niedźwiedzia; wynurzył się z listowia zwieszającego się nad płyczną, niecały metr od brzegu. Ważył na oko ze sto kilogramów, mógł mieć kilka lat i był cały czarny.

Wyjąłem pośpiesznie aparat z plecaka i zrobiłem zdjęcie. Błysk flesza odbił się od krzewów; bałem się, że wystraszy niedźwiedzia, nim zobaczę go dokładnie przez zasłonę zarośli. Jednakże zamiast się przestraszyć albo uciec, zwierzak najspokojniej w świecie zmienił kurs i zaczął zmierzać wprost na mój namiot. Jeden krok, drugi, trzeci - bez wątplenia podążał w moją stronę. „Ej, niedźwiedziu! - wyjąkałem słabym głosem. - Hej, hej!”. Nie zatrzymywał się, minął krzewy, wyszedł z wody i coraz bardziej zbliżał się do obozowiska. Przyszło mi do głowy, że może wiatr

57

po którym zjechałem na plecach. Wstałem i gdy tylko zrobiłem pierwszy krok, zapadłem się po pas. „Och, zapowiada się długa wędrówka”, powiedziałem głośno i pomyślałem, że zabranie rakiet śnieżnych byłoby naprawdę mądrą decyzją, choć nigdy wcześniej w nich nie chodziłem.

Po dwóch godzinach mozołu dotarłem do krótkiej kładki po północnej stronie jeziora, walcząc po drodze ze śniegiem do pasa. Ponad koronami drzew zwisały się chmury i widziałem tylko kilkadziesiąt metrów pionowego zbocza góry od strony zachodniej, gdzie w oparach mgły znikły wiecznie zielone choiny.

Jakieś sto metrów za kładką natrafiłem na tablicę z symbolem obozowiska, zakopaną niemal całkowicie w śniegu, mniej więcej siedem metrów od brzegu jeziora. Pełen ulgi, że po nieoczekiwanej czterogodzinnej mordędze dotarłem na miejsce przed zmrokiem, rozbiłem swój zielony dwuosobowy namiot tuż obok tablicy, na niewielkim skrawku ziemi i zmarzniętych igieł sosnowych. Bolały mnie z zimna stopy. Siedziałem

w wejściu do namiotu i rozwiązywałem sznurowadła przemoczonych butów turystycznych. Kiedy je zdjąłem, z obu chlusnął istny potop roztopionego śniegu. Byłem tak zmęczony, że nie zważałem na wodę ciekącą na podłogę namiotu ze skarpet, gdy ściągałem je z pomarszczonych stóp. Rozcierając mokre palce, drgnąłem gwałtownie na dźwięk pękającej w pobliżu gałązki. Nasłuchiwałem uważnie; w końcu zza gęstych krzewów, które rosły w odległości dwunastu metrów po lewej stronie, dotarł do mnie odgłos pluskania w jeziorze. Pomyślałem, że to może łoś wychodzący o zmierzchu z ukrycia, jak ten, którego widziałem nad jeziorem Phelps. Zaintrygowany, wychyliłem się za połę namiotu i ujrzałem średniej wielkości czarnego niedźwiedzia; wynurzył się z listowia zwieszającego się nad płyczną, niecały metr od brzegu. Ważył na oko ze sto kilogramów, mógł mieć kilka lat i był cały czarny.

Wyjąłem pośpiesznie aparat z plecaka i zrobiłem zdjęcie. Błysk flesza odbił się od krzewów; bałem się, że wystraszy niedźwiedzia, nim zobaczę go dokładnie przez zasłonę zarośli. Jednakże zamiast się przestraszyć albo uciec, zwierzak najspokojniej w świecie zmienił kurs i zaczął zmierzać wprost na mój namiot. Jeden krok, drugi, trzeci - bez wątplenia podążył w moją stronę. „Ej, niedźwiedziu! - wyjąkałem słabym głosem. - Hej, hej!”. Nie zatrzymywał się, minął krzewy, wyszedł z wody i coraz bardziej zbliżał się do obozowiska. Przyszło mi do głowy, że może wiatr

57

po którym zjechałem na plecach. Wstałem i gdy tylko zrobiłem pierwszy krok, zapadłem się po pas. „Och, zapowiada się długa wędrówka”, powiedziałem głośno i pomyślałem, że zabranie rakiet śnieżnych byłoby naprawdę mądrą decyzją, choć nigdy wcześniej w nich nie chodziłem.

Po dwóch godzinach mozołu dotarłem do krótkiej kładki po północnej stronie jeziora, walcząc po drodze ze śniegiem do pasa. Ponad koronami drzew zwieszały się chmury i widziałem tylko kilkadziesiąt metrów pionowego zbocza góry od strony zachodniej, gdzie w oparach mgły znikwały wiecznie zielone choiny.

Jakieś sto metrów za kładką natrafiłem na tablicę z symbolem obozowiska, zakopaną niemal całkowicie w śniegu, mniej więcej siedem metrów od brzegu jeziora. Pełen ulgi, że po nieoczekiwanej czterogodzinnej mordędze dotarłem na miejsce przed zmrokiem, rozbiłem swój zielony dwuosobowy namiot tuż obok tablicy, na niewielkim skrawku ziemi i zmarzniętych igieł sosnowych. Bolały mnie z zimna stopy. Siedziałem w wejściu do namiotu i rozwiązywałem sznurowadła przemoczonych butów turystycznych. Kiedy je zdjąłem, z obu chlusnął istny potop roztopionego śniegu. Byłem tak zmęczony, że nie zważałem na wodę ciekącą na podłogę namiotu ze skarpet, gdy ściągałem je z pomarszczonych stóp. Rozcierając mokre palce, drgnąłem gwałtownie na dźwięk pękającej w pobliżu gałązki. Nasłuchiwałem uważnie; w końcu zza gęstych krzewów, które rosły w odległości dwunastu metrów po lewej stronie, dotarł do mnie odgłos pluskania w jeziorze. Pomyślałem, że to może łoś wychodzący o zmierzchu z ukrycia, jak ten, którego widziałem nad jeziorem Phelps. Zaintrygowany, wychyliłem się za połę namiotu i ujrzałem średniej wielkości czarnego niedźwiedzia; wynurzył się z listowia zwieszającego się nad płyczną, niecały metr od brzegu. Ważył na oko ze sto kilogramów, mógł mieć kilka lat i był cały czarny.

Wyjąłem pośpiesznie aparat z plecaka i zrobiłem zdjęcie. Błysk flesza odbił się od krzewów; bałem się, że wystraszy niedźwiedzia, nim zobaczę go dokładnie przez zasłonę zarośli. Jednakże zamiast się przestraszyć albo uciec, zwierzak najspokojniej w świecie zmienił kurs i zaczął zmierzać wprost na mój namiot. Jeden krok, drugi, trzeci - bez wątplenia podążył w moją stronę. „Ej, niedźwiedziu! - wyjąkałem słabym głosem. - Hej, hej!”. Nie zatrzymywał się, minął krzewy, wyszedł z wody i coraz bardziej zbliżał się do obozowiska. Przyszło mi do głowy, że może wiatr

wieje w moją stronę i że niedźwiedź jeszcze mnie nie wyczuł. Próbowałem zagwizdać, by ostrzec tę ociężałą bestię o swojej obecności, ale byłem zbyt przerażony, by odpowiednio ułożyć usta, i zdołałem tylko opłuć sobie aparat.

Teraz, kiedy niedźwiedź znajdował się w odległości zaledwie ośmiu metrów, wiedziałem, że mnie widzi i że nie zjawił się w celach towarzyskich. Wyglądał na wychudzonego i zapragnął mojego prowiantu na swój pierwszy obiad po śnie zimowym. Wcześniej rzuciłem mały fioletowy plecak przy wejściu do namiotu i teraz, patrząc na bagaż widoczny dla zwierzaka jak na dłoni, uświadomiłem sobie, co muszę zrobić. Chwyciłem ten pakunek z jedzeniem i w odległości zaledwie pięciu metrów od niedźwiedzia wyskoczyłem z namiotu, po czym rzuciłem się w prawo. Uderzając gołymi stopami o twardą ziemię, obiegłem namiot, przeskoczyłem zwalone drzewo i wylądowałem w zaspie śnieżnej, przebijając bosymi stopami skorupę lodu. Lewą przeszyło ostrze bólu i gdy wyciągnąłem ją ze śniegu, zobaczyłem, że rozciąłem sobie podbicie o sterczącą gałąź zwalonego pnia. Wystarczyło jedno spojrzenie przez ramię, bym sobie uświadomił, że nie mam czasu na zabawę w pierwszą pomoc. Skoczyłem ku zaśnieżonemu lasowi, ocierając sobie stopy, w których stopniowo traciłem czucie.

Penetrując najbliższe drzewa w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym zawiesić plecak z jedzeniem, nie zauważyłem niczego, co znajdowałoby się dwa i pół metra nad ziemią i w odległości półtora od pnia, w dodatku dostatecznie mocnego, by mogło utrzymać mój pakunek, gdybym zarzucił go na gałąź. W normalnej sytuacji użyłbym paska i zawiesił plecak na wysokim, solidnym konarze, ale nie miałem teraz na to czasu. Pobiegłem zgodnie z ruchem wskazówek zegara i wylądowałem przed namiotem, kilka kroków od strony zachodniej. Niedźwiedź uparcie podążał za mną, a ja nie zdołałem oddalić się od niego bardziej niż na dziesięć metrów. W końcu dostrzegłem duże drzewo, które runęło kilka lat wcześniej - w górę sterczała płatanina grubych korzeni. Nie znajdowały się na niedostępnej wysokości, ale mogłem przynajmniej zaczepić o nie plecak i wrócić do obozu po buty, a potem poszukać lepszego miejsca na żywność. Rzuciłem się w stronę karpy, owinałem szelki plecaka wokół trzech poskręcanych korzeni, które sterczały na wysokość metra, i wcisnąłem pakunek za inny korzeń, by niedźwiedź nie mógł się do niego

58

łatwo dostać. Potem podreptałem na zdrętwiałych stopach z powrotem do obozowiska.

Usiadłszy w wejściu do namiotu, szybko obejrzałem rozcięcie na lewej stopie przed włożeniem przemoczonych butów i powrotnym sprintem do zwalonego drzewa. Podczas trzydziestu sekund mojej nieobecności niedźwiedź złapał zębami plecak i szarpiąc nim na boki, zerwał szelki z korzeni. Widząc, jak bez trudu przełamuje korzeń, do którego przywiązałem najgrubszy pasek, zrozumiałem, że jestem w prawdziwych tarapatach. Spożytkowałem znaczny zapas sił i energii na dotarcie do miejsca, w którym się rozbiłem, i potrzebowałem wzmocnienia przed jakąkolwiek próbą powrotu do samochodu. Gdyby niedźwiedź umknął z moim plecakiem, byłbym załatwiony. Zdołał już pokonać sześć metrów poziomego pnia, trzymając w zębach mój fioletowy plecak, kiedy doszedłem do wniosku, że muszę odzyskać tę żywność - nawet z narażeniem życia. Oderwałem jeden z dłuższych korzeni, chwyciłem go jak maczugę lewą dłonią, wskoczyłem na pień zwalonego drzewa i zacząłem wywijać tą bronią w powietrzu, rycząc z całych sił: „Oddawaj jedzenie, niedźwiedziu!”. Nie bardzo wiem, jakiej odpowiedzi się spodziewałem, ale zadrżałem na całym ciele, kiedy zwierzak się zatrzymał, zerknął przez prawy bark, po czym obrócił się na tylnych łapach i spojrzął na mnie z odległości dziesięciu kroków. Zwróciłem na siebie jego uwagę, tak jak zamierzałem, i teraz czekał nas pojedynek.

Warczałem i wrzeszczałem, wymachiwałem w powietrzu kijem i znów krzyknąłem, tym razem jeszcze głośniej: „Oddaj mi moje JEDZENIE!”. Jak pies podający w wątpliwą rozkaz swego pana, niedźwiedź

przechylił łeb w lewo, a ja mógłbym przysiąc, że zmarszczył czoło. Kiedy tak znieruchomiał, zebrałem się na odwagę i zacząłem tupać w pień. Znowu drąc się wniebogłoso, zrobiłem hałaśliwy krok w stronę nieruchomego zwierzęcia, potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden, nakazując: „Ukradłeś jedzenie niewłaściwej osobie - RZUĆ JE!”. Przy ostatnim słowie podskoczyłem i walnąłem obiema stopami o kłoc, na którym stałem. Niedźwiedź upuścił plecak, odsunął się od pnia i ruszył w głąb lasu. Prawie nie wierzyłem własnym oczom. Ryknąłem za nim: „Sio, niedźwiedziu!”, i podszedłem do swojego fioletowego plecaka. Zanim podniosłem go z ziemi, cisnąłem odłamany korzeń w ślad za przeciwnikiem; uderzył o gałąź sosny nad łbem niedźwiedzia, który pospiesznie podreptał na zachód.

59

Pięć minut później podgrzewałem na turystycznym palniku wodę z jeziora. Czekałem niespokojnie, aż się zagotuje, wyobrażając sobie, że niedźwiedź lada chwila wróci. W dwie minuty po zagotowaniu wody ustanowiłem rekord spożywania zupy z makaronem. Obejrzałem dokładnie mały plecak, kiedy pakowałem do niego jedzenie, miskę i prymus, i zobaczyłem cztery wyraźne dziury pozostawione przez niedźwiedzie kły. Nim umieściłem pakunek wysoko, w bezpiecznym miejscu, zapadła noc. Schowałem się do namiotu, a niedźwiedź odgrywał się na mnie, działając na moją podświadomość. Kiedy tak leżałem w śpiworze, pogrążony w nieprzeniknionej ciemności, każdy, najdrobniejszy nawet dźwięk lasu wywoływał we mnie strach graniczący z paranoją. Przez siedem godzin, ilekroć na ziemię pokrytą śniegiem spadał liść, w jeziorze wylądowała igła sosnowa, a jakieś drzewo zaskrzypiało na wietrze, moja wyobraźnia reagowała niczym ryczący na najwyższych obrotach dragster, przyspieszający w ułamku sekundy od zera do... gwałtownej śmierci zadanej przez rozjuszonego niedźwiedzia. Wystarczył plusk wody albo skok ryby w jeziorze, by mój umysł natychmiast odpowiadał: „O mój Boże, niedźwiedź wrócił, tym razem zginę!”, i bym wstrzymywał ostatni - o czym byłem przekonany - oddech. Przerazenie nie ustąpiło ani trochę aż do trzeciej nad ranem, kiedy w końcu udało mi się zapaść w niespokojną drzemkę.

Następnego ranka wyruszyłem dość późno i zdołałem dotrzeć na wysokość około trzech tysięcy metrów, brnąc w głębokim do bioder śniegu, który zalegał kanion Garnet. Bezustannie obecne chmury deszczowe zaciemniały krajobraz. Wiedziałem, że znajduję się na obszarze cyrku lodowcowego i że muszę podjąć istotną decyzję dotyczącą trasy, a nie widziałem żadnego charakterystycznego punktu. Była zbyt późna pora, by próbować tego na zasadzie prób i błędów, więc zacząłem schodzić śladem własnej wspinaczki. Dwie godziny później dotarłem do krawędzi jeziora Bradley i pomaszerowałem w strugach deszczu do swojego obozowiska, gdzie stanąłem jak wryty na widok ruiny, w którą zamienił się mój namiot. Tropik został zerwany, dwa z czterech śledzi złamane, poła przy wejściu była rozdarta od góry do dołu, a śpiwór pływał w jeziorze. „Co u diabła?!” - wykrzyknąłem, zaglądając do wnętrza namiotu, całkowicie przemoczonego i śliskiego od błotnistej mazi. To ten niedźwiedź - pomyślałem. Wrócił, kiedy się wspinałem, i przetrząsnął moje rzeczy w poszukiwaniu jedzenia. Jednak plecak z prowiantem spoczywał nie-

60

tknięty na swoim miejscu na drzewie, poza zasięgiem zwierzęcych łap. Stojąc nad pobojowiskiem, myślałem tylko o tym, że niedźwiedź dokonał tego zniszczenia z czystej złośliwości. Ściągnąłem z drzewa plecak z jedzeniem, gałęzią wyłowiłem śpiwór z jeziora i spakowałem sprzęt. Wszystko było dokładnie przemoczone, nie mogłem więc spędzić w tym miejscu nocy, a do samochodu dotarłbym dobrze po zmroku - ale to właśnie musiałem zrobić. Dźwigając trzydzieści pięć kilo mokrego sprzętu, który mi straszliwie ciążył, z małym szkolnym plecakiem na piersi, jak poprzedniego dnia, wyruszyłem w drogę i od razu zauważyłem ślady niedźwiedzia, pokrywane się ze starymi śladami moich butów. Pan Miś podążył za mną do obozowiska niczym myśliwy idący świeżym tropem.

Po drugiej stronie kładki, tam gdzie śnieg był głębszy, widziałem wyraźnie, jak odciski łap krzyżowały się z zagłębieniami, które zostawiłem, wędrując na północ. Podążyłem wzrokiem za jego śladami, ku szczytowi dziesięciometrowego wzgórza, do miejsca obok sosny, gdzie... siedział i obserwował mnie z uwagą. „Cholera...”. Mój głos zamarł, kiedy mściwy gniew, który wzbierał we mnie od pół godziny, zamienił się w znajome uczucie przerażenia. Mogłem tylko kontynuować wędrowkę, mieć nadzieję, że nie utknę w śniegu, i modlić się, by niedźwiedź zostawił mnie w spokoju. Wyjąłem z kieszeni przemoczoną mapę i przełożyłem do lewej ręki wraz z kompasem: nie mogłem sobie pozwolić na pomyłkę.

Zszedłem ze szlaku po przejściu jakichś piętnastu metrów i zacząłem się wspinać na szczyt wzgórza, mając niedźwiedzia po stronie południowej. Na razie się nie ruszył. Wyobrażałem sobie, że siedzi tam i szczerzy w uśmiechu kły, podczas gdy ja próbuję mu umknąć. Spenetrowałem okolice ze szczytu i wydało mi się, że śnieg na wschodzie jest nieco płytszy. Doszedłem do wniosku, że mogę ominąć szlak i pójść skrótem bezpośrednio do autostrady, unikając brnięcia przez zaspy w górnej części moreny. Pokonałem grzbiet wzniesienia i zszedłem do zagłębienia w lesie, po czym spojrzałem przez lewe ramię. Niedźwiedź zniknął. Złazł na drugą stronę wzgórza, ku jezioru. Odczuwając wyraźną ulgę, zrobiłem około piętnastu kroków i znów obróciłem głowę, dokładnie w chwili gdy niedźwiedź przelał przez grzbiet wzniesienia, idąc moimi śladami, zaledwie dziewięć metrów ode mnie.

Przez dziesięć minut przecierałem pospiesznie szlak na wschód, to spoglądając na kompas, to porównując mapę z otoczeniem, to zerkając

61

przez lewe ramię na niedźwiedzia. Kilka razy zbliżył się do mnie na odległość siedmiu metrów, a ja coraz bardziej nerwowo odnajdywałem drogę, unikając głębokiego śniegu i zastanawiając się, co zrobi niedźwiedź, by dostać się do jedzenia w małym plecaku. Wybieranie drogi w tak stresujących okolicznościach było bardzo trudne i wkrótce straciłem orientację; teren nie odpowiadał już temu, co było zaznaczone na mapie. Dopiero po dziesięciu minutach udało mi się powrócić na wyznaczony szlak, uwzględniając odchylenie między północą geograficzną na mapie a magnetyczną na moim kompasie. Po chwili, pokonawszy niewielkie wzniesienie, ujrzałem w dole jezioro. Nie przypuszczałem, że na nie natrafię, ale okazało się, że od miejsca, w którym stałem, do zaśnieżonego brzegu prowadzą ślady stóp. Och! Ten widok podniósł mnie na duchu. Szukanie drogi przestało mieć znaczenie; pomyślałem, że może spotkam tu jakichś ludzi, którzy pomogą mi odstraszyć niedźwiedzia. Ruszyłem przez śnieg ku wytyczonemu przez kogoś szlakowi i nagle zrozumiałem: „To są moje ślady... to jest jezioro Bradley... zatoczyłem idealne koło!”. Poczułem, jak opuszcza mnie odwaga.

Niedźwiedź znajdował się dziesięć kroków za mną. Do tej pory przystawał, kiedy ja przystawałem. Teraz jednak schodził ze wzniesienia, kierując się w stronę szlaku i mojego stanowiska. Miałem ochotę poddać się, rzucić mu torbę z jedzeniem - do diabła z zakazem karmienia niedźwiedzi - a przede wszystkim chciałem płakać.

Zwierzę dzieliło ode mnie jakieś pięć metrów, kiedy znów coś zmieniło się w moim zachowaniu. Rozpacz stłumił gniew. „Zostaw mnie w spokoju!”, wrzasnąłem mu prosto w pysk. Znów się zatrzymał. Przypomniałem sobie jedną z najdosadniejszych gróźb, jakie udało mi się usłyszeć w kinie, i przytoczyłem tekst z Pulp Fiction: „Wezwę kilku czarnuchów, którzy zrobią ci z dupy jesień średniowiecza!”. Uciekłem się także do wymachiwania rękami nad głową i powarkiwania, ale dla niedźwiedzia to nie było nic nowego. Przekrzywił łeb tak jak poprzedniego wieczoru przed naszą konfrontacją na zwałonym pniu drzewa. Wypatrzywszy odsłonięty kamień w stożkowatym zagłębieniu wokół sosny, kilkadziesiąt centymetrów ode mnie po lewej stronie, sięgnąłem tam i z myślą o samoobronie chwyciłem ten kawałek skały wielkości piłki do softballu, po czym ruszyłem pospiesznie na południe po swoich dawnych śladach.

Niedźwiedź podążał za mną, niebezpiecznie blisko, zatrzymując się

62

tylko na mój zdecydowany krzyk. Wykombinowałem, że walnę go kamieniem, jeśli podejdzie do mnie na trzy metry. Nie byłbym w stanie cisnąć tym kawałkiem skały na większą odległość, obciążony plecakami, których paski w dużym stopniu ograniczały mi ruchy. Skupiłem się na utrzymywaniu pozycji wyprostowanej, choć śnieg robił się coraz głębszy, nie był też tak zbity jak dzień wcześniej, a to z powodu deszczu, który wciąż padał. W pewnym momencie poczułem, jak pęka pod moim ciężarem warstwa lodu, a ja zapadam się po biodra. Utknąłem na dobre, nie mogąc się wydostać z tej pułapki. Niedźwiedź jakby zwęszył swoją szansę i znacznie zmniejszył dystans między moją głową a swoim pyskiem. Rozpaczliwie szukałem jakiegoś oparcia w głębokim śniegu; machałem ramionami, ale moje stopy pozostały unieruchomione. Wykręciłem się w lewo i przeturlałem na plecy przez prawe ramię, uwalniając nogi z zagłębień, w których tkwiły. Niczym przewrócony na grzbiet żółw, zmagając się z dwoma plecakami, które obciążały mi tułów. Bałem się, że niedźwiedź zaatakuje mnie i rozszarpie, kiedy tak leżałem bezradnie na plecach. W końcu stanąłem niepewnie na cienkiej warstwie lodu; odwróciłem się twarzą do nadchodzącego zwierzęcia, niczym miotacz kuli uniosłem kamienny pocisk do ramienia, po czym cisnąłem swoją jedyną bronią. Niedźwiedź i ja zgodnie obserwowaliśmy, jak kamień zatacza w powietrzu łuk i ląduje w śnieżnym kraterze obok lewego barku zwierzęcia. Chybiłem. Niedźwiedź nawet nie drgnął.

Sprawdziłem wgłębienie wokół najbliższego drzewa i znalazłem dwa mniejsze kamienie. Ponownie uzbrojony, ruszyłem w stronę moreny, pokonując z trudem piętnaście kroków szlakiem wytyczonym przez wgłębienia pozostawione dzień wcześniej, aż w końcu zapadłem się w miejscu, którego powierzchnia poprzednio utrzymała mój ciężar. Powtórzył się ten sam schemat - przekręciłem się na plecy, niedźwiedź podszedł niebezpiecznie blisko, wstałem i rzuciłem w niego kamieniem. Tym razem mój pocisk sięgnął celu i trafił zwierzę. Niedźwiedź wystrzelił jak z procy i rzucił się w stronę najbliższej sosny po lewej stronie, po czym trzema dynamicznymi skokami wspiął się na wysokość dziesięciu metrów. Szczeka mi opadła, a oczy wybałuszyły się bezwiednie; nigdy jeszcze nie widziałem, by równie duże zwierzę poruszało się z taką zwinnością. Ten pokaz siły i sprawności uświadomił mi, że prędzej pokonałbym na macie mistrza wrestlingu niż tego niedźwiedzia, gdyby zaatakował. Jednocześnie zda-

63

łem sobie sprawę, że zyskałem trochę czasu. Chwyciłem ten sam kamień i znów skierowałem się na południe. Po trzydziestu sekundach usłyszałem trzask pękających gałęzi, odwróciłem się i zobaczyłem, jak niedźwiedź zsuwa się z drzewa. Natychmiast zapadłem się w śniegu i zaczęliśmy od nowa to, co przemieniło się już w nasz wspólny mały balet. Ja: upaść, przekręcić się na plecy, wstać, rzucić kamieniem. Niedźwiedź: wspiąć się na drzewo, odczekać, zejść, ruszyć w pościg. Raz za razem powtarzaliśmy ten taniec. Im bardziej zbliżałem się do moreny, tym głośniejsze się darłem i przeklinałem, żeby odstraszyć przeciwnika i zyskać jak najwięcej czasu w głębszym śniegu. Zwierzę oczywiście nie miał w tym wypadku żadnych problemów - jego ciężar rozkładał się równomiernie na cztery łapy, dzięki czemu zlodowaciała warstwa nie załamywała się pod nim tak jak pode mną.

Wydostałem się na główną zaspę moreny, czołgając się, podobnie jak zrobiłem to poprzedniego dnia, i zacząłem się wpatrywać wygłodniałym wzrokiem w czysty trakt około ośmiuset metrów dalej. Determinacja niedźwiedzia nie słabła ani na chwilę; wciąż za mną podążał, zbliżając się niekiedy na odległość niespełna pięciu metrów. Nachylenie zbocza moreny ułatwiało mi w znacznym stopniu poruszanie się, grubość pokrywy śnieżnej też się zmniejszyła, mogłem więc przyspieszyć kroku. Dwadzieścia minut później zatrzymałem się na granicy śniegu i czekałem, aż niedźwiedź podejdzie bliżej. Został znacznie w tyle, dzieliło

nas teraz około dziewięciu metrów na końcowym odcinku zbrocza. W ciągu dziesięciu sekund znalazł się w zasięgu mojego rzutu - w odległości skromnych pięciu metrów - więc rzuciłem pierwszym kamieniem, celując w jego głowę, i chybiłem, ale drugi pocisk trafił go w szyję po lewej stronie. Niedźwiedź wrzasnął i popędził w stronę najbliższego drzewa. Tym razem zmieniłem taktykę i ruszyłem za nim pod sam pień, po czym zdjąłem z siebie plecaki. Wokół leżało mnóstwo kamieni. Przystąpiłem do odwetu, waląc w zad niedźwiedzia - mniej więcej co trzeci pocisk był celny - kamieniami wielkości piłki do bejsbolu. Wrzeszczałem i darłem się na niego, znajdując w tym uwolnienie od napięcia i przerażenia, o które mnie przyprawiał przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Kiedy wspiąłem się tak wysoko, że oddałem pięć kolejnych niecelnych rzutów, ukląknąłem, znów zarzuciłem na ramiona plecaki, po czym pomaszerowałem błotnistą drogą w stronę swojego samochodu, nie oglądając się więcej za siebie.

64

Miałem dość Wyomingu, deszczu, dziur w śniegu, a przede wszystkim niedźwiedzi. Perspektywa kontynuowania planowanej wyprawy do Glacier National Park - gdzie mieszkało jeszcze więcej niedźwiedzi niż w Tetons i Yellowstone i gdzie z powodu wysokości nad poziomem morza zalegało więcej śniegu - nie pociągała mnie w ogóle. Zatrzymałem się przy wartowni strażników leśnych, żeby opowiedzieć o swojej przygodzie. Powiedzieli mi, że słyszeli o takim zachowaniu niedźwiedzi od pracowników innych parków narodowych (chodzi prawdopodobnie o Glacier, pomyślałem, tym samym już ostatecznie przekreślając swoje plany), ale mój przypadek był pierwszym takim w Tetons. Strażnicy poinformowali mnie również, że jeśli ktoś wrzeszczy na niedźwiedzia, macha rękami, tupie na niego agresywnie, a potem rzuca kamieniami, to w dziewięciu przypadkach na dziesięć kończy się to w sposób opłakany dla człowieka. „Punkt dla mojego anioła stróża” - przyszło mi do głowy. Pojechałem do miasta, gdzie najpierw znalazłem wolny pokój w motelu, żeby wysuszyć rzeczy, i zadzwoniłem do rodziców, by opowiedzieć, co mi się przytrafiło; uprzedziłem, że wracam następnego dnia, a potem odwiedziłem kilka restauracji, pytając, czy mogę dostać stek z niedźwiedzia, ale niestety nie mieli tego w menu. Przed położeniem się do łóżka nie poszedłem też do kina na żaden z dwóch filmów, które akurat grali w Jacksonville - Park Jurajski II (dinozaury prześladowają Jeffa Goldbluma) i Lekcja przetrwania (niedźwiedź prześladowuje Anthony'ego Hopkinsa).

ROZDZIAŁ TRZECI

Nocna zmiana

Wiemy, że skazany człowiek nie stawia oporu, gdy przychodzi jego kres, lecz niemal z ulgą poddaje się narzędziom katedy.

Edward Abbey, Desert Solitaire

Patrzę na zegarek: 16.19. Jestem uwięziony od półtorej godziny i połowę tego czasu strawiłem na uderzaniu nożem w głaz. Blask dnia będzie trwał do około dziewiętej, ale już założyłem czółówkę na niebieską czapkę. Nie zapaliłem jeszcze lampki, ale cieszę się, że wziąłem ją ze sobą. Tak jak nóż, nie stanowiła zwykle mojego wyposażenia podczas wypraw, które są z założenia krótkie. Ta uwaga zawarta w książce Kel-seya dotycząca pajaków i węży była niezwykle pomocna, nie dlatego bym napotkał jakieś pełzające stworzenia, ale dlatego że skłoniła mnie do zaopatrzenia się w źródło światła. Skorzystałem już z niego, penetrując centymetrową szczelinę, w której tkwi mój uwięziony nadgarstek; pragnąłem przyjrzeć się swej ręce pod każdym możliwym kątem.

Staram się za wszelką cenę ustalić, jak bardzo mój nadgarstek podtrzymuje ciężar głazu. Jeśli tylko w niewielkim stopniu, to będę musiał usunąć jedynie kawałek skały. Im większą część głazu moja dłoń i nadgarstek podpierają, tym bardziej kamień się osunie wraz ze skuwaniem. Na dobrą sprawę, bym mógł

uwolnić rękę, kamień powinien całkowicie się

66

osunąć na ścianę kanionu. Niestety, ponieważ jest szczelina między głazem a północną ścianą bezpośrednio pod i nad nadgarstkiem, wydaje się bardzo prawdopodobne, że głaz nie opiera się jedynie o ścianę. Będzie się poruszał, a ja będę obrabiał ruchomy materiał. Mogę się tylko domyślać, jak wpłynie to na moje szanse wyswobodzenia ręki, więc odkładam rozważanie tego problemu na później i zabieram się do skrobania i kłucia skały nożem.

Staram się nie myśleć o tym, że jestem uwięziony. Choć jest to nieodparta rzeczywistość, jej rozważanie nie pomaga w mojej sytuacji. Staram się natomiast znaleźć drobne słabe punkty na powierzchni głazu, tuż nad nadgarstkiem i na lewo od niego. Wcześniejszy głos instynktu sprawił, że wryłem linię graniczną nad fragmentem skały wielkości piłki do softbal-lu - doszedłem do wniosku, że tyle muszę wykuć, by odzyskać wolność. Zastanawiam się nad skazą w strukturze kamienia w nieznacznym wgłębieniu nad wyrżnięciem znajdującym się w odległości prawie dwunastu centymetrów od nadgarstka. Linia graniczna przebiega przez to wgłębienie. Zaczynam od wrytej przez siebie linii, wysoko na powierzchni kamienia, ale kilka centymetrów poniżej jego wierzchu, i schodzę stopniowo niżej. Staram się atakować kamień jak najbliżej poprzedniego nacięcia. Najpierw stukając, potem uderzając coraz mocniej dziewięć-centymetrowym ostrzem w kamień, staram się za każdym razem trafiać w to samo miejsce.

Wszystko inne - ból, myśl o ratunku, sam wypadek - gdzieś niknie. Podjąłem działanie. Wydaje się, że mój umysł jest zdeterminowany, by znaleźć i wykorzystać wszelkie pęknięcia czy naturalne rozwarstwienia głazu, i w efekcie przyspieszyć usuwanie kamiennej materii. Co kilka minut przerywam pracę i studiuję z uwagą całą powierzchnię skalnego bloku, chcąc się upewnić, że nie przeoczyłem jakiegoś słabszego punktu.

Postępy są jednak niemal niedostrzegalne. Wyciągam z rączki metalowy pilnik i przez pięć minut dłubię nim w kamieniu. Jest tylko odrobinę skuteczniejszy od noża i jedynie wtedy, kiedy trzymam go bokiem i piłuję wzdłuż nakreślonej linii. Skała jest bez wątpienia o wiele bardziej wytrzymała niż płytke zębki pilnika. Kiedy przerywam robotę, żeby oczyścić narzędzie, widzę, że jego małe wręby są wypełnione skrawkami samego metalu. Tak więc ścieram pilnik, nie osiągając żadnego efektu, jeśli chodzi o głaz. Znów oglądam go dokładnie - rejestruję niejednolite ubarwie-

67

nie, względną twardość w stosunku do mojego noża i ścian kanionu, a także podobieństwo do głazów położonych wyżej - i uświadamiam sobie, że ten kamień to nie jest zwykły piaskowiec. Wydaje się, że pochodzi z ciemniejszej warstwy piaskowca Nawaho, który uformował tamtą półkę skalną, jakieś sto metrów wcześniej, obok pnia w kształcie litery S u wejścia do niższej szczeliny, tę, na której zawisłem, nim zeskoczyłem na piasek około dwóch godzin temu.

„Kiepska wiadomość, Aron”, myślę. Właśnie ta warstwa skał uformowała taki występ, ponieważ jest bardziej odporna na erozję niż pozostała część kanionu. Ten głaz to tutaj najtwardszy orzech do zgryzienia. Zastanawiam się, czy nie poszłoby szybciej, gdybym wyciął fragment ściany zamiast głazu, i postanawiam spróbować. Znów posługując się siedmio-centymetrowym ostrzem zamiast pilnika, uderzam w powierzchnię skały ponad nadgarstkiem. Stał ślizga się po różowej pochyłości. Niemal kalecząc się w rękę przy każdym

uderzeniu, dochodzę do nieodpartego wniosku, że układ wszystkich elementów wyklucza w tym przypadku skuteczne działanie - nie mogę ciąć skały we właściwym miejscu, ponieważ zawadza mi własne ramię.

Robię przerwę, żeby dać odpocząć lewej ręce i strzepnąć trochę sproszkowanego piaskowca z prawego przedramienia. Nie dostrzegam jakiegokolwiek zmiany w ułożeniu kamienia. Wracam do wydfubywania naznaczonej linii w zagłębieniu. Stuk, stuk, stuk... stuk, stuk, stuk. Dźwięk noża uderzającego w skałę jest żałośnie cichy, ale i tak odbija się echem w kanionie. Muszę uderzać z ograniczoną siłą, gdyż w przeciwnym razie ocieram sobie kłykcie albo nie trafiam w cel. Mam nadzieję, że uda mi się obluzować kryształki wokół szarego wybrzuszenia w kamieniu i usunąć w całości fragment o rozmiarach ćwierćdolarówki. Będzie to podnoszące na duchu i wymierne osiągnięcie, ale nawet ten mały guzek wydaje się nie do pokonania. Tkwi solidnie w swoim miejscu. Bez względu na to, czego próbuję, nie potrafię przełamać kamiennej obrony.

Mija kolejna godzina. Jest szósta po południu, upłynęło nieco ponad trzy godziny od chwili wypadku. Wciąż jest ciepło, ale nie tak bardzo jak o wpół do czwartej, kiedy temperatura wynosiła dwadzieścia stopni, według termometru w zegarku przyczepionym do lewego paska przy plecaku. Zdmuchuję trochę kurzu z powierzchni, którą atakowałem narzę-

68

dziem, i szukam wzrokiem widocznych śladów, świadczących o jakichkolwiek postępach. Przysuwam oczy do skały i badam uważnie mineralny charakter mojej strefy docelowej, zastanawiając się ponownie, czy znajduję tu jakieś miejsce o mniej wytrzymałej strukturze. Zważywszy na żałosne postępy, pytanie jest bardziej teoretyczne niż praktyczne. Mógłbym wyrębać sobie wolność w tym kamieniu, gdyby w mojej dłoni w magiczny sposób zmaterializował się czekan.

Mam wrażenie, że przebywam w najgorszym więzieniu, jakie można sobie wyobrazić. Moje odosobnienie będzie trwało niezmiernie krótko, biorąc pod uwagę fakt, że mam niespełna litr wody. Minimalna ilość w warunkach pustynnej wędrówki to 3,8 litra na osobę dziennie. Znów myślę o tym, jak długo wytrzymam na tym skąpym zapasie - może do poniedziałku, najwyżej do wtorku. Wydostanie się stąd to jedyny sposób przeżycia. Tak czy inaczej czas ucieka, a ja w konfrontacji z głazem mam tylko marny szczyryk. To tak, jakby pracować w kopalni dziecięcą łopatką do piasku.

Nagle zaczynam odczuwać frustrację wywołaną mozolnym stukaniem w skałę. Mój umysł przeprowadza analizę - ile skały zdołałem wyrębać (prawie nic) i ile czasu mi to zabrało (ponad dwie godziny). Dochodzę do prostego wniosku, że moje działanie jest bezcelowe. Kiedy rozważam pozostałe możliwości, stres przeradza się w głębokie przygnębienie. Wiem już, że nie powiodą się żadne próby założenia punktu asekuracyjnego w celu skonstruowania jakiegoś wyciągu. Skały tworzące występ znajdują się na wysokości prawie dwóch metrów nad moją głową i w odległości niemal trzech. Nie dokonałbym tego nawet dwójgim rąk. Bez wody, która pozwoliłaby mi czekać na nadejście pomocy, bez czekana do rozbicia skały, bez punktu asekuracyjnego mam tylko jedno wyjście.

Mówię głośno: „Musisz obciąć sobie rękę”.

Na dźwięk tych słów mój instynkt samozachowawczy i moje emocje buntują się zajadle. Struny głosowe napinają się, a sam głos zmienia o oktawę.

„Ale ja nie chcę obciąć sobie ręki!”.

„Aron, musisz sobie obciąć rękę”.

Nagle uderza mnie, że kłócę się sam z sobą, i śmieję się bez przekonania. To wariactwo.

Wiem, że nigdy nie zdołałbym przepiłować kości tym tępym nożem, więc postanawiam, że będę dalej próbował się uwolnić, obłupując kamień. Kiedy uderzam w głaz, wyobrażam sobie, że słońce wczesnego wieczoru rzuca na pustynię długie cienie. Błękit nieba pogłębia się, podczas gdy ja bezproduktywnie dłubię w skale przez następną godzinę, robiąc z rzadka krótkie przerwy. Zaczynam inaczej pojmować sens wyskrobanych nad prawą ręką słów „Czas geologiczny to także terażniejszość”. Nie jest to już, jak w przekonaniu ich autora, ostrzeżenie, lecz bodziec motywacyjny, pełne nadziei przypomnienie, że ja, ? niczym czynnik czasu geologicznego, mogę dokonać erozji tego głazu, być może na tyle skutecznej, by uwolnić dłón z uporczywego uścisku twardego bloku piaskowca. Jednakże skała szybko tępi ostrze mojego noża. Znów przrzucam się na pilnik i dalej skrobię wzdłuż linii, którą wyciąłem nad szarawym wybrzuszeniem obok wklęłości.

* * *

Piłując tak, rozmyślałam o moim pierwszym pobyciu w Utah. Nie bardzo wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy. Może jest to reakcja na dręczące mnie pytanie - jak się tu dostałem, w jaki sposób utknąłem w tym miejscu? Tę dziewiczą podróż odbyłem w roku 1990 z rodzicami, podczas ferii wiosennych, w pierwszej klasie szkoły średniej. Udaliśmy się najpierw do Capitol Reef, kanionu Bryce i Zion, a potem skierowaliśmy na południe, w stronę Wielkiego Kanionu. Nie byłem specjalnie zachwycony tym całym pomysłem. Kilka tygodni przed naszym wyjazdem zauważyłem, że wszyscy moi przyjaciele są podekscytowani perspektywą wypraw narciarskich i wakacji w Meksyku. A ja? Ja jechałem z rodzicami do Utah.

Na szczęście towarzyszyła nam przyjaciółka naszej rodziny, Betty Darr z Ohio. Była najbardziej czytana osobą, jaką w życiu spotkałem, a jej pasji do książek dorównywała jedynie miłość do aktywnego wypoczynku pod gołym niebem - dwie cechy, które decydują o tym, że ktoś jest wspaniałym towarzyszem podróży. Była także najbardziej pozytywnie nastawioną, najbardziej przenikliwą i serdeczną osobą, jaką miałem okazję i przyjemność nazywać swoją przyjaciółką. W latach trzydziestych, jeszcze jako mała dziewczynka, Betty zaraziła się polio, co doprowadziło do paraliżu od pasa w dół. Nie wiem, czy to z powodu walki z chorobą była tak pozytywnie nastawiona do świata, czy też odwrotnie - dlatego, że była

70

pozytywnie nastawiona, potrafiła przezwyciężyć wyzwania związane z paraliżem, w każdym razie Betty dostrzegała światło i dobro w każdym człowieku i kochała wszystkich. Przez kilka dni w tygodniu pracowała ochotniczo w okręgowym zakładzie karnym, gdzie pomagała więźniom w nauce pisania i czytania, przynosząc im swoje magazyny i pracując z każdym indywidualnie. Dzięki swemu człowieczeństwu potrafiła dostrzegać tkwiące w nich możliwości; nic innego się nie liczyło.

Betty od dnia, w którym zachorowała, poruszała się dzięki kulom i aparatowi ortopedycznemu na nogach i plecach, choć czasem, w swoim domu w Ohio, opierała się na rękach w pozycji siedzącej i poruszała tyłem, ciągnąc za sobą bezwładne kończyny. Miała specjalnie przystosowany samochód, obsługiwany wyłącznie dłóni. Podczas wyprawy do parków narodowych jeździła na wózku elektrycznym - nazywała go kucykiem - i korzystała z pomocy mojego ojca, który nosił ją (wazyła czterdzieści pięć kilogramów) wszędzie tam, gdzie nie mogła dotrzeć kucykiem. Czasem, kiedy Betty siedziała na wózku elektrycznym, natrafiała na zbocza zbyt strome dla swego wehikułu. Kłóciliśmy się z siostrą o to, kto ma ją pchać. W kanionie Bryce wygrałem tę rywalizację i zacząłem transportować Betty na szczyt ostatniego wzgórza widokowego. Z wyciągniętymi rękami i głową między ramionami wpatrywałem się w akumulator pod wózkiem, kiedy usłyszałem, jak Betty

woła: „Och, Aron spójrz tylko na to!”.

Podniosłem wzrok i niemal ją puściłem. Naszym oczom ukazała się rozległa panorama - setki pomarańczowych i różowych baszt z piaskowca wypełniających głęboki na sto metrów kanion, który zaczynał się bezpośrednio u naszych stóp i ciągnął po obu stronach tarasu widokowego na długości kilometra. Byłem oszołomiony. Wydaje mi się, że moja fascynacja kanionami wywodzi się wprost z uczuć, które mnie wtedy ogarnęły. Chciałem popędzić w dół, dotknąć tych wież, które wyglądały tak, jakby miały się lada chwila przewrócić, i przemierzać każdą ścieżkę wijącą się wokół formacji skalnych, aż w końcu zgubiłbym się w tym labiryncie. Wyobrażałem sobie, że stoję na szczycie wieży zwanej Młot Thora, a potem, obdarzony nadludzkimi możliwościami, przeskakuję na wierzchołek sąsiedniej skały, a stamtąd na następną. Kiedy nadszedł czas odjazdu, czułem pustkę w duszy. Mając czternaście lat, nie rozumiałem swojej reakcji, ale właśnie wtedy narodziło się moje powołanie, choć miało pozostać niespełnione jeszcze przez bardzo długi czas.

71

Dwa dni później, po zmroku, dotarliśmy nad Wielki Kanion i zainstalowaliśmy się w motelu. Wstaliśmy o wpół do szóstej rano, żeby zobaczyć wschód słońca nad South Rim. Ponieważ przyjechaliśmy w nocy, nie widziałem jeszcze samego kanionu, więc mruczałem niezadowolony: „Po co nam to?”. Było zimno, a ja nienawidziłem wstawać tak wcześnie. Zabraliśmy kołdry z łóżek, po czym załadowaliśmy się w piątkę do mini-vana, by odbyć pięciominutową jazdę na zachód, do punktu widokowego. Starałem się za wszelką cenę zasnąć na tylnym siedzeniu i niemal zdołałem przekonać ojca, by pozwolił mi zostać w samochodzie, podczas gdy pozostali podeszli do poręczy tarasu. Jednak Betty namówiła mnie za pomocą delikatnej zachęty: „Poczekamy przy ławkach, aż będziesz gotowy zobaczyć wschód słońca”. Mama i siostra zabrały kołdry, a tata wziął Betty na rękę. Przy wyłączonym ogrzewaniu zmarzłem w ciągu pięciu minut, więc podszedłem do miejsca, w którym rozłożyła się moja rodzina, i wpełzłem pod kołdrę obok siostry.

Nigdy wcześniej nie obserwowałem wschodu słońca dla samej przyjemności i nie byłem w ogóle przygotowany na majestatyczny widok, który mnie czekał. Oto miałem przed sobą ponad sześćdziesiąt kilometrów cudu, jakim był Wielki Kanion - głęboki na półtora tysiąca metrów, szeroki na dwadzieścia pięć kilometrów - ciągnący się od naszych stóp po narastającą poziomą tęczę na horyzoncie. W tajemniczej chemii brzasku skalne warstwy wewnętrznych ścian zmieniały barwy, przechodząc od ciemnej umbrzy i czarnych cieni w niezmiernie wstęgi pastelowej żółci, bieli, zieleni i setek odmian czerwieni. Wreszcie, nad odległymi pustynnymi palisadami, w samym epicentrum tęczy, zajaśniał nagle rozogniony słoneczny sierp, a kanion eksplodował dziesiątkami kamiennych świątyń, kolumn, wawozów i piramid, olśniewająco kontrastujących z barwą otaczających je ścian za sprawą różanego światła, którym płonęło wschodzące słońce.

Nie wiedziałem o tym, ale ten wschód słońca był dla Betty spełnieniem marzenia; nie wierzyła, że go ujrzy, a to z powodu tysięcy kilometrów, których wymagała trudna dla niej podróż do kanionu. Nauczyła mnie czegoś, co musiałem wchłonąć pomimo swej szczeniackiej niedojrzałości, ponieważ wielokrotnie wracałem do tego miejsca i innych, rozsznanych po Zachodzie, tylko po to, by oglądać wschód słońca. I nie było to wszystko, czego się od niej nauczyłem. Betty tak głęboko zaszczepiła mi optymizm-

72

Dwa dni później, po zmroku, dotarliśmy nad Wielki Kanion i zainstalowaliśmy się w motelu. Wstaliśmy o wpół do szóstej rano, żeby zobaczyć wschód słońca nad South Rim. Ponieważ przyjechaliśmy w nocy, nie widziałem jeszcze samego kanionu, więc mruczałem niezadowolony: „Po co nam to?”. Było zimno, a ja

nienawidziłem wstawać tak wcześnie. Zabraliśmy kołdry z łóżek, po czym załadowaliśmy się w piątkę do mini-vana, by odbyć pięciominutową jazdę na zachód, do punktu widokowego. Starłem się za wszelką cenę zasnąć na tylnym siedzeniu i niemal zdołałem przekonać ojca, by pozwolił mi zostać w samochodzie, podczas gdy pozostali podeszli do poręczy tarasu. Jednak Betty namówiła mnie za pomocą delikatnej zachęty: „Poczekamy przy ławkach, aż będziesz gotowy zobaczyć wschód słońca”. Mama i siostra zabrały kołdrę, a tata wziął Betty na ręce. Przy wyłączonym ogrzewaniu zmarzłem w ciągu pięciu minut, więc podszedłem do miejsca, w którym rozłożyła się moja rodzina, i wpełzłem pod kołdrę obok siostry.

Nigdy wcześniej nie obserwowałem wschodu słońca dla samej przyjemności i nie byłem w ogóle przygotowany na majestatyczny widok, który mnie czekał. Oto miałem przed sobą ponad sześćdziesiąt kilometrów cudu, jakim był Wielki Kanion - głęboki na półtora tysiąca metrów, szeroki na dwadzieścia pięć kilometrów - ciągnący się od naszych stóp po narastającą poziomą tęczę na horyzoncie. W tajemniczej chemii brzasku skalne warstwy wewnętrznych ścian zmieniały barwy, przechodząc od ciemnej umbrzy i czarnych cieni w niezmiernie wstęgi pastelowej żółci, bieli, zieleni i setek odmian czerwieni. Wreszcie, nad odległymi pustynnymi palisadami, w samym epicentrum tęczy, zajaśniał nagle rozogniony słoneczny sierp, a kanion eksplodował dziesiątkami kamiennych świątyń, kolumn, wawozów i piramid, olśniewająco kontrastujących z barwą otaczających je ścian za sprawą różanego światła, którym płonęło wschodzące słońce.

Nie wiedziałem o tym, ale ten wschód słońca był dla Betty spełnieniem marzenia; nie wierzyła, że go ujrzy, a to z powodu tysięcy kilometrów, których wymagała trudna dla niej podróż do kanionu. Nauczyła mnie czegoś, co musiałem wchłonąć pomimo swej szczeniackiej niedojrzałości, ponieważ wielokrotnie wracałem do tego miejsca i innych, rozsianskich po Zachodzie, tylko po to, by oglądać wschód słońca. I nie było to wszystko, czego się od niej nauczyłem. Betty tak głęboko zaszczepiła mi optymizm-

styczną postawę i radość życia, że rozbudziłem w sobie pasję i pragnienie

doświadczenia i odkrywania świata - pasję graniczącą z obsesją.

* * *

Wielki Kanion jest teraz jedynie odległym wspomnieniem. Ponieważ tkwię uwięziony w skalnej dziurze, nie zobaczę wschodu słońca. Robię przerwę około siódmej wieczorem i kładę narzędzie z ostrzami na głazie, tam gdzie wcześniej umieściłem ciemne okulary. Unoszę ramiona, wyciągam lewą rękę nad głowę, strzeżuję zeszywniałą kończynę i wzdycham. Rozprostowawszy dłoń, patrzę na nią z lekką zgrozą - cała jest spuchnięta, obrzmiałe palce są niemal dwukrotnie grubsze. Skutek miazdzącego uderzenia podczas wypadku, kiedy głaz spadł na lewą rękę, a potem odbił się rykoszetem od ściany. Opuchlizna tak bardzo zniekształciła mi palce, że kłykcie nie sterczą już nad tworzącymi je kośćmi. Nie widać żył po zewnętrznej stronie dłoni - na końcu mojej lewej ręki tkwi balon. Być może najdziwniejsze jest to, że nie czuję żadnego bólu po tym uderzeniu, ale niewykluczone, że tłumia go sytuacja, w jakiej się znajduję. Nie mogę sobie w tych okolicznościach poradzić z tyloma innymi rzeczami, że opuchlizna dłoni nie jest tak ważna, by przyciągać moją uwagę.

Lewe udo dokucza mi bardziej niż obrzmiała dłoń i gdy odwijam nogawkę spodenek, pojmuję, dlaczego tak się dzieje. Skóra pokrywająca mięsień czworogłowy jest posiniaczona i zdarta w kilku miejscach powyżej kolana. Te obrażenia powstały wtedy, gdy starałem się podnieść głaz tuż po tym, jak mnie uwięził. Widzę

kilka małych zaschniętych plamek, ale nigdzie nie dostrzegam świeżej krwi. Rozdarłem sobie spodenki w pięciu miejscach, tam gdzie zostały ściśnięte między nogą a spodnią stroną gązdu. Kieszon w dolnym prawym narożniku jest rozszarpana na tyle, że widzę wyzierające spod materiału centymetrowej średnicy kółko z kluczem do kłódki przy rowerze.

Wydaje się ważne, bym pilnował tego klucza. Jeśli za sprawą jakiegoś cudu zdołam się stąd wydostać, to prędzej czy później dotrę do roweru i będę musiał otworzyć kłódkę przy tylnym kole. Sięgam do rozdartej kieszeni, żeby wyjąć klucze i schować je do plecaka, ale sekundę przed wyciągnięciem dłoni kółko zaczepia się o podszewkę kieszeni i wymyka mi się z palców. Klucze spadają do dziury między zaokrąglonymi kamieniami obok mojej lewej stopy. „Do diabła!”, krzyczę. Nie tylko są poza

moim ograniczonym zasięgiem, ale na dodatek zsunęły się w wąską szczelinę, skąd trudno byłoby je wyciągnąć, nawet gdybym nie był uwięziony.

Wyginam ramiona w lewo, starając się przesunąć jak najdalej, ale mogę zaledwie tknąć jeden z kamieni lewym butem. Wsuwam stopę w piasek kanionu pokryty otoczakami - w ten sposób skuteczniej docieram do tego kamienia. W piaszczystym zagłębieniu widzę nieznaczny błysk kluczy o dziwnym kształcie. Wciąż jednak uwięziony nadgarstek nie pozwala mi przesunąć przeszkody ani sięgnąć do dziury. W tym momencie mgliste wspomnienie programu telewizyjnego, w którym pokazano człowieka bez rąk, piszącego na klawiaturze dużymi palcami u stóp, podsuwa mi pomysł, by posłużyć się gołą stopą i sięgnąć nią pod kamień, a następnie wydobyć z zagłębienia klucze. Zdejmuję but i ściągam skarpetkę, po czym znów zanurzam stopę w piasku i zaczynam wyciągać spod lewej strony kamienia krótkie gałązki, wysuszone korzonki roślin i inne śmieci.

Zagłębienie, nawet oczyszczone, jest zbyt małe dla mojej stopy o rozmiarze buta czterdzieści cztery. Nie ulegam jednak zniechęceniu; to wyzwanie nabiera dodatkowego znaczenia. Cel, jakim jest odzyskanie kluczy, symbolizuje trudniejszą walkę z moim uwięzieniem. Wpadam na inny pomysł. Biorę do ręki jeden z dłuższych patyków, które wyciągnąłem spomiędzy kamieni. To łodyga bylicy, długa na jakieś sześćdziesiąt centymetrów, cienka i krucha, z wygodnym zagięciem przy cieniutkim końcu, w sam raz do zaczepienia kluczy. Włączam lampkę na czapce i zagłębiam haczykowaty koniec kijka w dziurze. Moja wędka bez trudu chwytą kółko, ale wygina się i pęka, kiedy próbuję wydobyć zdobycz ze szczeliny. Brzęk! Klucze uderzają dźwięcznie o siebie, lądując z powrotem w piaszczystej rozpadlinie. „Do diabła!”, mamroczę.

Nie mając haczyka, mogę tylko trzepać końcem kijka o metal, ale udaje mi się przyciągnąć klucze o kilka centymetrów bliżej do swoich stóp. Wciąż nie mogę sięgnąć kółka stopą, więc wsuwam sobie patyk między duży palec i sąsiedni, i wciskam patyk w dziurę z boku. Oświetlając otwór lampką, manewruję kijkiem - kilka ostrożnych, dżgających ruchów i udaje mi się wsunąć około czterech centymetrów kijka w kółko. Ciągnę powoli i wydobywam klucze, aż zsuwają się niemal z patyka. Nie wyciągnąłem ich jeszcze całkowicie, ale zdołałem przesunąć je dostatecznie

blisko krawędzi zagłębienia, bym mógł odrzucić patyk i poruszając stopą w piasku, chwycić nią klucze. Nie chcąc ponownie ich upuścić, podnoszę lewą nogę, aż jestem w stanie sięgnąć do stopy ręką. Udało się! To pierwsze zwycięstwo, jakie odnoszę podczas swego uwięzienia, i jest ono słodkie. Wkładam odzyskaną zgubę do kieszeni w prawej nogawce spodenek i zaciągam zamek błyskawiczny.

Wkładam na stopę skarpetę i but, nie zwracając sobie głowy sznurowadłami, i postanawiam zmienić

taktykę uderzania nożem w głaz. Wybieram ze sterty pod nogami kamień wielkości piłki tenisowej, a potem manewruję nim i wtaczam na wierzchołek stosu. Jest teraz w zasięgu mojej dłoni, więc wyciągam się - choć ostrze bólu przeszywa mój uwięziony nadgarstek - i kładę pięciokilowy kamień na górnej płaszczyźnie głazu, obok noża. Już wcześniej zrezygnowałem z pomysłu, by uderzać mniejszym kawałkiem skały bezpośrednio w głaz, ponieważ wszystkie dostępne odłamki to bardziej miękkie różowy piaskowiec, podobnie jak ściany kanionu. Zamierzam wbijać kamieniem ostrze, jakbym pracował młotkiem i dłutem.

Najpierw operuję nożem tak, aby jego czubek wsunął się w nieznaczny rowek, który wryłem we wgłębieniu w górnej prawej części głazu, tuż nad uwięzionym nadgarstkiem, i opieram metalową rączkę narzędzia bokiem o ścianę kanionu. Ujmuję mocno i starannie swój kamienny młotek, by mieć pewność, że odpowiednio uderzę w uchwyt narzędzia, po czym ostrożnie opuszczam kamień, na próbę. Boję się, że nóż odbije się od tylnej ściany głazu albo spadnie między gruz skalny pod moimi nogami. Zestaw narzędzi, którymi dysponuję, wydaje się dość stabilny, ale nie daje mi absolutnej pewności siebie, więc delikatnie stukam w nóż po raz drugi i trzeci, by się przekonać, że nie odskoczy. Tkwi na swoim miejscu, ale muszę uderzać mocniej.

Śmiało... uderzam kamiennym młotkiem w rączkę noża z siłą dziesięciokrotnie większą niż ta, której użyłem poprzednio. Łup! Kamień rozpada się w mojej dłoni na jeden duży i kilka mniejszych kawałków. W ręku zostaje mi garść gruzu, a jeden odłamek uderza mnie w twarz. Siła ciosu odrzuca nóż od głazu; narzędzie odbija się od moich spodenek i upada na piasek pół metra przed moją prawą stopą. „Nie wygram, nic się nie sprawdza”, myślę, ale moje zniechęcenie na szczęście szybko przemija.

Oblizuję wargi i czuję smak sproszkowanego piaskowca, który przylgnął! do zaschniętego potu na mojej twarzy. Nie mogę dosięgnąć lewą ręką noża, a manipulowanie przy nim stopą tylko zagrzebuje go w piasku (przynajmniej wiem, że jestem w stanie go odzyskać). Spostrzegam, że rozkruszony kamień pokrywa teraz cały głaz i moje prawe ramię. Wzdycham. Wypuszczam z ręki resztki kamienia i skupiam uwagę na nożu. Znowu zdejmuję but i skarpetkę, chwytam narzędzie wyciągniętymi palcami u stóp i bez trudu przyciągam do siebie.

- Daj spokój, Aron, koniec z takimi bzdurami - ganię się głośno, wiedząc doskonale, że nie będę się już bawił w młotek i dłuto.- Utrata noża to ostatnia rzecz, na jaką możesz sobie pozwolić.

Coś mi mówi, że nóż odegra zasadniczą rolę w moim przetrwaniu. Choć nie wątpię, że jest zbyt tępy, by przeciąć kości, wiem, że mogę go potrzebować do innych celów, jak przecięcie taśm albo przerobienie plecaka na kurtkę, która zapewni mi ciepło w nocy.

Zbliża się ósma, kanionem płynie delikatny strumień wiatru. Wzmaga się co kilka minut, porywając piasek z występu skalnego nad moją głową i obsypując mi twarz. Pochylam głowę, by chronił mnie daszek czapki. Udaje mi się osłonić oczy, ale czuję pył na soczewkach kontaktowych. Kulę się kilkakrotnie podczas tych gwałtownych przyptyków wiatru, a potem przyłapuję się na tym, że nic nie robię i nawet nie myślę

o niczym; zapadam w krótkotrwałe odrętwienie, które przemija, kiedy je sobie uświadamiam. Ponownie skupiając się na swojej obecnej sytuacji, patrzę na drobinki kamienia pokrywające moje prawe ramię. Posługując się palcami, potem nożem, by dotrzeć do trudniejszych miejsc wokół nadgarstka, pozbywam się brudu. Wysuwam wargi i zdmuchuję ostatnie resztki z dłoni. To śmieszne - ten wewnętrzny przymus utrzymania ręki w czystości, ale wszelkiego rodzaju higieniczne zabiegi pozwalają wierzyć, że przynajmniej w niewielkim stopniu kontroluję sytuację.

Kiedy ciemność zaczyna się sączyć z mojej mrocznej dziury i rozlewać po pustyni w górze, zamieniając zmierzch w noc, podejmuję na nowo wykopalka, których jestem przedmiotem. Ponownie zapalam lampkę

1 wybieram sobie nowy cel na głazie - beżoworóżowe serce piaskowca w otocze twardych czarnych minerałów. Ten punkt znajduje się około pięciu centymetrów nad nadgarstkiem, więc uderzam bardzo ostrożnie, dopóki nie udaje mi się wykuć otworu, który umożliwi bardziej zdecyd-

dowaną obróbkę głazu. Ustalam rytm pracy, dwa dziobnięcia na sekundę; co pięć minut robię przerwę, żeby zdmuchnąć kurz. Czas płynie powoli. Dostrzegam niewielki postęp, gdy obok płytkiego rowka, który wykuwam, pojawia się mały płatek łososiowego koloru. Jeśli się nie mylę, to być może zdołam wygrzebać dostatecznie dużo materiału wokół tego pastelowego nugatu, by móc wydobyć go w jednym kawałku.

Niepostrzeżenie wdrażam się w jednostajny tok świadomego działania. Ani się spostrzegam, jak mijają trzy godziny i jest niemal północ. Wyodrębniłem ten mały płatek kamienia z trzech stron - z lewego boku, z góry i z dołu - rowkiem szerokości trzech milimetrów; jestem gotowy podważyć zaznaczony fragment i wydobyć z głazu. Nie chcę ułamać przez przypadek czubka noża, więc wyciągam pilnik. Jest nie tylko grubszy i pewniejszy; mam też wrażenie, że nie jest mi aż tak niezbędny jak nóż. Wsuwam koniec w wydrążony rowek, napieram rączką na kamień i czekam z bijącym sercem, aż płatek polecą mi prosto w oczy. Czuję, jak narzędzie wbija mi się w dłoń, i w tym momencie ten drobny fragment pęka i odłamuje się. Tak! Od głazu odrywa się kawałek skały wielkości dziesięciocentówki i spada na mój unieruchomiony nadgarstek. Nie jest tak duży, jak liczyłem, ale ogarnia mnie zadowolenie, że moja taktyka okazała się choć trochę skuteczna. Usunąwszy tę płytkę, odsłoniłem bardziej miękką część skały, którą będę mógł wygrzebywać ze znacznie mniejszym wysiłkiem. Dłubię przez następną godzinę i usuwam niemal tyle materiału, ile wydrążyłem wcześniej. Zachowuję największe odłamki, które spadają na moją uwięzioną rękę, i układam je jeden obok drugiego na głazie. Moja kolekcja rozrasta się coraz bardziej, w miarę jak powiększam mały krater, jednak im dłuższy szereg kamyczków, tym większe odczuwam zmęczenie. Dokuczliwy ból w ręku zbyt natarczywie prześladowuje mój umysł, bym miał się poddać wyczerpaniu; muszę robić wszystko, by się stąd wydostać, dopóki jeszcze mam siły. Zresztą nawet gdybym chciał się przespać, to i tak bym nie zdołał. Przenikliwie zimno nocnego powietrza i powtarzające się powiewy wiatru zmuszają mnie do bezustannego atakowania skały, co pozwala zachować ciepło; gdy moją świadomość zaczyna ogarniać mgła, uginają się przede mną kolana, a wtedy ciężar ciała szarpie mi nadgarstek, powodując gwałtowne i bolesne ocknięcie.

Może z powodu narastającego zmęczenia w mojej głowie rozbrzmiewa wciąż na nowo ta sama piosenka. Melodia pochodzi - z pierwszego filmu

z Austinem Powersem. Oglądałem go kilka dni wcześniej z jednym z kolegów w domu, i teraz, jakby odtwarzana bez końca, powraca uparcie jedna linijka tekstu śpiewanego przez chór przy napisach końcowych.

- Tak, to w ogóle nie jest irytujące, Aron - mówię sarkastycznie. - Nie możesz puścić innej płyty?

Bez względu na to, co staram się nucić - nawet ulubione utwory - nie mogę się uwolnić od Austina Powersa, który zakleszczył mi mózg.

Robię sobie przerwę; wyciągam z dużego plecaka torbę z liną, uprząż, sprzęt wspinaczkowy i pokrowiec z niebieskim bukłakiem na wodę, i po raz pierwszy od popołudnia zakładam plecak na ramiona. Przypuszczam

-słusznie - że gruby materiał pozwoli mi utrzymać ciepło ciała. Wyjmuję bukłak z pokrowca, który wsuwam pod przygwożdżoną rękę. Jestem w stanie ochronić dwucentymetrową izolacją tylko kilka centymetrów kończyny za łokciem, ponieważ głaz przygniata do ściany odcinek od nadgarstka do środka przedramienia. Dzięki niewielkiemu pokrowcowi większa część ręki i barku zostaje jednak oddzielona od zimnej skały. Wyjmuję też starannie zwiniętą linę i umieszczam na kamieniu leżącym na dnie kanionu, przed kolanami. Mogę je zgiąć i oprzeć o tę prowizoryczną podściółkę, co odrobinę ulży nogom. Wciąż nie mogę się rozluźnić, ale teraz jestem w stanie od czasu do czasu zmieniać pozycję i pobudzać krążenie w dolnych kończynach.

Tuż przed wpół do drugiej rano otwieram butelkę z wodą po raz drugi i biorę mały łyk. Od dwóch godzin myślałem o tym, żeby się napić, ale celowo zwlekałem do chwili, gdy noc będzie na półmetku. Cztery i pół godziny za mną, cztery i pół godziny przede mną. Woda jest zgodnie z oczekiwaniem niezwykle orzeźwiająca, prawdziwa nagroda za to, że tak długo wytrzymałem po tych pierwszych nierozważnych i rozrzuconych łykach sprzed jakichś ośmiu godzin. Mimo wszystko się martwię. Wiem, że od tego niecałego litra zależy moje przetrwanie. Jest jednak zagadką, ile powinienem wypijać, a ile zachowywać, i jak długo mam oszczędzać ten zapas. Po namyśle postanawiam łykać odrobinę co dziesięć minut. Pozwoli mi to zabijać czas, czekać wraz z upływem nocy na coś konkretnego.

Ponieważ chwilami ze zmęczenia uginają się przede mną kolana, decyduję się skonstruować siedzisko, dzięki któremu uwolnię nogi od ciężaru ciała. Założenie uprząży to ta prostsza połowa równania. Zakładam pętle

z Austinem Powersem. Oglądałem go kilka dni wcześniej z jednym z kolegów w domu, i teraz, jakby odtwarzana bez końca, powraca uparcie jedna linijka tekstu śpiewanego przez chór przy napisach końcowych.

- Tak, to w ogóle nie jest irytujące, Aron - mówię sarkastycznie. - Nie możesz puścić innej płyty?

Bez względu na to, co staram się nucić - nawet ulubione utwory - nie mogę się uwolnić od Austina Powersa, który zakleszczył mi mózg.

Robię sobie przerwę; wyciągam z dużego plecaka torbę z liną, uprząż, sprzęt wspinaczkowy i pokrowiec z niebieskim bukłakiem na wodę, i po raz pierwszy od popołudnia zakładam plecak na ramiona. Przypuszczam -słusznie - że gruby materiał pozwoli mi utrzymać ciepło ciała. Wyjmuję bukłak z pokrowca, który wsuwam pod przygwożdżoną rękę. Jestem w stanie ochronić dwucentymetrową izolacją tylko kilka centymetrów kończyny za łokciem, ponieważ głaz przygniata do ściany odcinek od nadgarstka do środka przedramienia. Dzięki niewielkiemu pokrowcowi większa część ręki i barku zostaje jednak oddzielona od zimnej skały. Wyjmuję też starannie zwiniętą linę i umieszczam na kamieniu leżącym na dnie kanionu, przed kolanami. Mogę je zgiąć i oprzeć o tę prowizoryczną podściółkę, co odrobinę ulży nogom. Wciąż nie mogę się rozluźnić, ale teraz jestem w stanie od czasu do czasu zmieniać pozycję i pobudzać krążenie w dolnych kończynach.

Tuż przed wpół do drugiej rano otwieram butelkę z wodą po raz drugi i biorę mały łyk. Od dwóch godzin myślałem o tym, żeby się napić, ale celowo zwlekałem do chwili, gdy noc będzie na półmetku. Cztery i pół godziny za mną, cztery i pół godziny przede mną. Woda jest zgodnie z oczekiwaniem niezwykle orzeźwiająca, prawdziwa nagroda za to, że tak długo wytrzymałem po tych pierwszych nierozważnych i rozrzuconych łykach sprzed jakichś ośmiu godzin. Mimo wszystko się martwię. Wiem, że od tego niecałego litra zależy moje przetrwanie. Jest jednak zagadką, ile powinienem wypijać, a ile zachowywać, i jak długo mam oszczędzać ten zapas. Po namyśle postanawiam łykać odrobinę co dziesięć minut. Pozwoli mi to zabijać czas, czekać wraz z upływem nocy na coś konkretnego.

Ponieważ chwilami ze zmęczenia uginają się podę mną kolana, decyduję się skonstruować siedzisko, dzięki któremu uwolnię nogi od ciężaru ciała. Założenie uprzęży to ta prostsza połowa równania. Zakładam pętle

na nogi, wciągam pas i przeciągam grubą taśmę przez klamrę; mogę się posługiwać tylko jedną ręką, co znacznie ogranicza moją sprawność, więc rezygnuję z ostatniej obowiązkowej czynności, czyli podwójnego zawiązania pasa - zabezpieczenia koniecznego przy wspinaczce, ale zbędnego w mojej sytuacji. Teraz czas na trudniejsze zadanie: umocowanie jakiegoś elementu mojego ograniczonego sprzętu wspinaczkowego na którejś ze skał nad głową, na czymś, co jest dostatecznie solidne, by utrzymać mój ciężar.

Zatrzymuję wzrok na pęknięciu, które zaczyna się na południowej skale, mniej więcej na wysokości metra osiemdziesięciu centymetrów nade mną, z lewej strony. Pęknięcie to właściwie szczelina między ścianą i głazem o średnicy ponad dwóch metrów, zawieszonym na wysokości stu osiemdziesięciu centymetrów. To głaz tworzący czterometrowy spadek, do którego dotarłem na końcu tunelu utworzonego przez inne podobne głązy, ten sam, z którego się zsunąłem, by stanąć na kamieniu, który przygwoździł mi nadgarstek. Wcześniej nie poświęcałem mu zbyt dużo uwagi, teraz jednak dostrzegam dwie rzeczy, które mogą mi pomóc w założeniu punktu asekuracyjnego. Jedną z nich jest szczelina zwężająca się od góry aż do możliwego punktu zaczepienia, który znajduje się naprzeciwko mnie. Drugą jest sterczący róg, który mógłby mi posłużyć jako punkt asekuracyjny, gdybym zdołał zarzucić na niego linę albo odcinek żółtej taśmy. Ale jak mam skonstruować blok, który wrzucę w szczelinę i pociągnę w dół, by doszedł do punktu zaczepienia? Są dwie możliwości: albo zamocuję kilka karabinków dzięki węzłowi na linie, albo zawiążę węzeł na samej linie czy fragmencie taśmy - węzeł zablokuje się w szczelinie. Tak czy inaczej, będzie bardzo trudno precyzyjnie rzucić cokolwiek, żeby wpadło w szczelinę i zsunęło się do zaklinowania.

Mimo wszystko warto spróbować. Najpierw rozwijam około dziesięciu metrów liny. Na jej końcu zawiązuję kilka węzłów zwykłych, żeby utworzyć blok wielkości pięści. Przy użyciu kawałka liny, która leży na głazie, ciskam tą „pięścią” w szczelinę, ale odbija się od ściany. Uświadamiam sobie, że ograniczona sprawność mojej lewej ręki i obciążenie liny węzłami, powodujące zbyt szybkie spadanie, stanowią niekorzystne połączenie. Muszę wykonać idealny rzut. Może łatwiej będzie z większym ciężarkiem. Postanawiam zamiast „pięści” zastosować trzy karabinki z uprzęży, które mocuję na linie za pomocą węzła zwanego ósemką.

Przygotowanie każdego rzutu trwa dwie minuty i pierwsze dwanaście prób spełza na niczym; lina odbija się od ściany albo od głazu, albo wysuwa ze szczeliny, nim karabinki mogą się solidnie zaczepić. Udoskonalam technikę i składam linę w taki sposób, by rozwijała się z jak najmniejszym oporem; moja celność znacznie się poprawia. Na dwanaście kolejnych prób pięć kończy się lądowaniem karabinków w szczelinie, za każdym razem jednak wypadają z otworu. Dorzucam czwarty karabinek do swojego prowizorycznego urządzenia mocującego. Moja następna próba kończy się niebywale szczęśliwym rzutem - wiązka karabinków trafia w szerokie rozwarcie szczeliny, po czym zsuwa się do punktu zaczepienia; jedno szarpnięcie w odpowiedniej chwili i prowizoryczny blok zakleszcza się solidnie. Przeprowadzam próbę wytrzymałościową i widzę, że karabinki wgryzają się w skałę. Trochę się boję, że piaskowiec w punkcie zaczepienia nie wytrzyma i uwolni karabinki, ale metalowe ogniwa zaciskają się mocno jedno na drugim i kamienna nisza wytrzymuje napór bez problemu. Podczas gdy mój zmęczony umysł zalewa fala szczęścia, zawiązuję drugą ósemkę na pętli zaczepionej liny, która jest przerzucona przez głaz obok mojej talii; wpinam się do systemu. Dwukrotnie poprawiwszy węzeł, by podciągnąć uprzęż i uwolnić nieco prawe ramię od ciężaru ciała, wreszcie mogę odchylić się do tyłu i ulżyć trochę nogom. Och. Rozluźniam się po raz pierwszy, a moje ciało świętuje zwycięstwo nad męką, jaką było utrzymywanie pozycji stojącej przez ponad dwanaście godzin.

Biorę butelkę z głazu i dokładnie o trzeciej nad ranem łykam trochę wody. Chwila wytchnienia przynosi mi niewystawioną ulgę, ale jest przygnębiająco krótka - po zaledwie piętnastu minutach uprząż ogranicza dopływ krwi do nóg i znów muszę wstać. Istnieje ryzyko, że jeśli będę siedział za długo, to doprowadzę do uszkodzenia kończyn albo powstania skrzepu. Jednak znacznie wcześniej uprząż przyprawia mnie o ból mięśni podkolanowych, w miejscu gdzie pętle podtrzymują ciężar ciała. Stoję i siedzę na zmianę - zmieniam pozycję co dwadzieścia minut.

Podczas tych najchłodniejszych godzin przed świtem, od trzeciej do szóstej, znowu trzymam nóż w dłoni i tnę głaz. Mogę obrabiać skałę, siedząc albo stojąc. Udaje mi się w sposób minimalny, ale widoczny, pogłębić otwór. Po kilku małych łykach wody o czwartej trzydzieści i szóstej rano staram się ocenić z grubszą, ile skały zdołałem usunąć w ciągu piętnastu godzin mozolnej pracy. Obliczam, że przy takim tempie, by uwolnić

rękę, musiałbym obtłukiwać kamień przez sto pięćdziesiąt godzin. Zniechęcony uświadamiam sobie, że trzeba zrobić coś innego, by poprawić swoją sytuację.

Tuż po ósmej słyszę jakiś dźwięk, który dobiega z kanionu ponad moją głowę, przypomina to trzykrotny świst wiatru. Patrząc w górę i widzę, jak przelatuje nade mną duży czarny kruk. Kieruje się w głąb kanionu, a każde uderzenie skrzydeł odbija się echem w moich uszach. Przy trzecim łopocie ptak wydaje z siebie głośnie, skrzekliwe „kra”, a potem znika z mojego okna na świat, który otwiera się w górze. W głębiach kanionu jest wciąż zimno, ale dostrzegam jasny blask dnia przy północnej ścianie, dwadzieścia metrów nad sobą. W górze przepływają poszarpane pasma stratusów. Gaszę lampkę. Przetrwiałem noc.

Około wpół do dziesiątej na dnie kanionu za moimi plecami ukazuje się ostrze światła słonecznego. Ta jasna wiązka jest kusząco blisko, ale wciąż dzieli ją od moich stóp około metra. Nie otrząsnąłem się jeszcze do końca z chłodu nocy i tęsknię choć za słabym dotykem ciepła na skórze. Po pięciu minutach ostrze przybliży się do moich pięt i gdy stoję obok dziury, do której wcześniej wpadły mi klucze, wyciągając ciało, aż ramię ciągnie nadgarstek, mogę wysunąć za siebie lewą nogę i poczuć, jak promień słońca pieści mi kostkę i dolną część łydki. Przez dziesięć minut tkwię w tej pozycji, na zmianę wysuwając do tyłu lewą i prawą nogę, podczas gdy po dnie kanionu przesuwa się blask. Witam nowy dzień, przybierając pozę niczym jogin. Przez myśl przebiega mi pytanie, ile poranków tu spędzę, by odbywać ten rytuał jutrzni, ale szybko o tym zapominam i rozkoszuję się kojącym ciepłem na łydkach. Ostrze światła, wspinając się po północnej ścianie nad moją prawą nogą, zakrzywia się i wygina na połażowaniach piaskowca, w końcu dociera do miejsca, którego nie mogę sięgnąć stopą. Obserwując, jak promień obejmuje swym zasięgiem ostatni metr przed zakleszczonym głazem, który zasłania mi tę smugę, uświadamiam sobie, że to jedyny bezpośredni blask słońca, jakim będę się cieszył w ciągu dnia.

Wraz z jego nadejściem odczuwam poprawę nastroju i na jakiś czas ogarnia mnie ożywienie. Wykorzystując owo dobroczynne działanie, biorę nóż i zaczynam kolejny dwugodzinny cykl wykuwania skały. Zasta-

rękę, musiałbym obtłukiwać kamień przez sto pięćdziesiąt godzin. Zniechęcony uświadamiam sobie, że trzeba zrobić coś innego, by poprawić swoją sytuację.

Tuż po ósmej słyszę jakiś dźwięk, który dobiega z kanionu ponad moją głowę, przypomina to trzykrotny świst wiatru. Patrząc w górę i widzę, jak przelatuje nade mną duży czarny kruk. Kieruje się w głąb kanionu, a każde uderzenie skrzydeł odbija się echem w moich uszach. Przy trzecim łopocie ptak wydaje z siebie głośnie, skrzekliwe „kra”, a potem znika z mojego okna na świat, który otwiera się w górze. W głębiach kanionu jest

wciąż zimno, ale dostrzegam jasny blask dnia przy północnej ścianie, dwadzieścia metrów nad sobą. W górze przepływają poszarpane pasma

stratusów. Gaszę lampkę. Przetrwałem noc.

* * *

Około wpół do dziesiątej na dnie kanionu za moimi plecami ukazuje się ostrze światła słonecznego. Ta jasna wiązka jest kusząco blisko, ale wciąż dzieli ją od moich stóp około metra. Nie otrząsnąłem się jeszcze do końca z chłodu nocy i tęsknię choć za słabiutkim dotykiem ciepła na skórze. Po pięciu minutach ostrze przybliży się do moich pięt i gdy stoję obok dziury, do której wcześniej wpadły mi klucze, wyciągając ciało, aż ramię ciągnie nadgarstek, mogę wysunąć za siebie lewą nogę i poczuć, jak promień słońca pieści mi kostkę i dolną część łydki. Przez dziesięć minut tkwię w tej pozycji, na zmianę wysuwając do tyłu lewą i prawą nogę, podczas gdy po dnie kanionu przesuwa się blask. Witam nowy dzień, przybierając pozę niczym jogin. Przez myśl przebiega mi pytanie, ile poranków tu spędzę, by odbywać ten rytuał jutrzni, ale szybko o tym zapominam i rozkoszuję się kojącym ciepłem na łydkach. Ostrze światła, wspinając się po północnej ścianie nad moją prawą nogą, zakrzywia się i wygina na pofałdowaniach piaskowca, w końcu dociera do miejsca, którego nie mogę sięgnąć stopą. Obserwując, jak promień obejmuje swym zasięgiem ostatni metr przed zakleszczonym głazem, który zasłania mi tę smugę, uświadamiam sobie, że to jedyny bezpośredni blask słońca, jakim będę się cieszył w ciągu dnia.

Wraz z jego nadejściem odczuwam poprawę nastroju i na jakiś czas ogarnia mnie ożywienie. Wykorzystując owo dobroczynne działanie, biorę nóż i zaczynam kolejny dwugodzinny cykl wykuwania skały. Zasta-

rękę, musiałbym obtłukiwać kamień przez sto pięćdziesiąt godzin. Zniechęcony uświadamiam sobie, że trzeba zrobić coś innego, by poprawić swoją sytuację.

Tuż po ósmej słyszę jakiś dźwięk, który dobiega z kanionu ponad moją głowę, przypomina to trzykrotny świst wiatru. Patrząc w górę i widząc, jak przelatuje nade mną duży czarny kruk. Kieruje się w głąb kanionu, a każde uderzenie skrzydeł odbija się echem w moich uszach. Przy trzecim łopocie ptak wydaje z siebie głośne, skrzekliwe „kra”, a potem znika z mojego okna na świat, który otwiera się w górze. W głębiach kanionu jest wciąż zimno, ale dostrzegam jasny blask dnia przy północnej ścianie, dwadzieścia metrów nad sobą. W górze przepływają poszarpane pasma

stratusów. Gaszę lampkę. Przetrwałem noc.

* * *

Około wpół do dziesiątej na dnie kanionu za moimi plecami ukazuje się ostrze światła słonecznego. Ta jasna wiązka jest kusząco blisko, ale wciąż dzieli ją od moich stóp około metra. Nie otrząsnąłem się jeszcze do końca z chłodu nocy i tęsknię choć za słabiutkim dotykiem ciepła na skórze. Po pięciu minutach ostrze przybliży się do moich pięt i gdy stoję obok dziury, do której wcześniej wpadły mi klucze, wyciągając ciało, aż ramię ciągnie nadgarstek, mogę wysunąć za siebie lewą nogę i poczuć, jak promień słońca pieści mi kostkę i dolną część łydki. Przez dziesięć minut tkwię w tej pozycji, na zmianę wysuwając do tyłu lewą i prawą nogę, podczas gdy po dnie kanionu przesuwa się blask. Witam nowy dzień, przybierając pozę niczym jogin. Przez myśl przebiega mi pytanie, ile poranków tu spędzę, by odbywać ten rytuał jutrzni, ale szybko o tym zapominam i rozkoszuję się kojącym ciepłem na łydkach. Ostrze światła, wspinając się po północnej ścianie nad moją prawą nogą, zakrzywia się i wygina na pofałdowaniach piaskowca, w końcu dociera do miejsca,

którego nie mogę sięgnąć stopą. Obserwując, jak promień obejmuje swym zasięgiem ostatni metr przed zakleszczonym głazem, który zasłania mi tę smugę, uświadamiam sobie, że to jedyny bezpośredni blask słońca, jakim będę się cieszył w ciągu dnia.

Wraz z jego nadejściem odczuwam poprawę nastroju i na jakiś czas ogarnia mnie ożywienie. Wykorzystując owo dobroczynne działanie, biorę nóż i zaczynam kolejny dwugodzinny cykl wykuwania skały. Zasta-

rękę, musiałbym obtłukiwać kamień przez sto pięćdziesiąt godzin. Zniechęcony uświadamiam sobie, że trzeba zrobić coś innego, by poprawić swoją sytuację.

Tuż po ósmej słyszę jakiś dźwięk, który dobiega z kanionu ponad moją głową, przypomina to trzykrotny świst wiatru. Patrząc w górę i widzę, jak przelatuje nade mną duży czarny kruk. Kieruje się w głąb kanionu, a każde uderzenie skrzydeł odbija się echem w moich uszach. Przy trzecim łopocie ptak wydaje z siebie głośne, skrzekliwe „kra”, a potem znika z mojego okna na świat, który otwiera się w górze. W głębiach kanionu jest wciąż zimno, ale dostrzegam jasny blask dnia przy północnej ścianie, dwadzieścia metrów nad sobą. W górze przepływają poszarpane pasma

stratusów. Gaszę lampkę. Przetrwiałem noc.

* * *

Około wpół do dziesiątej na dnie kanionu za moimi plecami ukazuje się ostrze światła słonecznego. Ta jasna wiązka jest kusząco blisko, ale wciąż dzieli ją od moich stóp około metra. Nie otrząsnąłem się jeszcze do końca z chłodu nocy i tęsknię choć za słabiutkim dotykiem ciepła na skórze. Po pięciu minutach ostrze przybliży się do moich pięt i gdy stoję obok dziury, do której wcześniej wpadły mi klucze, wyciągając ciało, aż ramię ciągnie nadgarstek, mogę wysunąć za siebie lewą nogę i poczuć, jak promień słońca pieści mi kostkę i dolną część łydki. Przez dziesięć minut tkwię w tej pozycji, na zmianę wysuwając do tyłu lewą i prawą nogę, podczas gdy po dnie kanionu przesuwają się pasma światła. Witam nowy dzień, przybierając pozę niczym jogin. Przez myśl przebiega mi pytanie, ile poranków tu spędzę, by odbywać ten rytuał jutrzni, ale szybko o tym zapominam i rozkoszuję się kojącym ciepłem na łydkach. Ostrze światła, wspinając się po północnej ścianie nad moją prawą nogą, zakrzywia się i wygina na pofałdowaniach piaskowca, w końcu dociera do miejsca, którego nie mogę sięgnąć stopą. Obserwując, jak promień obejmuje swym zasięgiem ostatni metr przed zakleszczonym głazem, który zasłania mi tę smugę, uświadamiam sobie, że to jedyny bezpośredni blask słońca, jakim będę się cieszył w ciągu dnia.

Wraz z jego nadejściem odczuwam poprawę nastroju i na jakiś czas ogarnia mnie ożywienie. Wykorzystując owo dobroczynne działanie, biorę nóż i zaczynam kolejny dwugodzinny cykl wykuwania skały. Zasta-

81

nawiam się, jakie jest prawdopodobieństwo, że zostanę znaleziony, i kiedy ktoś zainicjuje poszukiwania. Nie wygląda to dobrze z jakiegokolwiek perspektywy. Kristi i Megan ledwie mnie znają. Kiedy nie pojawiłem się wczoraj późnym popołudniem przy ich samochodzie, pomyślały zapewne, że dałem sobie z nimi spokój. Nie wiedzą też, jak wygląda mój wóz, więc nawet jeśli udały się na szlak prowadzący do Horseshoe, nie mogłyby się zorientować, czy samochód tam stoi, czy nie. Ponieważ nie skontaktowałem się z Bradem i Leah, by potwierdzić, że spotkam się z nimi na imprezie, moja nieobecność nie wzbudzi ich podejrzeń. Moi współlokatorzy zauważą, że mnie nie ma, ale i tak nie mają pojęcia, gdzie jestem. Nawet jeśli zaniepokoją się tak bardzo, by powiadomić policję w Aspen, władze nic nie zrobią co najmniej do wtorkowego wieczoru;

dopiero wtedy upłyną ponad dwadzieścia cztery godziny od planowanego powrotu.

Wydaje się bardziej prawdopodobne, że mój szef w sklepie zadzwoni do rodziców, żeby się dowiedzieć, dlaczego nie pojawiłem się w pracy. Może oni poproszą policję, by ta za pośrednictwem banku ustaliła, gdzie ostatni raz płaciłem kartą kredytową, i w ten sposób dotrą do Moab. Myśl ta jednak uświadamia mi coś jeszcze - kartą kredytową płaciłem tylko za benzynę w Glenwood Springs, gdzie autostrada z Aspen spotyka się z szosą międzystanową. Mogłem pojechać stamtąd albo na wschód, albo na zachód. Z kolei kartą debetową posłużyłem się, kiedy robiłem w Moab zakupy spożywcze i uzupełniałem zapas benzyny w baku przed wyruszeniem do Horseshoe. Ale czy na pewno? Może użyłem karty kredytowej? Nie mogę sobie przypomnieć. Mam nadzieję, że procedura obowiązująca podczas poszukiwania zaginionych osób nakazuje też sprawdzenie zakupów dokonywanych za pomocą takiej karty.

Jeśli policja powiadomi Służbę Parku Narodowego, ta zaś zainicjuje w środę poszukiwania na większą skalę, jest mało prawdopodobne, że od razu znajdą mój samochód - dowodzący akcją skupią się na terenach bliżej Moab. Widziałem tablicę na początku szlaku, informującą turystów, że strażnicy prowadzą w weekend wycieczki trasą kanionu Horseshoe do głównych malowideł skalnych, więc w najlepszym razie mogę zakładać, że pracownicy parku znajdą mój samochód, kiedy wrócą do Horseshoe w sobotę, jeśli do tej pory będą go szukać. Łut szczęścia albo zakrojone na szerszą skalę działania mogą oznaczać, że zlokalizują mój wóz

82

w pierwszym dniu poszukiwań, to znaczy w czwartek, i zanim spenetrują Horseshoe i dotrą do kanionu Blue John, będzie piątek.

A zatem piątek, nim ktokolwiek zajrzy za ten duży głaz, który znajduje się trzy metry nade mną.

Piątek.

Ale to najbardziej optymistyczny termin. Dniem, w którym strażnicy do mnie dotrą, będzie najprawdopodobniej niedziela, biorąc pod uwagę ich harmonogram. Niedziela, za tydzień, licząc od dzisiaj.

Bez wody ludzie umierają w niespełna tydzień. Będę zdumiony, jeśli przetrwam do wtorku rano. Nie ma możliwości, bym dociągnął do piątku. Nie ma.

A w sobotę będę już zmumifikowany.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jak zostać emerytowanym inżynierem w ciągu pięciu krótkich lat

Głęboka gra: w której to, co się stawia, by wygrać, nigdy nie może zrównoważyć tego, co się przegra.

rok po moim spotkaniu z zajadłym czarnym niedźwiedziem

w Grand Tetons zdecydowałem się na trzy wyprawy wspinaczkowe, które w pełni zaspokoilyby moje pragnienie przygody. Po pierwsze zamierzałem wejść na wszystkie czterotysięczniki w Kolorado, po drugie zamierzałem wejść na nie w pojedynkę zimą (coś, czego nikt wcześniej nie dokonał) i po trzecie zamierzałem wspiąć się na najwyższy szczyt w każdym stanie USA. Pod koniec czerwca 1997 zacząłem pracować w Intelu, co wydawało się niewinną zabawą w porównaniu z doświadczeniem, jakim było prześladowanie przez niedźwiedzia wygłodniałego po śnie zimowym.

Chcąc zrekompensować sobie banalność kariery zawodowej w dziedzinie budowy maszyn, sam poszukałem przygody w swym życiu, badając niezmierną różnorodność dostępnych terenów Arizony - kanionów, gór, stożków wulkanicznych, kraterów utworzonych przez meteoryty, pustyni i lasów. Za pośrednictwem kolegi z college'u poznałem Marka Van Eeckhouta, który stał się moim mentorem i przyjacielem. Obaj pra-

Joe Simpson, Dark Shadows Falling

84

cowaliśmy w południowym Phoenix i przy lunchu planowaliśmy wyprawy i biwaki.

Moja dziewczyna z college'u, Jamie Zeigler, dała mi książkę Edwarda Abbeya Desert Solitaire, która rozbudziła we mnie pasję pustynnych przygód. Stałem się jednym z założycieli Intel Adventure Club w 1998 roku, kiedy czwórka moich przyjaciół z pracy, między innymi Jamie Stoutenberg i Hudson Cole, nakreśliła plan przejścia Wielkiego Kanionu w ciągu dwóch dni. Po wyruszeniu z South Rim mieliśmy zejść na głębokość tysiąca pięciuset metrów na odcinku dziesięciu kilometrów szlakiem South Kaibab, potem przekroczyć rzekę Kolorado w pobliżu Phantom Ranch, a następnie pokonać ponad dwadzieścia kilometrów szlaku Wright Angel aż do North Rim, wspinając się na wysokość tysiąca ośmiuset metrów do naszego obozowiska. Po odpoczynku mieliśmy wrócić tą samą trasą: od North Rim do South Rim. Nazwaliśmy to w skrócie 3R.

Tuż przed wyprawą czytałem Wszystko za życie Jona Krakauera. Historia młodego Chrisa McCandlessa, który porzuca społeczeństwo, by podróżować po kraju, natchnęła mnie marzeniami o wędrownym życiu i przemierzaniu Stanów Zjednoczonych. Tak bardzo zachwyciły mnie przygody Aleksa Supertrampa (nom de voyage Chrissa), że wziętem tę książkę na wyprawę do Wielkiego Kanionu. Zwłaszcza jeden fragment - z listu, który Chris wysłał poznanemu w drodze starszemu przyjacielowi - brzmiał jak manifest:

„Tak wielu ludzi jest nieszczęśliwych, a jednak nie podejmują żadnej próby, by to zmienić, ponieważ przywykli do życia w pewności, konformizmie i konserwatyzmie, co może dawać poczucie spokoju umyśłu, ale w rzeczywistości nie ma rzeczy bardziej niszczącej dla niespokojnego ducha niż pewna przyszłość. Podstawą życia ducha ludzkiego jest jego pasja przyrody. Radość życia przychodzi z nowymi doświadczeniami, a zatem nie ma większej radości niż mieć wciąż zmieniający się horyzont, każdego dnia inny, i nowe słońce”*.

Chciałem zasmakować tej radości, doznać pragnienia przygody, odrzucić poczucie bezpieczeństwa, które dawała mi moja praca, i pozwolić swemu duchowi wędrować. Oznaczało to, że muszę się nauczyć, jak żyć

* Jon Krakauer, Wszystko za życie, tłum. Magdalena Jakóbczyk-Rakowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.

85

poza czterema ścianami domu, pod gołym niebem. Musiałem zdobyć doświadczenie przed podjęciem poważniejszych ekspedycji, musiałem też być odpowiednio przygotowany, by zminimalizować wszelkie niebezpieczeństwa. I, jeśli chodzi o kwestie bardziej praktyczne, musiałem zdobyć samochód terenowy i porzucić pracę. Wiedziałem jednak, że czeka mnie bardzo długa droga, zanim byłbym gotów to uczynić.

Zimą 1998 moją wyobraźnię zawładnęła inna książka Krakauera, Wszystko za Everest. Opisywała ona w sposób fascynujący klęskę, którą skończyła się próba zdobycia Mount Everestu, i która pochłonęła jedenaście istnień ludzkich; niemal czułem się tak, jakbym sam był na wysokości ośmiu tysięcy metrów wraz

z grupą himalaistów Neala Beidlemana, kilkaset metrów od obozu IV, i zastanawiałem się, co zrobiłbym na ich miejscu. Wyczerpany po całodniowej wspinaczkę na szczyt, atakowany przez wściekłe wichry burzy śnieżnej, pozbawiony tlenu i nękanym przez odmrożenia - czy leżałbym tam, umierając? Pozostawiłbym innych, by się ratować? Czy gdybym dotarł do obozu, wróciłbym i ich odszukał? Jak bym się zachował w sytuacji wymagającej najwyższego poświęcenia, odwołania się do najgłębszych pokładów charakteru? Ta tragedia inspirowała moją chęć sprawdzenia samego siebie. Pragnąłem się przekonać, kim jestem: człowiekiem, który umarłby, czy też człowiekiem, który przezwyciężyłby okoliczności, by pomóc sobie i innym. Chciałem nie tylko wybrać się w Himalaje, by zdobyć najwyższy szczyt, ale też zbadać głębię własnego ducha.

Tak więc 8 marca 1998 roku wyruszyłem na samotną zimową wspinaczkę na szczyt Humphreys, najwyższy szczyt Arizony. Mark pożyczył mi rakiety śnieżne, czekan i podręcznik alpinisty, uprzedzając, żebym przeciwiczył techniki posługiwania się czekanem opisane w książce. Wyruszyłem na północ z rejonu narciarskiego Snowbowl, osiem kilometrów na północny zachód od Flagstaff, i przez dwie godziny brnąłem przez las sosnowy na raketach. Przeszedłszy trzy kilometry, znalazłem się na łące u podnóża długiego pola śnieżnego. Wziąłem do ręki czekan Marka i pokonałem siedemset pięćdziesiąt metrów umiarkowanie nachylonego zbocza, prowadzącego na grań szczytową, gdzie zostawiłem rakiety na pastwę burzy. Miejscami chmury były tak gęste, że nie widziałem ekspozycji po prawej stronie grani, trzymałem się więc lewej, która była z kolei bardziej narażona na podmuchy wiatru. Po trzydziestu minutach wędrówki wzdłuż skalistej

86

krawędzi pradawnego krateru wulkanicznego drżałem na całym ciele od lodowatych podmuchów, ale w końcu znalazłem szczyt, gdzie przycupnąłem za ułożonym ludzką ręką murem z kamieni, na wysokości prawie czterech tysięcy metrów. Od strony chmur na południu dobiegły trzy grzmoty, którym towarzyszył błysk.

Nie mogłem pozostać na szczycie i narażać się na uderzenie pioruna, ale nie chciałem też opuszczać schronienia za kamiennym murem. Przez jedną ulotną chwilę czułem to samo co tamta kuląca się grupa zagubionych wspinaczy na South Col. Tutaj, w swej własnej zimowej szadzi, samotny, przygnębiony i senny, zrozumiałem nieco lepiej, jak chęć czekania na lepszą sytuację może się w skrajnych przypadkach przerodzić w śmiertelną apatię. Wziąłem się w garść i opuściłem kryjówkę, by stawić czoło burzy. Wlepiłem wzrok w jednolitą zasłonę mglistej szarości, a potem, zmagając się z wiatrem, spojrzałem na kompas, by wybrać grań, którą mógłbym zejść. Moje ślady pozostawione w trakcie wspinaczki zniknęły w ciągu dosłownie sekund.

Schodząc z wysiłkiem na dół, szukałem wzrokiem raket śnieżnych Marka. Pozostawiłem je na grani u szczytu pola śnieżnego, zaznaczając miejsce, gdzie powinienem skierować się ku lasowi dającemu osłonę przed burzą. Poprzez wycie wichru usłyszałem jakiś syczący dźwięk, który dobiegał z mojego plecaka.

Przystanąłem, żeby to sprawdzić, i zobaczyłem małe niebieskie iskry, przebiegające między stalowymi czubkami moich kijków narciarskich. W sposób absolutnie bezmyślny przytwierdziłem je do plecaka tak, że wystawały na wysokość około metra ponad moją głowę, przyciągając wyładowania elektryczne. Zrzuciłem z siebie plecak i zanurkowałem w śnieg. Jeszcze nigdy nie poruszałem się równie szybko po zboczu góry. Dysząc, przyciągnąłem plecak i zacząłem się zsuwać z grani na brzuchu. Kiedy poczułem się na tyle bezpiecznie, by wstać, rzuciłem się do panicznej ucieczki. Po minucie zwolniłem - dzięki chwilowemu prześwitowi w chmurach dostrzegłem nieco wyżej rakiety śnieżne Marka. Wróciłem po nie zostawiwszy plecak w śniegu, a dwie godziny później, już bez jakichkolwiek przygód, dotarłem do samochodu.

Podczas tej pierwszej wspinaczki na szczyt Humphreys wyrobiłem w sobie pewne nawyki, które stały się moją rutyną - samotna wędrówka, wspinaczka w burzy śnieżnej, podejmowanie odpowiedniej decyzji co do

drogi wspinaczkowej w trudnych warunkach, szczęśliwe unikanie pioru-

87

nów. Nabrałem też wtedy pewności siebie - moja świadomość wystrzyła

się, co pozwoliło mi pełniej zasmakować życia.

* * *

Po tej przygodzie na szczycie Humphreys rozmawialiśmy często z Markiem o moich planach związanych z samotną zimową wspinaczką na wszystkie czterotysięczniki w Kolorado. Mark wiedział, że jestem zbyt niedoświadczony, żeby zrealizować tak ryzykowny zamiar, ale zdawał sobie sprawę, że jestem zdecydowany tego dokonać. Nauczył mnie podstaw: jak należy się wspinać, operować liną, unikać lawin i chodzić po śniegu. Wybieraliśmy się na wyprawy wspinaczkowe na terenie środkowej Arizony i ćwiczyliśmy w ośrodku szkoleniowym w Tempe, i wreszcie, w weekend przed Świętem Pracy w roku 1998, Mark wziął mnie i mojego przyjaciela Howarda na pierwszą techniczną wspinaczkę na szczyt Vestal w górach San Juan w Kolorado.

Szczyt Vestal był szczególnie pamiętny, ponieważ Mark nauczył nas panować nad strachem w trakcie pokonywania siedemsetmetrowej ściany granitu, której szczyt znajdował się na wysokości niemal czterech tysięcy metrów. W połowie północnej ściany podeszwy moich butów wspinaczkowych odpadły jedna po drugiej w odstępie kilku minut; mocowania obcasów nie wytrzymały trudów wspinaczki i rozeszły się. Wyższą część trasy musiałem więc pokonać w czymś, co przypominało masywne klapki.

Pomimo zawodnego sprzętu dotarliśmy na szczyt, a ja czułem nawet niedosyt i żal, że to już koniec zabawy. Na górze Mark zapoznał mnie ze swoim ulubionym rytuałem, jakim było spożycie wędzonej ryby i krakersów, tradycja, którą podtrzymywaliśmy przy każdym zdobytym przez nas szczycie. Robiliśmy sobie zdjęcia, a mój promienny uśmiech z ustami pełnymi na wpół przeżutej ryby wyrażał zachwyt, że oto jestem na wierzchołku góry z najlepszymi przyjaciółmi, przewyciężywszy tego dnia własny strach.

* * *

Kiedy moja siostra rozpoczęła jesienią 1998 roku naukę w college'u, przeprowadziła się na tereny północno-zachodniego Teksasu, które mogły przyprawić psa preriowego o depresję. Chcąc podzielić się z nią radością, jaką odkrywałem podczas swoich wypraw, zaproponowałem, by wybrała się ze mną do jednego z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykol-

88

nów. Nabrałem też wtedy pewności siebie - moja świadomość wystrzyła

się, co pozwoliło mi pełniej zasmakować życia.

* * *

Po tej przygodzie na szczycie Humphreys rozmawialiśmy często z Markiem o moich planach związanych z samotną zimową wspinaczką na wszystkie czterotysięczniki w Kolorado. Mark wiedział, że jestem zbyt niedoświadczony, żeby zrealizować tak ryzykowny zamiar, ale zdawał sobie sprawę, że jestem zdecydowany tego dokonać. Nauczył mnie podstaw: jak należy się wspinać, operować liną, unikać lawin i chodzić po śniegu. Wybieraliśmy się na wyprawy wspinaczkowe na terenie środkowej Arizony i ćwiczyliśmy w ośrodku

szkoleniowym w Ternie, i wreszcie, w weekend przed Świętem Pracy w roku 1998, Mark wziął mnie i mojego przyjaciela Howarda na pierwszą techniczną wspinaczkę na szczyt Vestal w górach San Juan w Kolorado.

Szczyt Vestal był szczególnie pamiętny, ponieważ Mark nauczył nas panować nad strachem w trakcie pokonywania siedemsetmetrowej ściany granitu, której szczyt znajdował się na wysokości niemal czterech tysięcy metrów. W połowie północnej ściany podeszwy moich butów wspinaczkowych odpadły jedna po drugiej w odstępie kilku minut; mocowania obcasów nie wytrzymały trudów wspinaczki i rozeszły się. Wyższą część trasy musiałem więc pokonać w czymś, co przypominało masywne klapki.

Pomimo zawodnego sprzętu dotarliśmy na szczyt, aja czułem nawet niedosyt i żal, że to już koniec zabawy. Na górze Mark zapoznał mnie ze swoim ulubionym rytuałem, jakim było spożycie wędzonej ryby i krakersów, tradycja, którą podtrzymywaliśmy przy każdym zdobytym przez nas szczycie. Robiliśmy sobie zdjęcia, a mój promienny uśmiech z ustami pełnymi na wpół przeżutej ryby wyrażał zachwyt, że oto jestem na wierzchołku góry z najlepszymi przyjaciółmi, przewyciężywszy tego dnia własny strach.

* * *

Kiedy moja siostra rozpoczęła jesienią 1998 roku naukę w college'u, przeprowadziła się na tereny północno-zachodniego Teksasu, które mogły przyprowadzić psa preriowego o depresję. Chcąc podzielić się z nią radością, jaką odkrywałem podczas swoich wypraw, zaproponowałem, by wybrała się ze mną do jednego z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykol-

88

wiek widziałem - nad wodospady kanionu Havasupai, na południowy zachód od Parku Narodowego Wielkiego Kanionu. W języku ludów, które zamieszkiwały kanion przez setki pokoleń, Havasupai oznacza „ludzi znad niebieskozielonych wód”, od wodospadów w dolnej części kanionu. Są cztery główne, najwyższe ma sześćdziesiąt metrów wysokości - woda spływa z progów skalnych do głębokich turkusowych sadzawek, które wypełniają wąwóz od ściany do ściany.

Zjawiliśmy się na miejscu w Święto Dziękczynienia roku 1998 i pokonując szesnaście kilometrów od płaskowyżu do kanionu Havasupai, minęliśmy wioskę liczącą około dwustu mieszkańców. Ponieważ nie prowadzi do niej żadna droga, wszystko jest dostarczane na miejsce małymi helikopterami i na grzbietach osiołków. Znajduje się tam jedyna w całych Stanach poczta, którą wciąż obsługują zwierzęta juczne. Miejscowi dysponują naziemną linią telefoniczną, kanalizacją i elektrycznością - o czym świadczy głośna muzyka reggae, która dobiega zza zasłonek z wizerunkiem Boba Marleya, wiszących w co trzecim domu-przyczepie. Większość młodych mieszkańców już dawno wyrzekła się uprawiania ziemi na własne potrzeby, czego dowodem są zarośnięte polećka przed ich prowizorycznymi siedzibami - działki, które uprawiali jeszcze ich rodzice i dziadkowie.

Minąwszy wioskę i wodospad Nawaho, najmniej malowniczy, ale najszerszy z czterech wspomnianych, wczesnym popołudniem dotarliśmy do Havasupai i strefy kempingowej. Havasupai jest najbardziej spektakularny - jego olśniewający strumień spada z wysokości ponad czterdziestu pięciu metrów wzdłuż kasztanowej ściany trawertynu do głębokiej sadzawki ogrzewanej przez promienie słońca. To magiczne miejsce przyciąga niezliczonych turystów, co wiąże się z ogromnym ruchem, choć miejscowym udaje się skoncentrować główną uwagę przyjezdnych na najwyższej kaskadzie, czyli liczącym prawie siedemdziesiąt metrów wodospadzie Mooney. Rozbiliśmy się mniej więcej pośrodku strefy kempingowej, zostawiliśmy rzeczy i sprzęt, po czym wyruszyliśmy w głąb kanionu.

Po kilku minutach, które upłynęły od opuszczenia obozowiska, zbliżyliśmy się do krawędzi wodospadu Mooney, którego piękno i olśniewający kolor zaparły nam dech w piersiach. Dopiero po dobrej chwili wymamrotaliśmy zgodnie: „Rany!”. Popatrzyliśmy w dół, na wysepki bujnej zielonej trawy, na wspaniałe, odbijające żółty blask słońca liście topoli amerykańskich, piaszczyste łachy upstrzone zbiegającymi pniami drzew i na

89

formacje skalne z wiśniowoczerwonego trawertynu o niezwykle płynnych liniach, zdobiące kanion na podobieństwo kurtyn pod błękitnym niebem, które rozciąga się od ściany do ściany.

Wędrując systemem tuneli, a potem trzymając się przykutego do skał łańcucha i zsuwając się w dół po kamieniach, dotarliśmy pod wodospad, gdzie niewyraźny szlak ginął w wysokich kępach trawy, która wystrzelała z piaszczystych łach. Brodząc w wodzie, pokonaliśmy pięć kilometrów i dotarliśmy do wodospadu Beaver - połączonych ze sobą tarasowych sadzawek, które w przeciwieństwie do wyżej położonych wodospadów oglądają tylko nieliczni. Tutaj trawertyn tworzy zapory w poprzek strumienia, ten zaś spływa po sadzawkach w kształcie podkowy, jedna pod drugą. Wodospad ma wysokość około piętnastu metrów, a woda rozlewa się w dole wzdłuż długiego na sześćdziesiąt metrów korytarza biegnącego dnem kanionu. Przypominało mi to źródła termalne, które odwiedziłem z rodziną ponad dziesięć lat wcześniej w Yellowstone. W odległości ośmiu kilometrów za wodospadem Beaver rzeczka wpada do wąskiego tunelu, gdzie turkusowe wody Havasupai łączą się bezpośrednio z błotni-stobrzązowym nurtem rzeki Kolorado na dnie Wielkiego Kanionu. Nie mieliśmy czasu, by dojść do samej rzeki, więc siostra usiadła na kamieniu ponad wodospadem, a ja, balansując na trawertynowych zaporach, ruszyłem ku zachodniemu brzegowi strumienia. Nie czułem się pewnie w przemoczonych sandałach, ale zdołałem się przedostać na półkę skalną, gdzie opuncje tworzyły coś w rodzaju bariery. Chciałem się wspiąć wyżej, omijając jakoś ten ogród wysokich na metr kaktusów, i dotrzeć do szerszych zapór, skąd łatwiej byłoby wrócić na wschodnią stronę. Najlepszą strategią wydawała się wspinaczka po skale na wysokość trzech metrów ponad półkę, a następnie przejście nad kaktusami. Zdecydowałem się na to, pomimo wątpliwości, czy stromy i mokry trawertyn będzie stanowił dobre oparcie dla moich sandałów.

Po pierwszych pięciu ruchach od prawej do lewej, zawieszony nad największą z opuncji, od której dzieliła mnie odległość równa mojemu wzrostowi, odszukałem lewą dłoń punkt oparcia i przybrałem pozycję podobną do litery X. Kiedy przenosiłem ciężar ciała na wyciągniętą lewą stopę, trawertyn się odłamał, a gwałtowny ruch mojego ciała sprawił, że wystający kawałek skały, którego się trzymałem prawą dłoń, też nie wytrzymał. Nagle poczułem, jak zsuwam się po ścianie, szorując o nią

90

czubkami sandałów, twarzą do skały. Gałęzie i kaktusy tworzyły naturalne półkole pod ścianą, a przy krawędzi znajdowały się jeszcze dwa osobne kaktusy. Zerknąłem w dół, a kolczaste krzewy opuncji zmieniły się w moich oczach w groteskowy uśmiech ogromnej żarłocznej muchołówki, która lada chwila będzie się rozkoszować niespodziewanym posiłkiem. Nim moje podeszwy zdążyły się zetknąć z wierzchołkiem kaktusa, odskoczyłem od ściany, wykonując w powietrzu półobrót, by ominąć najwyższą część kolczastej rośliny.

Moje stopy uderzyły o piasek, a ja wylądowałem okrakiem na metrowym pędzie gruszkowatego kaktusa - czyli na nosie uśmiechniętej twarzy. Lądowanie byłoby bezpieczne, tyle że przyspieszenie zmusiło mnie do ugięcia kolan w celu zamortyzowania upadku. Kolczaste gruszkowate łapska kaktusa zetknęły się gwałtownie z delikatną wewnętrzną stroną moich ud. Wystrzeliłem jak z procy w powietrze. Stałem, krzywonogi, na półce skalnej nad trawertynowymi tarasami i sadzawkami niczym kowboj, który zsiadł z konia po długiej

jeździe. Krzyk mojej siostry: „Nic ci się nie stało?“, powstrzymał mnie od spojrzenia w dół jeszcze przez pięć sekund; odpowiedziałem: „Nie... ale spadłem na kaktus”.

Wygrzebałem się ostrożnie z kolczastego ogrodu, a potem opuściłem spodenki. Materiał moich długich szarych szortów upstrzony był czerwonymi kropkami krwi. W środku każdego z tych szkarłatnych oczek tkwiła długa na centymetr i pełna zadziarów igła. Po dwudziestu minutach udało mi się usunąć większość kolców, następnie ściągnąłem szorty, by poszukać mniejszych, podobnych włoskom szpileczek. Wyciągałem je po kolei i po pierwszej setce straciłem rachubę. Niemal godzinę później Sonja, przekrzykując hałas wodospadu, zawołała do mnie, żebym wciągnął spodenki, ponieważ zbliżają się jacyś turyści. Wcisnąłem szorty do kieszeni i przeszedłem na jej stronę, żeby sprawdzić, kto to taki. Okazało się, że to dwójka ludzi, zresztą jedynych, jakich widzieliśmy po opuszczeniu wioski - dwaj towarzyszy faceci w moim wieku, także z Phoenix, którzy zmierzali do obozu nad Kolorado. Chciałem zobaczyć jeszcze niższy odcinek Havasupai, ale ponieważ siostra nie miała wielkiej ochoty na liczącą dwadzieścia pięć kilometrów wyprawę tam i z powrotem, umówiłem się z Jean-Markiem i Chadem na spotkanie rano o dziesiątej nad rzeką, skąd mieliśmy wspólnie wyruszyć na tę wędrówkę.

Zawróciliśmy, by pokonać w przygasającym świetle-dnia tunele wodo-

91

spadu Mooney. Po dotarciu do obozu zjedliśmy kolację składającą się z indyka na zimno i krakersów, które stanowiły dodatek do głównego dania, czyli makaronu zapiekanego z sosem serowym. Nie było to nic wyszukanego, nawet jak na takie warunki, ale przecież nie zjawiliśmy się tam po to, by raczyć się obfitym posiłkiem z okazji Święta Dziękczynienia - najbardziej cieszyliśmy się z tego, że spędzamy razem czas w tak inspirującym miejscu. Po deserze z batonów czekoladowych powiesiliśmy prowiant na drzewach, by uchronić go przed oposami i szopami, a potem schowaliśmy się do namiotu - dwoje samotnych użytkowników terenu biwakowego długości kilometra. Siostra przekręciła się na bok i zasnęła, a ja siedziałem jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut z zapaloną lampką i pęsetą w dłoni, starając się wyciągnąć pozostałe kolce opuncji ze skóry po wewnętrznej stronie ud. Moje zakłopotanie znacznie łagodziła świadomość, że nikt nie obserwuje tego osobliwego rytuału - wykrzywiałem nieporadnie ciało, tarłem się, podważałem i wyciągałem igły, krzywiłem twarz. Cały kanion należał do nas, czyli do mnie i mojej pęsety. Dopiero po tygodniu znalazłem i usunąłem ostatni kolec, cieniutki jak włos, wbity w lewy pośladek, oglądając w telewizji mecz futbolowy w swoim domu w Chandler.

Nazajutrz o siódmej rano ruszyłem w dół kanionu przy zapalanej czołówce, a potem szedłem strumieniem, rozbryzgując wodę, i podążałem szybko przez trawę i trzciny porastające piaszczyste łąchy i brzegi strumienia za wodospadem Beaver. Dotarłem o czasie na miejsce spotkania nad rzeką Kolorado, gdzie Jean-Marc i Chad poczęstowali mnie kawą świeżo zaparzoną na palniku turystycznym. Spędziliśmy kilka chwil na półkach skalnych, po stronie ujścia Havasupai, ponad, zdawałoby się, monstrialną Kolorado, rozważając szanse na kąpiel przy południowym brzegu rzeki. Chad zaczął brodzić w strumieniu Havasupai, żeby zrobić zdjęcie linii styku, gdzie przezroczyste wody z kanionu spotykają się z szaleństwem czarnego jak opal nurtu Kolorado.

Co mnie opętało, żeby ruszyć w ślad za Chadem do wody, minąć go, wspiąć się na ostatnią skałę, w miejscu, gdzie strumień łączy się z rzeką, po czym rzucić się w odmętę Kolorado w ubraniu, bez kamizelki ratunkowej... No cóż, wtedy wydawało się to doskonałym pomysłem. Chad

92

zdołał zrobić mi zabawne zdjęcie, jak wyskakuję w powietrze, pędząc bezmyślnie ku kłęsce, ale gdyby wraz z przyjacielem nie zdecydowali się w następnych chwilach na szybkie działanie, byłaby to ostatnia fotografia, którą ktokolwiek by mi zrobił. Kiedy zanurkowałem, a potem wypłynąłem, temperatura wody - hipotermiczne dziesięć stopni Celsjusza, o dwadzieścia mniej niż w tropikalnie ciepłym strumieniu Havasupai - pozbawiła mnie tchu.

Moja gruba koszula z długimi rękawami i spodnie zamieniły się w pięćciokilowy balast, a buty do biegania ciągnęły stopy w dół jak ołowiane ciężarki, kiedy prąd niósł mnie wzdłuż granicy długiego na piętnaście metrów wiru. Wierzgając nogami, by zsunąć buty ze stóp, zacząłem mocno pracować rękami i rzuciłem się w prąd wirowy, w odległości półtora metra od brzegu. Zauważyłem, że nie zbliżam się ani o centymetr do stałego lądu. Kolisty wir był zbyt silny, bym mógł go przezwyciężyć. Uderzając raz za razem ramionami, patrzyłem, jak brzeg przesuwa się nieubłaganie. Chad i Jean-Marc, którzy obserwowali mnie cały czas, zawołali: „Aron, potrzebujesz pomocy?”. Kierowany dumą, odrzyknąłem: „Nie, dam radę”, i jednocześnie po raz pierwszy zachłysnąłem się wodą.

Chad musiał dostyszeć panikę w moim głosie, ponieważ skoczył na półkę skalną za niewielką łachą piasku i ruszył w stronę obozowiska oddalonego o jakieś dziesięć metrów, podczas gdy ja obracałem się bezradnie. Wir odpychał mnie od brzegu, a potem porywał główny nurt rzeki - powtarzało się to .bezustannie. Gdy tylko próbowałem rozpiąć koszulę, żeby zmniejszyć opór, natychmiast szedłem pod wodę; mocowałem się z jednym guzikiem i od razu musiałem znów zaczerpnąć powietrza. Lodowaty uścisk Kolorado gniótł mi klatkę piersiową, zamieniając oddech w płytkie i szybkie sapanie. Kiedy trzykrotnie połknąłem wodę i zanurzyłem się po raz drugi, porzuciłem pomysł ze zdjęciem koszuli. W dole strumienia, na odcinku tysiąca metrów, ściany kanionu wystrzelają wprost z wody pod postacią wysokich na sto metrów urwisk, aż rzeka skręca w prawo i znika za skałami. Wiedziałem, że jeśli porwie mnie poza nurt strumienia Havasupai, to utonę, zanim będę miał kolejną szansę wydostania się na brzeg, i że prąd wyrzuci moje ciało sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, na plażę gdzieś na krańcach jeziora Mead. Przed oczami mignął mi nagłówek w gazecie: INŻYNIER IDIOTA TOPI SIĘ W WIELKIM KANIONIE, CIAŁO ZNALEZIONO W JEZIORZE MEAD.

93

Zmagałem się z nurtem, próbując pokonać prąd strumienia. Po chwili poczułem, że znosi mnie poza jego linię, i krzyknąłem rozpaczliwie: „Na pomoc! Na pomoc!”.

Chad był już na półce skalnej, wróciwszy z obozu.

- Jean-Marc, tutaj! - zawołał i cisnął zwiniętą linę towarzyszowi, który znajdował się jakieś pięć metrów ode mnie.

- Aron, łap!

Rzucił linę, ale wylądowała w samym środku prądu, w górnej części strumienia, daleko ode mnie, i szybko znalazła się poza moim zasięgiem.

- Ughh - jęknąłem.

Wciąż starałem się z całych sił dopłynąć do brzegu. Paraliżowało mnie zimno, drętwiały mi nogi i ramiona, całe ciało. Jean-Marc wciągnął linę i znów ją rzucił, ale wir już przesunął mnie poza łachę, w kierunku niepowstrzymanej siły Kolorado. Walcząc z nurtem, wierzgałem odrętwiałymi nogami i uderzałem ramionami w stylu wolnym. Nie widziałem, jak Jean-Marc podaje linę Chadowi, ale kiedy pięć sekund

później znów znalazłem się w objęciach wiru, Chad zdążył już rzucić linę i teraz krzyczał:

- Aron, łap ją! Łap! Jest tam!

Sięgnąłem w prawo i złapałem cienką czarną linę, która dryfowała w prądzie. Chad szarpnął jej koniec, żeby mnie przyciągnąć, ale lina wysunęła mi się z mokrej dłoni. Niemal utonąłem, przygnieciony ciężarem rozczarowania. Pewien, że nie przeżyję kolejnej walki z prądem strumienia, zawołałem błagalnie:

- Pomocy! Rzuć ją jeszcze raz!

Moje uderzenia ramion były rozpaczliwe, ale coraz słabsze. Rzut musiał być perfekcyjny. Trzy sekundy później lina znów poleciała w powietrze i oplotła mi prawy bark. Cud! Chwyciłem ją obiema dłońmi i dwukrotnie owinąłem nią sobie lewy nadgarstek, odczuwając coraz większą słabość. Zacerpnąwszy po raz ostatni powietrza, zanurzyłem głowę w wodzie i poczułem, jak lina się naprężyła, wgryzając się w moją rękę, ale nie zwracałem na to uwagi. Miałem tylko nadzieję, że lina wytrzyma. Najpierw o piasek zaszorowały moje ręce, potem ramiona, wreszcie pierś; po chwili Jean-Marc chwycił mnie pod pachy. Czułem mdłości, byłem przemarznięty, wypompowany i apatyczny. Nic mi już nie groziło, ale przygniatało mnie nieopisane wyczerpanie. Usłyszałem jakiś głos:

94

- Możesz oddychać?

Skinąłem głową.

- Dziękuję... - zdołałem wysapać między jednym i drugim zdławionym oddechem, leżąc z głową między wyciągniętymi rękami i wciskając twarz w piasek.

- Jezu, niewiele brakowało, żebyś zginął! - powiedział zdenerwowany i zestresowany Jean-Marc.

Chad był spokojniejszy.

- Wszystko będzie dobrze. Jesteś bezpieczny. Jak się czujesz?

- Zimno mi. - Urwałem i wstrząsnąłem się. - Chyba... połknąłem... mnóstwo wody.

Przekręciłem się na plecy i usiadłem, potem wyciągnąłem powoli nogi ze strumienia i złapałem się za wzdęty brzuch, jęcząc z bólu; chciałem zwymiotować, ale byłem zbyt słaby, żeby się na to zdobyć.

Odpoczywałem dobre pięć minut, wpatrując się w strumień, gdzie

0 mały włos wydałbym ostatnie tchnienie. Potem się podniosłem z ziemi. Dostałem od Chada suchą bluzę sportową i zacząłem przechadzać się rozkołysanym krokiem, próbując odzyskać równowagę. Wciąż odczuwałem zimno i koniecznie musiałem się ruszać, jednak z powodu mdłości wywołanych wodą, której się opilem, miałem trudności z utrzymaniem pozycji wyprostowanej. Wspiąłem się pod czujnym okiem Jean-Marca na półkę skalną. Siedziałem tam i odpoczywałem, podczas gdy obaj zwijali obozowisko i pakowali sprzęt. Po jakimś czasie zaczęliśmy się odprężyć

1 kiedy adrenalina opadła, ogarnęła nas beztroska.

- Nie mogę uwierzyć, że ten ostatni rzut był taki szczęśliwy - zauważyłem. Życie zależało czasem od kilku sekund i centymetrów, co budziło moje zdumienie.

- A ja nie mogę uwierzyć, że zachowywałeś się w stylu „nie, nie potrzebuję pomocy, tonę, ale nic mi nie będzie” - żartował sobie ze mnie Chad.

Spojrzałem na niego i obaj zarechotaliśmy.

- Jesteście gotowi do drogi? Muszę przyspieszyć metabolizm.
- Tak, jesteśmy gotowi - odparł Jean-Marc. - Wkładaj buty.
- Och. Przepadły. Musiałem je zrzucić, kiedy byłem w rzece. Będę wracał w samych skarpetkach.

Moje buty płynęły już do Meksyku, a sandały zostawiłem na biwaku Havasupai.

95

- To ponad dwanaście kilometrów, człowieku. Weź moje sandały, są w plecaku.

Chad pochylił się, a ja zapiąłem rzepy przy butach. Gumowe sandały były na mnie za duże, ale to lepsze niż nic.

Im dłużej szliśmy, tym lepiej się czułem. Rozgrzałem się, a mój żołądek wchłonał wodę z rzeki. Wspominaliśmy całą akcję ratunkową i spytałem, czy Chad zrobił mi zdjęcie, a on potwierdził.

- W odpowiednim momencie, jak wykonywałeś ten zwariowany skok ze skały.
- Wobec tego warto było. Jeśli zdjęcie wyszło - odparłem sarkastycznie i uśmiechnąłem się. W duchu byłem zadowolony, że mam pamiątkę z tego najgłupszego wybryku w życiu.

Kiedy szliśmy do obozu, Jean-Marc wspomniał, że ma tam butelkę wódki Stolicznaja, i nagle się okazało, że to jedyna rzecz, o jakiej jesteśmy w stanie myśleć. Pozostałe pięć kilometrów pokonaliśmy błyskawicznie, przeskakując przez kłody drewna, rozbryzgując wodę i ślizgając się w strumieniu - krótko mówiąc, urządziliśmy sobie godzinny bieg, na którego końcu czekała nas happy hour w Havasupai. Ochocho opróżniliśmy prawie całą butelkę, a potem, już o zmierzchu, znaleźliśmy Sonję i wszyscy poszliśmy popływać w wielkiej sadzawce pod wodospadem Havasupai. Wciąż opowiadając sobie, jak to omal się nie utopiłem, przeszliśmy pod strumieniami wody i wytoniliśmy się w blasku księżyca jak potwory z Błękitnej Laguny. Dopiliśmy wódkę i wyszliśmy z wody dobrze po zmroku. Potem ułożyliśmy fałszywy list z wezwaniem o pomoc i włożyliśmy go do butelki, którą następnie wrzuciliśmy do wodospadu, by popłynęła ku swemu miejscu przeznaczenia. Wyobrażaliśmy sobie, że dociera aż do jeziora Mead, gdzie jakiś człowiek na skuterze wodnym znajduje naszą wiadomość: „Na pomoc! Znajdujemy się na terenie obozowiska w Havasupai. Natychmiast przyślij zapas wódki! Sytuacja kryzysowa! [podpisano] Jean-Marc, Chad i Aron, 29 listopada 1998 roku”.

Godzinę później, kiedy uznaliśmy, że najwyższa pora spać, wsunęliśmy się z Sonją do śpiworów. Opowiedziałem jej wtedy, jak było naprawdę nad rzeką Kolorado, już bez żartów:

- Bałem się, Sonja. Widziałem nagłówki w gazetach informujące o mojej śmierci. Myślałem, że koniec ze mną.

Popłakaliśmy sobie, a potem zasnęliśmy. Nazajutrz rano spakowaliśmy

96

rzeczy, szykując się do piętnastokilometrowej drogi, która dzieliła nas od samochodu, a następnie zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie obok wodospadu Havasupai, szczęśliwi, że mamy siebie. Jest to jedna z moich ulubionych fotografii, na których jesteśmy razem.

* * *

Do grudnia 1998 nie udało mi się zdobyć żadnego czterotysięcznika zimą. Zaliczyłem ich siedem, ale wszystkie w warunkach letnich. Planowałem zacząć od łatwiejszych, niezbyt technicznych szczytów na początku sezonu zimowego 1998-1999. Nawet te łatwiejsze góry wymagały wiedzy na temat bezpiecznej wędrówki śnieżnej i doświadczenia związanego z zimową pogodą. Podczas ostatniej wyprawy treningowej, na którą się wybraliśmy z Markiem przed moimi wakacjami zimowymi, podjęliśmy próbę zdobycia Engineer Mountain w południowo-zachodnim Kolorado, niedaleko Durango. Warunki były ciężkie z powodu zamieci, która tworzyła zasłonę śnieżną ograniczającą widzialność do piętnastu metrów. Po pokonaniu mniej więcej jednej trzeciej drogi przerwaliśmy wspinaczkę i spędziliśmy późny ranek i wczesne popołudnie na kopaniu dziur w śniegu, na próbę, by przećwiczyć badanie pokrywy śnieżnej. Mark pokazał mi, jak sprawdzać jej warstwy pod względem twardości, gęstości i ryzyka lawinowego. Miały to być rutynowe działania podczas zdobywania czterotysięczników

Dwa dni później, po jednym z moich największych szaleństw narciarskich - w Wolf Creek, na metrowej pokrywie sypkiego śniegu - pojechaliśmy do Alamosa moim wyładowanym po brzegi sportowym coupe, by wynająć pokój w motelu i odzyskać siły po narciarskim szaleństwie. Regularnie uprawialiśmy ten sport podczas wielkich opadów w 1997 roku, biwakując zwykle przy minusowych temperaturach w części bagażowej tacomy Marka, na parkingach dla narciarzy. Siedzieliśmy na tylnej klapie wozu i jedząc owsiankę wprost z garnka stojącego na palniku, obserwowaliśmy innych narciarzy. Tym razem nasz przyjazd miał szczególne znaczenie, ponieważ Mark przeprowadzał się do Alamosa, gdzie miał pracować zimą.

Rano rozstaliśmy się i pojechałem na północ, w stronę Fairplay w środkowym Kolorado. Planowałem zdobyć samotnie szczyt Quandary przed odwiedzinami u rodziców na Boże Narodzenie. Szczyt ten, ze

97

względem na łatwe podejście zimą i krótki grzbiet, jest jednym z prostszych czterotysięczników, o niewielkim ryzyku lawiny - idealny teren doświadczalny, na którym mogłem przetestować swoje umiejętności i metody samotnej wspinaczki. Ranek 22 grudnia był czysty i zimny, jednak szczyty omiatał silny wiatr. Kupiłem od Marka jego stare rakiety śnieżne i gdy przyczepiłem je do swoich wodoodpornych skórzanych butów, ogarnął mnie dreszcz dziecięcego podniecenia; czułem, że nie jest to po prostu jeszcze jedna typowa wyprawa. Ta wspinaczka na liczący 4348 m n.p.m. szczyt Quandary stanowiła pierwszy etap trudnego zadania, początek mojego wielkiego planu. Stałem na krawędzi lasu z szeroko rozpostartymi ramionami, przejęty chwilą, w której przygotowania przeradzają się w konkretne działanie.

Wiatr uderzający mnie w twarz skupiał moją uwagę przez niemal całą dość łagodną wspinaczkę. Brnąc po śniegu ku wysokości, na której drzewa rosną bardziej horyzontalnie niż pionowo, starałem się iść z nisko pochyloną głową, by gogle nie pokryły się od wewnątrz szronem. Niebawem ominąłem kłocowate krzewy jałowca. Wyżej wiatr zamiatał śnieg, pokrywając jego warstwą upstrzoną skałami tundrę. Zostawiłem rakiety na szerokim grzbiecie pagórka, mniej więcej na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów. Spojrzałem w kierunku południowo-zachodnim, gdzie w pobliżu Lincoln widać było wyraźnie grupę czterotysięczników. Podmuchy wiatru wdzierały się przez otwory wentylacyjne w goglach, wywołując łzawienie oczu; w moim polu widzenia kołysały się oszronione szczyty pod lazurowym niebem.

Wspinałem się coraz wyżej, zostawiając za sobą atmosferę przesyconą zanieczyszczeniami, a niebo zaczynało

ukazywać całe spektrum barw, od śródziemnomorskiego błękitu, poprzez gładki kobalt, aż po indygo. Wyobrażałem sobie, że mógłbym się wspinać aż do chwili, gdy przybrałoby kolor czerni, i miałem przez kilka godzin wrażenie, że w moim świecie, w przeciwieństwie do świata innych ludzi, niebo ma inny kolor. Pomyślałem też o prawdopodobieństwie, że jestem najwyższym człowiekiem w Kolorado, i przypuszczenie to wydało mi się jak najbardziej usprawiedliwione - naprawdę nikt nie atakuje czterotysięczników zimą. A zważywszy na to, że nie był to też sezon wspinaczkowy w przypadku innych wysokich gór Ameryki Północnej, mogłem zakładać, że jestem też najwyższym człowiekiem na całym kontynencie.

98

Temperatura obniżona przez lodowaty wiatr oscylowała wokół minus trzydziestu stopni i przekonałem się, jak naiwny był mój plan, by trzymać skromne zapasy żywności w kieszeniach spodni. Na szczycie zorientowałem się, że woda w butelkach, które kupiłem w sklepie, zamarzła całkowicie, a batony czekoladowe pokryły się w papierowych opakowaniach szronem. Okazały się niejadalne, choć ssałem je jak lody na patyku, aż zlizalem z orzechowego nadzienia warstwę czekolady.

Schodząc przy wietrze wiejącym mi w plecy, niemal sfrunąłem ze szczytu i sadząc wielkimi susami, dotarłem do moich rakiet. Ulga, jaką dawało uwolnienie się od fizycznego stresu wspinaczki, stanowiła okazję, by uczcić swój wyczyn. Nałożyłem rakiety i zacząłem analizować miniony dzień. Zastanawiałem się zwłaszcza nad tym, jak skutecznie chronić żywność i wodę przed zamrożeniem podczas zdobywania góry - nie zawsze wyprawa byłaby tak krótka, że mógłbym się obejść bez jedzenia i picia. Prawdę mówiąc, głód skręcał mi wewnątrzności, a język stwardniał jak kołek. Potrzebowałem posiłku i czułem głębokie rozczarowanie, że bez żadnej korzyści niosę balast zamrożonego jedzenia i wody.

Wróciłem do samochodu i wyruszyłem w dwugodzinną podróż do domu i rodziców, rozpierany radością z powodu udanego początku swojego wysokogórskiego projektu. Wiedziałem, że czekają mnie następne sukcesy i szanse doskonalenia techniki przy samotnych wspinaczkach zimowych, ale ten pierwszy raz podnosił mnie na duchu przez cały rok, do grudnia 1999, gdy wspiąłem się na swój drugi czterotysięcznik. Wcześniej jednak, w związku z pracą zawodową, przeprowadziłem się do stanu Waszyngton, co umożliwiło mi kolejne wspinaczki, pozwalające osiągnąć wyższy stopień umiejętności. Moja szybkość znacznie wzrosła - potrafiłem w ciągu godziny pokonać niemal pionowe zbocze wysokości tysiąca metrów, niosąc dziesięciokilogramowy plecak. Nabrałem wprawy w posługiwanie się rakami na śniegu, lodzie i skalnym podłożu. Ćwiczyłem także z partnerami akcje ratunkowe w lodowych szczelinach i grupową technikę pokonywania lodowców w trakcie przygotowań do wejścia na oblodzone szczyty - Rainier, Baker i Shuksan. Podczas sześciu miesięcy spędzonych w Waszyngtonie nie było ani jednego tygodnia dobrej pogody (pod koniec lata na górze Baker padł światowy rekord opadów śniegu), ale mimo to nie pamiętam weekendu, bym nie ćwiczył wspinaczki. Odkryłem, że jeśli czekam na odpowiednią pogodę, to nigdy

99

niczego nie osiągam, zmagalem się więc z przemoczoną odzieżą, pokrytym pleśnią namiotem, chłodnymi nocami w środku lata, nie wspominając już o niezbyt ciekawych widokach, które rozciągały się ze szczytów otulonych gęstymi chmurami.

Na górze Rainier przekonałem się, co to znaczy siedzieć na odsoniętym biwaku, gdy wraz z moim partnerem, Paulem Buddem, zdobyliśmy szczyt, wchodząc od strony drogi Kautz Ice Chute, a potem - z powodu niedostatecznej liczby śrub lodowych, paskudnych piorunów i burzy śnieżnej - schodząc standardową drogą Dissapointment Cleaver. Pozostawiwszy sprzęt biwakowy, jedzenie i zapas wody na

wysokości trzech tysięcy trzystu metrów po drugiej stronie góry, drżeliśmy przez osiem godzin na trzech tysiącach metrów, podczas gdy dwudziestopięciostop-niowy mróz pozbawiał nasze ciała ciepła. Podczas tej epickiej wyprawy pokonaliśmy cztery i pół tysiąca pionowych metrów w ciągu dwudziestu czterech godzin (musieliśmy ponownie wspiąć się na szczyt, by odzyskać sprzęt) i z powodu burz obywaliliśmy się przez sześćdziesiąt sześć godzin bez snu.

Paul i ja zdobyliśmy się na gigantyczny wysiłek, który pozwolił mi odkryć nowe pokłady siły i wytrzymałości. Zostały one wystawione na ciężką próbę podczas następnego weekendu, kiedy wróciłem tu ze swoim przyjacielem Hudsonem Cole'em z Arizony, po czym pokonaliśmy za jednym zamachem drogę Dissapointment Cleaver. Droga z bazy na szczyt i z powrotem zabrała nam czternaście godzin. Czując zew wspinaczki i chęć sprawdzenia samego siebie, przyłączyłem się do grupy trzech towarzyszy z ACME Mountain Club, by wejść wraz z nimi od północnej strony na Shuksan, jedną z najpiękniejszych gór na świecie. Jej zdobycie zaliczam do swoich największych osiągnięć. Jednak podejście pod ścianę stanowiło synonim przysłowia „Jeśli chcesz dostać się do nieba, najpierw musisz przejść przez piekło”. Nasz zespół przedzierał się przez tak gęste poszycie leśne, że zerwało mi ono z plecaka młotek, a ja nawet tego nie zauważyłem. Zgubiłem też naszą jedyną mapę, potykając się co drugi krok na stromym zboczu, w dodatku pokrytym śliskimi gałęziami olchowymi grubości pięciu centymetrów. Na szczęście dobrze znaliśmy drogę, nauczywszy się jej wcześniej na pamięć, mogliśmy więc kontynuować wędrówkę, choć przez osiem nocnych godzin zdołaliśmy przebyć jedynie półtora kilometra.

100

Rankiem byliśmy wyczerpani morderczym podejściem. Po zorientowaniu się za dnia, gdzie dokładnie jesteśmy, pokonaliśmy północną grań wysokości tysiąca siedmiuset metrów i ucieliśmy sobie godzinną drzemkę. W południe, poganiając się nawzajem, związaliśmy się liną, by nie wpaść do jakiejś szczeliny, kiedy będziemy pokonywać lodowiec. Trzysta metrów wyżej, pośrodku mostka łączącego dwa lodowce północnego zbocza, gdy wraz ze swoim partnerem, z którym byłem związany liną, leżeliśmy na lawinisku, usłyszeliśmy dochodzące z góry odległe dudnienie.

Nasi towarzysze z przodu zaczęli krzyżeć, żebyśmy uciekali. Nie patrząc na siebie nawzajem, ruszyliśmy pędem w dwóch różnych kierunkach, więc lina naprężyła się mocno, wstrzymując nas komicznie. Była to chwila, którą potem wspominaliśmy, zanosząc się śmiechem, ale w tamtym momencie byłem bliski skrajnej paniki. Odwróciłem się do Bruce'a. „TĘDY!”, wrzasnąłem, przekrzykując coraz głośniejszy grzmot, i szarpnąłem linę.

Obaj rzuciliśmy się biegiem przez pole śnieżne ogarnięci ślepym przerażeniem. Szybkie poruszanie się w ciężkich górskich butach i rakach, z ponaddwudziestokilowymi plecakami, okazało się istnym koszmarem. Czas zwolnił; wydawało się, że biegniemy w miejscu. Nagle grzmot się nasilił, a potem ucichł, jakbym wszedł do dźwiękoszczelnego pomieszczenia. Odważyłem się zerknąć przez ramię.

Z lodowego klifu nad naszymi głowami, w połowie trawersu, wyleciał w powietrze głąz wielkości i kształtu autokaru, obracając się i kołyszac gwałtownie niczym wykopana w górę jajowata piłka futbolowa. Stanąłem jak wryty i wrzasnąłem do Bruce'a: „UCIEKAJ! NIE ZATRZYMUJ SIĘ!”. Nie potrafiłem powiedzieć, czy znalazł się już poza rejonem lądowania głązu; mieliśmy tylko dwie sekundy, żeby się o tym przekonać.

W ciągu tych wydłużonych sekund Bruce nawet nie spojrzał w górę, tylko jeszcze szybciej ruszył w moją stronę. Chwyciłem linę i zacząłem ciągnąć, kiedy biegł, uważając, by nie zaplątała się w jego raki. Twarz Bruce'a wykrzywił wściekły grymas, kiedy gargantuiczny głąz zakończył swój meteorytowy lot w potężnej eksplozji śniegu pięćdziesiąt metrów wyżej i - dzięki Bogu - ze czterdzieści metrów od Bruce'a. Ten wielki

fragment skały, którego pęd został przez ziemię tylko częściowo zamortyzowany, zsunął się po naszych śladach niczym wykolejony wagon pocią-

101

gu, przyspieszając uparcie, aż dotarł z szybkością wozu wyścigowego do krawędzi szczeliny.

Grzmot ucichł. Żaden z nas nie mógł uwierzyć, że to wszystko rozegrało się tak szybko. Bruce w ogóle nie widział tego potężnego kamienia; wciąż uciekał, kiedy głaz zsuwał się z lodowca. Uniknęliśmy tragedii

0 włos i teraz zawzięcie klepaliśmy się po plecach.

- Nikt nie musi zmieniać bielizny? - zażartował jeden z pozostałych chłopaków.

Byliśmy roztrzęsieni i chcieliśmy odpocząć, ale pragnęliśmy też kontynuować wspinaczkę i rozbić obóz na dużej wysokości, zanim popołudniowe światło zacznie przygasać.

Ci dwaj, którzy prowadzili na odcinku stu metrów, teraz przekazali to trudne zadanie mnie i Bruce'owi. Wciąż pod wpływem szoku, Bruce nie nadawał się do tego, żeby wykopywać butami stopnie, wbijać szable śnieżne i dźwigać na barkach ciężar odpowiedzialności prowadzącego. Pozbierałem szable, pożyczyłem młotek, który miał zastąpić ten, który zgubiłem, i wyruszyłem przed innymi, oni zaś podążyli za mną, kiedy oddaliłem się na długość liny. Wbijając przednie zęby raków w twardą warstwę śniegu późnego lata, trzymałem przyrządy jak sztylety, owijając palce wokół rękojeści.

Oddałem się bez reszty monotonnej sekwencji ruchu - najpierw wbijałem dziób prawego czekana w skorupę lodu powyżej ramienia, potem prawą stopą wyrąbywałem stopień. Opierając się na prawej stopie, powtarzałem wszystko z lewej strony. Kiedy zaczynałem, wznosiło się nade mną strome zbocze wysokości sześciuset metrów. Ta idealnie gładka powierzchnia, bez żadnych znaków charakterystycznych, ciągnęła się w nieskończoność. Nawet horyzont wyższych zboczy lodowca, ginący wysoko w górze, wydawał się zawieszony gdzieś nieosiągalnie daleko. Wiedziałem, że posuwam się do przodu tylko dlatego, że od czasu do czasu słyszałem krzyk Bruce'a, który dawał mi do zrozumienia, że pokonaliśmy kolejny wyciąg liny i że jest czas na wbicie następnej szabli. Na jego sygnał regularnymi i płynnymi ruchami wyciągałem z plecaka sześćdziesięciometry-metrową metalową szablę w kształcie litery T, przykładałem ją do zbocza

1 uderzałem młotkiem lodowym, aż chowała się niemal cała. Wpinając linę w karabinek, chroniłem Bruce'a i siebie przed odpadnięciem. Nasz drugi zespół wykorzystywał te same szable, a ostatni wspinacz je usuwał.

102

1 J

Po mojej lewej ręce zbocze schodziło aż do tego samego wiszącego progu, gdzie obserwowaliśmy powietrzne popisy głazu. Wziąłem się w garść, skupiając umysł na płynnej skuteczności ruchów ciała. Moje czynności osiągnęły nieprzerwany rytm - uderzałem czekanem, kopałem dwukrotnie czubkiem buta, zmieniałem strony, raz lewa, raz prawa, uderzenie, kopnięcie, kopnięcie, uderzenie, kopnięcie, kopnięcie. Był to walc, który tańczyłem z górą przez czarowną godzinę.

Wraz ze słońcem zanurzającym się w cienkich zwałach chmur w odległości ponad sześćdziesięciu kilometrów nad zatoką Puget światło załamywało się w pryzmacie oceanicznych mgieł, a góra Shuksan przyoblekała cieniutką wieczorną szatę. Zerknąłem przez prawe ramię, żeby zobaczyć światła Victorii wydobywające z

mroku linię brzegową Vancouver Island. W miarę jak zachód słońca zalewał winną czerwienią ostre granie Picket Range i sąsiadujące z nimi szczyty North Cascades, stwierdziłem, że jest mi coraz trudniej opierać się na czekanach, aż w końcu wyprostowałem się i pokonałem dziesięć metrów bez wyrąbywania stopni. Znajdowałem się na szczycie lodowca, na wysokości niemal dwóch tysięcy siedmuset metrów nad poziomem morza. Patrząc przed siebie, podziwiałem czarną piramidę góry Shuksan - symetryczną, wystrzelającą w górę z otaczających ją pól śnieżnych. Na tyle, na ile pozwalała mi lina, zbliżyłem się do wypukłej krawędzi białego płaskowyżu, skąd rozciągał się widok na górę Baker, zatokę Puget, North Cascades i południową Kolumbię Brytyjską, i podjąłem decyzję, że tutaj rozbijemy obóz i spędzimy noc. Tak jak popołudniowa wspinaczka stanowiła nagrodę za mękę przedzierania się minionej nocy przez koszarne poszycie, tak teraz pełna spokoju wspinałość tego miejsca biwakowego zepchnęła w niepamięć przerażenie wywołane spadającym głazem. Moi wyczerpani partnerzy zjawili się jeden po drugim, wychwalając moje stopnie i wybór miejsca na obóz, po czym zaczęliśmy się przygotowywać do kolacji i wypoczynku.

Nasza przygoda na górze Shuksan nie dobiegła jeszcze końca. Ponieważ nie dotarliśmy na szczyt - w gruncie rzeczy znajdowaliśmy się po drugiej stronie kopuły szczytowej, z dala od najszybszej drogi na wierzchołek - mieliśmy przed sobą bardzo długi dzień, kiedy niedziela przywitała nas jasnym i czystym świtem. Ominęliśmy nawisy czarnej kopuły szczytu od wschodu, a następnie od południa, ale musieliśmy zrezygnować

103

z pokonania ostatniego półtora tysiąca metrów, aby móc spenetrować trzy większe żleby, które schodziły w dół po wschodniej stronie lodowca. Bez mapy nie byliśmy pewni zejścia i choć znaleźliśmy drogę w dół po najbardziej stromym odcinku, jaki przyszło nam pokonywać - przez tunel lodowy w szczelinie brzeżnej lodowca (która powstaje w miejscu, gdzie czoło lodowca odsuwa się od sąsiedniej skały), po pionowej skale Fischer Chimney i wreszcie wzdłuż niezwykle trudnego końcowego odcinka, który zaprowadził nas na stok narciarski Mount Baker - zdążyło się ściemnić, nim zeszliśmy na dół.

* * * >

W tydzień po wspinaczkę na Shuksan przenieśliśmy się do Nowego Meksyku, znowu w związku z pracą, i natychmiast zgłosiłem się do grupy po-szukiwawczo-ratunkowej (SAR - search-and-rescue), do której należał także Mark. The Albuquerque Mountain Rescue Council, najlepiej wyszkolony zespół ratownictwa wysokogórskiego w całym stanie, zapewnił mi niezrównany trening i doświadczenie, tam też poznałem niemal wszystkich swoich partnerów, z którymi wspinałem się przez następne trzy lata. Dzięki pobytowi w Albuquerque znalazłem się też bliżej szczytów w Kolorado, gdzie przez okrągły rok spędzałem pięć dni w miesiącu w górach.

Dzięki wyprawom w stanie Waszyngton i treningowi w Kolorado zyskałem niemałe doświadczenie, które pozwalało zdobyć wszystkie czterotysięczniki zimą 1999-2000. Wciąż jednak byłem na łasce górskich bogów. Wiatr wiejący 22 grudnia na szczycie Mount Bross z prędkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę atakował mnie uparcie, przewracając co chwila. Przez cały czas, gdy pełzłem i walczyłem o zachowanie równowagi, metalowa oprawa czołówki przewodziła ciepło z mojego czoła (nie miałem o tym pojęcia), czego efektem było szkarłatne odmrożenie na skórze, podobne do plamy, która szpeci czaszkę Gorbaczowa. Tego dnia zjawiłem się u rodziny w Denver ze śmiesznie fioletowym czołem, które po czterech dniach przybrało barwę nieznacznej opalenizny.

Tego roku w ciągu trzech dni po Bożym Narodzeniu zaliczyłem pięć czterotysięczników. Dwa dni później świętowałem milenium w Everglades na Florydzie wraz z dwudziestką przyjaciół (i osiemdziesięcioma tysiącami innych fanów) na swoim pięćdziesiątym koncercie grupy Phish.

z pokonania ostatniego półtora tysiąca metrów, aby móc spenetrować trzy większe żeby, które schodziły w dół po wschodniej stronie lodowca. Bez mapy nie byliśmy pewni zejścia i choć znaleźliśmy drogę w dół po najbardziej stromym odcinku, jaki przyszło nam pokonywać - przez tunel lodowy w szczelinie brzeżnej lodowca (która powstaje w miejscu, gdzie czoło lodowca odsuwa się od sąsiedniej skały), po pionowej skale Fischer Chimney i wreszcie wzdłuż niezwykle trudnego końcowego odcinka, który zaprowadził nas na stok narciarski Mount Baker - zdążyło się ściemnić, nim zeszliśmy na dół.

* * *

W tydzień po wspinaczce na Shuksan przeniósłem się do "Nowego Meksyku, znowu w związku z pracą, i natychmiast zgłosiłem się do grupy po-szukiwawczo-ratunkowej (SAR - search-and-rescue), do której należał także Mark. The Albuquerque Mountain Rescue Council, najlepiej wyszkolony zespół ratownictwa wysokogórskiego w całym stanie, zapewnił mi niezrównany trening i doświadczenie, tam też poznałem niemal wszystkich swoich partnerów, z którymi wspinałem się przez następne trzy lata. Dzięki pobytowi w Albuquerque znalazłem się też bliżej szczytów w Kolorado, gdzie przez okrągły rok spędzałem pięć dni w miesiącu w górach.

Dzięki wyprawom w stanie Waszyngton i treningowi w Kolorado zyskałem niemałe doświadczenie, które pozwalało zdobyć wszystkie czterotysięczniki zimą 1999-2000. Wciąż jednak byłem na łasce górskich bogów. Wiatr wiejący 22 grudnia na szczycie Mount Bross z prędkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę atakował mnie uparcie, przewracając co chwila. Przez cały czas, gdy pełźłem i walczyłem o zachowanie równowagi, metalowa oprawa czołówki przewodziła ciepło z mojego czoła (nie miałem o tym pojęcia), czego efektem było szkarłatne odmrożenie na skórze, podobne do plamy, która szpeci czaszkę Gorbaczowa. Tego dnia zjawiłem się u rodziny w Denver ze śmiesznie fioletowym czołem, które po czterech dniach przybrało barwę nieznacznej opalenizny.

Tego roku w ciągu trzech dni po Bożym Narodzeniu zaliczyłem pięć czterotysięczników. Dwa dni później świętowałem milenium w Everglades na Florydzie wraz z dwudziestką przyjaciół (i osiemdziesięcioma tysiącami innych fanów) na swoim pięćdziesiątym koncercie grupy Phish.

Grała nieprzerwanie od północy do świtu, prawie osiem godzin, istny maraton. Później, wiosną, wraz z czterema moimi przyjaciółmi postanowiliśmy wybrać się latem do Japonii, by towarzyszyć grupie w trasie koncertowej i oglądać jej występy w małych lokalach. W trakcie pobytu w Japonii zdobyliśmy też szczyt Fudzijamy, i był to pierwszy raz, gdy

dotarłem na najwyższy wierzchołek innego kraju.

* * *

Przed końcem zimy 2000 roku zaliczyłem samotnie sześć następnych czterotysięczników w Kolorado, w tym także stosunkowo trudne Kit Garson Mountain i szczyt Blanca, oba należące do południowego łańcucha Sangre de Cristo. 16 stycznia 2000 roku, po udokumentowaniu pierwszego wejścia w nowym tysiącleciu na szczyt Blanca i łatwiejszy, siostrzany szczyt Elling-wood Point, schodziłem pospiesznie po cienkim polu śnieżnym, które ledwie zakrywało leżące pod spodem głazy. Na wysokości około trzech tysięcy sześciuset metrów zapadłem się chyba po raz setny do głębokości prawego kolana - siniaczyłem i ocierałem sobie przednią część goleni od uderzeń o krawędź skorupy śnieżnej, ilekroć się potykałem - ale tym razem nie

mogłem wyciągnąć nogi z dziury. Wyszarpnywałem ją, ale bezskutecznie; jakiś kamień przesunął się pod śniegiem i uwięził mi stopę w kostce. Nie czułem zbyt mocnego nacisku, ale but utknął na dobre, ja zaś nie mogłem przesunąć kamienia, będąc pochylonym do przodu. Zrozumiałem, że riusiałbym rozkopać śnieg, a potem odepchnąć przeszkodę, by wydobyć but, co byłoby o wiele łatwiejsze, gdybym nie tkwił w jednym miejscu. Wsunąłem dłoń w dziurę, rozsuptałem sznurowadło, wyszarpnąłem stopę z buta, po czym przeturlałem się na prawy bok, starając się chronić skarpetę przed śniegiem. Piętnaście minut później wydobyłem but. Doświadczenie to kazało mi się zastanowić, co by się stało, gdyby nie tylko obuwie, ale i sama stopa została przygwożdżona, albo gdybym skręcił kostkę czy nawet złamał nogę. Czy przeżyłbym noc pod gołym niebem? Miałem na dnie plecaka śpiwór chroniący przed temperaturą poniżej zera stopni, a także palnik i paliwo, ale nocą mogło być tak zimno, że żywiłem wątpliwości, czy zdołałbym wytrzymać. Potraktowałem ten incydent jako drobną niedogodność, która opóźniła nieco moją wędrówkę, niemniej jednak, schodząc dalej, ominąłem przezornie dwa inne pola najeżone ledwie zakrytymi kamieniami.

105

W ciągu tej zimy wpoilem sobie koncepcję „głębokiej gry”, czyli sytuacji, kiedy pragnienie aktywnego wyczynu czy fizycznego wyczynu niesie ze sobą obietnicę nagrody, ale też nieporównywalnie większe ryzyko. Nie mogąc liczyć na realny czy domniemany zysk - fortunę, chwałę, sławę - człowiek naraża się na prawdziwe niebezpieczeństwa i groźne konsekwencje wyłącznie dla wewnętrznej korzyści: zabawy i oświecenia. Głęboka gra stanowiła synonim mojego zamierzenia, jakim było samotne zdobycie zimą wszystkich czterotysięczników, zwłaszcza gdy zaczynałem wspinaczkę w burzy, traktując niesprzyjającą pogodę jako doświadczenie zdobyte podczas tej wyprawy. Fizyczny ból, zimno, mdłości, wyczerpanie, głód nic nie znaczyły, były częścią doświadczenia. To samo dotyczyło radości, euforii, satysfakcji, spełnienia. Stwierdziłem, że nie potrafię wyruszyć na podbój góry z zamiarem przeżycia takiego czy innego doznania (pomijam tu konieczne środki bezpieczeństwa i ocenę ryzyka), lecz że chcę być otwarty na wszystko, co przyniesie dzień, i akceptować to. Taki był mój prawdziwy cel. Oczekiwania na ogół kończyły się rozczarowaniem, ale otwartość na to, co mogłem napotkać i odkryć po drodze, prowadziła do pełniejszej świadomości i zadowolenia, nawet gdy warunki były wymagające. Mark Twight, amerykański mistrz alpinizmu na najbardziej ekstremalnym poziomie, z niebywałymi sukcesami i porażkami na koncie, napisał kiedyś: „To nie musi być zabawne, żeby było zabawnie”. Właśnie.

Przez dwa kolejne sezony zimowe zamierzałem uprawiać coraz trudniejsze wspinaczki, jednak te wymagające z technicznego punktu widzenia i najodleglejsze szczyty pozostawiłem sobie na później. Z czasem nabrałem wprawy, jeśli chodzi o wspinaczkę, rozbijanie obozu i sprzęt, robiłem też postępy pod względem wytrzymałości i aklimatyzacji, co pozwoliło mi mierzyć się z dłuższymi i bardziej wyczerpującymi drogami wspinaczkowymi. Zawsze ustalałem wcześniej marszrutę i informowałem o spodziewanym czasie powrotu rodziców albo kolegów oraz wybierałem trasy i opracowywałem harmonogram tak, aby nie narażać się zbytnio na lawinę - największe ryzyko związane z moim projektem.

Przed końcem 2002 roku udało mi się zaliczyć zimą trzydzieści sześć z pięćdziesięciu dziewięciu czterotysięczników. Moje osiągnięcia zawierały się nie tylko w suchych liczbach - bezustannie stawiałem czoło nowym doświadczeniom, którym nikt inny w świecie nie próbował spro-

106

stać. Zdarzało się bardzo często, że kiedy na początku szlaku rejestrowałem się w książce wyjść, ostatni wpis był sprzed trzech, czterech, czasem pięciu miesięcy. W przypadku gdy wracałem na szczyt latem, mój wpis był jedynym w ciągu siedmio- czy ośmiomiesięcznego okresu. W samotności, jaką dawało przebywanie w miejscu nienawiedzonym przez nikogo od miesięcy, czułem się jak jedyny posiadacz tych zimnych gór,

zagrzebanych pod śniegiem stawów, lasów rozbrzmiewających stłumionymi odgłosami, odczuwałem też pokrewieństwo z łosiami, jeleniami, bobrami, gronostajami, pardwami i kozicami. Im częściej odwiedzałem ich dom, tym bardziej traktowałem go jak swój.

W gąszczu wierzby po zachodniej stronie góry Evans niemal nadepnąłem na białą jak śnieg pardwę, która zagruchała przestraszona i w ostatniej chwili uskoczyła mi z drogi. Pochyliłem się nad ptakiem, a spojrzenie jego czarnych jak atrament oczu przykuło mnie bez reszty. Otaczał nas bezgraniczny wszechświat; żadne z nas się nie poruszyło. Czułem więź z tą małą kulką piór na równie białej jak ona śniegowej poduszce, więź, która zdawała się przerastać to, co łączyło mnie z moim własnym gatunkiem. Istniejąc pospołu w zimowym krajobrazie, mieliśmy ze sobą więcej wspólnego niż ja z innymi ludźmi, którzy nigdy nie zawędrowali do tego świata. Zrobiłem zdjęcie, żeby potem pokazać je przyjacielom, ale pomimo moich wyjaśnień zobaczyli na fotografii tylko pardwę i ani cienia łączności między mną a ptakiem.

Te miejsca i związane z nimi doświadczenia są moje, i tylko moje. Towarzyszące mi podczas tych wypraw poczucie odosobnienia, świadomość posiadania, fakt fizycznej bytności tu i teraz tworzyły osobisty świat, którym, jakby z definicji, nie można się podzielić z kimś innym. Mimo to próbowałem. Robiłem zdjęcia i zamieszczałem w internecie albumy ze swych wędrówek, ale obrazy zawodziły. Były ułomne, oderwane w czasie i przestrzeni od tego, co przeżyłem, by dotrzeć do tego konkretnego miejsca, w tej konkretnej chwili. W oczach osoby siedzącej w biurze czy w pokoju zdjęcie zimowego zachodu słońca w górach to tylko zdjęcie. Dla mnie oznaczało doświadczenie, jakim było zrobienie tego zdjęcia. Na przykład po ośmiu godzinach wędrówki w rakietach śnieżnych i z dwu-dziesięciokilowym plecakiem doliną Cottonwood Creek, przez nieprzebyte wcześniej las pokryty bezdennym śnieżnym puchem, obok zamarzniętych kaskad, dotarłem do przełęczy między szczytami Electric

107

i Broken Hand. Z miejsca widokowego, godnego obrazu Alberta Bierstadta, patrzyłem, jak czerwony zachód słońca pierwszego zimowego przesilenia w tym tysiącleciu przemienia okryte bielą zębra szczytu Crestone Needle w liliową skałę, tak majestatyczną, że jej piękno przyprawiło mnie o tę. Zdjęcie nie mogło oddać głębi tego doznania - bez względu na swoje talenty fotograficzne nie mogłem sprawić, by patrzący odczuł transcendentne połączenie wyczerpania, zmęczenia, niedotlenienia, euforii i satysfakcji, które ja czułem, mogąc oglądać w chwili zmierzchu taki widok.

Im dłużej realizowałem swój zamiar samotnego zdobywania zimą czterotysięczników, tym większy stawał się ten mój prywatny świat i tym mocniej spletał z moim poczuciem samego siebie. Zdobywanie gór w zimie w pojedynkę nie było tylko tym, co robiłem - stało się tym, czym byłem. Nie żywiłem żadnych złudzeń co do trudności swojego przedsięwzięcia w porównaniu z drogami wspinaczkowymi światowej klasy, nie uważałem się też za równego wybitnym alpinistom, ale ilekroć zdobywałem kolejny szczyt, odkrywałem i rozwijałem następną część samego siebie.

Pozostawiłem pierwsze ślady nart na niższym, południowym zboczu góry Harvard, zjeżdżając telemarkiem - jedyny dowód ludzkiej obecności na tym szczycie od sześciu miesięcy. Widziałem trzy wilki, które sunęły przez kilometr w głębokim na metr śniegu po otwartej łące na wysokości ponad trzech tysięcy metrów, po zachodniej stronie góry Massive. Jeszcze bardziej poruszający niż ich siła i wdzięk był fakt, że przed owym marcowym dniem 2002 roku wilki uchodziły w Kolorado za gatunek od ponad sześćdziesięciu lat wymarły. Spoglądałem w oblicza burz i przyjmowałem ich wściekłość z przejęciem i radością; czułem na twarzy sople lodu, gdy stałem na szczycie Humboldt; rozpościerałem ramiona jak skrzydła na wietrze, gdy stałem na szczycie Torreys. Kąpałem się w słonecznej mgiełce spokojnego i zaskakująco ciepłego popołudnia na szczycie Yale i zamarzałem w grubej puchowej kurtce na górze Sneffels.

W miarę jak moja pasja i oddanie otwartym przestrzeniom się pogłębiały, czas spędzony na samotnych wędrówkach zrodził we mnie niepowstrzymane pragnienie powrotu do Kolorado, gdzie mógłbym spełniać swe marzenia, mieszkając na terenach górskich. Miałem dość pracy w dużej korporacji - czułem się wypalony. W roku 2002 nadarzyła się okazja wspinaczki na Denali z grupą superatletów. Nie mogąc jednak

108

liczyć na jakikolwiek urlop umożliwiający podobną wyprawę, musiałem dokonać wyboru między głosem serca a pracą w Intelu. Ostatecznie porzuciłem ją bez poczucia jakiegokolwiek poświęcenia, sprzedałem większość dobytku domowego i zapakowałem swoje wyczynowe i turystyczne zabawki do trzyletniej toyoty tacoma (wraz z gumowym zadaszaniem). Ostatniego dnia pracy, w czwartek 23 maja 2002 roku, wysłałem e-mail do wszystkich przyjaciół, by obwieścić swój nowy start życiowy, cytując Goethego: „Cokolwiek zamierzasz zrobić, o czymkolwiek marzysz, zacznij działać. Śmiałość zawiera w sobie geniusz, siłę i magię”.

Większość kolegów z pracy utwierdzała mnie w przekonaniu o słuszności mojego kroku, ale było też kilku, którzy nie mogli uwierzyć w to, co im mówiłem - że odchodzę, że nie mam na oku innego zatrudnienia i że nie wracam na studia. Nie było to absolutnie w stylu inżynierów z Intela, lecz w wieku dwudziestu sześciu lat, mając za sobą umiarkowane udaną karierę zawodową, oficjalnie przeszedłem na emeryturę. Pojęcia „posada korporacyjna” i „życie na wschód od Gór Skalistych” stanowiły krótką listę rzeczy, których postanowiłem już zawsze unikać. Tak zaczęła się podróż, która zaprowadziła mnie na szczyt Denali, najwyższej góry w Ameryce Północnej, potem przez pół roku wiodła przez dwadzieścia sześć stanów i Kanadę, po czym zakończyła się w małej miejscowości zwanej Aspen, w stanie Kolorado, na wysokości dwóch tysięcy czterystu metrów.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dzień drugi: selekcja możliwości

Pustynny świt

Wstaje wcześnie, niesie twą pieśń Na tchnieniu życia, które powstaje Z gorącego kamienia

Poczuj skałę wieków, tak gładką na twojej skórze Poczuj oddech kwiatów tańczących na wietrze Tańczących na wietrze.

Desert Dawn zespołu String Cheese Incident, słowa: Christina Callicott

Kiedy ranek staje się cieplejszy, nie muszę już bezproduktywnie uderzać nożem o skałę, by się rozgrzać. Obolała dłoń domaga się głośnym krzykiem wytchnienia, więc odkładam dłubanie i cięcie na inną porę. Mimo braku snu czuję przypływ energii, którą promieniuje wewnętrzne światło kanionu. Dodaje mi siłę, tak jak czynił to brzask, kiedy wędrowałem nocą. Dziś jednak nie widać na horyzoncie żadnego kresu. To nie wspinaczka, która kończy się ostatnim stopniem do szczytu, ani forsowny marsz, który trwa przez określony czas. Epilog mojej walki z głazem wciąż jest sprawą otwartą. Będę tutaj tkwił, dopóki nie rozwiążę problemu albo nie umrę.

Z lektury opowieści o przetrwaniu w warunkach pustynnych wiem, że

110

odwodnienie może zabić człowieka za sprawą różnych mechanizmów, ale zasadniczo wpływają one na

wszystkie organy, które nie otrzymują dostatecznej ilości składników odżywczych, aż do chwili, gdy po prostu przestają działać. Niektórzy ludzie umierają, gdy przestają im funkcjonować nerki, bo zabijają ich toksyny produkowane przez ciało. Inni żyją, dopóki nie zawiedzie ich serce. W warunkach wyczerpania, w środowisku o wysokiej temperaturze odwodnienie może prowadzić do przegrzania - po prostu spala się mózg. Bez względu na to, w jaki sposób przyjdzie po mnie śmierć, jej zwiastunem będą konwulsje i silne skurcze. Zaczynam spekulować...

Zastanawiam się, jak odczuję zaburzenia w funkcjonowaniu nerek. Niezbyt przyjemnie zapewne. Może jak wtedy, gdy zje się tak dużo, że pojawiają się skurcze w plecach. Tyle że gorzej - jestem tego pewien. Umieranie w takim wypadku nie będzie łatwe. Lepsza byłaby hipotermia, bo działa w miarę szybko. Przynajmniej mógłbym zapaść w umysłowe odrętwienie i nie czuć już niczego. Temperatura w nocy nie spadła tak bardzo, wynosiła około dwunastu stopni. Zbyt ciepło jak na poważną hipotermię. Może lepsza byłaby śmierć spowodowana przez nagłą powódź? Nie za bardzo. Czy lepiej odejść, wydając krzyk stłuiniony przez ścianę mulistej wody, zapaść w śpiączkę wywołaną zimnem czy też doświadczyć na sam koniec gwałtownych spazmów, towarzyszących zawałowi serca? Nie wiem...

Jestem jednak gotowy na działanie, nie umieranie. Najwyższy czas założyć lepszy punkt asekuracyjny, który pozwoli skonstruować system podnoszący i przesunąć głaz. Jeśli zdołam obrócić lico kamienia do góry, może o jakieś trzydzieści centymetrów, to zdołam wyszarpnąć dłoń, choć niełatwo będzie poruszyć kawałek skały tej wielkości. Może uda mi się pchnąć głaz do tyłu, zmniejszyć jego napór i utworzyć pięciocentymetrową szczelinę - to wszystko, czego potrzebuję, by wydostać z pułapki podbicie kciuka. Wiem, że oznacza to większy ból niż w chwili przygnięcia dłoni, ponieważ będzie powolny i zadawany z pełną świadomością przez samego siebie. Dłoń jest załatwiona na dobre, spisałem już ją na straty. Co się jednak stanie, gdy powróci w niej krążenie? Czy krew przeniesie skażenie do krwiobiegu i zatruje mi serce? Nie mam medycznej wiedzy na temat potencjalnych zagrożeń, ale zatrucie organizmu toksynami wydaje się logicznym rezultatem, jeśli zdołam nagle wyswobodzić dłoń. To ryzyko, które akceptuję, i jedyne, z którym przyjdzie mi się zmierzyć, jak mam nadzieję.

111

Pierwszym krokiem, jeśli chodzi o próbę założenia drugiego punktu asekuracyjnego, jest wypięcie fluorescencyjnej żółtej taśmy z karabinka w tylnej części uprzęży i wyjęcie z opakowania ściśle zwiniętego zwoju. Rozwiązuję węzeł łączący oba końce i zarzucam ponad siedmiometrowy odcinek na wierzchnią stronę głazu, starając się, by taśma nie zaplątała się w uprzęż, która mnie podtrzymuje. Spoglądam w górę ze swego punktu uwięzienia i staram się odgadnąć zarysy i krawędzie, które mogą, ale nie muszą, znajdować się na wierzchniej stronie zaklinowanych głazów, tworzących półkę nade mną i przede mną. Wczoraj po południu nie zwracałem większej uwagi na ich kształt. Wydaje mi się, że ze środka półki, około stu osiemdziesięciu centymetrów nad moją głową, wystaje nieduży trójkątny rożek. Być może, jeśli u jego podstawy znajduje się dostatecznie duże wgłębienie, to taśma mogłaby się zaczepić za tym stożkiem i się nie ześliznąć.

Moje próby zarzucenia taśmy na tę wypukłość zawodzą. Taśma jest za lekka, bym mógł odpowiednio cisnąć nią w powietrze. Kiedy udaje mi się rzucić ją dostatecznie wysoko, żółta tkanina zsuwa się ze stożka, niemal odbijając się od skały, jakby zaopatrzona w wewnętrzną sprężynę. Zastanawiam się nad rozwiązaniem tego problemu i postanawiam związać niewykorzystany dotąd koniec liny wspinaczkowej z końcem taśmy i starać się zarzucić ją na stożek, a następnie przeciągnąć za nim dzięki cięższej linie. Kolejnych dwanaście prób - z których każda to długi i mozolny wysiłek połączenia na nowo liny z taśmą i odpowiedniego ułożenia ciała do właściwego rzutu - też spełza na niczym. Potrafię zarzucić linę na stożek, ale gdy węzeł ześlizguje się po jego czubku, lina traci cenne centymetry. W konsekwencji taśma ląduje za daleko w głębi półki, by mogła się

skutecznie zaczepić o gładki piaskowiec. Raz za razem spada na piasek po drugiej stronie głazu, który mnie przygniata.

Mój wzrok przyciąga szczelina po prawej stronie rożka. Może uda mi się rzucić taśmę tak, by wsunęła się w to zagłębienie i dzięki lepszemu kątowni zaczepiła mocniej o tylną ścianę rożka. Znowu rzucam i ciągnę linę, i dokładnie w chwili, gdy węzeł ma się znaleźć na stożku, chwytam linę zębami i delikatnie szarpię taśmą. Zsuwa się w szczelinę. Ach! Przeciągam węzeł przez krawędź półki. Widzę wyraźnie, że taśma znajduje się za rożkiem łososiowego koloru. Powoli zwijam linę - udało mi się stworzyć warunki do założenia punktu asekuracyjnego. Odwiązuję linę od taśmy, po czym nawlekam na żółty pasek metalowy ring i zawiązuję serię

112

W Wielkim Kanionie, kwiecień 1999

Z mamą, 1977

Z siostrą w domu babci Ralston, 1983

W Parku Narodowym Yellowstone, 1987

Moja pierwsza jazda na nartach, 1987.

Widzicie ten strach?

Z Sonją w Havasupai, Święto Dziękczynienia, 1998

Moja pierwsza wspinaczka wysokogórska; z Markiem Van Eeckhoutem pod Wham Ridge, na szczyt Vestal, Święto Pracy, 1998

m

Uderzenie w „dzwony” - szczyt South Maroon, marzec 2003

Pierwszy zdobyty samotnie zimą czterotysięcznik: szczyt Qunday, grudzień 1998

Steve Patchett, Jason Halladay, ja i Bob Graham na szczycie Dallas, Święto Pracy 2001

Ślady moich stóp

na grani Knife na szczycie Capitol,

luty 2003

samozaciskowych węzłów na taśmie, dopóki nie zamienia się ona w dużą pętlę z ringiem u dołu. Ciągnę ją lewą dłonią, zaciskając węzeł i sprawdzając jego zamocowanie na wystającym kawałku skały. Taśma nie zsuwa się, nawet gdy mocno ciągnę. Wszystko jest na swoim miejscu.

Sprawdzam godzinę na zegarku i uświadamiam sobie, że jest już po jedenastej. Niedzielne przedpołudnie. Spędziłem dwie godziny na zakładaniu punktu asekuracyjnego, ale mój wysiłek to jak dotąd niebywały sukces. Planowany tyk wody wzmacnia moje poczucie satysfakcji. Przestrzegam w tym wypadku ścisłej dyscypliny, poza tym jestem bardzo zadowolony, że udało mi się zamocować od dołu punkt - w dodatku jedną ręką -w dość niezwykłym miejscu.

Dobra robota, Aron. Teraz musisz przesunąć głaz. Nie wolno ci się zatrzymywać.

Odcinam od liny wspinaczkowej mniej więcej dziewięciometrowy odcinek, przerzucam jeden koniec przez swój głaz i wiązę. Następnie przeciągam drugi koniec przez ring zjazdowy - mogę sięgnąć go lewą dłonią. Nie spodziewając się, że kamień chociażby drgnie, szarpię linę. Nic, oczywiście.

No cóż, przynajmniej punkt asekuracyjny trzyma jak należy.

Muszę stworzyć jakiś system wielokrążków, by uzyskać mechaniczne wsparcie. Przy jednej linie owiniętej wokół głazu nie jestem w stanie go unieść z taką samą siłą, z jaką ciągnę linę. Tarcie przy ringu sprawia, że cała konstrukcja zamienia się w niekorzystny system mechaniczny. Niestety nie dysponuję żadnymi bloczkami; mam karabinki, ale te po przeciągnięciu przez nie liny powodują za duże tarcie. Postanawiam usunąć punkt asekuracyjny, którym posłużyłem się wcześniej, by zawiesić uprząż, i szarpię linę raz za razem, aż w końcu ze szczeliny w skale wypada plątana połączonej ze sobą karabinków.

Czas upływa teraz niepostrzeżenie; jestem całkowicie pochłonięty linowym systemem podciągającym. Odwołuję się do swojego doświadczenia i wyszkolenia w ratownictwie, i układam w myślach schemat, który będzie powtórzeniem techniki stosowanej przy ewakuacji unieruchomionych ludzi z pionowych ścian skalnych. Ekipa ratunkowa z Albuquerque nauczyła mnie dwóch standardowych systemów; wybieram między nimi i decyduję się na system karabinków i pętli z dodatkową możliwością manipulowania liną. Dostosowuję metodę do sytuacji, w jakiej się znajduję, i ograniczo-

113

nego sprzętu, sporządzam pętlę Prusika. Gdy ją obciążę własnym ciężarem, teoretycznie zwiększam trzykrotnie siłę działającą na punkt ciągnięcia - 3 do 1. W związku z moimi improwizowanymi modyfikacjami tarcie zmniejsza prawdopodobnie ten korzystny stosunek o połowę, ale 1,5 do 1 to wciąż lepiej niż 0,5 do 1, jak przy pierwszej próbie ruszenia głazu.

System jest jednak wciąż za słaby. Kamień ignoruje moje wysiłki. Na końcu liny, za którą ciągnę, zakładam kilka węzłów ruchomych, tworząc strzemiona. Staję w nich, co sprawia, że podnoszę się na wysokość około pół metra, i choć znajduję się w niewygodnej pozycji z powodu uwięzionej dłoni, mogę teraz wykorzystać większą część ciężaru ciała przy naciągu liny. Zwiększyłem prawdopodobnie trzykrotnie albo nawet czterokrotnie siłę, którą stosowałem, trzymając linę jedną ręką. Lina jest napięta, nawet w zagięciach przy karabinkach, i mój system pracuje zgodnie z planem. Jednak ponieważ posługuję się dynamiczną liną wspinaczkową, która ma się rozciągać i pochłoniąć energię w razie odpadnięcia, tracę dużą część przyłożonej siły. Mimo godzin wyczerpującej pracy i kilku nieudanych prób podniesienia punktu asekuracyjnego o parę centymetrów za sprawą kolejnego węzła powyżej ringu ani razu nie udaje mi się poruszyć kamienia, choćby odrobinę. Robię, co w mojej mocy, wykorzystując dostępne materiały i sprzęt. Może zdołałbym stworzyć system o sile 5 do 1 - mam dostatecznie dużo karabinków i taśmy - ale potrzebowałbym ze trzydziestu centymetrów przestrzeni między punktem asekuracyjnym a głazem, by zmieścić tam wszelkie elementy większego systemu. Zniechęcony jałowym wysiłkiem i brakiem jakichkolwiek widocznych postępów robię sobie przerwę i patrzę na zegarek: pierwsza po południu. Jestem spocony i zdyszany.

Nagle słyszę echo odległych głosów w kanionie. Mój umysł ogarnia radosne niedowierzanie, a oddech więźnie w suchej krtani.

Czy to możliwe? Pora dnia jest odpowiednia - jakaś grupa wędrowców musiałaby dotrzeć do tego odcinka kanionu, by móc jeszcze za dnia wrócić do West Fork albo szlaku prowadzącego do Horshoe. Tak jak sądziłeś, istnieje większe prawdopodobieństwo, że ktoś się tu pojawi w jeden z dni weekendu. Sam tak zrobiłeś wczoraj wieczorem.

Choć to rozumowanie jest sensowne, obawiam się, że ulegam halucynacjom, że te dźwięki istnieją tylko w mojej głowie. Wstrzymuję oddech i nasłuchuję.

114

Tak! Hałasy są niewyraźne i odległe, lecz znajome: buty szurające o piaskowiec. To zapewne grupa wędrowców, która pokonuje pierwszy spadek, przy tym pniu w kształcie litery S.

- POMOCY!

Zawodzące echo mojego krzyku ginie w głębi kanionu. Starając się wstrzymywać oddech, nasłuchuję odzewu. Nic.

- POMOOOCY!

Rozpacz, którą pobrzmiewa mój rozedrgany krzyk, wzbudza we mnie niepokój. Znowu wstrzymuję oddech. Kiedy dźwięk zamiera, nie słyszę nic prócz bicia podnieconego serca. Krytyczny moment przemija, moje nadzieje ulatniają się niczym mgła, a ja już wiem, że w tym kanionie nie ma ludzi.

Czuję gwałtowne załamanie ducha, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy rzuciła mnie dziewczyna. Po chwili znów słyszę jakieś dźwięki. Tym razem milczę przezornie. To, co brałem za odgłosy nadchodzących ludzi, okazuje się chrobotaniem małego gryzonia w gnieździe pośród kamieni wokół głazu nad moją głową. Obracam się i widzę ogon, który przesuwają się błyskawicznie po stosie gałązek; zwierzę znika w swojej kryjówce.

W tym momencie przyrzekam sobie, że będę głośno wzywał pomocy raz dziennie. Ale drżący tembr własnego głosu przyprawił mnie niemal o panikę; jeśli zacznę krzyczeć częściej, może to zniweczyć moje wysiłki zachowania spokoju i jasności myśli. Rozpatrując rzecz racjonalnie, wiem doskonale, że nikt nie będzie szedł tym kanionem aż do następnego weekendu, kiedy to grupy ratownicze zaczną przeczesywać teren w poszukiwaniu mojego ciała. Ponieważ głos rozchodzący się z tego miejsca jest słyszalny w odległości najwyżej pięćdziesięciu metrów, a najbliżsi ludzie będą się znajdować w odległości od ośmiu do dwunastu kilometrów, nie ma

sensu napędzać sobie strachu niepotrzebnym krzykiem.

* * *

Okolo drugiej rozważam na nowo swoje położenie i ewentualne możliwości. Czekanie, obtłukiwanie głazu, próba jego podniesienia - wszystko zakończyło się niepowodzeniem. Po raz pierwszy poważnie się zastanawiam nad amputacją dłoni, analizując sam proces i możliwe konsekwencje. Rozkładałam na ziemi wszystko, czym dysponuję, i uważnie oglądałam pod kątem przydatności podczas operacji. Dwa największe problemy

w tym wypadku to odpowiednie narzędzie do cięcia i opaska uciskowa, dzięki której nie wykrwawię się na śmierć. Multitool ma dwa noże: ten trzycentymetrowy jest ostrzejszy od siedmiocentymetrowego. A więc należy użyć tego dłuższego do obróbki gązdu, a krótszy zachować na wypadek ewentualnej operacji chirurgicznej.

Instyktownie pojmuję, że nawet posługując się ostrzejszą stalą, nie będę w stanie przeciąć kości. Widziałem piły, jakich używali lekarze w epoce wojny secesyjnej do amputacji nóg i rąk pacjentów w szpitalach polowych, a ja nie mam niczego, co choćby w przybliżeniu przypominało tamten prymitywny sprzęt. Zakładam z góry, że chcę amputować jak najkrótszą część ręki. Dlatego myślę wyłącznie o przecięciu kości przedramienia, wykluczam natomiast próbę przepiłowania chrząstki stawu łokciowego. Ta druga ewentualność ani razu nie przychodzi mi do głowy, więc nie rozważam w tym przypadku jakiegokolwiek prawdopodobnej metody.

Żywe wspomnienie sceny z jakiegoś filmu, gdzie narkoman wstrzykuje heroinę, przewiązawszy sobie ramię gumową opaską uciskową podsuwa mi pomysł, by poćwiczyć z wężykiem od pustego bukłaka na wodę. Odcinam więc od niego rurkę i za pomocą prostego węzła obwiązuję górny odcinek przedramienia, tuż pod łokciem. Miejsce wybieram bez zastanowienia, nie uwzględniając miejsc ucisku w pobliżu bicepsów. Myślę, że będę musiał zacisnąć opaskę tak mocno, że nieodwracalnie uszkodzę sobie część ręki, a zatem powinienem umieścić opaskę jak najbliżej miejsca cięcia. Węzeł na wężyku jest luźny, nie mogę go zacisnąć nawet po trzykrotnym poprawianiu: plastik jest zbyt sztywny, by mały węzeł pozostał zaciśnięty. Rozglądam się za jakimś patykiem do wzmocnienia opaski, ale nie widzę niczego dostatecznie grubego. Siła, jakiej będę musiał użyć do przewiązania kończyny, złamie wszystko, co znajduje się w moim zasięgu.

A więc nici z tego pomysłu.

Mam kawałek fioletowej taśmy zawiązanej w pętlę. Rozsupłuję ją i owijam nią przedramię. Pięciominutowy wysiłek owocuje podwójnym węzłem, ale opaska jest zbyt luźna, by zatrzymać krążenie. Znowu potrzebuję patyka... albo mogę posłużyć się karabinkiem i za jego pomocą zacisnąć pętlę. Zatraskuję karabinek na zwojach i obracam go dwukrotnie. Lina wrzyna mi się głęboko w ciało, a skóra przy nadgarstku przybiera kolor rybiego brzucha. Sporządziłem skuteczną opaskę uciskową a świadomość, że ten prowizoryczny sprzęt działa, daje mi odrobinę satysfakcji.

Dobra robota, Aron.

Czego jeszcze będę potrzebował? Podstawowe zasady pierwszej pomocy nakazują zastosować bezpośredni nacisk na ranę, więc przyda mi się coś do obwiązania kikuta, coś, co zminimalizuje upływ krwi, która może wydostać się poza opaskę uciskową. Gruba wyściółka w kroku moich spodenek rowerowych może z powodzeniem spełniać rolę chłonnego ochraniacza, a ponadmetrowym odcinkiem taśmy, który mogę odciąć z punktu asekuracyjnego, zdołam obwiązać spodenki na kikucie. Następnie wsunę kikut do małego pokrowca od bukłaka na wodę, po czym przywiążę do niego dwa paski i zawieszę je sobie na szyi, tworząc coś w rodzaju temblaka, dzięki czemu unieruchomię rękę na piersi. Doskonale.

Pomimo tego optymizmu owe gorączkowe rozważania kryją mroczny i podskórny nurt. Choć mój mózg pracuje z wysiłkiem nad scenariuszem amputacji, operacja wciąż jest tylko możliwością teoretyczną. Prześladowają mnie pytania: jeśli odetnę sobie rękę, jak zatamuję upływ krwi? I: jeśli odetnę sobie rękę, jak zabezpieczę kikut i założę temblak? Ponieważ nóż, którego mogę użyć, jest zbyt tępy, pozostała część planu stanowi jedynie ćwiczenie umysłowe. Dopóki nie zorientuję się, jak przeciąć sobie kości, amputacja nie jest na dobrą sprawę żadną opcją; to raczej zagadnienie teoretyczne, jedno z wielu, które pozwala zastanawiać

się nad różnymi możliwościami. Rozważam zasób swojej odwagi, to, jak zmieni się mój stan umysłowy, jeśli zdołam rozwiązać wiadomą zagadkę. Na próbę wyjmuję krótsze ostrze scyzoryka i przykładam do skóry. Czubek dotyka miejsca między ścięgnami i żyłami, w odległości kilku centymetrów od zakleszczonego nadgarstka, wgniatając nieznacznie ciało. Ten widok napawa mnie obrzydzeniem.

Co ty wyprawiasz, Aron? Zabierz ten nóż od nadgarstka! Co chcesz zrobić, zabić się?! To samobójstwo! Bez względu na to, jak skuteczną opaskę uciskową zdołasz sporządzić, w twojej ręce jest zbyt wiele naczyń krwionośnych, byś mógł je wszystkie zamknąć. Wykrwawisz się. Obcięcie nadgarstka to jak wbicie sobie noża w brzuch. Jeśli zdołasz przeciąć kości i się uwolnić, to dotrzesz tylko do miejsca, z którego będziesz musiał zjechać na linie. Opaska uciskowa nie ułatwia sprawy. Za jakiś miesiąc, gdzieś w głębi kanionu, ratownicy znajdą twoje pozbawione płynów fizjologicznych ciało, oskubane do czysta przez myszołowy. Odcięcie ręki to powolny akt samobójstwa.

117

Ogarnia mnie lekkie osłabienie; opuszczam lewą dłoń, odsuwając ostrze od skóry. Nie dam rady tego zrobić. Może nie potrafię w tej chwili rozważyć amputacji. Może ten apodyktyczny głos ma jednak rację, może to samobójstwo. Będę musiał osiągnąć znacznie wyższy stopień wyczerpania, by zdecydować się na ten desperacki krok. Kto wie, może jakaś przypadkowa osoba będzie tędy jutro przechodziła. W tej chwili jestem pewien tylko tego, że gdyby zaszła konieczność przeprowadzenia tej długiej i paskudnej operacji, czyli przecięcia kości, tak jak próbowałem przeciąć głaz, musiałbym się odznaczać niebywałym hartem ducha. Wzdrygam się na tę myśl, oczy zamykają się leniwie, usta otwierają szeroko. Wyobrażam sobie krew, która zachlapuje ściany kanionu, rozdarte ciało i rozcięte mięśnie ręki, zwisające odrażającymi strzępami wokół dwóch białych kości pełnych dziur - rezultat wysiłków, których celem jest przedarcie się przez szkielet mojej ręki. Potem widzę, jak głowa opada mi na osuwający się tułów, a ciało zawisa bez życia na pokiereszowanej nożem kończynie, którą wciąż przygniata głaz. To tak, jakbym oglądał końcowe sceny filmu, które jednak nie znikają wraz z końcem projekcji. To mój koszmar na jawie, zapowiedź, która sprawia, że kładę nóż na kamieniu i dławię się z obrzydzenia.

Mrugam z wolna. Mdłości rozmazują mi wzrok, ale po chwili widzenie nabiera ostrości, a ja odzyskuję równowagę. Wraz z końcem tej odrażającej i teoretycznej sesji chirurgicznej zaczynam analizować swoją sytuację. Nie mam już możliwości, których bym wcześniej nie rozważał i nie określił jako nieskuteczne czy śmiertelnie groźne. Choć przestudiowałem wszystkie możliwe scenariusze na wstępnym etapie, w tej chwili nie potrafię się w nie zagłębiać. Utykam przy każdym zwrocie akcji. Umrę, zanim nadejdzie pomoc, nie zdołam wydobyć dłoni, nie ruszę głazu, nie odetnę sobie ręki. Po raz pierwszy ogarnia mnie niepowstrzymana depresja. optymizm, który towarzyszył mi przez miniony dzień, zniknął i czuję się samotny, zły i przerażony. Skomlę cicho: „Umrę”. Prawdopodobnie w ciągu następnych dwóch dni; nie ma większego znaczenia kiedy.

Umrę tu.

Zgasnę.

Będę konał z wolna, osuwając się, z ręką w pułapce, gdy odwodnienie przestanie się w końcu bawić ze mną w kotka i myszkę i ostatecznie mnie zabije.

Po co w ogóle piję wodę? To tylko przedłuży moją mękę. Nagle ogarnia

118

mnie posępne pragnienie, by niespodziewany potop położył wszystkiemu kres. Co chwila przez głowę przebiega mi myśl, by świadomie i celowo podciąć sobie nadgarstki. Moja rozpacz przeradza się w niedojrzały, szczeniacki gniew. Nienawidzę tego głazu. Nienawidzę go! Nienawidzę tego kanionu. Nienawidzę tego zimnego jak kostnica kawałka skały, napierającego na moją prawą dłoń. Nienawidzę lekko zatęchłej woni zielonkawego nalotu, który lśni u podnóża południowej ściany obok moich stóp. Nienawidzę powiewów wiatru, które ciskają mi w twarz drobinki pyłu, i przyćmionego półświatła tej klaustrofobicznej dziury, gdzie nawet piaskowiec wygląda groźnie.

- Nienawidzę... tego... wszystkiego! - mówię, uderzając przy każdym słowie lewą dłonią w głaz i czując łyzy, które napływają mi do oczu.

Echo mojego gniewu odbija się w głębi kanionu i znika, pochłonięte przez popołudnie. Po chwili odzywa się inny głos, ten w mojej głowie, i mówi zimno:

„Głaz zrobił to, co miał zrobić. Głazy spadają. Taka jest ich natura. To była pułapka, i to taka, która czekała właśnie na ciebie. Gdybyś tędy nie szedł i nie poruszył tego kamienia, wciąż tkwiłby w tym samym miejscu, w którym spoczywał od niepamiętnych czasów. Ty to zrobiłeś, Aron. To twoje dzieło. Sam postanowiłeś tu przyjść; postanowiłeś zagłębić się w tę szczelinę. Sam jeden. I postanowiłeś nikomu nie mówić, dokąd się wybierasz. Postanowiłeś odwrócić się od tych kobiet, które się pojawiły, by uchronić cię przed kłopotami. Sam doprowadziłeś do tego wypadku. Chciałeś, by tak się stało. Zdążyłeś do tego punktu od bardzo dawna. Pomyśl, jak daleką drogę przebyłeś, by znaleźć się w tym miejscu. Nie dostajesz tego, na co zasłużyłeś - dostajesz to, czego sam chciałeś”.

Świadomość, że osobiście ponoszę odpowiedzialność za swoją sytuację, tylko podsyca mój gniew. Przygnębienie nie przemija, ale przestaje uderzać w głaz. Jedna myśl krąży mi uparcie po głowie: Kristi i Megan były aniołami zesłanymi po to, by mnie ocalić, ja zaś to zlekceważyłem. Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, a piękno życia polega na tym, że nie jesteśmy pewni tych powodów, choć w tym wypadku moja pewność jest niezachwiana. Nie miały skrzydeł i harfy, niemniej Kristi i Megan pojawiły się w moim życiu, by spełnić pewien określony cel. Próbowaly uchronić mnie przed tym wypadkiem. Nie żywię żadnych wątpliwości, że w jakiś sposób wiedziały, co mnie czeka. Raz po raz wraca do mnie pytanie zadane przez

Kristi: „Jaką energię chcesz tam znaleźć?”, i ich uporczywe namowy, ale mój upór i ambicja zatrasnęły mi umysł na głucho. Tak, sam się w to wpakowałem. W jakiś pokręcony sposób szukałem tego przez całe życie. Jak inaczej bym się tu znalazł? Tworzymy własną egzystencję. Nie do końca to rozumiem, ale po trochu dociera do mnie, że cały czas chciałem, by coś takiego się przydarzyło. Szukałem przygody i znalazłem ją.

Przypominam sobie rozmowę z Megan o tym, jak się zgubiła w Cedar Mesa, regionie południowo-wschodniego Utah pełnym kanionów i pradawnych siedzib wykutych w skałach. Wraz z przyjaciółką przez całą noc kuliły się przy ognisku rozpalonym z gałązek jałowca. Z kolei ja opowiedziałem jej o tym, jak sam zgubiłem się w Cedar Mesa, wyszedłszy z kanionu już po zapadnięciu zmroku. Nie mogąc znaleźć własnych śladów, które prowadziły do mojego samochodu, przez godzinę krążyłem zdeorientowany z przyjacielem, Jamiem Zeiglerem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znaleźliśmy wóz na otwartym wzniesieniu mesy. Potem opowiedziałem Megan o pewnym epizodzie z lutego, kiedy wraz z Rachel Polver wybraliśmy się na liczącą prawie czterdzieści kilometrów wędrowkę po kanionach Chute i Crack w San Rafael Reef na terenie środkowego Utah. Po przebyciu dwudziestu czterech kilometrów natknęliśmy się na pochyłe zbocze piaskowca, na które Rachel nie mogła się wspiąć. Przez godzinę ją namawiałem, szkoliłem, podciągałem, pozwoliłem nawet stanąć sobie na ramionach, ona jednak nie była w stanie pokonać tego trzymetrowego

wzniesienia w szczelinie kanionu. Zawróciliśmy i ruszyliśmy przed siebie, aż udało się nam znaleźć ważyący ponad siedemdziesiąt kilogramów kłoc drewna, który zadźwigaliśmy z powrotem, znów pokonując dwieście metrów, i użyliśmy go jako drabiny. Cała ta rozmowa o niebezpieczeństwach czyhających w krainie kanionów,

O tym, że można utknąć tam na dobre albo się zgubić, stanowiła niezamierzoną zapowiedź mojego uwięzienia. Po tej wymianie zdań powinienem się domyślić, że mam pecha, i odejść z Kristi i Megan.

Takie myśli są śmieszne, ale zmęczenie po trzydziestu dwóch godzinach czuwania z pewnością zaczęło zaćmiewać mi umysł. Czuję się rozleniwiony

1 ogłupiały, a brak snu jeszcze bardziej pogarsza mój kiepski stan. Nim zapadam w namiastkę tak potrzebnej drzemki, narażając się przy okazji na ból ręki, przypinam daisy chain do ringu zawieszonoego w punkcie asekuracyjnym, by znów odciążyc nogi. Cyfry na moim zegarku zmieniają się bezgłośnie: jest 14.45.

120

Nie wiem, czy celowo czekałem na okazję, by wyjąć minikamerę, ale krótko po trzeciej postanawiam po raz pierwszy sfilmować samego siebie. Nabrawszy już w tym wprawy, przekręcam plecak i umieszczam go sobie na kolanach. Prócz burrito sprzęt fotograficzny stanowi jego jedyną użyteczną zawartość. Wciąż mam odtwarzacz kompaktowy, zapasowe baterie i pusty bukłak gdzieś na dnie, lecz wszystkie pozostałe rzeczy zostały już wykorzystane. Włączam urządzenie wielkości dłoni i obracam ekran ciekłokrystaliczny tak, aby mieć pewność, że jestem w polu widzenia obiektywu, a następnie włączam nagrywanie i ustawiam kamerę na głazie.

Zacznij od początku. Zakładaj, że ten, kto to zobaczy, znajdzie sprzęt już po twojej śmierci. Możesz zostawić go na kamieniu, a potem wyrycić na ścianie napis „obejrzyj mnie” i strzałkę wskazującą kamerę czy coś w tym rodzaju. Może woda zalewająca kanion porwie kamerę i zanieśe gdzieś daleko od mojego ciała. Powiedz im wszystko.

Zaczynam:

- Trzecia zero pięć, niedziela. Jestem od dwudziestu czterech godzin uwięziony w kanionie Blue John, ponad Wielkim Progiem. Nazywam się Aron Ralston. Moi rodzice to Donna i Larry Ralstonowie z Englewood w Kolorado. Ktokolwiek znajdzie to nagranie, proszę, by przekazał je mojej matce i ojcu. Niech koniecznie to zrobi. Będę wdzięczny.

Mrugam często i rzadko spoglądam na ekran. Wyglądam niechlujnie -mam na twarzy czterodniowy szczeciniasty zarost; ostatni raz goliłem się w domu w Aspen. Jednak to, co zmusza mnie do odwracania wzroku, to błędny wyraz moich oczu. Są wielkie, przypominają rozwarte spodki, w których odbija się koszmarny stres towarzyszący mi przez ostatni dzień. Luźne wałki skóry ciągną dolne powieki niczym odważniki.

Wypowiadam apatycznie bełkotliwe słowa między wymęczonymi oddechami. Siłę się na wyraźną dykcję:

-A więc... przemierzałem wczoraj kanion Blue John... w sobotę... między drugą czterdzieści pięć a trzecią, mniej więcej w tym czasie dotarłem do niższego odcinka wąwozu, który znów się zwęził. Zacząłem schodzić bez użycia liny... szło mi nieźle... wylądowałem na drugiej warstwie głazów. I wciąż tu jestem... ponieważ jeden z głazów obluzował się pod wpływem ciężaru mojego ciała, kiedy się z niego zsuwałem, i stoczył się w dół, a potem przygniótł mi prawą dłoń.

Biorę do ręki kamerę i kieruję obiektyw ku miejscu, gdzie moje przed-

ramię i nadgarstek znikają w przerażająco wąskiej szczelinie między głazem a ścianą kanionu. Następnie podnoszę kamerę i filmuję z góry szaronie-bieską dłoń.

-To, co teraz widzicie, to moja ręka wciśnięta w skały... tkwi tam, unieruchomiona. Nie ma w niej krążenia od dwudziestu czterech godzin. Prawdopodobnie ją straciłem.

Przesuwam kamerę i filmuję system lin i punktów asekuracyjnych.

- Liny, które widzicie, umożliwiają mi siedzenie, żebym nie musiał cały czas stać. Nie schodziłem przy użyciu liny, kiedy doszło do wypadku, choć potem założyłem uprząż i teraz mogę siedzieć. Staralem się za wszelką cenę utrzymać ciepło ciała. Mam bardzo, bardzo mało wody. Było jej mniej niż litr, kiedy tu dotarłem. Teraz mam około jednej trzeciej litra. W tym tempie skończy się przed jutrzejszym rankiem.

Omiata mnie kolejny podmuch wiatru; przez pięć sekund drzę niepowstrzymanie.

- Mój organizm ma kłopoty z utrzymaniem temperatury. Uhhh... znajduję się w prawdziwych tarapatach.

Krzywię się; ciężar własnych słów niemal mnie dławi.

- Nikt nie wie, gdzie jestem, z wyjątkiem dwóch dziewczyn, które spotkałem wczoraj w kanionie. Kristi i Megan z Moab... pracują w tamtejszej firmie Outward Bound. Skierowały się w stronę West Fork, a ja poszedłem dalej. Przyjechałem w ten rejon na rowerze, który stoi i jest zabezpieczony -klucze mam wciąż w kieszeni - około półtora kilometra na południowy wschód od przełęczy Burr, przy drzewie, w odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów od pobocza drogi, lewego pobocza, jeśli zmierza się na południowy wschód. Czerwony Thin Air, Rocky Mountain. Wciąż tam będzie.

Wiatr się wzmaga, mrużę oczy, starając się je chronić przed drobinami pyłu. Podmuchy zniekształcają mój głos, przestaję więc nagrywać. Zbieram myśli i znów włączam kamerę, by opisać możliwości, jakie mi pozostały.

- A więc, tak jak to widzę... wszystko sprowadza się właściwie do czterech rzeczy. Ummm, trzęsę się. Uhm... próbowałem przesunąć głaz za pomocą systemu lin. Założyłem punkt asekuracyjny i sporządziłem strzemiona, żeby w nich stanąć i poruszyć głaz. Nie drgnął.

Potrząsam zniechęcony głową i ziewam, walcząc ze zmęczeniem, które napływa falami.

122

- Próbowałem obłupać kamień. Biorąc pod uwagę postępy tej pracy w ciągu dwudziestu czterech godzin, i to przy ogromnym wysiłku, zajęłoby mi to sto pięćdziesiąt godzin, jeśli w ogóle zdołałbym tego dokonać. Problem, jak sądzę, polega między innymi na tym, że moja ręka w rzeczywistości podtrzymuje ten głaz. Co oznacza, że ilekroć obtłukuję jakąś cząstkę kamienia, przesuwają się odrobinę i znów przygniata mi dłoń. Nie jestem w stanie poczuć, jak się to dzieje, ale wydaje się, że tak właśnie jest, że rusza się w niedostrzegalny sposób, ponieważ ta mała szczelina między głazem a ścianą jest w gruncie rzeczy... no cóż, w każdym razie sądzę, że się zmniejszyła, kiedy kułem głaz. Widzicie ślady moich uderzeń pod liną. Usunąłem sporo tej skały, dokładnie tam, gdzie znajduje się lina. A nawet w miejscu, którego nie widzicie, ponieważ zastania je teraz moja ręka. Właśnie dlatego, że kamień się przesunął.

Przerywam na chwilę, żeby oblizać wysuszone wargi, przełykam z wysiłkiem, potem wzdycham przeciągle i z rezygnacją. Kiedy znów zaczynam opisywać sytuację, w której się znalazłem, słyszę w swoim głosie przygnębienie. Fiasko własnych wysiłków gasi we mnie wszelki zapał.

- A więc, skoro te dwie opcje zawiodły, pozostało mi obcięcie ręki.

Krzywię się. Tak bardzo, że dopiero po dziesięciu sekundach odzyskuję

normalny wyraz twarzy i mogę wyjaśniać bez przekonania:

- Sporządziłem opaskę uciskową i zacząłem dokładnie rozważać swoje plany, to, co zamierzam zrobić... ale to niemal równoznaczne z samobójstwem. Znajduję się, uhm, o cztery godziny drogi od swojego samochodu. Oznaczałoby to... gdyby w ogóle było możliwe - z powodu wspinaczki o czwartym stopniu trudności - że muszę wrócić tą samą drogą, a to zajęłoby mi cztery godziny, do miejsca, w którym znajduje się nie samochód, lecz rower, ale... uhm... ruszyć w stronę West Fork oznaczałoby dwie godziny więcej... to znaczy mniej... dwie godziny, może dwie i pół, ale znów ta wspinaczka, która z jedną ręką byłaby niemożliwa. Ze względu na utratę krwi i odwodnienie muszę to chyba wykluczyć. Myślę, że umarłbym, gdybym odciął sobie rękę... uhm, czwarta możliwość jest taka, że ktoś się tu zjawi. Ponieważ jest to kanion, którego prawie nikt nie odwiedza, a ten odcinek jest jeszcze rzadziej odwiedzany, myślę, że jest bardzo mało prawdopodobne, by ktokolwiek tędy szedł, nim umrę z odwodnienia i hipotermii... To dziwne... temperatura wynosi teraz około osiemnastu stopni, w każdym razie taka była wczoraj o tej porze; myślę, że teraz jest o stopień

niższa. W nocy spadła do dwunastu, nie tak źle. Większość czasu jednak trząsałem się z zimna. Kiedy się zbudziłem, zacząłem obtłukiwać kamień... to znaczy nie obudziłem się właściwie, ponieważ siedziałem i próbowałem zasnąć.

Zaczynam znajomą litanie na temat najbardziej prawdopodobnego scenariusza ratunkowego.

- Więc albo ktoś zauważy, że zaginąłem, ponieważ nie pojawię się na tym przyjęciu w poniedziałek wieczorem albo w pracy we wtorek, ale i tak nikt nie wie nic ponad to, że pojechałem do Utah. Może znajdą mój samochód. Myślę, że najwcześniej we środę albo we czwartek ktoś się zorientuje, gdzie mogę być, co się stało, i dotrze do mnie. To co najmniej trzy dni, licząc od teraz. Biorąc pod uwagę tempo opadania z sił w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, będę zaskoczony, jeśli uda mi się przetrwać do wtorku.

Wiem doskonale - i towarzyszy temu poczucie ostateczności - że się żegnam z rodziną i że bez względu na to, jak bardzo będę tu cierpieć, moi bliscy będą cierpieć jeszcze bardziej. Po długiej chwili, jękając się, zaczynam mówić; chcę przeprosić ich za wszystko, przez co będą musieli przejść z powodu mojego zniknięcia i śmierci. Wiem o tym doskonale.

- Przepraszam.

Czuję napływające łzy; zatrzymuję taśmę i wierzchem dłoni przecieram oczy. Potem znowu włączam kamerę.

- Mamo, tato, kocham was. Sonja, kocham cię. Jestem z was dumny. Nie mam pojęcia, co jest takiego we mnie, że się w to wpakowałem. Ale to jest coś... do czego dążyłem. Szukałem przygód i ryzyka, żeby poczuć się żywym. Ale wybrałem się na tę wyprawę sam i nie powiedziałem nikomu, dokąd idę, co jest głupotą. Gdyby ktoś wiedział, gdybym był tu z kimś jeszcze, to pomoc prawdopodobnie byłaby już w drodze. Wystarczyłoby, żebym porozmawiał z jakimś strażnikiem parku albo zostawił kartkę przy swoim wozie.

Głupota, głupota, głupota.

Zatrzymuję taśmę po raz ostatni i wyłączam kamerę, potem pakuję sprzęt. Tak jak powiedziałem w trakcie nagrania, moją najpewniejszą opcją jest czekanie na potencjalny ratunek. Zmieniam strategię. Muszę zachować ciepłotę ciała, porcjować wodę i, co najważniejsze, oszczędzać energię. Zamiast podejmować próby wydostania się z tej pułapki, czekam, aż zostanę znaleziony.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zimowa rapsodia

W końcu miałem dość ludzi, nie wyłączając siebie samego, ludzi, którzy nie dość się cenili, by cokolwiek z sobą zrobić - ludzi, którzy robili tylko to, co musieli, nigdy zaś tego, co mogliby robić. Nauczyłem się od nich zaraźliwego poczucia samotności, które zjawia się pod koniec każdego zmarnowanego dnia. Wiedziałem, że stać mnie na więcej.

igdy nie miałem więcej szczęścia niż w ciągu dwunastu miesięcy po rozstaniu z życiem korporacyjnym.

Jeśli chodzi o ekspedycję na Denali w 2002 roku, spotka! mnie zaszczyt, jakim była możliwość przyłączenia się do zespołu starych wyjadaczy - Team Stray Dogs - Marshalla Ulricha, Charliego Engle'a i Tony'ego DiZinno. Pomagałem naszemu szefowi, Gary'emu Scottowi, we wszystkim, począwszy od pierwszych przygotowań, gromadzenia żywności i rezerwacji lotów, a skończywszy na gotowaniu i zmywaniu po posiłkach, rozbijaniu obozów, dźwiganiu sprzętu i podejmowaniu decyzji w trakcie zdobywania szczytu. Prócz tego, że był to niezwykle sprawny zespół elastycznych ludzi, którzy szybko chłonęli wiedzę na temat wspinaczki lodowej na dużych wysokościach, nauczyłem się od nich wielu cennych rzeczy dotyczących współdziałania. Dzięki doświadczeniom

Mark Twight, I Hurt, Therefore I Am

125

ÜP

nabytym podczas tej wyprawy uświadomiłem sobie, że moją pasją jest przewodzenie grupom i wpajanie innym zasad obowiązujących w trakcie wędrówek pod gołym niebem.

Kiedy wróciłem z Alaski do Kolorado, jeszcze bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, że zostałem stworzony do roli przewodnika górskiego. Szczególnie lubiłem pokazywać ludziom dzikie obszary Zachodu. Poprowadziłem wyprawę na jeden ze szczytów niedaleko Aspen w towarzystwie dwóch mniej doświadczonych przyjaciół z Chicago. Przyjaciele z Florydy po raz pierwszy w życiu ujrzeli dzikie ostępy, kiedy wybrali się ze mną na pustynię Escalante w Utah. Niosłem sprzęt podczas ekspedycji ze znanym fotografem krajobrazu Kolorado, Johnem Fielderem, ambasadorem dzikiej przyrody, który poprzez swoje zdjęcia ukazuje ludziom bogactwo przeróżnych miejsc. Rozbudził we mnie pragnienie, by wszyscy mogli zobaczyć je na własne oczy.

Postanowiłem, że wrócę na Denali w 2003 roku, żeby wejść na West Buttress z kilkoma przyjaciółmi z Nowego Meksyku, Kolorado i Kalifornii. Gary Scott, szef naszego zespołu z 2002 roku, pobił rekord najszybszego zdobycia góry - w 1985 wyruszył z obozu Kahiltna na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów i dotarł na szczyt o wysokości ponad sześciu tysięcy metrów w ciągu osiemnastu i pół godziny. Wiedziałem, że

też potrafię się szybko wspinać, i gdy potrenowałem z Garym, jego rekord rozbudził we mnie pragnienie jeszcze szybszej wspinaczki. Zacząłem planować próbę samotnego zdobycia szczytu, mając nadzieję, że uda mi się wejść i zejść w czasie krótszym niż dwadzieścia cztery godziny. Przez następny rok ostro trenowałem, by osiągnąć najwyższą w życiu formę.

* * *

W listopadzie 2002 przeprowadziłem się do Aspen i od razu znalazłem pracę sprzedawcy w Ute Mountaineer. Jeśli akurat nie uprawiałem narciarstwa zjazdowego czy biegowego albo się nie wspinałem czy nie chodziłem w rakietach śnieżnych, to rozmawiałem z klientami o narciarstwie zjazdowym, biegowym, wspinaczkach i rakietach śnieżnych (ale najlepsze historie zostawiałem zawsze dla kolegów i kierownictwa sklepu). Nie dość, że dysponowałem bazą wypadową, z której wyruszałem zimą na trening i podbój dziewięciu najbardziej wymagających czteroty-

126

sięczników w tym stanie, to jeszcze otaczał mnie tłum przyjaciół myślących podobnie jak ja.

Jednym z radosnych wyzwań zimy było dzielenie czasu między wyprawy na miasto, imprezy, słuchanie muzyki i trening. Zdarzało mi się niejednokrotnie, korzystając z przerw między jedną a drugą zmianą w sklepie, zaliczyć trzygodzinny bieg narciarski, zjechać przed pracą ze stoku jednej z czterech gór w Aspen, potem pobiegać w rakietach, a następnie posiedzieć z przyjaciółmi do późna w jakimś klubie. Kiedy w Aspen nie było akurat kogo posłuchać, wraz z przyjaciółmi wybieraliśmy się do Vail albo jechaliśmy kawał drogi do Denver czy Boulder, i wracaliśmy tej samej nocy. Ani przez chwilę nie męczyła mnie monotonia czy choćby krótkotrwała nuda.

Kochałem życie narciarskiego miasta. Ja i moi znajomi niemal codziennie wspominaliśmy o tym, że „żywemy jak we śnie”. Stosowaliśmy wszelkie sztuczki, świadczyliśmy sobie wzajem przeróżne usługi i wymienialiśmy się sprzętem, by pomimo naszych skromnych dochodów zapewnić sobie przyzwoity poziom bytowania w Aspen - jednej z najdroższych miejscowości na świecie, jeśli chodzi o koszty utrzymania. Dzięki pracy mieliśmy zapewnione darmowe korzystanie ze stoku dwa razy w tygodniu, ale zorientowaliśmy się, jak jeździć pięć razy w wyższych miejscach, gdzie trasy nie były monitorowane. Szybko się nauczyłem, jak szukać takich terenów. „Jeśli chcesz jeździć na nartach, musisz robić to sprytnie”, mówiłem ludziom, których spotykałem na wyciągu, a potem czmychałem między drzewa ku swoim ulubionym trasom zjazdowym.

Poza wytyczonymi obszarami narciarskimi publiczne tereny umożliwiały mnóstwo okazji darmowej rekreacji. Choć trudno było dostawać wszystko za darmo, staraliśmy się o wszelkiego rodzaju zniżki w mieście: przy wypożyczaniu wysokiej klasy sprzętu dla profesjonalistów, u właścicieli restauracji, którzy udzielali nam po znajomości rabatu, u przyjaciół organizujących przyjęcia z kolacją, u bramkarzy i barmanów. Nie szkodziło też, że mieliśmy najlepszy od pięciu lat śnieg.

Wraz z oficjalnym początkiem sezonu zimowego skupiłem się przede wszystkim na samotnych wspinaczkach, które mnie czekały. W miarę upływu czasu wybierałem coraz trudniejsze drogi i góry. Prócz wszelkich korzyści wynikających z pracy, znajomości z przyjaciółmi i współloka-torami, życia towarzyskiego i muzycznego cieszyłem się też szczególnie

127

opieką anioła stróża, który najwidoczniej nie miał nic przeciwko temu, by towarzyszyć mi przez długie

godziny podczas samotnych wędrówek na pustkowiach.

Wspinaczki zacząłem pierwszego dnia po świętach Bożego Narodzenia, kiedy to wszedłem z nartami na dwa sąsiednie czterotysięczniki -Castle i Conundrum - i dwukrotnie przeżyłem coś, co autor przewodników i guru wędrówek po odludziach, Lou Dawson, nazywa „podróżą przez dolinę śmierci”.

Zagrożenie lawinowe znacznie wzrosło po Nowym Roku, tak więc 9 stycznia, kiedy obozowałem pod północnym zboczem malowniczego szczytu Maroon, musiałem zmienić plan i zrezygnować ze standardowej drogi wspinaczkowej. Wybrałem inny cel, szczyt Pyramid, i zaatakowałem go od strony zachodniej, pomimo burzy, która zasypywała niepokojącą ilością świeżego śniegu stromy zachodni kocioł polodowcowy na wysokości czterech tysięcy metrów. Cały czas towarzyszyło mi ryzyko lawiny, która tylko czekała, aż ludzki czynnik imieniem Aron postawi stopę w niewłaściwym miejscu zbocza.

Schodząc z grani szczytu i przytrzymując się dłońmi niezbyt pewnego występu z mułowca, przygotowywałem się do trudnego manewru zejścia z szeregu wysokich na ponad cztery metry progów. Kiedy się puściłem, wylądowałem na stopach ponad metr niżej, na metrowej półce skalnej. Przez chwilę chwiałem się nad drugim progiem, potem odzyskałem równowagę i zacząłem pokonywać kolejne trzy metry w dół, by dotrzeć na zewnętrzną krawędź śnieżnego pola kotła. Stamtąd rozpocząłem pełną napięcia wędrówkę ku linii drzew. By uniknąć niepewnych miejsc, które w trakcie mojej wspinaczki wypełniły się głęboką na trzydzieści centymetrów warstwą śniegu grożącego lawiną, musiałem schodzić inaczej, niż wchodziłem. Chwilami spychałem śnieg ku niższej części zbocza, powodując niewielkie lawiny, a dopiero potem zsuwałem się sam. Nigdy nie zaliczyłem upadku podczas zimowej wspinaczki. Zawsze sprzyjało mi szczęście i lądowałem bezpiecznie (jeden fałszywy krok na występie skalnym groził szybkim zjazdem w dół, w nieckę, i najpewniej poważnymi obrażeniami spowodowanymi przez obsunięcie śniegu), ale miałem

duszę na ramieniu i schodząc, zabezpieczałem się w miarę możliwości.

* * *

128

Począwszy od doświadczeń nabytych podczas zdobywania szczytu Pyra-mid, rozpocząłem w styczniu miesięczną serię wspinaczek na czterotysięczniki, za każdym razem z licznymi przygodami. Kiedy wchodziłem na górę Holy Cross, na wysokości czterech tysięcy metrów zaskoczył mnie zmierzch, i to przy bardzo niskiej temperaturze. Wynikało to z niewłaściwego opisu drogi wspinaczkowej. Biwakując na półce o szerokości zaledwie sześćdziesięciu centymetrów, znajdowałem się tuż pod przełęczą oddzielającą dwa czterotysięczniki, ale nad przyprawiającą o zawrót głowy stromą ścianą wysokości czterystu pięćdziesięciu metrów wprost na dno kuluaru. Przykucnąwszy, uzupełniłem ubytki energii gorącym napojem i błyskawicznym puree z ziemniaków. Po dwudziestokilometro-wej wędrówce dotarłem na północny szczyt Notch Mountain, ale ponieważ nie miałem namiotu, planowałem dotrzeć przed zmierzchem do osłoniętego skałami schronienia na południowym szczycie. Jednak z powodu głębokiego śniegu i przewodnika, który zalecał trawersowanie wschodniej strony południowego szczytu (błędnie - zamiast zachodniej), posuwałem się znacznie wolniej, tracąc resztki sił i zapasu wody. Nim się zorientowałem, że idę w złym kierunku, byłem zbyt wycieńczony, by ponownie ruszyć w stronę przesmyku i wejść na właściwą drogę.

To wtedy moje życie zależało od pierścienia uszczelniającego w butelce z paliwem. Gumowa uszczelka, o czym nie wiedziałem, skurczyła się, i przez pięć minut paliwo wylewało się na śnieg, kiedy otworzyłem zawór. Niechcący straciłem trzy czwarte zapasu, nim się zorientowałem, dlaczego palnik daje taki mały płomień. Włożyłem tę nieszczęsną uszczelkę do ust, próbując ją rozgrzać, gdy ujrzałem, jak od zachodu nadciąga burza. Wiedziałem doskonale, że muszę się dostać w osłonięte miejsce, ale najpierw musiałem się

wzmocnić, a bez wody nic nie mogłem zjeść -musiłem koniecznie dać sobie radę z palnikiem. Przyszło mi wtedy do głowy, że to, co oddziela życie od śmierci, może mieć przeróżną postać. Czasem rzecz jest oczywista: odległość od pioruna, pasy bezpieczeństwa, które przytrzymują człowieka, gdy uderza samochodem jelenia z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, zdecydowane działanie przyjaciela, którego szybki refleks zapobiega utonięciu w rzece Kolorado. Innym razem jest to coś o wiele mniej oczywistego, nawet niedostrzegalnego - mikroskopijny łańcuch DNA, który umożliwia ciału zwalczenie infekcji, o której się nawet nie wie, decyzja o zdobyciu innej góry i tym

129

samym uniknięcie spadającego kamienia na drodze, z której się zrezygnowało. Przechodzimy przez życie, ignorując te wszystkie subtelności, ponieważ każdego dnia przeżywamy mnóstwo rzeczy i nie wiemy nawet, że coś nam groziło. A potem zdarza się niebezpieczna sytuacja, z której wychodzimy cało, i uświadamiamy sobie, co znaczy ten ułamek centymetra albo sekundy. Wiedziałem, że palnik to moje wybawienie od śnieżnej pułapki i zapewne ogniwo pozwalające zejść z góry cało. Musiałem naprawić uszczelkę zapobiegającą wyciekowi paliwa.

Wyjąłem z ust trzymilimetrowy krążek i obejrzałem dokładnie zdeformowaną część. Zmęczenie spowodowało, że wypadł mi z dłoni i zniknął w ciemności. Jedną z tych subtelnych i drobniotkich rzeczy decydujących o życiu stała się nagle przerażająco oczywista. Ze strachem myślałem o tym, że ta uszczelka spadła z półki, na której się znajdowałem. Oświetlając sobie grunt lampką czołową, zacząłem przesiewać zbity śnieg palcami, aż znalazłem mały czarny krążek. Pięć minut później prymus huczał, ja zaś roztopiałem w nim śnieg, wiedząc, że mam pewne szanse.

Im dłużej zmagalem się z burzą, tym trudniej szło mi schodzenie. Nie mogłem zdjąć gogli z powodu oślepiającego wiatru i wiejącego śniegu, ale też nie widziałem niczego w ciemności, ponieważ okulary ograniczały znacznie światło z czołówki. Zostawiłem gogle na głowie, ale podnosiłem je co jakiś czas, by poszukać najlepszej drogi. Po godzinie stromej wędrówki, nie widząc zbczy, które opadały po mojej prawej ręce, znalazłem się na polu śnieżnym pod oblodzonym skalnym progiem, gdzie widoczność nie przekraczała pięciu metrów. Próbowałem pokonać skałę, ale po dwunastu metrach zrezygnowałem, zniechęcony trudnością terenu. Wycofałem się, by poszukać łatwiejszej drogi. Choć przywykłem już do poruszania się po skomplikowanym terenie w narciarskich butach z elastycznym śródstopiem, moje umiejętności nie pozwalały na wspinaczkę po pionowej ścianie piątego stopnia, w ciemności i z ciężkim plecakiem. Kolejna godzina poszukiwań wśród skał jakiegoś rozsądnego wejścia na południowy szczyt zmęczyła mnie i gdy dotarłem do schronu i stwierdziłem, że jest wypełniony śniegiem, byłem zbyt wyczerpany, żeby go odgarniać. Rozłożyłem śpiwór, wpełzłem do niego i zasnąłem.

Nazajutrz rano burza minęła, ale wątpiłem w swoje szanse podwójnego trawersowania grani Halo góry Holy Cross. Musiałbym pokonać

130

najpierw trzy wysokie wierzchołki - każdy miał ponad cztery tysiące metrów - by dotrzeć do głównego szczytu, a potem wrócić, znowu mając do czynienia z tymi samymi mniejszymi wierzchołkami. Po dotarciu do schronu musiałbym pokonać w odwrotnej kolejności oba szczyty Notch Mountain, żeby wrócić do samochodu. Łącznie dziewięć szczytów wysokości ponad czterech tysięcy metrów, zanim wróciłbym do miejsca, w którym zostawiłem narty, i rozpoczął piętnastokilometrowe zejście. Z powodu historii z prymusem miałem dość paliwa na roztopienie ilości śniegu równej dwóm litrom wody, czyli mniej niż

połowa tego, czego potrzebowałem. A bez wystarczającej ilości wody nie mógłbym przygotować śniadania - owsianki i protein - i musiałbym w drodze do samochodu racjonować pięć batonów czekoladowych - jedyny gotowy do spożycia prowiant, jakim dysponowałem, w dodatku o połowę mniejszy od wymaganego w takiej sytuacji.

Spokojna słoneczna pogoda i niezwykle widoki z mojej kryjówki natchnęły mnie pewnością siebie. Zanim się obejrzałem, w ciągu pięciu godzin obszedłem grań i znalazłem się na szczycie Holy Cross, skąd bez trudu mogłem dojrzeć tereny zjazdowe i większe szczyty pasma Ełk, otaczającego Aspen od południowego zachodu. Podczas wspinaczki musiałem polegać na swojej sprawności, aklimatyzacji i zachowywać odpowiednie tempo, by oszczędzać energię. Stwierdziłem, że jeśli zdołam unikać niepotrzebnych ruchów i nie będę się forsował, to mogę liczyć na swoją wytrzymałość. W godzinę po zdobyciu szczytu podążałem własnymi śladami wzdłuż łagodnej grani, którą zamierzałem dotrzeć z powrotem do złomiska przy południowym niższym szczycie Holy Cross. W pobliżu kilku skał, których linia przypominała podkowę, w odległości około sześciu metrów od nawietrznej strony dość stromo opadającego nawisu, postawiłem stopę w płytkim zagłębieniu, które tu pozostawiłem w trakcie podejścia.

Nagle w śniegu, który miałem przed sobą, rozległ się jakiś trzask. Uskoczyłem instynktownie w prawo, ku twardemu gruntowi. Na białej powierzchni wewnątrz skalistej podkowy pojawiła się szczelina, która zataczała szybko półkole od przeciwległego krańca śnieżnego pola do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stałem. W momencie, gdy rzuciłem się za skały ku schronieniu w pobliskiej tundrze, całe pole śnieżne oderwało się i zniknęło. Pomijając ten pierwszy dźwięk, upadek nawisu odbył

131

się w ciszy. Obszedłem głazy i zbliżyłem się do południowej krawędzi otworu, będącego moim dziełem, po czym ostrożnie spojrzałem w głąb przepaści. Sto pięćdziesiąt metrów poniżej grani, na śnieżnych zboczach ponad oblodzonym wybrzeżem jeziora Bowl of Tears, leżały porozrzucone szczątki nawisu. Cofnąłem się znad urwiska, rozmyślając o losie, którego właśnie uniknąłem. Przez głowę przemknął mi obraz mojego ciała roztrzaskującego się o skały pośród bezładu śnieżnych bloków. „Nie przeżyłbym takiego upadku, nie ma mowy, pomyślałem. Leżałbym teraz na dole z rozłupaną czaszką, pod tonami śnieżnych zwałów”. Najbardziej przerażające w tej całej historii było to, że w trakcie wchodzenia na szczyt nie zorientowałem się, co to za teren. Nawisy mają to do siebie, że często spadają - taka jest ich natura. Teraz, kiedy przeszedłem około stu metrów po grani, widziałem wyraźnie ślady własnych stóp prowadzące wprost ku przepaści.

W drodze powrotnej pokonałem niższe wierzchołki i dwa szczyty Notch Mount. O zmroku dotarłem do swoich nart i na nich przebyłem pozostałe piętnaście kilometrów i tysiąc dwieście metrów stromego zbocza w srebrzystym blasku księżyca. Około dziewiątej wieczorem, pędząc na nartach po szerokiej drodze dojazdowej, wystraszyłem łosia na pochyłym i pozbawionym drzew terenie. Umknął w las, przebijając się bez większego trudu przez sypki i puszysty śnieg głębokości co najmniej metra. Przypominając sobie, jak sam posuwałem się z mozołem na nartach przez ten sam las, podziwiałem przez chwilę zwinność i siłę zwierzęcia, choć wiedziałem, że wydałoby się niezgrabne i ociężałe watasze wygłodniałych wilków.

We wtorek, w następnym tygodniu po mojej pięćdziesięciokilometrowej wędrówce po górze Holy Cross, Brian Payne, z którym mieszkałem, wylądował na oddziale intensywnej opieki medycznej w wyniku bardzo poważnego wypadku narciarskiego. Kiedy zjawiłem się w Aspen Valley Hospital, by go odwiedzić, zastałem tam Roba Coopera, który czekał na operację; też odniósł obrażenia podczas jazdy na snowboardzie - miał złamaną prawą rękę, nadgarstek i dłoń. Brian spędził osiem dni na oddziale intensywnej opieki medycznej i przez pięć następnych wracał do zdrowia po zapadnięciu się płuca, uszkodzeniu nerki i złamaniu żeber w dwudziestu dwóch miejscach. Rob przebywał w szpitalu dwa tygodnie. Odwiedziłem ich jeszcze dwukrotnie

przed wyruszeniem we czwartek wieczorem do Boulder, gdzie zamierzałem wejść dwa razy na szczyt

132

Longs, niższy, ale bardziej wymagający technicznie niż Halo Ridge. Choć martwiłem się stanem zdrowia swoich przyjaciół, ich wypadki uświadamiały mi, ile miałem szczęścia podczas ostatnich wypraw.

* * *

Tak jak Holy Cross był ostatnim czterotysięcznikiem łańcucha Sawatch na mojej liście, tak też szczyt Longs był ostatnim w łańcuchu Front. Wraz z przyjacielem, Scottem MacLennanem, postanowiliśmy go zdobyć, korzystając z drogi wspinaczkowej po północnej stronie. Koszmarna burza opóźniła naszą wspinaczkę, ale dotarliśmy przed zmrokiem do Boulderfield i miejsca, gdzie zamierzaliśmy rozbić obóz. Niestety, Scott bardzo źle znosił wysokość trzech tysięcy ośmiuset metrów, tym bardziej że znów mieliśmy do czynienia z zepsutym palnikiem. Ogrzałem foliowe opakowanie potrawy mięsnej z soczewicą, ale taki posiłek nie mógł przywrócić nam sił potrzebnych do wspinaczki. Gdy się okazało, że wypoczynek nie pomógł Scottowi, który nadal odczuwał skutki przebywania na tak dużej wysokości, przezornie zrezygnowaliśmy z wyprawy i wróciliśmy do Boulder, żeby zjeść coś gorącego i zregenerować się trochę.

Następnego ranka, w sobotę, Scott podwiózł mnie na początek szlaku i miał tam wrócić po dziesięciu godzinach. Wyruszyłem na samotną wspinaczkę. Na szczycie Longs zawsze jest bardzo silny wiatr i najlepiej zdobywać go bez nart. Na wysokości prawie czterech tysięcy metrów, kiedy obszedłem Keyhole po raz pierwszy od ośmiu lat, zauważyłem, że płyty skalne i wieże na zachodniej ścianie, nawietrznej, pokrywa gruba warstwa szadzi. Powiewy wiatru przyspieszają nad szczytem, schładzając powietrze poniżej punktu rosy, a potem para kondensuje się w szron na każdej odsłoniętej powierzchni. Linia grani, najbardziej narażona na wichury z kierunku zachodniego, pokryta jest lodowymi grzybami, zwłaszcza wzdłuż linii skał ciągnących się na zachód od Trough Couloir i Narrows. Wchodziłem tą samą drogą co kiedyś, zdobywając ten szczyt jako swój pierwszy czterotysięcznik.

Ponieważ nie nałożyłem jeszcze raków ani nie wyjąłem z plecaka drugiego czekana, ominąłem zbyt cienki lód pokrywający Homestretch i wybrałem inną drogę - sześćdziesięciometrową połączyć stromego śniegu z szeregiem półek skalnych, które kończyły się kominem o pionowych ścianach, ten zaś przewieszką. Opierając się stopami o prawą ścianę,

133

1

a plecami o lewą, ściągnąłem plecak, by łatwiej było mi się przeciskać i wydostać na przewieszkę. Miałem wprawdzie odpowiednie umiejętności wspinaczkowe, ale koszykarskie mnie zawiodły. Próbowałem wrzucić plecak na przewieszkę. Zrobiłem to zbyt słabo i plecak, zamiast wylądować na płaskowyżu wielkości boiska piłkarskiego, uderzył w skalny okap i poleciał w lewo. Balansując po nieudanym rzucie, odwróciłem się i zobaczyłem, jak plecak odbija się nad moją głową od ściany. Spadał swobodnie przez trzydzieści metrów i wylądował w śniegu na lewo od śladów mojej wspinaczki, po czym zaczął się zsuwać w dół zbocza, nabierając stopniowo szybkości i pędząc ku sześćsetmetrowej przepaści. Patrzyłem zdumiony, jak plecak zatrzymuje się w cudowny sposób, utknąwszy w sześćdziesięciocentymetrowej szczelinie pośrodku skalnej płyty.

Moje zdumienie tym szczęśliwym zrzędzeniem losu ustąpiło, kiedy tylko uświadomiłem sobie, że straciłem raki i drugi czekan przed planowanym zejściem z Homestretch. Wspiąłem się na przewieszkę, ruszyłem w

stronę najwyższego widocznego punktu płaskowyzu i zrobiłem kilka zdjęć. Usiadłem na wielkim głazie ponad Diamond - dobrze znaną wschodnią ścianą szczytu Longs - i stłumiwszy zniechęcenie, syciłem oczy widokiem nieprawdopodobnego stromego spadku u swoich stóp. Wciąż jednak podświadomie zadawałem sobie pytanie, jak odzyskam plecak.

Kilka minut później zbliżyłem się do Homestretch. Z zaciśniętymi ustami i zmarszczonym czołem zacząłem schodzić i po pierwszych pięciu ruchach przestałem widzieć górę, ponieważ zagłębiłem się w chmurach burzowych. Niebawem napotkałem luźny śnieg, zakrywający zdradziecką warstwę lodu, który zamieniał chwyt w śliskie pułapki. Odwróciłem się twarzą do skalnej płyty po prawej stronie, jednocześnie szukając lewą stopą oparcia. Obserwując but i starając się ignorować otchłań, która groźnie majaczyła w tle, usunąłem trochę śniegu z niewielkiego występu, wspierającego podeszwę. Jeszcze trzy ruchy w dół, wbicie czekana w płat lodu grubości centymetra i dotarłem do wgłębienia za jakimś głazem. Znów się odwróciłem, siedząc na występie, po czym zsunąłem się na następną połąć śniegu zakrywającego skałę pod spodem.

Musiałem pokonać dziesięć metrów, by dotrzeć do dwóch cienkich granitowych występów, które wystawały na jakieś dwa centymetry z sąsiedniej płyty. Kusiły mnie obietnicą solidnego oparcia dla dłoni, które pozwoliłyby mi pokonać odległość około siedmiu metrów w prawo.

134

Miałem dwie rzeczy do wyboru: przesuwać się w lewo, twarzą do płyty, mogłem wykonać kilka łatwych ruchów, co pozwoliłyby mi następnie pokonać długą na cztery i pół metra płytę po prawej stronie, która była odsłonięta, ale wolna od śniegu i lodu; albo mogłem wybrać wyżłobienie w śniegu z prawej strony, wzdłuż drogi prowadzącej na szczyt i z powrotem, i w ten sposób uniknąć zmagania się z płytą.

Wybierz śnieg, na tej płycie nie ma się czego trzymać, to zbyt ryzykowne.

Czterokrotnie przesuwałem stopy w brudzie śnieżnej - zdołałem znaleźć dla nich solidne oparcie i schodzić bez trudu. Wciąż obrócony plecami do zbocza, tkwiąc w śniegu, rozpostarłem ramiona po obu bokach rynny i przycisnąłem dłonie do szarobrazowego granitu. Czekan kołysał się na pasku wokół lewego nadgarstka, stukając głośno o skałę, ilekroć zmieniałem położenie górnej części ciała, by przesunąć dłonie. Szło mi nieźle przez pierwsze trzy metry, ale w pewnym momencie obcas lewego buta pośliznął się na lodzie ukrytym pod śniegiem. Zniżając się, aż moja prawa stopa znalazła się pod pośladkami, wyciągnąłem lewą jeszcze bardziej, ale ślizgała się przy każdej próbie. Pomyślałem, że naprawdę przydałyby mi się te raki.

Chwyciłem czekan lewą ręką za głowicę i zacząłem wbijać ostry koniec w śnieg, aż uderzył o skałę. Naciskając czekan, mogłem wyciągnąć lewą stopę o kolejne dziesięć centymetrów, ale nie znalazłem dla niej żadnego oparcia wolnego od lodu. Z metalowymi zębami na butach byłoby to dziecinnie proste. W chwili gdy gromiłem się w myślach za utratę plecaka, popełniłem błąd. Uniostem się za bardzo na prawym pośladku, a podeszwa prawego buta wysunęła się z zagłębienia. Upadłem na plecy i instynktownie przekręciłem się na brzuch, chwytając stylisko czekana prawą ręką. Znajdowałem się w pozycji autoasekuracji, ale mój tułów zjechał poniżej czekana, stopy zaczęły się ślizgać i w konsekwencji, pod wpływem ciężaru ciała, wyrwałem czekan z miejsca, w którym tkwił. Zjechałem po śniegu na skalną płytę o nachyleniu czterdziestu stopni. Nabierając szybkości, czułem, jak kryształki granitu szorują o nieprzemakalne spodnie na kolanach. Ujrzałem pod przymkniętymi powiekami rozwierającą się za mną otchłań i sapnąłem z wrażenia. To koniec, pomyślałem. Nie mam szans.

Próbując wbić czekan w skałę, by się zatrzymać, poruszałem gorączkowo ramionami, aż przeniósłem cały ciężar torsu na narzędzie, które darło

podłoże z odrażającym zgrzytem stali trącej o kamień. Tyle samo energii wkładałem w zaciskanie powiek, co w zaciskanie dłoni na stylisku czekana. Nie mogłem znieść widoku coraz szybciej umykającej spode mnie skały; wiedziałem, że w pewnej chwili grawitacja chwyci mnie za kołnierz i polecę w dół jeszcze bardziej stromej ścianie jak szmaciana lalka, wprost w otchłań głębokości siedmiuset metrów.

Czekan zgrzytał jeszcze przez moment, po czym zahaczył o coś. Zatrzymałem się gwałtownie. Sam fakt, że już nie spadałem, przyprawił mnie o chwilowy paraliż. Wciąż wstrzymując oddech, ostrożnie otworzyłem oczy przekonany, że nawet drgnienie powiek zakończy tę przerwę w upadku i że bezwładnie polecę ku śmierci. Najpierw zauważyłem, że wciąż znajduję się na tej gładkiej ścianie i że zsunąłem się zaledwie o dwie długości swojego ciała. Co utrzymywało mnie w tej niewiarygodnej pozycji? Obróciłem głowę w lewo i zajrzałem pod stylisko czekana. Moje spojrzenie skupiło się na jego dziobie... i nic nie zobaczyłem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa napierałem na granit z taką siłą, że dziób wbił się w nagą skałę. Nie istniało inne wyjaśnienie. Żadnej półki, występu, przetłumienia, krawędzi, szczeliny, tylko mikroskopijnie zróżnicowany granit, chropowaty jak surowy beton; pojawił się dokładnie na linii mojego czekana i wyrwał mnie z objęć nieuchronnego losu. Nie mogąc w to uwierzyć, uległem potrzebie ciała spragnionego tlenu i odetchnąłem kilka razy, sapiąc głośno. Upłynęła cała minuta, nim poruszyłem głowę, żeby zerknąć przez lewe ramię ku trasie ucieczki.

Nie mam pojęcia, jak dźwignąłem się z pozycji autoasekuracji i dotarłem bezpiecznie na półkę za głazem po lewej stronie, ale wkrótce stałem na nogach, przyglądając się uważnie drodze w dół, która mnie jeszcze czekała. Wiem tylko, że ani razu nie spojrzałem w stronę przepaści, skupiając całą uwagę na zejściu poniżej skalnych występów. Wkrótce po dotarciu do pierwszych skał odkryłem więcej lodu pod siedmiometrową połacią śniegu. Trzymając się desperacko prawą ręką występu, wywijałem czekanem, wyrabując w lodzie stopień dla czubków butów. Po dziesięciu minutach pokonałem tę ostatnią przeszkodę i doznałem do śladów pozostawionych w trakcie wspinaczki, by wreszcie dotrzeć do zagłębienia, w którym utkwiał mój plecak. Od razu wyjąłem z niego raki i przypiąłem je do butów. Przynajmniej byłem odpowiednio wyposażony przed zejściem; ruszyłem na spotkanie ze Scottem, który czekał na mnie na szlaku.

136

* * *

Pokonawszy dwie techniczne i trzy długie trasy w ciągu czterech tygodni -włącznie z objechaniem na nartach północno-wschodniej niecki Snowmass Mountain, kolejnego czterotysięcznika - czułem się odpowiednio przygotowany do największego wyzwania związanego z moim projektem, czyli samotnej wspinaczki na szczyt Capitol. Wiedziałem z doświadczenia, że ma on najdłuższe ze wszystkich czterotysięczników, wyjątkowo trudne do pokonania odcinki, równie techniczne jak Longs i Pyramid, i równie niebezpieczne jak Maroon Bells (zwany też Deadly Bells - Śmiertelne Dzwony). Znałem jednak podejście, znałem warunki śniegowe, byłem też pewien swojej formy i aklimatyzacji. Szczyt znany jest przede wszystkim z powodu Knife Ridge - stumetrowej grani na wysokości ponad czterech tysięcy metrów, która na wschodzie opada na głębokość prawie pięciuset metrów, ku stromym żłobkowanym gzymsom kończącym się wysoko ponad Pierre Lake Basin, na zachodzie zaś - na głębokość ponad siedmiuset metrów, aż do jeziora Capitol. Choć Knife Ridge cieszy się złą reputacją z powodu swej ekspozycji, najtrudniejsze do pokonania są odcinki za granią, w wyższych partiach szczytu.

7 lutego 2003 roku obudziłem się w minusowej temperaturze w obozie wypadowym na zamrzniętym skalistym brzegu jeziora Moon. Wspinając się w tych arktycznych warunkach, posuwałem się w sprzęcie narciarskim, dopóki nachylenie terenu nie sprawiło, że moje narty przestały trzymać się zbocza. Wciąż znajdując się poniżej czterech tysięcy metrów, zdjąłem deski, przyczepiłem do plecaka, po czym zacząłem brnąć w nieprawdopodobnie głębokim puchowym śniegu, ryjąc głęboki - miejscami na dwa metry - rów w nachylonym pod kątem czterdziestu stopni śnieżnym zboczu w drodze na niższy szczyt wysokości 4100 m n.p.m., znany jako K2. Spodiewając się, że czeka mnie długie schodzenie w nartach, zostawiłem je na K2 i ruszyłem przez Knife Ridge w rakach. W połowie drogi natknąłem się na niezwykle trudny odcinek stromej grani, która po lewej stronie była upstrzona nawisami. Z powodu uporczywych zachodnich wiatrów wystającą krawędź od wschodniej strony pokrywał stwardniały śnieg.

Usiadłem okrakiem na wierzchołku grani, by przejść na drugą stronę, ale z powodu śnieżnych nawisów musiałem nieco udoskonalić technikę.

Posuwałem się więc do przodu z czekaniem w dłoni, by przytrzymać się skały, gdybym zaczął się zsuwać ze swego siedziska. Choć byłem bezpiecznie usadowiony i zachowywałem równowagę na grzbiecie przypominającym ostrze noża, co chwila obrywałem lewą stopą nawisy, które spadały w budzącej grozę ciszy. W każdym takim przypadku uderzałem boleśnie krocem o ostrą krawędź. Towarzyszyła mi także niepokojąca świadomość niezmierzonej przestrzeni, ponieważ wiedziałem, nawet nie patrząc w dół, że kawały zbitego śniegu wielkości blatu małego stolika odłamują się pod moim lewym poślądkiem i lecą w otchłań, nie wydając żadnego dźwięku. Skupiłem się na tym, by rytmicznie zagłębiać raki na prawym bucie w szczelinie po zachodniej stronie, a następnie przesuwając ciało o piętnaście czy trzydzieści centymetrów. Dość szybko dotarłem na drugi koniec Knife Ridge. Radosny po pokonaniu niezwykle wymagającego odcinka, wyjąłem z kieszeni kurtki aparat cyfrowy i zrobiłem sobie zdjęcie. Szeroki uśmiech na mojej twarzy mówił sam za siebie.

Wbijając raki w śnieg, pokonałem ostatnie czterysta pięćdziesiąt metrów. O 12.42 dotarłem na szczyt Capitol - spełniłem marzenie, które towarzyszyło mi od pięciu lat. Cały mój projekt opierał się na działaniach, których zwieńczeniem było zdobycie tej góry, czterdziestego trzeciego czterotysięcznika, w trakcie samotnej wspinaczki. Ponieważ znów czekało mnie zmierzenie się z Knife Ridge w drodze powrotnej, zszedłem pospiesznie z wierzchołka po nagraniu radosnego wideo i wykonaniu serii zdjęć, i wróciłem po narty na szczyt K2. Wraz z upływem dnia zagłębiałem się coraz bardziej w lodowate cienie góry i musiałem od czasu do czasu ściągać rękawice, żeby usuwać lód z ich podszewki. Podczas przebijania się przez zwały śniegu przy wchodzeniu rękawice przemokły i napełniły się śniegiem, który szybko zamarzał, kiedy temperatura zaczęła spadać.

Zjeżdżając z K2 na nartach, martwiłem się nie tyle o dłoń, ile o stabilność śniegu. Zakręty i zakola, które musiałem pokonać na zboczu, dorównywały tym wszystkim esom-floresom góry Howard na mojej liście ulubionych tras zjazdowych. Gdy jednak dotarłem do obozowiska nad jeziorem, wiedziałem, że z moimi rękami dzieje się coś złego - nie mogłem ich rozgrzać, bez względu na to, czego próbowałem. Trzymałem je nad zapalonym palnikiem, by roztopić zalodzone rękawice, ale nie czułem żadnego ciepła w koniuszkach palców. Zdarłem namoknięty

138

materiał z dłoni i zobaczyłem żółtawobiały odcień palców i kciuków. Niedobrze.

Pospiesznie zwijałem obóz, nie troszcząc się o przygotowanie posiłku. Nie martwiłem się za bardzo

odmrożeniem - akceptowałem to, co się stało, i chciałem tylko zminimalizować poważniejsze uszkodzenie tkanek. Zdobyłem szczyt w stylu, który w ciągu ostatnich trzydziestu godzin w pełni zaspokoił moje pragnienie górskiej przygody i doświadczeń. To, że doznałem częściowego i całkowitego odmrożenia ośmiu palców, stanowiło nieodzowną część tej przygody. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z rozmiarów kontuzji. Włożyłem suchą parę ocieplanych rękawic, by chronić ledwie sprawne dłonie podczas jedenastokilometrowego zjazdu.

Kiedy zjawiłem się w domu w Aspen, zamiast pojechać do szpitala (co koniecznie trzeba było zrobić), sam się opatrzyłem. Najpierw zażyłem cztery tabletki wyjątkowo silnego leku przeciwbólowego, by przygotować się na następny etap procedury medycznej. Odczekałem pół godziny, żeby środek zaczął działać, napełniłem zlew kuchenny gorącą wodą i zacząłem sprawdzać, jak długo uda mi się utrzymać stałą wysoką temperaturę wody. Przez godzinę stałem sam w kuchni z dłońmi w wodzie i patrzyłem, jak ich barwa zmienia się z czarnej w czerwoną, potem pomarańczową, wreszcie zieloną. Darłem się przy tym bezwstydnie z bólu, który rwał mi ciało. Chwilami musiałem przytrzymać prawy nadgarstek lewą dłonią, żeby nie wyszarpnąć go gwałtownie z wody - prawa dłoń była w gorszym stanie niż lewa i sprawiała mi o wiele więcej cierpienia. Moich współlokatorów nie było w domu, sąsiedzi też pewnie wyszli, bo w przeciwnym razie zawiadomiliby policję o dokonującym się morderstwie. W ciągu tej godziny obserwowałem z coraz większą nadzieją pojawiające się pod skórą palców pęcherze. Oznaczało to, że tkanka się prawdopodobnie zregeneruje, choć zapewne nigdy nie odzyska pierwotnego krążenia. Brak pęcherzy byłby znakiem, że odmrożenie jest bardzo poważne i że mogę stracić tę część palców. Jeden za drugim, na ich koniuszkach występowały bąble, aż do pierwszego stawu. Dziękowałem Bogu za te palące żywym ogniem nabrzmienia.

Postanowiłem zrobić sobie pięcioletnią przerwę w samotnych wspinaczkach, żeby moje palce wyleczyły się z odmrożenia, choć w łańcuchu Ełk pozostały mi do zdobycia dwa szczyty - Maroon Bells. Miałem jednak czym się zająć do czasu regeneracji skóry, ponieważ zespół Phish,

po raz pierwszy od trzech lat, miał trasę koncertową na Zachodzie, planowałem też wyprawę z kilkoma przyjaciółmi z Nowego Meksyku, nie wspominając już o biegach narciarskich w towarzystwie kumpli z Aspen.

Zatem nawet ten czas przestoju nie był całkowicie wolny od ryzyka.

* * *

Dwa tygodnie po wejściu na Capitol ruszyłem w stronę łańcucha górskiego na wschód od Holy Cross, żeby przyłączyć się do sześciu przyjaciół z grupy ratunkowej w Albuquerque i ich pięciorga krewnych i wziąć udział w corocznej wyprawie narciarskiej. Tym razem jej celem był Fow-ler-Hillard Hut - kompleks drewnianych domków - na górze Resolution ponad Camp Hale. Spotkaliśmy się w Leadville i podzieliliśmy między siebie zapasy żywności i wody, które mieliśmy zanieść w plecakach do naszego domku. Miejsce to nosi imię 10. Dywizji Górskiej, która walczyła w bitwie pod Riva Ridge we Włoszech. Głównym obzem treningowym żołnierzy była przez dwa lata Camp Hale w połowie drogi między Leadville i Vail. Wielu weteranów wojennych powróciło do Kolorado i dzięki swej pasji narciarskiej i znajomości tych okolic przyczyniło się do rozwoju terenów rekreacyjnych. Tereny narciarskie Breckenridge, Mail i Aspen to największe przedsięwzięcia byłych żołnierzy 10. Dywizji Górskiej. Choć drewniane domki wzniesiono dopiero w latach osiemdziesiątych, są one poświęcone pamięci ludzi, których miłość do kraju zawiodła daleko poza jego granice, gdzie walczyli za wolność, ta zaś, jak sądzę, świeci najpiękniejszym blaskiem właśnie w górach.

Po pięciogodzinnym forsownym marszu po głębokim na sześćdziesiąt centymetrów świeżym śniegu na dystansie dziesięciu kilometrów dotarliśmy do naszej weekendowej siedziby i posililiśmy się wyszukanymi zakąskami - ostrygami, przyprawionym na ostro humusem, małżami i wędzoną rybą z krakersami, napiliśmy się też gorącego kakao i tyknęliśmy kilka sznapsów. Patrząc przez okna chaty, zapragnąłem spenetrować wschodnią nieckę szczytu Resolution, w bezpośredniej bliskości naszego lokum. Przeszliśmy od rozmowy do czynów i wkrótce dwaj moi koledzy z grupy ratowniczej, Mark Beverly i Chadwick Spencer, zapinali wraz ze mną buty i szykowali detektory lawinowe.

Nasza trójka wspięła się na Resolution od strony chłostanej wiatrem północno-wschodniej grani.

Wyruszyliśmy o 16.50 i dotarliśmy na szczyt

140

liczący 3640 m n.p.m. około 17.15. Zmierzch szybko zapadał, ale gdy czekaliśmy z Markiem na Chadwicka, zrobiliśmy sobie pięciominutową przerwę, by spenetrować linię grani Continental Divide na wschodzie, a także zlewisko rzeki Eagle i górę Holy Cross na zachodzie. Za White River National Forest, w odległości zaledwie pięćdziesięciu kilometrów (ale trzech godzin jazdy samochodem od końca szlaku), leżał mój dom w Aspen. Opowiedziałem Markowi o swojej samotnej wspinaczce na Holy Cross, a także o nocnym zjeździe na nartach z wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów, podczas którego zobaczyłem na łące łosia. Opisałem mu także swoją nieszczęsną przygodę z prowizorycznym biwakiem w drodze do niszy skalnej i, dla odmiany, poczucie triumfu, jakiego doznałem, pokonawszy Halo Ridge.

Choć była to nasza pierwsza wspólna wyprawa, wiedziałem, że Mark to jeden z najlepszych wspinaczy w zespole ratowniczym. Podziwiałem jego technikę wspinaczkową i umiejętności ratownicze, zaawansowane wyszkolenie medyczne i doświadczenie przewodnika. Dzieliąc się z nim szczegółami jednej ze swoich ostatnich wspinaczek, próbowałem, jak sądzę, zrobić na nim wrażenie, tak jak on zrobił je na mnie opowieściami o swych wyprawach na kanadyjskie lodowce. Zaskoczył mnie jednak pełną zrozumienia, ale trzeźwą odpowiedzią:

- Nie dzielam twojej ekscytacji, Aron. Nie lubię takich wspinaczek. Ale myślę, że wszystko jest w porządku, dopóki czujesz się szczęśliwy.
- Tak. Spełniam swoje marzenie.

Mark mówił, <że nie aspiruje do samotnych wspinaczek i, jak mi się wydawało, pragnął się upewnić, że ja decyduję się na nie ze słusznych powodów - nie po to, by się chełpić albo zaskarbić sobie podziw innych, ale właśnie dlatego, że dają mi poczucie szczęścia. Już dawno temu zdałem sobie sprawę z wszelkich pokus, na jakie jestem narażony, ale byłem mu wdzięczny, że mi o tym przypominał.

Kiedy Chadwick dołączył do nas, ustawiliśmy się do wspólnego zdjęcia na tle Elk Ridge. Ruszyliśmy na nartach w dół najeżonego kamieniami zbocza i Mark poprowadził nas z powrotem ku omiatanej wiatrem grani. Był to bezpieczny, ale niezbyt przyjemny zjazd z powodu cienkiego, zlodowaciałego śniegu. Kiedy upadłem, żeby nie wjechać na wystający korzeń jakiegoś drzewa, zawołałem do Marka:

- Hej, to do niczego! Idę pojeździć na sypkim śniegu.

liczący 3640 m n.p.m. około 17.15. Zmierzch szybko zapadał, ale gdy czekaliśmy z Markiem na Chadwicka, zrobiliśmy sobie pięciominutową przerwę, by spenetrować linię grani Continental Divide na wschodzie, a także zlewisko rzeki Eagle i górę Holy Cross na zachodzie. Za White River National Forest, w odległości

zaledwie pięćdziesięciu kilometrów (ale trzech godzin jazdy samochodem od końca szlaku), leżał mój dom w Aspen. Opowiedziałem Markowi o swojej samotnej wspinaczce na Holy Cross, a także o nocnym zjeździe na nartach z wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów, podczas którego zobaczyłem na łące łośia. Opisałem mu także swoją nieszczęsną przygodę z prowizorycznym biwakiem w drodze do niszy skalnej i, dla odmiany, poczucie triumfu, jakiego doznałem, pokonawszy Halo Ridge.

Choć była to nasza pierwsza wspólna wyprawa, wiedziałem, że Mark to jeden z najlepszych wspinaczy w zespole ratowniczym. Podziwiałem jego technikę wspinaczkową i umiejętności ratownicze, zaawansowane wyszkolenie medyczne i doświadczenie przewodnika. Dzieląc się z nim szczegółami jednej ze swoich ostatnich wspinaczek, próbowałem, jak sądzę, zrobić na nim wrażenie, tak jak on zrobił je na mnie opowieściami o swych wyprawach na kanadyjskie lodowce. Zaskoczył mnie jednak pełną zrozumienia, ale trzeźwą odpowiedzią:

- Nie podzielam twojej ekscytacji, Aron. Nie lubię takich wspinaczek. Ale myślę, że wszystko jest w porządku, dopóki czujesz się szczęśliwy.
- Tak. Spełnikm swoje marzenie.

Mark mówił, że nie aspiruje do samotnych wspinaczek i, jak mi się wydawało, pragnął się upewnić, że ja decyduję się na nie ze słuszych powodów - nie po to, by się chełpić albo zaskarbić sobie podziw innych, ale właśnie dlatego, że dają mi poczucie szczęścia. Już dawno temu zdałem sobie sprawę z wszelkich pokus, na jakie jestem narażony, ale byłem mu wdzięczny, że mi o tym przypomniał.

Kiedy Chadwick dołączył do nas, ustawiliśmy się do wspólnego zdjęcia na tle Elk Ridge. Ruszyliśmy na nartach w dół najeżonego kamieniami zbocza i Mark poprowadził nas z powrotem ku omiatanej wiatrem grani. Był to bezpieczny, ale niezbyt przyjemny zjazd z powodu cienkiego, zlodowaciałego śniegu. Kiedy upadłem, żeby nie wjechać na wystający korzeń jakiegoś drzewa, zawołałem do Marka:

- Hej, to do niczego! Idę pojeździć na sypkim śniegu.

Pożyczyłem w Aspen nowe narty i korciło mnie, by wypróbować je na niezbitej pokrywie śnieżnej niecki. Uplłynął rok, od kiedy zacząłem jeździć telemarkiem. Chadwick udzielał mi pierwszych wskazówek dotyczących tej techniki i teraz chciałem mu za wszelką cenę pokazać, jakie przez ten czas poczyniłem postępy. Zostawiłem grań i skierowałem się w prawo, na bardziej miękkiej i puszystym śniegu, który stawał się coraz głębszy, im bardziej się oddalałem wzdłuż szczytu niecki o zboczach nachylonych pod kątem czterdziestu stopni.

Mark zatrzymał się w niewielkiej odległości ode mnie, na grani. Chadwick jechał za mną, trawersując w prawo, równoległe i nieco powyżej moich śladów. Żaden z nas nie pomyślał o tym, żeby na próbę wykopać w śniegu dziurę, by sprawdzić jego stabilność i prawdopodobieństwo lawiny, ale czułem się pewnie, uprawiając przez całą zimę wspinaczkę i jeżdżąc na nartach. Zdobywałem szczyty czterotysięczników i dzięki Opatrzności wychodziłem cało z niebezpiecznych sytuacji, nic więc dziwnego, że rozpierała mnie kawalerska fantazja i że traktowałem nonszalancko groźbę lawiny. Rozdzieliliśmy się, co jest w takim wypadku standardową praktyką - w razie niebezpieczeństwa narażony jest tylko jeden narciarz. Dojechałem do linii największego spadku, o nachyleniu około trzydziestu ośmiu stopni, który zmniejszał się do trzydziestu dwóch, nad zagajnikiem dwudziestu dorodnych sosen.

- Zjadę tu. Przyłączysz się? - spytałem Chadwicka, który znajdował się dostatecznie blisko, byśmy mogli rozmawiać. Mark wciąż stał sto metrów wyżej, na grani.
- Nie wiem. Jak wrócisz do chaty? Będziesz się musiał wdrapywać z powrotem.
- Dojadę do tych drzew. Zatrzymam się tam i pojedę w lewo, w stronę chaty.

Mark krzyknął z góry, że nie zamierza zjeżdżać do niecki, tylko zejdzie po grani. Odkrzyknąłem:

- Okej! Patrzcie tylko!

Czułem się odrobinę spięty, ale nie miałem zamiaru się zastanawiać, czy to z powodu zagrożenia lawinowego, czy dlatego, że chciałem wypaść dobrze podczas zjazdu po głębokim i sypkim śniegu. Kilka chwil później, kiedy wykonałem trzy pierwsze skręty, wspaniałe doznanie, jakim było prucie przez wzbijany w górę biały puch, stłumiło moją niepewność.

142

Nabierałem szybkości, rytm ruchów też przyspieszył, wykonywałem teraz na łagodniejszym zboczu skręty o mniejszym promieniu; pohukiwałem uradowany, przejeżdżając obok najwyższej rosnących drzew po prawej stronie. Kuszony widokiem pięćsetmetrowego stromego zbocza niecki za drzewami, zatrzymałem się tylko dlatego, że poczułem w nogach zmęczenie. Odwróciłem się i wrzasnąłem do Chadwicka, który znajdował się sto metrów nade mną:

- Juhuuu! To było wspaniałe! Zjeżdżaj!

Kołysząc się w sypkim śniegu, Chadwick podążył moimi śladami. Dwukrotnie upadł na bardziej stromym odcinku bliżej krawędzi, a Mark obserwował go z grani. Wyjąłem aparat i zacząłem robić zdjęcia, podczas gdy Chadwick skierował się ku łagodniejszej części zbocza, równoległe do moich śladów. Dysząc ciężko, zrobił kilka ostatnich skrętów i zatrzymał się obok mnie.

- Rany, ciężko było. Z trudem skręcałem w tym głębokim śniegu.
- Owszem, ale było niesamowicie, co? Nieźle sobie radziłeś pod koniec. Zrobiłem ci kilka zdjęć. Spójrz na te ślady. Jakbyśmy zjechali z wysokości, na którą można się dostać tylko helikopterem. - Krzyknąłem do Marka: - Śmiało... jest super!

Chadwick i ja staliśmy przy linii drzew, patrząc, jak Mark zjeżdża w dół niecki, podskakując na nartach, tuż pod miejscem, z którego zaczęliśmy zjazd. Przecinał teraz śnieg czubkami nart, starając się nabrać większej szybkości i manewrując ciałem przy skrętach. Najwidoczniej zadowolony ze stabilności pokrywy śnieżnej, zrobił trzy skręty na wyższym odcinku zbocza, upadł, przeokoziłkował i podniósł się; wciąż zjeżdżał, choć siedział w tym momencie na nartach. Pozbierał się i dokończył zjazd z uśmiechem. Wyczerpany, zwałił się w śnieg jakieś dziesięć metrów przed drzewami, zamiast się zatrzymać. Spod białej warstwy, w miejscu, w którym wcześniej stał Mark, dobiegł się głuchy dźwięk, a my omal nie podskoczyliśmy - odgłos załamującego się śniegu oznacza, że człowiek wywołał lawinę. Nie dostrzegliśmy jednak na białej powierzchni żadnych pęknięć. Chadwick zażartował z ulgą:

- Słyszałeś? Tyłek Marka zdrowo grzmotnął.
- Ha, ha! Hej, Chadwick, walnij się w śnieg, zrobię ci zdjęcie.

Nad naszymi głowami rozległ się warkot silnika dieslowskiego -a może był to szept odrzutowca.

Kiedy uchwyciłem w obiektywie sylwetkę Chadwicka i wcisnąłem spust migawki, dostrzegłem w powietrzu nad jego głową gęstą chmurę śniegu wzbitego przez wiatr. Potem w uszach rozbrzmiał mi warkot diesla i w tym samym ułamku sekundy, kiedy uświadomiłem sobie, że ten biały tuman i odgłos są ze sobą nierozzerwalnie związane, coś uderzyło mnie od tyłu w prawe ramię, uniosło w górę i rzuciło w dół z boczna po lewej stronie. Świat wypełniła nieprzenikniona czern.

Przyspieszając od zera do pięćdziesiątki, jakby uderzyła mnie ciężarówka, otworzyłem oczy i ujrzałem gęstą masę bieli. Od razu wiedziałem, że zsuwam się w dół, głową do przodu, zagrzebany w przygniatającej masie śniegu, upłynęło jednak kilka sekund, nim zrozumiałem, że porwała mnie lawina. Otworzyłem usta i zassałem śnieżny pył, który wypełnił mi gardło, dławiąc krtań. Zacząłem go wypluwać, a potem czekałem, by w końcu zobaczyć wynurzające się spod lawiny pasmo nieba; wciągnąłem głęboko powietrze i wstrzymałem oddech. Zmagałem się z siłą śnieżnego nurtu, próbując obrócić ciało, tak aby głowa była skierowana w górę z boczna, ale narty przebijały się przez skłębioną ruchomą masę niczym kotwice, które przytrzymywały mi stopy w górze. Rozluźniłem się, by oszczędzać tlen, dopóki w tej duszącej fali nie otworzy się znowu okienko, i zastanawiałem się w duchu, kiedy przed oczami zacznie mi przelatywać całe moje życie. Na szczęście tak się nie stało. Moją następną myślą było: a więc tak to jest, kiedy człowieka porywa lawina. Spodziewałem się, że zacznę koziołkować w niekończącym się salcie, ale wciąż zjeżdżałem na lewym boku. Upłynęło kilka kolejnych, niemiłosiernie długich sekund. Znow potrzebowałem powietrza. Czekałem na okazję, ale tym razem nie rozwarło się nade mną niebieskie okno. Sapnąłem i usta wypełniły mi się śniegiem.

Chwilę później poczułem, że wytracam prędkość i że lawina zwalnia. Szarpnąłem rękami, żeby wydobyć je ze śniegu. Przeszkadzały mi kijki przy nadgarstkach i zdołałem wysunąć w górę tylko prawą dłoń. Uwolniła się gwałtownie od rękawicy, a przedramię i łokieć utkwily w sztywniejącym śniegu, jak i reszta mojego zasypanego ciała. Kiedy przestałem się ześlizgiwać, uniosłem gwałtownym ruchem głowę i szarpnąłem biodrami do przodu, wyginając plecy jak skorpion. Spoglądałem w dół z boczna, moje oczy znajdowały się na poziomie śnieżnego rumowiska. Uderzyła mnie nagła myśl: wciąż żyję!

Moja klatka piersiowa unosiła się bezwiednie i uparcie, gdy łąpałem powietrze. Jego brak i usta pełne zbitego śniegu pozbawiły ciało tlenu. Wypluwając śnieg, wciąż ulegałem hiperwentylacji, ale zdołałem krzyknąć między jednym a drugim sapnięciem:

- Nic mi nie jest! Nic mi nie jest!

Śnieg zaczął natychmiast twardnieć, oblepiając mnie sztywną skorupą, która uciskała mi pierś i unieruchamiała mnie z wyjątkiem prawej dłoni i głowy. Odsunąłem sprzed twarzy zbite bryły i spojrzałem w lewo; zobaczyłem naszą chatę. Spojrzałem w prawo i zobaczyłem z boczna. Zewsząd otaczały mnie ślady lawiny, ale nigdzie nie dojrzałem żadnego ze swych towarzyszy.

- Chadwick! Mark!

Znajdujący się wyżej Chadwick odkrzyknął:

- Aron! Mark!

Wykręciłem głowę maksymalnie w lewo i ujrzałem go jakieś trzydzieści metrów wyżej.

- Ze mną wszystko okej! A z tobą? Gdzie Mark?

- Nie wiem! - W jego głosie dosłyszałem strach, którego nie mógł zagłuszyć krzyk.
- Wygrzebałeś się?
- Tak... to znaczy jeszcze nie, próbuję wyszarpnąć stopy!

Chadwick przeokołkował kilkakrotnie w lawinie, ale wylądował na

stopach i znajdował się w pozycji stojącej, kiedy się zatrzymał. Zdążył już odpiąć łopatkę z plecaka i odgrzebywał się do butów i wiązań, podczas gdy ja wciąż nawoływałem Marka.

- Widziałeś gdzieś Marka, Chadwick?

-Nie!

Moje gogle, aparat i łopaska przepadły, zerwał je ze mnie pędzący śnieg. Kijki i prawa rękawica też zniknęły, zagrzebane w jego zwałach. Miałem nadzieję, że Mark zgubił jakiś sprzęt i że te przedmioty wskażą miejsce, w którym nasz towarzysz może się znajdować, ale żaden z nas nie dostrzegł niczego na tym białym polu.

- Włącz nadajnik na tryb odbioru i przyjdź mnie wykopać. Obaj będziemy musieli poszukać Marka! - krzyknąłem.

Zasady obowiązujące w takiej sytuacji nakazywały, by Chadwick sam zaczął szukać Marka, ale nie mogłem się odkopać na tyle, by sięgnąć po

swój nadajnik i przełączyć go na tryb odbioru. Bez tego nadajnik Chadwicka odbierałby sygnał mój, nie Marka, co utrudniałoby jego odnalezienie.

Po dwóch minutach Chadwick był przy mnie i odgrzebywał mi lewą rękę.

- Nie strać przytomności, Aron!

Zauważyłem, że jest roztrzęsiony. Zapewniłem go, że nic mi się nie stało, i pokazałem, gdzie znajdują się moje nogi, by uwolnił mi buty z wiązań.

Wygramoliłem się z zagłębienia, wstałem i ujrzałem rozmiary śnieżnego obsuwiska. Niemal straciłem głos z wrażenia i wyszeptalem:

- Mój Boże, Chadwick. Popatrz tylko.

Nad nami, na wysokości stu pięćdziesięciu metrów, krawędź niecki przecinała monstrualna szczelina, wielka po prawej stronie jak jednopiętrowy dom. Zbocze było zasłane śnieżnymi blokami ogromnymi niczym lodówki, a kilka istnych olbrzymów dorównywało wielkością wagonom kolejowym. Na pierwszy rzut oka obsuwisko miało szerokość około stu metrów. Potem zobaczyłem, że ciągnie się w lewo aż za kępę drzew, przy których zaskoczyła mnie lawina, a dalej sięga łukiem południowo-wschodniej grani odległej niemal o kilometr. Na widok rozmiarów lawiny ugięły się przede mną kolana. To, że obaj dość przytomnie organizowaliśmy akcję ratunkową, choć wcześniej porwało nas w dół na ogromną odległość, wydawało się wręcz niemożliwe. Lecz gdzie był Mark?

Chadwick wciąż penetrował nieckę, podczas gdy ja zbiegłem na taras dziesięć metrów niżej. Zwały śniegu zasłaniały nam widok na niższe partie śnieżnego pola. Dotarłem do krawędzi i zacząłem się rozglądać w

poszukiwaniu jakichkolwiek śladów wśród lawiniska, ale niczego nie dostrzegłem - lawina zeszła po zboczu niecki jeszcze trzysta metrów poniżej naszej pozycji, aż do doliny. Z nadajnikiem nastawionym na tryb odbioru gorączkowo nastuchiwałem sygnału, ale na wyświetlaczu nie było żadnej odpowiedzi. Krzyknąłem do Chadwicka, który ruszył już w prawo i znajdował się jakieś trzydzieści metrów ode mnie:

- Jaki masz zasięg?
- Nie wiem.
- Przetącz nadajnik na tryb nadawania.

Chciałem ustalić, jak daleko możemy się od siebie oddalić, nie tracąc łączności. Przy odbiorniku Chadwicka nastawionym na nadawanie i moim nastawionym na odbiór mogliśmy ustalić zasięg między nami.

146

- Odbierasz mnie? - wrzasnął. Słyszałem desperację w naszych głosach.
- Jeszcze nie... zbliż się.
- Okej! Zbliżam się! Zbliżam się!
- Jest! Trzydzieści osiem!

Mój nadajnik wychwycił częstotliwość Chadwicka na trzydziestu ośmiu metrach.

- Przejdź na tryb odbioru!

Nasz zasięg obejmował około trzydziestu metrów, a obszar lawiniska miał sześćset metrów szerokości. Jeśli mogliśmy ufać nadajnikom i liczyć na to, że utrzymają zasięg przy minimalnych odchyłach, to musieliśmy odbyć pięć wędrówek tam i z powrotem po strefie, żeby spenetrować cały ten obszar. Nie było na to czasu.

Myśl, Aron. Myśl.

- Chadwick! Byliśmy razem na szczycie, a spójrz, gdzie wylądowaliśmy. Znajdujemy się w jednej linii. Mark też powinien się w niej znajdować. Jest nad nami czy pod nami?

Chadwick nie odpowiedział. Podbiegłem do zwałów śniegu i znów spenetrowałem wzrokiem niższe partie góry. By przeżyć zagrzebanie pod lawiną, trzeba zostać znalezionym w ciągu piętnastu minut; po trzydziestu minutach szanse na skuteczną reanimację są znikome. Nie mieliśmy czasu chodzić tam i z powrotem, w górę i w dół. Musieliśmy wybrać: albo jedno, albo drugie. Krzyknąłem:

- Nic tu nie znalazłem. Żadnych śladów. Jest ponad nami! Chodźmy!

Nie miałem żadnej pewności, ale musieliśmy coś postanowić. Jeśli

wciąż żył, nasz brak zdecydowania mógł go zabić w ciągu kilku minut.

Oddaleni od siebie o trzydzieści metrów, ruszyliśmy szybkim marszem pod górę, ku następnemu pofałdowaniu, piętnaście metrów wyżej. Chadwick idący po mojej prawej stronie zatrzymał się nagle i wrzasnął:

- Czterdzieści osiem! Mam sygnał!

Mark! Zwiększyliśmy tempo marszu; paliły nas uda, kłuły płuca, nogi zapadały się w śniegu, potykaliśmy się na rumowisku. Mark! Nie było czasu złapać oddechu. Pokonałem pofałdowanie i w tym momencie błysnął wyświetlacz mojego nadajnika - 38, 37, 34... 28... 24. Zbliżaliśmy się coraz bardziej. Po chwili dostrzegłem nieduży przedmiot, czubek narty. Mogłem rozpoznać symbol oznaczający K2.

147

- Znalazłem go! Widzę czubek narty!

Chadwick, który miał większy odcinek do pokonania, wyraźnie zwolnił i został w tyle.

Krzyknąłem:

- Mark! Idziemy do ciebie!

- Aron, weź łopatkę! - zawołał Chadwick.

Byłem już blisko. 18... 15... Nie mogłem wracać, żeby wziąć łopatkę.

- Nie! Bierz tyłek w troki i chodź tu!

Kiedy zbliżałem się do czubka narty, mój nadajnik pikał szybciej, dźwięk miał coraz wyższy ton, jak detonator, który ma lada chwila odpalić. 11... 8... 4... Nad uporczywym dźwiękiem dał się słyszeć słaby jęk, potem znowu.

- Mark! Jestem tutaj!

Cofnąłem się o półtora metra od czubka narty i w miejscu, skąd dochodził jęk, podniosłem grudę śniegu wielkości małej walizki. Wśród zwałów skawalonego śniegu ukazała się płatanina płowych włosów i kawałek czerwonej tkaniny.

- Mark! Słyszysz mnie?

Czas naglił, nie mogłem bawić się w delikatności. Potrząsnąłem mocno jego głową, odsuwając mu jednocześnie śnieg sprzed twarzy, by miał czym oddychać. Kiedy zabrałem czerwoną rękawicę, która tkwiła zwinięta przy jego ustach, moją uwagę przykuł szary odcień skóry Marka. Spoglądałem w popielate oblicze ducha uwięzionego w grobowcu. Widziałem w życiu czterech martwych ludzi i każdy z nich odznaczał się żywszą barwą niż on w tym momencie.

Odchyliłem mu głowę i wygrzebałem z ust grudki lodu. Ułynęło dwanaście minut od chwili, gdy lawina się zatrzymała, i przez większość tego czasu Mark pozbawiony był odpowiedniej ilości tlenu. Wciąż żył, ale na najniższym poziomie przytomności. Odczułem głęboką ulgę, kiedy zaczął odpowiadać na moje pytania, potrafił jednak wydusić z siebie tylko tyle, że jest mu zimno i że czuje się wyczerpany.

Zerwałem się z przysiadu i ruszyłem biegiem w stronę Chadwicka, który rzucił mi łopatkę. Chwyciłem ją w powietrzu, odwróciłem się i pobiegłem z powrotem do Marka. Miał oczyszczone drogi oddechowe i oddychał sam, więc teraz najbardziej martwiłem się o temperaturę jego ciała. Hipotermia mogła w każdej chwili spowodować utratę świadomości.

148

ści i zatamować oddech. Odkopałem najpierw częściowo odsłoniętą lewą rękę Marka, potem plecy i lewą nogę, głośno komentując to, co robię. Szło mi powoli. Mark był zagrzebany głębiej niż ja. Chadwick już do nas dotarł i teraz przemawiał do Marka, podczas gdy ja kopałem gorączkowo, odrzucając śnieg w dół zbocza. Potrzebowałem pomocy, żeby odrzucić te wszystkie zwały. Po odsłonięciu pleców Marka odpiąłem jego łopatkę od plecaka i cisnąłem pod nogi Chadwickowi.

- Pomóż mi!
- Nie mogę. Mam zmrożone dłonie. Nie utrzymam niczego w palcach.

Chadwick stracił podczas lawiny obie rękawice, potem mnie odkopywał, a następnie brnął przez lawinisko, drąc śnieg palcami - to wszystko sprawiło, że jego ręce stały się bezużyteczne. Miałem tylko lewą rękawicę z wyściółką. Zdjąłem zewnętrzną ochronę i dałem Chadwickowi pomimo jego protestów: „Moje dłonie są już do niczego - ocal swoje!”.

- Bierz! Przewróć rękawicę na drugą stronę i włóż na prawą dłoń. Musisz mi pomóc przy kopaniu.

Następnie chwyciłem rękawice Marka, dałem Chadwickowi lewą, a sam wziąłem prawą.

Po raz pierwszy dostrzegłem ruch obok chaty, niemal sześćset metrów dalej, po prawej stronie zbocza. Przystawiłem dłonie do ust i krzyknąłem ile sił w płucach w stronę ludzi, którzy kręcili się przy domu:

- POMOCY! POMOCY! POMOCY! POMOCY!

Usłyszałem niewyraźną odpowiedź: „Idziemy!”. Ratunek już nadchodził, ale Mark nie mógł zwalczyć hipotermii, dopóki nie wydobylibyśmy go ze śniegu i nie okryli warstwami chroniącymi przed zimnem. Machaliśmy łopatkami, odrzucając śnieg; ostrza stukały o siebie dźwięcznie. Chadwick dwa razy z rzędu nie trafił we właściwe miejsce.

- Powoli, Chadwick. Nie trafiasz nawet w śnieg. - Panikował; traciliśmy cenny czas. - Zaczynaj tutaj, wysoko, i zrzucaj śnieg w dół, to łatwiejsze niż odrzucanie go w górę zbocza.

Pomimo naszych wysiłków Mark słabł. Powtarzał, że jest mu zimno i że jest zmęczony, a potem zamilkł na minutę.

Chadwick ponownie zbadał tętnicę Marka.

- Nie oddycha.

Chadwick zrobił mu pospiesznie sztuczne oddychanie i Mark odzyskał przytomność. Uwolniłem mu lewą stopę z wiązania narty. Pięć minut

149

później, po usunięciu metra sześciennego śniegu, wygrzebaliśmy spod zwałów prawą nogę Marka.

- POMOCY! POMOCY! POMOCY! - krzyczeliśmy zgodnie do naszych przyjaciół na krawędzi obszaru objętego lawiną. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, i teraz potrzebowaliśmy odpowiednich środków, by rozgrzać Marka. Wyczerpany po półgodzinnej akcji ratowania przyjaciela, nie zdając sobie sprawy ze środków ostrożności, które musieli zastosować nasi towarzysze, by uniknąć ryzyka drugiej lawiny, wymamrotałem zdesperowany:

- Co tak długo?

Przekręciliśmy Marka na lewy bok i posadziliśmy go. Szarpnął się do tyłu i z głośnym beknięciem wyrzucił z siebie powietrze, które Chadwick wtłoczył mu do brzucha. W trakcie sztucznego oddychania część powietrza ominęła płuca z powodu niewłaściwego ułożenia głowy Marka. Zdjęliśmy mu plecak i ostanając własnymi ciałami jego plecy, i boki, zaczęliśmy grzebać w plecaku w poszukiwaniu rękawic i zapasowych ubrań. Roztrzęsieni pod wpływem adrenaliny, siedzieliśmy przy nim, obejmując go mocno, w oparach nieprzyjemnego oddechu, który cuchnął strachem, ostrygami, małżami i ostro przyprawionym humusem. Przekonani, że Mark przeżyje, wybuchnęliśmy nerwowym i pełnym ulgi śmiechem; nie wątpiliśmy, że pomoc nadejdzie w ciągu kilku minut.

Czworo naszych towarzyszy z grupy ratownictwa w Albuquerque -Steve Patchett, Tom Wright, Dan Hadlich i Julia Stephens - podjeżdżało po kolei na nartach do zagłębienia, w którym się kuliliśmy, podczas gdy mrok ogarniał stopniowo zbocze góry. Mieli ze sobą puchowy śpiwór, karimatę, rękawice i lampy czołowe. Owinęliśmy Marka śpiworem i zanim wraz z Chadwickiem odzyskaliśmy swoje narty i resztki sprzętu, które ocalały, nasz towarzysz stał na nogach i mógł się poruszać. To, że po trzydziestu minutach od utraty przytomności przypiął narty i o własnych siłach dotarł do chaty, świadczyło o jego niebywałej sile i wytrwałości.

Już na miejscu przyrządziliśmy porządną kolację, relacjonując ze szczegółami zdarzenia wieczoru. Niektórzy z naszych przyjaciół dostrzegli lawinę i wiedzieli od razu, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Byli tylko w długiej bieliźnie i skarpetach, a w ciągu dosłownie pół godziny przygotowali się w pełni na długą akcję ratunkową i dotarli bezpiecznie na miej-

150

sce katastrofy - niebywały wyczyn. Chadwick też zasłużył na pochwałę -nie stracił głowy, spiesząc z pomocą dwóm partnerom. Byłem z niego dumny, tak jak z Marka, który wykazał się niezwykłą wytrzymałością. Choć każdy z nas sam zdecydował o zjeździe tym zboczem, miałem wyrzuty sumienia - moje działania podyktowały mi ego, zbyt duża pewność siebie i ambicja; zlekceważyłem wyszkolenie i doświadczenie naszej trzyosobowej grupy. Przeżyliśmy lawinę piątego stopnia - typową dla Kolorado. Przeżyliśmy coś, czego nie powinniśmy byli przeżyć. Tak się stało, ale Mark i Chadwick winili mnie za to, że wymusiłem na nich zjazd po zboczu niecki. Z powodu takiej a nie innej decyzji straciłem tamtej niedzieli dwóch przyjaciół; Mark i Chadwick opuścili nas nazajutrz rano i od tej pory nie odezwali się do mnie.

Zamiast żałować swych decyzji, przysięgłem sobie, że wyciągnę wnioski z ich konsekwencji. Przede wszystkim zrozumiałem, że moje działania są z natury niebezpieczne. Kiedy decydowałem się na jakiś krok, nie biorąc pod uwagę kryterium bezpieczeństwa, czyli kiedy ignorowałem ryzyko, nie starając się go zminimalizować - igrałem z losem. Przypomniałem sobie radę jednego z instruktorów ratownictwa lawinowego: „Kiedy igrasz z losem, musisz być przygotowany na walkę o przetrwanie, w której los zawsze jest silniejszy”. Po tym incydencie łatwiej mi było stłumić głos ego i panować nad beztroską, która skłaniała mnie do podejmowania niepotrzebnego ryzyka albo do podejmowania pochopnych decyzji z pominięciem bardzo ważnych kroków, jakimi są gromadzenie i właściwa ocena informacji. Niepokój wynikający ze zbyt wielkiego ryzyka nie jest słabością, lecz sygnałem, że należy rozważyć decyzję do chwili, gdy będę mógł bezpiecznie kontynuować działanie, albo odłożyć je na inny dzień.

* * *

Wyższa temperatura i nasilenie burz w ciągu następnych trzech tygodni wywołały naturalne natężenie lawin, co w znacznym stopniu zmniejszyło szanse zwieńczenia tego sezonu zdobyciem Maroon Bells, malowniczych

jak na pocztówce, ozdobionych poziomymi wstęgami bliźniaczych szczytów, które są górami najczęściej ozdabiającymi kalendarze. Kolorado. Każda ściana i żleb obu wierzchołków niosą ogromne ryzyko lawiny. Nie ma tam tras niskiego ryzyka; próba zdobycia szczytów może się powieść tylko w sprzyjających warunkach, przy odpowiednio pewnej pokrywie śnieżnej.

151

Był początek marca, a wraz z nim nieubłagane zbliżał się koniec mojego sezonu zimowego.

W związku z moimi wspinaczkami 15 marca „Aspen Times Weekly” zamieścił obszerny artykuł, którego tematem było zdobycie szczytu Capitol i historia z lawiną w Resolution Bowl. Aby zrobić zdjęcia do tego artykułu, wybrałem się na Highland Ridge wraz z Danem Bayerem, zaprzyjaźnionym fotografem. Dzień był niezwykle pogodny; mieliśmy piękny, niczym niezakłócony widok na Maroon Bells. W wywiadzie powiedziałem, że według mnie warunki nie pozwolą mi na próbę zdobycia szczytów przed końcem zimy. To, co ujrzałem podczas sesji zdjęciowej, kazało mi jednak ponownie rozważyć szanse. Z wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów, z grzbietu Highland Ridge, mogłem dostrzec, że głównym kulu-arem rozszczepiającym wschodnią ścianę obu szczytów - Bell Cord Couloir - wielokrotnie schodziła lawina. Czasem najbezpieczniejsze drogi wspinaczkowe to te, które już przeżyły śnieżny kataklizm. Założywszy, że dzięki sprzyjającej pogodzie, spokojnym wiatrom i nieobecności śniegu powierzchnia kuluaru jest odpowiednio umocniona, zaplanowałem nocną wyprawę dwa dni później.

W dniu, w którym na pierwszej stronie „Aspen Times Weekly” ukazał się wspomniany artykuł pod tytułem For Whom the Bells Toll (Komu biją dzwony), ruszyłem na nartach, by pokonać ponadczternastokilometrową trasę od Maroon Creek do Crater Lake na wysokości 3600 m n.p.m. Bezpośrednio pod kuluarem przeszedłem przez liczącą około ośmiuset metrów strefę utwardzonego lawiniska, która stanowiła dowód wzmożonej aktywności śniegu przez cały miniony tydzień. O pierwszej trzydziści dotarłem do miejsca, gdzie zamierzałem rozbić obóz, i właśnie przyglądałem się drzewom za linią lawiniska, szukając dogodnego miejsca na biwak, gdy z niższych urwisk szczytu South Maroon, w odległości niespełna czterystu metrów ode mnie, runęła długa na trzysta metrów kaskada śniegu. Wyjąłem pospiesznie aparat i zrobiłem kilka zdjęć, podczas gdy lawina zakryła las chmurą, która unosiła się na wysokość stu pięćdziesięciu metrów nad dnem doliny. Fala dźwiękowa dotarła do mnie z opóźnieniem. Dało się słyszeć ogłuszające trzaski na tle głębokiego pomruku, który wydawał śnieg, spadając z wyższych urwisk na ponaddwudziesto-metrowe drzewa, te zaś łamały się jak zapałki pod naporem straszliwej siły. Lawiny mogą osiągać prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na

152

godzinę i odznaczać się gęstością czterokrotnie przewyższającą gęstość powietrza - za sprawą śniegu, który uderza z energią wiatru wiejącego z szybkością sześciuset czterdziestu dziewięciu kilometrów na godzinę. Sosny i jodły nie miały żadnych szans. Ja też bym ich nie miał.

Kiedy kłęby krystalicznego śniegu sunęły doliną, wybrałem miejsce na obóz pośród drzew przy najdalszej krawędzi starszego lawiniska i zacząłem się zastanawiać nad planem wspinaczki. Zagrożenie lawinowe w przypadku kuluaru było dzięki poprzednim zejściom śniegu minimalne, lecz znajdował się on między dwiema ścianami. Silny blask słońca na niemal pionowej skale i warstwy śniegu po obu stronach Bell Cord Couloir nachylonego pod kątem pięćdziesięciu stopni stanowiły największe ryzyko. Lewa ściana byłaby nasłoneczniona od świtu do południa, prawa zaś aż do późnego popołudnia. Z powodu większej ekspozycji słonecznej i bardziej południowego położenia prawa ściana pozbyła się już większości zalegającego na niej śniegu i nie martwiła mnie zbytnio. Po namyśle doszedłem do wniosku, że ryzyko byłoby najmniejsze przed

wschodem słońca i około południa, gdy lewa ściana pogrążyłaby się w cieniu. Późnym popołudniem warstwa śniegu na prawej ścianie zaczęłaby się zsuwać, tak jak stało się to trzy razy, kiedy siedziałem w namiocie i szykowałem supę na wczesną kolację.

Obudziłem się o trzeciej nad ranem. Ubrałem się ciepło, wziąłem wodę i prowiant, włożyłem buty i przypiąłem raki. O wpół do czwartej, po szybkim zjedzeniu miski owsianki i proteiny w proszku, przemierzałem lawinisko.¹

W ciągu godziny wpakowałem się w tarapaty. Prowadząc poprzedniego dnia obserwacje, zauważyłem stromy skrót w postaci wąskiego żlebu. Pozwoliłby mi on uniknąć szerokiego trawersowania w prawo po mniej ubitym i zwartym śniegu, i dotrzeć do właściwego kuluaru Bell Cord na wysokości trzech tysięcy czterystu metrów. Wspinając się na przednich zębach raków, w blasku samotnego światełka latarki czołowej, byłem już w połowie żlebu, kiedy z atramentowego nieba wystrzeliła bilardowa kula lodu, pomknęła w dół wąskim skalnym korytarzem i przeleciała ze świstem koło mojej głowy. Spadała z taką szybkością, że tylko mignęła mi w blasku latarki. Przerazenie dosłownie zmroziło mi krew, ale wchodziłem dalej, mając nadzieję, że ten dziesięciokilogramowy kawał lodu nie pozostawił w górze podobnych do siebie przyjaciół. Jednak kilka minut

153

później obok prawego ramienia przeleciała mi następna bryła, także z ogromną prędkością, i roztrzaskała się o prawą ścianę żlebu. Musiałem jak najszybciej opuścić tę strzelnicę. Dotarcie do jej szczytu wydawało się najlepszym wyjściem z sytuacji, ponieważ te kawały lodu, jak się wydawało, przelatowały przez półkę skalną, która stanowiłaby skuteczną zasłonę, nim wyostałbym się z wąskiego korytarza między dwoma ścianami. Żleb zwęził się, kiedy dotarłem do jego końca, i wtedy mój czekan uderzył w zwarty lód pod warstwą styropianowego śniegu. Spojrzałem w górę, na ponaddziesięciometrowy jęzor lodospadu obejmującego całe wgłębienie skalne, od ściany do ściany.

Co u licha...? Skąd się to wzięło? Dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej? Czy mogę się po tym wspiąć? Czy może powinienem zawrócić?

Nie chciałem ryzykować schodzenia żlebem - nie miałem pojęcia, czy bombardowanie się już zakończyło - nie mogłem też sobie pozwolić na stratę czasu, którego wymagałaby ponowna wspinaczka po śnieżnych stopniach i półkach. Musiałem się znaleźć na wysokości czterech tysięcy stu czterdziestu pięciu metrów, nim promienie słońca oświetliłyby ściany, czyli dwie godziny później, a nie zdołałbym tego zrobić, gdybym zdecydował się na półgodzinne schodzenie. Jeśli miałem podjąć próbę zdobycia góry tego dnia, to musiałem sforsować tę kurtynę zamrożonej wody za pomocą jednego czekana i klasycznych raków - nie był to mój ulubiony sprzęt alpinistyczny. Przednie zęby na prawym bucie wgrzyły się w lodowe szkliwo; zacząłem uderzać czekanem, tak jak krótszym młotkiem lodowym, aż dziób wbił się na głębokość trzeciego zęba. Skalną ścianę po mojej lewej stronie znaczyły liczne szczeliny szerokości palca, płytkie półki i stopieńki. Ściana ta, tworząc z lodem kąt prosty, pozwalała na odpowiednie manewry. Mając oparcie w skale, mogłem pewniej opierać ciężar ciała na zębach raków prawej stopy, w miejscach, gdzie były wbite w lód. Dzięki tej technice pokonałem dwa trzymetrowe odcinki. Starając się nie zwracać uwagi na śmiertelnie groźną przepaść pod sobą, przebyłem kolejne trzy metry i dobrnąłem do końca lodu po prawej stronie. Byłem niemal na górze, ale teraz się okazało, że natrafiłem na niewielką połać zamarzniętych traw, którą odstłoniły lawiny spadające żlebem. Pięciocentymetrowa pozioma szczelina dała mi przyzwoite oparcie dla lewej stopy, mogłem wsunąć tam przednie zęby raków i balansować na nich. Wciąż mogłem przebijać prawym butem zamarznięty wodospad, ale pod

lewą ręką nie miałem już skały, co pozbawiło mnie dobrego oparcia dla obu dłoni. Utknąłem.

Powrót tą samą drogą, tym lodowym dwuścianem, oznaczałby śmiertelny upadek. Nie mogłem zejść i nie mogłem zostać w tym miejscu. Musiałem wspinać się dalej, bez względu na to, jak nieprawdopodobne się to wydawało. Wyrwałem czekan z lodu i wbiłem go z całej siły w pokrytą szronem ziemię nad trawiastym wybrzuszeniem. Nie bardzo wierzyłem, że gleba utrzyma mój ciężar, ale z drugiej strony nie mogłem się złapać ostatniej krawędzi przełamania okapu - rękawica była zbyt śliska. Kiedy czubki raków lewego buta zsunęły się z punktu oparcia, chwyciłem prawą dłonią głowicę czekana. Dziób narzędzia tkwił mocno w zmarzniętej trawie, ale czułem, że ogarnia mnie desperacja; gdyby czekan puścił, kiedy obsunęłaby mi się stopa, leżałbym już martwy na dnie żlebu.

Pełen napięcia, przechyliłem głowę w lewo, wyciągając maksymalnie szyję, i zacisnąłem zęby na mankiecie lewej rękawicy, po czym uwolniłem z niej dłoń i puściłem rękawicę, by zawisała na pętli na nadgarstku. Zacisnąłem palce na skalnej krawędzi i zacząłem się podciągać obydwoma ramionami, wlepiając wzrok w czekan wbity w ziemię. Przypominało to najtrudniejsze wspinaczki, jakie przeżyłem. Nigdy jeszcze nie znalazłem się w takiej sytuacji pozbawiony jakiegokolwiek wsparcia. Do tego dochodziła jeszcze wysokość, izolacja i ciemność; łatwo zrozumieć, dlaczego zwałem się bezwładnie na pierwszą płaską powierzchnię, jaką mogłem znaleźć. Pociłem się tak obficie, że miałem ochotę wyżyć ubranie, ale zdołałem tylko sięgnąć zębami do lewej rękawicy. Nie było jej -nie zwisała z mojego nadgarstka.

Przyszło mi nagle do głowy, że nie umocowałem pętli na nadgarstku tego ranka. Kiedy ściągnąłem rękawicę, by wykonać ten ostatni manewr, poleciała na dno żlebu. Do diabła, do diabła, do diabła! Znowu zacząłem się zastanawiać, czy nie zejść na dół, ale oznaczałoby to rezygnację ze wspinaczki tylko dla odzyskania rękawicy. Czy mogłem ryzykować kolejne odmrożenie? Wykluczone. Miałem jednak zapasową parę cienkich rękawiczek, które wziąłem, by zapobiec przedostaniu się pod materiał drobinek lodu, co zdarzyło się podczas wspinaczki na Capitol. Ściągnąłem z prawej dłoni zewnętrzną rękawicę, przewróciłem na drugą stronę i włożyłem na lewą zapasową rękawiczkę, a prawą włożyłem na tę, którą miałem już na dłoni.

r

Okej, Aron, reszta powinna być łatwa w porównaniu z tym, czego właśnie dokonałeś.

Serce waliło mi jak młotem przez następne dwie godziny, podczas których pokonywałem pozostałe siedemset metrów dzielące mnie od wierzchołka kuluaru. Zdążyłem jeszcze zobaczyć wschód słońca nad szczytem Pyramid, około pięciu kilometrów na wschód. Cienie Maroon Bells biegnęły ku horyzontowi, gdzie góry Snowmass i Capitol pograżały się w pierwszych promieniach słońca pod groźnie czarnym niebem. Była to nagroda za wymagającą wspinaczkę w ciemności i mój pierwszy zimowy wschód słońca, obserwowany niemal ze szczytu czterotysięcznika. Zrobiłem sobie dłuższą przerwę, posilając się batonami i wodą, a potem ruszyłem na podbój grani i pół śnieżnych, ku szczytowi South Maroon, na który wszedłem z uśmiechem i radosnym pohukiwaniem o 8.15. Godzinę później byłem z powrotem na siodle ponad Bell Cord, gotów wejść na szczyt North Maroon. Grań wierzchołków Bell jest jedną z czterech w przypadku czterotysięczników Kolorado, pozostałe to Blan-ca-Little Bear, Wilson-El Diente i Crestone Peak-Crestone Needle. Zdołałem je wszystkie latem, ale Bells miały być pierwszymi, na które wchodziłem zimą. Natrafiwszy na głębokie i żłobkowane zasy po wschodniej stronie południowej grani North Maroon, wspiąłem się aż do pokrytego śniegiem wierzchołka i wykopałem tunel w jednej z ponaddwumetrowych i przylegających do skał poduch śnieżnych, by dotrzeć na szczyt. Ogarnęło mnie podniecenie i rozpierała radość; nie przeżyłem później

niczego takiego na szczycie jakiegokolwiek góry. Wymachując w powietrzu czekanem, krzychałem z radości. Samotnie, zimą, zdobyłem czterdziesty piąty czterotysięcznik, ostatni w łańcuchu Ełk i stanowiący jednocześnie ostatnią trudną technicznie drogę, nie wspominając już o grani Maroon Bells. Obróciłem się na południe, gdzie widać było moje ślady wijące się po surrealistycznych formacjach śnieżnych na szczycie grani, i wydałem z siebie „jahuuu!”, wyobrażając sobie, że mój entuzjazm niesie się echem po wierzchołkach i dociera aż do Crested Butte.

Kiedy znalazłem się w południe w wąskiej przełęczy nad Bell Cord, poczułem przyływ euforii na myśl, że mój plan się powiódł. Pokonałem szybko stromą drogę długości tysiąca metrów, która dzieliła mnie od obozu, i zabrałem po drodze lewą rękawicę leżącą na rumowisku na dnie

156

żlebu - „skrót”, wszystko w ciągu czterdziestu pięciu minut, które upłynęły od chwili zejścia z Bell Cord.

Przypomniałem sobie wtedy ten pierwszy raz, kiedy uderzyłem w oba „dzwony”, 2 lipca 2000 roku. Wraz z najlepszymi przyjaciółmi i partnerami, Markiem Van Eeckhautem i Jasonem Halladayem, w ciągu piętnastogodzinnej wędrówki zdobyłem North Maroon, pokonałem grań prowadzącą do South Maroon i szedłem pokrytymi rozmokłym śniegiem, lodowymi tunelami w East Face Couloir. Pomimo trudnego zejścia przypomniałem sobie chwilę, gdy pokonaliśmy masywną fioletową skałę i znaleźliśmy się w pokrytej żółtymi porostami centralnej niszy Bell Cord, a potem patrzyliśmy ku wschodowi, na bujną aksamitną zieleń Fravert Basin. Barwy odznaczały się takim bogactwem, że - jak mi się zdawało -mogłem czuć ich zapach. Nigdy wcześniej nie ogarnęło mnie tak silne uwielbienie naturalnego piękna. W tamtym momencie uświadomiłem sobie dwie rzeczy: że pewnego dnia odwiedzę Fravert Basin i spojrzę z bliska na ten obraz przyrody, który tak silnie do mnie przemówił, kiedy stałem na tym skalnym tarasie, oraz że gdzieś w zakamarkach umysłu, odpowiedzialnych za podejmowanie najważniejszych życiowych decyzji, żywię przekonanie, iż Aspen stanie się kiedyś moim domem. Gdyby w tamtym czasie przyszła mi do głowy myśl o pokonaniu grani Maroon Bells zimą, od razu odrzuciłbym ją jako coś niemożliwego, a jednak tego dokonałem, nie raz, ale dwukrotnie jednego dnia i o pięć godzin szybciej, niż zrobiłem to latem.

—

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dzień trzeci: „Przetrwać do świtu”

Skutkiem przeciwności losu jest rozbudzenie uzdolnień, które w sprzyjających okolicznościach pozostają głęboko uśpione.

Horacy

Skąd się biorą te wszystkie komary? Wyczekałem, aż dwa z nich usiądą jeden obok drugiego na moim prawym przedramieniu, i odesłałem ich dusze w kosmos. Jeszcze pół godziny wcześniej przysięgłbym, że nie widziałem ani jednego przez cały dzień, a teraz nad głową bzyczy mi z sześć tych krwiopijców. Siedząc w uprząży zaczepionej o punkt asekuracyjny, który założyłem tego ranka nad zaklinowanym głazem, wykańczam je po kolei, aż znikają wszystkie. Przychodzi mi do głowy dziwaczna myśl, że mógłbym zjeść te rozpląszczone owady. To śmieszny i bezsensowny pomysł: nie pożywię się nimi, poza tym mam jeszcze dwa burrito. Zawierają dobre pięćset kalorii, poza tym są o wiele smaczniejsze niż martwe insekty.

To zapewne skutek braku snu. Głupiejesz od tego. Znów owiewa mnie wiatr wiejący ku Wielkiemu Progowi, odzierając mnie z nędznych resztek ciepła. Późnym popołudniem, jak teraz - albo wczesnym wieczorem - powiewy są częstsze, a rzeźkość powietrza zapowiada nadejście nocy.

158

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dzień trzeci: „Przetrwać do świtu”

Skutkiem przeciwności losu jest rozbudzenie uzdolnień, które w sprzyjających okolicznościach pozostają głęboko uśpione.

Horacy

Skąd się biorą te wszystkie komary? Wyczekałem, aż dwa z nich usiądą jeden obok drugiego na moim prawym przedramieniu, i odesłałem ich dusze w kosmos. Jeszcze pół godziny wcześniej przysięgłbym, że nie widziałem ani jednego przez cały dzień, a teraz nad głową bzyczy mi z sześć tych krwio pijców. Siedząc w uprząży zaczepionej o punkt asekuracyjny, który założyłem tego ranka nad zaklinowanym głazem, wykańczam je po kolei, aż znikają wszystkie. Przychodzi mi do głowy dziwaczna myśl, że mógłbym zjeść te rozpląszczone owady. To śmieszny i bezsensowny pomysł: nie pożywię się nimi, poza tym mam jeszcze dwa burrito. Zawierają dobre pięćset kalorii, poza tym są o wiele smaczniejsze niż martwe insekty.

To zapewne skutek braku snu. Głupiejesz od tego. Znów owiewa mnie wiatr wiejący ku Wielkiemu Progowi, odzierając mnie z nędznych resztek ciepła. Późnym popołudniem, jak teraz - albo wczesnym wieczorem - powiewy są częstsze, a rzeźkość powietrza zapowiada nadejście nocy.

158

Moja wiara w celowość obtłukiwania głazu ulotniła się bez śladu. Kontynuuję ten bezowocny wysiłek tylko po to, by ożywić metabolizm i stłumić wrażenie słabości przygotowującej o drzenie, a wywołanej powiewami przenikliwego wiatru. Udaje mi się wykonać zaledwie ułamek wczorajszej pracy. Już dawno zdałem sobie sprawę z jałowości tej obróbki kamienia, ale jakaś irracjonalna część mojego mózgu nie pogodziła się jeszcze z beznadziejnością całej tej sytuacji. Upiera się, że jeśli będę się starał jeszcze bardziej i rzadziej robił przerwy, to w końcu się uwolnię. Próbuje wytłumaczyć sobie racjonalnie swoją ospałość i niechęć absurdalnym przekonaniem, że nie chcę się wyswobodzić wraz z nadejściem nocy - w ciemności mógłbym spaść ze ściany Wielkiego Progu albo zgubić się w głębi kanionu.

Zachowujesz się tak, jakbyś miał się lada chwila uwolnić. Jesteś leniwy i wiesz o tym. To walka twojego życia - walka o twoje życie - a ty jesteś zbyt leniwy, żeby zdobyć się na odrobinę wysiłku i zabrać się do roboty. Iy opieszła miernoto. Zabijasz sam siebie. Umrzesz tutaj.

To jest właśnie to - moja prognoza czarno na białym, niczym trzymane pod światło zdjęcie rentgenowskie. Nieuleczalna choroba. Nie mając szans zaspokoić potrzeb ciała, mogę się spodziewać, że przeżyję może półtora dnia. Albo dwa dni, ale jakie to ma znaczenie? Nic mnie nie przygotowało na ten dręczący niepokój powolnej śmierci, na te rozważania, czy przyjdzie kres dzisiaj wraz z zimnem, czy jutro ze skurczami wywołanymi odwodnieniem, czy też następnego dnia, wraz z ustaniem pracy serca. W tej godzinie, w następnej czy jeszcze następnej. Ilekroć byłem wcześniej bliżej śmierci, to zawsze akcja rozgrywała się błyskawicznie, w dramatycznych okolicznościach! Bez względu na to, czy rzeczywiście tego doznawałem, czy tylko sobie wyobrażałem, cios spadał niczym ostrze katedry, przyspieszony przez grawitację, pod postacią lodowej bryły, duszącej lawiny, nagłego zjazdu ośnieżonym żlebem, odpadnięcia od skalnej ściany.

Wiedziałem, że moje ostatnie słowa nie będą zawierały głębokiej mądrości, że wyrwą się z moich ust jako przekleństwo, „o cholera!”, może przez głowę przemknie mi myśl: „To koniec”, potem bolesne westchnienie, chluśnięcie krwi, strzaskane kości. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że będę odchodził powoli. Byłem przekonany, że poradzę sobie ze wszystkim, co może zmuszać do długiej i mozolnej walki: że przetrwam burze, że znajdę drogę, kiedy się zgubię, że podźwignę ciało z ciężkich obrażeń czy choroby. Nie, nie miałem ochoty zasiadać do kolacji ze śmiercią, prowadzić introspek-

159

tywnych rozmów podczas tej długiej wizyty i zakończyć jej słowami: „No cóż, a więc postanowione, czas odejść”.

Tyle razy miałem szczęście, że nawet przelotne wizje mojego końca stały się zabawką, którą obracałem w dłoniach, by doznać intensywnych uczuć, posmakować dramatycznego kontrastu między strachem ostatecznego unicestwienia a pragnieniem życia w pełni. Sądzę, że niektórzy ludzie uznaliby to za rojenia narkomana upajającego się nią, ale bardziej cieszyłem się umiejętnością panowania nad nią niż euforią, jaką mogłoby mi dać jej uwolnienie. Podczas mniej niebezpiecznych, ale wciąż jednak ryzykownych wypraw testowałem granice swej wytrzymałości, poddając się długotrwałemu działaniu cierpienia powodującego katharsis, pragnąc zburzyć swoje wewnętrzne mury, oczyścić ducha, doznać czegoś wznioślejszego niż nuda i stres, przewyciężyć samego siebie. Czasem, z rzadka, uświadamiałem sobie z poczuciem euforii, jakby poza granicami rozumu, że ból i strach istnieją tylko w małej szczelinie między dwoma neuronami. Nazywałem to przekraczaniem własnej istoty.

Jak mam przekroczyć siebie teraz, w tym kanionie? Wszelka władza umysłu nad materią, jeśli ją posiadam, wydaje się bezradna - moja sytuacja jest fizycznie niemożliwa do rozwiązania. Poradzę sobie z bólem, wewnętrzna dyscyplina stłumi strach, ale nie potrafię przejść do porządku dziennego nad pragnieniem ciała, które łaknie wody.

Woda. Biorę do ręki butelkę i poruszam nią, mieszając cenny płyn. Przez ostatni dzień wypijałem około 0,07 litra co trzy godziny. Hm. To oznacza, że ta jedna trzecia litra, która mi jeszcze pozostała, starczy na całą noc. Muszę jednak bardziej oszczędzać. Jest po osiemnastej, ale nie napiłem się od 3.15, kiedy odłożyłem kamerę. Tym razem powinienem sobie odmówić, zachować wodę na później. Nie mam spuchniętego języka, nie jest też zbyt miękki ani twardy. Z ustami też wszystko w porządku, nie mam wrażenia, że coś jest z nimi nie tak. Myślę o picu dość często, ale może ten etap odwodnienia przypomina tamtą chwilę, kiedy wydawało mi się, że umrę, jeśli szybko czegoś nie zjem, tymczasem upłynęła druga połowa dnia i fantazje na temat jedzenia zniknęły, a głód zelżał. Jednak wątpię, czy z pragnieniem jest tak samo. Mogę się założyć, że to po prostu początek.

Nieważne. Przestań o tym myśleć; odłóż gdzieś tę butelkę. Wetknij ją w piasek, żebyś nie patrzył i nie sprawdzał, ile ci jeszcze zostało. A najlepiej zajmij się czymś. Przygotuj się do nocy.

160

Tak, lepiej skupić się na swoim planie. Stawiam butelkę na piasku pod głazem i zastanawiam się nad nadchodzącym wieczorem. O dziewiątej będzie smoliście czarno, a potem czeka mnie dziewięć godzin nieprzeniknionych ciemności. Wiem, że to tylko dziewięć godzin, ale jeśli nie wytwarzam wewnętrznego ciepła, to te godziny będą się ciągnąć jak noc polarna. Łyknię wody o dziewiątej, o północy, o trzeciej i szóstej. Będę pił mniej niż zeszłej nocy; zostanie więcej na jutro. Potrzebuję wody, żeby zjeść burrito. Ten pierwszy kęs trzy godziny temu był tak suchy, że zamienił się w moich ustach w ziemisty klej; reszta pójdzie mi jeszcze gorzej. Okej, tak właśnie zrobię.

Pozostaje pytanie, jak się ogrzać. Powietrze wydaje się zimniejsze niż wczoraj o tej porze. Tego dnia było więcej chmur, więc temperatura była niższa. Teraz jednak zniknęły i gdy słońce zachodzi, nic mnie nie chroni przed zimnem. Jedno z nielicznych praw kalorymetrii, które zapamiętałem ze studiów, głosi, że promieniowanie albo emisyjna utrata ciepła między gruntem a nocnym niebem jest proporcjonalna do różnicy temperatury podniesionej do czwartej potęgi. Jeśli dobrze pamiętam, powietrze jest o blisko czterysta stopni Kelvina zimniejsze niż moje ciało. Podnieś to do czwartej potęgi, pomnóż przez niewielką stałą, której zapomniałem, i otrzymasz mniej więcej dwadzieścia pięć miliardów jednostek czegoś tam. Wszystko sprowadza się do tego, że emituję mnóstwo ciepła w niebo. Będę się musiał w nocy o wiele staranniej ogrzewać, zwłaszcza że nie ma mowy o intensywnej pracy. Zamierzam przetrwać jakoś do rana, a potem się martwić, co dalej.

Ściągam z ramiennego plecaka i wygrzebuję niewielki pokrowiec, w którym przechowuję aparat cyfrowy. Trzymając w zębach tę torbę z jednego końca, tam gdzie znajduje się otwór, biorę do lewej ręki nóż i rozcinam szwy na drugim końcu, próbując się nie skaleczyć w twarz. Cienki materiał pruje się bez trudu, a ja wsuwam lewe przedramię w tę rurkę z materiału. Posługując się szczękami, zaciskam mocniej koniec woreczka na łokciu i tworzę prowizoryczną osłonę na lewą rękę. Usuwam dwa kawałki fioletowej taśmy z systemu podnośnikowego, który skonstruowałem, i obwijam nimi prawe ramię, przeciągając zwoje między przedramieniem a ścianą, tam gdzie nie mieści się bukłak na wodę. Potem chwytam zębami żółtą taśmę, stanowiącą część mojej linowej konstrukcji, naciągam i odcinam nożem mniej więcej półtorametrowy odcinek. Chowam pozostałe dwie trzecie

161

s

burrito do lewej kieszeni, a nienaruszone i wciąż zapakowane wrzucam na dno plecaka. Prawy biceps owijam sobie reklamówką, w której przechowywałem jedzenie. Obwiązuję plastik kawałkiem żółtej taśmy i w ten sposób sporządzam długi rękaw na prawe ramię.

Teraz zajmuję się dolną częścią ciała i w końcu udaje mi się zrobić coś w rodzaju spodni z pozostałych pięćdziesięciu metrów liny wspinaczkowej. Na półce skalnej przed moimi stopami leży zwój brudnej zielonożółtej taśmy. Każda noga zabiera mi około dwudziestu minut, ale w końcu obwiązuję je od ud do skarpet trzydziestoma równymi pętlami. Ten widok pobudza mnie do śmiechu. Zwoje przypominają kręgi gliny garncarskiej. Wygląda to tak, jakbym został zaatakowany przez dwa identyczne zielone pytony centymetrowej grubości. Pętla ściąga się i pija mnie pod kolanami, kiedy siadam w uprzęży, więc rozluźniam je i dostosowuję pętlę daisy chain, która łączy się z punktem asekuracyjnym; podnoszę się na swoim siedzisku o jakieś pięć centymetrów. To najwygodniejsza pozycja, w jakiej się znalazłem od chwili uwięzienia.

Mając łydki obwiązane liną, mogę się nachylić ku skalnej półce, którą mam przed goleniami - bałem się, że potknę się o nią i przewrócę do tyłu, kiedy próbowałem uciec spod spadającego gązdu. Gdybym wtedy upadł i złamał sobie piszczel, to i tak byłbym w lepszej sytuacji niż teraz. Myślałem o tym, czy bardziej martwiłem się o głowę? Wszystko stało się tak szybko, ale jednocześnie tak wolno. Ile miałem czasu na reakcję? Było tyle czynników do rozważenia w tym ułamku sekundy, kiedy podjąłem decyzję, by odepchnąć od siebie

spadający gład. Dlaczego to zrobiłem? Może sądziłem, że uda mi się odpowiednio nakierować kamień, by nie uderzył mnie w głowę, tak jak zrobiłem to z głazem podobnej wielkości na Creston Needle.

Wtedy z pewnością nie miałem wyboru. Gdybym nie zmienił toru tamtego kamienia, zmiądzzyłby mi klatkę piersiową, a ja runąłbym bezwładnie w dół z wysokości czterech tysięcy metrów. Trawersowałem na grani między Preston i Needle wiosną 2000 roku, po samotnym wejściu Northwest Couloir na szczyt Preston z kijkami i bez raków. Byłem w walecznym nastroju i zamiast wybrać dobrze opisaną i najprostszą drogę wspinaczkową, postanowiłem dostarczyć sobie mocniejszych wrażeń i znalazłem się w sytuacji, w której musiałem pokonać znaczny odcinek po północnej stronie grani łączącej dwa szczyty. Normalna droga nigdy nie zahacza

162

0 północną stronę, nie bez powodu: dwa razy pokonywałem popękane skały piątego stopnia w butach wspinaczkowych. Czułem wtedy niemal każdy centymetr z tego tysiąca metrów, które dzieliły mnie od jeziora w dole, Upper South Colony. Mając przed sobą urwisko Black Gendarme, wiedziałem, że muszę przejść przez grań, na stronę południową i łatwiejszy grunt. Nade mną, na wysokości piętnastu metrów, wznosił się krótki

1 stromy żleb pełen odłamków skalnych, kończący się trzymetrowym okapem. Wystawał nieco, ale żleb miał u góry tylko około metra szerokości, więc wykombinowałem, że przecisnę się aż do okapu i podciągnę, wspinając się na krawędź. Przypuszczałem, że znajdę się na gruzłowym i schodkowym zlepieńcu, skąd dotrę na szczyt Needle.

Tyle że tak się nie stało. Znajdowałem się w odległości ponad metra od okapu w tym żlebie o nachyleniu pięćdziesięciu stopni, kiedy złapałem się krawędzi i cały okap poruszył się gwałtownie. Spomiędzy dwóch wież, które tworzyły wąski komin, oderwał się gruby blok skalny. Niech to diabli! Przycisnąłem głaz do piersi, po czym runęliśmy w dół, tworząc jedną całość, dopóki nie wykręciłem torsu w lewo. Uderzyłem plecami

0 ścianę żlebu po prawej stronie, a głaz natychmiast przygniótł mi pierś, z której wyrwało się gwałtowne westchnienie. Zsuwając się w dół ku stromemu piargowi, odepchnąłem głaz od piersi. Runął do żlebu pod moimi stopami. Pozbawiony tchu, poleciałem głową do przodu, a moje dłonie chwyciły się przeciwległej ściany. Zobaczyłem, jak głaz odbija się dwa razy od piargu, po czym katapultuje nad krawędzią wąwozu w fontannie drobinek skruszonej skały i kamyków. Gdybym nie uderzył ściany plecami

1 nie zachował wyprostowanej pozycji, co pozwoliło mi zmienić tor lotu głazu, poleciałbym wraz z nim w koszmarnym tandemie. Odzyskałem oddech, ale nie pewność siebie. Zszedłem żlebem w dół i wybrałem łatwiejsze przejście na południową stronę Crestone Needle.

Pół godziny później, kiedy od szczytu dzieliło mnie dziesięć pionowych metrów, zrezygnowałem z łatwego już wejścia. Nie mogłem się uwolnić od myśli o tym wypadku, który omal nie skończył się dla mnie tragicznie. Nie zmieniłem nawet butów, by mimo wszystko spróbować wspinaczki. Miałem dość i zacząłem schodzić po południowej ścianie Needle, manewrując między sterzczącymi żebrami skał i gardzielami upstrzonymi taśmami - dowód, że nie ja pierwszy zrezygnowałem w ostatniej chwili ze wspinaczki. Dopóki moje stopy nie dotknęły gruntu

163

0 północną stronę, nie bez powodu: dwa razy pokonywałem popękane skały piątego stopnia w butach wspinaczkowych. Czułem wtedy niemal każdy centymetr z tego tysiąca metrów, które dzieliły mnie od

jeziora w dole, Upper South Colony. Mając przed sobą urwisko Black Gendarme, wiedziałem, że muszę przejść przez grań, na stronę południową i łatwiejszy grunt. Nade mną, na wysokości piętnastu metrów, wznosił się krótki

1 stromy żleb pełen odłamków skalnych, kończący się trzymetrowym okapem. Wystawał nieco, ale żleb miał u góry tylko około metra szerokości, więc wykombinowałem, że precyzyjnie się aż do okapu i podciągnę, wspinając się na krawędź. Przypuszczałem, że znajdę się na gruzłowym i schodkowym zlepieńcu, skąd dotrę na szczyt Needle.

Tyle że tak się nie stało. Znajdowałem się w odległości ponad metra od okapu w tym żlebie o nachyleniu pięćdziesięciu stopni, kiedy złapałem się krawędzi i cały okap poruszył się gwałtownie. Spomiędzy dwóch wież, które tworzyły wąski komin, oderwał się gruby blok skalny. Niech to diabli! Przycisnąłem głaz do piersi, po czym runęliśmy w dół, tworząc jedną całość, dopóki nie wykręciłem torsu w lewo. Uderzyłem plecami

0 ścianę żlebu po prawej stronie, a głaz natychmiast przygniół mi pierś, z której wyrwało się gwałtowne westchnienie. Zsuwając się w dół ku stromemu piargowi, odepchnąłem głaz od piersi. Runął do żlebu pod moimi stopami. Pozbawiony tchu, poleciałem głową do przodu, a moje dłonie chwyciły się przeciwległej ściany. Zobaczyłem, jak głaz odbija się dwa razy od piargu, po czym katapultuje nad krawędzią wąwozu w fontannie drobinek skruszonej skały i kamyków. Gdybym nie uderzył ściany plecami

1 nie zachował wyprostowanej pozycji, co pozwoliło mi zmienić tor lotu głazu, poleciałbym wraz z nim w koszmarnym tandemie. Odzyskałem oddech, ale nie pewność siebie. Zszedłem żlebem w dół i wybrałem łatwiejsze przejście na południową stronę Crestone Needle.

Pół godziny później, kiedy od szczytu dzieliło mnie dziesięć pionowych metrów, zrezygnowałem z łatwego już wejścia. Nie mogłem się uwolnić od myśli o tym wypadku, który omal nie skończył się dla mnie tragicznie. Nie zmieniłem nawet butów, by mimo wszystko spróbować wspinaczki. Miałem dość i zacząłem schodzić po południowej ścianie Needle, manewrując między sterzącymi zebrami skał i gardzielami upstrzonymi taśmami - dowód, że nie ja pierwszy zrezygnowałem w ostatniej chwili ze wspinaczki. Dopóki moje stopy nie dotknęły gruntu

163

na wysokości czterech tysięcy metrów, odczuwałem głęboką desperację i żałowałem, że nie mogę schodzić z wykorzystaniem liny. Kiedy dotarłem do samochodu, włączyłem ulubioną płytę Floydów i raz za razem słuchałem Fearless. Śpiewałem razem z płytą, a początkowe słowa coraz bardziej wrzynały mi się w pamięć: „Mówią, że wzgórze jest zbyt strome, by je zdobyć. Zdobądź je”. Crestone Needle pokonało mnie, aleja, zainspirowany muzyką, wróciłem tam nazajutrz i wszedłem na szczyt, a potem spoglądałem ku miejscu, do którego dotarłem poprzedniego dnia, zaledwie kilka metrów od wierzchołka. Zrozumiałem, jak kruchą rzeczą jest pewność siebie, jak cienkie włókienko łączy moje ciało z umysłem w nieprzewidywalnych sytuacjach. Nie rozumiałem tylko jednego - że odepchnięcie szarżującego głazu własnymi dłońmi nie

zawsze jest najlepszym wyjściem z sytuacji.

* * *

Nieznaczne drgnienie w moim wnętrzu mówi mi, że przyszedł czas na modlitwę. Nie robiłem tego jeszcze, ale teraz jestem gotowy. Zaciskam lewą dłoń w luźną pięść na głazie, zamykam oczy i opieram czoło na zakrzywionych palcach.

- Boże, modlę się do Ciebie o oświecenie. Jestem uwięziony w tym kanionie - o czym zapewne wiesz - i nie

mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić. Próbowałem wszystkiego, co mi tylko przyszło do głowy. Muszę koniecznie wymyślić coś nowego. Albo jeśli będę musiał spróbować tego samego jeszcze raz, na przykład podnieść głaz czy amputować sobie dłoń, to proszę, daj mi jakiś znak.

Czekam minutę z opuszczoną głową, a potem odchylam ją z wolna do tyłu i wpatruję się w błady zmierzch, błagając niebo, by zesała mi jakąś radę. Zaskakuję samego siebie tym oczekiwaniem na widomy sygnał, który pomoże mi rozwiązać dylemat. Przyłapuję się na tym, że wodzę spojrzeniem po skalnych ścianach, szukając jakichś hieroglifów, wrytych w sposób nadprzyrodzony. Oczywiście nic się nie pojawia, żadna metafizyczna wskazówka, żadna objawiona w piaskowcu boska odpowiedź. Czego oczekiwałem? Zawirowania chmur, które przekazałyby mi dzień i godzinę nadejścia pomocy? Petroglifu przedstawiającego człowieka z nożem? Pragnąc w jakiś pokrętny i wysiłony sposób ukryć rozczarowanie, podejmuję modlitwę, a każde słowo przesiąknięte jest sarkazmem.

164

- Okej, Boże, jesteś najwidoczniej zajęty... Diable, jeśli mnie słuchasz, to wiedz, że potrzebuję pomocy. Oddam ci rękę, duszę, cokolwiek zechcesz. Tylko wydostań mnie stąd. Jeśli nie życzysz sobie, bym jeszcze kiedykolwiek się wspinał, to wyrzeknę się tego. Po prostu pokaż mi, gdzie mam podpisać cyrograf.

Przerywam i wzdycham. Choć mój żart nie jest specjalnie zabawny, cieszę się, że wciąż stać mnie na humor.

Przychodzi mi do głowy, że być może jest to swoisty sprawdzian, coś w rodzaju lekcji. Może kiedy rozgryzę jej znaczenie, to się uwolnię. Czy tak jest? Co przez to zyskam? Czego mam się nauczyć?

Myślę o lekcji, o której kilkakrotnie rozmawiałem ze swoim przyjacielem z Aspen, Robem Cooperem. Rob nie jest typem filozofa, ale często dzięki celnej uwadze ujawniał niezwykłą wnikliwość. Na przykład w typowy dla nas sposób zaczynałem relacjonować jakąś swoją ostatnią przygodę, a on, ni stąd, ni zowąd, odpowiadał swoim ulubionym non sequitur. „Nie chodzi o to, co robisz, Aron, ale o to, kim jesteś”. Wytrącony z toku opowiadania, przez następne dziesięć minut zastanawiałem się, co Rob miał na myśli. Powtarzał ten aksjomat, a ja, wciąż nie rozumiejąc, próbowałem mu zaprzeczyć. Według mnie definiujemy samych siebie właśnie przez to, co robimy. Odnajdujemy swoją tożsamość w działaniu. Jeśli nic nie robimy, to jesteśmy niczym. Nawet nasze ciała przybierają wygląd będący z grubsza rezultatem naszego stylu życia. Nigdy nie umiałem pojąć, o co Robowi chodzi. I bez względu na to, jak długo podkreślałem swój punkt widzenia, pozostawał nieprzekonany.

Być może miejsce, w którym się teraz znajduję, dno tego kanionu, pozwala mi spojrzeć na słowa Roba pod innym kątem. W moim myśleniu dokonuje się przełom: Rob wyczuwał w relacji z moich przygód niewypowiedzianą prośbę o jego aprobatę. Jego odpowiedź, bliższa pokrzepieniu niż wyzwaniu, oznaczała, że nie miało dla niego znaczenia, czego dokonałem czy co osiągnąłem. Uważał mnie za przyjaciela za sprawą tego, kim jestem - jako osoba, nie wspinacz, narciarz, wyczynowiec. Moje zmieszanie wywołane jego słowami dowodziło, jak bardzo miał rację. Przyjąłem postawę obronną, ponieważ chciałem, by mnie szanował za moje dokonania. Padłem ofiarą mentalności, która przywiązuje wagę wyłącznie do osiągnięć, nie dostrzegając procesu, który do nich prowadzi. Rob, wraz ze wszystkimi innymi ludźmi, których lubiłem i na których mi zależało,

165

szanowałby mnie za to, kim jestem - jak i za to, jak traktuję innych - albo nie. Moja skłonność do ryzyka nie miała nic wspólnego z moją wartością jako przyjaciela. Hm. Dochodzę do wniosku, że wreszcie to pojąłem. Może tego właśnie mam się tu nauczyć?

No cóż, jeśli tak było, Aron, to ten głaz powinien się rozszcześcić na dwie części i spaść na ziemię, nie wyrządzając żadnej szkody w tej... właśnie... chwili.

Nic się nie dzieje, co było do przewidzenia. Przez następne trzydzieści sekund nadal nic się nie dzieje; przestaję czekać. Może to małe objawienie jest rodzajem emocjonalnych resztek ze stołu, czymś, co ma przynieść ulgę mojej zmęczonej świadomości. Wiem, że nie tkwię tu po to, by doznawać oświecenia - tkwię tu, ponieważ wielki kamień przygniata mi rękę. Jak właściwie jest duży? Cięższy ode mnie, ale zdołałem go wczoraj odrobinę przesunąć przy próbie podnoszenia. Wątpię, czy waży więcej niż sto kilogramów, gdyż w przeciwnym razie nie potrafiłbym go w ogóle ruszyć. Stosując system mechaniczny o przełożeniu 6:1, zwielokrotniający ciężar mojego ciała w chwili oparcia stóp na pętłach, powinienem przesunąć głaz, nawet gdybym stracił połowę energii na tarcie. Jest zbyt późno, by zacząć modyfikację systemu. Wykorzystałem większość lin jako izolację cieplną nóg i nie chcę zrezygnować z tej prowizorycznej osłony.

Z dna kanionu unosi się noc i wypełnia niebo. Z zamkniętymi oczami wypowiadam życzenie i nadaję swemu najgłębszemu pragnieniu postać wizualną. Widzę samego siebie, jak dosiadam uporczywego wiatru, jak uciekam stąd unoszony wielką falą ciemności, która niesie mnie niczym kruka nad pustynną roślinnością, wprost w przestrzeń. Żegluję nad jałowymi i nagimi ostańcami, nad kasztanowymi płaskowyżami i zapiętym szczelnie całunem środkowego Utah, zmierzając na zachód nad zimnym i czarnym Wielkim Basenem i Sierra Nevada, pozbawionymi miejskich świateł, nad lądem, który niczym iluzjonista dokonuje spektralnej transformacji, ja zaś unieważniam zachód słońca i chwytam na nowo dzień gdzieś nad wybrzeżem Pacyfiku.

Kiedy moja walka wydaje się trudniejsza, czas nabrzmiewa, a wraz z nim rozszerza się gwałtownie cierpienie. Starzeję się szybciej, zwłaszcza nocą, gdy tracę sprzed oczu wizualne oznaki faktycznego upływu godzin. Trzy minuty męczącego drżenia pochłaniają dziesięć minut fizycznego doznania, jakbym wpadł w wąski otwór wygryziony przez robaka, gdzie zno-

166

szę rozdzierające katusze przez niezmierzone eony, a potem powracam do równie koszmarnej świadomości. Znalazłem jednak antidotum na ten horror: w zamglonym wolnym świecie swej wyobraźni zanurzam się i krążę w szepczących nadmorskich chmurach, gdzie spienione grzbiety fal zamieniają się w bałwany, podczas gdy ja zmierzam na zachód. Przelatuję wysoko przez atmosferę, zerkając za siebie, i widzę, jak ziemia przekształca się w zielone obramowanie wokół kobaltowego oceanu, a wyspy kurczą się w punkciki. Prześlizgując się przez lodowate wiry skryzalizowanej mgiełki wodnej, unoszę się spiralą ku rozległej zatoce kosmosu i porzucam swe ciało w ostatecznym akcie ewolucji, by ulec metamorfozie i stać się plamą barwnego światła, fosforyzującą zbitką wysoko zawieszonych protonów.

Atak dreszczy kładzie nagły kres tej fantazji, roztańczone cząstki światła rozplývają się w czerń; otwieram oczy. Ta wędrówka mojego umysłu wydawała się krótka, ale kiedy patrzę na zegarek, okazuje się, że jest 21.45. Było po dziewiątej, gdy zauważyłem, że zrobiło się dostatecznie ciemno, bym mógł dostrzec gwiazdy. Te same olśniewające konstelacje, które widziałem zeszłej nocy, znów się ukazują w wąskiej szczelinie między ścianami kanionu. Dwie są wyraźniejsze od pozostałych, przypominają parę splecionych ze sobą podków. Zastanawiam się, czy jedna z nich to zagięte żądło Skorpiona, znaku, pod którym się urodziłem, w dniu 27 października. Bez względu na to, jak się nazywają, te pozbawione współczucia gwiazdy stanowią brutalne przypomnienie, że nie ma światła, które mogłoby skazić widok. Jestem tak oddalony od cywilizacji, że mógłbym równie dobrze przebywać na Księżycu.

- Unngg-ggu-ggga-gggh.

Z mojej krtani dobywa się seria niezrozumiałych dźwięków przy wtórze dzwonienia zębów, które stukają

monotonnie jak dziób dzięcioła.

Próbując wchłonąć choć trochę ciepła z tego drzenia, które mną miota, poprawiam na sobie prowizoryczne odzienie. Górne zwoje liny obluźowały się, odsłaniając uda. Zaciskam linę mocniej i zaplatam jej górny koniec na pięciu najwyższych pętłach, licząc na to, że osłonię w ten sposób kolana. Eksperymentuję z torbą od liny, wykorzystując ją jak miniaturowy namiot: wsuwam lewą rękę i ramię w otwór między ząbkami zamka błyskawicznego, a potem głowę. Niewielkie rozmiary torby sprawiają, że jestem zmuszony przylgnąć głową do nadgarstka, co staje się odrobinę wygodniejsze, gdy umieszczam lewą dłoń na prawym bicepsie, obok ramie-

167

nia. Siedząc w uprzęży z lewym biodrem opartym o ścianę kanionu, zachowuję dostatecznie stabilną pozycję, bym mógł nachylić się w prawo i oprzeć głowę na lewej ręce i prawym łokciu, co pozwala rozluźnić górną część ciała. Wygląda to tak, jakbym ucinął sobie drzemkę w ławce szkolnej.

Wytworzyłem dostatecznie dużo ciepła, bym mógł pozostać bez ruchu przynajmniej przez piętnaście minut, nim powrócą dreszcze. Wraz z drzeniem ciała rozluźniają się liny wokół nóg; przez następne pół godziny zaczynam się stopniowo wiercić i poprawiać nędzne odzienie. Grzebię w blasku czołówki przy linach, staram się coś zrobić ze zwojami oplatającymi prawe ramię, poprawiam przedziurawiony pokrowiec od kamery na lewej ręce, obracam się w uprzęży, żeby pobudzić krążenie w nogach, i w końcu wsuwam rękę i głowę z powrotem do torby, przyjmując pierwotną pozycję. Kolejne piętnaście minut błogostawionej beczynności, a potem znowu dreszcze. Ustala się pewien rytm. Wiercę się przez pół godziny, ożywiając metabolizm na tyle, by znów odpocząć i odprężyć się przez kwadrans na swoim siedzisku. Ale zimno zawsze zwycięża, trzęsą mną konwulsje, szczęki zaciskają się spazmatycznie, aż wydaje mi się, że pokruszę sobie zęby.

Po czwartym cyklu ruchu i odpoczynku nadchodzi północ, pora na precyzyjnie odmierzone łyżeczki wody. Godziny przeminęły szybko. Nie tak szybko jak ostatniej nocy, ale udaje mi się skuteczniej zachować kalorie. Podnoszę butelkę z zagłębienia w piasku i zaczynam przeklinać się w myślach za to, że tak mocno ją zamknąłem - nie mogę dać sobie rady z zakrętką. Ściskając butelkę między udami, otwieram pojemnik i podnoszę do ust, po czym przechylam pod odpowiednim kątem, by na język spłynęła tylko wyznaczona odrobina wody. Chcę się napić jeszcze więcej. Ten mały łyk wywołuje reakcję łańcuchową potęgującą pragnienie, którego kulminacją jest obłąkańcza chęć wypicia resztki płynu.

Nie rób tego, Aron.

Zmuszając dłoń do zamknięcia butelki, uświadamiam sobie, że potrafię kontrolować swoje reakcje i zwalczać naturalne odruchy za pomocą racjonalnej strategii, której celem jest jak najdłuższe przetrwanie. W pewnym momencie, w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin, najprawdopodobniej zabraknie mi wody. Zastanawiam się, co wtedy się stanie z moją dyscypliną. Czy będę kontynuował rytuał otwierania butelki, starając się wyssać ostatnie molekuly wilgoci z twardego plastikowego naczynia? Wyobrażam sobie, jak mój język penetruje suchą szyjkę dawno opróżnionego

168

pojemnika, skrobiąc chropowatą powierzchnię w pozbawionej jakiegokolwiek sensu nadziei.

Powracam do ustalonego schematu - ruch i odpoczynek - i wyznaczam w myślach tempo na kolejne sześć godzin. Jeszcze osiem cykli poprawiania lin i okrycia, przerywanych dziesięcio- czy piętnastominutowymi okresami bezruchu, i nadejście świt. Nie mogę spać, ale siedzenie wciąż pomaga mi oszczędzać energię.

Staram się nie myśleć o ratunku z zewnątrz czy wszelkich sposobach wydostania się z tej pułapki. Przez większość czasu wpatruję się w swój własny oddech, kondensujący się na wewnętrznej stronie wodoszczelnej torby. Z jakiegoś powodu, ilekroć wkładam głowę do worka czuję się lepiej, zostawiając lampkę włączoną na kilka minut. Sądzę, że pomaga to zwalczyć poczucie klaustrofobii. Torba jest trochę większa od plastikowej reklamówki na zakupy, taka, jakich nie daje się dzieciom do zabawy. Intuicja podpowiada mi, że bym nie wkładał tam głowy, ale ten schowek w znacznym stopniu ogranicza emisję mojego ciepła ku nocnemu niebu. Kiedy już przyzwyczajam się do wyłożonego czarnym plastikiem wnętrza, gaszę lampkę i nasłuchuję własnego oddechu; czuję, jak wokół mnie narasta wilgoć, i czekając na światło, odprężam się na tyle, na ile to możliwe w tej pozycji.

Jest chłodniej. Termometr w moim zegarku wskazuje dwanaście stopni -zimno, ale trzymam się nieźle. Choć kolejne napady drżenia przyprawiają mnie prawie o szaleństwo, zyskuję dzięki nim pewność, że moje wewnętrzne odrucjiy wciąż są w normie. Mogły równie dobrze ustać z powodu stresu i traumy wywołanych wypadkiem. Mam szczęście, że głąz nie spowodował znacznej utraty krwi. Doznałbym wstrząsu hipowolemicznego, kiedy serce próbowałoby zaopatrywać organizm w tlen za pomocą niedostatecznej ilości krwi. To tylko chwilowe odroczenie wyroku, właściwie bez znaczenia. Nadejdzie moment, gdy procesy metaboliczne mojego ciała przestaną zachodzić zgodnie ze swymi normami, a wtedy zabierze mnie pozbawiona kształtu śmierć.

Postanawiam obtłukiwać skałę, by wygenerować więcej ciepła, ponieważ poprawianie prowizorycznego okrycia na nogach nie stanowi dostatecznego wysiłku. Obrabianie głązu pomaga mi także zająć czymś myśli, choć nie próbuję już robić jakichkolwiek postępów. Wiem, że kamień będzie się osuwał na moją rękę w trakcie skuwania materiału z jego powierzchni. Miejsce, z którego wczoraj odbiłem drobne fragmenty, zdążyło się już

169

obrócić na moją dłoń, ukrywając to, co udało mi się osiągnąć. Jednak po pięciu minutach obtłukiwania jest mi ciepło, więc odkładam narzędzie na górną powierzchnię głązu, chowam głowę do torby i znowu siadam. Podczas każdego z kolejnych pięciu rutynowych cykli zdobywam się na symboliczny wysiłek i uderzam w przekrzywiony kamień ostrzem noża, a czasem pilnikiem.

◆ * *

Niebo przechodzi stopniowo z czerni w biel. Narzucony sobie samemu reżim ruchu i odpoczynku pozwolił mi przetrwać następną noc, choć nie jestem specjalnie wdzięczny za to męczące powtórzenie przetrwania. Czerpię siły ze stymulacji i działania, a pomijając długą litanię fizycznych ograniczeń, moje uwięzienie niesie ze sobą także psychologiczne przekleństwo, jakim jest niemożność bezustannego zajmowania czymś umysłu. Czuję się chwilami w pełni zaangażowany w sytuację, nawet przez całą godzinę, ale nie mogę się powstrzymać od rozważania monotonii tego bezruchu. Jeśli odwodnienie i hipotermia nie pokonają mnie w ciągu dwóch następnych dni, to uczyni to nuda, która stępi moje odruchy i zdusi wolę przeżycia. Prześladowuje mnie pewne pytanie: jak bardzo będę znużony, gdy samobójstwo wyda się jedynym ekscytującym aktem, który uwolni mnie od apatii?

Wschód słońca jest bezbarwny, zbyt jasny, by przez zasłonę światła mogły przebić się gwiazdy. Ta widmowa biel stanowi dla mnie zagadkę; nie potrafię się zorientować, czy wciąż patrzę na blade w tej chwili niebo, czy na zasłonę chmur. Chmury nocą nie są niczym złym - ograniczają straty ciepła przez promieniowanie i sprawiają, że powietrze jest cieplejsze niż powierzchnia skał. Lecz chmury w ciągu dnia są mniej pożądane.

Nie pozwalają rozgrzać się pustyni, no i zawsze jest ryzyko, że spadnie deszcz, zaleje kanion i - koniec gry. Mija następna godzina i niebo przeistacza się w bezchmurny lazurowy błękit.

Zamiast czekać, aż w kanionie zrobi się ciepło, przystępuję do ponownego montowania systemu podnośnikowego. Zdejmuję linę z ramienia. Wczoraj, próbując unieść głaz, zdrowo się napociłem, zakładam więc, że wysiłek mnie rozgrzeje. Opierając się na doświadczeniu ratownika, wyobraziłem sobie układ karabinków i węzłów Prusika, który powinien zapewnić mi współczynnik siły 6:1. Nim sporządzę wszystkie pętle i wepnę

170

karabinki, muszę skrócić taśmę punktu asekuracyjnego o mniej więcej piętnaście centymetrów, żeby powiększyć przestrzeń między głazem i ringiem. Wiążę kilka węzłów zwykłych ponad ringiem, zaciskając pętlę punktu asekuracyjnego. Kiedy punkt się podnosi i trudniej do niego sięgnąć, opieram podeszwy butów o ściany kanionu, zyskując niemal sześćdziesiąt centymetrów wysokości, jednak kosztem bolesnego nacisku na prawy nadgarstek.

Pamiętam tym razem, by zainstalować dodatkową pętlę między punktem a główną liną, więc jeśli uda mi się podnieść głaz o kilka centymetrów, to będę mógł sięgnąć głównej liny za pomocą węzła Prusika i poprawić system. Przy współczynniku 6:1 na trzydzieści centymetrów, o które uda mi się podciągnąć główną linę, będzie przypadało pięć centymetrów, o które podniesie się głaz. Ponieważ mój system mieści się w ograniczonej przestrzeni między pętlą punktu asekuracyjnego a zaklinowanym głazem, dysponuję jedynie trzydziestoma centymetrami, by wszystko się odpowiednio zacisnęło. Muszę podnieść kamień o piętnaście do dwudziestu centymetrów, żeby uwolnić górną część dłoni, co będzie wymagało trzykrotnej próby. Zdecydowałem już, że jeśli jeden lub więcej palców wciąż pozostanie uwięzionych, kiedy już uwolnię dłoń, zrobię to, co należy, by się wyswobodzić do końca - obetnę sobie przygniecione palce.

Podciągam się na linie, aż mogę wsunąć stopy w pętle. Jestem świadomy nowej fali podniecenia, wywołanej tą próbą, i nadziei, że niebawem będę wolny. Ale kiedy obciążam pętle i lina się napręża, nie ma żadnego efektu; głaz tkwi w miejscu. Zawiedziony, ale nie zrozpaczony, sprawdzam wszystko, poprawiam węzły i zastanawiam się, czy nie skrócić bardziej mocowania punktu asekuracyjnego. Z powodu elastyczności liny potrzebuję więcej przestrzeni, w której zacznie działać system, nim podciągnie głaz. Dodaję dwa węzły ponad ringiem. Próbuję znowu - widzę, że system się napręża, ale głaz i tym razem nie wydaje żadnego dźwięku, nie trze o ścianę ani nie zgrzyta. Nie czuję w nadgarstku przeszywającego bólu, który z pewnością towarzyszyłby jakimkolwiek znaczącemu ruchowi kamienia. Co się tu dzieje, do diabła? Naprężam stopy w pętlach, ciągnąc jednocześnie lewą ręką za linę; jest napięta w mojej dłoni. Wkładam w to tyle sił, na ile tylko mnie stać, jednak gdy przesuwam palcami po linie, po węzłach i karabinkach, czuję przy każdym zagięciu poluzowania. Napieram całym ciężarem ciała na system i chwytam główną linę nad głazem,

171

po czym uświadamiam sobie, na czym polega problem: nie ma w niej naprężenia. Jest tak luźna, jakbym w ogóle nie ciągnął. Tarcie między liną a karabinkami niweluje każdą cząstkę siły, na jaką mogę się zdobyć. Jest zbyt wiele zagięć w systemie, zbyt wiele strat naprężenia. Może przy zastosowaniu bloczków miałbym szanse, ale nie z czymś takim.

Teraz ogarnia mnie zniechęcenie. Kiedy już uświadomiłem sobie wczoraj bezowocność jakichkolwiek prób uwolnienia się za pomocą amputacji i postanowiłem czekać na pomoc, ponowne rozbudzenie nadziei tylko po to, by wyrzec się jej po raz drugi, sprawia, że czuję się absolutnie przybity i załamany. Opadają mi ramiona, gdy uwalniam stopy z pętli i zrywam cały ten system, żeby usiąść w uprząży i odpocząć. Wzdycham raz po raz, zużywając resztki energii na walkę z płaczem. Jestem na granicy całkowitej rezygnacji.

Próbuję wydobyć się z tego stanu skrajnego przygnębienia, wyobrażając sobie przyjaciół w Aspen, którzy wstają tego ranka i idą do pracy, wyobrażam sobie swoich współlokatorów przygotowujących się do pożegnalnego przyjęcia dla naszej koleżanki Leony. Jutro o tej porze dojdą do wniosku, że coś się z pewnością stało, i zaczną się poszukiwania. Moja niemal wyczerpana nadzieja na wybawienie znowu majaczy gdzieś na horyzoncie; sytuacja, w której się obecnie znajduję, nie różni się tak bardzo od wczorajszej. Znowu skupiam się na czekaniu.

Ilekcję patrzę na zegarek i widzę, że duża wskazówka zbliża się do dwunastki, obliczam, ile czasu jestem już uwięziony, począwszy od istotnych momentów w przeszłości. Jednym ze skutków braku snu jest to, że nie potrafię przypomnieć sobie kalkulacji z poprzedniej godziny - muszę bezustannie ponawiać obliczenia. Jest siódma rano, a zatem tkwię w tej pułapce od czterdziestu godzin. Czterdzieści godzin bez snu, czterdzieści godzin bez odpowiedniej ilości jedzenia i wody, czterdzieści godzin dreszczy, czterdzieści godzin stresu, zmęczenia i bólu. Dokładnie dwa dni temu obudziłem się w tylnej części swojego samochodu, gdzie przespałem piątkową noc, i ugotowałem sobie trochę płatków owsianych, a potem zacząłem przygotowywać sprzęt przed wędrowką, którą zaplanowałem.

Pragnienie, które mnie męczy, uparcie kieruje moje myśli ku osiemna-stolitrowemu pojemnikowi z wodą, który kupiłem w Moab, a który, opróżniony tylko w jednej czwartej, znajduje się na pace mojego samochodu. Rozmyślam też o dwóch litrowych butelkach z płynem energetycznym,

172

kupionych w małym sklepie całodobowym w Green River późnym wieczorem w piątek. Leżą na podłodze pod fotelem pasażera razem z grejpfrutami, pomarańczami, babeczkami, burrito i batonami; wszystko powypadało z plastikowych torebek podczas jazdy po wyboistej drodze. Zatrzymuję się na dłużej przy obrazie grejpfrutów na gumowym dywaniku, fantazjując o ich soczystości. Kupiłem te owoce, by je zjeść po wyprawie do kanionu, przewidując, że intensywny wysiłek całodniowej wędrowki spotęguje wrażenie ich soczystości. Przesuwam językiem po podniebieniu, spragniony choć odrobiny jakiegoś płynu. Nie chcąc, by pragnienie mnie pokonało i zmusiło do wypicia resztek wody, otrząsam się z tych marzeń.

Zniecierpliwiony beczynnością, która osacza moje myśli, ponownie zaczynam rozważać i oceniać sytuację. Nie będę już eksperymentował z systemem podnośnikowym. To równie bezsensowne jak obróbka głazu tym nędznym narzędziem z ostrzami. Wydaje się, że to koniec możliwości. Po raz chyba dwudziesty zastanawiam się nad pozostałymi możliwościami, trzymając się uparcie przekonania, że coś pominąłem.

Wciąż do końca nie wyeliminowałem amputacji. Nawet nie próbowałem naciąć sobie wczoraj ręki. Powstrzymałem się nagle. Dlatego że nie byłem odpowiednio przygotowany czy z powodu strachu, że źle się to skończy? Pamiętam, że widok metalowego ostrza na moim nadgarstku zmusił mnie do cofnięcia ręki i wywołał mdłości. Nie jestem też do końca pewien opaski uciskowej, którą wczoraj zrobiłem. Może moje wahanie w tym wypadku oznacza, że powinienem skuteczniej opracować strategię? Wydostanie się z kanionu pieszo - wędrowka wąskim, krętym wąwozem, zjazd przy użyciu liny z wysokości dwudziestu metrów, wreszcie pokonanie na własnych nogach prawie trzynastu kilometrów - i to po przeprowadzeniu całkowitej amputacji - wymaga opaski najwyższej klasy. Ostatecznie jest bez znaczenia, czy uszkodzę sobie

tkankę obciętej kończyny albo pozostałe naczynia krwionośne, zakładając na kikut coś, co będzie pełnić rolę skutecznego krępulca. Główny problem to natychmiastowe wyeliminowanie zagrożenia życia, czyli całkowite zatamowanie krwotoku. Jak więc ulepszyć opaskę, a tym samym cały plan? Wykluczyłem już wężyk od bukłaka - jest zbyt sztywny, by można było zrobić solidny węzeł. Taśma zaś nie jest dostatecznie elastyczna - nie dostosowuje się do kształtów ręki. Martwię się, że nie zdołam zacisnąć jej odpowiednio mocno. Potrzebuję czegoś bardziej giętkiego niż wężyk i bardziej elastycznego niż.. Mam! Elastycz-

173

nego! Izolacja bukłaka jest rozciągliwa i giętka, ale mocna. Doskonale spełni to zadanie. '

Pomysł wzbudza we mnie radość. Wyciągam izolację z plecaka, gdzie powrzucałem wszystko, co pozostało z wczorajszych przygotowań do operacji chirurgicznej. Dlaczego nie przyszło mi to do głowy wcześniej? Posługując się lewą ręką, dwukrotnie owijam czarną cienką powłoką prawe przedramię pięć centymetrów pod łokciem, a potem zaciskam prosty węzeł, ciągnąc jeden koniec zębami, następnie robię podwójny i potrójny węzeł. Biorę karabinek z fioletową naklejką - ten sam, którym posłużyłem się wczoraj - i obracam nim sześć razy, zaciskając opaskę. Materiał ściśle obejmuje przedramię i wrzyna mi się w skórę. Wyciągam włoski spod opaski, ale wciąż boli. Nie wiem dlaczego, ale sprawia mi to zadowolenie; może po prostu zyskuję pewność, że opaska sprawi się jak należy. Widzę, że różowa barwa przedramienia przechodzi z wolna w biel; a skóra między łokciem a opaską rozpala się jasną czerwienią. O tak, to o wiele lepsze niż pomysł z taśmą. Czuję palący ból w ręce, ale nie tłumi on samozadowolenia, które odczuwam. Jestem z siebie dumny, z tego, jak opaska zaciska się na moim ręku. Nie ma to nic wspólnego z masochizmem, to raczej nowa iskierka nadziei. Podjąłem działanie. I sprawia mi to ogromną satysfakcję.

Jestem gotów na następny krok. Wyjmuję multitool i zamiast zużytego pilnika wysuwam z rączki dłuższy z dwóch noży, nie pamiętając o swoim zamiarze użycia ostrzejszej stali. Nie dotykam czubkiem zagłębienia przy ścięgnię, tylko trzymam ostrze płasko, na wyższym odcinku przedramienia. Jakby zaskakując sam siebie, naciskam stal i powoli przesuwam nóż po ciele. Nic się nie dzieje. Hmm. Powtarzając czynność, zwiększam nacisk. Wciąż bez efektu. Ani śladu nacięcia, krwi, niczego. Wyciągam krótsze ostrze i zaczynam energicznie piłować przedramię, a każda bezowocna próba potęguje moją frustrację. Wyczerpany, poddaję się. Gównu! Przeklęte ostrze nie naruszy skóry. Jak, do cholery, mam przerznąć dwie kości nożem, którym nie mogę przeciąć nawet ciała? Do diabła z tym wszystkim.

Rozgoryczony kładę nóż na głazie, wypinam karabinek i rozluźniam opaskę. Po minucie na skórze, w miejscu gdzie podrażniłem ciało ostrzem noża, pojawiają się czerwone linie. Efekt działania słabego krwiobiegu mojej ręki. Te szramy to jedyny ślad moich bezowocnych prób amputowania dłoni.

174

To jest żałosne, Aron; po prostu żałosne.

Znowu czekam.

* * *

Szu, szu, szu. Nad moją głową przelatuje czarny kruk. Sprawdzam godzinę. 8.15 - dokładnie o tej porze wczoraj też widziałem kruka. Zastanawiam się, czy to ten sam. Oczywiście, że tak. Ma prawdopodobnie gniazdo gdzieś w głębi kanionu. Jak niesamowitym zbiegiem okoliczności jest to, że ptak przeleciał w tym miejscu dokładnie o tej samej porze co wczoraj. Wydaje mi się czymś absolutnie nienaturalnym i nieprawdopodobnym, by jakiegokolwiek stworzenie odznaczało się tak wyrafinowanym wyczuciem czasu.

Zapewne światło słoneczne albo temperatura powietrza wywołują jakąś reakcję, która mówi ptakowi, że należy poszukać pożywienia. Nie wiem.

Godzinę później pojawia się - bardziej przewidywalny i nie mniej punktualny - ostry promień blasku słonecznego. Jest 9.35. Wychylam się ku niemu, naprężając mięśnie; dziesięciominutowy rytuał powitalny. Zaszczycony odwiedzinami kruka i świtu uznaję, że poranna rutyna jest zaliczona. I wtedy po raz pierwszy czuję uciskanie pęcherza. Uwalniam się z uprząży, rozpinam spodenki i odwracam się, żeby oddać mocz. Piasek wchłania płyn błyskawicznie, zanim ten utworzy kałużę albo rozbryźnie się na boki. Mocz nie pachnie tak nieprzyjemnie ani nie jest tak ciemny, jak się tego spodziewałem po dwóch dniach, kiedy to nie uroniłem ani kropli. Czując drugi zew natury, opuszczam spodenki. Nie chcę zapaskudzić kanionu, ale nie mam innego wyjścia. Moja troska okazuje się wkrótce przedwczesna. Fałszywy alarm.

Zmęczony stresem, o jaki przyprawiła mnie poranna huśtawka ożywającej i zamierającej nadziei, pozwalam myślom błądzić. Przypominam sobie spotkanie z australijskim wędrowcem, Warrenem MacDonaldem, podczas Banff Mountain Film Festival zeszłego listopada. Pokazywano tam film dokumentalny o wypadku, który przydarzył się Warrenowi na Tasmanii. Stracił w nim obie nogi powyżej kolan. Spotkaliśmy się na kolacji i opowiedział mi o tym wydarzeniu. Pozostawiwszy w obozie swego partnera, poszedł w nocy za potrzebą na drugą stronę koryta rzeki. Załatwił się, a w drodze powrotnej spędził trochę czasu na wspinaczce po głazach obok brzegu. Wtedy właśnie przygniótł go ogromny kamień, miażdżąc

175

mu obie nogi i unieruchamiając w płytkim strumieniu. Zanim jego towarzysz zorientował się w sytuacji, zaczęła się burza, Warren zaś czekał bezradnie na pomoc zalewany wodą, której poziom podnosił się nieubłaganie. Ratownicy potrzebowali dwóch dni, żeby go uwolnić. Podnieśli głaz wielkości samochodu podnośnikiem hydraulicznym. Następnego wieczoru obejrzałem jego film, poruszony do głębi widokiem tego człowieka pod bryłą skały i zdumiony tym, że wyzdrowiał i wrócił w góry. W ciągu dwóch lat, nauczywszy się chodzić z protezami, Warren zdobył Federation, jeden z najwyższych i najbardziej odludnych szczytów na Tasmanii.

Uwięziony w pułapce na dnie kanionu, odczuwam głębokie zrozumienie tego wszystkiego, co przeżył Warren. Uważam za rzecz zabawną, za ironię losu, że po sześciu miesiącach, które upłynęły od naszego spotkania, jestem drugim znanym sobie wyczyńowcem, którego przygniótł głaz. Może byli i inni, nie wiem. Zastanawiam się, jak Warren załatwiał naturalne potrzeby, kiedy był przygnieciony. Zazdroszczę mu szczęścia, że w pobliżu miał towarzysza, który pospieszył na pomoc. Gdybym tylko był tu z kimś jeszcze... Historia Warrena stanowi dla mnie inspirację. Myślę sobie, że jeśli przeżyję ten wypadek w kanionie, to tak jak on będę nadal się wspinał i spędzał jak najwięcej czasu pod gołym niebem. Nie zamierzam grać na fortepianie, jak robiłem to w college'u. No cóż, czasem człowiek ma pecha.

Resztę poranka i wczesne popołudnie spędzam na kilku czynnościach: stoję i siedzę, obtłukuję bez większego przekonania kamień, patrzę w niebo, szukając wczesnych oznak nagłej powodzi, tłukę owady, odliczam minuty i godziny dzielące mnie od następnego łyku wody. Wreszcie nadchodzi trzecia, pora, na którą tak czekałem. To mój drugi „kamień milowy” - koniec drugiego dnia przymusowego pobytu w kanionie.

Wyciągam kamerę z plecaka, zdmuchuję kurz z obiektywu i stawiam sprzęt w odpowiednim miejscu na głazie. To najważniejsze moje działanie tego popołudnia. Przełamuje nudę czekania, ale, niestety, nie mam dobrych wiadomości. Wzdycham i zaczynam mówić.

- Mija czterdziesta ósma godzina. Jest trzecia po południu, poniedziałek. Zostało mi około stu pięćdziesięciu mililitrów wody.

Przerywam i zastanawiam się nad własną obojętną reakcją na to stwierdzenie. W pierwszym dniu uwięzienia odczuwałem więź emocjonalną z tą ilością płynu, jaką jeszcze miałem, jego życiodajna siła stanowiła swoistą

176

pępowinę, która łączyła mnie z przetrwaniem i zmuszała do skrajnej oszczędności. Teraz ten związek został przerwany. W którymś momencie nocy zaczęło się niepostrzeżenie ostatnie odliczanie. Wody jest tak mało, że jej resztką nie ma najmniejszego znaczenia - żadnego wpływu na to, jak długo będę żył. Następnego ranka zapas się wyczerpie. Zaakceptowałem ten fakt, a wraz z tym ustąpił strach, który mnie prześladował, pozostawiając po sobie tylko wrażenie pustki.

Moja następna myśl dotyczy siostry. Patrzę prosto w kamerę, wyobrażając sobie, jak Sonja siedzi w swoim salonie i ogląda w przyszłości to nagranie. Widzę jej twarz i oczy, które spoglądają na mnie jakby przez obiektyw.

- Jestem z ciebie dumny, Sonja. Nie słyszałem cię na żywo, ale wiem od mamy, że zajęłaś bardzo dobre miejsce w zawodach na szczeblu krajowym, że byłaś dziesiąta w kategorii przemówień i debaty. Cholernie dobrze, dziewczyno. Jestem z ciebie bardzo dumny. Nie tylko z tego powodu, chodzi też o to, kim jesteś. Dużo o tym myślałem. Mój przyjaciel z Aspen, Rob, mówił mi kilka... często... kilka razy, co trudno było mi zrozumieć, że „nieważne jest to, co się robi, tylko to, kim się jest”. Wiesz, zabiło mi to ćwieka, bo zawsze uważałem, że to, kim jestem, zależy od tego, co robię. Ze jestem szczęśliwy dzięki temu wszystkiemu, co robiłem, żeby być szczęśliwym. Ale jeśli coś sprawia, że człowiek jest szczęśliwy, to może też sprawić, że jest nieszczęśliwy. Myślę, że właśnie dlatego, z powodu ambicji i energii, która mnie rozpierała... - Przerywa mi powiew wiatru, trzęsę się, mrużąc: „Zimno”, a potem podejmuję: - ...decydowałem się na te wszystkie Wyprawy.

Ten wizualny list do mojej siostry przemienił się w osobiste wyznanie. Choć nie czuję żalu z powodu tego, jak żyłem, staram się przekazać Sonji jakąś radę, która pomoże jej być z sobą szczęśliwą. Jesteśmy podobni pod względem stanowczości, inteligencji i poczucia wewnętrznego współzawodnictwa, które każe nam dążyć do perfekcji. Mam nadzieję, że ona nie wpadnie w pułapkę, w którą ja wpadłem, gdy pozwoliłem, by moje umiejętności tworzenia tego, czego w życiu pragnąłem, przekonały mnie, że „jestem” tylko o tyle, o ile „robię”. Tak, jestem wspinaczem, inżynierem, entuzjastą muzyki, miłośnikiem otwartych przestrzeni. Ale nie tylko; jestem też osobą, która wzbogaca życie innych osób i której życie z kolei jest wzbogacane przez innych, jeśli tylko im na to pozwalam.

- Patrząc wstecz, uważam, że wiele się nauczyłem. A tutaj nauczyłem

177

się między innymi tego, że nie cieszyłem się towarzystwem i obecnością ludzi dostatecznie albo tak bardzo, jak mogłem. Wielu naprawdę dobrych ludzi spędziło ze mną mnóstwo czasu. Bardzo często ignorowałem ich obecność lub umniejszałem jej znaczenie, bo szukałem sensu w swoich doświadczeniach i przeżyciach. Krótko mówiąc, zastanawiam się nad pewnymi sprawami.

Moje niezborne wyjaśnienia uwalniają mnie od poczucia winy wywołanego własnym egoizmem. Przywołanie tych wszystkich wspomnień dodało mi ducha i nawet sprawiło, że się uśmiecham pomimo sytuacji. To, że porzucałem na długo swoich przyjaciół dla samotnych wypraw albo, będąc z nimi, dla chwil samotności, uświadamia mi teraz pewien egotyzm, który budzi moją niechęć. Wspomnienia wywołujące we mnie najgłębszą wdzięczność za to, co mnie w życiu spotkało, to obraz ch&il spędzonych z bliskimi i przyjaciółmi. Zaczynam pojmować beczenną naturę ich obecności, a świadomość, że ta obecność nie zawsze

była dla mnie najważniejsza podczas wspólnie spędzanego czasu, przyprawia mnie o dojmujące przygnębienie.

Mówię też zdawkowo o próbach uwolnienia się z tej pułapki.

- Jeśli chodzi o front działań, kilkakrotnie próbowałem wykorzystać mechanikę, udało mi się nawet stworzyć system podnośnikowy o przełożeniu sześć do jednego - niestety, zbyt duże tarcie. Nie zdołałem nawet napiąć głównej liny - zbyt wiele zagięć. Obtłukłem jeszcze trochę materiału z kamienia. To beznadziejne.

Zmęczenie i brak snu mącą mi umysł; zapominam wspomnieć, że próbowałem odpiłować sobie rękę.

Teraz przechodzę do marnych szans na ratunek z zewnątrz.

- Doszedłem do pewnego punktu, kiedy to uświadomiłem sobie, w jak niewielkim stopniu mogę liczyć na pomoc. Myślę o Leonie, swojej współlokatorce, która troszczy się o mnie tak bardzo jak ktoś z rodziny. Powiedziałem jej, że jadę do Utah. Kiedy nie wrócę dziś wieczorem, będzie wiedziała, że coś się stało. Nawet jeśli natychmiast powiadomi policję, upłyną dwadzieścia cztery godziny, zanim zostanie podjęta jakakolwiek akcja. Wiem też, że pomijając weekendy, kiedy prowadzi się wycieczki do Wielkiej Galerii, istnieją niewielkie szanse na to, by jakiś strażnik parku narodowego chociażby przechodził w pobliżu końca szlaku, niedaleko kanionu Horseshoe, gdzie zaparkowałem samochód.

178

Potrząsając głową, patrzę na swój skrawek nieba, na dno kanionu o szerokości trzydziestu centymetrów, na olinowanie, na wszystko, byle tylko nie spoglądać w posępne odbicie własnej twarzy w obiektywie.

- Brad i Leah oczekiwali ode mnie wiadomości w sobotę, ale kiedy się nie doczekali, nie wzbudziło to pewnie ich niepokoju. Miałem spotkać się z nimi przed imprezą w Gobiin Valley State Park. Wątpię jednak, czy będzie im tak bardzo mnie brakowało, by podjąć działania. Nie wiedzieli zresztą, dokąd się wybieram. Sam tego nie wiedziałem. Czułem się niezwykle podekscytowany, że przekraczam granicę stanu, nie mając pojęcia, dokąd zmierzam albo dokąd się wybiorę w piątek, nie mówiąc już o sobocie. Jezu.

Wiem, że złamałem jedną ze swoich zasad, gdy wybierałem się na tę wyprawę bez szczegółowo opracowanego planu. Teraz płacę zaległy rachunek. Ileż to razy bez konsekwencji wprowadzałem zmiany do planu wyprawy, nikogo o tym nie informując. Tak się działo cały czas. I już się nie powtórzy.

- Mogłem też powiedzieć coś Megan i Kristi, dziewczynom z Outward Bound. Trzeba było z nimi pójść. Po prostu odejść stąd i ruszyć w stronę West Fork.

Znowu potrząsam głową, litując się nad sobą; staram się zapanować nad łzami. Zasłużyłem na to wszystko.

- Boże, naprawdę jestem załatwiony. Uschnę tu w ciągu kilku następnych dni. Gdybym miał jakiś sposób, żeby to zakończyć, to prawdopodobnie bym to zrobił, jutro po południu czy mniej więcej w tym czasie. Jest paskudnie. Jest zimno. Nie mogę ochronić się przed wiatrem. Po prostu wieje. Nie jest szczególnie silny, ale przenika mnie chłodem. Napływa gdzieś stamtąd.

Zarzucam głową nad lewym ramieniem, wskazując kierunek.

- Robię, co mogę, ale to na nic. Jest naprawdę niedobrze. To jedna z najgorszych śmierci. Wiedzieć, co się stanie, ale czekać jeszcze trzy czy cztery dni.

Mój głos przechodzi w chrapliwy szept. Mam nadzieję, że nie przetrwam kolejnych czterech dni. Nie potrafię sobie wyobrazić, w jakim stanie się będę znajdował, jeśli dotrwam do piątku.

Czując ciężar zbliżającego się końca, odwołuję się do logiki i zastanawiam, co zrobić ze swoim dobytkiem. To strasznie ponure, ale wydaje się

179

rzeczą praktyczną poinformować rodzinę o decyzji dotyczącej moich rzeczy, nagrywam więc krótką wersję ostatniej woli i testamentu.

- Chciałem powiedzieć, ze względów praktycznych, że mam ubezpieczenie na karcie American Express, które powinno pokryć koszty transportu ciała, jeśli do tego dojdzie. Saldo na rachunku bankowym powinno pokryć zadłużenie na kartach kredytowych. Tato i mamó, będziecie musieli sprzedać mój dom. Jako ktoś przywiązany do swoich rzeczy, nie wiem, czy Sonja może korzystać z mojego komputera i kamery wideo... w pamięci przenośnej, którą mam w kieszeni, i w aparacie są zdjęcia. Mój przyjaciel Chip z Nowego Meksyku może zatrzymać moje kompakty. Co do sprzętu turystycznego, Sonja, jeśli go chcesz, jeśli będzie na ciebie pasował i zechcesz go używać, to nie mam nic przeciwko temu.

Kończę, walcząc ze łzami. Zatrzymuję kamerę, składam ekran LCD i chowam urządzenie do plecaka. Podpieram głowę ręką i potrząsam nią z przygnębieniem, pociągając nosem, który ocieram dłonią, potem także usta; moje palce przesuwają się po rzęsach, włosy wokół twarzy kleją mi się do górnej wargi i czoła.

Pół godziny później, około 15.35 w poniedziałek, muszę znów się wysuszać. Jak to możliwe - zastanawiam się. To już drugi raz dzisiaj, pomimo faktu, że jestem prawie odwodniony. Co się dzieje?

Zachowaj to, Aron. Nasusiał do bukłaka. Będziesz tego potrzebował.

Słuchając wewnętrznego głosu, sikam do pustego bukłaka, by zachować pomarańczowobrazowy płyn na obrzydliwą, lecz nieuniknioną chwilę, gdy będzie stanowił jedyny napój, jaki mi pozostanie. Trzeba było zachować pierwszą porcję moczu - uświadamiam sobie po fakcie. Był znacznie czystszy i klarowniejszy niż ten i nie cuchnął tak paskudnie. Zastanawiam się, czy powinienem go wypić, czy nie, ale odkładam decyzję na później.

Wyciągam po raz pierwszy aparat fotograficzny i robię serię zdjęć: zbliżenie ramienia znikającego pod głazem, szczegóły systemu linowego, który pozwala mi siedzieć w uprzęży, dwa autoportrety - jeden, na którym patrzę w głąb kanionu, a drugi znad lewego ramienia, wraz z kamieniem. Przeglądając zdjęcia, rzucam przy okazji okiem na te, które zrobiłem podczas dwóch pierwszych dni wakacji na górze Sopris i w okolicach Moab, a potem te z Megan i Kristi, w wyższym odcinku kanionu. Zdjęcia z aniołami.

ROZDZIAŁ Y

Jadę do Utah"

Powiada się, że tym, czego poszukujemy, jest sens życia. Otóż nie sądzę, żebyśmy szukali właśnie tego. Myślę, że tym, o co nam chodzi, jest doświadczenie życia jako takiego, tak, by nasze realne przeżycia na płaszczyźnie czysto fizycznej wywoływały rezonans w głębi naszej najbardziej wewnętrznej istoty i rzeczywistości, byśmy naprawdę doznali upojenia faktem życia.

Joseph Campbell, Potęga mitu, tłum. Ireneusz Kania, Znak, Kraków 1994

Przez całą zimę 2003 roku skupiałem bez reszty uwagę na dziewięciu czterotysięcznikach, które

zdobywałem, tydzień za tygodniem zbierając siły przed kolejną drogą na trudny i wymagający szczyt. Stanowiły pewien cel same w sobie, były wyprawami, które siłą rzeczy sprawiały mi satysfakcję, ale także zapewniały długotrwały fizyczny trening przed wielką wspinaczką na Denali. Wiedziałem dzięki ekspedycji z 2002 roku, że ta licząca ponad sześć tysięcy metrów góra będzie wymagała maksymalnego wysiłku, jeśli pragnę ją zdobyć, a potem zejść na dół. Oznaczało to próbę samotnego wejścia na szczyt w ciągu czterech godzin w temperaturze poniżej trzydziestu stopni Celsjusza i zjazd na nartach. Wraz z końcem zimy dobiegł kresu kolejny wspaniały sezon czterotysięczników, a ja powróciłem do narciarstwa torowego na dzikich stokach.

Podczas ważnej wyprawy, która pomogła mi odzyskać utraconą pewność

181

siebie, jeśli chodzi o lawiny i zdolność właściwej oceny ryzyka, zjeżdżałem na nartach z góry Sopris niedaleko Carbondale w Kolorado z Rickiem Inmanem, swoim przyjacielem ze sklepu. Szusowaliśmy bezpiecznie na umiarkowane trudnych zboczach nad jeziorem Thomas, unikając tych stromych, gdzie niebezpieczeństwo lawiny było większe. Czułem się wspaniale, uwolniony od ryzykanckich zachcianek, które zaledwie miesiąc wcześniej, na górze Resolution, wpakowały mnie i moich dwóch towarzyszy w takie kłopoty.

Pod koniec marca Gareth Roberts i ja mieliśmy współzawodniczyć w Elk Mountain Grand Traverse, niemal siedemdziesięciokilometrowym biegu tourowym z Crested Butte do Aspen. By zbadać wcześniej trasę, zdecydowałem się na samotny objazd szczytu Star niedaleko Aspen, narciarską wyprawę tourową na dystansie czterdziestu kilometrów. Chcąc wypróbować sprzęt, który zamierzałem wykorzystać podczas biegu, wybrałem rankiem narty o metalowych krawędziach, niewy-magające smarowania woskiem, i punkt dwunasta wystartowałem z Ashcroft Ski Touring Center. Przed zmrokiem pokonałem prawie trzydzieści kilometrów przez trzy przełęcze, a kiedy się ściemniło i widoczność z powodu zawiei spadła do zera, znalazłem się w Pearl Pass. Dotarłem do połowy Pearl Basin, terenu zagrożonego lawiną, starając się unikać niebezpiecznych miejsc, ale w rzeczywistości kręciłem się w kółko. Ile razy miałem przekonywać samego siebie, że kompas nie kłamie? Zagubiony w ciemności powyżej linii drzew, w samym środku burzy śnieżnej, doszedłem do wniosku, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie wykopanie jamy.

Po trzech próbach znalazłem miejsce z odpowiednio zwartym i głębokim śniegiem, by móc wykopać schronienie na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów. Siedziałem w nim przez pięć godzin i co dwadzieścia czy trzydzieści minut wysuwałem na zewnątrz głowę, wypatrując gwiazd, wierzchołków gór, doliny albo drzew, czegokolwiek, co by mi pozwoliło nawigować przy użyciu mapy. Miałem do wyboru trzy okoliczne doliny, z których dwie były porośnięte drzewami i praktycznie pozbawione widocznych szlaków. Lepiej było poczekać do chwili, gdy mógłbym dokładnie określić swoją pozycję, a potem znaleźć dolinę z wytyczoną przez las drogą. Około trzeciej nad ranem burza uspokoiła się na tyle, że byłem w stanie dostrzec jakiś szczyt na wysokości stu czy stu pięćdziesięciu metrów, po czym wy-

182

ruszyłem w drogę po świeżym śniegu, trzymając się z dala od bardziej stromych stoków. W domu byłem o piątej, wziąłem prysznic, uciąłem sobie drzemkę i dotarłem do pracy z kilkuminutowym opóźnieniem. Przeprosiłem szefa, Briona Aftera. Swoje wyjaśnienia uznałem za niezwykle sensowne.

Wyścig okazał się bardzo trudnym przedsięwzięciem; czterdzieści procent zespołów odpadło w połowie trasy z powodu dużego mrozu, a potem z powodu silnego wiatru. Zimno i burza były przyczyną poważnych odmrożeń u dwunastu uczestników, nie wspominając już o nieudanych próbach założenia fok na narty, połamanym sprzęcie czy, jak przekonał się mój partner Gareth, zamrożniętej na kamień wodzie. Wypełnione

lodem bukłaki były nie tylko zbędnym obciążeniem - wielu uczestników cierpiało na bardzo groźne odwodnienie. Mniej więcej w połowie biegu wraz z Garethem jako ostatni zespół minęliśmy punkt kontrolny Friends Hut, zaliczywszy okrążenie przed wyznaczonym czasem. Biegliśmy przez osiem godzin w temperaturze minus osiemnaście stopni, na dystansie dwudziestu ośmiu kilometrów, z dwuminutowym zapasem. Dziewięć i pół godziny później dojechaliśmy do mety na sześćdziesiątym miejscu, wyprzedzając na finiszu tylko dwa zespoły (jedna para spędziła noc pod gołym niebem, zboczywszy z trasy biegu o kilka kilometrów i nie mogąc skorygować błędu aż do rana). Zjeżdżając ze zbocza góry Aspen przy akompaniamencie dopingu żony Garetha i kilkunastu kibiców, przygięliśmy kolana w stylu wolnym, żeby pokazać, że wciąż się doskonale bawimy. Przekroczyliśmy linię mety w blasku fleszy, pochyliliśmy głowy, żeby przyjąć medale, a potem, śmiejąc się, unieśliśmy zimne butelki piwa. Czuliśmy się tak, jakbyśmy wygrali ten bieg. W rzeczywistości zwycięskie zespoły ukończyły go ponad dziewięć godzin przed nami; zawodnicy mieli dość czasu, żeby wziąć prysznic i wyspać się, zanim dobrnęliśmy do mety. Pewnie dlatego zjawili się wszyscy na ceremonii zakończenia, po której zmyśliśmy się, by świętować we własnym gronie przy hamburgerach i piwie u Little Annie.

Dwa tygodnie później wybrałem się na samotną wyprawę na Cathedral; wszedłem na szczyt i przemierzyłem na nartach żleb przy południowej grani. Zdobywszy latem 2001 wszystkie czterotysięczniki, obniżyłem

183

poprzeczkę wysokości i dodałem do swojej listy kolejnych sześćdziesiąt szczytów, tworząc własną wersję Stuletnich Szczytów - stu najwyższych szczytów w Kolorado, Stuletnim Stanie. Zdobyłem pięćdziesiąt z tych gór w 2002 roku, co dawało łącznie sto dziewięć spośród stu dziewiętnastu wierzchołków wysokości ponad 4200 m n.p.m. Cathedral był następnym na liście i stał się moim sto dziesiątym wysokim szczytem na terenie stanu. Stojąc na nim, spoglądałem na Highland Ridge przecinającą Conundrum Creek Valley. Tę długą na prawie trzysta kilometrów grań o piątym stopniu trudności planowałem pokonać w maju, nagrałem też na wideo sprawozdanie z tego rekonesansu.

Zjazd z Cathedral był jednym z najtrudniejszych wyczynów narciarskich, jakich się kiedykolwiek podjąłem. Stupięćdziesięciodwumetrowy żleb o nachyleniu pięćdziesięciu stopni miał na całej długości szerokość tylko trzech metrów. Na szczęście śnieg zmiękł w słońcu, więc bez trudu pokonałem kilkadziesiąt skrętów na najbardziej wymagających odcinkach, a potem odpocząłem na mniej nachylonym zboczu. Przejechałem obok Pine Creek Cookhouse w Ashcroft o trzeciej po południu, jako jeden z ostatnich ludzi, którzy widzieli ten niezamieszkały budynek, zanim zapalił się (z powodu eksplozji gazu) i spłonął do szczytu w czterdzieści pięć minut. Kiedy wracałem samochodem do miasta, zdziwił mnie widok pędzących na sygnale po Castle Creek Road wozów strażackich; dopiero nazajutrz rano przeczytałem w gazetach o tym, co się wydarzyło.

17 kwietnia zjechałem na nartach na dno Conundrum Basin niedaleko Aspen. Rano wszedłem na Castleabra Point (mój sto jedenasty ze Stuletnich Szczytów) wysokości 4200 m n.p.m. i jeździłem do południa w kotle. Jeśli chodzi o wspinaczkę i jazdę na nartach w Conundrum Basin, największą atrakcją są naturalne gorące źródła o temperaturze czterdziestu stopni Celsjusza na wysokości trzech tysięcy czterystu metrów. Można się rozebrać i wskoczyć do wody, choć człowiek znajduje się w odległości trzynastu kilometrów od swojego samochodu.

Następnego dnia wraz z koleżanką z zespołu Denali, Janet Lightburn, weszliśmy na szczyt Quandary drogą żlebu Cristo. Zjechałem z wierzchołka telemarkiem na przygiętych kolanach i za pomocą sprzętu

wspinaczkowego, ponieważ zerwało się jedno z moich tylnych wiązań. Była to niebezpieczna jazda na odcinku prawie tysiąca metrów, potwierdzająca moje umiejętności narciarskie, które pozwoliły mi na niezwykle i niekon-

184

wencjonalne połączenie techniki i sprzętu. Wróciłem tego wieczora do Aspen, a ponieważ nie musiałem iść do pracy aż do trzynastej w sobotę, rano poszedłem pobiegać. Chcąc pokonać maratoński dystans ponad czterdziestu jeden kilometrów, przebiegłem z mojego domu w Aspen do Snowmass i z powrotem w czasie nieco dłuższym niż trzy i pół godziny, przebijając się przez głęboki śnieg na dwóch kilometrowych odcinkach. Potem przepracowałem osiem godzin na swojej zmianie. Analizując to, czego zdołałem dokonać w ciągu ostatnich sześćdziesięciu godzin -ponad osiemdziesiąt kilometrów na nartach, pieszo i biegiem, do tego trzy tysiące metrów wspinaczki - czułem się przygotowany do wyprawy na Alaskę. To, że znajdowałem się w szczytowej formie fizycznej, jak nigdy w życiu, miało odegrać nieoczekiwaną rolę podczas kolejnej wędrówki.

Umówiłem się na spotkanie z dwójgim przyjaciół mojego mentora od wspinaczki, Gary'ego Scotta. Dianne i Wolfgang Stillerowie chcieli zdobyć Cross Couloir na górze Holy Cross, efektowny i stromy kuluar, który dociera do szczytu na wysokości 4268 m n.p.m. Zaplanowaliśmy dwupół-dniową wspinaczkę, w tym także podejście na nartach torowych na dystansie około dwudziestu kilometrów. Miała to być nasza pierwsza wspólna wyprawa i gdyby wszystko poszło dobrze, planowaliśmy zdobyć grań Liberty na górze Rainier. Jednak burza, typowa dla późnej zimy, przeszkodziła nam dzień wcześniej - zbocza pokryła dwudziestocentymetrowa warstwa śniegu. Wiedzieliśmy, że w sytuacji, gdy znacznie wzrosło zagrożenie lawinowe, przebywanie w wąskim kuluarze byłoby jednoznaczne ze zdaniem się na łaskę gór. Gdyby doszło do najgorszego, naszą trójkę porwałoby ze zbocza i cisnęło w trzystumetrowy wir kłębiących się czekanów, skał, raków i szabli śnieżnych, a potem rzuciło z urwiska, które przecinało dno kuluaru. Nie chodziło o to, czybyśmy przeżyli, tylko o to, czy nasze rodziny potrafiłyby nas rozpoznać, gdybyśmy przeszli przez tę maszynkę do mięsa.

Decyzja nie była trudna. Dianne i Wolfgang zgadzali się całkowicie, że to nie ma sensu, i postanowiliśmy spróbować ponownie w czerwcu. Wiedzieli, że specjalnie zwolniłem się z pracy, żeby odbyć tę wyprawę w kwietniu, i zaczęli mnie gorąco przeproszać. Nie miałem do nich żadnych pretensji.

- W gruncie rzeczy szef powiedział mi wczoraj, że mam wolne do

185

wtorku, więc czekają mnie teraz pięciodniowe wakacje. Jutro wchodzę z przyjacielem na górę Sopris. Myślałem też ostatnio o pustyni. Mogę wybrać się na jakiś czas w okolice Moab, żeby odpocząć od gór.

Przekonałem się rok wcześniej, że kiedy się spędza czerwiec na Alasce, obozuje na lodowcach, kopie jamy śnieżne i wspina na oblodzone strome ściany, to ma się znacznie mniej czasu na to, by cieszyć się aktywnością podczas lata. Kiedy nadarzyła się okazja wyprawy do Utah, liczyłem na to, że uda mi się trochę rozerwać. Dianne i Wolfgang życzyli mi bezpiecznych wypraw, a ja podziękowałem im za towarzystwo. Musiałem jeszcze spakować rzeczy - w tym sprzęt rowerowy i wspinaczkowy, a także przewodniki po Utah - i iść do łóżka. Umówiłem się ze swoim przyjacielem Bradem Yule'em o trzeciej rano na spotkanie przed wyprawą na Sopris, więc musiałem się trochę przespać.

Kiedy się pakowałem, z wieczoru na mieście wróciła Leona.

- Dokąd się wybierasz tym razem? - spytała, radośnie wstawiona po kilku godzinach spędzonych w

miejscowych barach.

- Pojeździć na nartach na Sopris.
- I chcesz wziąć to wszystko?

Na środku pokoju piętrzyły się moje torby ze sprzętem wspinaczkowym i rowerowym, śpiwór i plecaki.

- Jadę do Utah - wyjaśniłem. - Nie wiem jeszcze, co tam będę robił. Z wyprawy na Holy Cross nic nie wyszło.
- Och, to kiepsko.
- E, nie tak bardzo. Od dawna chciałem się wybrać na pustynię i trochę rozgrzać. Pojeździć na rowerze po górach, zaliczyć kilka kanionów. Brad powiedział mi o imprezie w sobotę w Gobiin Valley. Może uda mi się tam wpaść. Chyba paru ludzi z miasta chce sobie poszaleć przez weekend.

Ostatnie tereny narciarskie w Aspen zamknięto w poniedziałek, co było oficjalnym sygnałem dla mieszkańców, że czas zacząć posezonową emigrację do egzotycznych krain na całym globie. Mieszkańcy nieczęsto opuszczają doliny podczas sezonu z powodu pracy i narciarstwa - prawdę powiedziawszy, trzydzieści kilometrów do pobliskiego Basalt to cała wyprawa. Jednak od późnego kwietnia do końca maja, kiedy zarząd dróg udostępnia przełęcz Independence, rytm życia w mieście zwalnia i ludzie odlatują do cieplejszych klimatów Meksyku, Tajlandii, Bahamów i Utah.

186

Nadszedł czas, bym i ja przyłączył się do tych wędrownych stad, odbywszy jeszcze jedną wyprawę narciarską.

* * *

Tej samej nocy, około czwartej rano, Brad podskakiwał na fotelu pasażera, kiedy przedzieralem się swoim pikapem przez półmetrowe zaspy na drodze dojazdowej do góry Sopris. Przypominało to turystyczną atrakcję w postaci jazdy terenówką; śnieg tryskał spod kół, a my szczyrzyliśmy się od ucha do ucha. Byliśmy przyjemnie zaskoczeni, że możemy dotrzeć samochodem na sam koniec szlaku tak wczesną wiosną. Rozładowaliśmy po ciemku sprzęt, a potem dźwigaliśmy go na zmianę przez sześć i pół kilometra dzielące nas od Thomas Lakes, tej samej okolicy, gdzie byłem miesiąc wcześniej ze swoim przyjacielem Rickiem. Świt nad zamrzniętym dolnym jeziorem zaczął się około wpół do szóstej, a nad linią drzew ukazały się stoki niedostępne dla nas z powodu pogody. Pomimo kiepskich warunków i zwiększonego zagrożenia lawinowego w związku z opadami poprzedniego dnia nie martwiłem się, że jestem na tym odludziu. Byłem gotów zawrócić i dać sobie spokój, gdyby niebezpieczeństwo zejścia lawiny w kotle okazało się zbyt duże. Wiedziałem też, że Brad postąpi tak samo.

Niezwykłą cechą Sopris są dwa bliźniacze szczyty, oddalone od siebie mniej więcej o kilometr, oba identycznej wysokości 3960 m n.p.m. Wybraliśmy bezpieczną drogę na wschodni wierzchołek i podeszliśmy ponad jeziorami do stromej grani, znajdującej się od strony północnej. Widoczność była ograniczona do trzech metrów, a cienka pokrywa śniegu wykluczała wejście na nartach, więc zostawiliśmy sprzęt (moje deski i snowboard Brada) na wysokości około trzech tysięcy sześciuset metrów. Wchodząc w gęste chmury, straciliśmy wycucie głębokości w mglistym całunie, który zamienił ziemię i niebo w brudnobiałą ścianę przed czubkami naszych nosów. Prowadziłem po ubitym śniegu niemal na ślepo, wykopując butami

stopieńki, podczas gdy zawieja zakrywała szczyt nawisu. Brad miał znacznie gorzej ode mnie, ponieważ wchodził w miękkich butach snowboardowych, ale pożyczyłem mu swój czekan, więc szybko dotarł do nawisu. Weszliśmy na wschodni szczyt jednocześnie, o 8.30 rano. Zrobiłem nam zdjęcie, jak śmiejemy się z oszronionej bródki Brada.

Jeden za drugim wróciliśmy do miejsca, w którym zostawiliśmy narty, i zjechaliśmy po stromej flance grani do kotła, napotykając swoje ślady

187

Nadszedł czas, bym i ja przyłączył się do tych wędrownych stad, odbywszy jeszcze jedną wyprawę narciarską.

Tej samej nocy, około czwartej rano, Brad podskakiwał na fotelu pasażera, kiedy przedzierałem się swoim pikapem przez półmetrowe zaspy na drodze dojazdowej do góry Sopris. Przypominało to turystyczną atrakcję w postaci jazdy terenówką; śnieg tryskał spod kół, a my szczyrzyliśmy się od ucha do ucha. Byliśmy przyjemnie zaskoczeni, że możemy dotrzeć samochodem na sam koniec szlaku tak wczesną wiosną. Rozładowaliśmy po ciemku sprzęt, a potem dźwigaliśmy go na zmianę przez sześć i pół kilometra dzielące nas od Thomas Lakes, tej samej okolicy, gdzie byłem miesiąc wcześniej ze swoim przyjacielem Rickiem. Świt nad zamrzniętym dolnym jeziorem zaczął się około wpół do szóstej, a nad linią drzew ukazały się stoki niedostępne dla nas z powodu pogody. Pomimo kiepskich warunków i zwiększonego zagrożenia lawinowego w związku z opadami poprzedniego dnia nie martwiłem się, że jestem na tym odludziu. Byłem gotów zawrócić i dać sobie spokój, gdyby niebezpieczeństwo zejścia lawiny w kotle okazało się zbyt duże. Wiedziałem też, że Brad postąpi tak samo.

Niezwykłą cechą Sopris są dwa bliźniacze szczyty, oddalone od siebie mniej więcej o kilometr, oba identycznej wysokości 3960 m n.p.m. Wybraliśmy bezpieczną drogę na wschodni wierzchołek i podeszliśmy ponad jeziorami do stromej grani, znajdującej się od strony północnej. Widoczność była ograniczona do trzech metrów, a cienka pokrywa śniegu wykluczała wejście na nartach, więc zostawiliśmy sprzęt (moje deski i snowboard Brada) na wysokości około trzech tysięcy sześciuset metrów. Wchodząc w gęste chmury, straciliśmy wyczuwanie głębokości w mglistym całunieniu, który zamienił ziemię i niebo w brudnobiałą ścianę przed czubkami naszych nosów. Prowadziłem po ubitym śniegu niemal na ślepo, wykopując butami stopieńki, podczas gdy zawieja zakrywała szczyt nawisu. Brad miał znacznie gorzej ode mnie, ponieważ wchodził w miękkich butach snowboardowych, ale pożyczyłem mu swój czekan, więc szybko dotarł do nawisu. Weszliśmy na wschodni szczyt jednocześnie, o 8.30 rano. Zrobiłem nam zdjęcie, jak śmiejemy się z oszronionej bródki Brada.

Jeden za drugim wróciliśmy do miejsca, w którym zostawiliśmy narty, i zjechaliśmy po stromej flance grani do kotła, napotykając swoje ślady

187

z wchodzenia na szczyt. Nowy śnieg związał się dobrze ze starymi warstwami i doszliśmy do wniosku, że kocioł jest wart wypróbowania. Po wykopaniu jamy zrezygnowaliśmy ze zjazdu żlebem uformowanym przez dwie skalne turnie pośrodku kotła, postanowiliśmy natomiast zrobić dwa okrążenia aż na jego brzeg. Kiedy chmury rozwiały się późnym rankiem, zaczęliśmy jeździć po zboczu, pozostawiając ślady na obszarze szerokim na czterysta metrów. Przez dwie godziny muskaliśmy śnieg w Thomas Lakes Bowl nartami i snowboardem, naznaczając zbocze, nim usiedliśmy, żeby posilić się owocowymi batonami Brada. Ten smakołyk jak najbardziej pasował do sytuacji - śmialiśmy się jak dzieci, uradowani zabawą, która nam się

trafiła.

Popołudniowe słońce zamieniło śnieg w breję, kiedy wracaliśmy do samochodu. Było tak ciepło, że parking i droga pokryły się grubą warstwą błota. Koła pikapu ślizgały się w koleinach, które pozostawiłem w nawierzchni, jadąc tu przed świtem; groziło to wypadnięciem z wąskiego traktu i kolejną porcją emocji. Mijaliśmy już niemal odcinek rozmiękłego śniegu, kiedy popełniłem błąd i wylecieliśmy z kolein; ledwie zatrzymałem samochód - wylądował bokiem w podmokłym lesie. Brad zawyrokował, że z moim napędem na cztery koła jest coś nie tak, gdyż w przeciwnym razie potrafiłbym zapanować nad wozem; miękkie błoto i śnieg pokrywający grubą warstwę lodu unieruchomiły nas na półtorej godziny - koła obracały się w miejscu - dopóki nie zjawiała się dziewczyna Brada, Leah, z liną i wyciągarką (dzięki Bogu za telefony komórkowe). Założyliśmy moje łańcuchy na opony w samochodzie Brada, zaczepiliśmy linę i naciskając jednocześnie pedały gazu w obu wozach, uwolniliśmy mój pojazd.

Ustaliliśmy, że w sobotę zadzwonię do Brada, a on powie mi dokładnie, jak dotrzeć na imprezę w Gobiin Valley. Potem moi towarzysze ruszyli w stronę Silverton przez przełęcz McClure, a ja do Glenwood Springs, bardziej na zachód. Jechałem przez trzy godziny autostradą, szukając w przewodnikach informacji o kanionach niedaleko Moab i Green River. Rozważałem różne trasy i doszedłem do wniosku, że rankiem wybiorę się na wyprawę rowerową szlakiem Slick Trawi, a potem, w niedzielę, wyruszę do kanionów, a stamtąd na imprezę pustynną w Gobiin Valley. Osiem kilometrów za Thompson Springs zjechałem z autostrady na parking i zostawiłem wóz w najciemniejszym miejscu, za wysokimi latarniami, które oświetlały sześć starannie przyciętych jądłoszynów niedaleko wiat dla

188

zmotoryzowanych turystów. Rozłożyłem śpiwór na pace i wpełzłem do niego, mając jeszcze na tyle przytomności, by zdjąć szkła kontaktowe, a potem zapadłem w sen.

W piątek rano przejechałem około pięćdziesięciu kilometrów na południe z myślą o całodniowej wyprawie rowerowej szlakiem Slick Rock Trail. Jest to jedna z najpopularniejszych tras rowerowych w Utah - prawie dwadzieścia kilometrów wymagającego kamienistego terenu z nielicznymi pułapkami piaszkowymi, wiele miejsc, skąd można podziwiać rozległy widok na kaniony Colorado River, wreszcie bliskość centrum Moab. Roześmiałem się na widok swojego samochodu na parkingu przy trasie rowerowej, z nartami na bagażniku i bez jednego płotka śniegu na karoserii.

Wyruszywszy samotnie, dogoniłem wkrótce grupę czterech wytrawnych rowerzystów i towarzyszyłem im w trakcie rozgrzewki. Niebawem wybrali wyjątkowo trudną technicznie trasę, całkowicie poza moimi możliwościami. Wjeżdżając ostro na trzymetrową płytę skalną, niemal pionową, spadłem bokiem z roweru. Zdążyłem jednak wypiąć się z pedałów i uniknąć kompromitującego upadku. Po raz pierwszy zaatakowałem piaskowiec i przekonałem się, jak dużo jeszcze muszę się nauczyć, skoro nie potrafiłem sobie poradzić z tuzinem problemów o niezbyt wysokim stopniu trudności. Na szczęście za każdym razem uciekałem przed narowistym rowerem.

Skupiłem się na doskonaleniu umiejętności, powtarzając pewne manewry trzy albo cztery razy, żeby w końcu wykonywać je prawidłowo. Naśladowując technikę lepszych od siebie rowerzystów w rywalizacji ze stromą piętnastometrową kopułą z piaskowca, stanąłem na pedałach i oparłem się całym ciężarem ciała na kierownicy, naciskając amortyzator na przednim widelcu. Nie mogłem uwierzyć, że koła się nie ślizgają, dzięki czemu można uniknąć wywrotki. Pedalując z całych sił na najniższym biegu, wspinałem się z uporem po piaskowcu, wiedząc doskonale, że w razie upadku wyląduję kroczeniem na kierownicy. Dysząc złakniony tlenu, poczułem, że tracę przyspieszenie, podczas gdy moje nogi niemal krzyczały z furii, ale zrobiłem jeszcze

kilka obrotów i opadłem na siodełko na szczycie kopuły.

Po pewnym czasie potrafiłem wykonywać bez trudu nawet skomplikowane manewry, bez wypinania się z pedałów. Jak można się spodziewać,

189

M

kiedy już nabrałem niezwykłej pewności siebie, dostałem brutalną lekcję pokory. Wjechałem w piaskową pułapkę zbyt wychylony do przodu. Zamrugałem ze zdumienia i w chwilę później, gdy otworzyłem oczy, leżałem płasko na brzuchu z nosem zanurzonym w piasku. Rower przygniatał mi nogi, plecy i szyję, a kierownica naciskała potylicę. Próbowałem się wydostać, ale nogi miałem skręcone, prawa stopa wciąż była przytwierdzona do pedału. Zostałem rzucony na matę przez dwukołowego mistrza zapaśniczego.

Gwałtownym wybuchem śmiechu wznieciłem chmurę piasku wokół twarzy, a do spoconych policzków przylgnęły mi ostre ziarenka. Nie mogłem się zdecydować, czy większą ulgę sprawia mi fakt, że nikt nie widział mojej wywrotki, czy też to, że nikt prócz mnie nie śmieje się z wyrazu osłupienia na mojej twarzy.

Podniecony i wyczerpany po całym dniu usiadłem w samochodzie i zajrzałem do przewodnika, żeby poczytać o Negro Bill Canyon. Wystarczyło przejść nieco ponad trzy kilometry, by dotrzeć do naturalnego mostu skalnego, szóstego pod względem długości w Stanach Zjednoczonych. Miałem dość czasu, żeby dostać się tam jeszcze przed zmrokiem, kiedy światło jest najlepsze, jeśli chodzi o zdjęcia.

Podczas poprzednich wypraw do Utah pokonywałem na rowerze górskim trasy długości stu sześćdziesięciu kilometrów i przemierzałem pieszo długie na sześćdziesiąt parę kilometrów kaniony w ciągu jednego dnia. Choć uważałem, że fizyczne wyzwanie tych wypraw jest atrakcją samą w sobie, zawsze zabierałem ze sobą sprzęt fotograficzny, żeby uwiecznić marsjański krajobraz, surrealistyczne kształty, wabiące kolory i ukryte skarby pod postacią petroglifów i budowli dawno wymarłych indiańskich kultur. Owocem ekspedycji do kanionu Negro Bill były zdjęcia trasy biegnącej brzegiem strumienia i samego mostu. Do moich ulubionych należy obraz lazurowego nieba i rudawobrązowych pustynnych ścian, odbijających się w nieruchomej tafli stawu otoczonego przez zielone trzciny i wysokie trawy. Byłem zadowolony, że odbyłem tę wyprawę, ale mój fotograficzny apetyt tylko się zaostrzył. Chciałem zejść do wąskiego kanionu i obejrzeć petroglify.

Wybrałem już cel swojej sobotniej przygody - rejon Robbers Roost na wschód od Hanksville - ale nie zdecydowałem się jeszcze na konkretny kanion. Pragnąłem to zorganizować tak, żeby zdążyć na spotkanie w sobotę wieczorem, a Roost nadawało się do tego znakomicie - dwie godziny

190

drogi od Moab i dwie godziny od Gobiin Valley. Ponieważ wiedziałem, że przez dwa najbliższe dni nie znajdę się w pobliżu jakiegokolwiek sklepu spożywczego czy całodobowego, musiałem zrobić zapasy wody i jedzenia przed porzuceniem cywilizacji na czas weekendu. Żeby więc nie zabierać ze sobą całego przewodnika, skopiowałem strony dotyczące trzech kanionów w rejonie Robbers Roost, tych, które miały najbardziej wąskie odcinki i zapewniały możliwość napotkania petroglifów. Po napełnieniu baku samochodu byłem gotów na dłuższy pustynny wypad. Wyjechałem z Moab późnym popołudniem, kierując się na północ, w stronę trasy mię-dzystanowej. Włączyłem tempomat i zacząłem przeglądać fotokopie stron poświęconych kanionom. Łącząc dwa opisy sąsiednich kanionów, opracowałem wyjątkową trasę: najpierw dwadzieścia cztery kilometry rowerem od samochodu do granicy Parku Narodowego Kanionów, potem wędrówka dwoma wąskimi i głębokimi wąwozami, dwudziestometrowe zejście przy użyciu liny, wreszcie dotarcie do zbiegu z Horseshoe Canyon, gdzie znajdują się alkowy z petroglifami Wielkiej Galerii, na koniec

powrót do samochodu. Jeden dzień i dystans czterdziestu ośmiu kilometrów. Obliczyłem, że jeśli wyruszę przed dziewiątą rano, to zakończę wyprawę przed piątą po południu.

Po przejechaniu dwustu sześćdziesięciu kilometrów trasą 1-70 skręciłem w stronę Green River, zwracając przy okazji uwagę na tablicę ostrzegającą podróżnych, że następna stacja benzynowa i sklep spożywczy znajdują się w odległości 176 kilometrów na zachód. Zatrzymałem się przy sklepie całodobowym w Green River, zastanawiając się, czy zadzwonić do Brada i Leah, żeby ostatecznie potwierdzić, że będę na imprezie w Gobiin Valley. Było późno, więc zrezygnowałem z tego pomysłu, zakładając, że skontaktuję się z nimi z Hanksville następnego dnia po południu. Wiedziałem, że Brad wstanie wcześniej rano, żeby pojechać na nartach; nie chciałem ich budzić. Kupiłem dwie butelki Gatorade i zacząłem jeździć tam i z powrotem po głównej ulicy miasta, aż znalazłem drogę dojazdową na południe.

Na południowo-wschodnim krańcu Green River mijam pusty parking z żółtym aluminiowym budynkiem, siedzibę biura szeryfa okręgu Emery. Po skręcie w prawo w Airport Road przejeżdżam pod wiaduktem i zanu-

191

rzam się w krajobraz mroku. Nawet pojedyncze światełko nie przebija absolutnej ciemności na pustyni San Rafael.

Przejeżdżam po chwastach, które z uporem porastają pozbawioną pasów drogę o zniszczonej nawierzchni, i zastanawiam się, czy obecność zielska to nieustępliwość życia, czy też niedbalstwo tutejszych władz. Zwalniam przed skrzyżowaniem i skręcam w lewo, w splantowaną polną drogę, która prowadzi do Roost. Jest po dziesiątej wieczorem. Znak Biura Zarządu Ziemi wskazuje, że szlak, który wiedzie do kanionu Horseshoe, prowadzi na długości siedemdziesięciu pięciu kilometrów przez pustynną ciemność. Koła samochodu miażdżą toczący się po nawierzchni szarłat. Mijam trójkątny żółty znak ostrzegawczy - DROGA MOŻE BYĆ NIEPRZEJEZDNA Z POWODU BURZ. Mam wrażenie, że zmierzam donikąd. Widzę w świetle reflektorów zające, które wpadają na trakt, ścigają się ze mną, umykają to w lewo, to w prawo, a potem gnają wprost przed kołami, by wreszcie zniknąć pośród nieużytków na poboczu.

Jadąc z dużą prędkością, docieram do krawędzi jakiegoś wgłębienia i nagle strumienie światel z moich reflektorów wpadają do wyschniętego potoku o stromych ścianach; niewiele brakowało, bym poleciał w dół, ale skręcam na ślepo w lewą stronę i znów jestem na drodze. Tył wozu wściekle zarzuca po raz pierwszy i od tej chwili będzie się to powtarzać często. Dziesiątki zakrętów, gwałtownych spadków i piaszczystych odcinków próbują wyrzucić mój samochód z drogi jak z katapulty, ale zawsze udaje mi się skorygować tor jazdy i wyjść z opresji. Czuję się jak na rajdzie terenowym; zarzuca mnie na wirażach, koła wzbijają tumany kurzu, przyspieszam na prostych odcinkach, podskakuję na garbach. W kabinie fruują przedmioty, a rockowa muzyka w radiu przyspiesza mi puls. Przypomina to szaloną jazdę pana Ropucha. Mam włączone długie światła, które pomagają mi przewidzieć krzywizny drogi kryjące się za wzniesieniami, ale niewiele dają. Mógłbym zwolnić, tylko że i tak jadę ze średnią prędkością zaledwie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę; jestem zmęczony i chcę się położyć spać przed północą.

W lewym oknie dostrzegam wyraźną konstelację Perseusza. Z wyjątkiem jednego wąwozu, jak podejrzewam wyschniętego odpływu rzeki San Rafael, nie ma nigdzie drzew i tylko rzadkie kępy trawy osiągną wysokość większą niż kilkanaście centymetrów. W pewnym momencie przejeżdżam przez furtkę w ogrodzeniu, obok zapory dla bydła - jasnożółte słupki na

192

drodze zostały niedawno pomalowane, co dowodzi, że ktoś wciąż korzysta z tej ziemi. Nadal jednak nie widać żadnych świateł, które przełamałyby czar pustki, rzucany przez noc na tę jałową krainę. W świetle reflektorów miga butelka po piwie. Nie skręcam, by ją ominąć. Przednia opona najeżdża na szyjkę, butelka podskakuje i uderza o podwozie samochodu. Myślę sobie: „Hayduke był tutaj”, przypominając sobie ekoprotagonistę z książki Edwarda Abbeya The Monkeywrench Gang, który w proteście przeciwko istnieniu dróg ciskał w nie butelkami po piwie.

Od czasu do czasu mój pikap przejeżdża po żłobkowanych płytach z piaskowca na powierzchni drogi, gdzie równiarki zniwelowały skalne garby. Maszyny zepchnęły na pobocza zwały ziemi, które nie pozwalają reflektorom wozu sięgnąć pustyni. Przelatuję nad krawędzią następnego garbu z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, by napotkać kolejny zakręt i nacisnąć z całej siły hamulec. Ograniczam gwałtownie prędkość, pokonuję zakręt i wrzucam czwórkę na prostym odcinku drogi. Bez wahania zwiększam obroty silnika i pędzę przez szkieletowy las pustynnej roślinności i ciemność.

Znowu zając.

Znowu ogrodzenie.

Znowu zakręt.

Nagle przelatuje obok mnie mały brązowy znak, który wskazuje drogę na Horseshoe Canyon. Zatrzymuję się i cofam, a potem skręcam w lewo i wjeżdżam na znacznie bardziej wyboistą drogę ku parkingowi na ubitej ziemi. Są tu trzy inne samochody i dwa obozowiska pomimo licznych tablic z informacją, że nie wolno tu biwakować. Skręcam i znajduję płaskie i równe miejsce obok innej tablicy - „Witamy turystów odwiedzających rejon Horseshoe Canyon w Parku Narodowym Kanionów”. Po uporządkowaniu rozrzuconego sprzętu w tylnej części samochodu rozkładam śpiwór i karimatę, po czym kładę się spać. Odpywam w sen, rozmyślając o porannej wędrówce przez oba kaniony, podczas gdy wiatr buja samochodem, śpiewając kołysankę krainy wąwozów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dzień czwarty: bez wody i jedzenia

Wierzyłem w siłę wiary, dla samej cudownej wiary. Wierzyć pomimo skrajnej bezradności, na przekór wszelkim dowodom, ignorować bezwarunkową katastrofę - czy mamy inny wybór?... Jesteśmy o wiele silniejsi, niż sobie wyobrażamy, a wiara stanowi jedną z najbardziej bohaterskich i odwiecznych cech człowieka. Wierzyć, kiedy jednocześnie wszyscy wiemy, że nic nie może zaprzeczyć krótkości tego życia, że nie istnieje remedium na naszą śmiertelność... oto swoista odwaga. Wciąż wierzyć w siebie... wierzyć we wszystko, w co postanowiłem wierzyć... oto najważniejsze...

Lance Armstrong, It's Not About the Bike

Rozrzedzony blask słońca oświetla skłębione podbrzusza cienkich chmur nad pustynią Utah. Myślę, usadowiony na dnie szczeliny, że zapowiada się przyjemny zmierzch. Mam nadzieję, że chmury utrzymają się dostatecznie długo, by zatrzymać nocą ciepło. Jest wczesny poniedziałkowy wieczór. Nie śpię od pięćdziesięciu siedmiu godzin. Jestem uwięziony od pięćdziesięciu. A od czterdziestu trzech w mojej głowie tkwi ta sama piosenka.

Jak permanentnie włączone radio, mój niespokojny i zmordowany umysł stara się za wszelką cenę,

zużywając energię, znaleźć wytchnienie od monotonii, ale bezustannie trafia na tę samą stację. A stacja ta nadaje

194

w kółko dziesięciosekundowy fragment piosenki. Raz za razem, zawsze te same słowa: „BBC1, BBC2, BBC3, BBC4, BBC5, BBC6, BBC7, BBC Heaven!”. To nie jest nawet rzeczywista piosenka. Czuję się jak antagonistyczny Dr. Evił, którego plany znów spaliły na panewce. Wygrażam w powietrzu pięścią - Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju, Austin Powers? Dlaczego mnie prześladujesz?

Zmęczenie przybiera formę uporczywej gorączki, która trawi mi mózg. Sypiałem już wcześniej w dziwnych miejscach - stojąc przed pewnym obrazem w jakimś muzeum paryskim lub siedząc na koncercie Guns N' Roses, przy stu dziesięciu decybelach - ale nigdy nie odczuwałem tak przejmująco i boleśnie braku snu. To jak choroba, która zakłóca wyższe funkcje umysłu, pchając mnie ku granicy, poza którą zaczyna się kraina irracjonalności. Może to dobrze, że nie mogę spać, bo w przeciwnym razie uległbym hipotermii. Nie mogę spać, ale też nie jestem w pełni przytomny -mentalne miazmaty dręczące moją świadomość to prosta droga do szaleństwa.

Pamiętam chwilę, kiedy czułem się niemal tak samo. Schodziłem w ciemności ze wschodniego zbocza góry Princeton wraz ze swoją mentorką The-resą Daus-Weber, specjalistką od szkolenia wytrzymałościowego. Działo się to we wrześniu 2002 roku, kiedy świętowaliśmy pierwszą rocznicę zdobycia czterotysięcznika. Pokonaliśmy siedem wysokich szczytów w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, bez przerwy, i zaczęliśmy drugą noc maratonu długości dziewięćdziesięciu sześciu kilometrów i wysokości 7620 metrów, kiedy mój pozbawiony snu umysł stracił kontakt z rzeczywistością.

Wyprzedzając Theresę, dreptałem po nachylonym złomisku, szerokim na ponad trzy kilometry. Oboje mieliśmy lampy czołowe i kijki, co pomagało nam przemierzać ten niepewny teren nocą. Często traciłem Theresę z oczu, ponieważ widok zasłaniały mi skały, którymi najeżone było zbocze. Przystawałem, żeby na nią zaczekać, siadałem, zapadałem w drzemkę i budziłem się po dwudziestu czy trzydziestu sekundach na dźwięk kijki Theresy, który stukał o kamienie w zgodnym rytmie z jej krokami. Widziałem podskakujące światło jej czołówki, kiedy się zbliżała, i wstawałem bez słowa, by przełazić przez głązy, aż w końcu znów traciłem ją z pola widzenia, i znów przystawałem, by powtarzać ten cykl. Stuk, stuk, stuk, kijek uderzający o kamienie. Błysk, lampa świecąca mi w oczy, nieświadomość faktu, że za tym światłem kryje się żywa osoba. Kolejne milczące

195

spotkanie, głązy śmigające w blasku mojej czołówki, błogosławiony odpoczynek.

Pomimo półtoragodzinnego marszu ani razu nie miałem wrażenia, że zbliżam się do przeciwległego krańca kamienistego pola niecki, gdzie mieliśmy napotkać szlak biegnący na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów. Coś było nie tak. Kiedy już dziesiąty, dwunasty czy piętnasty raz odbyłem rytuał - mozolna wędrówka-drzemka-przebudzenie-stuk-błysk--mzolna wędrówka - pod wpływem surrealistycznego podszeptu szaleństwa przyszło mi do głowy, że ilekroć zasypiam, jestem przenoszony do tego samego punktu pośrodku zbocza. Moje ciało w jakiś tajemniczy sposób cofało się w górę w trakcie dwudziestosekundowej drzemki, a ja bezustannie powtarzałem tę samą sekwencję.

Kolejnych pięć cykli i nabrałem pewności - znalazłem się w pułapce czasu jak Bill Murray w filmie Dzień świstaka. Ktoś robił z;e mną to samo co z nim. Theresa. Przekonałem sam siebie, że rzuciła na mnie czar. Byłem wobec niej bezradny; mogłem odzyskać kontrolę tylko dzięki zachowaniu przytomności. Bez względu

jednak na to, jak bardzo się starałem, nie mogłem się powstrzymać - kiedy przystawałem, żeby na nią zaczekać, natychmiast zasypiałem. Ta paranoja była tak silna, że ani razu nie przyszło mi do głowy spojrzeć na zegarek, porozmawiać z Theresą, wprowadzić jakąś zmianę do tej monotonii, zwolnić kroku, żeby moja towarzyszka mogła się ze mną zrównać i żeby w ten sposób uniemożliwić sobie zaśnięcie. Postanowiłem natomiast zapamiętywać głązy, na które wchodziłem. Gdybym się przekonał, że nie stawiam stopy na tym samym kamieniu, stanowiłoby to niezbity dowód, że wszystko rozgrywa się w mojej głowie. Pojawił się jednak inny problem - nie potrafiłem zapamiętać głązów, nawet tych, pod którymi zasypiałem.

Kontynuowaliśmy tę wędrówkę w dół zbocza, a mój umysł bezustannie tkwił w pętli czasowej. Po dwóch godzinach zeszliśmy z pola, a ja opowiedziałem Theresie o swoich urojeniach. Wyjaśniła, że halucynacje są najprawdopodobniej skutkiem braku snu i zmęczenia wywołanego skrajnie forsowną wędrówką. Niemal dwadzieścia cztery godziny później dotarłem do samochodu, około pięćdziesięciu kilometrów dalej, i położyłem kres swojemu delirium, zapadając w zasłużony sen.

Tu, w kanionie, jedynym zajęciem, które uwalnia mnie od bezustannej tortury BBC, jest rozważanie pytania, czy powinienem wypić własną urynę,

196

czy nie. Zagadnienie to jest dostatecznie istotne, by zepchnąć wszystko inne w cień. Nie zaprzętam sobie głowy kwestią smaku, który będzie zapewne obrzydliwy; nie ma na to rady. Ważne, czy uryna przedłuży mi życie, czy też spowoduje śmierć. Dochodzę do wniosku, że do tej chwili poziom soli w moczu znacznie wzrósł, ale nie mam możliwości dowiedzieć się, czy jest wyższy niż poziom soli w mojej krwi. Jeśli mocz ma mniej soli niż krew, to nie będzie problemu. Przy wyższym stężeniu jednak byłoby to jak wypicie słonej wody, co z kolei przyspieszy odwodnienie. Zastanawiam się też, czy toksyny i inne potencjalnie szkodliwe składniki zawarte w urynie osiągnęły niebezpieczny poziom. W końcu to substancja, której moje ciało chciało się pozbyć, a ja zamierzam wprowadzić ją z powrotem do organizmu.

Pomarańczowy płyn w półprzezroczystym bukłaku, który umieściłem na głązie na wysokości wzroku, zmienia w przyćmionym świetle wieczoru barwę na brązową. W ciągu czterech godzin, które upłynęły od nasusiania do pojemnika, uryna rozdzieliła się na warstwy: lepka brązowa zupa na dnie, brudnopomarańczowa ciecz w środku, czysty złoty płyn na górze. U dołu zbiera się centymetrowy żółtobiały osad; wraz z utratą ciepła wytrąca się z uryny coraz więcej szumowin. Stukam w pojemnik palcem, poruszając tymi stałymi drobinkami. Przypomina to drożdże na dnie butelki z piwem domowej roboty, ale nie jest tak kuszące, ma się rozumieć.

Noc zapada znowu, poprzedzana coraz silniejszymi powiewami wiatru w kanionie i kolejną inwazją komarów. Zastanawiam się, dlaczego są tak aktywne po zmroku, i pytam głośno: „Skąd się, u licha, biorą?”. Gdzieś niedaleko musi się znajdować rozlewisko stojącej wody - nie mijałem żadnego, idąc w tę stronę, ale może jest na dnie Wielkiego Progu. Coś chyba sobie przypominam z przewodnika. Sprawdzam na mapie. Fotokopia jest wytarta na zagięciach, ale da się odczytać znaki, które wskazują rozlewisko poniżej progów. Jest to prawdopodobnie jakieś zagłębienie erozyjne, pozostałość po ostatnich deszczach, jak zielonkawy nalot na południowej ścianie za moimi stopami. Według mapy powinno być jeszcze jedno rozlewisko w górnym odcinku kanionu, a drugie tu, gdzie się znajduję, ale najwidoczniej wyparowały. Mam nadzieję, że wciąż jest jakiś zapas wody pod progiem. Mogę się założyć, że wysycha latem i zimą, ale muł, komary i osad na ścianach dowodzą, że gdzieś w tej chwili jest woda. To ważne, jeśli się stąd wydostanę - jedyna woda w promieniu sześciu i pół kilometra,

197

dopóki nie ukaże się strumień Barrier Creek na dnie Horseshoe Canyon, zaraz za Wielką Galerią.

Nie wydostaniesz się stąd, Aron. Nigdy więcej nie zobaczysz wody.

* * *

Mrok. Chłód.

Gwiazdy.

Przestrzeń.

Drżenie.

Powracam do rytuału wiercenia się i odpoczynku, do tej rutyny, która pomogła mi przetrwać noc, ale za każdym razem potrafię uszczknąć tylko dziesięć minut bezruchu. Noc wydaje się zimniejsza niż poprzednia albo może zaczynam odczuwać skutki wygłodzenia i odwodnienia, które oddziałują na mój metabolizm. Biorąc pod uwagę ogólne pogorszenie, jakiego doświadczam od chwili uwięzienia, przypuszczam, że moje ciało nie wytwarza już tak dużo ciepła. Coraz bardziej dojmujący chłód potęguje we mnie pragnienie zachowania każdej odrobiny ciepła. Co jeszcze mogę zrobić, by się osłonić? W odłączonych od odtwarzacza słuchawkach, które mam na szyi, od trzech dni nie rozbrzmiewa muzyka. Mimo wszystko nakładam je na uszy, niczym małe nauszniki. Wsuwam głowę w pokrowiec i podciągam zamek błyskawiczny, aż wrzyna mi się w skórę. Z tak ściśle owiniętą twarzą mam nadzieję czerpać korzyść z ciepła własnego oddechu, ogrzewać nim głowę i wewnątrz worka przed następnym oddechem, nie ryzykując jednocześnie uduszenia.

Moje płuca wypełniają torbę wilgocią, a ja skupiam się na tym, by wypuszczać powietrze wprost w wodoszczelny materiał. Zamiast posyłać je na pastwę chłodu nocy, próbuję odzyskać choć trochę wody zawartej w moich wilgotnych westchnieniach. Wykorzystanie pokrowca jako komory tlenowej wydaje się sensowną teorią, ale nie wiem, czy to pomoże. Ogarnia mnie znajome wrażenie, że przedłużam nieuniknione. Po pięciu czy sześciu minutach oddychania z zakrytą głową zimno przesącza się z nóg i rąk do rdzenia mojego ciała. Drżąc, za wszelką cenę staram się utrzymać pozycję, w jakiej się znajduję; siedzę w uprząży jeszcze trzy czy cztery minuty: lewa dłoń trzyma prawy łokieć, głowa spoczywa na prawym bicepsie, kolana zgięte i oparte o półkę skalną. Ale dreszcze

198

dosłownie rozszarpują mnie jak wściekle atakujące psy. Muszę wysunąć głowę z torby, żeby poprawić liny wokół nóg i okrycia na ramionach. Mści się zbytnia skuteczność - ponowne owinięcie kończyn zabiera tylko dwadzieścia minut - która sprawia, że trudno mi się rozgrzać między jedną a drugą sesją bezruchu. Nie próbuję nawet brać noża do ręki i obtłukiwać kamienia; cierpię tylko ból i modłę się, by przetrwać do rana.

Północ. Jest wtorek, 29 kwietnia. Po wielogodzinnej debacie z samym sobą postanawiam łyknąć moczu. Wciąż mam prawie pół kubka świeżej wody, ale chcę się przekonać, jak smakuje uryna i czy zdołam ją przełknąć. Wsuwam między wargi zawór bukłaka, przytwierdzony ponownie do końcówki, która pozostała po odcięciu wężyka podczas pierwszej próby sfabrykowania opaski uciskowej, wciągam w usta mniej więcej dwie łyżeczki moczu i natychmiast połykam. Nocne powietrze schłodziło go znacznie, jego początkowa temperatura trzydziestu pięciu stopni Celsjusza spadła do piętnastu, jak przypuszczam. Ostra słoność jest wstrętne gryząca i gorzka. Twarz wykrzywia mi się straszliwie. O dziwo, nie jest to takie okropne, jak mogłoby się здаwać - nie krztuszę się ani nie mam odruchu wymiotnego. Mój dylemat tylko się pogłębia. Gdyby mocz był tak paskudny, że nie dałoby się go przełknąć, miałbym odpowiedź na dręczące mnie pytanie. Brzmiałaby - nie pij. Ale ponieważ okazało się, że mogę wypić prawie połowę tego, co wysusiałem,

nim dotarłem do brązowego osadu, kwestia pozostaje wciąż otwarta. Pragnienie, które odczuwam, chce mnie zmusić do wypicia dwóch kubków, w tej chwili. Nie wydaje się to jednak dobrym pomysłem. Słyszałem chyba o ludziach, którzy stosowali jakąś dietę uwzględniającą picie własnego moczu, ale nie wolno zapominać, że byli odpowiednio nawodnieni. Może to wspomnienie jest tylko wytworem mojej wyobraźni - na tym etapie nie mogę za bardzo ufać własnemu umysłowi - ale czysta uryna z pewnością byłaby lepsza od tego, czym dysponuję w tej chwili. Ostatecznie nie wiem, czy powinienem wypić jeszcze choć trochę moczu, i nie mam możliwości rozstrzygnąć tego dylematu. Podejrzewam, że warto będzie zaryzykować, ale jeszcze nie teraz. Zamierzam dawkować wodę przez następne dwanaście godzin, dopóki się nie skończy, i wtedy znowu pomyślę o piciu uryny.

199

dosłownie rozszarpują mnie jak wściekle atakujące psy. Muszę wysunąć głowę z torby, żeby poprawić liny wokół nóg i okrycia na ramionach. Mści się zbytnia skuteczność - ponowne owinięcie kończyn zabiera tylko dwadzieścia minut - która sprawia, że trudno mi się rozgrzać między jedną a drugą sesją bezruchu. Nie próbuję nawet brać noża do ręki i obtłukiwać

kamienia; cierpię tylko ból i modlę się, by przetrwać do rana.

* * *

Północ. Jest wtorek, 29 kwietnia. Po wielogodzinnej debacie z samym sobą postanawiam łyknąć moczu. Wciąż mam prawie pół kubka świeżej wody, ale chcę się przekonać, jak smakuje uryna i czy zdołam ją przełknąć. Wsuwam między wargi zawór bukłaka, przytwierdzony ponownie do końcówki, która pozostała po odcięciu wężyka podczas pierwszej próby sfabrykowania opaski uciskowej, wciągam w usta mniej więcej dwie łyżeczki moczu i natychmiast połykam. Nocne powietrze schłodziło go znacznie, jego początkowa temperatura trzydziestu pięciu stopni Celsjusza spadła do piętnastu, jak przypuszczam. Ostra słoność jest wstrętnie gryząca i gorzka. Twarz wykrzywia mi się straszliwie. O dziwo, nie jest to takie okropne, jak mogłoby się здаwać - nie krztuszę się ani nie mam odruchu wymiotnego. Mój dylemat tylko się pogłębia. Gdyby mocz był tak paskudny, że nie dałoby się go przełknąć, miałbym odpowiedź na dręczące mnie pytanie. Brzmiałaby - nie pij. Ale ponieważ okazało się, że mogę wypić prawie połowę tego, co wysiusiałem, nim dotarłem do brązowego osadu, kwestia pozostaje wciąż otwarta. Pragnienie, które odczuwam, chce mnie zmusić do wypicia dwóch kubków, w tej chwili. Nie wydaje się to jednak dobrym pomysłem. Słyszałem chyba o ludziach, którzy stosowali jakąś dietę uwzględniającą picie własnego moczu, ale nie wolno zapominać, że byli odpowiednio nawodnieni. Może to wspomnienie jest tylko wytworem mojej wyobraźni - na tym etapie nie mogę za bardzo ufać własnemu umysłowi - ale czysta uryna z pewnością byłaby lepsza od tego, czym dysponuję w tej chwili. Ostatecznie nie wiem, czy powinienem wypić jeszcze choć trochę moczu, i nie mam możliwości rozstrzygnąć tego dylematu. Podejrzewam, że warto będzie zaryzykować, ale jeszcze nie teraz. Zamierzam dawkować wodę przez następne dwanaście godzin, dopóki się nie skończy, i wtedy znowu pomyślę o piciu uryny.

199

i

* * *

Kolejne cykle. Trzecia rano, wtorek, sześćdziesiąta godzina. Jestem tu uwięziony od dwóch i pół dnia.

Skróciłem rutynę dawkowania wody. Ostrożnie biorę butelkę z miejsca, w którym stoi, i sprawdzam, ile cennego płynu jeszcze zostało: nędzne sto mililitrów. Trzymając butelkę między nogami, zdejmuję korek lewą ręką. Przytrzymuję go, podnoszę butelkę i zanim udaje mi się całkowicie zwilżyć dolną wargę, siłą woli cofam rękę i odstawiam butelkę, tak jak robiłem to raz na godzinę w ciągu nocy.

Ostatni łyk staje się podniosłym rytuałem. Woda przestała być elementem tej ziemi, przekształciła się w coś świętego i wiecznego - przybrała postać czasu, a tym samym życia. Im dłużej przetrwa, tym dłużej ja przetrwam.

Albo tak sobie tylko wmawiam. Dostrzegam już oznaki odwodnienia. Nawet jeśli zachowam resztki wody, to i tak umrę niebawem. Moje ciało nie ma już dostatecznej ilości płynów, by funkcjonować na normalnym poziomie. Oczy mam zapadnięte i suche - unikam oglądania samego siebie na nagranej taśmie z powodu skóry napiętej na policzkach. Pustynne powietrze sprawia, że szkła kontaktowe drażnią mi źrenice, a moje oczy nie mogą się pozbyć irytujących drobinek. Odwodnienie zmusza do większego wysiłku mięśnie serca, puls stał się słabszy, czasem jest nieregularny i szybki - obliczam, że serce bije z prędkością stu dwudziestu uderzeń na minutę, to o sześćdziesiąt procent szybciej niż normalnie. Pomimo przyspieszonego rytmu krążenie wyraźnie zwolniło w ciągu minionych trzech dni, podczas gdy krew stężała, przez co nie dostarcza do organów składników odżywczych ani nie usuwa produktów przemiany materii. Moja pompa spala się, ponieważ płyn, którym próbuje poruszać, tężeje w instalacji rurociągowej. Przy bezustannym spadku ciśnienia krwi temperatura mojego ciała ulega nienaturalnym wahaniom, a najmniejszy powiew wiatru przyprawia mnie o atak dreszczy. Organy, tracąc w drastyczny sposób płyny, cierpią z powodu odwodnienia - łącznie moje ciało traci dziennie od dwóch do dwóch i pół kilograma. Skóra na wierzchu dłoni skurczyła się i przypomina skórę gada; ciągnąc ją zębami, mogę tworzyć małe namiociki - efekt zmniejszonej elastyczności.

Lecz te wszelkie fizyczne oznaki wywołane gwałtowną potrzebą nawodnienia organizmu nie mogą się równać z męką pragnienia: nieuga-

200

szzonego... niestłumionego... niezaspokojonego... nienasyconego... niepowstrzymanego.

Ogarnia mnie nagle chęć, by skończyć z tym wszystkim, tylko po to, by przynieść ulgę ciału straszliwie łaknącemu wody. Koniec będzie zapewne spowodowany niewydolnością naczyniowo-sercową, ale zastanawiam się, czy pragnienie nie załatwi sprawy wcześniej.

Dwie godziny później wybija piąta, czas na mój codzienny rytuał wodny. Umieszczam butelkę między udami i znów jedną ręką zdejmuję nakrętkę. Rozluźniam nogi, między którymi spoczywa butelka, i zaczynam podnosić ją do ust. Lecz zakrętka niespodziewanie zaczepia o moją uprząż i butelka wyślizguje mi się z palców, po czym spada na kolana. Mój ospały i rozleniwiony umysł reaguje zbyt wolno, dłoń nie może chwycić naczynia dostatecznie szybko i rozprysk świętej cieczy pokrywa ciemną plamą moje brązowe spodnie, zamieniając czerwony pył piaskowca w patynę lśniącego błočka.

Kurwa, Aron. Uważaj! Zobacz, co zrobiłeś!

Woda to czas. Ile godzin straciłem wraz z tym marnotrawstwem? Może sześć, może dziesięć, może pół dnia? Ten karygodny błąd uderza w moje morale z siłą rozpędzonego pociągu, niszcząc obronne mury dyscypliny i skrupulatności, które chroniły przed rozpaczą. Bez względu na to, co myślałem wcześniej, utrata połowy zapasu wody uświadamia mi, jak bardzo byłem do niej psychicznie przywiązany. Choć pozostało mi jej tak niewiele, że, fizjologicznie rzecz biorąc, mogłoby jej nie być w ogóle, mam wrażenie,

że wyrzekłem się dobrowolnie połowy życia, które mi jeszcze pozostało.

* * *

Trzęsę się w ochronnych zwojach, z głową w worku, próbując uchronić się od dręczącego zimna, gdy nagle słyszę w mózgu pozbawionym snu krzyk. Jest szósta piętnaście rano, wtorek.

„Larry!”, wykrzykuje imię mojego taty mama. Widzę ją, jak wybiega w szlafroku kąpielowym z ich sypialni, by przekazać ojcu jakąś straszną wiadomość, którą właśnie otrzymała. Obraz znika, zanim matka dociera do taty. Inny niż wspomnienie czy sen, ten przelotny fragment przypominał bardziej telewizor włączony bezwiednie w moim umyśle i przekazujący program z domu rodziców. Czy to coś, co już się wydarzyło? Czy zapowiedź czegoś, co się dopiero stanie? Jestem tak czy inaczej przekonany, że to ja

201

stanowię powód, dla którego matka biegła do ojca. Czy chodzi o to, że się dowiedziała o mojej sytuacji, czy że zostałem odnaleziony, czy że jestem martwy? Wszystko jest możliwe.

Stopniowo światło wskrzesza zarysy i kształty kanionu, a ja czuję się podniesiony na duchu świadomością, że przetrwałem kolejną noc. Teraz, gdy mam zapewnioną widoczność, postanawiam uaktualnić informacje dotyczące swojej sytuacji i rozpocząć kolejną sesję nagrywania.

Ocieram lewe oko, przesuвам dłonią po czole i twarzy, potem wzdycham. Sprawdzam kadrowanie, by się upewnić, że jestem choć częściowo widoczny na ekranie, unikam jednak patrzenia w obiektyw, kiedy mówię.

- Jest szósta czterdzieści pięć we wtorek rano - zaczynam. - Myślę, że do tej pory Leona uświadomiła sobie moją nieobecność, oby, ponieważ nie pojawiłem się na imprezie zeszłego wieczoru. Kolejne półtorej godziny i stwierdzą, że nie ma mnie w pracy. Bezustannie o tym myślę. Najbardziej optymistyczny scenariusz zakłada, że powiadomią policję, która odczeka przepisowe dwadzieścia cztery godziny, zanim przyjmie oficjalnie zgłoszenie o zaginięciu. Co oznacza, że, powiedzmy, jutro po południu zostaną oficjalnie uznany za zaginionego.

Moje rozdrażnienie narasta, jestem bliski łez.

- Niech to diabli. Naprawdę zaczyna do mnie docierać, jak idiotyczna jest ta sytuacja. Jak złożona. Tyle rzeczy naraz. Uptynie cholernie dużo czasu, nim ktokolwiek do mnie dotrze. Myślę o tym coraz intensywniej. Będą musieli rozkruszyć ten głaz na kawałki przy użyciu młota pneumatycznego albo amputować mi rękę, żeby mnie stąd wydostać. Jeśli ktoś mnie znajdzie, a potem ściągnie tu odpowiednie narzędzia. Następnie ze dwie wysokie kondygnacje schodów do pokonania, żeby przetransportować mnie na miejsce lądowania helikoptera, no i godzinny lot do Grand Junction, może trochę krótszy. Może pół godziny. Nieważne.

Wyobrażanie sobie zespołu ratunkowego, ciągnącego przez cały kanion młot pneumatyczny do rozkruszenia głazu, pod którym wciąż będę zakleszczony, sprawia, że myśl o pomocy z zewnątrz wydaje się jeszcze bardziej nieprawdopodobna. Już sama akcja uwalniania wydaje się niezwykle trudnym zadaniem, a wydobyć mnie na noszach z wąskiego wąwozu... Przestrzeń jest tak niewielka i ciasna, że wątpię w istnienie jakiegokolwiek możliwości do wykorzystania trasy.

Ten logistyczny koszmar tłumi moje nadzieje. Wiem, że to wszystko

202

rozważania teoretyczne, ale nawet w teorii rzecz zapowiada się na kilkugodzinny wysiłek, kiedy już zostaną

zlokalizowany. Przeniesienie delikwenta na noszach sto metrów po nieutwardzonej szerokiej drodze zabiera sześciu ludziom pięć minut. W przypadku zwężającego się i krętego traktu robi się z tego pół godziny. Samo wydobywanie za pomocą podnośnika czy wyciągu to dodatkowa godzina albo dwie, zakładając, że warunki będą idealne. Każda dodatkowa trudność wymaga czasu i środków, co zwiększa ryzyko. W moim przekonaniu każdy z tych gładów, po których przechodziłem albo pod którymi się przeczołgiwałem, zmniejsza prawdopodobieństwo, że uda mi się przeżyć te wszystkie godziny, jakich będzie wymagała ewakuacja mojego bezużytecznego ciała. Jeśli będę żył, kiedy grupa ratownicza mnie znajdzie, zapewne umrę, nim doczekam się odpowiedniej pomocy medycznej. Uświadamiając sobie, że to bez znaczenia - będę martwy, nim ratownicy dotrą do tej części kanionu - zamykam lewe oko w odruchowym grymasie i kontynuuję nagrywanie. Jestem wyczerpany.

- Próbowałem... próbowałem odciąć sobie prawą rękę. Nie dałem nawet rady przedrzeć się przez skórę tym głupim ostrzem. Staralem się użyć dwóch różnych, ale tylko się drasnąłem. Nie poleciała nawet krew, tak gęsta jest w tej chwili. Mam jeszcze odrobinę wody. No cóż, prawdę mówiąc, zdecydowałem się na... łyknięciem trochę własnego moczu, którym napełniłem bukłak. Doszło do czegoś w rodzaju destylacji. Wytracił się osad.

Akcentując każde słowo, mówię dalej:

- Smakował paskudnie... - Urywam, rozwierając wargi, by przełknąć. - Mam też kawałek burrito, którego i tak pewnie nie mógłbym strawić. Próbowałem też trochę przesunąć głaz. To na nic. A więc upłynęło niespełna siedemdziesiąt godzin od chwili, kiedy zostawiłem rower na szlaku wiodącym do kanionu Horseshoe, a ja w ciągu tego czasu wypilem trzy litry wody i wziąłem dwa łyki moczu. O jedzenie się tak bardzo nie martwię, choć coraz łatwiej się męczę, co wyklucza jakiegokolwiek działanie. Nie mogę już nawet obtłukiwać głazu. To... próbowałem, ale brakuje mi energii i zdecydowania... to śmieszne.

Zniechęcony własną niemocą, drzę gwałtownie i jęczę: „Uaaach”. Potrząsam głową, marszczę czoło i krzywię się, potem biorę się jednak w garść, zamknąwszy na długą chwilę oczy, i spoglądam wprost w kamerę, by powiedzieć to, co zamierzam.

203

- Mamo, tato, naprawdę was kocham. Chcę skorzystać z okazji i wyznać, że czas, który spędziliśmy razem, był naprawdę wspaniały i niesamowity. Nie doceniałem was w swoim sercu tak, jak mogłem, o czym wiem teraz. Mamo, kocham cię. Dziękuję ci za to, że odwiedziłaś mnie w Aspen. Tato, dziękuję ci za te chwile w zeszłym roku, kiedy wybraliśmy się razem w podróż. To były jedne z najwspanialszych chwil, jakie spędziliśmy razem od bardzo, bardzo dawna. Dziękuję wam obydwójgu za zrozumienie, wsparcie i zachętę w ciągu ostatniego roku. Żałuję, że nie przyswoiłem sobie pewnych lekcji pełniej, szybciej, że potrzebowałem na to tyle czasu. Kocham was. Zawsze będę z wami.

Zaciskam wargi i czuję wzbierające pod powiekami łzy. Pochylam się i znów zamykam oczy, potem kiwam głową do obiektywu, jakbym się żegnał przed zatrzymaniem taśmy. Do kanionu wdziera się smętny i żaloszny powiew wiatru; nocny spokój dobiega końca. Kiedy ponownie włączam kamerę, moje myśli zwracają się ku siostrze i ku chmurze smutku, która rzuci cień na jej uroczystość odebrania dyplomu i ślub.

- Chcę powiedzieć Sonji i Zackowi, że naprawdę życzę wam wszystkiego najlepszego w waszym wspólnym życiu. Tworzycie wspaniałą parę. Sonja, masz przed sobą wielką karierę. Wiem, że będziecie ze sobą szczęśliwi. Żałuję, że nie zobaczę, jak zaczynacie. Ukończysz studia za jakiś miesiąc. Postaraj się dokonać w życiu czegoś wielkiego - w ten sposób najlepiej uhonorujesz moją pamięć. Dzięki.

Myśl o siostrze sprawia, że czuję się szczęśliwy. Choć dostawałem dobre stopnie w szkole, prześcigała mnie w każdej dziedzinie i za to ją kocham. Edukacja to dla niej ważna rzecz - chce być nauczycielką. Cieszę się ze względu na nią, ale też ze względu na siebie. Jest tak, jakby Sonja miała spłacić dług, który zaciągnąłem, zdobywając wykształcenie i nie oddając nic w zamian. Jestem bardziej dumny z tego, czego dokonała na studiach, niż z tego, co mnie się udało dokonać od chwili ich ukończenia sześć lat temu. Nawet jeśli mnie zabraknie, w naszej rodzinie będą się dziać wspaniałe i wielkie rzeczy, właśnie dzięki Sonji, a świadomość, że ma takie aspiracje, utwierdza mnie w tym przekonaniu.

Z niewidocznych zakątków kanionu napływa kolejny powiew wiatru; odczuwam niepokój na myśl o zmianie pogody. Już dostrzegam zasłonę chmur, gęstszą niż kiedykolwiek. Nie widać błyskawic, ale to nie oznacza, że nagle kanionu nie zaleje powódź. Zapomniałem o tym niebezpieczeń-

204

stwie. Skoro ustawiłem kamerę, postanawiam nagrać jeszcze kilka wypowiedzi, zanim spadnie deszcz. Znów puszcza taśmę i robię panoramę odłamków skalnych nad swoją głową.

- Pomyślałem sobie właśnie, że ryzyko powodzi wciąż jest obecne. To wszystko, co znajduje się nad moją głową, znalazło się tam... te głazy, które poruszyłem, wszystkie bez wyjątku zostały tu przywleczone przez wodę. Daleko stąd znajdują się cztery duże kaniony, które zbiegają się w tej metrowej szczelinie, w której teraz siedzę. Nawet jeśli umrę, to... woda wszystko spieprzy. To nagranie będzie nie do odtworzenia, a moje ciało zostanie straszliwie pokiereszowane. Tak naprawdę to nie ma nic do rzeczy. Niemal pragnąłem, by się to wydarzyło. Przynajmniej miałbym trochę wody. Nie wiem, czy to brzmi śmiesznie, czy nie, ale myślałem o tym zeszłej nocy. Przypuszczam, że kiedy człowiek zaczyna pić własne wydaliny... wiem, że nie powinienem tego robić. Zawierają zbyt wiele soli i różnych świństw i przyspieszą proces... Trzy dni. Półtora dnia bez wody. Oznacza to prawdopodobnie, że mam przed sobą tyle samo. Zamierzam trzymać się mocno. Ale jeśli dotrwam do środy, to będę naprawdę zdumiony.

Zatrzymuję kamerę. To brutalne, co powiedziałem. Wypowiedzenie na głos przekonania, że daję sobie jeszcze trzydzieści godzin, pozostawia we mnie wrażenie ostateczności; nie pomaga to mojej psychice. Stawiam kamerę na głazie, a moje ciało zapada się bezwiednie w uprzęży. W głowie odbijają mi się echem słowa „jeśli dotrwam do środy”, aż napotykają synapsę, która jest odpowiedzialna za inicjatywę. Mija chwila, ściągam taśmę z prawej ręki i jeszcze raz zaplatam węzły na fioletowych zwojach. Dzięki wprawie, jakiej nabrałem poprzedniego dnia, konstruuje system o przełożeniu 6 do 1 w ułamku czasu, którego potrzebowałem za pierwszym razem; opinam gładz liną i konfiguruję węzły z jednoręczną sprawnością, która zaskakuje mój ospały umysł. Myślałem, że z powodu bezustannego wiercenia się w nocy, ciągłej zmiany pozycji, moja koordynacja ruchowa zmalała do zera. Chowając do plecaka butelkę, zapas moczu, nóż i kamerę, sprzątam górną powierzchnię głazu, a potem zakładam na głowę okulary przeciwsłoneczne.

- Gotów do startu - mówię głośno, sprawdzisz węzły, by się upewnić, że zacisną się w odpowiednim kierunku.

Pętle na stopy, na wysokości pasa, znajdują się nieco wyżej niż wczoraj -

205

musiałem widocznie tym razem zużyć więcej liny - ale zakładam tę niższą na lewą stopę, a potem wsuwam prawą nogę w tę drugą.

Okej, teraz porusz głazem, Aron. Zrób to. Zaprzyj się. Mocniej. Pociągnij linę - szarpnij ją. Mocniej! Musisz to zrobić. Niech ta skała drgnie!

Stękając, kołysząc się, unosząc, przenosząc ciężar ciała na pętle i ciągnę linę.

No dalej, rusz się, do diabła!

Nic. Jestem kompletnie bezradny wobec tej masy kamienia i oporu ścian. Moje stopy wysuwają się z pętli, jakby były obdarzone własnym umysłem, który wie, że nie będę już więcej próbował. Ponownie przegrałem. Nie pozostało już nic, czego mógłbym się trzymać. Zanurzam się gwałtownie w tym gotyckim pustkowiu; im bardziej mu się sprzeciwiam, tym bardziej się kurczy, wyciskając ze mnie życie. W trakcie piętnastominutowego odpoczynku chce mi się płakać, ale mój szloch pozostaje suchy, jakbym był zbyt przygnębiony, by marnować energię na łzy. Co da mi płacz? Będzie jednoznaczny z marnotrawstwem tej resztki płynów, które jeszcze pozostały w moim ciele.

Powoli i nieubłaganie uświadamiam sobie zimne spojrzenie ostrza, które patrzy na mnie z wnętrza plecaka. Wszystko ma swój powód, nawet to, że wziąłem ten nóż ze sobą, i nagle wiem, co powinienem zrobić. Zbierając się na odwagę, rozplątnę węzły w systemie lin i obwiążuję sobie biceps, po czym przygotowuję pozostałą część opaski uciskowej, tak jak robiłem to wczoraj - izolacja bukłaka owinięta dwukrotnie wokół ramienia, zawiązana dwukrotnie i wzmocniona karabinkiem, który zakręcam sześć razy i przytwierdzam do fioletowej taśmy.

Rejestruję godzinę, którą wskazuje zegarek przypięty do paska plecaka u moich stóp: 7.58.

Wyciągam krótsze z dwóch ostrzy i obejmuję dłonią uchwyt; stal sterczy pod moim małym palcem. Wybieram miejsce u góry przedramienia, tuż obok piega i tuż nad znakami, które wydrapałem sobie wczoraj rano. Waham się, wstrzymując gwałtownie lewą dłoń trzydzieści centymetrów nad celem. Ponownie unoszę narzędzie i nim udaje mi się powstrzymać samego siebie po raz drugi, moja zaciśnięta pięść uderza gwałtownie trzycenty-metrowym ostrzem, zanurzając je po rękojeść w przedramieniu.

Rany Boskie, Aron, coś ty zrobił?

Zaskoczenie i zdumienie wypaczają mi wzrok. Barwy światła w kanionie

206

zyskują nagle beżowy kontrast, jasności przybierają odcień bladej opalenizny, a cienie wpadają w głęboki brąz, jakbym znalazł się w sepiowym filmie. Nachylam głowę ku ramieniu, otoczenie zaś pozostawia za sobą halucynogeny ślad w powolnej i niespiesznej odpowiedzi na moje ruchy, jakby ta pseudoprojekcja odbywała się w nieco zwolnionym tempie, trzy czwarte normalnej szybkości. Chyba się spodziewałem, że nóż odskoczy od ramienia, ale kiedy rozluźniam ucisk dłoni, widzę, że rączka narzędzia sterczy pod kątem prostym. Wczoraj wydawało się prawie niemożliwe, by ostrze mogło przebić chociażby skórę, ale przebiło. Gdy chwytam narzędzie mocniej i obracam nim lekko, stal napotyka coś twardego - kość przedramienia. Naciskam uchwyt i czuję, jak nóż uderza o kość promieniową.

Rany. Ale to dziwne.

Nagle ogarnia mnie ciekawość. Ostrze przebiło warstwę skóry, a ja prawie niczego nie czuję. Wydaje się, że moje nerwy skoncentrowane są na zewnętrznej powierzchni ramienia. Potwierdzam to, wyciągając stal i wsuwając czubek pod skórę. O tak, teraz wiem, gdzie są nerwy. Ciało, podważone stalą, rozciąga się i wysyła sygnały wzdłuż ręki, gdy rozwieram dwucentymetrową dziurę w miejscu operacji. Czekam, aż ból się

rozproszy, i dostrzegam, że z rozerwanych tkanek mojej skóry wydostaje się zaskakująco mało krwi; zapewne naczynia włosowate zamknęły się chwilowo. Zafascynowany dźgam otwór ostrzem. Au. Wpycham stal z powrotem w zakrwawiony otwór i badam wewnętrzne struktury ręki. Naskórek jest dwa razy grubszy, niż przypuszczałem, i twarde jak derma. Pod nim, w błonowej warstwie wokół mięśnia, znajduje się żółta tkanka tłuszczowa. Kiedy obracam stal, widok, który mam przed oczami, znika, a do rany sączy się krew w kolorze czerwonego wina. Ponownie stukam w kość, czując w lewym kciuku i palcu wskazującym wibracje wywołane każdym uderzeniem. Nawet stłumione wilgocią tkanek, głuche dziobanie czubkiem stali w kość górnego przedramienia rezonuje aż do łokcia. Ten cichy dźwięk - puk, puk, puk - mówi mi, że osiągnąłem kres eksperymentu. Nie mogę wciąć się w kości ręki ani ich przepiłować.

By nie rozważać tej posępnej konkluzji, znajduję jakieś źródło beztroski w swojej sytuacji - po raz pierwszy od trzynastu lat przeprowadziłem sekcję i tym razem poszło mi o wiele lepiej, choć dotyczy to mojej własnej ręki. Przypominam sobie owcze oko, które spoglądało na mnie z blaszanej podstawki podczas zajęć przyrodniczych w dziewiątej klasie szkoły pod-

207

stawowej. To, że musiałem się wciąć w gąbczastą kulę, zniechęciło mnie do zajęć z biologii w szkole średniej. Skupiłem się na chemii i fizyce -byle unikać widoku szczątków zwierzęcych w niekulinarным kontekście. Ta gałka oczna stanowiła bezpośredni powód, dla którego zdecydowałem się na wybór inżynierskiej drogi. Dziwne, że przyszło mi się zmierzyć z tak dawnym i głęboko zakorzenionym strachem właśnie w tym wąwozie.

Pocąc się z przyływu adrenaliny, odkładam nóż na kamień i biorę butelkę z wodą. Nie jest jeszcze pora na następny tyk, ale uważam, że na niego zasłużyłem. Kiedy pierwsze krople spadają mi na dolną wargę, otwieram oczy i wpatruję się w nieprzezroczyste niebieskie dno z poczuciem obojętności. Nadal przechylam pojemnik, coraz bardziej, czemu towarzyszy wrażenie zasłużonej nagrody i krnąbrnej złośliwości - jakbym robił coś niewłaściwego i niegrzecznego, ale się tym nie przejmował; zamierzam to zrobić, a świadomość, że nie powinienem, tylko podsyca moją radość.

Po prostu to zrób - no dalej, śmiało. I tak nie ma to znaczenia.

Każda kolejna łyżeczka płynu sprawia mi zadowolenie, jakby była potężnym tykiem, i natychmiast pochłaniam ten kropelkowy strumyczek. Zamykam oczy... O Boże. Po trzech zbyt krótkich sekundach wypijam resztkę wody. Już jej nie ma. Moje ciało zawodzi płacząco, błagając, by było jej więcej, by wciążyć płynęła, ale to koniec. Wpatruję się we wnętrze butelki na wysokości grzbietu mojego nosa i potrząsam nią, uwalniając ostatnie kropelki ze ścianki pojemnika.

No cóż, stało się, nie pozostała ani odrobina. Nie przedłużam tego. Wciskam nakrętkę w gwintowany otwór i uświadamiam sobie, że właśnie upłynęła chwila, której oczekiwałem od trzech dni. Teraz koniec. O jedno zmartwienie mniej. Postanawiam zdjąć opaskę uciskową - boli mnie od niej całe ramię, a ponieważ nie będę kontynuował amputacji, nie ma sensu dodatkowo się męczyć. Odpinam karabinek przytrzymujący opaskę i powoli ją rozwijam; ręka odzyskuje z wolna normalny kształt. Do ramienia w ślimaczym tempie powraca krążenie, ja zaś z uwagą obserwuję ranę. Nie zauważam zwiększonego krwawienia w miejscu otwarcia skóry, jakiegokolwiek pulsowania, więc dochodzę do wniosku, że nie naruszyłem żadnych arterii. Mimo wszystko krwawienie jest znacznie mniejsze, niż się spodziewałem. Mam wrażenie, że opaska nic nie dała. Dochodzę do logicznego wniosku, że skoro głąz przyniósł arterie i żyły w mojej dłoni, to

jednocześnie ograniczył w znacznym stopniu przepływ krwi w ręce. Wyjaśniałoby to, dlaczego moje przedramię jest zimne jak... głaz.

Biorę kamerę i, tym razem trzymając ją w ręku, zaczynam rejestrować rezultaty swojej operacji. Na ekranie ukazują się czapka, lina i opaska, które położyłem na kamieniu.

- Ta część pewnie wyda się niektórym widzom w domu niestrawna. Jest krótko po ósmej. Punktualnie o ósmej wypiliśmy resztkę wody... i... zakryj oczy, mamoo...

Robię panoramę, najpierw głaz, potem kieruję obiektyw na rękę i ziejącą ranę, rozmazaną jasnoczerwoną krew. Oddycham z trudem, patrząc na otwór w swoim własnym ciele.

- Podjąłem próbę - jak się okazało, moja kariera chirurgiczna była krótkotrwała - te noże nie nadają się do tego. Udało mi się zrobić dwu-centymetrowy otwór w ręce, głęboki na jakiś centymetr. Przebiłem się przez skórę, tkankę tłuszczową i jakieś mięśnie. Chyba przeciąłem ścięgno, ale nie jestem pewien. W każdym razie próbowałem. Nie poszło dobrze, szczerze mówiąc. Opaska jest w tej chwili rozluźniona. Wszystko wydaje się trochę niepokojące, zważywszy na to, że nie krwawię tak bardzo, właściwie w ogóle. To cholernie dziwne. Można by się spodziewać silniejszego pulsowania, krwawienia, ale mniejsza z tym. Naprawdę jestem w tej chwili załatwiony. Nie mam wody.

Zatrzymuję taśmę przygnębiony jak nigdy dotąd. Tą otwartą raną wprowadziłem nowego zawodnika do gry, która polega na tym, co mnie zabije - odwodnienie, hipotermia, powódź, toksyny z przygniecionej dłoni czy infekcja, która zapewne rozwija się już w mojej ręce.

Dźganie się zanieczyszczonym nożem - genialne posunięcie, Aron.

Zakładając, że krwawienie w miejscu przecięcia skóry już się nie zwiększy, postanawiam zakryć ranę i ochronić ją w ten sposób przed brudem, piaskiem i owadami. Palcami małym i serdecznym umiję dolny brzeg łososiowej koszulki - pamiątka z trasy koncertowej zespołu Phish - po czym rozcinam materiał nożem trzymany między kciukiem i palcem wskazującym. Potem wydzieram z otworu bawełniany pasek na wysokości talii i trzykrotnie owijam nim przedramię. No, gotowe. Mam bandaż na skaleczonym miejscu.

Z góry dobiega hałaśliwy szum, skrzydła kruka uderzają powietrze dwadzieścia metrów nad moją głową - raz, dwa razy. Ptak wznosi się na pułap

krążenia, oblatując poranną trasę łowiecką. Patrzą na zegarek. 8.31. Kruk

spóźnił się tego dnia o piętnaście minut.

* * *

Kanion w głębi zaczyna się pogrążyć w spektrum pastelowych czerwieni, kiedy słońce wdziera się w jego górne rejony. Wiedząc, że będzie ono bardziej punktualne od kruka, po raz trzeci tego ranka wyjmuję z plecaka kamerę i przygotowuję się do rytuału solarne go powitania. Filmuję samego siebie w chwili, gdy wyciągam nogi ku szyćletowi światła, które podpełza powoli w moją stronę. Nim promień zaczyna się wspinać po północnej ścianie, panoramuję od jasnoróżowych i marchewkowoportiarączkowych pofałdowań w odległości dwudziestu metrów w głębi wąwozu do swojej łydki, która wchłania cenne ciepło jedyne go bezpośredniego blasku.

- Tam jest tak pięknie. Za jakieś... dwadzieścia minut uda mi się wystawić nogę na słońce, jeśli się odpowiednio postaram.

Niczym więzień obdarowany wspaniałym widokiem za kratami swej celi nie jestem pewien, czy piękno porannego kanionu inspiruje moją wytrwałość, czy podkopuje determinację. Jeszcze bardziej łaknę wolności.

Zatrzymuję taśmę, a moje myśli odrywają się od wąwozu i biegną ku przyjaciołom, którzy rozproszeni są po całych Stanach i przygotowują się do nowego dnia pracy. Zastanawiam się, czy którykolwiek z nich myśli w tej chwili o mnie. Wątpię, czy moja nieobecność została dostrzeżona gdziekolwiek poza biurem na piętrze sklepu, ale przynajmniej ktoś wie na pewno, że nie zjawiłem się w miejscu pracy. Teoretycznie mój szef zadaje sobie pytanie, co się ze mną stało, może nawet mnie szuka. Zaczynam wspominać przyjaciół, nasze ulubione wyprawy i miejsca, które razem odwiedziliśmy. W wieku zaledwie dwudziestu siedmiu lat mogę pochwalić się przygodami, których starczyłoby dla człowieka dwukrotnie starszego, miałem też szczęście, że tylu troskliwych i wspaniałych ludzi towarzyszyło mi podczas wycieczek, na koncertach i biwakach. Myśl o rodzinie i znajomych wywołuje mój uśmiech. Wspomnienia podnoszą mnie na duchu, przywracają morale, pozwalają uwolnić się od bólu zmiażdżonego nadgarstka pod głazem. Mój nastrój zmienia się diametralnie, przestaję spekulować o marnych szansach na ratunek, a skupiam się na najciekawszych chwilach swego życia. Pragnę uwiecznić to na taśmie. Zastanawiam się, czy przyjaciele obejrzą nagranie podczas mojego pogrzebu, i ta ponura

210

myśl dodaje mi sił - widzę w wyobraźni kościół pełen ubranych na czarno przyjaciół, którzy patrzą na wielki ekran nad ołtarzem, by wysłuchać, co miałem im do powiedzenia. Przygotowując się, poprawiam czapkę, od-chrzążuję i próbuję przełknąć, a to sprawia, że wyczuwam suchość ust.

- Myślałem o tym, co mówiłem wcześniej, że nie skupiałem się dostatecznie na innych ludziach. Sam nie wiem. Przyszło mi do głowy, że może to nie do końca prawda. Rozmyślałem o ulubionych wyprawach, które odbywałem z najlepszymi przyjaciółmi. O Eriku i Jonie, jak wybraliśmy się do Winter Park podczas tych wycieczek z okazji Jazz Fest, jak wznosiliśmy na lodówce budowle z puszek, jak przyklejaliśmy makaron do sufitu, jak oglądaliśmy do późna telewizję i upajaliśmy się kofeiną i cukrem, to była zabawa, ludzie. Te ohydne kanapki - tak naprawdę bardzo smaczne - chleb z masłem orzechowym i miodem. Jon, pamiętasz, jak wchodziliśmy na szczyt Longs, nasz pierwszy wspólny czterotysięcznik, pamiętasz tę podróż zeszłego roku po Wschodnim Wybrzeżu, tyle stanów, taka włóczęga. To było naprawdę super, to, że byłem tam z tobą i Christie. I że widziałem, jak zaczynacie wspólne życie, jak je budujecie. Niesamowite. Słuchaj, Erik, wspominałem wiele razy, jak wybraliśmy się do Maui z Mattem i Brentem. To był cholernie fajny tydzień. Tyle wypraw, żeby obejrzieć String Cheese, jak ten koncert w Wiltern Theatre, i ten maraton podczas Winter Carnival dwa lata temu. Jak poszliśmy na Jazz Fest z KPat. O rany. Nigdy nie byłem tak wojowniczo zmarnowany jak wtedy, o ósmej rano, gdy siedzieliśmy na tej promenadzie nad Missisipi. Człowieku, to było szaleństwo - wróciliśmy, żeby wleźć do gorącej wanny, wstać kilka godzin później i zacząć wszystko od początku. I tak przez pięć dni z rzędu. Niesamowite.

Uśmiecham się, mrużąc oczy. Wracają do mnie wspomnienia z tego szalonego tygodnia w Nowym Orleanie, kiedy zaliczyliśmy dwadzieścia koncertów w pięć dni, śpiąc przeciętnie po trzy godziny - zazwyczaj między dziewiątą rano a dwunastą. Pod koniec byłem tak wykończony, że zasnąłem na podłodze baru, w samym środku tłumu pijącego piwo, podczas gdy jeden zespół był w samym środku drugiego utworu. Nigdy się nie pozna swoich możliwości, jeśli człowiek nie pójdzie na całość.

- Myślałem też o tej wyprawie z Erikiem Zsemlye i Raną - myślę o was - kiedy wybraliśmy się do Denver z Albuquerque i otworzyliśmy okna podczas burzy i ta zamieć wtargnęła do samochodu, i w środku zro-

211

bilo się biało od śniegu, kiedy jechaliśmy w stronę Antonio. Jak pięknie Rana wyglądała w swoim kostiumie śnieżnej księżniczki. Sonja, wspominałem podróż do Waszyngtonu i te wszystkie niesamowite wycieczki w tamtym czasie. Jak wybraliśmy się do Havasupai, a ja spadłem z urwiska na kaktus i niemal utonąłem w rzece Kolorado. Myślałem i o innej wyprawie, z Jean-Markiem i Chadem do Phoenix; pojechaliśmy do Meksyku i urzneliśmy się margaritą, opłynęliśmy przylądek niedaleko Rocky Point i z powrotem, ale wcześniej uzupełniliśmy na plaży zapas piwa i tequili. Jamie, kiedy ty i ja wybraliśmy się do Havasupai - to było wspaniałe. Było niesamowite, jak obudziliśmy się w obozie w Nowy Rok. Rany.'

Parskam śmiechem, który jest objawem skrajnego wyczerpania, i dostrzegam ironię wspomnień o wydarzeniach, kiedy to wielokrotnie ocierałem się o śmierć. Wymieniłem kilka sytuacji, gdy omal nie zginąłem, sytuacji, które są jednocześnie moimi najdroższymi wspomnieniami -wspaniała zabawa i intensywność doznań. Pomijając implikacje natury psychologicznej, dostrzegam w tym pewien komizm przynoszący mi ulgę w obecnych okolicznościach. Zastanawiam się, czy będę czuł się tak samo, jeśli przeżyję uwięzienie w kanionie Blue John.

- No i te wszystkie fantastyczne wyprawy z moją rodziną! Ale słuchaj, tato, wspominam szczególnie tę wycieczkę na pole bitwy pod Gettysburgiem, dzieje Pensylwanii i Wirginii, pojechaliśmy tam, kiedy byłem na studiach. Pamiętam pierwszy raz, jak wybraliśmy się do Canyonlands, Zion, Bryce, Capitol Reef, Arches, we wszystkie te miejsca, które zawsze przyciągały mnie swoim pustynnym urokiem. Dziękuję ci za to. Tyle czasu spędzonego ze wspaniałymi ludźmi.

Potrząsam głową zaskoczony swoim szczęściem. Siła wspomnień uniemożliwia mi ich porządkowanie, łączenie, analizowanie; zaczynają się kotłować, z moich ust płynie chaotyczny potok słów.

- Myślałem też, Erik, wiesz, ta pierwsza podróż, żeby posłuchać muzyki, kiedy pojechaliśmy zobaczyć Grateful Dead w świąteczny weekend czwartego lipca, w dziewięćdziesiątym piątym. Garry Scott, nasza wyprawa na Denali... to był ten czynnik, katalizator, który przyspieszył moją decyzję o porzuceniu pracy. Dzięki. Powodzenia na Evereście, stary. Wiem, że jesteś teraz tam w górze, pewnie w trzecim obozie czy gdzieś tam. Uważaj na siebie, wróć cały i zdrowy. Myślałem też o tym, jak Hudson przyjechał z Phoenix, żebyśmy w rekordowym tempie weszli razem na górę Rainier.

212

Zdrzemnęliśmy się na Disappointment Cleaver, na wysokości trzech tysięcy ośmiuset metrów, o trzeciej nad ranem po wejściu na szczyt, i zaczęliśmy schodzić o drugiej nad ranem. „Jeszcze tylko pięć minut do obozowiska”. Nie było to pięć minut.

Uśmiecham się jeszcze szerzej. Hudson wciąż pytał, jak daleko jeszcze do głównego obozu; widziałem, w którą stronę idziemy, ale blask księżycowej nocy wypaczał moje wyczucie odległości, więc powtarzałem szczerze raz za razem, że dotrzemy do chat za pięć minut, potem znów za pięć, aż wreszcie, po kilkunastu takich „pięciominutowych” zapewnieniach w końcu weszliśmy do obozu, tuż przed wschodem słońca. Miałem szczęście, że Hudson nie wrzucił mnie do rozpadliny za moją kiepską orientację w terenie.

- Wspominałem, Chip, jak ty i ja pojechaliśmy do Flagstaff i z powrotem. To było kolejne szybkie

wejście. Och, stary, tyle niewiarygodnych chwil. I te miejsca, gdzie byłem ze swoim przyjacielem Erikiem Kemni-tzem, w jego domu w Rochester, podczas weekendu w college'u. I jak pojechałem kilka razy do Kalifornii spotkać się z Sohą, Craigiem i Buckiem, chyba nawet zaprowadziłem dwóch z was na pierwszy koncert Phish.

Zmęczenie nie pozwala mi mówić spójnie. Samo to, że tak długo pozostaję przytomny, nadweręża moje siły umysłowe. Muszę odpocząć, ale nie mogę spać. Opieram łokieć o południową skałę, podtrzymuję dłonią głowę i ciągnę:

- Bryan Long, ta wyprawa zeszłego roku. Jazda rowerem po górach, wędrowniki i gorące źródła, potem dwa koncerty Cheese, potem jeszcze dwa. Zach, dzięki, że byłeś przyjacielem, tamtego dnia poszliśmy zdobywać szczyt Sandra z Erikiem. Och, to był ubaw. Cenię sobie te wszystkie chwile, tylu fajnych ludzi w życiu. Rana, nasza wyprawa do Telluride, żeby obejrzeć i posłuchać Cheese. To był mój najlepszy w życiu „ostatni dzień”, jeździliśmy na nartach z warkoczykami, w ufarbowanych koszulach i z różowymi odbłaskowymi boa, daliśmy wtedy czadu.

Pod wpływem uśmiechu pękają mi wysuszone wargi. Potrzebuję balsamu, ale zaczekam z tym jeszcze chwilę. Nawet dręczący ból napętnia mnie wdzięcznością wobec ludzi, których kocham.

- A więc dziękuję wszystkim. Dziękuję za wspaniałe chwile. Doceniam każdego z was, bez wyjątku. Norm i Sandy, traktuję was jak rodzinę, która mieszka z dala od domu. Dziękuję rodzicom wszystkich przyjaciół za to,

213

że wychowali tak wspaniałych ludzi, którzy mieli swój udział w moim życiu. Moi przyjaciele z Aspen, ci, z którymi przebywałem przez ostatnie pół roku, piękni, naprawdę piękni ludzie, wszyscy bez wyjątku, dziękuję wam. Bryan i Jenn Welker, Bryan Gonzales i Mike Check, dzięki. Rachel, jesteś wspaniałą kobietą, dziękuję ci. Mógłbym powiedzieć to samo o bardzo wielu ludziach w swoim życiu. Na szczęście mam okazję zrobić to teraz. Kocham was wszystkich. Uściski.

Rany. Jak się teraz czuję? Lepiej? Zastanawiam się, czy nie jest tak, jakby przelatywało mi przed oczami życie, ale nieco wolniej. Co sprawia, że umysł reaguje na śmierć refleksją? Zawsze sądziłem, że ludzie, widząc w ostatniej chwili swoich bliskich, żegnają się z nimi w ten sposób, lecz zważywszy na to, co dały mi wspomnienia - pozytywną energię, uśmiech, poczucie szczęścia - zaczynam dopatrywać się w tym jakiegoś wyższego celu. Być może cała ta filmowa taśma z najważniejszymi chwilami to objaw instynktu przetrwania, coś zakorzenionego w naszej podświadomości, ostatni trik, jaki mózg ma w zanadrzu, by kontynuować własne istnienie. Przypuszczam, że w chwili gdy adrenalina nie może pobudzić tego ostatniego impulsu - walcz albo giń - nagły przyptyw wspomnień staje się działaniem awaryjnym, które motywuje nas do walki, nawet jeśli uważamy, że nie ma ona najmniejszego sensu, że nie jesteśmy już do niej zdolni. W sytuacji nieuniknionej zagłady do akq'i włącza się nagle rdzeń przedłużony i mówi: „Myślisz, że to koniec? A ci wszyscy ludzie, którym zależy na tobie? A ci wszyscy ludzie, na których tobie zależy?”. I nagle bum! Masz trochę więcej ikry i energii. Może właśnie dlatego samobójstwo wydaje się najbardziej kuszące, kiedy w pobliżu nie ma ludzi, którzy mogliby ci powiedzieć, że cię kochają, albo kiedy cię nie obchodzi, że cię kochają -nie ma tego wewnętrznego błysku wspomnień, system awaryjny zawodzi. Może jest to główny powód, dla którego umysł gromadzi wspomnienia -żeby dać bodziec upartemu ciału, kiedy zaczyna się końcowa rozgrywka. No cóż, nieważne. Najważniejsze, że jestem szczęśliwy i podniesiony na duchu, trzeba dać sobie spokój z psychologicznym bełkotem. Czuję się dobrze i to się liczy najbardziej.

* * *

Nadchodzi południe, czekam na śmierć przykuty do ściany kanionu. Dzięki wprawie, której nabrałem, jeśli chodzi o uprzęż, znalazłem najwy-

214

godniejszy kąt dla kolan, optymalną wysokość dla nylonowej pętli daisy chain, najlepsze miejsce dla liny zwiniętej jak poduszka przy goleniach. W miarę możliwości zadbałem o swoje ciało przy użyciu dostępnych materiałów. Dziwne, ale znów chce mi się siusiać. Postanawiam przelać obecny zapas moczu, zanim rozepnę zamek błyskawiczny spodenek, ale oddzielenie tej czystej, górnej porcji płynu w bukłaku będzie wymagało precyzyjnej koordynacji ruchowej, prawdziwe wyzwanie. Ściskam pustą butelkę między udami, starając się trzymać ją maksymalnie prosto, i zdejmuję zębami zatyczkę bukłaka. Przechylam go, jeden narożnik dna jest wyżej niż drugi, i osady opadają na bok. Ściskam palcami zawór i powolutku przelewam płyn do butelki, podczas gdy warstwa soli pozostaje na swoim miejscu. Zatykam butelkę, stawiam ją na głazie, a następnie opróżniam niebieski bukłak z resztek, wytrząsając je na piasek za moimi stopami. Rany. Ale śmierdzi.

Dobrze, to oznacza, że pozbyłeś się paskudztwa.

Siusiam do bukłaka i zamykam go szczelnie, potem odstawiam na kamień, obok butelki. Ta porcja moczu ma jak dotąd najciemniejszą barwę, odznacza się ostrą wonią i jest ciepła. Poczekam, aż ostygnie, zanim znów ją przeleję - smak nie będzie taki wyraźny.

Około wpół do drugiej we wtorek postanawiam znów się pomodlić. Tym razem znam odpowiedź na pytanie, co powinienem zrobić. Pozostało mi tylko jedno - czekać na śmierć albo ratunek, najprawdopodobniej na to pierwsze. Zamiast więc prosić o oświecenie czy radę, proszę o cierpliwość.

- Boże, to znowu ja, Aron. Wciąż potrzebuję Twojej pomocy. Robi się kiepsko. Nie mam wody ani jedzenia. Wiem, że niedługo umrę, ale chcę, by dokonało się to w sposób naturalny. Postanowiłem, że bez względu na to, co mnie czeka, nie odbiorę sobie życia. Przyszło mi do głowy, że mógłbym to zrobić, ale nie chcę tak odchodzić. Nie przypuszczam zatem, bym miał przetrwać jeszcze jeden dzień - upłynęły już trzy - nie przypuszczam, bym miał dotrzeć do południa we środę. Proszę Cię jednak, Boże, daj mi siłę i wytrwałość, dzięki którym nie targnę się na swoje istnienie.

Zamierzam doprowadzić rzecz do końca, bez względu na to, jak ten koniec będzie wyglądał.

215

* * *

Upływa trzecia doba mojej niewoli. Nie ma już wody, którą musiałbym oszczędzać, nie ma już metody ratunku, którą należałoby rozważyć.

O trzeciej, kiedy nie pozostało nic, co wymagałoby decyzji, moja egzystencja sprowadza się do jednego: zadbać o siebie w miarę możliwości, fizycznie i mentalnie. Fizycznie nie muszę nic robić aż do zapadnięcia nocy - popołudnie to najcieplejsza pora, więc wystarczy, że będę zmieniał pozycję, by uaktywnić jakoś krążenie krwi.

Niemożność zaspokojenia jakichkolwiek potrzeb ciała pozwala mi skupić niemal całą uwagę na zachowaniu jasności umysłu. Brak snu powoduje, że zewnętrzne bodźce wydają się ledwie realne, a niektóre wręcz nie są. Od chwili, gdy rozwiązałem zagadkę gryzonia, usłyszałem coś jeszcze dwukrotnie, ale to nie były rzeczywiste dźwięki, a jedynie omamy sfabrykowane przez mój umysł, by wypełnić czymś dźwiękową pustkę kanionu. Świadome myśli łączą z ich realnym źródłem bardzo cienką nić. Boję się, że coś niespodziewanego

zmusi mnie podstępnie do podjęcia pochopnej albo niebezpiecznej decyzji. Czas upływa szybciej, kiedy oddaję się wspomnieniom. Wracam do nich raz po raz. Uświadamiam sobie, że podczas nagrywania pominąłem bardzo bliskiego przyjaciela; pora znów włączyć kamerę.

W kanionie słysząc echo mojego oddechu, jest wysilony i płytki. Próbuję go uspokoić, ale muszę przerywać co parę słów. Zmęczenie osłabiło mi mięśnie szyi, muszę podtrzymywać głowę lewą dłonią, tak jak robiłem to wcześniej.

- Kontynuując temat... myślałem o Marku Van Eeckhoucie, o tych wspaniałych chwilach, które razem spędziliśmy. Nasza podróż samochodem do Aravaipa, kiedy siedziałem z tyłu twojego wozu, słuchając z Angie tych tandetnych kawałków z lat osiemdziesiątych. Albo kiedy zjeżdżaliśmy na nartach z małego szczytu Williams niedaleko Flagstaff.

1 nasz wielki dzień na śniegu w Wolf Creek, jeden z moich najwspanialszych dni w narciarskim życiu. Wszystkie dni spędzone razem w Pajarito, odwiedziny w Los Alamos, kolarstwo górskie, wspinaczki. Wyprawa do Baldy, moja pierwsza eskapada na bezdroża. Wszystkie wycieczki z Pa-tchettem podczas dni Święta Pracy, człowieku, tyle wspaniałych chwil. Cztery Święta Pracy z rzędu, tak mi się wydaje. Każde było super. Szczyt Vestal i ta wyprawa na Wham Ridge, w następnym roku Pigeon, rok póź-

216

niej Jagged, a jeszcze rok później Dallas. Odbylem z wami najlepsze ze swych wypraw. Rany.

Zmęczonemu uśmiechowi na mojej twarzy towarzyszy cichy jęk. Po chwili milczenia zmieniam temat, przypominając sobie kwestie finansowe, które rodzina będzie musiała uporządkować.

- Trochę o sprawach praktycznych. Mam akcje CompuServe, UBS Paine Weber, wszystko w walizczkach pod wieszakiem na ubrania w Aspen, znajdziecie tam informacje na ten temat. Pozbyłem się akcji Delphi, wciąż mam akcje GM. Mogą być dla Sonji albo dla mamy i taty, jeśli chcecie je wykorzystać. Co do zespołu poszukiwawczo-ratowniczego, który odnajdzie moje ciało, myślę, że wypada wynagrodzić tym ludziom wysiłek.

Świadomość, że załatwiłem te podstawowe kwestie i ułatwiłem rodzicom rozporządzenie swoim skromnym majątkiem, sprawia mi przyjemność. Ale tak naprawdę bezustannie prześladowuje mnie myśl o jedzeniu i piciu.

0 zimnych napojach, owocach, deserach, o wszystkim, co jest wilgotne

1 soczyste.

- Rany boskie, nie mogę przestać myśleć o soku grejpfrutowym, mar-garicie, OJ, lodach na patyku, o tych wszystkich pysznościach, które chciałbym teraz mieć pod ręką. O pomarańczy, mandarynce. Nie mogę się powstrzymać, żeby sobie tego nie wyobrazić. Myślę też, że jeśli mam cholerne szczęście i ktoś powiadomił tatę i mamę, to przynajmniej zdajecie sobie sprawę, że zaginałem... trudno powiedzieć.

Chcę, by moi rodzice wiedzieli, że kiedy uświadomili sobie moje zniknięcie, ja wciąż żyłem.

* * * ,

Mniej więcej czterdzieści minut później, przed czwartą, odwijam z papierka ostatni kawałek burrito. Błada tortilla zaschła wokół bardziej miękkiego fasolowego nadzienia. Nie jest wilgotne. Tamten kęs w południe

przypominał tekturę i zapewne wchłonął resztki płynów w moim ciele. Ponownie zaczynam się zastanawiać, czy zjedzenie tego przyniesie jakiegokolwiek korzyści. Czy ten ostatni kawałek spowoduje jeszcze większe wysuszenie mojego organizmu, czy też da mi siłę? Nie wiem. Wiem tylko to, że jestem głodny. Z umieszczonej na opakowaniu informacji o wartościach odżywczych wynika, że w ciągu ostatnich siedemdziesięciu

217

dwóch godzin spożyłem łącznie pięćset kalorii zawartych w dwóch burri-to; przypuszczam, że ostatni kęs zawiera około pięćdziesięciu kalorii. Kiedy jestem aktywny, pochłaniam dwukrotną porcję zalecanej dziennie ilości jedzenia, od czterech do pięciu tysięcy kalorii na dobę. Moje ciało, funkcjonując od niedzieli bez koniecznego paliwa, zaczyna spalać samo siebie, żeby wyrównać różnicę. Biorąc pod uwagę, jak niewiele czasu mi pozostało, jest bez znaczenia, czy zjem to burrito, czy nie, ale przynajmniej będę miał coś w żołądku.

Wsuwam wysuszony kawałek do ust i przeżuвам dwadzieścia sekund, potem biorę łyk moczu z butelki, żeby zmiękczyć tę masę. Fuj, obrzydli-stwo. Krzywię się, przeżuając przez następne dziesięć sekund, wreszcie połykam odrażającą papkę, popijając jeszcze jednym gorzkim łykiem uryny. Trzeba było pewnie zanurzyć ten kawałek w moczu, a dopiero potem, korzystając z resztek śliny, połknąć; nieważne, nie będę musiał doświadczać czegoś takiego ponownie, ponieważ nie mam już jedzenia. Wylizałem opakowania po batonach, przetrząsnąłem torbę w poszukiwaniu okruchów babeczek, zjadłem burrito. Koniec. Teraz jestem na diecie moczowej.

Znów biorę do ręki kamerę, żeby się czymś zająć i udokumentować fakt, że właśnie skończyły mi się zapasy żywności. Mrugam ociężałe kilka razy i zaczynam się filmować; mówię bardzo powoli, robiąc długie przerwy między zdaniem. Zauważam, że mój głos ma wyższy ton, i zastanawiam się, czy odwodnienie napina mi struny głosowe.

- Wtorek, czwartą po południu. Temperatura w granicach siedemnastu, dwudziestu stopni. Po prostu powtarzam liczby dla wprawy. Nie ma wielkiej nadziei dla tego dzieciaka, który tu siedzi. Próbowałem właśnie zjeść ostatni kawałek burrito i musiałem popić go łykiem moczu, tego, który utrzymał się w górnej części butelki. Gęstsza część osiadła na dnie, ale to nie drink owocowy z lodem. Chętnie bym się czegoś takiego napił.

- Nie chcę tego zakończyć, nie mówiąc „kocham was” obu babciom i obydwu dziadkom - Andersonom i Ralstonom. Dziadkowie, zobaczymy się niedługo. Babcie, kocham was obie, dumne matrony. Do wszystkich krewnych w Ohio, kocham was. Jestem dumny, że należę do tej rodziny.

Tak bardzo pragnę znów ujrzeć bliskich, ale wiem, że właśnie zaczęło się długie i ponure odliczanie, którego kresem jest moja śmierć. Zapowiada się ciężka noc.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sygnaly ratunku

Dum spiro, spero

Fragment oficjalnego motta Karoliny Południowej. Dosłownie: „Dopóki oddycham, żywię nadzieję”. A w bardziej swobodnym tłumaczeniu: „Póki życia, póty nadziei”.

sobotę po południu Kristi i Megan minęły krzyżówkę, gdzie

widziały mnie po raz ostatni, dotarły do West Fork i zasiadły do posiłku. Odpoczywały i gawędziły przez pół godziny, potem spakowały resztki jedzenia i wyruszyły wzdłuż kanału wyżłobionego przez wodę. Po niespełna godzinie straciły orientację i nie potrafiły odczytać prawidłowo mapy, nie bardzo wiedząc, jak obejść ślepą odnogę wąwozu pod cztero-ipółmetrowym progiem, który wyrasta z dna kanionu. Cofnęły się, potem znów ruszyły w górę wąwozu, zaczęły krążyć pod progiem - przez godzinę próbowały odczytać właściwie instrukcje, które nakazywały ominąć urwiska z prawej strony kanionu.

- Jeśli tam pójdziemy, to trzeba będzie wejść w prawą odnogę wąwozu. To chyba niewłaściwa droga. - Kristi wskazała dwie połączone odnogi, które prowadziły w głąb kanionu. - A ta półka z lewej strony nie wygląda zbyt pewnie.

- Tak. Też nie zamierzam wspinać się na ten nawis. Ale jak inaczej mamy się tam dostać?

219

Płyta piaskowca, przed którą stała Megan, była niebezpiecznie stroma, zawijała się nawet u góry. Wertując przewodnik, Megan znalazła odsyłacz do strony poświęconej Blue John Canyon.

- Okej, mam. Posłuchaj: „Idź wzdłuż prawej (wschodniej) strony małym szlakiem, aż dotrzesz do dwóch stromych odcinków”. Jesteś pewna, że to strona wschodnia?

- Nie wydaje mi się, by którakolwiek z nich była wschodnia. Kierunek wschodni to kanion, czyli tam, skąd przyszliśmy. Nie rozumiem; nie ma wschodniej strony. Mogę spojrzeć na mapę?

- Jasne, masz. - Megan podała mapę Kristi, przesuwając palcem po stronie przewodnika.

- Boże, szkoda, że nie ma tu Arona, zorientowałby się w mgnieniu oka. - Westchnęła i znów zaczęła szukać na mapie właściwej trasy. - Okej, zostawiłyśmy mój rower tutaj, na początku West Fork. A jesteśmy tutaj... albo gdzieś w tej okolicy. Nie wyszłyśmy z głównego wąwozu. Tak, musimy pójść w lewo. Dlaczego to jest napisane „w prawo”?

- Boże! - wypaliła nagle Megan. - Ale z nas idiotki, Kristi. Z prawej strony, jeśli idzie się w głąb kanionu. Ale my w tej chwili się cofamy. „Mały szlak” jest po naszej lewej ręce. Musi gdzieś tu być. - Wskazała w lewo.

- Rany, to śmieszne. Jak mogliśmy to przeoczyć?

Kristi była zdruzgotana faktem, że popełniły tak amatorski błąd (podobny do tego, który się popełnia, trzymając mapę do góry nogami).

Megan odnalazła po lewej stronie piaszczystą półkę, która przylegała do ściany kanionu jak rampa dla wózka inwalidzkiego. Weszły tamtędy na próg, by ruszyć wzdłuż wyschniętego koryta, aż znalazły ślady stóp, które znikwały na piaszczystym zboczku oznaczonym miniaturowymi jarami i wyżłobieniami pozostawionymi przez wodę. Dwie godziny później, dobrze po siedemnastej, dotarły do głównej drogi, przy której stał rower Kristi, przymocowany łańcuchem do sosny. Dziewczyny zagrały w „kamień-papier-nożyce”, żeby wylosować, która pojedzie po samochód Kristi zaparkowany przy końcu szlaku prowadzącego do Granary Spring. Padło na Kristi. Podczas jazdy rozglądała się po płaskowyżu, szukając swojego roweru górskiego. Gdyby wiedziała, w którą stronę ma patrzeć, to by go dostrzegła; stał oparty o jałowiec trzysta metrów od lewego pobocza, mniej więcej w połowie drogi do końca szlaku. Zanim umoco-

220

Płyta piaskowca, przed którą stała Megan, była niebezpiecznie stroma, zawijała się nawet u góry. Wertując przewodnik, Megan znalazła odsyłacz do strony poświęconej Blue John Canyon.

- Okej, mam. Posłuchaj: „Idź wzdłuż prawej (wschodniej) strony małym szlakiem, aż dotrzesz do dwóch stromych odcinków”. Jesteś pewna, że to strona wschodnia?
- Nie wydaje mi się, by którakolwiek z nich była wschodnia. Kierunek wschodni to kanion, czyli tam, skąd przyszliśmy. Nie rozumiem; nie ma wschodniej strony. Mogę spojrzeć na mapę?
- Jasne, masz. - Megan podała mapę Kristi, przesuwając palcem po stronie przewodnika.
- Boże, szkoda, że nie ma tu Arona, zorientowałby się w mgnieniu oka. - Westchnęła i znów zaczęła szukać na mapie właściwej trasy. - Okej, zostawiłyśmy mój rower tutaj, na początku West Fork. A jesteśmy tutaj... albo gdzieś w tej okolicy. Nie wyszliśmy z głównego wąwozu. Tak, musimy pójść w lewo. Dlaczego to jest napisane „w prawo”?
- Boże! - wypaliła nagle Megan. - Ale z nas idiotki, Kristi. Z prawej strony, jeśli idzie się w głąb kanionu. Ale my w tej chwili się cofamy. „Mały szlak” jest po naszej lewej ręce. Musi gdzieś tu być. - Wskazała w lewo.
- Rany, to śmieszne. Jak mogliśmy to przeoczyć?

Kristi była zdruzgotana faktem, że popełniły tak amatorski błąd (podobny do tego, który się popełnia, trzymając mapę do góry nogami).

Megan odnalazła po lewej stronie piaszczystą półkę, która przylegała do ściany kanionu jak rampa dla wózka inwalidzkiego. Weszły tamtędy na próg, by ruszyć wzdłuż wyschniętego koryta, aż znalazły ślady stóp, które znikwały na piaszczystym zboczku oznaczonym miniaturowymi jarami i wyżłobieniami pozostawionymi przez wodę. Dwie godziny później, dobrze po siedemnastej, dotarły do głównej drogi, przy której stał rower Kristi, przymocowany łańcuchem do sosny. Dziewczyny zagrały w „kamień-papier-nożyce”, żeby wylosować, która pojedzie po samochód Kristi zaparkowany przy końcu szlaku prowadzącego do Granary Spring. Padło na Kristi. Podczas jazdy rozglądała się po płaskowyżu, szukając swojego roweru górskiego. Gdyby wiedziała, w którą stronę ma patrzeć, to by go dostrzegła; stał oparty o jałowiec trzysta metrów od lewego pobocza, mniej więcej w połowie drogi do końca szlaku. Zanim umoco-

220

wała swój rower na bagażniku terenówki zaparkowanej niedaleko szlaku Granary Spring i wróciła samochodem po Megan, doszła do wniosku, że upłynęło już dostatecznie dużo czasu, bym zdążył wyjść im na spotkanie, na które się spóźniły.

Zjeżdżając na pobocze drogi, gdzie czekała Megan, Kristi spuściła szybę i zażartowała: „Hej, ty tam, podwieźć cię?”.

Kiedy już rozsiadły się w fotelach, Megan spytała:

- Może powinniśmy wrócić na szlak do Granary Spring i poczekać na Arona?
- Myślę, że dotarł tam przed nami.

Megan nie bardzo chciała w to wierzyć.

- Nie ma mowy, miał z szesnaście kilometrów do przejścia. To niemożliwe, żeby wyszedł już z kanionu i zaczął nas szukać.

- Ale rozglądałam się za jego rowerem i go nie zauważyłam. Chyba już sobie pojechał. Wybrał się pewnie do Gobiin Valley, na tę imprezę.

Megan doszła do wniosku, że Kristi przeoczyła gdzieś mój rower i że zjawię się za godzinę czy dwie.

- Nie powinniśmy wrócić i sprawdzić, czy wyszedł z kanionu?

Kristi niepokoiła się o zapas benzyny, wiedząc, że do najbliższej stacji jest około czterdziestu kilometrów. Zawahała się.

- Jeśli zaczniemy krążyć, to nie dojedziemy do Hanksville. Mamy paliwa na jakieś pięćdziesiąt kilometrów; musimy jechać, zatankować i spotkać się z nim w Gobiin Valley, zanim się ściemni.

Megan, nie bardzo pewna swego, zgodziła się i przyjaciółki pojechały do Hanksville, ' żeby zatankować, a potem uraczyć się hamburgerami i shakiem mlecznym w podrzędnej restauracji „U Stana”.

Godzinę później, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Brad i Leah przemierzali pustynne odludne drogi w Gobiin Valley, Kristi i Megan zjechały z autostrady do parku stanowego, z myślą o tej samej imprezie. Duża tablica informowała, że na biwaku nie ma już miejsc. Kristi zatrzymała samochód, żeby się zastanowić, co dalej.

- Może wybierzemy się na biwak i sprawdzimy, gdzie jest ta impreza? - zasugerowała Megan.

- Sama nie wiem. - Kristi roześmiała się, a potem wyjaśniła: - To zabawne, przez cały dzień nie mogłyśmy się na coś zdecydować. „Mamy czekać czy jechać na stację benzynową? Mamy iść w tę czy w tamtą stronę?”.

221

m

- Może być wesoło, ale jestem zmęczona.

- Ja też. - Potem Kristi zaczęła się wahać. - Ale może być fajnie.

- Wiesz, jak się to skończy? Pójdziemy tam i wszyscy będą pić, my też. Zrobi się ciemno, na kempingu nie ma miejsc, zalejemy się i trzeba będzie szukać na pustyni miejsca na biwak.

Doszedłszy do wniosku, że znajdą mnie nazajutrz rano w Little Wild Horse Canyon, Kristi i Megan zawróciły i ruszyły autostradą w stronę kanionu, do miejsca, gdzie kończył się asfalt. Zaparkowały przy bocznej drodze i przenocowały. W niedzielę rano, po krótkich przygotowaniach, szybko pokonały niedługą trasę i zatrzymały się obok toyoty tacoma na parkingu dla turystów chcących zwiedzić Little Wild Horse. Kristi pierwsza zauważyła samochód.

- Ty, pamiętasz, czym jeździ Aron?

- Hm. Chyba nam nie mówił - odparła Megan, wciąż zmęczona po trudach wędrówki kanionem Blue John.

- To pewnie jego toyota - powiedziała Kristi. - Na bagażniku są narty i rower. I ma tablice rejestracyjne

Kolorado. Założę się, że to jego samochód.

- Aron prawdopodobnie wszedł już do kanionu - zauważyła Megan.

Kristi przytaknęła.

- Tak, jest już w pół do dwunastej. Pewnie zaczął wędrówkę.
- Może zostawimy mu pod wycieraczką kartkę z naszymi zamiarami, tak na wszelki wypadek, gdybyśmy nie znalazły go w kanionie.
- A jeśli to nie jego pikap?

Megan, z myślą o przyszłych wycieczkach, miała w zwyczaju wymieniać się z ludźmi e-mailami, lubiła też ich zapraszać do Moab. Była zaskoczona, że nie zrobiła tego wcześniej, ze mną.

- No cóż, jeśli to jego samochód, to będzie miał nasze adresy, a jeśli nie, to właściciel samochodu po prostu je wyrzuci.
- To jest kanion z wejściem i wyjściem. Jeśli tam jest, to go spotkamy, kiedy z niego wyjdzie.
- No dobra. Zjemy lunch, zanim sprawdzimy, czy Aron się pojawi?
- Hm, nie jestem za bardzo głodna.

Kristi była gotowa na wędrówkę i odkrywanie nowych terenów.

W trakcie marszu Megan wciąż się zastanawiała, czy spotkają mnie w Little Wild Horse.

222

- Myślisz, że wszedł już do wąwozu i wyszedł z drugiej strony?

Kristi rozważała to pytanie przez kilka sekund.

- Myślę, że albo wstał bardzo wcześnie i zdążył już przejść cały kanion, albo ma takiego kaca, że postanowił dać sobie dziś spokój.
- Dlaczego nie wzięliśmy od niego numeru komórki?
- Mieliśmy się wkrótce spotkać.
- Tak, ale to dziwne. Zazwyczaj wymieniam się numerami telefonów albo e-mailami, a tym razem tego nie zrobiliśmy. Był bardzo miły. Niesamowite, że spotkaliśmy się w kanionie i że szedł z nami, choć mógł nas po prostu minąć.

Dziewczyny spędziły całe przedpołudnie na zwiedzaniu wąskich odcinków kanionu. Na koniec zawróciły i wyszły z wąwozu w tym samym miejscu, niedaleko parkingu. Po załadowaniu terenówki tym, co pozostało po weekendzie spędzonym na pieszych wycieczkach, pojechały z powrotem przez Green River do Moab. Było niedzielne popołudnie. Megan zadawała sobie pytanie, co się ze mną stało, ale żadna z nich nie podejrzewała niczego niezwykłego. Istniało zbyt wiele racjonalnych wyjaśnień. Nie martwiły się, czy jeszcze mnie zobaczą; rozmawiały o tym, jak świetnie się bawiły podczas weekendu i jak dobrze było się wyrwać na chwilę z pracy. Przyznały, że nie uśmiecha im się wracać nazajutrz do magazynów firmy, by przygotować zaopatrzenie dla następnych wypraw. Nie miały ochoty zamieniać pełnych beztroski pustynnych wędrówek

na siedzenie w biurze, ale postanowili, że niedługo znów się wybiorą na wycieczkę, co trochę osłodziło ppwrót do cywilizacji.

* * *

Kiedy już Brad i Leah pomogli mi we czwartek po południu wyciągnąć samochód z lodu i błota, opuścili okolice Sopris w pobliżu Carbondale i ruszyli malowniczą autostradą przez zalesioną przełęcz McClure, kierując się ku południowo-zachodniej części Kolorado. Było już dobrze po zmroku, kiedy zjechali z autostrady 550 do malowniczego miasteczka górniczego Silverton, gdzie zaparkowali przy głównej ulicy i przesпали się w tylnej części samochodu Brada. Leah była w czwartym miesiącu ciąży, więc nazajutrz udała się z mamą na zakupy do Durango, a Brad wybrał się z kolegami ze sklepu na narty na Silverton Mountain. Przez cały sezon oszczędzali napiwki, żeby opłacić wyprawę na niedawno otwarty profe-

223

sjonalny stok narciarski; bilety na wyciąg kosztowały ponad sto dolarów, ale w cenę wliczony był przewodnik i możliwość szaleństwa, o którym marzą wszyscy amatorzy sypkiego śniegu. Tego wieczoru Brad i jego przyjaciele wynajęli pokój w miejscowym hotelu, żeby odespać skutki lokalnego festiwalu piwa. Jedną z atrakcji był kulig topless u podnóża stoku. Po dość późnej pobudce następnego ranka Brad pojechał do Durango spotkać się z Leah. Ruszyli Diabelską Autostradą, słynną trasą 666, ku pustyni Utah. Późnym popołudniem, w sobotę, kiedy zmierzali na północ autostradą 96, Leah wyjęła ich telefon komórkowy, czekając, aż zadzwonię, żeby ustalić miejsce spotkania przed imprezą w Gobiin Valley tego wieczoru.

Około dziewiętnastej skierowali się na zachód ku płaskowyżowi San Rafael autostradą 24. Leah zauważyła, że kiedy jadą po niższych odcinkach drogi, nie ma zasięgu. Sygnał pojawiał się tylko wtedy, gdy samochód pokonywał niewielkie wzniesienia.

- Może do niego zadzwonimy? - spytała.
- Nie ma komórki. Powiedział, że zadzwoni ze stacjonarnego, żeby dostać namiary.
- Wiesz co? Zanim całkowicie stracimy zasięg, powinniśmy sprawdzić wiadomości. Zawróć do tego wzniesienia, które minęliśmy. Miałam tam cztery kreski na wyświetlaczu.

Zrobiona domowym sposobem składana drewniana przyczepa kempingowa zakotysała lekko samochodem podczas zawracania na wąskiej dwupasmówce.

- Okej, zatrzymaj się tam, na tym wzniesieniu. - Leah sprawdziła trzy wiadomości na telefonie, ale żadna nie była ode mnie. - Dziwne, że nie zadzwonił. Mówił, że na pewno się zjawi?
- Właściwie niczego nie obiecywał - odparł Brad. - Powiedziałem mu o imprezie i że tam będziemy, i że będą ludzie z Aspen, których zna. Wydawał się zainteresowany i powiedział, że się skontaktuje, żeby wziąć namiary.
- Może się rozmyślił. Poczekamy tu, żeby sprawdzić, czy zadzwoni?
- Nie miał żadnych konkretnych planów przed wyjazdem. Chciał się trochę powłóczyć po bezdrożach, wyrwać z miasta. Wiesz, jak to jest po sezonie. Trzeba chyba jechać i poszukać tego billboardu.

Jeden z przyjaciół Brada obiecał zostawić wiadomość z bardziej szcze-

224

*

gotowymi wskazówkami przyklepioną do tablicy przy wjeździe do parku stanowego, gdyby coś się w ostatniej chwili zmieniło.

Po pięciu minutach jazdy z lewego tylnego koła zeszło powietrze. Brad stwierdził, że ciśnienie w kole zapasowym też jest niebezpiecznie niskie. Posuwając się w żółtym tempie ośmiu kilometrów na godzinę, kontynuowali podróż w stronę Gobiin Valley State Park. Brad przypomniał sobie, że główną wskazówką miał być pluszowy Scooby-Doo, umieszczony na drzewie jałowca i wskazujący skręt w lewo. Wieczne słońce świeciło Bradowi prosto w oczy, zamieniając pokrytą kurzem przednią szybę w szarą zasłonę. Przeoczyli zjazd i krążyli przez godzinę, podczas gdy słońce zniżało się coraz bardziej, a pustynia pogrążała w mroku.

Zmęczeni po całodziennym jeździe nie mieli ochoty kręcić się po bocznych drogach parku stanowego osiem kilometrów na godzinę; Brad skręcił w jakiś płytki kanion przy poboczu, gdzie znalazł w miarę płaski teren, i poszli spać do przyczepy. Nie martwili się zbyt tym, że nie dotarli na imprezę. Byli wesołą, pełną luzu parą w podróży, która mogła im jeszcze sprawić niejedną przyjemność; wiedzieli też, że to nie ostatnia impreza po sezonie. W niedzielę rano, mając za przewodnika blask słońca, zaczęli objeżdżać okolicę i w końcu natrafili na ślady przyjęcia - znajomych, którzy leżeli w różnych miejscach pustynnego krajobrazu, jakby w pobliskim parowie rozbił się samolot. Jeden z nich doszedł do siebie na tyle, by zabrać obydwójce do oddalonego o godzinę Green River, gdzie naprawili opony. Wrócili na miejsce wczesnym popołudniem.

Doszedłszy do wniosku, że nie udało mi się dotrzeć na imprezę albo że znalazłem sobie coś ciekawszego do roboty, Brad i Leah nie niepokoili się moją nieobecnością. Pozostały im tylko dwa dni w Aspen przed wyjazdem na Bahamy, gdzie zamierzali spędzić miesiąc miodowy, mieli więc na głowie przygotowania do podróży. Przypuszczali, że spotkamy się

w poniedziałek wieczorem na imprezie w domu przy Spruce Street.

* * *

Poniedziałek był wariackim dniem w moim lokum. Mieszkańcy szykowali się do pierwszej posezonalnej imprezy, wielkiego przyjęcia z okazji nowej pory roku i nowych lokatorów. W chwili zamknięcia czterech tras narciarskich w Aspen nastąpił oficjalny koniec sezonu. Po przepracowaniu w sklepie całej zimy Leona Sondie wyjeżdżała do Boulder, gdzie zamierzała pra-

22

cować przez lato jako architekt krajobrazu. Miał się do nas wprowadzić Elliot Larson, by wraz ze swoim kolegą z drużyny rowerowej, Joem Whea-donem, Brianem Payne'em i ze mną stworzyć czteroosobowy zespół. Brian wrócił do miasta po dwumiesięcznej nieobecności - z powodu styczniowego wypadku na nartach musiał się przenieść do domu rodziców w Ohio, gdzie dochodził do siebie i rehabilitował się - ja zaś miałem wrócić ze swoich krótkich wakacji. Była to jedna z rzadkich okazji, kiedy mogliśmy spotkać się wszyscy. Fakt, że był to wieczór dnia pracy, nie miał większego znaczenia wobec skali przedsięwzięcia; zresztą tylko nielicznych uczestników czekały nazajutrz poważne obowiązki. Koniec sezonu oznaczał dla wielu wytchnienie od codziennej harówki. Przygotowania obejmowały kupno beczki piwa, zgromadzenie produktów na grilla, rozwieszenie dekoracji świetlnej, zaproszenie pięćdziesięciu ludzi i usunięcie ściany między garażem a salonem w celu uzyskania dodatkowego miejsca w naszym domu

0 powierzchni stu metrów kwadratowych.

Siedziba pod numerem 560 przy Spruce Street przeszła w ciągu swego ponadstuletniego żywota liczne

przebudowy, podobnie jak wiele starszych budynków w dzielnicy Smuggler Mine w Aspen. W rezultacie dom miał dość nietypowy i trochę zwariowany charakter, na przykład w zachodniej ścianie salonu zainstalowano podnoszoną bramę garażu. Budynek został wzniesiony przez Smuggler Mine Company i pełnił funkcję urzędu probierczego, gdzie pracownicy wazyli rudę srebra

1 oceniali jej czystość. W roku 1894, kiedy w kopalni wydobyto największy na świecie samorodek, najprawdopodobniej pojawił się on w budynku przy Spruce Street, choć nikt w tamtym czasie nie był szczególnie podekscytowany tym znaleziskiem, gdyż rynkiem srebra zatrzęsł wielki krach roku 1893. Największa bryłka spoczywająca na szalach wagi w urzędzie probierczym była warta niewiele więcej od dekoracyjnego kamyka.

W powojennej historii Aspen w domu pod numerem 560 mieścił się sklep z muchami wędkarskimi i wtedy to właśnie zainstalowano wrota garażowe w zachodniej ścianie na parterze, a biuro urzędu probierczego przerobiono na apartament z jedną sypialnią. W wyniku późniejszych renowacji jednopiętrowy budynek w stylu stodoły został podzielony na dwa mieszkania - kawalerkę na górze i apartament z czterema sypialniami na dole. W tym niższym kuchnia otaczała zbudowaną w późniejszych

22

czasach łazienkę z dwoma wejściami, z których jedno znajdowało się bezpośrednio za zlewem. Garaż-sklep stał się salonem, w którym pozostawiono podnoszone wrota. Za nimi, w miejscu podjazdu, skonstruowano taras. Wiosną i latem, przy ładnej pogodzie, można było podnieść ścianę salonu i cieszyć się słońcem i przewiewem w domu albo wynieść na taras jedną ze zdezelowanych kanap i zdrzemnąć się na świeżym powietrzu.

Znajomi zaczęli się zjawiać w poniedziałek wieczorem, łącznie z Bra-dem i Leah oraz Rachel Polver, i nim słońce zaszło za górą Sopris w olśniewającym świetnym spektaklu, zrutkowy posiłek przygotowany na grillu zdążył zniknąć. Rachel była zaskoczona moją nieobecnością podczas tej wyzerki, zważywszy na fakt, że rzadko miałem okazję zaspokoić swój niepowstrzymany apetyt, jednak Leona zapewniła ją, że wrócę z Utah i przyłączę się do zabawy. Przybywało przyjaciół i znajomych, impreza się rozkręcała, muzyka dudniła przez otwartą ścianę salonu, a moi współlokatorzy próbowali ją przekrzyknąć, komentując moją nieobecność.

Elliott, z kubkiem piwa w dłoni, rzucił pytanie:

- Hej, Brian, widziałeś Arona? Zdawało mi się, że jutro pracuje.
- Pewnie nie wrócił jeszcze z tej swojej wycieczki. Nie widziałem go od środy. Wie o przyjęciu? - spytał Brian Leonę.

Leona powtórzyła to, co powiedziała wcześniej Rachel.

- Tak, obiecał, że wróci na imprezę. Uprzedziłam go, że wyjeżdżam we wtorek i że to prawdopodobnie ostatnia okazja zaszaleć, a on odparł, że się zjawi. To moje pożegnalne przyjęcie. Lepiej, żeby go sobie nie odpuszczał. Będę wkurzona.
- Która godzina? Jeśli wróci naprawdę późno, to pewnie padnie jak nieżywy. - Elliott wyraźnie się martwił, że trzeba będzie ściszyć muzykę, jeśli zjawię się w domu tylko po to, żeby zwalić się na łóżko. - Trudno mu będzie spać przy takim hałasie. Może to przewidział i zatrzymał się gdzieś na nocleg.
- Lepsze to, niż gdyby trzeba było wykopać wszystkich z domu. Nie zanosz się, żeby impreza miała się szybko skończyć.

Brian miał rację - impreza potrwała jeszcze trochę. Choć położył się spać krótko przed północą, było dobrze po drugiej nad ranem, kiedy Joe i Leona zdołali przekonać gości, że najwyższy czas złapać autobus i pojechać do domów.

22

czasach łazienkę z dwoma wejściami, z których jedno znajdowało się bezpośrednio za zlewem. Garaż-sklep stał się salonem, w którym pozostawiono podnoszone wrota. Za nimi, w miejscu podjazdu, skonstruowano taras. Wiosną i latem, przy ładnej pogodzie, można było podnieść ścianę salonu i cieszyć się słońcem i przewiewem w domu albo wynieść na taras jedną ze zdezelowanych kanap i zdrzemnąć się na świeżym powietrzu.

Znajomi zaczęli się zjawiać w poniedziałek wieczorem, łącznie z Bra-dem i Leah oraz Rachel Polver, i nim słońce zaszło za górą Sopris w olśniewającym świetlnym spektaklu, zrzutkowy posiłek przygotowany na grillu zdążył zniknąć. Rachel była zaskoczona moją nieobecnością podczas tej wyzerki, zważywszy na fakt, że rzadko miałem okazję zaspokoić swój niepowstrzymany apetyt, jednak Leona zapewniła ją, że wrócę z Utah i przyłączę się do zabawy. Przybywało przyjaciół i znajomych, impreza się rozkręcała, muzyka dudniła przez otwartą ścianę salonu, a moi współlokatorzy próbowali ją przekrzyczeć, komentując moją nieobecność.

Elliott, z kubkiem piwa w dłoni, rzucił pytanie:

- Hej, Brian, widziałeś Arona? Zdawało mi się, że jutro pracuje.
- Pewnie nie wrócił jeszcze z tej swojej wycieczki. Nie widziałem go od środy. Wie o przyjęciu? - spytał Brian Leonę.

Leona powtórzyła to, co powiedziała wcześniej Rachel.

- Tak, obiecał, że wróci na imprezę. Uprzedziłam go, że wyjeżdżam we wtorek i że to prawdopodobnie ostatnia okazja zaszaleć, a on odparł, że się zjawi. To moje pożegnalne przyjęcie. Lepiej, żeby go sobie nie odpuszczał. Będę wkurzona.
- Która godzina? Jeśli wróci naprawdę późno, to pewnie padnie jak nieżywy. - Elliott wyraźnie się martwił, że trzeba będzie ściszyć muzykę, jeśli zjawię się w domu tylko po to, żeby zwalić się na łóżko. - Trudno mu będzie spać przy takim hałasie. Może to przewidział i zatrzymał się gdzieś na nocleg.
- Lepsze to, niż gdyby trzeba było wykopać wszystkich z domu. Nie zanosi się, żeby impreza miała się szybko skończyć.

Brian miał rację - impreza potrwała jeszcze trochę. Choć położył się spać krótko przed północą, było dobrze po drugiej nad ranem, kiedy Joe i Leona zdołali przekonać gości, że najwyższy czas złapać autobus i pojechać do domów.

22

* * *

Nadeszła ósma piętnaście we wtorek rano, a ja nie pojawiłem się w sklepie. Mój szef, Brion After, zadzwonił do domu przy Spruce Street. Leona obudziła się właśnie i krążyła po swoim pokoju; była skacowana i miała podkrążone oczy.

- Cześć, Leona, tu Brion. Jest tam Aron? - w głosie Briona brzmiało nie tyle zaciekawienie, ile cień nadziei, a także odrobina niepokoju.

- Co? Skąd. Nie ma go w sklepie? - Leona natychmiast otrzeźwiała.

- Nie, nie przyszedł ani nie zadzwonił. Myślałem, że może odsypia te swoje wakacje. Stoi tam jego samochód?

Leona zaczęła się kręcić po kuchni ze słuchawką bezprzewodowego telefonu w dłoni i wyglądać przez okna, żeby sprawdzić, czy gdzieś w zatoczce naprzeciwko ogrodzenia stoi mój pikap. Wiedząc, że mam w zwyczaju wykorzystywać wolne chwile do maksimum, pomyślała, że być może jechałem przez całą noc i rano poszedłem prosto do pracy. Zajrzała nawet do mojego pokoju, szukając jakichkolwiek śladów, które wskazywałyby, że byłem tam i wyszedłem, ale niczego nie zauważyła. Sprawa wyglądała dziwnie.

- Może odstawił numer Leony? Pewnie zapomniał, że to jego zmiana.

Oboje roześmiali się z tego niewinnego żartu. Leona wstawiła się kiedyś tym, że zapomniała o swojej zmianie, a tydzień później zaliczyła następną wpadkę, zjawiając się w pracy niezgodnie z grafikiem.

- To niewykluczone, ale kiedy wychodził ostatni raz ze sklepu, powiedział „do zobaczenia we wtorek”. Wiedział, że to jego dzień.

- W takim razie nie wrócił jeszcze z Utah - powiedziała Leona. -Może dotrze za godzinę czy dwie.

- Może. Muszę kończyć, ale sprawdzę jeszcze w grafiku. Kiedy wyjeżdżasz?

- Za jakąś godzinę, jak się spakuję.

- Okej, zadzwoń, jeśli się z nim spotkasz.

- Jasne, cześć.

Leona rozłączyła się i krążyła pod domu z ciężkim sercem. Zaczęła zanosić rzeczy do subaru swojej ciotki Leslie i szykować się do drogi, ale im bardziej zapełniała bagażnik, tym większy odczuwała niepokój.

Wiedząc, że nigdy wcześniej nie spóźniłem się nawet o kwadrans,

228

* * *

Nadeszła ósma piętnaście we wtorek rano, a ja nie pojawiłem się w sklepie. Mój szef, Brion After, zadzwonił do domu przy Spruce Street. Leona obudziła się właśnie i krążyła po swoim pokoju; była skacowana i miała podkrążone oczy.

- Cześć, Leona, tu Brion. Jest tam Aron? - w głosie Briona brzmiało nie tyle zaciekawienie, ile cień nadziei, a także odrobina niepokoju.

- Co? Skąd. Nie ma go w sklepie? - Leona natychmiast otrzeźwiała.

- Nie, nie przyszedł ani nie zadzwonił. Myślałem, że może odsypia te swoje wakacje. Stoi tam jego samochód?

Leona zaczęła się kręcić po kuchni ze słuchawką bezprzewodowego telefonu w dłoni i wyglądać przez okna,

żeby sprawdzić, czy gdzieś w zatoczce naprzeciwko ogrodzenia stoi mój pikap. Wiedząc, że mam w zwyczaju wykorzystywać wolne chwile do maksimum, pomyślała, że być może jechałem przez całą noc i rano poszedłem prosto do pracy. Zajrzała nawet do mojego pokoju, szukając jakichkolwiek śladów, które wskazywałyby, że byłem tam i wyszedłem, ale niczego nie zauważyła. Sprawa wyglądała dziwnie.

- Może odstawił numer Leony? Pewnie zapomniał, że to jego zmiana.

Oboje roześmiali się z tego niewinnego żartu. Leona wślawiła się kiedyś tym, że zapomniała o swojej zmianie, a tydzień później zaliczyła następną wpadkę, zjawiając się w pracy niezgodnie z grafiką.

- To niewykluczone, ale kiedy wychodził ostatni raz ze sklepu, powiedział „do zobaczenia we wtorek”. Wiedział, że to jego dzień.

- W takim razie nie wrócił jeszcze z Utah - powiedziała Leona. -Może dotrze za godzinę czy dwie.

- Może. Muszę kończyć, ale sprawdzę jeszcze w grafiku. Kiedy wyjeżdżasz?

- Za jakąś godzinę, jak się spakuję.

- Okej, zadzwoń, jeśli się z nim spotkasz.

- Jasne, cześć.

Leona rozłączyła się i krążyła pod domu z ciężkim sercem. Zaczęła zanosić rzeczy do subaru swojej ciotki Leslie i szykować się do drogi, ale im bardziej zapełniała bagażnik, tym większy odczuwała niepokój.

Wiedząc, że nigdy wcześniej nie spóźniłem się nawet o kwadrans,

228

Brion też zaczął się denerwować. Zszedł do sklepu około wpół do dziewiątej, żeby obgadać sprawę z innym pracownikiem, wspinaczem Samem Uptonem.

- Aron już się zjawił?

Sam podniósł wzrok znad butów sportowych, które układał na wystawie.

- Hm, nie... miał się dzisiaj zająć sprzętem kempingowym, zgadza się?

Ignorując pytanie Sama, Brion drążył:

- Nie dzwonił ani nic w tym rodzaju?

Sam wyczuł napięcie w głosie szefa.

- Nie. Coś się stało?

- Nie wiem. Rozmawiałem właśnie z Leoną, powiedziała, że nie wrócił do domu. Wygląda na to, że w ogóle go tam nie było. Już wpół do dziewiątej. Jedyne raz, kiedy się spóźnił o pięć minut, to było wtedy, kiedy się wybrał na tę wyprawę na Pearl Pass.

Brion wspominał tę historię sprzed miesiąca, kiedy to spędziłem noc w śnieżnej jaskini na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów. Był pewien, że gdyby nic mi się nie stało, pojawiłbym się w pracy.

Jakby czytając mu w myślach, Sam spytał:

- Podejrzewasz, że miał jakiś wypadek?
- Och, trudno powiedzieć. Wiem tylko tyle, że nie spóźnia się do pracy. Niewykluczone, że stało się coś złego.
- Mógł się zgubić albo doznać jakiejś kontuzji. Ale wątpię, by się zgubił; zawsze ma przy sobie kompas i wysokościomierz i umie się nimi posługiwać - zauważył Sam.
- Tak, wieię. Nawet gdyby zapuścił się na odległość siedemdziesięciu kilometrów i wylądował na jakimś pustkowiu, to dałby radę pokonać ten dystans w ciągu jednego dnia. Nie ma co panikować. Jest silny, nawet gdyby coś się stało, da sobie radę. Tylko złamanie nogi mogłoby go opóźnić. A jeśli ją złamał, to się doczołga. Zabrałoby mu to trochę czasu, ale i wtedy by sobie poradził. Trzeba mu dać dwadzieścia cztery godziny -zawyrokował Brian, a Sam się z nim zgodził.

Leona dzwoniła do sklepu co godzinę, rozmawiając z Brianem i Paulem Perleyem, głównym kierownikiem. Opowiedziała o tym, jak widziała mnie po raz ostatni, we środę, prawie tydzień wcześniej.

- Wyciągnął pudła ze sprzętem wspinaczkowym i rowerowym. Mówił, że chce się powspinać, połączyć po kanionach i może pojeździć po górach.

Podczas pakowania co chwila rzucał: „Och, wezmę jeszcze to, tak na wszelki wypadek, gdybym chciał poszaleć na rowerze” i „jeszcze to, gdybym chciał się powspinać”. Zwykle w takich sytuacjach przygotowywał się wcześniej, ale tym razem sam chyba nie wiedział, dokąd się wybiera. Wspominał, że do Utah, do parku kanionów. Pytanie tylko, czy dotarł na pustynię?

Popołudnie upływało z wolna, a Brian z Paulem zastanawiali się, co robić.

- Musimy dać mu czas do jutra, do dziewiątej rano. Każdy wspinacz chce sam się wydostać z kłopotów, zanim zaczną latać helikoptery. Jeśli nie zjawi się jutro na początku swojej zmiany, to zadzwonię do jego rodziców i powiadomię kogo trzeba.

* * *

We wtorek wieczorem, około wpół do siódmej, moi współlokatorzy Brian i Joe siedzieli po pracy w salonie domu przy Spruce Street przy podniesionych drzwiach od garażu, odpoczywając i oceniając jakość piwa, które zostało jeszcze w beczce.

- Co to za historia z Aronem? - spytał Joe.
- Wciąż go nie ma - odparł Brian. - Leona dzwoniła chyba rano do sklepu. Nie przyszedł do pracy.
- Jak myślisz, co mamy zrobić, zawiadomić policję? - Joe nie był pewien, ale Brian uznał pomysł za sensowny.
- Wiesz co, chyba tak - odparł po chwili zastanowienia. Wyciągnął spod stoliczka książkę telefoniczną i zaczął szukać numeru komendy policji w Aspen. Zadzwonił na informację i uzyskał połączenie z dyżurnym już po pierwszym sygnale. - Nasz przyjaciel miał wrócić wczoraj wieczorem z wyprawy, ale nie pojawił się w domu, a minął już prawie cały dzień. Chciałem was po prostu zawiadomić, że według nas zaginął. To jeszcze

nic naglącego, martwimy się o niego, ale nie ma paniki.

- Możemy przyjąć zgłoszenie o zaginięciu. Powiedział pan, że nie ma go od dwudziestu czterech godzin?
- Tak, miał wrócić z Utah wczoraj, nie pojawił się też dzisiaj w pracy.
- Jak się nazywa?

Brian podał moje imię i nazwisko, wiek, przybliżony wzrost, wagę i rysopis, a dyżurny wpisał dane do komputera.

230

- Zna pan jego numer rejestracyjny?
- Hm, chwileczkę, chyba będę mógł go panu podać.

Brian poszedł do mojego pokoju i znalazł jakiś stary plan wspinaczki sprzed dwóch miesięcy, kiedy zdobywałem Bells. Był tam numer rejestracyjny mojego wozu - NM 846-MMY - a także rok produkcji i model.

- Jak pan sądzi, dokąd pojechał? Do Utah? - spytał policjant.
- Wiem, że miał we czwartek pojechać na nartach na górę Sopris, ale zabrał sporo rzeczy jak na taką wyprawę. Mówił chyba, że wybiera się w okolice Moab w Utah.
- Podał jakieś dokładniejsze namiary czy tylko wspomniał o okolicach Moab?
- Tylko tyle. Zwykle zostawia dokładne wskazówki co do trasy, ale tym razem tego nie zrobił.
- W porządku. Zanotowałem - powiedział dyżurny i się rozłączył.

Nie poinformował jednak Briana, że jest jeszcze za wcześnie, by policja zaczęła cokolwiek robić.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dzień piąty: sanktuarium halucynacji

Prawdziwym testem decyzji jest to, czy znając jej skutki, podjęlibyśmy ją jeszcze raz.

Słowa Wyroczni, Matrix Rewolucje

Uśmiechają się do mnie błogie kościane twarze. Wystają do połowy z czerwonych, przypominających łona ścian, surrealistycznie blade i tyse, niczym unurzani w mące uczestnicy jakiegoś konkursu na sobowtóra kapitana Spocka. Wydaje się, że ściany tworzą coś w rodzaju szkarłatnej rury z tkanki organicznej, włóknisty i pulsujący rytmicznie tunel, niczym wysokie na dwa metry puste naczynie krwionośne, a ja znajduję się w jego środku. W swej sennej wizji wyciągam rękę i muskam palcami gąbczaste tkanki, te zaś reagują przyjemną pieśczością - swoim dotykiem. Jakbym uruchomił jakiś mechanizm zwalniający, wyczuwam, że zacząłem przesuwac się wzdłuż tunelu, poruszany rytmicznym pulsowaniem. Kiedy płynę przez zawoalowane meandry i zakręty pasażu, do mojej twarzy i ramion przywierają włóknisto-mięższowate zasłony o niewypowiedzianej miękkosci płatków kwiatowych. Omijając po kolei świątobliwe twarze, jestem

mgliście świadomy ich niewyraźnej mimiki; przypominają pełnych uwielbienia mimów, którzy wołają coś do mnie, ale których głosów nie słyszę. Jakaś bliżej nieokreślona swojskość każe mi uważniej przyjrzeć się tym obliczom, ale nie mogę się zatrzymać na dłużej w tym tunelu,

one zaś przepływają obok mnie, nie mam więc czasu rozpoznać któregokolwiek z nich. Nie potrafię też określić płci tych osobników, choć wydaje się, że są w moim wieku, może trochę starsi. Tak czy inaczej czuję się dobrze, jakby te twarze były moimi przyjaciółmi - czy też, dokładniej, jakby te twarze były twarzami moich przyjaciół - nie umiem jednak tego stwierdzić z całą pewnością.

Ten ruch do przodu trwa przez jakiś czas, sunę odprężony korytarzem, który przywodzi na myśl łono. Ów łagodny surfing sprawia mi chyba przyjemność, ale jestem też zaniepokojony. Co się dzieje? Czym jest to, co mnie otacza? Gdzie jestem? Czy to sen? Gdzie się podział kanion? Otoczenie jakby odpowiada na moje pytania, dostarczając bardziej trwałego oparcia, a potem tunel wznosi się nagle przede mną i tworzy zbocze. Do tego miejsca moja podróż była ściśle horyzontalna. Nie wyczuwałem wcześniej grawitacji, ale teraz mam wrażenie, że wspinam się na szczyt jakiegoś bardzo osobliwego rollercoastera. Nie ma już twarzy, jest tylko powierzchnia ścian, które przesuwiają się monotonnym rytmem, minuta za niewypowiedzianą minutą. Na jaką wysokość się wzniosłem? Wyobrażam sobie, że na jakieś sto metrów. Objęcia mięsistych fal stają się słabsze, pomijając lekkie wibracje wywołane wrażeniem jazdy kolejką górską; wyczuwam je nogami, talią, tułowiem, plecami.

Wibracje narastają, trzęsąc moim ciałem coraz gwałtowniej i wzbudzając niepokój. Chcę się dowiedzieć, co się znajduje na szczycie tego wzniesienia. Zdaje mi się, że będzie to coś w rodzaju bramy. Pragnę ją zobaczyć, może przekroczyć, ale wiem, że nim dotrę do końca, uwolnię się od delikatnej miękkości ścian. Wibracje przyprowadzają mnie o gwałtowne spazmy. Nie zdołam się dowiedzieć, co znajduje się za wzniesieniem. Odrzynam się od okładziny, coś oddala mnie od znikających ścian tego dziwnego naczynia krwionośnego. Bez ich wsparcia koziółkuję do tyłu w zwolnionym tempie, trzęsąc się gwałtownie, jakbym miał lada chwila detonować. Czerń zalewa tunel, wypiera go, a senne drżenie przeradza się w rzeczywiste dreszcze; moje ciało próbuje wyswobodzić się z mrocznych objęć nocy kanionu.

Jest wtorkowy wieczór, tuż po zachodzie słońca, a mój pozbawiony snu umysł fabrykuje urojenią ucieczkę ze skalnego więzienia, jeśli nie dla powłoki cielesnej, to przynajmniej dla ducha.

Rozkojarzony z powodu zmęczenia i względnego ciepła dnia, nie włożyłem jeszcze spodenek z lycry, ale nadchodzący chłód wieczoru sygnali-

zuje kolejne dziewięć godzin wyczerpującej walki. Zdjąłem spodenki rowerowe tego ranka przed podjęciem chirurgicznej próby. Sądząc, że mi się powiedzie, zamierzałem posłużyć się ich podszewką jak chłonnym bandażem na kikucie, ale oczywiście nie okazało się to konieczne. Nie przeszedłem nigdy szkolenia z medycyny ratunkowej, więc jestem dumny, że zdołałem mimo wszystko, dzięki improwizacji i skromnym zapasom, rozwiązać kilka problemów. Czuję się niemal rozczarowany, że nie będę miał okazji sprawdzić skuteczności swoich starań, ale postanowiłem nie podejmować kolejnych prób amputacji. Zdążyłem już sobie udowodnić, że nie zdołam przeciąć kości. Skrępowany przez coraz bardziej ograniczone możliwości, wiem doskonale, że wszelkie wysiłki, których celem będzie obcięcie sobie ręki, to samobójstwo. >

Śmierć przez odwodnienie, jak się okazuje, jest jeszcze bardziej wyczerpująca psychicznie, niż sądziłem w sobotę. Tropi mnie bezwodność, ten niepoohamowany lewiatan pustyni, który z każdą godziną zbliża się

coraz bardziej. Wymuszona bezsenność potęguje cierpienia ciała, w mojej głowie pojawia się aberracja zakłócająca czterowymiarowość świata. Nie istnieję już w normalnym kontinuum czasoprzestrzennym. Minuta po minucie brak snu dokonuje demontażu kolejnej funkcji mózgu. Biorąc pod uwagę mój coraz bardziej pogarszający się stan, dotrwanie do środowego poranka będzie wielkim osiągnięciem. Przekroczyłem kres, który sobie wyznaczyłem - wtorek wieczorem. Może znów przekroczę samego siebie.

Wytrwaj. To wszystko, co możesz zrobić.

Postanawiam włożyć spodenki z lycry pod cienkie nylonowe szorty. Zabiera mi to prawie dziesięć minut. Odpinam uprząż z linowego systemu podnośnikowego i zsuwam ją wokół nóg, aż do stóp. Ściągając szorty, dziwię się przez chwilę chudości swoich ziemistych nóg w świetle czołówki. Straciłem sporo wagi, może z dziesięć kilogramów, jeśli nie więcej, a przecież kiedy wchodziłem do kanionu, nie byłem pulchny. Mam przed sobą jeszcze długą drogę, zanim zużyję całą masę ciała, ale uświadamiam sobie ze smutkiem, że stanie się ono pożywką dla owadów i ścierwojadów zamieszkujących to pustynne środowisko. Podciągam rowerowe spodenki, buty zaczepiają o elastyczny materiał, kiedy wsuwam stopy w nogawki. Brązowe szorty wkładam bez trudu, potem kolej na splątaną uprząż. Przełożenie nóg przez odpowiednie pętle wymaga

trzech prób, nim udaje mi się uporać z wszystkimi splotami. Przeciągnięcie pasa przez ring jedną dłonią jest stosunkowo proste, ale zawiązanie podwójnego węzła sprawia więcej trudności; po pięciu minutach daję sobie spokój.

* * *

Ciemność w kanionie okrywa mnie grobowym całunem. Przedemną kolejną noc łapczywej hipotermii. Zdradzam niepokój i zniecierpliwienie, przeżywając uporczywy cykl wiązania liny wokół nóg i odpływając często w niezwykle fantastyczny trans podczas dziesięciminutowych wytchnień między jednym a drugim atakiem dreszczy. Mój duch tęskni za wolnością; chyba sześć razy opuszczam samego siebie. Czasem te wojaże to psychodeliczne senne wędrówki, jak ta przez naczynie krwionośne, innym razem widzę samego siebie z góry, w trakcie pozacielesnych wakacji, kiedy moja dusza opuszcza kanion, tak jak stało się to w niedzielne popołudnie, gdy latałem nad Pacyfikiem i zamieniłem się w strumień fotonów w przestrzennej próżni.

Zdarza się, że widzę przyjaciół z krwi i kości, a jednak przezroczystych, duchy, które czasem zamieszkują ze mną kanion, dopóki nie przenosimy się razem w jakieś znajome otoczenie. Nigdy nie komunikują się za pomocą słów, tylko gestami i - w jakiś sposób - przekazując emocje na niewerbalnych falach. Jeśli chcą, bym poczuł się bezpiecznie i pewnie, to tak właśnie się czuję. Gdyby chciały, bym doznawał strachu, to tak by było, ale nie jest - podczas tych transów ogarnia mnie całkowity spokój. Bez względu na miejsce pobytu czy towarzystwo podczas tych wizyjnych doznań, zawsze słyszę niemy głos, który mi przypomina, że znów mam się o siebie zatroszczyć. Nieodmiennie opóźniam swój powrót do rzeczywistości, dopóki moje ciało nie zaczyna drgać konwulsyjnie od hipotermicznych dreszczy, ale zawsze wiem, kiedy nadchodzi odpowiednia pora.

W realnej przestrzeni, zakleszczony między głazem a ścianą wąwozu, co pewien czas przelewam górną warstwę moczu z bukłaka do butelki, pozostawiając niestrawny osad, który wsiąka w piasek za moimi stopami. Powtarzam tę czynność częściej, niż jest to konieczne, po prostu po to, by urozmaicić monotonię. Och, ile bym dał za truskawkowe daiquiri z kruszonym lodem, za margaritę, koktajl mleczny z lodami, wysoką szklankę soku grejfrutowego, zimną butelkę budweisera. Każda myśl jest poprze-

dzona i spuentowana refleksją na temat takiego czy innego napoju, drinka, który - kiedy tylko zamykam oczy - moja wyobraźnia przywołuje z jaskrawą wyrazistością pod postacią obrazu unoszącego się w powietrzu w odległości około pół metra ode mnie i jakieś piętnaście centymetrów nad linią wzroku. Rzecz szczególna, bez względu na rodzaj napoju, zawsze ukazuje się on w jakiejś postaci z przeszłości i zawsze w tym samym miejscu ponad ziemią, na wyciągnięcie ręki, a jednak poza moim zasięgiem. Nie jestem do końca pewien, czy folgowanie swojej wyobraźni pozwala mi przetrwać, czy też potęguje pragnienie. To ta sama dyskusja, którą toczyłem ze sobą na temat resztek jedzenia, resztek wody, picia moczu, wszystkich istotnych decyzji, wynikających z uwięzienia: „Czy to dla mnie korzystne, czy też pogorszy moją sytuację?”. Długo rozważałem każdą możliwość. Ale wciąż tu tkwię.

* * *

Dezorientacja, delirium i bezlitosny chłód rywalizują ze sobą przez całą noc, wypaczając nawet króciutkie odcinki czasu w bolesne nieskończoności, wypełnione walką z okrutnymi żywiołami. Nad kanionem pojawiają się te same konstelacje w kształcie podkowy, które po raz pierwszy zauważyłem w niedzielną noc; podążają wzdłuż linii mojego widzenia między ekranami ścian. Zastanawiam się, kto jeszcze jest tam w górze, na pustynnym płaskowyżu, spoglądając w to samo niebieskie sklepienie, i czy również dostrzega gwiazdną rotację. Nie docieram daleko tą myślą. Na dobrą sprawę moje myśli rzadko mają początek i koniec. Umysł kuleje i dławi się, jakby wyczerpał paliwo, zdolny zawrzeć w jakimś pytaniu czy stwierdzeniu zaledwie dwa czy trzy słowa, nim odpływa w milczenie czy inną natarczywą refleksję. Nie potrafię skupić na niczym uwagi.

Mój mózg wybrał się na zieloną trawkę. Stracił jakąkolwiek motywację precyzyjnego odmierzenia czasu, czy to świadomie, z wykorzystaniem zegarka, czy przy udziale podświadomego instynktu, na którym mogą zwykle polegać. W normalnej sytuacji odznacza się on niezwykle dokładną umiejętnością oceny czasu. Na przykład wcześniej, w trakcie swego uwięzienia, jeśli spojrzełem na zegarek, a potem pomyślałem o ślubie siostry, a następnie poprawiłem ułożenie czołówki i manipulowałem przy linach wokół prawego bicepsa, to wiedziałem intuicyjnie, że zajęło mi to około dwóch minut. Cokolwiek robiłem, miałem poczucie określonego

czasu trwania danej czynności i wiedziałem, że ten konkretny okres pokrywa się dość dokładnie z tym, co pokazuje zegarek.

Teraz jednak ta korelacja ulotniła się bez śladu. W sytuacji, gdy zmęczenie wywołuje tyle skurczonych nienaturalnie myśli, wszystko zdaje się trwać dłużej niż w rzeczywistości. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego minęły tylko dwie minuty na zegarku, podczas gdy mam wrażenie, że upłynęło ich dziesięć. Nawiedza mnie kolejny atak paranoi; czepiam się uparcie myśli, że mój zegarek uszkodził się podczas wypadku z głazem i nie pokazuje już właściwego czasu. Może jest bliżej do świtu, niż sądziłem, a może dzieli mnie od niego cały dzień (albo może do końca zwariowałem). Po dobrej chwili udaje mi się jednak wydedukować, że mój suunto działa bez zastrzeżeń - jak inaczej potrafiłbym tak precyzyjnie przewidzieć nadejście poranka, pojawienie się kruka i słonecznego ostrza u swoich stóp, zapadnięcie nocy? Okej, okej, więc naprawdę minęła dopiero pierwsza trzydzieści.

Do następnego łyku moczu pozostało jeszcze pół godziny. Przynajmniej jest teraz schłodzony; cieszę się z tego powodu. Ale jeszcze bardziej cieszę się z powodu wspomnień, które hipnotyzują mnie od czasu do czasu, przepełnione łądząco realnymi projekcjami.

Zamykam oczy i oto jestem ośmiolatkiem; siedzę na tylnym ganku domu swoich dziadków, gdzieś na wsi w środkowym Ohio, i gram w remi-ka z dziadkiem Ralstonem. Walczymy z upałem, racząc się 7-UP, które nalewamy ze schłodzonej dwulitrowej butelki do białych styropianowych kubków z pięcioma cylindrycznymi kostkami lodu. Gazowe bąbelki łaskoczą mnie w nos, kiedy podnoszę napój do ust. W chwili gdy czuję smak czystej słodyczy, pamięć zmienia wizję i oto pojawia się przede mną ten sam styropianowy kubek w aureoli, świecąc niczym Graal, syczący płyn przelewa się przez brzeg naczynia skąpanego w świetle. Drżę i otwieram oczy; wewnątrz torby jest smoliście czarne, widzenie gaśnie.

Znów zamykam oczy, jest popołudnie późnego lata 1987 roku. Zanurzony głęboko w dziecięcym wspomnieniu odpoczywam wraz z przyjaciółmi rodziny po wiązaniu siana w snopki na pofalowanym zielonym zboczu pola we wschodnim Ohio. Ku północy rozciąga się wspaniały widok; linię horyzontu w odległości dwustu metrów przecina gęsty las. Siedzimy na przyczepie snopowiązałki, popijając na zmianę z biało-czerwonego termosu lodowato zimną i gęstą od cukru herbatę. Kiedy naczynie trafia w moje

237

czasu trwania danej czynności i wiedziałem, że ten konkretny okres pokrywa się dość dokładnie z tym, co pokazuje zegarek.

Teraz jednak ta korelacja ulotniła się bez śladu. W sytuacji, gdy zmęczenie wywołuje tyle skurczonych nienaturalnie myśli, wszystko zdaje się trwać dłużej niż w rzeczywistości. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego minęły tylko dwie minuty na zegarku, podczas gdy mam wrażenie, że upłynęło ich dziesięć. Nawiedza mnie kolejny atak paranoi; czepiam się uparcie myśli, że mój zegarek uszkodził się podczas wypadku z głazem i nie pokazuje już właściwego czasu. Może jest bliżej do świtu, niż sądziłem, a może dzieli mnie od niego cały dzień (albo może do końca zwariowałem). Po dobrej chwili udaje mi się jednak wydedukować, że mój suunto działa bez zastrzeżeń - jak inaczej potrafiłbym tak precyzyjnie przewidzieć nadejście poranka, pojawienie się kruka i słonecznego ostrza u swoich stóp, zapadnięcie nocy? Okej, okej, więc naprawdę minęła dopiero pierwsza trzydzieści.

Do następnego łyku moczu pozostało jeszcze pół godziny. Przynajmniej jest teraz schłodzony; cieszę się z tego powodu. Ale jeszcze bardziej cieszę się z powodu wspomnień, które hipnotyzują mnie od czasu do czasu, przepełnione łądząco realnymi projekcjami.

Zamykam oczy i oto jestem ośmiolatkiem; siedzę na tylnym ganku domu swoich dziadków, gdzieś na wsi w środkowym Ohio, i gram w remi-ka z dziadkiem Ralstonem. Walczymy z upałem, racząc się 7-UP, które nalewamy ze schłodzonej dwulitrowej butelki do białych styropianowych kubków z pięcioma cylindrycznymi kostkami lodu. Gazowe bąbelki łaskoczą mnie w nos, kiedy podnoszę napój do ust. W chwili gdy czuję smak czystej słodyczy, pamięć zmienia wizję i oto pojawia się przede mną ten sam styropianowy kubek w aureoli, świecąc niczym Graal, syczący płyn przelewa się przez brzeg naczynia skąpanego w świetle. Drżę i otwieram oczy; wewnątrz torby jest smoliście czarne, widzenie gaśnie.

Znów zamykam oczy, jest popołudnie późnego lata 1987 roku. Zanurzony głęboko w dziecięcym wspomnieniu odpoczywam wraz z przyjaciółmi rodziny po wiązaniu siana w snopki na pofalowanym zielonym zboczu pola we wschodnim Ohio. Ku północy rozciąga się wspaniały widok; linię horyzontu w odległości dwustu metrów przecina gęsty las. Siedzimy na przyczepie snopowiązałki, popijając na zmianę z biało-czerwonego termosu lodowato zimną i gęstą od cukru herbatę. Kiedy naczynie trafia w moje

ręce, podnoszę je, kropla skondensowanej pary spada mi z nakrętki na policzek. Ocieram wilgoć z oczu, potem wstrząsam się i tracę wizję, nim udaje mi się wlać w usta choć odrobinę lepkiego napoju.

Kolejna sekwencja wizji to podróż po świecie i wędrówka po moim życiu. Biorę pierwszy tyk piwa z puszki budweisera na tylnym ganku rodzinnego domu w towarzystwie taty i wuja w roku 1985. Piję ciepłą sake z przyjaciółmi, Jonem, Erikiem, Moodym i Chrystie, w pokoju hotelowym w centrum Nagoi, tuż przed koncertem zespołu Phish w Japonii w czerwcu 2000 roku. Wciągam przez słomkę podwójnej długości sok z butelki wetkniętej w trójkątny otwór w kierownicy mojego roweru, wracając z supermarketu niedaleko domu rodziców na przedmieściach Denver, w lipcowe popołudnie 1991 roku, jeszcze przed zrobieniem prawa jazdy.

Jeden drink pojawia się w moim umyśle najczęściej - mieszanka lodu, tequili, potrójnej dawki wytrawnego wina i limonki, w szklance, której brzeg pokryty jest kryształkami soli maskującej słodki smak. Przychodzi mi do głowy, że rozczulam się nad sobą, śliniąc się z pożądania do mar-garity, ale język przylega mi do suchego jak pieprz podniebienia. Ze spar-ciałej krtani dobywa się chrapliwy oddech, świszczę głośno, a potem krztuszę się własnymi strunami głosowymi; brutalnie przypominam sobie

o fakcie, który tłumi wszelkie wspomnienia o drinkach - umieram.

* * *

O trzeciej rano smaruję sobie wargi balsamem, mając nadzieję zachować resztki wilgoci na ustach, i nagle mi świta, że mogę zrobić to samo z językiem. Przesuwanie po nim sztyftem wywołuje ślinienie; zaczynam ssać balsam, zastanawiając się nad jego wartością kaloryczną. Jeśli rozbudzi to w moim ciele apetyt, może warto będzie zjeść tego odrobinę. Odgryzam kawałeczek, mniej więcej jedną dziesiątą pałeczki, i zaczynam przesuwac po wnętrzu ust. Balsam osadza się na zębach i języku, przez warstwę pozbawioną smaku galarety przesącza się minimalna ilość śliny. Powstaje kleista substancja, która zbiera się wokół trzonowców, postanawiam więc jej nie połykać. Świadomość, że wciąż produkuję ślinę, dodaje mi odwagi; nie osiągnąłem jeszcze najbardziej skrajnego etapu odwodnienia. Pomijając wniosek, który właśnie wysnułem, cały ten wysiłek nic mi nie daje. Głód pozostaje niezaspokojony.

Nie mając możliwości fizycznego działania, czegoś, co by mnie zajęło, spędzam chłodne godziny na przypominaniu sobie niezliczonych wypraw z rodziną i przyjaciółmi. Od Japonii przez Peru do Europy, od Alaski przez Florydę po Hawaje, od wspinaczki do koncertów ulubionych zespołów - przywołuję najcenniejsze wspomnienia. Spełniłem cel życia, badając tak wielkie obszary świata, uszczęśliwiając samego siebie i inspirując innych swoimi przygodami. Realizowałem swoje powołanie przy każdej nadarzającej się okazji i żyłem intensywnym i niejednokrotnie dramatycznym życiem.

Mimo wszystko nie jestem jeszcze gotów umierać. Znów zanurzam się w wizje. W jednej z nich przed głazem pojawia się jakaś nieznaną męską postać w niebiańskiej białej szacie i w ciszy kiwa na mnie palcem, bym za nią podążył. Obracamy się w stronę ściany kanionu, na lewo od półki skalnej, gdzie założyłem punkt asekuracyjny. Naciskam panel z piaskowca i ściana przesuwac się na niewidzialnych zawiasach, otwierając się w prawo. Wychodzimy razem - on pierwszy - przez drzwi, które się tam objawiły, i wprost z piaskowego podłoża wąwozu wkraczamy do wyłożonego wykładziną przedpokoju w jakimś domu. Mój przyjaciel prowadzi mnie do salonu, gdzie przebywa więcej moich przyjaciół; siedzą wygodnie na kanapach i w głębokich fotelach. Od razu ogarnia mnie fala wielkiego zadowolenia, jakbym zjawił się w domu po bardzo

długiej podróży. Wciąż nie mogę rozpoznać swoich przyjaciół, ale gawędzą jak na przyjęciu, głosy mamroczą i szeleszczą mi w uszach na jakimś nieodgadnionym poziomie słyszalności.

Stoję w drzwiach, czuję się swobodnie, ale nie mogę z nikim nawiązać kontaktu. Istnieję na odmiennej płaszczyźnie i choć widzimy się nawzajem, jestem inny - oni zaś w jakiś sposób nie są realni. Moi przyjaciele podnoszą wzrok, przerywając rozmowy, jakby chcieli mi dać do zrozumienia, że usłyszeli to, co pomyślałem, i odpowiadają zunifikowaną myślą: „Jesteśmy tutaj na wypadek, gdybyś nas potrzebował. Kiedy będziesz gotowy, staniemy się realni”.

Czuję się dotknięty. O co tu chodzi? Co się ze mną dzieje? Czy to wszystko rozgrywa się w mojej głowie? Czy śnię? Jakim cudem, jeśli nie śpię? Ale jak to wszystko jest możliwe, jeśli to nie sen? Zaczynam się

239

zastanawiać, czy śpię, czy też nie. Jestem przekonany, że nie tracę świadomości ani nie zasypiam podczas tych wizyjnych epizodów. Zachowuję całkowitą kontrolę nad mięśniami, gdyż w przeciwnym razie poczułbym w ciele przeszywający ból spowodowany naciskiem na przygwożdżony nadgarstek. Nie, centrum tej mentalnej ucieczki znajduje się na bardziej abstrakcyjnym obszarze niż moja codzienna, powszednia świadomość, ale nie jest też umiejscowione w świecie snu. Nie wiem, jak się to dzieje, ale pozostaję w kanionie, jednocześnie go opuszczając.

Przede wszystkim pragnę za wszelką cenę zweryfikować to, co jest realne, jednak zanim udaje mi się podjąć jakąś decyzję, mój umysł odrzuca pytania, które właśnie zadał. Zmysły przekazują mi wiarygodną informację, że ten wizyjny świat istnieje naprawdę. Mogę wyciągnąć rękę i dotknąć ścian i mebli w tym pokoju pełnym moich przyjaciół. Potrafię wyczuć woń świec zapachowych, które palą się na małym stoliku. Czuję przewiew, kiedy ktoś rozsuwa oszklone drzwi na taras i wychodzi na zewnątrz. Choć atmosfera i otoczenie prezentują się przekonująco, mam wrażenie, jakbym patrzył na to wszystko z drugiej, ciemnej strony lustra. Toczy się akcja, ale nie mogę brać w niej udziału. Stwierdzam, że nie jestem w stanie poruszyć niczym innym poza głową i rękami; moje nogi są nieruchome, zakleszczone w kolanach. A ta historia z otwierającą się ścianą kanionu? Po prostu obłąd.

Wracam ostatecznie do swojego ciała i, jak można się domyślić, trzęsę się spazmatycznie z zimna, które przenika mnie do szpiku kości. Spędzam kolejne pół godziny na poprawianiu lin i pokrowca, nim znów udaje mi się opuścić kanion. Tym razem ruszam za przyjacielem, którego poznaję od razu. To mój najlepszy kolega ze szkoły średniej, Jon Heinrich, ja zaś obserwuję, jak mój duch unosi się nad okrytymi plecami i zakapturzoną głową. Przechodzimy przez panelowe drzwi na zawiasach, już po raz drugi, po czym wkraczamy do niewielkiego, ciemnego i ciasnego pokoju na planie kwadratu; miejsca jest akurat tyle, że mieścimy się w tym pomieszczeniu, nie obijając się o siebie. Panuje tu nieprzenikniona ciemność, z wyjątkiem linii jasnych światła, odbijających się od niewypo-lerowanej betonowej podłogi. Jon najwidoczniej zostawił gdzieś klucz, którym mógłby otworzyć znajdujące się tutaj drzwi. Włącza światło i z trzech stron ukazują się cienkie metalowe półki pełne środków czystości; w kącie po lewej stronie, widzę duży zlew. Znajdujemy się w pomiesz-

czeniu gospodarczym. Wiem, choć trudno powiedzieć skąd, że to szpital, a nie biurowiec czy szkoła, i nagle rodzi się we mnie nadzieja.

Zacznij walić w te drzwi, Aron! Wezwij pomocy! Potrzebujesz opieki medycznej, a ci ludzie mogą ci ją zapewnić.

Lecz Jon nie pozwala mi zastukać we wklęsłe stalowe drzwi, jakby chciał mi powiedzieć, że wszczęcie rabanu nie przyniesie niczego dobrego - szpital i kanion dzieli nieskończona przestrzeń. Upływają minuty, a ja zaczynam z wolna pojmować, że w tym wypadku z pomocą memu ciału nie pospieszą lekarze i pielęgniarki, ale mój przyjaciel Jon, który podsyca we mnie odwagę i dodaje mi sił swoją empatią, życzliwością i serdecznością. Uświadamiam sobie, jakie mam szczęście, że go poznałem; moje nadzieje skupiają się wokół jego obecności. Jednak czar tej wizji przerywa bezdźwięczny głos: „Czas się pożegnać”.

Nie chcę odchodzić. I znów, tym razem natarczywiej, rzeczywistość mnie ponagla: „Czas się pożegnać”. Daję Jonowi znak podniesionym kciukiem i skinieniem głowy, dziękując za jego błogosławione odwiedziny. Chce mi się płakać, że muszę go opuścić, ale wiem, że nie wolno mi tu zostawać. To odejście przybiera dziwną formę, jakby moja świadomość była kulą zakrzepłej energii, która nagle topi się niczym lody, rozlewa po podłodze pomieszczenia, by po chwili umknąć strumyczkami z tego halu-cynacyjnego świata z powrotem między ściany wąwozu. Jakbym stopniowo wypełniał samego siebie, od stóp w górę, wnिकam w zeszywniałe z zimna ciało.

Zaczynają się dreszcze - przenikają mnie do szpiku kości z zajadłą furią, ja zaś się zastanawiam, czy tamten głos nie pozwolił mi przypadkiem na zbyt długą ucieczkę. Zawsze jest ten bezdźwięczny głos. Tkwi w moim rzeczywistym ciele, strażnik, który przywołuje mnie z powrotem, nim wstrząsany dreszczami przekroczę niewidzialną granicę, za którą rozciąga się obszar snu hipotermicznego. Podczas tych transów nie czuję chłodu, bólu, głodu, zmęczenia, pragnienia. Czy celem halucynacyjnej wędrówki jest schowek gospodarczy czy jakiś salon, czy rozległe pasmo bukolicznych wzgórz, czy pogrążone w chmurach trony anielskie, owe wizje zawsze przynoszą zadowolenie i nie chcę, by dobiegły końca. Rzeczywiście, wizyta Jona dodała mi odwagi i natchnęła nadzieją. Zmagając się z dreszczami, mówię głośno, a moje słowa odbijają się echem w mrocznym kanonie:

- Mam jeszcze siłę wytrwać kilka dni.

241

Jeśli uda mi się jeszcze parokrotnie przejść do tego świata transu i odczuć w nim obecność mamy, taty, siostry i przyjaciół, to może będzie to skuteczna strategia, która pozwoli mi przetrwać dłużej niż do środy, co zakładałem w swej ostatniej prognozie.

Wizje to nadzieja, ale wiem też, że każda skończy się tą samą bezdenną rozpaczą towarzyszącą mojemu powrotowi do kanionu, gdzie cierpię chłód, pragnienie i wszelkie inne niedogodności uwięzienia. Pomimo siły, jakiej mi dodają, stanowią brutalne przypomnienie, że nie jestem wolny. Mogę przetrwać kolejne dziesięć minut bezlitosnej nocy, uciekając w halucynacje, które pozwalają opuścić ciało, ale te dziesięć minut to także czas, który przybliży mnie do nieuniknionego losu. Być może zdołam przetrwać jeszcze kilka dni, ale to za mało, by ratownicy mogli mnie znaleźć i ocalić.

* * * '

Przytłoczony brutalnością nocy raz po raz uciekam w transy, ale znikają z mojej pamięci w chwili, gdy tylko powracam do wąwozu. Jeśli niebo jest tak błogie jak one, to kanion stanowi przedsionek piekła. Przedstawia się je zwykle jako zatłoczone, infernalnie gorące miejsce - pandemonium Milтона - gdzie sprawuje rządy rogiaty diabeł, który nadzoruje tortury zadawane upadłym duszom. Teraz już wiem, jak jest naprawdę. Piekło to rzeczywiście głęboka chtoniczna dziura, ale żeby panował w niej żar? Nie. Jest to straszliwie ciemne i nieznośnie zimne miejsce okropnej samotności, arktyczne więzienie bez strażnika, z jednym porzuconym więźniem, zapomnianym nawet przez domniemanego przywódcę podziemnego świata. Nie ma tu żadnej duchowej energii, dobrej czy złej, którą można by obdarzyć miłością albo nienawiścią. W piekle obecne jest

tylko jedno uczucie - uczucie absolutnej rozpacz w kokonie znieawidzonej samotności.

* * *

W końcu świt rozprasza posępną noc kanionu. Wraz z porankiem pojawia się kilkanaście komarów i łagodny, choć dojmujący wiaterek, i po dwóch godzinach, kiedy to na przemian ignoruję i tłukę insekty, do wąwozu zagląda światło dnia, które przynosi mi pociechę. Nie jestem aż tak bardzo samotny; w kolejnej podróży towarzyszy mi słońce. Jakież

242

dziesięć metrów ode mnie na ścianach rozlewają się olśniewające pasma złotego blasku, rozpraszając klaustrofobiczną atmosferę tego wąwozu. Po raz pierwszy od dwóch dni wyjmuję aparat cyfrowy i fotografuję ten potop światła. Kiedy obracam głowę ponad lewym ramieniem i spoglądam w dół kanionu na tę niebiańską paletę, mam wrażenie, że blask promieniuje z powierzchni piaskowca, nie zaś odbija się od niej. Wyobrażam sobie, że tak wspaniały spektakl kolorów musi towarzyszyć czemuś równie podniosłemu jak wniebowstąpienie. Czuję, że wilgotnieją mi oczy. Przed schowaniem aparatu ustawiam go i robię sobie zdjęcie; nad moją głową, niczym aureola, unosi się blask. Wraz ze światłem powraca aktywność pustynnego życia: gryzoń skrobie w swoim gnieździe, a nad moją głową krąży więcej owadów.

Jednym z elementów porannego rytuału jest codzienny serwis informacyjny przed kamerą. Tuż przed dziewiątą wygrzebuje z plecaka niewielkie urządzenie. Nie bardzo wiem, dlaczego nie chcę go zostawić w spokoju. Może to jeszcze jeden sposób na aktywność; za każdym razem muszę przesunąć prawy pasek plecaka przez klamerkę.

Zastanawiam się, czy w teoretyczną akcję poszukiwawczą są także zaangażowani moi rodzice. Można mnie wytropić tylko w jeden sposób, a mianowicie prześledzić zakupy, za które płaciłem kartami kredytową i debetową - ślad zaprowadziłyby władze najpierw do Glenwood, potem do Moab i wreszcie do Green River. Nie, chwileczkę: za napoje energetyczne w Greón River płaciłem gotówką. Do diabła. Poszukiwacze musieliby mieć naprawdę dużo szczęścia, by znaleźć mój samochód. Jeśli wiedzą tylko tyle, że w piątek byłem w Moab, to do tej pory, mając samochód, mógłbym znaleźć się praktycznie w każdym punkcie Stanów Zjednoczonych. Kiedy już upłynie nieodzowny okres od zgłoszenia zaginięcia i policja zacznie mnie aktywnie szukać, funkcjonariusze będą musieli najpierw ustalić, że nie próbuję ich unikać, i wykluczyć możliwość ucieczki. Potem będą musieli ustalić, czy wciąż jestem na terenie Utah, i zlecić pracownikom parku narodowego i lokalnym szeryfom sprawdzenie najbardziej prawdopodobnych miejsc w rejonie Moab.

Najbardziej przygnębiająca w tym wypadku wiadomość to fakt, że znajduję się w jednym z najmniej uczęszczanych miejsc na obszarze obejmującym pięć okręgów. W pobliżu Moab jest kilkanaście popularniejszych terenów, które funkcjonariusze z biur szeryfów i pracownicy parku posta-

243

nowią sprawdzić, zanim wybiorą się na tak odludny szlak jak Horseshoe Canyon. Dysponując ograniczonymi środkami, pracownicy parku przeanalizują dane dotyczące miejsc, w których ludzie gubią się najczęściej, i przede wszystkim na nich skupią uwagę. Horseshoe będzie jedną z ostatnich lokalizacji; upłynie zapewne cały dzień, zanim się tam wybiorą.

Jeśli wydarzy się coś wręcz nieprawdopodobnego, a mianowicie to, że pracownicy parku znajdą mój samochód, to ich następnym krokiem będzie wysianie grupy ratunkowej, która zacznie przeczesywać Horseshoe Canyon. Jeśli natrafią na mój wóz wczesnym popołudniem, to górne odcinki kanionu Blue John

zaczną przeszukiwać dopiero następnego ranka, dwadzieścia cztery kilometry dalej. Po przebyciu około jedenastu kilometrów wąwozu znajdą mnie, ale z powodu pospiesznej akcji ratownicy nie będą mieć odpowiedniego sprzętu, by podnieść głaz. Kalkuluję, że upłynie zapewne cała doba od chwili, w której zostaną znaleziony, do momentu, kiedy mnie uwolnią i przeniosą do helikoptera. Ale przynajmniej będą mieli wodę. Wystarczy litr albo dwa i zdołam bez trudu przetrwać kolejny dzień. Jestem pewien, że będą mieli jej więcej, tyle, ile zechcą wypić. Marzenia o czystej świeżej wodzie odrywają mnie od myśli

0 poszukiwaniach.

W końcu włączam kamerę. Najpierw patrzę w ekran, na siebie. Wydaje się, że jestem niezwykle skupiony, biorąc pod uwagę mój obecny stan,

1 ze zdziwieniem dostrzegam, że spojówki nie są już czerwone. Niestety, nie wszystko wygląda dobrze - mam zapadnięte policzki. Na ekranie, ponad moim prawym ramieniem, tańczy światło z głębi kanionu, piękny kanarkowożółty blask. Odchrząkując, uruchamiam nagrywanie i zaczynam mówić; od razu dostrzegam, że mój głos wzniósł się od wczoraj

0 oktawę - jest jeszcze wyższy. Struny głosowe naprężają się z powodu odwodnienia.

- Środa, dziewiąta rano. Jestem ciekaw, jak przebiega u was robota detektywistyczna. Mam nadzieję, że ktoś prześledził wykaz moich płatności dokonywanych kartą kredytową, począwszy od Grand Junction do Moab, i jeszcze dalej, to znaczy tutaj. - Bezwiednie wodzę oczami tam

1 z powrotem, w górę i w dół, potem spoglądam tępo na lewą stopę. Przechylając głowę, zastanawiam się głośno: - Może jakiś strażnik w okolicach Horseshoe przekazał wiadomość o moim samochodzie. Sam nie wiem. - Wzruszam ramionami.

244

Przypominam sobie, że trzeba przekazać kilka rzeczy w Aspen pewnym ludziom, więc udzielam rodzicom kolejnych wskazówek.

- Rower w moim pokoju należy do Johna Curriera, który mieszka kilka domów za Erikiem Zsemlye. Wszystkie te adresy i nazwiska powinniście znaleźć w moim PalmPilocie, w schowku samochodu. Śpiwór, który trzymam w swojej szafce w pracy, to własność Billa Geista, zapłacił za niego, więc byłoby dobrze, gdybyście mu go oddali, pochodzi jeszcze z czasów wyprawy na Denali.

Na koniec tej sesji nagrywania ulubione wspomnienia.

- Myślę o 7-UP w styropianowym kubku - wyjaśniam i zamykam na długą chwilę oczy, by jeszcze raz przywołać ten obraz. Wydaję z siebie cichy jęk i zagłębam się w jeszcze jedną wizję upragnionego drinka. - Five-Alive w domu dziadka Andersona. Teraz pora na kilka ulubionych napojów. Myślę o nich.

Łapię oddech między zdaniami i dochodzę do wniosku, że na razie dosyć tej stymulacji. Wyłączam kamerę i stawiam ją na głazie, po czym uaktualniam obliczenia:

96 godzin bez snu, 90 godzin uwięzienia, 29 godzin picia uryny, 25 godzin od chwili, gdy wypilem resztkę wody.

Kiedy analizuję liczby, nad moją głową przelatuje kruk. Myśl o wolności tego ptaka przyprawia mnie o furję.

Silę się na humor i obliczam, że minęły cztery dni od chwili, gdy postugiwałem się szczoteczką do zębów i

korzystałem z pasty. Czego bym nie dał, żeby przerwać ów nieszczęsny urlop. Przez ten tydzień, kiedy się nie goliłem, moje bokobrody urosły o jakieś pół centymetra. Pocierając dłonią o szczękę i szyję, zastanawiam się, jak długi będzie mój zarost, kiedy mnie znajdą - urosnie przez dzień albo dwa po mojej śmierci -

może osiągnie długość centymetra albo jeszcze większą?

◆ * *

Czas stracił znaczenie. Odliczanie godzin i dni jest już tylko buchalterią. Czynność ta nie wywołuje jakiegokolwiek reakcji emocjonalnej, sprowadza się do trzeźwego stwierdzenia: „Och, okej, a więc tak długo tu siedzę”. Przed upływem ranka nie spoglądam już na zegarek. Nie chcę widzieć, jak szybko mija dzień, ponieważ zdaję sobie sprawę z tego, co nadejdzie wieczorem, a nie tęsknię za tym. Ignorowanie czasu wydaje się najlep-

245

szym wyjściem z sytuacji. Nie mogę go przyspieszyć ani spowolnić, mogę jedynie ulegać surrealistycznym impresjom, które wirują mi w głowie, uświadamiać sobie z opóźnieniem więzienie otaczających mnie ścian i ewidentne sygnały mentalnej klaustrofobii, wywołanej koszmarnie długim brakiem snu; wszystko to tłumi moje myślenie i sprawia, że wszelkie racjonalne procesy przygasają jeden za drugim.

Nagle wpadam na nowy pomysł - a może by tak posłużyć się kamieniem jako narzędziem do rozkruszania głazu i być może usunąć dzięki temu większą część piaskowca znad mojej prawej ręki? A może to stary pomysł? Czy przyszedł mi do głowy już wcześniej? Nie mogę sobie przypomnieć. Metoda ta w porównaniu z delikatnym obtłukiwaniem głazu kawałkiem stali będzie się odznaczać brutalną siłą, co wzbudza nadzieję. Przynajmniej to coś innego.

Wygrzebuję ze stosu u swoich stóp kamień wielkości melona. Podpieram ciało, wykorzystując lewą rękę, którą przyciskam do ściany kanionu, po czym posługuję się nogami, żeby wtoczyć kamienną kulę na półkę przy kolanach. Z tą dość bezkształtną i nieporęczną bryłą w dłoni zaczynam się wahać. Jeśli stracę nad nią kontrolę, spadnie mi bezpośrednio na uda albo stopę. Waży około dziesięciu kilogramów - chyba zbyt dużo jak na to, co chcę zrobić, ale podejmuję próbę. Najpierw podnoszę ją na wysokość lewego ramienia, a potem walę nią w głaz, co kończy się eksplozją grysu i sproszkowanego piaskowca. Zgodnie z przewidywaniami kamień odbija się od głazu i, zataczając grawitacyjny łuk, zmierza w stronę moich stóp. Cofam gwałtownym ruchem nogi i bryła spada na stos kamieni. Zapewne najmądrzejszą rzeczą będzie ją tam pozostawić. Uderzenie nie zostawiło wielkiego śladu na atakowanej powierzchni; pył, który wzbił się w wyniku mojego działania, pochodził z kamienia, którym walnąłem, nie z głazu. Potrzebuję kawałka skały twardszego niż piaskowiec. Zaczynam się rozglądać i wykluczam z rywalizacji wszystkie pozostałe kamienie przy swoich butach. To przeszkoda, z którą nie poradziłem sobie trzy dni temu, pomimo umyślowego wysiłku.

Bywało, że podczas wspinaczki utknąłem na jakimś trudnym odcinku, ponieważ z uporem powtarzałem ten sam ruch; oczywiście kończyło się to porażką. Uświadamiałem sobie wówczas, że nie dostrzegam wszystkich możliwości - zdecydowałem się na jakiś oczywisty wybór, nie rozważywszy całego wachlarza rozwiązań. Gdybym się rozejrzył, to być może dostrzegł-

246

bym oparcie dla stopy, które pozwoliłoby mi przesunąć się wyżej, albo chwyt dla dłoni, który wcześniej był poza polem mojego widzenia.

A teraz, tutaj? Co przeoczyłem? Co zignorowałem, ponieważ nie było oczywiste? Odchylam głowę, wyginając kark, i niemal przybieram pozycję do góry nogami; widzę nad sobą kilka kamieni wielkości dłoni, tkwią w rumoszu otaczającym głaz za moimi plecami. Jeden się wyróżnia, lup-kowato czarny, z lekkim czerwonym zabarwieniem, w kształcie jaja. Nie wygląda na piaskowiec, pochodzi chyba ze zmineralizowanej warstwy. Nawet jeśli nie jest twardszy od piaskowca, to może jest przynajmniej równie twardy, a zatem istnieje szansa, że jest narzędziem, którego potrzebuję. Sięgam dłonią do kamiennego gniazda nad głową, w którym mieszka gryzoń, i wyciągam tę bryłę. Przy okazji spada inny kamień, omal uderzając mnie w głowę, i odbija mi się od ramienia.

Przekłęte spadające głazy. Powinni stawiać przy nich znaki ostrzegawcze.

Czarny kamień w mojej dłoni ma wagę kuli miotacza. Jest doskonały. Mogę go podnieść, nie tracąc sił, i walnąć nim o głaz, nie wypuszczając z ręki. To, że dopiero teraz odwróciłem się i poszukałem w gnieździe tak przydatnego narzędzia, mogę przypisać tylko letargicznemu zubożeniu, które rozprasza moją uwagę i zaćmiewa umysł. Mimo wszystko podjęcie nowego działania to sukces sam w sobie.

Lewa dłoń pokrywa się szybko sińcami od impetu uderzeń tym kamiennym młotkiem. Po dwunastej próbie muszę przerwać. Za bardzo nadwerżam rękę.

* * *

Dochodząc do wniosku, że coraz mniejsze prawdopodobieństwo mojego przetrwania osiągnęło kres, biorę kamerę, żeby nagrać ostatnie prośby. Zaczynam mówić, głos mam napięty; słyszę w nim straszliwe zmęczenie. Muszę się wysilać, żeby można było mnie zrozumieć.

- Jest środa, druga po południu. Niedługo minie czwarty dzień od chwili, gdy wpadłem do tej dziury. Kilka spraw organizacyjnych. Kremacja to zapewne dobry pomysł, biorąc pod uwagę marność moich szczątków, kiedy już będzie po wszystkim. Jeśli jednak właściwszy wyda się pochówek w trumnie, to chcę, by nieśli ją moi przyjaciele, Jon Heinrich, Erik Johnson, Erik Zsemlye, Brandon Rigo, Chip Stone, Norm Ruth, a także Mark Van Eeckhout.

247

Wymieniłem praktycznie wszystkich bliskich przyjaciół, nie potrzeba aż tylu, by zanieść mnie na miejsce wiecznego spoczynku, ale chcę, by było ich jak najwięcej.

Kiedy się zastanawiam, czy pozostało jeszcze coś do powiedzenia, taśma w kamerze dochodzi do końca. Przewijam ją i puszczam od początku. Jestem zafascynowany obrazem na ekranie, ogarnia mnie stan radosnego uniesienia, jak dziecko oglądające Ulicę Sezamkową. Mam w ręku miniaturową telewizję! Przez godzinę czerpię rozrywkę z taśmy, którą sam nakręciłem. Tematyka jest raczej posępna, ale sprawia mi przyjemność oglądanie samego siebie, choć z jakiegoś powodu mój umysł przeprowadza krytykę tych wszystkich wiadomości dla rodziny, koryguje i dokonuje montażu, jakby zmuszając mnie do powtórzenia ujęcia. Cóż za obłądny pomysł. Wyobrażam sobie, jak reżyseruję: „Okćj, to było niezłe, Aron, ale tym razem powiedz to z większym uczuciem”.

Zatrzymuję taśmę i znów ją przewijam, żeby nagrać jeszcze raz. Materiał o górze Sopris zastępuję bardziej nagłą prośbą o rozsypanie moich prochów w ulubionych przez mnie i szczególnych miejscach Stanów Zjednoczonych.

- Mówiłem o ceremonii pogrzebowej i kremacji i chciałbym, żeby moje prochy rozsypano w bliskich mi i wyjątkowych miejscach. Wiem, że, hm, jeśli to możliwe, chciałbym, by moja rodzina otrzymała jakąś ich

cząstkę. Następnie - jeszcze nie przemyślałem tego do końca - chciałbym, żeby część prochów Erie zabrał do Kalifornii, może nawet na wybrzeże, Big Sur, tam, gdzie wybraliśmy się na tę wspaniałą wyprawę i odwiedziliśmy Santa Barbara, było kapitalnie. Może niech Jon zawiezie część na Wschodnie Wybrzeże, jeśli chodzi o miejsce, to może odpowiednia będzie góra Greylock, w okolicy, gdzie omal nie wpadliśmy na tego jeżozwierza, niech tam je rozsypie. Sonja, jeśli zabierzesz jakąś cząstkę do Havasupai, o ile kiedykolwiek się tam wybierzesz, to będzie to wyjątkowa i szczególna rzecz. Mark, weź trochę i zorganizuj ceremonię rozsypywania prochów na szczycie Sandra, byłoby niesamowicie. A więc, hm, ostatnie prośby, myślę, och, że... właściwie, Chip i Norm, może wzięlibyście trochę z Erikiem i zawieźli nad Rio Grande w Bosque, rozsypcie prochy w rzece. To tak, jakby znalazły się w oceanach, rzekach, lasach i na szczytach. Nie wspominałem o Danie i Julii, byli dla mnie bardzo ważni. I jeśli Dan i ty, i Mark, i Jason, i Allison, i Steve Patchett, a także chło-

248

paki z grupy poszukiwawczo-ratowniczej... może dla nich też coś zostanie, niech mnie rozsypią w Pajarito albo Woolf Creek, jak będą jeździć na nartach.

Uświadamiając sobie, że nie mówiłem o swoich ulubionych koncertach wszech czasów, wysiłam ciężki i płytki oddech, by powiedzieć:

- Nie mogę, jak mi się wydaje, nie wspomnieć o Japonii w roku 2000, o Bonnarro i Horning, o najlepszych chwilach, jakie kiedykolwiek spędziłem z przyjaciółmi, słuchając muzyki. Jest ich tak dużo. Nowy Rok z zespołem Phish w Big Cypress, Nowy Rok ze String Cheese w Portland - noc kosmicznego kowboja. Dzięki za wszystko.

Kończąc ponownie, patrzę nieco optymistyczniej na swoje szanse przetrwania, ale wiem, że jestem już na ostatnich nogach. Spoglądam prosto w obiektyw kamery i przekazuję ostatnie pożegnanie:

- Trzymam się jakoś, ale wszystko zwalnia nieubłaganie, czas naprawdę zwalnia. Więc jeszcze raz, pozdrowienia dla wszystkich. Wzbogaćcie w moim imieniu świat miłością, pokojem, szczęściem i pięknem swego

życia. To dla mnie rzecz o najgłębszym znaczeniu. Dziękuję. Kocham was.

* * *

Po południu po niebie przepływają poszarpane i rzadkie chmury, tłumiąc trzystopniowy, charakterystyczny dla kanionu wzrost temperatury. Według termometru w zegarku doszła dziś do dwunastu stopni. Chmury rozpościerają się ponad płaskowyżem Robbers Roost, a potem, kiedy nadchodzi wieczór, znikają. Ponieważ dzisiaj jest najchłodniej od pięciu dni, zapowiada się najzimniejsza i najtrudniejsza noc. Moja wytrzymałość znacznie się obniżyła, a zasoby ciała praktycznie się wyczerpały. Nawet o wczesnym zmierzchu nie mogę zapanować nad dreszczami. Odciąłem kawałek taśmy z punktu asekuracyjnego i z sześć razy obwiązałem nim luźno szyję, żeby zakryć odśloniętą skórę. Może pozwoli mi to zachować odrobinę ciepła, jakieś pół stopnia.

Chciałbym dalej walić w głaz swoim kamiennym młotkiem, ale nie mogę znieść bólu w lewej ręce. To tak, jakbym uderzał raz za razem w ceglany mur. Wpadam na pomysł, żeby owinąć dłoń skarpetką z lewej stopy, tworząc poduszczkę ochronną między ciałem a powierzchnią kamienia. Każdy cios wymierzony skale wciąż nadweręza mi kończynę, ale robię ogromne postępy w porównaniu z poprzednią nieefektywną

249

metodą. Przypuszczając serie ataków na głaz, udaje mi się przez całe popołudnie usunąć więcej materiału niż w ciągu czterech minionych dni. Gruz jest tak dużo, że posłużyłem się czarnym pokrowcem na kamerę - dotychczas rękawem lewej ręki - jako osłoną bandaża na prawej, by chronić ranę po nożu przed pyłem i drobkami skały. Tuż po szóstej robię przerwę, by dać odpocząć obolałej lewej ręce, i wyciągam aparat. Robię zdjęcie prawego przedramienia, pokrytego śladami swoich wysiłków - grubą na dwa centymetry warstwą piasku i odprysków skalnych. Odkładam aparat i strzepuję ten drobny gruz, starając się uchronić przed nim jednodniową ranę. Ogarnia mnie głębokie poczucie beznadziei. Nawet przy tym przyspieszonym tempie nie dam rady obtłuc głazu w stopniu umożliwiającym uwolnienie dłoni. Wcześniej umrę. Nie wiem, czy będę w stanie dalej prowadzić dzieło rozkruszania, które już teraz sprawia mi tyle bólu w ręce; podejrzewam, że mogłem złamać sobie mały i serdeczny palec, może nawet jakąś grubszą kość. Spoglądam żałośnie na kamienny młotek w dłoni okrytej skarpetą jak czapką i postanawiam zaprzestać tych wysiłków.

Daj spokój, Aron. Zostaw to. Po co sprawiać sobie więcej bólu, skoro to całkowicie bezowocny wysiłek?

Wkładam skarpetę z powrotem na stopę i podciągam ją aż do łydki, wiedząc, że nie mogę podczas zbliżającej się nocy pozwolić sobie na jakiegokolwiek niedostatki izolacji. Gdzieś w głębi głowy kołacze mi się myśl, że nie przeżyję do rana w kanionie Blue John. Nie jest to coś, co rozważam czy nad czym wewnętrznie dyskutuję, ale kiedy dochodzę do wniosku, że umrę w ciągu kilku najbliższych godzin, ma to walor prawdy. Przypomniałem sobie swój wybuch gniewu w ciągu pierwszych godzin uwięzienia, kiedy tłukłem i uderzałem głaz dłonią, teraz zaś akceptuję to, co nieuniknione, z pełną spokojną świadomością, że nie kontroluję sytuacji. Jeśli mój czas dobiegł końca, to tak jest, i nie mogę zrobić nic, by temu zapobiec. A jeśli mój czas nie dobiegł końca, to tak jest, i nie ma sensu martwić się o cokolwiek. Myślę jednak, że to pierwsze jest bardziej prawdopodobne niż drugie. Rozumiem, że zbliża się kres, że nie przetrwam nocy, i ta myśl nie budzi we mnie sprzeciwu, ponieważ przestałem walczyć o kontrolę nad sytuacją. Uwolnienie się od pragnienia, by zdecydować o końcowym wyniku mojego uwięzienia, wywołuje we mnie dziwne uczucie lekkości, graniczące niemal z błogością. Zastanawiam się, czy

250

tak właśnie wygląda wniebowstąpienie, owo mistyczne doznanie, kiedy to dusza wyrzeka się ziemskiej powłoki i łączy z boskością. Nie przypomina to chwil, kiedy opuszczałem ciało podczas transu, nie jest to też apatia czy rezygnacja, ale raczej uwolnienie od duchowego ciężaru. Mam wrażenie, że poznałem wielką prawdę: jakaś inna cudowna i niezwykła moc sprawuje nad wszystkim kontrolę, i tak było zawsze. Bez względu na imię, które nosi, wiem tylko jedno: nie muszę się dłużej wysilać, bo nic już ode mnie nie zależy.

* * *

Lepkie podmuchy nienaturalnego wiatru wysysają ze mnie ciepło, przyprowadzając o coraz silniejsze dreszcze. Kanion zamienia się w lodówkę. Każda kolejna noc była zimniejsza od poprzedniej, ale teraz opływa mnie zabójczy powiew.

Odmierzając czas, który dzieli zmierzch od świtu, udaje mi się wytrwać tylko dwie chłodne godziny, nim postanawiam sporządzić ostatnią adnotację w miejscu swego uwięzienia. Mój zegarek potwierdza, że jest 30 kwietnia, w każdym razie jeszcze przez godzinę. Przestałem się interesować czasem w trakcie popołudnia, ale teraz każda minuta wydaje się ważna, gdyż każda może być tą ostatnią. Utrwalam swoje imię w ścianie piaskowca nad lewym ramieniem i przesuwając czubkiem noża po literach, które wyryłem w sobotę: „Czas geologiczny to także teraźniejszość”. Nad czterema drukowanymi literami swojego imienia, ARON, wyskrobuje w czerwonej skale PAŹDZ. 75. Pod imieniem umieszczam KWIEC. 03. Nie przychodzi mi do głowy napisać „maj”, ponieważ jestem pewien, że nie ujrzę już świtu na przeciwległym krańcu tej okropnej nocy.

Uzupełniam epitafium, wyrzynając R.I.P.* ponad imieniem i datą urodzin, potem odchylam się w uprząży i kładę nóż na głazie, by w końcu zapaść w trans.

W głowie rozbłyskują mi kolory; przechodzę przez ścianę wąwozu sam i wkraczam do jakiegoś pokoju. Po zalanej słońcem drewnianej podłodze biegnie ku mnie jasnowłosy trzyletni chłopiec w czerwonej koszulce polo. Wiem jakimś cudem, że to mój przyszły dom. Wiem też dzięki tej samej intuicji, że chłopiec to mój syn. Pochylam się, by otoczyć go lewą ręką, jednocześnie podtrzymując prawą, pozbawioną dłoni. Śmiejemy się,

* R.I.P. = requiescat in pace (łac.) - niech spoczywa w spokoju.

251

kiedy podnoszę go na wysokość ramienia. Cała ta scena jest czymś całkowicie odmiennym od poprzednich wizji. W tamtych byłem jak zaczarowany i nie stykałem się z innymi ludźmi, teraz zaś biorę we wszystkim aktywny udział. Mam zdolność ruchu i jestem wolny.

Chłopiec sadowi się z zadowoleniem na moim prawym ramieniu, obejmując mi barki małutkimi rączkami, a ja podtrzymuję go lewą ręką i kikutem prawej. Z uśmiechem przemierzam pokój, stąpając na palcach po świetlistych plamach na dębowej podłodze, a małe dziecko chichocze radośnie, kiedy wirujemy razem. Potem, z szokującą gwałtownością, wizja gaśnie. Znowu jestem w kanionie, echo dziecięcego śmiechu rozbrzmiewa mi w głowie, rodząc podświadomą pewność, że w jakiś sposób przeżyję to uwięzienie. Choć zaakceptowałem już fakt, że umrę w tym miejscu przed nadejściem pomocy, teraz wierzę, że przetrwam.

Ta wiara, ten chłopiec, zmienia wszystko.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rozpętanie burzy

Sama wiedza to za mało, trzeba ją stosować. Chęć to za mało, trzeba działać.

Johann Wolfgang von Goethe

O dziewiątej rano w środę 30 kwietnia doba mojej nieusprawiedliwionej nieobecności dobiegła końca. Brion After chodził po sklepie, zastanawiając się: „Gdzie on u licha jest?”. Krążył między półkami pełnymi odzieży narciarskiej, raket śnieżnych i sprzętu biwakowego, coraz bardziej zaniepokojony. Moja zmiana zaczęła się o dziewiątej, a ja już drugi dzień nie pojawiłem się w pracy ani nie zadzwoniłem. Piętnaście po dziewiątej Brion spojrzął na zegarek i doszedł do wniosku, że czekał już dostatecznie długo. Poszedł na górę do biura. Najpierw zadzwonił do domu przy Spruce Street, żeby sprawdzić, czy nie wróciłem, ale nikt nie odbierał. Brion wiedział, co powinien następnie zrobić, ale przeszkodził mu telefon od Leony z Boulder.

- Pojawił się? - W tym bezpośrednim pytaniu wyczuwało się lęk. Leona starała się panować nad sobą, ale drżał jej głos. Martwiła się moim zniknięciem, które nie dawało jej spokoju przez pierwszą noc we Front Range.

- Nie, nie ma go tutaj. Miał zacząć dwadzieścia minut temu, o dziewiątej. - Brion też był zdenerwowany. - Zwykle jest bardzo sumienny; musiało się coś stać.

253

Leona też tak uważała.

- To już trwa za długo. Trzeba zawiadomić jego rodziców.
- Właśnie o tym myślałem. Jest niewielka szansa, że się z nimi skontaktował i powiedział, co się stało. Słuchaj, może zadzwonisz do nich? Muszę się zająć sklepem, za pół godziny otwieram.

Brionowi nie chodziło o sklep; po prostu żadne z nich nie miało wielkiej ochoty poinformować moich rodziców, że ich syn zaginął i że najprawdopodobniej jest w poważnych tarapatach. Leona znalazła sposób, by uniknąć losu posłańca przynoszącego złe wieści.

- Nie znam ich numeru. Ale ty znasz, Brion.
- Ja? Skąd mam go znać?
- Na pewno jest w dokumentacji Arona. Mogę się założyć, że jak przyjmowałeś go do pracy, to podał telefon rodziców jako kontaktowy, na wszelki wypadek. Masz pod ręką jego teczkę?
- Och. Tak, jedną sekundę... jest w mojej szufladzie... mam.

Brion wyciągnął szarą teczkę z moimi dokumentami zatrudnienia i otworzył. Na samym wierzchu leżało podanie o pracę, wraz z adresem rodziców i numerem ich telefonu, jak przewidywała Leona.

O wpół do dziesiątej Brion zadzwonił do domu moich rodziców w Denver. Tata był akurat w Nowym Jorku, oprowadzając grupę turystów po mieście. Mama wróciła właśnie z poczty i siedziała w gabinecie na piętrze, w pokoju, który kiedyś służył mi za sypialnię, dopóki nie poszedłem na studia; potem rodzice przerobili go na domowe biuro mamy. Odebrała ze słowami pogodnego powitania:

- Halo, tu Donna.
- Cześć Donna, mówi Brion After, szef Arona. Dzwonię ze sklepu Ute Mountaineer w Aspen.
- Och, dzień dobry, Brion. Co u ciebie?

Mama poznała go tydzień wcześniej, podczas wizyty w Aspen, kiedy mnie odwiedziła.

- W porządku, dziękuję - odparł Brion. Wiedząc, że za chwilę odpali straszliwy ładunek, zawahał się na chwilę, ale zaraz podjął: - Dzwonię, żeby spytać, czy wiesz przypadkiem, gdzie jest Aron. - Po chwili milczenia ciągnął: - Od dwóch dni nie ma go w pracy. Nie telefonował i nikt nie widział go od tygodnia.

Słowa Briona zrobiły na mamie piorunujące wrażenie. Siedziała

254

Leona też tak uważała.

- To już trwa za długo. Trzeba zawiadomić jego rodziców.
- Właśnie o tym myślałem. Jest niewielka szansa, że się z nimi skontaktował i powiedział, co się stało. Słuchaj, może zadzwonisz do nich? Muszę się zająć sklepem, za pół godziny otwieram.

Brionowi nie chodziło o sklep; po prostu żadne z nich nie miało wielkiej ochoty poinformować moich rodziców, że ich syn zaginął i że najprawdopodobniej jest w poważnych tarapatach. Leona znalazła sposób, by uniknąć losu posłańca przynoszącego złe wieści.

- Nie znam ich numeru. Ale ty znasz, Brion.

- Ja? Skąd mam go znać?
- Na pewno jest w dokumentacji Arona. Mogę się założyć, że jak przyjmowałeś go do pracy, to podałeś telefon rodziców jako kontaktowy, na wszelki wypadek. Masz pod ręką jego teczkę?
- Och. Tak, jedną sekundę... jest w mojej szufladzie... mam.

Brion wyciągnął szarą teczkę z moimi dokumentami zatrudnienia i otworzył. Na samym wierzchu leżało podanie o pracę, wraz z adresem rodziców i numerem ich telefonu, jak przewidywała Leona.

O wpół do dziesiątej Brion zadzwonił do domu moich rodziców w Denver. Tata był akurat w Nowym Jorku, oprowadzając grupę turystów po mieście. Mama wróciła właśnie z poczty i siedziała w gabinecie na piętrze, w pokoju, który kiedyś służył mi za sypialnię, dopóki nie poszedłem na studia; potem rodzice przerobili go na domowe biuro mamy. Odebrała ze słowami pogodnego powitania:

- Halo, tu Donna.
- Cześć Donna, mówi Brion After, szef Arona. Dzwonię ze sklepu Ute Mountaineer w Aspen.
- Och, dzień dobry, Brion. Co u ciebie?

Mama poznała go tydzień wcześniej, podczas wizyty w Aspen, kiedy mnie odwiedziła.

- W porządku, dziękuję - odparł Brion. Wiedząc, że za chwilę odpali straszliwy ładunek, zawahał się na chwilę, ale zaraz podjął: - Dzwonię, żeby spytać, czy wiesz przypadkiem, gdzie jest Aron. - Po chwili milczenia ciągnął: - Od dwóch dni nie ma go w pracy. Nie telefonował i nikt nie widział go od tygodnia.

Słowa Briona zrobiły na mamie piorunujące wrażenie. Siedziała

w obrotowym fotelu, próbując przyjąć do wiadomości to, co przed chwilą usłyszała. A więc nadszedł wreszcie ten koszmarny dzień, choć zawsze miała nadzieję, że tak się nie stanie.

Brion wiedział, co oznacza cisza po drugiej stronie - mama nie miała ode mnie żadnych wiadomości - nie potrafił jednak przewidzieć, czy biedaczka się rozpłaczę, zdenerwuje czy wybuchnie. Odczuł ulgę, kiedy się wreszcie odezwała.

- Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?
- Podejrzewamy, że coś mu się stało - odparł Brion.
- Tak. To, czym lubi się zajmować, jest bardzo niebezpieczne, poza tym często robi to sam. Nie opuściłby dnia pracy bez wyjaśnienia. Zadzwoniłby do ciebie, gdyby mógł. Boję się, że stało się coś strasznego. Musimy się dowiedzieć, gdzie jest. Podjąłeś już jakieś kroki? Rozmawiałeś z jego współlokatorami?

Brion był pod wrażeniem pełnej spokoju reakcji mojej mamy i od razu poczuł się raźniej; przynajmniej częściowo uwolnił się od odpowiedzialności za mój los. Znalazł sprzymierzeńca, którego tak bardzo potrzebował, by kontynuować poszukiwania, i czym prędzej zapoznał mamę z sytuacją.

Zdziwiła się, że nie poinformowałem o swoich planach współmieszkańców, ale nie była tym jakoś szczególnie zaskoczona. Instruowała mnie zawsze podczas moich wczesnych sezonów wspinaczkowych, bym zostawiał

wiadomość na swoim biurku albo w Intelu, albo u któregoś z przyjaciół, dzięki czemu ktoś wiedziałby, gdzie jestem. Z początku zostawiałem karteczki na desce rozdzielczej samochodu stojącego gdzieś na zaśnieżonym szlaku dojazdowym, ale kiedy zacząłem się zapuszczać w bardziej odludne rejony, zrozumiałem, że muszę opracować lepszy system. Mogły upłynąć tygodnie albo nawet miesiące, nim ktoś natknąłby się na mój pojazd, więc idąc za radą mamy, informowałem przynajmniej jedną osobę o swoich planach i stało się to moim zwyczajem. Podczas sezonu wspinaczkowego 2000-2001 dzwoniłem do mamy przed wejściem na każdy z czterotysięczników i po zejściu, nie chciała jednak słuchać o moich mrozących krew w żyłach przygodach, więc zostawiałem wiadomości swoim przyjaciołom.

Przerażona tym, co mogło mi się przytrafić, próbowała skoncentrować się na koniecznych w takim wypadku działaniach. Stłumiwszy w sobie lęk, potrafiła spokojnie rozmawiać z Brionem.

- Kontaktowałeś się już z policją?
- Nie, jeszcze nie. Zamierzałem to zrobić po rozmowie z tobą.

Nie mając nigdy do czynienia z akcjami ratunkowymi, mama niewiele wiedziała na temat zgłaszania zaginięcia. Trudno było jej określić, czego w takich wypadkach potrzebuje policja, by rozpocząć poszukiwania, wyczuwała jednak instynktownie, co należy uczynić. Powiedziała jakby do siebie:

- Zaginięcie osoby należy zgłosić w miejscu jej zamieszkania, tyle wiem, a więc trzeba zadzwonić na policję w Aspen. Nie orientuję się w procedurach, czy na przykład trzeba powiadomić szeryfa z okręgu, ale zostawmy to funkcjonariuszom. Pojedziesz na posterunek i złożysz for-, malne zawiadomienie?
- Od razu się do nich zgłoszę, a potem oddzwonię.
- Dzięki, Brion. Muszę kończyć.

Świat mojej mamy zaczął się walić. Natychmiast zadzwoniła do swojej wieloletniej przyjaciółki, Michelle Kiel, która miała wpaść nieco później, by omówić plany związane z lokalnym klubem ogrodniczym, i poprosiła ją, by przysłała jak najprędzej. „Aron zaginał”, wyjąkała.

Po kilku minutach Michelle otworzyła drzwi i zastała moją mamę, która kiwała się rytmicznie na taborecie przy szafce kuchennej, trzymając się za brzuch i łkając z bólu i przerażenia. Nie można było pozostać obojętnym na ten szloch. Obie kobiety obejmowały się przez kilka dobrych minut, płacząc razem; potem mama opanowała się wreszcie, w czym pomogła jej pełna współczucia obecność Michelle, i zaczęła przypominać sobie wszystkich, którzy mogli wiedzieć cokolwiek o moich planach.

Dla mamy była to najbardziej wyczerpująca emocjonalnie godzina w życiu; nie dawały jej spokoju koszarne przypuszczenia i domysły, ale mimo wszystko potrafiła zachować równowagę.

- Zwykle pamięta o tym, by powiedzieć komuś, dokąd się wybiera. Jeśli nie poinformował żadnego z przyjaciół, z którymi mieszka, ani nie zostawił wiadomości w sklepie, to sama nie wiem. Może wysłał komuś e-mail, w którym napisał, co zamierza robić.

Twarz Michelle rozjaśniła się nagle.

- Mogłybyśmy to sprawdzić. Ma adres? Na przykład na Yahoo! albo na Hotmailu?

- Wiem, że ma adres na Hotmailu. Dlaczego pytasz?
- Kontaktowałeś się już z policją?
- Nie, jeszcze nie. Zamierzałem to zrobić po rozmowie z tobą. Nie mając nigdy do czynienia z akcjami ratunkowymi, mama niewiele

wiedziała na temat zgłaszania zaginięcia. Trudno było jej określić, czego w takich wypadkach potrzebuje policja, by rozpocząć poszukiwania, wyczuwała jednak instynktownie, co należy uczynić. Powiedziała jakby do siebie:

-Zaginięcie osoby należy zgłosić w miejscu jej zamieszkania,"tyle wiem, a więc trzeba zadzwonić na policję w Aspen. Nie orientuję się w procedurach, czy na przykład trzeba powiadomić szeryfa z okręgu, ale zostawmy to funkcjonariuszom. Pojedziesz na posterunek i złożysz formalne zawiadomienie?

- Od razu się do nich zgłoszę, a potem oddzwonię.
- Dzięki, Brion. Muszę kończyć.

Świat mojej mamy zaczął się walić. Natychmiast zadzwoniła do swojej wieloletniej przyjaciółki, Michelle Kiel, która miała wpaść nieco później, by omówić plany związane z lokalnym klubem ogrodniczym, i poprosiła ją, by przyszła jak najprędzej. „Aron zaginał”, wyjąkała.

Po kilku minutach Michelle otworzyła drzwi i zastała moją mamę, która kiwała się rytmicznie na taborecie przy szafce kuchennej, trzymając się za brzuch i łkając z bólu i przerażenia. Nie można było pozostać obojętnym na ten szloch. Obie kobiety obejmowały się przez kilka dobrych minut, płacząc razem; potem mama opanowała się wreszcie, w czym pomogła jej pełna współczucia obecność Michelle, i zaczęła przypominać sobie wszystkich, którzy mogli wiedzieć cokolwiek o moich planach.

Dla mamy była to najbardziej wyczerpująca emocjonalnie godzina w życiu; nie dawały jej spokoju koszmarnie przypuszczenia i domysły, ale mimo wszystko potrafiła zachować równowagę.

- Zwykle pamięta o tym, by powiedzieć komuś, dokąd się wybiera. Jeśli nie poinformował żadnego z przyjaciół, z którymi mieszka, ani nie zostawił wiadomości w sklepie, to sama nie wiem. Może wysłał komuś e-mail, w którym napisał, co zamierza robić.

Twarz Michelle rozjaśniła się nagle.

- Mogłybyśmy to sprawdzić. Ma adres? Na przykład na Yahoo! albo na Hotmailu?
- Wiem, że ma adres na Hotmailu. Dlaczego pytasz?

256

s' ' f

W kanionie Blue John - ostatnie zdjęcie mojej prawej ręki

Megan McBride i Kristi Moore

Na dzień Wielkiego Progu, czterdzieści pięć minut po amputacji

Przy kałuży

pod Wielkim Progiem

- Znasz jego hasło?
- Nie, skąd.
- Włączmy komputer, zobaczymy, może coś znajdziemy.

Michelle wiedziała, że mogą przynajmniej spróbować ustalić moje hasło, uzyskać dostęp do plików i przekonać się, jakimi informacjami dzieliłem się ostatnio z przyjaciółmi. Na stronie logowania Michelle wskazała link „Zapomniałeś hasła?”. Weszły na stronę, gdzie zażądano podania mojego adresu e-mailowego, stanu, w którym mieszkam, i kodu pocztowego. Mama zbiegła na dół i wzięła notes z adresami. Wróciła na górę, gdzie próbowała razem z Michelle wprowadzić mój kod w Aspen, ale nie uzyskały dostępu.

Przez dwadzieścia bezowocnych minut mama próbowała posługiwać się swoim kodem pocztowym, nim przypomniała sobie, że założyłem konto jeszcze podczas pobytu w Nowym Meksyku. Ponownie zaglądając do notatnika, wystukała kod pocztowy w Albuquerque i w końcu na stronie pojawiło się pytanie: „Szkoła średnia?”. Mama wykrzyknęła: „Och, wiem! Może się uda”. Ponieważ jednak żądano, by pisownia zgadzała się idealnie, dwie hakerki amatorki musiały na ślepo podsuwać kombinacje skrótów, jakimi się posługiwałem. Raz za razem na stronie pojawiał się czerwony komunikat: „Proszę, wpisz poprawną odpowiedź na pytanie”. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Michelle i mama zastanawiały się nad wariacjami dotyczącymi nazwy mojej szkoły średniej, kiedy zadzwonił telefon.

* * *

Po rozmowie z moją mamą sprawy w sklepie potoczyły się z szybkością lawiny. Brion zadzwonił tuż po dziesiątej do Adama Cridera z policji w Aspen i zgłosił moje zaginięcie. Wyjaśnił, że wybrałem się w weekend na wycieczkę i nie wróciłem na imprezę zorganizowaną 28 kwietnia; dodał, że nie ma mnie od dwóch dni w pracy i że nie daję znaku życia. Adam zaczął wypełniać formularz zgłoszenia, zauważając przy okazji, że Brion jest „bardzo zaniepokojony”, i o 10.27 nadał sprawie bieg oficjalny. Poprosił Briona, żeby starał się zebrać jak najwięcej informacji o miejscu mojego pobytu, i powiedział, że zajrzy za parę minut do sklepu.

O 10.19 Brion zadzwonił do Elliotta, który siedział sam w domu przy Spruce Street, i poprosił go, żeby poszukał wszystkiego, co mogłoby w jakiś sposób wskazywać miejsce mojego pobytu. Brion wyjaśnił, że

257

zgłosił moje zaginięcie i że potrzebuje konkretnych informacji dotyczących ostatniego weekendu. Chciał się dowiedzieć czegoś zwłaszcza

o mojej ekspedycji na Alaskę.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział. - Ktoś wspomniał, że Aron miał się spotkać z uczestnikami wyprawy na Denali, żeby potrenować wspinaczkę. Możesz zajrzeć do jego pokoju i sprawdzić, czy jest tam coś na ich temat? Kim są?

- Tak, pewnie. t

Elliott nie spieszył się specjalnie ze sprzątnięciem, przeprowadzką

1 pakowaniem. Nie spieszył się też do pracy, ponieważ zrezygnował ze stanowiska mechanika w lokalnym sklepie rowerowym. Wszedł do mojej sypialni i zaczął szukać jakichkolwiek papierów. Znalazł ich sporo, ale pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był plik planów podróży i złożonych fotokopii różnych map na jednej z półek. Z początku wyglądały obiecująco, ale po krótkim czasie, widząc liczne plamy i porozdzierane zagięcia, Elliott zorientował się, że to dokumenty z dawnych wypraw, o których słyszał ode mnie podczas częstych wizyt w domu.

Przejrzał papiery porozrzucane po moim pokoju; była tam prywatna korespondencja, stare rachunki i zeznania podatkowe. Po półgodzinie znalazł pomarańczową teczkę na dnie torby pod wieszakiem na ubrania, z naklejką „Denali 02”. Na starych wydrukach e-maili były nazwiska i numery telefonów, ale Elliott zrezygnował z zamiaru kontaktowania się z członkami zespołu wspinaczkowego, kiedy wpadł mu w rękę formularz mojego podania o pozwolenie na wspinaczkę, złożony przeze mnie w roku 2002. Sądząc, że władze parku narodowego będą dysponować potrzebnymi informacjami, wyjął z kieszeni komórkę i połączył się z biurem Parku Narodowego Denali i strażnicą w Talkeetna na Alasce. Pomimo szczerych zapewnień Elliotta, że chce pomóc przyjacielowi, który zaginął, i pragnie się skontaktować z którymś z jego towarzyszy z zespołu alpinistycznego, pracownicy parku odmówili podania jakichkolwiek nazwisk czy numerów telefonów (obowiązuje ich zakaz udzielania takich informacji osobom postronnym i organizacjom pozarządowym).

Elliott rozumiał takie stanowisko, ale nie chciał rezygnować. Zamierzał zadzwonić ponownie, przy wsparciu jakiegoś czynnika oficjalnego. Podziękował strażnikom za rozmowę i rozłączył się, zastanawiając, czy

258

--

nie poprosić policji w Aspen o kontakt ze strażnicą w Talkeetna. Najpierw jednak chciał się dowiedzieć, co słycać u Briona. Czas uciekał, ale w ciągu godziny, która upłynęła od ich rozmowy, Brion natrafił na prawdziwą żyłę złota.

- Nie zwracaj sobie głowy poszukiwaniami. Znalazłem teczkę Arona w jego szafce, powinienem tam zajrzeć od razu. Tak czy owak, mam potrzebne informacje.

Na wydrukach e-maili wysyłanych do kolegów z zespołu znalazł adresy, o które mu chodziło. Dwanaście minut przed jedenastą wysłał e-mail do Team Green Chili Winds, powiadamiając o moim zaginięciu i prosząc

0 informacje.

Od: Brion After

Wysłane: środa, 30 kwietnia 2003, godz. 10.48

Do: Janet Lightburn, Bill Geist, Jason Halladay, David Shaw

Temat: Poszukiwania Arona Ralstona

Cześć,

jestem szefem Arona w sklepie Ute Mountaineer w Aspen, a on przez dwa ostatnie dni nie zjawił się w

pracy. Niepokoiśmy się o niego. Zastanawiam się, czy ktoś z Was wie, gdzie on przebywa, albo może udzielić mi jakichkolwiek informacji o jego ostatniej wyprawie. Żaden z jego przyjaciół współlokatorów nie potrafi powiedzieć nic pewnego, ale sądzimy, że 24 albo 25 kwietnia wybrał się do Utah. Niewykluczone, by spotkać się z którymś z Was w celach treningowych. Jeśli macie jakiegokolwiek informacje o Aronie, proszę o wiadomość na ten adres. Możecie też dzwonić pod numer sklepu w Aspen. Zawiadomiliśmy policję i jego rodzinę, ponieważ Aron jest zwykle bardzo punktualny i utrzymuje stały kontakt z nami i swoimi przyjaciółmi. Pozdrawiam Brion After

<

Był to czas, kiedy Brion przygotowywał się do wyjazdu na kilkutygodniowe wakacje do Australii i miał jeszcze mnóstwo pracy w sklepie. Wykonawszy tę doskonałą robotę detektywistyczną, musiał przekazać pałeczkę komuś, kto byłby na miejscu, więc zadzwonił do Elliotta

1 poprosił okrężną drogą o pomoc:

259

- Co dzisiaj robisz?

Wyczuwając, o co chodzi, Elliott odparł:

- Hm, sprzątałem pokój Leony, żeby wnieść swoje rzeczy, rozpakować się, tego rodzaju sprawy. Chcesz, żebym się czymś zajął? Chętnie pomogę.

- Szczerze mówiąc, tak. Przychodzą e-maile, a ja mam mnóstwo roboty. Wyjeżdżam jutro na dwa tygodnie. Dasz radę wpaść do sklepu, zadzwonić w parę miejsc i pilnować poczty?

- Jasne. I tak miałem przyjść, żeby jeszcze cię pomęczyć o pracę. Będę za dziesięć minut.

* * *

Około wpół do dwunastej Brion zadzwonił do mojej mamy. Jego telefon przerwał na chwilę wysiłki obu kobiet próbujących ustalić moje hasło. Mama ucieszyła się na wieść, że Brion zadzwonił na policję i wysłał wiadomość do przyjaciół z zespołu Denali. Zmagając się z komputerem, podawała mu dodatkowe informacje, których potrzebowała policja. Brion spytał, czy zna numer rejestracyjny mojego samochodu. Zeszła na dół do biurka, gdzie schowała kartkę, na której spisała markę, model, rok produkcji i numer rejestracyjny mojego pikapu. Poprosiła mnie, żebym podałem jej to wszystko, kiedy byłem w domu na święta Bożego Narodzenia w 2000 roku, przed samotną wspinaczką na czterotysięczniku, na wszelki wypadek, gdyby potrzebowała tych danych w jakiejś sytuacji alarmowej. Zrobiłem to z pamięci, myśląc się, więc mama nieświadomie przekazała Brionowi błędną informację na temat samochodu.

Kiedy już opisała dokładnie wóz i podała numer rejestracyjny, po raz kolejny wcisnęła ENTER i sapnęła z wrażenia, kiedy ekran komputera zmienił się po raz pierwszy od pół godziny. Michelle i mama krzyknęły jednocześnie: „Jest! Jest!”, i objęły się z radości.

- Co się dzieje? Co się stało? - spytał Brion, kiedy mama znów wzięła słuchawkę do ręki.

- Próbujemy od pół godziny dostać się do skrzynki odbiorczej Arona. Właśnie wpadliśmy na to, jak zmienić jego hasło. Będziemy mogły przeczytać jego e-maile, zobaczymy, czy jest tam coś o tym, dokąd się wybrał.

Brion słyszał szalone podniecenie w głosie matki, wywołane tym niespodziewanym sukcesem.

- Wszłaś na jego konto? - spytał.

260

Przeglądając najświeższe e-maile od moich znajomych i przyjaciół, mama wyjaśniła:

- Tak, zaglądamy do jego skrzynki. Jeśli nie znajdziemy nic w jego wiadomościach, to wyślesz e-mail do wszystkich jego znajomych z pytaniem, co wiedzą?

- Pewnie, doskonały pomysł - odparł Brion.

Mama podała mu nowe hasło i oboje ustalili, że Brion zajmie się zbiorowym przesłaniem informacji, podczas gdy ona i Michelle będą przeglądać ponad dwadzieścia wiadomości, które otrzymałem od zeszłej środy, kiedy po raz ostatni włączyłem komputer. Brion natychmiast zadzwonił do Adama Cridera z komendy policji w Aspen, żeby przekazać mu opis

mojego wozu i numer rejestracyjny.

* * *

Kiedy już mama podała Brionowi hasło, Michelle musiała wracać do domu i spakować się przed podróżą, w którą wybierała się z mężem. Tuż przed dwunastą w południe, znowu samotna, mama zadzwoniła do Lubbock, do mojej siostry, która właśnie pisała pracę dyplomową na ostatnim roku studiów, i oznajmiła cicho głosem zmęczonym i zdartym po dwóch godzinach płaczu i stresu:

- Słuchaj, Sonja, dowiedziałam się dziś rano, że twój brat od dwóch dni nie pokazał się w pracy. Wiesz może, dokąd pojechał albo co robi?

Sonja była spokojna, ale miała niewiele informacji o moich ostatnich podróżach, ponieważ nie kontaktowaliśmy się od dwóch tygodni.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest. Przykro mi, mamu. Dobrze się czujesz? Chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

- Nie, zostań tam i pisz pracę. Będę się z tobą kontaktować. Staraj się zachować spokój.

Pomimo tej prośby życie nie mogło biec swoim utartym torem ani w przypadku mamy, ani w przypadku mojej siostry. Choć Elliott prowadził poszukiwania, na bieżąco przekazując wszystkie tropy policji, która zaczęła działać pełną parą, kiedy tylko Brion zadzwonił do komendy i podał opis mojego wozu, mama nie była w stanie wrócić do swoich obowiązków - cały czas myślała o tym, co się ze mną dzieje.

* * *

261

Kilka minut po dwunastej Elliott zjawił się pod sklepem i oparł swój srebrny rower o stojak na chodniku. Rzadko jeździł po mieście samochodem, ponieważ znacznie szybciej docierał do centrum Aspen na dwóch kołach, poza tym nie musiał szukać miejsca parkingowego. Kiedy tylko wbiegł po schodach i znalazł się w sklepie, Brion wręczył mu teczkę z materiałami dotyczącymi wyprawy na Denali i streścił szybko swoje działania:

- To są dane ludzi, z którymi zamierza wyprawić się na Denali. Zacząłem dostawać od nich odpowiedzi, rozmawiałem nawet z jednym, Jaso-nem Halladayem. Znajdziesz jego numer na kartce w teczce. Jest tam także numer mamy Arona i adres e-mailowy z hasłem. Jego mama prosi, żebyśmy przestali wiadomość wszystkim ludziom z jego książki adresowej.

Brion działał błyskawicznie, a mimo to potrafił zachować trzeźwość i spokój w najtrudniejszej sytuacji, z jaką przyszło mu się w życiu zmierzyć.

- Kto w policji zajmuje się tą sprawą? - spytał Elliott.
- Ach, racja. Rozmawiałem z nimi dwa razy. Tu jest numer do tego faceta, ma na imię, hm, Adam.
- Co mu powiedziałaś? - Elliott był niezwykle drobiazgowy i chciał wiedzieć jak najwięcej.

Brion przekazał mu wszystko, o czym do tej pory zdążył poinformować Adama. Potem Elliott usiadł przy jego zagraconym biurku i zaczął się zastanawiać, co ma dalej robić, podczas gdy Brion ruszył do sklepu przypilnować zredukowanego personelu.

* * *

Wśród e-maili, które Brion tego ranka wydrukował i przekazał Elliotto-wi, była odpowiedź od Jasona Halladaya. Jason zgłosił się po piętnastu minutach od otrzymania pierwszej informacji i opisał szczegóły przygotowań do wyprawy treningowej na Denali, planowanej na 1-4 maja. O godzinie 11.03 napisał: „Nie kontaktowałem się z nami od zeszłego tygodnia. Ostatni e-mail, który od niego otrzymałem, tu, w pracy, pochodzi z 22 kwietnia, nie wspominał w nim jednak o swoich planach”. Jason wybierał się właśnie do domu na lunch i dopisał: „Być może mam jakąś nowszą korespondencję od niego w domu, sprawdzę, gdy tylko tam dotrę”. Po półgodzinie Jason przesłał następną wiadomość - zamieścił

262

ś

Kilka minut po dwunastej Elliott zjawił się pod sklepem i oparł swój srebrny rower o stojak na chodniku. Rzadko jeździł po mieście samochodem, ponieważ znacznie szybciej docierał do centrum Aspen na dwóch kołach, poza tym nie musiał szukać miejsca parkingowego. Kiedy tylko wbiegł po schodach i znalazł się w sklepie, Brion wręczył mu teczkę z materiałami dotyczącymi wyprawy na Denali i streścił szybko swoje działania:

- To są dane ludzi, z którymi zamierza wyprawić się na Denali. Zacząłem dostawać od nich odpowiedzi, rozmawiałem nawet z jednym, Jaso-nem Halladayem. Znajdziesz jego numer na kartce w teczce. Jest tam także numer mamy Arona i adres e-mailowy z hasłem. Jego mama prosi, żebyśmy przestali wiadomość wszystkim ludziom z jego książki adresowej.

Brion działał błyskawicznie, a mimo to potrafił zachować trzeźwość i spokój w najtrudniejszej sytuacji, z jaką przyszło mu się w życiu zmierzyć.

- Kto w policji zajmuje się tą sprawą? - spytał Elliott.
- Ach, racja. Rozmawiałem z nimi dwa razy. Tu jest numer do tego faceta, ma na imię, hm, Adam.

- Co mu powiedziałaś? - Elliott był niezwykle drobiazgowy i chciał wiedzieć jak najwięcej.

Brion przekazał mu wszystko, o czym do tej pory zdążył poinformować Adama. Potem Elliott usiadł przy jego zagraconym biurku i zaczął się zastanawiać, co ma dalej robić, podczas gdy Brion ruszył do sklepu przypilnować zredukowanego personelu.

Wśród e-maili, które Brion tego ranka wydrukował i przekazał Elliotto-wi, była odpowiedź od Jasona Halladaya. Jason zgłosił się po piętnastu minutach od otrzymania pierwszej informacji i opisał szczegóły przygotowań do wyprawy treningowej na Denali, planowanej na 1-4 maja. O godzinie 11.03 napisał: „Nie kontaktowałem się z nami od zeszłego tygodnia. Ostatni e-mail, który od niego otrzymałem, tu, w pracy, pochodzi z 22 kwietnia, nie wspomniał w nim jednak o swoich planach”. Jason wybierał się właśnie do domu na lunch i dopisał: „Być może mam jakąś nowszą korespondencję od niego w domu, sprawdzę, gdy tylko tam dotrę”. Po półgodzinie Jason przesłał następną wiadomość - zamieścić

262

w niej także fragmenty bardzo istotnego e-maila, który napisałem w styczniu i w którym prosiłem, by wybrał się ze mną na wędrowkę po licznych kanionach, a także wziął udział w ekspedycji na Denali. Siedząc przy biurku Briona, Elliott przeczytał:

Od: Jason Halladay

Wystane: środa, 30 kwietnia 2003, 11.40 Do: Brion After

Temat: Poszukiwania Arona Ralstona Brion,

witam ponownie. Sprawdziłem na domowym komputerze, ostatnia wiadomość od Arona jest z 23 kwietnia, dotyczyła jego wyprawy na Quandary. Nie wspomniał o planach na najbliższe weekendy, ale na początku roku wymienił następujące kaniony, które chciałby odwiedzić w Utah: Black Box w rejonie San Rafael, Virgin River w rejonie Zion, Cable Seger (rejon San Rafael).

A także wszystkie techniczne odcinki wymienione w książkach Kelseya jako „najlepsze” (masz tę książkę na temat płaskowyżu San Rafael? Jest doskonała).

Zgadzam się, mogło mu się coś pomieszać z grafikiem, miejmy nadzieję, że jutro się pojawi, ale to nie w jego stylu zapominać o pracy i nie powiadomić nikogo.

Dzięki jeszcze raz za kontakt Jason

Brion wrócił do biura, żeby zastanowić się z Elliottem, do kogo by tu jeszcze zadzwonić.

- O ile wiem, ostatnią osobą, która widziała Arona, był Brad Yule. Ale nie mam pojęcia, jak się z nim skontaktować.

- Coś ty! - wykrzyknął Elliott. - Mam przy sobie jego numer. Wyjął szybko telefon z kieszeni, odszukał numer Brada i zadzwonił do

jego biura, by w końcu złapać go na lotnisku w Denver; Brad miał właśnie przesiąść się na samolot do Atlanty.

- Hej, Brad. Mam do ciebie pytanie. Aron nie zjawił się w pracy wczoraj ani dziś rano, martwimy się o niego. Zbieramy informacje dla policji,

w niej także fragmenty bardzo istotnego e-maila, który napisałem w styczniu i w którym prosiłem, by wybrał się ze mną na wędrowkę po licznych kanionach, a także wziął udział w ekspedycji na Denali. Siedząc przy biurku Briona, Elliott przeczytał:

Od: Jason Halladay

Wystane: środa, 30 kwietnia 2003, 11.40 Do: Brion After

Temat: Poszukiwania Arona Ralstona Brion,

witam ponownie. Sprawdziłem na domowym komputerze, ostatnia wiadomość od Arona jest z 23 kwietnia, dotyczyła jego wyprawy na Quandary. Nie wspomniał o planach na najbliższe weekendy, ale na początku roku wymienił następujące kaniony, które chciałby odwiedzić w Utah: Black Box w rejonie San Rafael, Virgin River w rejonie Zion, Cable Seger (rejon San Rafael).

A także wszystkie techniczne odcinki wymienione w książkach Kelseya jako „najlepsze” (masz tę książkę na temat płaskowyżu San Rafael? Jest doskonała).

Zgadzam się, mogło mu się coś pomieszać z grafikiem, miejmy nadzieję, że jutro się pojawi, ale to nie w jego stylu zapominać o pracy i nie powiadomić nikogo.

Dzięki jeszcze raz za kontakt Jason

Brion wrócił do biura, żeby zastanowić się z Elliottem, do kogo by tu jeszcze zadzwonić.

- O ile wiem, ostatnią osobą, która widziała Arona, był Brad Yule. Ale nie mam pojęcia, jak się z nim skontaktować.
- Coś ty! - wykrzyknął Elliott. - Mam przy sobie jego numer.

Wyjął szybko telefon z kieszeni, odszukał numer Brada i zadzwonił do jego biura, by w końcu złapać go na lotnisku w Denver; Brad miał właśnie przesiąść się na samolot do Atlanty.

- Hej, Brad. Mam do ciebie pytanie. Aron nie zjawił się w pracy wczoraj ani dziś rano, martwimy się o niego. Zbieramy informacje dla policji,

263

żeby mogła rozpocząć poszukiwania. Zdaje się, że jesteś ostatnią osobą, która go widziała. Wiesz może, dokąd się wybrał? Mówił ci coś istotnego, kiedy rozmawialiście?

Brad opowiedział o naszej wyprawie narciarskiej na górę Sopris, wspominał też o tym, że mój samochód utknął w drodze powrotnej i że potem wybrałem się na pustynię, nie podając jednak dokładnie miejsca.

- Myśleliśmy, że skontaktuje się z nami przed sobotnią imprezą, ale nie zadzwonił, zresztą my też tam nie dotarliśmy.
- Okej. Pamiętasz, co miał w samochodzie?
- Rower górski i narty na bagażniku dachowym, a przy sobie sprzęt wspinaczkowy i biwakowy.
- Wybierał się gdzieś na narty?

- Nie, jestem przekonany, że zamierzał zwiedzić kaniony.
- Aha, okej. Policja chce wiedzieć, jak wyglądał jego plecak i kurtka.
- Nie pamiętam dokładnie. Słuchaj, Elliott, mam już samolot, muszę lecieć. Pomyślę o tym i zadzwonię do ciebie, jak już dotrę do Charlotte.

Siedząc w samolocie, Brad wyjął aparat cyfrowy i przejrzał zdjęcia z góry Sopris, zwracając szczególną uwagę na plecak, który miałem tego dnia z sobą, a także kurtkę, notując to wszystko w pamięci z zamiarem

skontaktowania się z Elliottem po wylądowaniu w Karolinie Północnej.

* * *

Tuż przed rozmową z moją siostrą, o 11.43, mama wysłała wiadomość do członków zespołu Denali. Posługując się adresami z e-maila, którego razem z Michelle znalazła w mojej skrzynce, poprosiła o wszelkie informacje, jakimi dysponowali, tak jak zrobił to już Brion. Zadzwonił do niej Jason Halladay, z Los Alamos National Lab, gdzie pracował jako technik komputerowy, i przekazał to wszystko, co zdążył już przesłać Brionowi. Mama zeszła do piwnicy i znalazła stary atlas drogowy, gdzie były zaznaczone Park Narodowy Zion i płaskowyż San Rafael. Jason próbował jej w miarę możliwości pomóc, ale nie znał dokładnego położenia kilku kanionów. Potrzebował swojego przewodnika, zostawił go jednak w domu.

* * *

Elliott przekazał Adamowi Criderowi z komendy policji informacje o ostatnim znanym miejscu mojego pobytu i kierunku, w którym się uda-

264

lem. Adam spytał go, czy może zna jakąś dokładniejszą lokalizację niż po prostu pustynia Utah. Elliott wyciągnął listę dostarczoną przez Jaso-na i zawierającą prawdopodobne cele mojej wyprawy, i podyktował ją Adamowi. Crider odszukał na mapie Utah Park Narodowy Zion i płaskowyż San Rafael. Chociaż ten trop pochodził z niepotwierdzonego e-maila sprzed trzech miesięcy, była to jedyna konkretna informacja, jaką udało się zdobyć do tej pory, i Adam musiał ją wykorzystać najlepiej, jak potrafił. Tuż przed trzynastą przesłał dalekopisem wiadomość do biur szeryfów w okręgach Washington, Grand i Emery, a następnie zadzwonił do Zion, by się upewnić, że służby parków narodowych otrzymały informację.

Okręg Grand to siedziba zarządu Canyonlands i Arche, dwóch najpopularniejszych parków narodowych w zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Z powodu dużego skupienia agencji zarządzających terenami publicznymi na obszarze okręgu nie jest niczym szczególnym przekraczanie trzech, czterech czy nawet sześciu granic w trakcie przejażdżki rowerowej, wyprawy wozem terenowym czy pieszej wędrowki. Aby zapewnić lepszą koordynację działań kryzysowych i wyższy poziom obsługi, Służba Parków Narodowych, Służba Leśna, Zarząd Parków Stanu Utah i Biuro Zarządzania Ziemią mają wspólne centrum dowodzenia i informacji, zlokalizowane w Moab. W wyniku działań podjętych przez Adama niemal każda agencja publiczna w południowo-wschodnim kwadrancie Utah dostała opis mojego samochodu. Choć żadna z nich nie prowadziła jeszcze aktywnych poszukiwań - tropienie każdego pojazdu, który być może znajduje się na terenie stanu, byłoby zbyt kosztowne - wzmogły one czujność i zawiadomiłyby policję w Aspen, gdyby natknęły się na mój wóz.

* * *

Elliott rozpoczął intensywną akcję informowania moich przyjaciół w całych Stanach o tym, że zaginąłem. Siedząc przy biurku Briona, przeglądał moje konto, konto Briona i swoje własne, analizując wiadomość za wiadomością od zaniepokojonych ludzi. Pracując tak przez całe popołudnie, zgromadził kilka tropów, ale na ogół miał do czynienia z odpowiedziami w rodzaju: „Nie mam pojęcia, gdzie jest Aron, ale martwię się o niego”. Pośród e-maili wyróżniała się wiadomość od mojego przyjaciela

265

Dana Hadlicha, kierująca uwagę Elliotta na górę Sopris i Holy Cross w Kolorado, a nie na Utah.

Od: Daniel Hadlich

Wysłane: środa, 30 kwietnia 2003, 12.27 Do: Brion After, Jason Halladay Temat: Poszukiwania Arona Ralstona Brion i Jason,

nie wydaje mi się, by Aron wybrał się w miniony weekend do Utah. Załączam informację, którą 20 kwietnia otrzymałem od niego mailem: „Wybieram się do Conundrum Hot Springs i zamierzam jutro wejść na Castleabra. Może też wymoczę się w źródłach! W piątek wejdę na Cristo Couloir z Janet, w niedzielę pojeżdżę na nartach w Ajax, żeby uczcić koniec sezonu, a w środę zacznę od wyprawy narciarskiej na Sopris, wejdę w piątek sobotą na Holy Cross Couloir i kto wie, na co się potem zdecyduję! Może i nadchodzi wiosna, ale nie mam zamiaru wędrować gdziekolwiek, jeśli mogę pojeździć na nartach albo powspinać się po śniegu! Cześć Aron”

Oznaczałoby to, że Aron znajdował się na Sopris w środę-czwartek (23-24.04), a w piątek-sobotę (25-26.04) na Holy Cross Couloir. Czy ktoś szukał w tamtym rejonie jego samochodu? Proszę o jak najszybszy kontakt, gdy tylko się odezwie. Dajcie także znać mnie i Julii, jeśli będą potrzebni ludzie, którzy mogliby w ten weekend objeżdżać okolicę, szukając Arona albo jego samochodu. Dan

Dan dostarczył jedyną marszrutę, jaką pozostawiłem na piśmie, i Elliott wiedział, że musi pójść tropem Holy Cross i przekazać wiadomość policji w Aspen, choć informacja ta była sprzeczna z tym, co przekazałem Bradowi. Kiedy rozmawiał z Adamem krótko po trzynastej, powiedział, że zadzwoni do komendy policji w Minturn - mieście najbliższym góry Holy Cross - z prośbą, by sprawdzili na Tigiwon Road, czy nie ma tam mojego samochodu.

- Jednak numer rejestracyjny, który nam podałeś, jest błędny - oznajmił Adam. - Sprawdził w bazie danych, numer rejestracyjny stanu

266

Nowy Meksyk 888-MMY nie istnieje. Kazałem policjantom w okręgu Eagle szukać rdzawoczerwonej toyoty Tacoma rocznik dziewięćdziesiąty ósmy, ale musimy mieć właściwy numer rejestracyjny.

Elliott obiecał, że zadzwoni do mojej mamy i jeszcze raz sprawdzi numer.

* * *

Nie mogąc niczego przełknąć, mama wróciła do gabinetu na piętrze, gdzie usiadła przy biurku i zaczęła porządkować papiery, prześladowana straszliwymi myślami o niebezpieczeństwie, w jakim się znalazłem, i bliska załamania nerwowego. W pewnej chwili wzięła się w garść i postanowiła walczyć. Broniąc się przed kolejną falą bezradności, odłożyła papiery na biurko i powiedziała głośno: „Muszę coś zrobić, żeby pomóc

Aronowi". Miała wrażenie, że od jej działań zależy moje życie. Nie zamierzała siedzieć w miejscu i czekać, aż ktoś ją o czymś poinformuje. To nie było w jej stylu.

Dwukrotnie próbowała dodzwonić się do taty, który był w Nowym Jorku, żeby mu powiedzieć, co się dzieje, i poprosić o rady i wskazówki, ale miał wyłączoną komórkę i nie było go w pokoju hotelowym, więc mama zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej, żeby się z nią skontaktował, kiedy tylko wróci. Już na własną rękę, korzystając z informacji dostarczonych przez Jasona, zaczęła przeglądać krótką listę: policja w Aspen, Brad Yule, drogówka w Utah, Park Narodowy Zion.

Zanim zdążyła skontaktować się z kimkolwiek, zadzwoniła jej komórka. To był Elliott, który poinformował ją, że mój numer rejestracyjny jest nieprawidłowy. Mama wyjęła kartkę, z której korzystała wcześniej, i odczytała numer, cyfra po cyfrze. Po trzeciej przerwał jej:

- Zaraz, zaraz, powiedziała pani 886? Okej, Brion zapisał 888. Reszta to MMY? Przekażę policji.

Ponad pół godziny później Elliott znowu zadzwonił do mamy. Policja w Aspen poinformowała go, że to też nie jest numer rejestracyjny mojego samochodu, ale chevroleta Blazer należącego do jakiejś kobiety w Albuquerque. Elliott przejął inicjatywę i zadzwonił do wydziału komunikacji stanu Nowy Meksyk, gdzie próbował uzyskać numer mojego wozu, podając jego opis i nazwisko właściciela, ale nie mogli mu pomóc. Niestety, mama nie dysponowała innymi informacjami na temat samochodu, więc

267

rozłączyli się, nie mając pojęcia, jak i gdzie zdobyć numer rejestracyjny mojej toyoty.

* * *

Kilka minut później, o 15.45, w domu znowu odezwał się telefon. Dzwonił mój tata z Nowego Jorku. Teraz to na mamę, podobnie jak wcześniej na Briona, spadł obowiązek przekazania strasznych wiadomości.

- Rano zadzwonił do mnie szef Arona ze sklepu. Aron nie pojawił się wczoraj ani dzisiaj w pracy, nikt go też nie widział od piątku. I nikt nie wie, dokąd pojechał.

Zszokowany tata niemal natychmiast zaczął się zastanawiać, co mogło się ze mną stać. Zdziwił się, że nikomu nie zostawiłem żadnej wiadomości. Choć był bardzo zaniepokojony, wiedział doskonale, że trzeba bezzwłocznie działać i że później będzie czas na emocje.

Mama zrelacjonowała mu swoje dotychczasowe działania. Za każdym razem zadawał jej kilka pytań, żeby się upewnić, czy czegoś nie przeoczyła, jakiegoś niezbadanego jeszcze tropu, ale doszli do wniosku, że zrobiła to, co należy. Mimo wszystko tata chciał natychmiast wracać do domu.

- Nie, nie wyjechałeś na długo, za trzy dni wracasz. Zanim znajdą jakieś zastępstwo, będzie sobota wieczór, a ty będziesz tu w niedzielę. Zresztą i tak byś niewiele pomógł.

Pocieszając mamę z drugiego końca kraju, tata wiedział, że ktoś powinien z nią być, zwłaszcza gdyby poszukiwania nie przynosiły rezultatu.

- Skoro nie wracam do domu, musisz mi obiecać, że zadzwonisz do kościoła i poprosisz, żeby ktoś do ciebie przyjechał i z tobą został.

Mama sprzeciwiła się temu pomysłowi.

- Nie sądzę, by było to konieczne.

Jednak tata ją w końcu przekonał, żeby zadzwoniła do Hope United Methodist Church, naszej rodzinnej parafii w Greenwood Village na południowo-wschodnich przedmieściach Denver. Mama się zgodziła, powiedziała też, że skontaktowała się z biurami szeryfów i Zarządem Parków Narodowych.

Tata poradził na koniec:

- Jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś, to musisz wszystko notować, żeby się nie pogubić, kiedy będziesz dzwonić w różne miejsca.
- Tak, zaczęłam już prowadzić taki rejestr - zapewniła mama.

268

Oboje wiedzieli z doświadczenia, jak ważne jest to, by orientować się dokładnie, kto, co i kiedy powiedział; mama, dzwoniąc do kogoś, musiała liczyć się z tym, że odbierze inna osoba i że trzeba będzie ją o wszystkim poinformować.

Rodzice wyczerpali wszelkie możliwe wyjaśnienia mojego zniknięcia - że na przykład obozuję gdzieś z przyjaciółmi nad strumieniem albo że zachowałem się nieodpowiedzialnie i nie zadzwoniłem, że przedłużam sobie wakacje. Nie było jednak mowy o jakimś optymistycznym wytłumaczeniu mojej przeciągającej się nieobecności. Niepokój przyprawił tatę o coraz silniejszy ból żołądka; kiedy ojciec powiedział mamie na koniec rozmowy „kocham cię”, czuł się tak, jakby dostał z broni palnej w brzuch.

Mamie też nie było łatwo, a podjęcie decyzji, by zadzwonić do kościoła, okazało się największym emocjonalnym wyzwaniem tego dnia. Mama odznaczała się silną wolą i nie była przyzwyczajona do tego, by w jakiegokolwiek sytuacji prosić o pomoc. Gdy jednak kilka minut później usłyszała w słuchawce Anne Fort, która oznajmiła, że zjawi się u niej przed siódmą, mama była zadowolona, że zwróciła się do Kościoła z prośbą o wsparcie.

O 17.23 zaczęła się kontaktować z osobami z listy, poczynwszy od policji w Aspen. Z sześć razy opowiedziała tę samą historię podczas dwudziesto-minutowych rozmów. Potem, od 17.45 rozmawiała przez dwie godziny z przedstawicielami organów ochrony porządku publicznego w stanie Utah; najpierw skontaktowała się z dwoma dyspozytorami z Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego, a potem z dwoma dyspozytorami z policji Parku Narodowego Zion, za każdym razem prosząc o pomoc w mojej sprawie. Przed odłożeniem słuchawki nieodmiennie zadawała

pytanie: „Do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić?”.

* * *

Za pośrednictwem rozległej sieci przyjaciół wspinaczy i kolegów z grup poszukiwawczo-ratunkowych Steve Patchett otrzymał kopię e-maila przesłanego przeze mnie Jasonowi z nazwami czterech kanionów w Utah, które zamierzałem odwiedzić. Jako szef ratowników w Albuquerque Mountain Rescue Council i jeden z moich licznych mentorów, Steve był w pełni świadomy, że czas w tej sytuacji ma zasadnicze znaczenie. Pierwsza doba poszukiwań jest często decydująca. Ze swojego domu

269

w Albuquerque Steve zadzwonił do Marka Van Eeckhouta w Los Alamos; było to w środę, o godzinie 15.38. Próbowali ustalić, gdzie znajdują się najrzadziej uczęszczane kaniony. Mark wpisał do wyszukiwarki „Seger Canyon” i otrzymał informację „Tom's Utah Canyoneering Guide”. Kliknął ten link i zaczął czytać szczegółowy opis, zawierający wskazówki na temat dojazdu i topograficzne mapy kanionu. Steve nakreślił „X” pośrodku okręgu Wayne w swoim atlasie drogowym, zgodnie ze wskazówkami, które przekazywał mu Mark, czytając informacje w internecie. Znaleźli Cable Canyon niedaleko Segars Hole, na południowym krańcu płaskowyżu San Rafael.

Następnie Steve zadzwonił do sklepu, odpowiadając na e-mail Elliotta. Rozmawiali prawie przez dwadzieścia pięć minut. Steve powiedział, że zamierza skontaktować się z przedstawicielami różnych władz w Kolorado i Utah. Elliott otrzymał e-mail od mojego kolegi wspinacza Wolfganga Stillera i uzyskał potwierdzenie podczas krótkiej rozmowy telefonicznej, że przełożyliśmy wyprawę na górę Holy Cross z powodu zagrożenia lawinowego. Jednak, jak powiedział Wolfgang, nie można było wykluczyć, że sam postanowiłem spróbować wspinaczki. Elliott przekazał to Steve'owi, który oznajmił, że zadzwoni do szeryfa w okręgu Eagle i poprosi, by mimo wszystko zbadać ten trop. Poinformował też Elliotta, że w następnej kolejności skupi się na możliwych lokalizacjach w Utah.

Między 16.15 a 17.00 Steve zadzwonił na numer policji Parków Narodowych Zion i do biura szeryfa okręgu Emery w Castle Dale, z prośbą

0 rozpoczęcie poszukiwań na szlakach prowadzących do rzeki Virgin

1 kanionu Black Box na płaskowyżu San Rafael, w takiej właśnie kolejności. Funkcjonariusze policji w Zion oświadczyli, że poszukają mojego samochodu podczas wieczornego patrolu na szlakach. O 17.19 Steve rozmawiał z kapitanem Kyle'em Ekkerem z biura szeryfa, w jego siedzibie w Castle Dale. Kapitan przyjął zgłoszenie od Steve'a i polecił dyspozytorowi nadać oficjalny bieg sprawie i przesłać wszystkim funkcjonariuszom komunikat dotyczący mojego samochodu, ponadto kapitan Ekker poprosił lokalne ochotnicze grupy ratowników o sprawdzenie różnych szlaków. O 18.06 funkcjonariusze policji i ludzie z grup poszukiwawczo-ratunkowych byli już w drodze, zmierzając w różne miejsca: do Swinging Bridge, Joe's Valley i do górnych i dolnych odcinków kanionu Black Box. O 18.51 cztery patrole zameldowały dyspozytorowi, że przetrząsają szlaki regionu

270

San Rafael w poszukiwaniu mojego samochodu. Ochotnicy Russell Jones i Randy Lake z zespołu ratunkowego spotkali się w okolicach Black Box i wsiedli do terenówek, żeby sprawdzić najbardziej niedostępne szlaki, do których można dotrzeć tylko na rowerze górskim albo pieszo.

Po skontaktowaniu się z władzami innych okręgów Steve zadzwonił o 18.38 do mojej mamy i powiadomił ją o poszukiwaniach. Poza tym zmobilizował grupę ratowników z Albuquerque, prosząc, by przybyli do Utah najpóźniej następnego ranka. Mama powiedziała, że będzie utrzymywała stały kontakt z Departamentem Bezpieczeństwa Publicznego, któremu podlegała drogówka, i innymi instytucjami podanymi przez Steve'a, żeby cały czas być na bieżąco. Kiedy Steve dyktował jej listę nazwisk i numerów telefonicznych, mama zorientowała się, że dzięki wcześniejszej rozmowie ma już kontakt do biura szeryfa w Emery. Kiedy tylko

skończyła rozmawiać ze Steve'em, chciała się jak najszybciej dowiedzieć, czy ludzie z biura coś już ustalili. Kiedy skontaktowała się z nimi o 19.20, dyspozytor przyjmował właśnie zgłoszenia od funkcjonariuszy w terenie i poprosił mamę, by zadzwoniła za chwilę. Podczas drugiej rozmowy mama usłyszała, że działania grup poszukiwawczych „zakończyły się wynikiem negatywnym, zarówno jeśli chodzi o zaginioną osobę, jak i jej pojazd”.

Mama nalegała, by funkcjonariusze kontynuowali poszukiwania po zmroku, ale dyspozytor odparł, że to niemożliwe, gdyż większość ich kończy służbę. Wyraził przekonanie, w swoim mniemaniu logiczne i sensowne, że „czasem turyści tracą orientację i się gubią. Często odnajdują drogę po kilku dniach”.

Ten człowiek nie zna mojego syna, pomyślała mama i odparła zdecydowanym tonem:

- Nie zgubił się. Coś mu się stało.

Sama musiała jednak przyznać, że z powodu ograniczonych sił i środków lokalne biura szeryfów nie mogą skupiać działań wszystkich nocnych patroli na szukaniu mojego samochodu. Zakończyła grzecznie rozmowę, a potem zaczęła się zastanawiać co dalej.

W ciągu następnych dziesięciu minut rozmawiała z Erikiem Rossem z policji w Aspen, który przejął służbę po Adamie. Ustalili, że Erie pojedzie do mojego domu i spisz numerami moich kart kredytowych. Mama zadzwoniła do Elliotta i poprosiła go, by pomógł Ericowi, który już jechał na Spruce Street. Kiedy funkcjonariusz zjawił się na miejscu, obaj usiedli

271

w salonie i omówili dokładnie wszystko, co działo się po południu w sklepie. Elliott wyszedł z pracy o 18.00, zabierając ze sobą wszystkie możliwe dokumenty, musiał jednak poczekać z e-mailami do rana, ponieważ w domu nie było łącza internetowego. Elliott zaprowadził Erica do mojego pokoju i pokazał mu papiery dotyczące moich kart kredytowych i wyciągów z konta. Erie spisywał numery, podczas gdy Elliott szukał mojej książeczki czekowej, którą znalazł w końcu na jednej z półek i którą dał Ericowi. Policjant powiedział Elliottowi, że zadzwoni do instytucji wydających karty i poprosi, by przeanalizowały moje transakcje, a rano pójdzie do banku i sprawdzi transakcje dokonywane za pomocą karty debetowej.

Elliott, zmęczony po tym wyczerpującym emocjonalnie i umysłowo dniu, sporządził krótką notatkę, którą przyczepił do drzwi inojego pokoju: „Aron, zostałeś uznany za zaginionego. Wszyscy cię szukają. Zapukaj do mojej sypialni albo zadzwoń na moją komórkę, kiedy tylko znajdziesz

tę informację”. Potem położył się spać.

* * *

Mama rozmawiała z tatą ponownie o 21.00, informując go o poszukiwaniach. Podczas rozmowy tata krążył niespokojnie po pokoju hotelowym, przekonany, że coś powstrzymuje mnie przed powrotem do domu. Wiedział, że nie zwałem po prostu ani się nie zgubiłem; przychodziło mu do głowy tylko to, że albo spadłem z wysoka i złamałem sobie nogę, albo tkwię pod ospiskiem na zboczu jakiejś góry. Błagając mnie w duchu: „Trzymaj się, Aron, wytrwaj”, tłumił w sobie inne, bardziej przerażające myśli. Tata wiedział albo chciał wierzyć, że żyję, ale to oznaczało, że jestem ranny. Świadomość, że cierpię, sprawiała mu ból, ale mimo wszystko było to lepsze niż ponura alternatywa. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie zdoła zasnąć - niepokój nie pozwalał mu się położyć - zajmował się więc sporządzaniem notatek związanych z podróżą do Nowego Jorku na wypadek, gdyby musiał wracać do domu i przekazać sprawę komuś innemu.

* * *

Moja przyjaciółka Leona, przebywająca daleko w Boulder, wracała do domu z ciotką po sesji medytacyjnej, która nie pomogła jej pozbyć się niepokoju wywołanego moim zniknięciem. Zamknęła oczy i poczuła

272

jakiś kontakt, coś, co ją przywoływało, a potem doznała niewyraźnej, przypominającej sen wizji. Ujrzała ducha, od pasa w górę - bez wątpienia mnie. Mogła się zorientować, że żyję i że właściwie nic mi się nie stało, ale że jestem przerażony. Przyciskałem rękę do piersi, jakby była skaleczona, i stałem w jakimś ciasnym, ciemnym miejscu, ubrany w zieloną koszulę. Leona wyczuwała, że jestem świadomy jej obecności i wystraszony, nie z jej powodu, lecz z powodu otoczenia. Zobaczyła następnie siebie wyciągającą ramiona, by dodać mi odwagi pokrzepiającym dotykiem, ale sama też była jak skamieniała - nie mogła mnie dosięgnąć. Wydawało się, że muszę podjąć jakąś decyzję, i to sam, bez niczyjej pomocy. Empatia Leony jakby potęgowała towarzyszące tej wizji doznania fizyczne: czuła dreszcze chłodu, straszliwe pragnienie, skrajne wyczerpanie. Otrząsnęła się z transu zmęczona, jakby dopiero co przebiegła piętnaście kilometrów. Siedząc na fotelu pasażera w samochodzie ciotki, uświadomiła sobie, że są pod domem, nie mogła sobie jednak przypomnieć żadnych szczegółów piętnastominutowej jazdy, i to od chwili, gdy wyszły z sesji grupowej. Leona ruszyła za ciotką do drzwi, wypita trzy litry wody i poszła do łóżka, modląc się ze złożonymi dłońmi, by ta wizja się jej nie przyśniła. Wiedziała, że jest całkowicie bezradna i że nie może mi pomóc; nie chciała przeżywać po raz drugi tej strasznej i dramatycznej wizji, nie będąc w stanie nic zrobić.

Po rozmowie z moją siostrą o 22.20 mama położyła się do łóżka. Spała około godziny, potem zaczęła się kręcić niespokojnie. Po północy leżała z otwartymi oczami i myślała o mnie. O drugiej nad ranem, nie mogąc zasnąć, zadzwoniła na policję w Aspen. Dowiedziała się, że tempo poszukiwań nieco zmalało w związku z brakiem informacji na temat kart kredytowych - najwidoczniej nie posługiwałem się żadną z nich od czwartku 24 kwietnia, kiedy to kupowałem w Gleenwood benzynę. Nic nie wskazywało na to, bym dotarł gdzieś poza granice okręgu Eagle. Najpoważniejszą jednak kwestią były tablice rejestracyjne; kiedy policja sprawdzała bazy danych, żaden numer nie zgadzał się z opisem wozu. Mama wiedziała o tym, ale okazało się, że Erie nie daje za wygraną. Kiedy się skontaktowali, miał dla niej optymistyczną wiadomość: sprawdził numer, dzwoniąc na całodobową linię informacyjną wydziału komunikacji policji

273

stanowej Nowego Meksyku, ale nie znając adresu w dowodzie rejestracyjnym - adresu, który z pewnością nie dotyczy! Kolorado - nie mógł sam się niczego dowiedzieć. Mama powiedziała mu, że sama zadzwoni i uzyska informację o prawidłowych numerach rejestracyjnych; była podekscytowana, znów mogąc się czymś zająć.

O 2.42 połączyła się z funkcjonariuszem w Santa Fe, który potrafił poradzić sobie z komputerową bazą danych i rozpoczął poszukiwania na podstawie marki samochodu i adresu - chodziło, jak mama się słusznie domyślała, o mój dom w Albuquerque. W ciągu dziesięciu minut uzyskała potwierdzenie, że numer rejestracyjny mojego wozu to NM 846-MMY, i przekazała tę informację Rossowi. Odczuła podobną satysfakcję jak wtedy, gdy ponad szesnaście godzin wcześniej z powodzeniem ustaliła moje hasło. Wczesnym rankiem, kiedy w biurach szeryfów miała się zacząć następna zmiana, zamierzała natychmiast przystąpić do działania. Porzucając stanowisko przy kuchennym telefonie, mama usiadła na wyłożonych chodnikiem schodach na piętro, gdzie w gościnnej sypialni spała jej przyjaciółka Anna, i przez następne trzy godziny czuwała samotnie, błagając mnie: „Trzymaj się. Już do ciebie idziemy, Aron. Trzymaj się”.

ROZDZIAŁ TNASTY

Dzień szósty: oświecenie i euforia

Dopiero wtedy, gdy wszystko straciliśmy, wolno nam wszystko robić.

Brad Pitt jako Tyler Durden w filmie Podziemny krąg

Wychylam się z atramentowych czeluści worka i obserwuję świt wdzierający się z wolna do kanionu. Świeży blask dnia tłumi wizje, które zdominowały noc. Jednak mój mózg jest tak poskręcany i pokiereszowany po stu dwudziestu godzinach bez snu, że rzeczywistość nowego dnia też wydaje się dziełem halucynacji. Paskudny i bezkształtny głąz na prawej ręce nie różni się prawie od nierealnych obrazów stworzonych przez mój deliryczny umysł. Po pięciu dniach bezustannego narastania warstwy pyłu na soczewkach kontaktowych czuję ból w oczach przy każdym mrugnięciu, a pole brudnego widzenia otacza drgająca obwódka niewyraźnych chmur. Nie mogę już utrzymać głowy prosto; opieram ją bezwładnie o północną ścianę wąwozu, czasem poruszam nią i pozwalam, by opadła do przodu, gdzie trafia w objęcia lewego przedramienia. Jestem zombi. Jestem żywym trupem.

Czwartek, 1 maja. Nie mogę wprost uwierzyć, że wciąż żyję. Powinienem umrzeć kilka dni temu. Nie rozumiem, jak przetrwałem hipotermiczne warunki minionej nocy. Na dobrą sprawę jestem niemal rozczarowany, że ją przeżyłem, gdyż teraz epitafium na ścianie kanionu jest

275

błędne - bądź co bądź to już nie kwiecień, kiedy „spocząłem w pokoju”. Zastanawiam się przez krótką chwilę, czy nie skorygować daty, ale w końcu postanawiam dać sobie spokój. Nie będzie to miało znaczenia dla ekipy, która znajdzie moje ciało. Nie wiem, czy zauważą ten napis, a koroner zdoła ustalić datę zgonu na podstawie stopnia rozkładu tkanek. Myślę sobie, że to w porządku.

Gdzie się podziała pewność siebie, którą odczuwałem w trakcie wizji z małym jasnowłosym chłopcem, swoim przyszłym synem? Psychologicznie rzecz biorąc, wydawało mi się, że sięgnąłem dna poprzedniej nocy, kiedy wydrapałem epitafium, by potem znaleźć pocieszenie w dotyku tego dzieciaka. Jednak moją pogodę ducha spętała stoicka moc głązu i gorycz szczyń, które żłobią mi bruzdy w podniebieniu. Kolejne łyki uryny czerpanej z groteskowego zapasu w butelce, jeden za drugim, dokonały erozji jamy ustnej, zżerając jej wnętrze i przypominając mi, że umrę. W kwasowości moczu rozpuszczają się resztki wiary, którą znalazłem w sobie w środku nocy. Jeśli nie przeżyję, to po co piję własne siki? Czy nie jest to klasyczna oznaka człowieka potępionego? Zostałem skazany i porzucony na pastwę rozkładu.

* * *

Jest wpół do dziewiątej, ale kruk nie przeleciał jeszcze nad moją głową. Rozważam to przez chwilę, ale potem gubię tę myśl, zaabsorbowany owadami, które roją się z bezustanną i odwieczną intensywnością wokół głązu. Tłukę dłonią kilka latających insektów, żeby się czymś zająć, a potem patrzę na swój żółty zegarek, który wskazuje 8.45. Nawet ptak się mnie wyrzekł - nigdy nie pojawiał się później niż o 8.30, by odbyć swój dzienny lot, ale dzisiaj go nie ma. Jego nieobecność wzmacnia we mnie poczucie, że mój czas zbliża się coraz bardziej, jakby ta skrzydlata istota była totemicznym bóstwem, które podtrzymuje mnie na duchu.

Nagle wzbiera we mnie pragnienie: chcę umrzeć z muzyką w uszach. W którymś momencie, w trakcie tych wszystkich dni, nawet ta okropna piosenka BBC z Austina Powersa przestała dręczyć moją psychikę. Nie mogę jednak przywołać jakiegokolwiek melodii. Wszystko, co słyszę, to straszna martwota dźwiękowa kanionu. Cisza doprowadza mnie do obłądu. Potrzebuję swojego odtwarzacza. Od pięciu dni mam słuchawki

na uszach albo na szyi, ale odtwarzacz i dwie płyty znajdują się w głównej

276

części plecaka. Przesuwam go z pleców trzema łatwymi ruchami i opieram o uniesione lewe kolano, moje palce nurkują na samo dno, gdzie znajdują discmana i płyty... i centymetrową warstwę piasku.

Jeszcze nim wyciągam sprzęt, wiem, że sprawa jest beznadziejna. Dyski są podrapane w stopniu uniemożliwiającym odtworzenie. Po pięciu dniach na pustyni ich plastikowa powierzchnia wygląda tak, jakbym potraktował ją szlifierką taśmową. I tak nie ma to znaczenia. Odtwarzacz nie chce nawet obracać płyty, która już w nim jest. Za każdym razem, kiedy go włączam, pokazuje się informacja „brak dysku”. Wymieniam baterie, właściwie tylko dla spokoju sumienia. Musiałem w którymś momencie, nie pamiętam kiedy, uderzyć odtwarzaczem o ścianę i uszkodzić laser.

Kamera jednak przetrwała piasek i chaos w moim plecaku. Rezygnując z muzyki, postanawiam nagrać jeszcze kawałek. Przychodzi mi do głowy, że właśnie wkraczam w czas największego prawdopodobieństwa ratunku jeszcze za mojego życia. Znowu przesuwam plecak do tyłu i po raz pięćdziesiąty chyba zapinam pasek na ramieniu. Stawiam kamerę na głazie, a potem sadowię się i próbuję zebrać myśli. Kiedy otwieram usta i zaczynam mówić, piskliwość mojego głosu przyprawia mnie o strach. Jeszcze jedno przypomnienie, że jestem prawie martwy, że po prostu czekam na Śmierć.

- Tak sobie pomyślałem... jest czwartek około dziewiątej rano. Wkraczam w czas najwyższego prawdopodobieństwa... że ktoś mnie naprawdę znajdzie i że będę żył.

Przemyka mi przez głowę, że to prawie dobra wiadomość, lecz fakt, że jakkolwiek akcja zacznie się od tej chwili i będzie trwała do niedzieli, nie może rozbudzić wiary w szybki ratunek. Moje szanse wzrosły tylko odrobinę, z poziomu „śmiesznie nieprawdopodobne” na poziom „nieprawdopodobne”. Nie rozważam tego zagadnienia. Nie ma sensu. Ponieważ mój umysł jest dręczony przez uporczywe i pogłębiające się otumanienie, i tak nie mógłbym rozważać czegokolwiek, nawet gdybym chciał - nie mam mentalnej wytrwałości. Ni stąd, ni zowąd myślę o siostrze i jej ślubie. Obydwoje, ona i Zack, prosili mnie, żebym zagrał na fortepianie podczas sierpniowej uroczystości, a ja obiecałem, że to zrobię. Oczywiście nic z tego nie wyjdzie; nawet mnie tam nie będzie. Czuję się zniechęcony i przybity, ale uświadamiam sobie, że jednak mogę coś zrobić.

- Sonja... jeśli wciąż chcesz, żebym zagrał na waszym ślubie... w piw-

277

nicy domu rodziców leży taśma w pudełku. Na tym pudełku jest naklejka, zdaje się, „Moje utwory fortepianowe” czy „Moja muzyka”... chyba. Jest tam taśma. To ja, gram głównie utwory z przesłuchań z roku dziewięćdziesiątego trzeciego albo czwartego.

Od razu wyobrażam sobie Sonję, jak wkłada kasetę do odtwarzacza i słucha utworów w domu moich rodziców, razem z mamą. Wiem,, jak ciężko będzie im słuchać muzyki, którą grałem tak uważnie i sumiennie dziesięć lat temu: Mozarta, Bacha, Beethovena i Chopina, mojego ulubionego kompozytora. W głowie pojawia mi się nagle inny obraz, tym razem ze ślubu. Nie potrafię dokładnie zlokalizować miejsca, ale jest sielankowe i znajduje się pod gołym niebem. Ta sama muzyka fortepianowa płynie złowieszczą z głośników, zbierając się w groźną chmurę, która się nagle rozwiera i zalewa moją liczną rodzinę ulewą łez. Śmierć brata położy się czarnym cieniem na ślubie Sonji, ale wiem, że go nie odwoła. Nie będzie powodu, by zmieniać termin. Życie w przypadku ludzi żywych płynie po prostu dalej.

Podążam przed siebie i rozpraszam obraz matki i siostry, później wrócę na przerwany szlak tej myśli. Uświadomiwszy sobie, że zapomniałem powiedzieć o jeszcze jednej sprawie natury finansowej, zaczynam przekazywać życzenia co do konta emerytalnego.

- Oczywiście Sonja może przejąć konto mojego indywidualnego ubezpieczenia emerytalnego, jeśli...

Nie kończę zdania. Oderwane myśli doznają nagłego spazmu, mój mózg zaczyna dryfować w niewiadomym kierunku. Tam, gdzie przed chwilą zrodziła się jakaś koncepcja, którą próbowałem wyrazić, nie ma nawet pamięci. Unoszę się w pustce, niezdolny do werbalnej ekspresji, zagubiony, potem znów napotykam przelotną myśl, ale nie mogę nawiązać z nią kontaktu na tyle szybko, by ubrać ją w słowa. Znika pod powierzchnią mojego mentalnego oceanu, by po chwili znów wynurzyć się na powierzchnię. Tym razem udaje mi się ją schwytać. Dotyczy mojej kremacji i przekazania prochów.

- Och... uhm... dla jasności... szczyt Knife Edge... jeśli chodzi o część moich szczątków, które powinny trafić do Nowego Meksyku. Bosque i Knife Edge... Knife Edge to jedna z moich ulubionych wspinaczek. Więc może Dan i Willow, a także Steve DeRoma, Jon Jaecks, Eric Neimeyer i Steve Patchett wybraliby się tam i zrobili to.

278

Odchrząkuję z trudem i wyłączam kamerę. Mam nadzieję, że to, co nagrałem na taśmę, posłuży jako stosowne pożegnanie bliskich i jednocześnie jako testament. Omówiłem wszystko, co należy zrobić z moimi dobrami i finansami, w miarę możliwości uporządkowałem ten swój majątek, licząc na to, że wspomogę siostrę. Podejrzewam, że mogłem uczynić to dokładniej, w sposób bardziej zorganizowany, ale wysiłek umysłowy, którego wymagała ta kwestia, wyczerpał mnie do cna, nie mam też ochoty zajmować się montażem czy poprawianiem jakiegokolwiek fragmentu nagrania. Po raz ostatni, jak mi się wydaje, składam ekran, przyciskając go do obudowy, i wsuwam urządzenie w niszę między lewym bokiem głazu i ścianą kanionu.

* * *

Nieszczęśliwy i przybity obserwuję upływ kolejnej pustej godziny. Przynajmniej nie muszę już walczyć o zachowanie nędznych resztek ciepła. Ukąszenia chłodu nie szarpia już mojego ciała, tak jak działo się to w nocy. Pozbawiając mnie jednak konieczności zmagania się z linami wokół nóg i plastikową ochroną ramion, nadejście dnia zabrało mi możliwość jakiegokolwiek aktywności. Przynajmniej w taki sposób mogłem oderwać się na krótką chwilę od rzeczywistości, a teraz nie mam już kompletnie nic do roboty. Nie mam życia, które tylko dzięki konkretnemu działaniu przypominało coś więcej niż biologiczne wegetowanie. Przy braku jakiegokolwiek innego zadania czy bodźca nie ma mowy o istnieniu, o trwaniu. Już tylko czekam.

Ponieważ wibrujące siłą uderzenia ciosy kamiennego młotka osłabiły mi lewą rękę, pozostało tylko czekanie. Ale na co? Na ratunek... czy na śmierć? Nie pisa to dla mnie znaczenia. Oba zakończenia niosą to samo - wybawienie i ucieczkę od cierpienia. Nie mogę znieść beczynności, która rodzi taką apatię. W tym konkretnym momencie czekanie samo w sobie stanowi najgorszy element uwięzienia. I kiedy już skończę czekać, to wszystko, co pozostanie, też jest czekaniem. Pogrążony bez reszty w tej martwocie mogę niemal dotknąć oblicza nieskończoności. Nie ma nawet najśłabszego sygnału, że ów straszliwy bezruch zostanie w jakikolwiek sposób przerwany.

Mogę go jednak przerwać. Mogę zignorować ból w lewej ręce i zacząć na nowo walić w gład kamieniem, który w mojej dłoni zamienia się

w ogromną stalową kulę do burzenia murów. Mogę dalej dźgać skalę nożem, wbrew bezowocności tego wysiłku. Mogę robić wszystko, co robiłem w ciągu minionych pięciu dni, dla samego ruchu. Sięgam po zaokrąglony tłuczek i uświadamiam sobie, że potrzebuję podkładki. Zdejmuję but, ściągam skarpetę i oto mam ochronę na pokiereszowaną rękę. Posiniaczone podbicie kciuka jest najbardziej wrażliwe na siłę uderzeń, ta część mojej dłoni błaga o odroczenie wyroku, począwszy od pierwszego ciosu, a skończywszy na piątym, kiedy to przerywam pracę. Adrenalina podsyca gniew, znów podnoszę prowizoryczny młotek, tym razem w odruchu zemsty za to, co ten przeklęty twór geologii uczynił z moją lewą ręką. Łup! Znowu uderzam głaz, ból w dłoni pali żywym ogniem. Trach! I znowu. Ruuum! W mojej głowie rozbłyśkuje fioletem wściekłość, wokół unosi się atomowy grzyb - chmura sproszkowanego piaskowca i przypominająca spalenizną woń skarpety, która znajduje się między kamieniem a głazem i rozgrzewa się od tarcia przy każdym uderzeniu. Znowu walę skalnym młotkiem. Baach! Warczę ze zwierzęcą furią -urrr! - w odpowiedzi na pulsowanie rozrywające lewą rękę.

Powstrzymuję się od uderzeń, ale nie mogę rozluźnić uścisku dłoni. Skurcz sparaliżował palce.

Rany, Aron. Chyba trochę przesadziłeś.

Stopniowo nerwy unieruchomione szokiem rozluźniają się, palce prostują, aż w końcu mogę wypuścić z dłoni kamień, który kładę na głazie. Znowu narobiłem okropnego bałaganu. Chcę strzepnąć warstwę pyłu i brudu z ramienia, byle dalej od otwartej rany. Wyjmuję nóż i zaczynam usuwać skalne drobinki z uwięzionej ręki, posługując się tępą stroną ostrza jak miotełką. Oczyszczając kciuk, kaleczę się niechcący i odrywam cienki kawałek zgnitego i martwego ciała. Zsuwa się niczym kozuch z gotowanego mleka, nim dostrzegam, co się dzieje. Już wcześniej wiedziałem, że moja dłoń musiała ulec rozkładowi. Pozbawiona krążenia, obumierała od chwili przytrzaśnięcia kamieniem. Ilekroć rozważałem amputację, to zawsze w oparciu o przekonanie, że kończyna jest martwa i że trzeba ją będzie odciąć, gdy zostanę uwolniony. Nie wiedziałem jednak, jak daleko posunął się rozkład od sobotniego popołudnia. Teraz rozumiem ten dostrzegalny gołym okiem wzrost zainteresowania pośród miejscowej populacji owadów. Wyczuły następny posiłek, wylęgarnię, nowy dom dla larw.

Z ciekawości dźgam dwukrotnie kciuk ostrzem noża. Za drugim razem stal przebija naskórek, jakby zagłębiała się w kostkę masła pozostawionego w temperaturze pokojowej, i uwalnia charakterystyczny syk. Uciekający gaz to zły znak; rozkład postępował znacznie szybciej, niż przypuszczałem. Choć zapach z trudem przebija się do mojego nosa, niemal pozbawionego zmysłu powonienia, jest niewątpliwie odrażający, jak smród leżących gdzieś daleko zwłok.

Wraz z tym odorem przenika do mojej głowy nagła świadomość -cokolwiek zaczęło się rozwijać w mojej dłoni, niebawem dotrze do przedramienia, jeśli już nie dotarło. Nie wiem i właściwie nie obchodzi mnie, czy to gangrena, czy jakiś inny podstępny atak, ale zdaję sobie doskonale sprawę, że to zatrzuwa moje ciało. Rzucam się wściekle, próbując wyszarpnąć rękę ze skalnych kajdanek. Nigdy bardziej niż teraz nie pragnęłam zerwać więzi z tą ulegającą rozkładowi kończyną.

Nie chcę jej.

Nie należy do mnie.

To śmieć.

Odrzuć ją, Aron. Pozbądź się jej.

Szarpię się do przodu i do tyłu, na boki, w górę i w dół, w dół i w górę. Wrzeszczę z czystej nienawiści, krzyczę przeraźliwie, ciskając ciałem o ściany wąwozu, i tracę resztki opanowania, które z takim wysiłkiem próbowałem zachować. Po chwili czuję, jak moja ręka wygina się nienaturalnie w bezlitosnym uścisku skał. Nagle spływa na mnie olśnienie równe wspaniałej glorii towarzyszącej boskiej interwencji i każe mi znieruchomieć...

Jeśli wykręcę rękę dostatecznie mocno, to złamię kości przedramienia.

Jak deskę w imadle, mogę wyginać całą cholerną rękę, aż złamię się na pół!

Chryste Panie, Aron, o to chodzi, o to chodzi. O TO, KURWA CHODZI!

Zabieram swoje rzeczy z głazu, starając się utrzymać głowę prosto. Nie ma cienia wahania. Pod przemożnym wpływem tej boskiej interwencji tylko mgliście zdaję sobie sprawę, co mam zrobić. Moimi działaniami zaczyna niepostrzeżenie kierować coś w rodzaju autopilota - nie siedzę już za sterami. W ciągu minuty przyjmuję pozycję kuczną pod głazem, ale nie mogę zniżyć się na tyle, by nie czuć bolesnego szarpania w pasie. Odpinam więc uprząż i osuwam się tak nisko, jak to tylko możliwe, nie-

281

mai dotykając pośladkami kamiennego podłoża kanionu. Wkładam lewą rękę pod głaz i pcham mocno, mocniej, MOCNIEJ! - wywierając od dołu maksymalny nacisk na kość promieniową prawej kończyny. Kiedy zaginam powoli rękę w dół i w lewo, przez kanion przebiega niczym echo stłumionego wystrzału kapiszonowego - puk! Nie wypowiadam nawet słowa, ale wyciągam lewą rękę, żeby wymacać prawe przedramię. Na nadgarstku wyczuwam nienaturalne wybrzuszenie. Odsuwam się od głazu i znowu kucam, przybierając poprzednią pozycję; wyczuwam dotykiem szczelinę między ząbkowanymi krawędziami pękniętej kości.

Bez dalszej zwłoki i nadal w całkowitym milczeniu gramolę się na głaz, z jasno określonym zamiarem. Szorując podeszwami butów o ściany wąwozu, odpycham się nogami i obejmuję głaz od tyłu lewą ręką, ciągnąc z zjadłością, na jaką tylko mnie stać, mocno, mocno, MOCNIEJ!, i kolejne „puk” kończy żywot kości łokciowej. Spocony i rozpierany euforią ponownie dotykam prawej ręki, pięć centymetrów od nadgarstka, i odciągam prawe ramię od głazu. Obie kości rozszczępiły się prawie na tej samej wysokości, łokciowa prawdopodobnie około centymetra bliżej łokcia niż promieniowa. Obracając ręką jak tłokiem w osłonie, zyskuję oś ruchu niezależną od nadgarstka unieruchomionego w skalnym imadle.

Ulegam podnieceniu wywołanemu świadomością, że rozwiązałem zagadkę swego uwięzienia. Chcąc jak najszybciej użyć obu ostrzy, krótszego i dłuższego, pomijam chwilowo procedurę przygotowania opaski uciskowej i umieszczam czubek stali między dwiema niebieskimi żyłami. Wpycham nóż w nadgarstek, widząc, jak skóra napręża się do środka, aż stalowa końcówka noża przebija ją i zagłębia się po rękoność. Wiem, w nagłym płomieniu bólu, że to dopiero początek. Patrząc na zegarek - jest 10.32 - staram się motywować samego siebie. Okej, Aron, do roboty. Nie ma na co czekać.

Rozmyślnie zapominam o tym, co twierdziłem wcześniej - że odcięcie sobie ręki to nic innego jak powolny akt samobójstwa - i daję się ponieść falom emocji. Świadomy, że alternatywą jest czekanie na pewniejszą,

ale bez wątpienia powolniejszą śmierć, decyduję się na ryzyko śmierci podczas działania. Choć moja ręka, która znika w kamiennej rękawicy, wygląda surrealistycznie, to, że wykombinowałem, jak ją amputować, wydaje się olśniewająco doskonałe.

Pierwszym posunięciem jest odcięcie piłującymi ruchami ku dołowi jak

282

największej ilości skóry z wewnętrznej powierzchni przedramienia, bez naruszania żadnego z przypominających rurki makaronu naczyń krwionośnych. Zrobiwszy dostatecznie duży otwór w ręce, około dziesięciu centymetrów od nadgarstka, natychmiast odkładam nóż i przytrzymuję stalową rączkę narzędzia zębami, a potem wsuwam do dziury najpierw palec serdeczny, a potem kciuk, i zaczynam penetrować jej wnętrze. Dotykając dziwacznych i nieznanach sobie struktur, sporządzam w głowie mapę wewnętrznych elementów ręki. Wyczuwam wiązki włókien mięśniowych i, manipulując palcami w ich głębi, znajduję dwie pary równo ułamanych, ale ostro zakończonych końcówek kości. Wykręcając prawe przedramię, jakbym chciał obrócić uwięzioną dłoń w dół, czuję, że proksymalne końce kości obracają się swobodnie wokół swych sąsiadów. To bolesny ruch, ale jednocześnie taki, którego nie wykonywałem od soboty. Czuję podniecenie na myśl, że wkrótce uwolnię się od resztek zgniecionej martwej ręki. To tylko kwestia czasu.

Macając i przebierając palcami, mogę wyczuć różnicę między twardymi ścięgnami i więzadłami a miękką, gumowatą powierzchnią bardziej giętkich naczyń krwionośnych. Dochodzę do wniosku, że powinienem unikać ich przecinania aż do samego końca, jeśli mi się to w ogóle uda.

Wyciągam palce z otworu do jego krawędzi, po czym wyodrębniam pasemko mięśni; ujmuję je między ostrze noża a kciuk i przecinam włókno wielkości małego palca. Powtarzam tę czynność ze dwanaście razy, przesuwając ostrzem po kolejnych pasmach mięśni bez wahania i jakiegokolwiek dźwięku.

Wyodrębniam, ściskam, obracam, przecinam.

Wyodrębniam, ściskam, obracam, przecinam.

Rutyna: działanie.

Każda oślizgła od krwi masa, którą umieszczam między tnącą krawędzią a lewym kciukiem, pada ofiarą jednostajnego ruchu narzędzia, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Jestem jak przecinacz, który przepiłowuje zewnętrzny obwód miękkiej rury. Ilekroć mięsień poddaje się stali, wyszukuję jedno z naczyń krwionośnych grubości długopisu. Kiedy ją znajduję, podważam ją delikatnie i odsuwam od włókna, które zamierzam przeciąć. W końcu, pokonawszy mniej więcej jedną trzecią miękkich tkanek w przedramieniu, naruszam naczynie krwionośne. Nie nałożyłem jeszcze opaski uciskowej, ale jestem jak pięciolatek, który dorwał

283

się do prezentów gwiazdkowych - kiedy już zacząłem, nie mogę się powstrzymać. Pragnienie, by się uwolnić, jest tak przemożne, że dowodzę sobie racjonalnie, iż nie straciłem jeszcze dużo krwi, tylko kilka kropel, ponieważ moja zmiażdżona ręka działa w przypadku krążenia jak zawór izolacyjny.

Dziesięć, piętnaście, może dwadzieścia minut upływa niezauważenie. Pochłania mnie praca chirurgiczna, którą chcę wykonać jak najszybciej. Natrafiwszy na centymetrowe żółtawe ścięgno, przerywam operację, żeby zająć się prowizoryczną opaską uciskową. Zdążyłem do tej pory przeciąć drugie naczynie krwionośne i na ścianę kanionu pod moim ramieniem skapnęło kilka mililitrów krwi, może jedna trzecia filiżanki.

Ponieważ usunąłem większość tkanki w przyśrodkowej połowie przedramienia i dopuściłem do otwarcia naczyń krwionośnych, przypuszczam, że utrata krwi przyspieszyła w ciągu kilku ostatnich minut. Tempo operacji zwalnia, kiedy docieram do uparcie wytrzymałego ścięgna, a nie chcę tracić niepotrzebnie krwi, dopóki wciąż jestem uwięziony. Będę potrzebował dosłownie każdej kropli, żeby dotrzeć do swojego samochodu, a potem dojechać do Hanksville albo Green River.

Nie wymyśliłem jeszcze, jak najszybciej uzyskać pomoc medyczną. Najbliższy telefon znajduje się w Hanksville, godzinę drogi na zachód, jeśli dam radę zmieniać biegi lewą ręką. Nie mogę sobie jednak przypomnieć, czy znajduje się tam jakiś szpital; jedyne, co mi przychodzi do głowy, to stacja benzynowa i knajpa z hamburgerami. Green River leży w odległości dwóch godzin jazdy na północ, ale jest tam szpital. Mam nadzieję, że spotkam kogoś na szlaku, kto poprowadzi za mnie, wracam jednak myślami do soboty, kiedy zostawiłem tam wóz - na trzykrowym parkingu stały jeszcze tylko dwa samochody. To był weekend, teraz jest środek tygodnia. Muszę uwzględnić ryzyko, że kiedy dotrę na szlak, nikogo tam nie będzie. Muszę się przygotować na wysiłek związany z wędrówką trwającą sześć albo osiem godzin, zanim uzyskam pomoc medyczną.

Odkładam nóż na głaz i sięgam po izolację bukłaka, spoczywającą od dwóch dni na powierzchni kamienia, po lewej stronie. Dwukrotnie obwiązuję przedramię czarną tubą, około siedmiu centymetrów poniżej łokcia. Trzymając jeden koniec czarnego elastycznego materiału zębami i ciągnąc drugi lewą ręką, suptam dwa węzły zwykłe. Szybko umieszczam w opasce karabinek i okręcam sześć razy, tak jak podczas pierw-

284

szych eksperymentów, wieki temu. We wtorek? A może był to poniedziałek?

Dlaczego wtedy nie wpadłem na to, żeby połamać sobie kości? - zastanawiam się. Dlaczego musiałem niepotrzebnie cierpieć tak długo? Boże, jestem chyba najgłupszym facetem, któremu kiedykolwiek głaz przygwoździł rękę. Dopiero po sześciu dniach zorientowałem się, jak ją sobie odciąć. Czuję ucisk w gardle, wywołany niechęcią do samego siebie, w końcu jednak zmuszam się do koncentracji.

Aron, to cię tylko rozprasza. Ta kwestia nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Bierz się do roboty.

Przypinam ściśle obwiązany karabinek do drugiej pętli wokół bicepsa, żeby opaska się nie rozluźniła, i ponownie sięgam po zakrwawiony nóż.

Przebijam się przez ostatnie mięśnie otaczające ścięgno i znów przecinam naczynie krwionośne. Jak dotąd nie wydałem z siebie nawet jednego „Au!”. Nie myślę o tym, żeby wyrazić ból jakimikolwiek słowami; stanowi on element tego doświadczenia i nie jest ważniejszy od koloru mojej opaski uciskowej.

Zdołałem uzyskać jaki taki dostęp do ścięgna. Piłuję energicznie i agresywnie, tak jak wcześniej, ale nie mogę przeciąć zaskakująco odpornego włókna. Ciągnę je palcami i uświadamiam sobie, że ma wytrzymałość plecionego kabla; jest jak odcinek podwójnie grubej i wzmocnionej taśmy do pakowania, o powierzchni pokrytej półcentymetrowymi fałdami. Nie mogę przeciąć ścięgna, więc postanawiam użyć kombinerek. Przyciskam tępą stronę noża do brzucha, żeby wsunąć go z powrotem do rączki, i wyciągam kombinierki. Wgryzam się nimi w brzeg ścięgna, po czym zaciskam je i wykręcam, odrywając fragment włókna. Tak, dam radę. Zabieram się do najbardziej barbarzyńskiej i brutalnej roboty.

Chwycić, zacisnąć, wykręcić, wyrwać.

Chwycić, zacisnąć, wykręcić, wyrwać.

Rutyna: działanie.

Przychodzi mi do głowy, że będzie z tego cholernie dobra historia dla przyjaciół. Nigdy nie uwierzą w to, jak musiałem obciąć sobie rękę. Do diabła, sam ledwo mogę w to uwierzyć, a przecież robię to i dzieje się to na moich oczach.

Kawałek po kawałku, przedzieram się przez ścięgno, aż w końcu przerywam ostatnie pasemko przypominającego szpagat włókna.

285

Potem znowu wyjmuję ostrze, posługując się zębami. Jest 11.16; pracuję już od ponad czterdziestu minut. Sprawdzam palcami, co jeszcze pozostało: dwie niewielkie zbitki mięśnia, jeszcze jedna arteria i ćwierć obwodu skóry najbliższej ściany wąwozu. Jest też białe włókno nerwu o bladym odcieniu, grube jak nabrzmiąły kawałek makaronu. Przedarcie się przez tę przeszkodę będzie nieznośnie bolesne. Celowo trzymam palce z dala od nerwu; chyba lepiej nie wiedzieć, co mnie czeka. Mniejsze elastyczne odgałęzienia nerwowe są tak wrażliwe na dotyk, że nawet lekkie ich trącenie wywołuje straszliwy prąd w ramieniu, który mnie z miejsca paraliżuje. Wszystko to trzeba będzie usunąć. Wpycham ostrze noża pod tę wiązkę i podważam, jakbym odciągał strunę gitary pięć centymetrów od progu, aż pęka, uwalniając falę nieprawdopodobnego bólu. Moja skala wrażliwości na cierpienie ulega całkowitemu rozkalibrowaniu - czuję się tak, jakbym wsadził całą rękę do kotła z magmą.

Po kilku minutach otrząsam się na tyle, by móc kontynuować. Ostatni krok to naciągnięcie skóry po zewnętrznej stronie nadgarstka i piłowanie jej nożem na ścianie kanionu, jakbym przecinał kawałek chrząstki na drewnianej desce. Coraz bardziej zbliża się ta konkretna, precyzyjna chwila wyzwolenia i jednocześnie narasta we mnie fala adrenaliny, jakby w moich żyłach płynęła nie krew, lecz potencjał mojej przyszłości. Czerpię siłę z każdego wspomnienia swego życia i z każdej możliwości, którą te wspomnienia w sobie zawierają.

Jest 11.32, czwartek, 1 maja 2003 roku. Rodzę się w swoim życiu po raz drugi. Tym razem wychodzę z różowego łona kanionu, gdzie spędziłem okres inkubacyjny. I tym razem jestem dorosłym człowiekiem, rozumiem też znaczenie i moc owych narodzin, czego żaden z nas nie pojmuje, gdy rodzi się po raz pierwszy. Świadomość wartości mojej rodziny, moich przyjaciół i moich pasji wzbudza potężną falę energii, która przypomina wybuch euforii, jakiej doznaję, zbliżając się po ciężkiej wspinaczce do szczytu, energii tysiąckrotnej. Naciągając resztki tkanek prawej ręki, uderzam nożem w ścianę wąwozu i ostatnie cienkie pasemko ciała rozrywa się; skóra pęka raczej na skutek napinania niż od cięcia ostrzem.

Krystaliczny moment pryska i oto świat jest innym miejscem. Nie ma już uwięzienia, jest swoboda. Jakby przerażona nagłą wolnością, moja

286

lewa ręka wykonuje gwałtowny ruch w głąb kanionu, ramiona otwierają się ku południu, ja zaś opadam na północną ścianę wąwozu, a moje myśli unoszą się na euforycznej fali. Patrzę na kamienną powierzchnię, gdzie niespełna dwanaście godzin wcześniej wryłem słowa: „R.I.P. PAŹDZ. 75 ARON KWIEĆ. 03”, a jakiś głos w mojej głowie krzyczy ogłuszająco:

JESTEM WOLNY!

To najbardziej intensywne doznanie mojego życia. Boję się, że mogę eksplodować od radosnego wstrząsu i ekstazy, które paraliżują moje ciało przez długie chwile, kiedy tak opieram się o ścianę. Nieograniczony już

fizyczną przestrzenią, w której tkwiłem prawie tydzień, czuję się oszołomiony i wytrącony z równowagi, ale unoszony wolnością. Głowa przechyla mi się na prawe ramię i opada na piersi, potem dźwigam ją i wspieram się na ścianie. Zataczam się, próbując ominąć lewą stopą kamienie na dnie kanionu, ale z wolna prostuję nogi i udaje mi się uniknąć twardego upadku na północną ścianę. Wydaje mi się czymś pięknym, że mógłbym się przewrócić właśnie teraz. Spoglądam na krwawe ślady narodzin widoczne na głazie i północnej ścianie wąwozu. Plamy na wielkim kamieniu skrywają ciemną materię mojej amputowanej dłoni i nadgarstka, ale z poszarpanej miazgi sterczą białe końce odrzuconych kości, łokciowej i promieniowej. To, na co zerknąłem przelotnie, przykuwa teraz moje spojrzenie jak magnes. Wiruje mi w głowie, ale jestem zafascynowany, wpatrując się w przekrój własnego przedramienia.

Okej, wystarczy. Masz jeszcze dużo do zrobienia. Zegar tyka, Aron. Wyoń się stąd.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Namierzanie celu: „Mamy jego samochód”

Musisz w to uwierzyć, zanim to sobie wyobrazisz.

Mark Twight, dedykacja w moim egzemplarzu Kiss or Kill

Moja mama spędziła trzy godziny w ciemności, siedząc na białym dywaniku schodów w naszym rodzinnym domu w Denver. Po tych schodach biegałem w górę i w dół, po dwa stopnie naraz, przez sześć lat szkoły podstawowej i średniej, narażając się na niezliczone reprimendy ze strony rodziców. Nie potrafiła się odprężyć, w jej myślach co chwila pojawiał się jakiś makabryczny scenariusz wydarzeń. Dojmujący ból brzucha sprawił, że siedziała zgięta wpół, z kolanami podciągniętymi pod skrzyżowane ramiona, z czołem opartym o zagięcie łokcia.

Czekała, aż ratownicy powrócą do akcji. Tak jak ja, mama nie lubi czekać. Modliła się, ale nawet kiedy zmówiła kilkanaście pacierzy, nie pozbyła się niepokoju. Przemozna potrzeba działania, zrobienia czegokolwiek sprawiła, że około czwartej czterdzieści pięć przerwała swoje czuwanie i zaczęła przeglądać listę federalnych i stanowych agencji, które zarządzały terenami publicznymi w środkowym i południowym Utah. Obdzwoniła sześć tych instytucji we wczesnych godzinach czwartkowego poranka. Najpierw skontaktowała się z oddziałem Biura Zarządu Ziemią w Hanksville i zostawiła wiadomość, potem

288

zadzwoiła na policję w St. George i złożyła doniesienie o zaginięciu. Następnie przekazała identyczną informację dyspozytorowi Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego w Cedar City, a kilka minut później dyspozytorowi tej samej agencji w Richfield. W jej chrapliwym głosie słychać było wyczerpanie, kiedy za piętnaście siódma rozmawiała z Georgią, dyspozytorką Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego w Richfield. Wyjaśniając, że nie mam dużo pieniędzy i że obozuję przy samochodzie, mama nazwała mnie sknerą, ale wyjaśniła zaraz, że jestem człowiekiem odpowiedzialnym i że nie omieszkałbym zadzwonić do pracy, chyba że stało się coś strasznego, co nie pozwoliło mi dotrzeć do telefonu.

O 6.25 Georgia nadała przez radio ogólnokrajowy komunikat na podstawie informacji przekazanej przez moją mamę:

Do wszystkich wozów w Richfield, apel o zlokalizowanie zaginionej osoby. Człowiek ten powinien przebywać w stanie Utah, prawdopodobnie na terenie parków narodowych.

Powtarzam, do wszystkich wozów w Richfield, apel o zlokalizowanie zaginionej osoby z Aspen w stanie

Kolorado, podróżującej do Utah w celu wędrówki po rzadko uczęszczanych terenach. Mężczyznę po raz ostatni widziano 24 kwietnia, we czwartek, w Aspen. Przypuszcza się, że pojechał do Utah, gdzie temperatura umożliwia pieszą wędrówkę.

Jego samochód to rdzawoczerwona toyota Tacoma z tablicą rejestracyjną stanu Nowy Meksyk, 846 M jak Mike M jak Mike Y jak Yankee, powtarzam 846 Mike Mike Yankee, z nartami na bagażniku dachowym.

Do wszystkich wozów, poszukiwany to Aron Ralston, lat dwadzieścia siedem, biały, wzrost sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, waga około osiemdziesięciu dwóch kilogramów, oczy piwne, włosy kasztanowe. Jest sam; doświadczony wędrowiec, ratownik i wspinacz, także narciarz. Bardzo odpowiedzialna osoba.

•Nie pojawił się we wtorek w pracy. Od tej pory nie dał znaku życia. Powinien mieć na swoim samochodzie bagażnik dachowy i sprzęt narciarski. Poinformował znajomego, że udaje się do Utah, w rzadko uczęszczane rejony, na pieszą wędrówkę. Prawdopodobnie podróżował trasą 1-70, nie wiadomo dokąd udał się potem, przypuszczalnie spędził noc w swoim samochodzie. Dysponuje niewielką sumą pieniędzy.

289

Larry Shackelford z oddziału Biura Zarządu Ziemią w Salt Lake City rozmawiał z moją mamą o ósmej rano. Natychmiast po rozmowie przekazał informację o moim samochodzie filiom Biura w Utah, a także Towarzystwu Ochrony Przyrody w Utah, następnie połączył się telefonicznie z kilkoma znajomymi w tych instytucjach, by się upewnić, że otrzymali wiadomość. Dzięki temu mama zyskała pewność, że Georgia i Larry aktywnie wsparli poszukiwania. Była już zmęczona zapewnieniami ze strony policji i kilku dyspozytorów, że „takie rzeczy zdarzają się cały czas” albo że „w końcu gdzieś się pojawi”. Działania tych dwojga ludzi były dla mamy promykiem światła w tym najczarniejszym poranku. Pragnęła za wszelką cenę, by kapitan Kyle Ekker, najbardziej aktywny i uczynny człowiek, z którym skontaktowała się w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin, zaczął już służbę, by mogła z nim porozmawiać o postępach w poszukiwaniach.

* * *

O 9.00 Adam Crider wyszedł z komendy policji w Aspen z czekiem wyrwanym z mojej książeczki czekowej i skierował się do Banku U.S. We czwartek rano bank świecił pustkami i funkcjonariusz podszedł do pierwszego okienka, gdzie jedna z kasjerek przygotowywała się właśnie do pracy.

Usłyszawszy, o co chodzi, kasjerka wezwała kierownika, żeby uzyskać jego zgodę na sprawdzenie historii mojej karty debetowej. Trzyosobowa grupka skupiła się przy monitorze komputera.

- Wygląda na to, że ostatniej transakcji dokonano dwudziestego piątego w Moab, w City Market.
- O jakiej wartości?
- Dwadzieścia dwa dolary, trzydzieści jeden centów... bez wypłaty gotówki.

(Kupiłem wodę, sok, owoce, batony i burrito).

- A wcześniej?
- Dwadzieścia dziewięć dolarów, dwadzieścia dwa centy u Clarka, tutaj, w mieście, dwudziestego czwartego.

(Kupiłem artykuły żywnościowe wieczorem dwudziestego trzeciego, przed powrotem do domu, gdzie spakowałem się z myślą o wyprawie z Bradem i wakacjach w Utah, ale supermarket przesłał informację o transakcji dopiero po północy).

290

- I to wszystko? Nic więcej po dwudziestym piątym? Jak często operacje są aktualizowane?
- Natychmiast, a najpóźniej w ciągu kilku godzin, w zależności od sprzedawców.

Crider wiedział już z rozmów telefonicznych, które przeprowadził z innymi funkcjonariuszami poprzedniego wieczoru, że ostatnia transakcja, której dokonałem kartą kredytową, miała miejsce dwudziestego czwartego - tankowałem benzynę w Gleenwood Springs, mieście u zbiegu Roaring Fork River i Colorado River. Można stamtąd pojechać na wschód albo na zachód trasą 1-70, co nie mówiło wiele, z wyjątkiem tego, że przez tydzień nie korzystałem z karty kredytowej. Dzięki informacji z banku Adam wiedział, że przybyłem do Moab i prawdopodobnie wyjechałem

stamtąd w piątek dwudziestego piątego. Ale w jakim kierunku i dokąd?

* * *

We czwartek, o 9.07, Steve Pratchett siedział w kuchni swojego domu w Albuquerque i zastanawiał się, co robić dalej w kwestii poszukiwań. Jako elektryk należący do związku zawodowego, Steve był akurat bez pracy - powtarzało się to zwykle przez cztery, sześć tygodni co pół roku - miał więc sporo czasu na planowanie akcji poszukiwawczej. Najpierw zadzwonił do biura szeryfa okręgu Emery, gdzie połączono go z kapitanem Kyle'em Ekkerem. Obaj przeanalizowali dotychczasowe działania zainicjowane przez ich rozmowę z poprzedniego popołudnia. Kyle wyjaśnił, że jak dotąd nie przyniosły żadnego rezultatu.

- Wysłaliśmy kilku ludzi razem z ratownikami do kanionu Black Box, pojechali tam\ wozami terenowymi, ale niczego nie znaleźli. Dwaj moi zastępcy udali się w kierunku Joe's Valley, której nie było chyba na twojej liście, ale to często odwiedzane rejony. Też bez rezultatów. Odwołaliśmy wszystkich przed zmrokiem.
- Wysłał pan kogoś do Segers Hole? - spytał Steve.

Segers było drugie na liście Kyle'a, ale funkcjonariusz nie zlecił tam nikomu poszukiwań, ponieważ miejsce to znajdowało się o trzy godziny jazdy od Castle Dale, w północno-zachodniej części okręgu, w odległym i pozbawionym ubitych traktów regionie. Wraz z nastaniem dnia, przy zwiększonej liczbie ludzi, Kyle mógł pozwolić sobie na wysłanie zastępcy z kilkoma ochotnikami z grupy ratownictwa do Muddy.

291

- To daleko, ale zamierzamy sprawdzić ten obszar. Czekałem na dzień i dodatkowe siły, ale to dopiero w drugiej kolejności. Masz coś jeszcze do przekazania?

Steve zastanawiał się przez chwilę nad wszystkimi informacjami, które dotychczas zgromadził. Opierał się na przeczuciu, ale mimo wszystko odparł:

- Jestem niemal pewien, że Aron znajduje się na terenie pańskiego okręgu.

Kyle obiecał, że przekaże najświeższe wiadomości, gdy tylko otrzyma raporty z odległych miejsc, i podziękował mu za zaangażowanie. Odłożył słuchawkę, spojrzął na mapy i przebiegł w myślach krótką listę

innych miejsc, do których zamierzał wysłać swoich zastępców i ochotników z grup poszukiwawczych podczas ich wyprawy do Segers. Sprawdziliśmy już górne zakątki okręgu - rozumował kapitan - a także Większość szlaków dojazdowych w części środkowej. Jeśli znajduje się na terenie okręgu, to musi być w części południowej. Dokąd konkretnie można tam kogoś wysłać? Nie ma tam nawet normalnych dróg. Z wyjątkiem jednej polnej drogi, Lower San Rafael Road, która wije się przez południowe rejony okręgu, aż do pustkowi na obrzeżach Parku Narodowego Kanionów. Może tam, w rejonie Robbers Roost - pomyślał, wodząc wzrokiem po dużej mapie okręgu. Jest tam kilkanaście kanionów i wyschniętych koryt rzecznych, głównie na obszarach należących do Biura Zarządu Ziemią, dokąd można dotrzeć drogą Lower San Rafael i jej kontynuacją, czyli odnogą, która kończy się w rejonie Maze. Kyle wiedział, że Maze przyciąga dużą liczbę ludzi, którzy przejeżdżają przez okręg Emery do okręgu Wayne. Przyszło mu do głowy, że warto tam zadzwonić, nawet jeśli nie wysłał swoich ludzi poza granice okręgu.

O 9.15 Kyle połączył się telefonicznie ze strażnicą Hans Fiat, zlokalizowaną przy wjeździe do rejonu Maze w parku kanionów, by spytać o czerwoną toyotę Tacoma. Odebrał strażnik Glenn Sherrill, który natychmiast skojarzył opis wozu. Ten pikap stoi w okolicach kanionu Horseshoe od ostatniego weekendu.

-Byłem tam niedawno. Widziałem ten samochód, zaraz... trzy dni temu, i wciąż tam stoi - oznajmił.

Co charakterystyczne, kanion ten odwiedza codziennie niespełna dziesięć osób, może trochę więcej podczas weekendów. Niemal wszyscy prze-

292

bywają tę trasę w ciągu pół dnia. Zarząd Parków Narodowych codziennie wysyła strażników do Wielkiej Galerii, by oprowadzali zwiedzających i pilnowali liczących pięć tysięcy lat petroglifów. Ponieważ strażnicy, co oczywiste, jako pierwsi pojawiają się na szlaku i jako ostatni każdego dnia z niego schodzą, na ogół zastają parking pusty; najwyżej stoją tam jeden czy dwa pojazdy, a obok ktoś rozbija namiot. Muszą zatem zauważyć samochód, który znajduje się na parkingu przez większość tygodnia. Ponieważ mój wóz zastaniał tablicę powitalną dokładnie naprzeciwko wjazdu (zaparkowałem tak, żeby móc się przespać na pace), wzbudzał jeszcze większe podejrzenia.

Glenn, choć był w dziewięćdziesięciu procentach przekonany, że się nie myli, mimo wszystko zastrzegł:

- W każdym razie sądzę, że to jego samochód.
- Masz tam kogoś, kto mógłby sprawdzić numery rejestracyjne? - spytał Kyle.
- Tak, jasne. Oddzwonię.

Glenn połączył się przez radio ze strażnikami na parkingu, przygotowującymi się do wędrowki po kanionie. Potwierdzili, że samochód wciąż tam stoi i że numery rejestracyjne się zgadzają. Glenn oddzwonił do Kyle'a i przekazał wiadomość.

- Mamy jego samochód.
- Dzięki za pomoc. Wyślemy tam kogoś.

Kapitan polecił sierżantowi Mitchowi Vetere pojechać na szlak, a potem nakazał dyspozytorowi połączyć się przez radio z szeryfem Kur-tem Taylorem z okręgu Wayne. Szeryf Taylor zaczynał służbę dopiero po południu, ale jego zastępca, Doug Bliss, oddzwonił w ciągu godziny.

Ponieważ Szlak prowadzący do kanionu Horseshoe znajduje się tuż za granicą okręgu Wayne, akcja

poszukiwawcza oficjalnie wykraczała poza kompetencje Kyle'a i jego zastępców. Mój samochód znajdował się na terenie tego okręgu, ale gdybym udał się kanionem na północ, znalazłbym się w okręgu Emery, gdybym natomiast udał się na południe, pozostałbym w granicach Wayne. Za zgodą Douga Kyle zachował dowodzenie i zaczął alarmować służbę parku w związku z akcją poszukiwawczo-ratunkową. Już wcześniej zadzwonił do dyspozytora Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego w Price w stanie Utah z prośbą o udostępnienie helikoptera.

293

Wiadomość o odnalezieniu mojego samochodu u wejścia do kanionu Horseshoe dotarła do Elliotta o 9.37. Spędził następną godzinę z komórką w dłoni, rozsyłając informację o przełomie w poszukiwaniach. W serca moich przyjaciół w całym kraju wstąpiła nowa nadzieja. W Aspen Rachel zaczęła wysyłać e-maile do moich znajomych w Roaring Fork Valley, pisząc je wielkimi literami. Steve Patchett z Nowego Meksyku rozmawiał o 10.31 przez telefon z Jasonem Halladayem. W ciągu godziny zorganizowali dwie grupy moich przyjaciół, kolegów ratowników i wspinaczy w Albuquerque i Los Alamos, którzy od razu zaplanowali wyjazd do Horseshoe. Steve zadzwonił do Kyle'a Ekkera, żeby go zawiadomić, że zespół ratowników z Albuquerque jest gotowy do działania. Kapitan zapewnił go, że udział

grupy w poszukiwaniach jest jak najbardziej pożądany.

* * *

Moja mama i Ann Fort, siedząc w naszym rodzinnym domu w Denver, pracowały właśnie nad innym planem. Przygotowywały plakat, który chciały rozesłać faksem do kilku kościołów zjednoczonych metodystów w rejonie Grand Junction z prośbą o dostarczenie ulotek na stacje benzynowe w mieście i ustalenie, czy ktokolwiek widział mnie w drodze do Utah. Mama wygrzebała stary egzemplarz „Aspen Times” z marca, ten z artykułem na mój temat, i wycięła zdjęcie, które sobie zrobiłem na szczycie Capitol. Przykleiła fotografię na kartce, a pod spodem umieściła mój rysopis wraz z informacjami na temat domniemanego miejsca pobytu:

Aron Ralston, ur. 27.10.1975, wiek 27 lat, wzrost ok. 185 cm, waga ok. 82 kg, kasztanowe niesforne włosy. Widziany po raz ostatni we czwartek 24.04. ok. godz. 18 niedaleko Carbondale, Kolorado. Posłużył się kartą kredytową w Gleenwood Springs wczesnym wieczorem tego samego dnia. Bardzo sprawny fizycznie - wybrał się prawdopodobnie do Utah na biwak, jazdę rowerową po górach albo na narty.

Uzupełniwszy tę informację o opis mojego samochodu i prawidłowy numer rejestracyjny, mama dopisała także numer policji w Aspen. Stała z Ann przy kopiarce, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

294

- Ciekawe, kto to taki? - zastanawiała się głośno mama.

Nie zbliżywszy się nawet do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz, zeszła na dół i otworzyła drzwi. Okazało się, że to Sue Doss, znajoma z kościoła. Wraz z mężem, Keithem, była koordynatorką licealnych programów młodzieżowych, kiedy chodziłem do Cherry Creek. Spędziłem z nimi niejedną weekend, jeździłem także jako ochotnik na obozy organizowane przez kościół; dawałem nawet ich córce pierwsze lekcje gry na fortepianie. Kiedy skończyłem szkołę i poszedłem na studia, rodzina Dossów pozostała w bliskich stosunkach z moimi rodzicami.

Sue zjawiła się wprost z kościoła, gdzie usłyszała prośbę mamy o wsparcie w tej trudnej dla niej sytuacji. Mama zrelacjonowała szybko wszystko, co wiedziała; znowu były łzy, uściski i płacz, ale niebawem trzy kobiety zabrały się do pracy.

Zaczęły rozsyłać plakat z informacją na mój temat. Mama poprosiła kancelarię kościoła o przefaksowanie listy numerów telefonicznych innych kościołów metodystycznych w Grand Junction. Obsługując jednocześnie dwa aparaty, pilnowała także faksu. O 9.45 była wraz z przyjaciółkami gotowa przystąpić do działania, kiedy zadzwoniła jej komórka.

Głos po drugiej stronie należał do szefa strażników Parku Narodowego Kanionów, Steve'a Swanke. Mama po raz pierwszy rozmawiała ze strażnikiem Steve'em (dopiero od godziny był zaangażowany w akcję ratunkową), ale przyjęła dobre wiadomości z ekstatyczną radością.

- Pani Ralston, zlokalizowaliśmy samochód pani syna - oznajmił Steve przyjaźliwym tonem człowieka, który ma doświadczenie w rozmowach z ludźmi.

Mama aż sapnęła z wrażenia i przekazała tę informację obu towarzyszkom, niemal krzycząc z podniecenia:

- Znaleźli samochód! Dzięki Bogu! Znaleźli jego samochód!

Kiedy już Steve przekazał mamie pełny opis sytuacji, trzy kobiety objęły się serdecznie, a potem usiadły na tylnym ganku, wiedząc, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko się modlić, by ratownicy mnie znaleźli i by nic mi się nie stało.

* * *

W wyniku skoordynowanej akcji, prowadzonej przez Służbę Parków Narodowych i biuro szeryfa okręgu Emery, strażnik Steve Swanke i kapi-

295

tan Kyle Ekker z myślą o działaniach w kanionie Horseshoe włączyli do akcji helikoptery, psy ratownicze, zespół wspinaczkowy, personel naziemny i konne grupy poszukiwawcze. W punkcie dowodzenia w Moab Swanke wyznaczył dwóch śledczych do sporządzenia mojego profilu. Jednym z ich pierwszych działań było wejście do internetu i wpisanie mojego nazwiska do wyszukiwarki. Odnaleźli moją stronę z linkami do projektów alpinistycznych, relacji z wędrówek po kanionach i zdjęć z malowidłami skalnymi w Nowym Meksyku. Doszli do wniosku, że jestem doświadczonym turystą i wędrowcem, ale niekoniecznie obeznanym z rejonem wokół kanionu Horseshoe, co było jednym z dziewięciu czynników składających się na ocenę mojego profilu.

Wytyczne Narodowego Stowarzyszenia Poszukiwań i Ratownictwa pomagają dowódcą akcji poszukiwawczo-ratowniczych ocenić stopień niebezpieczeństwa, w jakim znajdują się zaginione osoby, na podstawie takich danych jak: liczba tych osób, ich wiek, stan zdrowia, sprzęt, którym dysponują, i doświadczenie, a także warunki pogodowe, teren i historia akcji ratunkowych przeprowadzanych w tym rejonie. Przypisując każdemu czynnikowi liczby 1, 2 lub 3, dowódcy akcji mogą odpowiednio ocenić zakres swoich działań. 1 nakazuje szybsze działanie niż 3. Osoba w podeszłym wieku (1) i niedoświadczona (1), cierpiąca w przeszłości na choroby serca (2), samotna (1) i zagubiona podczas burzy (1), dysponując tylko ubraniami, które ma na sobie (1), w skalistym i stromym rejonie (1), gdzie dochodziło wielokrotnie do wypadków (1), przy niskim prawdopodobieństwie fałszywego alarmu (1) uzyskuje wynik profilu 10. Każdy wynik od 9 do 12 nakazuje natychmiastowe rozpoczęcie akcji pierwszego stopnia.

Z dostępnych na mój temat informacji wynikało, że w moim przypadku obowiązuje drugi stopień, który od pierwszego różni się jedynie szybkością reakcji i liczbą ludzi wyznaczonych początkowo do akcji, a także

ilością sprzętu. Jednak w związku z moim doświadczeniem samotnego zdobywcy czterotysięczników w porze zimowej i faktem niemal tygodniowej nieobecności strażnik Swanke zarządził akcję pierwszego stopnia.

Na jego prośbę New Air Helicopters, firma czarterowa z Durango w Kolorado, wysłała śmigłowiec w kierunku kanionu Horseshoe tuż przed dwunastą we czwartek. Służba Parków Narodowych wydała polecenie lotu załodze helikoptera pożarniczego Służby Leśnej w południowym Utah, nakazując pomoc w misji poszukiwawczej. Swanke poinform-

296

mował, że jednym z jego głównych celów, poza zapewnieniem bezpieczeństwa personelu zajmującego się działaniami ratowniczymi, jest „zlokalizowanie Ralstona, dotarcie do niego, udzielenie mu pierwszej pomocy i przetransportowanie przed godziną 20.00, 1.05.2003 roku”. Był to standardowy komunikat, w skrócie nazywany przez ratowników LAST -od pierwszych liter słów locate, access, stabilize i transport (zlokalizować, dotrzeć, ustabilizować, przetransportować) - ustalający także maksymalny czas zabrania mnie z pustkowie: dziesięć godzin.

Kapitan Ekker omówił akcję z jej dowódcą w okręgu Wayne, zastępcą szeryfa Dougiem Blissem, który zgodził się wezwać swoją grupę poszukiwawczo-ratowniczą, w tym także oddział konny, by szybciej przeszukać teren. Kapitan Ekker zażartował przy okazji: „Biorąc pod uwagę użycie śmigłowca, znajdziemy go, zanim twoje konie tam dotrą. Ale mimo wszystko wyślij je i bądź gotowy do całonocnej akcji”.

O 11.25 Bliss przesłał ratownikom wiadomość o zbiórce w Hanksville: „Spotkajcie się w domu Carla Hunta w związku z poszukiwaniami w rejonie kanionu Horseshoe. Weźcie konie i przygotujcie się na całonocne działania”.

* * *

Terry Mercer, pilot z Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego, który dowiedział się właśnie o odwołanym locie i zostawił swoją zatankowaną maszynę na lądowisku dla śmigłowców na terenie międzynarodowego portu lotniczego w Salt Lake City, o 10.45 otrzymał telefonicznie polecenie startu.

W ciągu dwudziestu minut Terry był w powietrzu i komunikował się z kapitanem Ekkerem, który poprosił go o zabranie jednego ze swoich funkcjonariuszy z lotniska w Huntington, w północno-zachodniej części okręgu, około siedemdziesięciu mil powietrznych od kanionu Horseshoe. Przed 12.15 Terry wylądował i wziął na pokład maszyny mocno zarośniętego detektywa Grega Funka, który dopiero co zakończył tajną misję w wydziale narkotykowym biura szeryfa okręgu Emery. Wyruszyli w stronę kanionu oddalonego o trzydzieści pięć minut lotu.

Mimo że lot z Salt Lake City trwał dwie godziny, helikopter Terry'ego jako pierwszy dotarł do kanionu i wylądował na parkingu. Sierżant Mitch Yetere pokazał Terry'emu swój czerwony samochód, po czym wspólnie

297

przejrzeli sprzęt na jego pace. Po krótkiej dyskusji z pracownikami Biura Zarządu Ziemi i strażnikami, którzy zgromadzili się na szlaku, Terry wraz z dwoma funkcjonariuszami doszedł do wniosku, że w przypadku doświadczonego wędrowca najlepiej byłoby przeszukać północny koniec kanionu, w pobliżu zbiegu z Green River. Postanowiono, że gdy na miejsce przybędzie drugi śmigłowiec, to polecą w stronę górnej połowy kanionu, na południe od szlaku.

Omówiwszy plan lotu, Mitch zajął miejsce na tylnym siedzeniu helikoptera obok swego kolegi Grega jako drugi obserwator, choć czuł wyjątkową awersję do śmigłowców. Przepisy federalne zakazują pracownikom Biura Zarządu Ziemią i Zarządu Parków Narodowych wchodzić na pokład jednostek latających, które nie posiadają zielonej karty. Ponieważ głównym celem przedstawicieli Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego Utah jest udzielanie pomocy władzom okręgów, nie pozwalają oni swoim pilotom posiadać zielonych kart, dzięki czemu unikają jakichkolwiek zobowiązań na szczeblu federalnym. Choć polityka ta służy głównie Departamentowi i zachowaniu ograniczonych środków na potrzeby lokalne i stanowe, w tym przypadku wykluczyła kilku obecnych na miejscu pracowników Biura Zarządu Ziemią i Zarządu Parków Narodowych z akcji poszukiwawczej prowadzonej z powietrza. Tak więc Mitch, choć nie znosił latania, zwłaszcza śmigłowcami, był jedyną osobą, która mogła wejść na pokład helikoptera.

O 13.56 Terry podniósł maszynę w wirujących tumanach czerwonego pyłu i poleciał w stronę kanionu w kierunku północno-wschodnim, ku zbiegowi Barrier Creek i Green River. Przez ponad trzydzieści kilometrów utrzymywał śmigłowiec poniżej szczytów urwisk skalnych, podążając zakolami wyschniętego koryta na dnie kanionu. Greg i Mitch wypatrywali śladów stóp w piaszczystym podłożu i nerwowo obserwowali łopaty wirnika, które niemal muskały ściany z piaskowca. Mitch, czując zapach paliwa lotniczego, świadomy, że leci na wypełnionym po brzegi zbiorniku, powtarzał sobie w duchu: „Boże, co ja tu robię?”.

Terry spędził około godziny na penetrowaniu kanionu, nim dolecieli do Green River. Greg i Mitch nie dostrzegli śladu jakiegokolwiek turysty, choć wiedzieli, że mogliby zobaczyć tylko kogoś, kto znajdowałby się w odsłoniętym miejscu i siedł przed siebie. Było tu zbyt dużo gładów, drzew i zacienionych miejsc, by zdołali mnie zauważyć, gdybym był ranny

298

i nie mógł dać im sygnału albo znajdował się w jakimś niewidocznym z helikoptera miejscu.

O 14.52 Terry zawrócił maszynę i czym prędzej skierował się w stronę szlaku. Zostało mu mniej więcej pół baku paliwa, a musiał jeszcze wylądować i wysadzić obu funkcjonariuszy przed dwudziestominutowym lotem nad kanionami do Moab na ponowne tankowanie. Wiedział, że ledwo się zmieści w wyznaczonym czasie z dotarciem na lądowisko.

Na razie zrobił to, co mógł. Podniósł helikopter z wąwozu, a Mitch po raz pierwszy od godziny odetchnął z ulgą. Nie mógł się doczekać, kiedy znów postawi stopy na ziemi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Randka z przeznaczeniem

To było jak seks ze śmiercią.

Barry Blanchard, o próbie zdobycia wysokiej na cztery i pół tysiąca metrów ściany Rupal szczytu Nanga Parbat w Pakistanie

Jest 11.34, czwartek, 1 maja 2003 roku. Kładę nóż na głazie i wsuwam kikut do plastikowej reklamówki, która niedawno tkwiła między prawą ręką a ścianą kanionu. Owijam białą torbę żółtą taśmą, którą mam na szyi, a potem na to wszystko zakładam pusty pokrowiec od bukłaka na wodę i przerzucam naciągnięte paski przez głowę, dzięki czemu powstaje prowizoryczny temblak utrzymujący rękę przy piersi. Nie przychodzi mi do głowy, żeby zatrzymać się na chwilę i zdjąć spodenki kolarskie, które mogłyby służyć jako dodatkowy materiał wchłaniający krew; teraz muszę się przede wszystkim spieszyć. Wyciągam dwa karabinki z systemu podnośnikowego i przypinam do uprzęży, potem z gorączkowym pośpiechem wrzucam do plecaka kilka

potrzebnych przedmiotów: pusty bukłak na wodę, niemal pełną butelkę z moczem, kamerę wideo, multitool i... zastygam, wzięwszy do ręki aparat cyfrowy. Odzywa się we mnie jakiś instynkt; włączam aparat. W ciągu pięciu sekund robię dwa zbliżenia odciętej ręki. To pozbawione sentymentu pożegnanie. Zakrywam obiektyw osłoną, wyłączam aparat i wciskam go do plecaka, po czym mocno zaciągam sznu-

300

rek. Rzucam okiem na miejsce w pobliżu głazu, chcąc się upewnić, że nie zostawiam nic ważnego, chwytam niedbale lewą ręką ze dwadzieścia zwojów liny wspinaczkowej i ruszam chwiejnym krokiem w dół kanionu.

Przez jakieś piętnaście metrów zataczam się od ściany do ściany, w końcu muszę przystanąć i odzyskać spokój. Serce wali mi miotem, trzy razy szybciej niż zwykle, ale ciśnienie jest znacznie obniżone. Grozi mi omdlenie.

Spokojnie, Aron. Nie możesz teraz stracić przytomności.

Nic mi nie pomoże, jeśli będę się spieszył i tracił siły. Najpierw muszę dotrzeć do wody. Oddycham głęboko trzy razy, biorę się w garść i ruszam przed siebie, ciągnąc za sobą linę, która tworzy plątaninę zwojów. Pokonanie następnych stu pięćdziesięciu metrów zabiera mi około dwudziestu minut. Światło, które jeszcze dwie godziny temu wypełniało wąwóz, gdy pojawiło się ostrze słonecznego blasku, zniknęło, ale moje oczy nawykłe są do mroku, nie włączam więc lampki. Serpentynowaty wąski kanion niemal na całej długości ma szerokość zaledwie moich barków; posuwam się ostrożnie bokiem, żeby nie uderzyć o ścianę kikutem. W co najmniej dziesięciu miejscach muszę, posługując się jedną ręką, wykonywać serię skomplikowanych i zawiłych manewrów; najpierw rzucam przed siebie linę, a potem, chwytając ją palcami, podciągam się dalej. Zjeżdżam na poślaskach w zagłębienie przypominające miskę klozetową, gdzie woda wyżłobiła okrągły otwór na dnie zbiegu dwóch zakrętów w kształcie litery S. Na szczęście dziura nie jest głęboka, bez trudu mogę się złapać poręcznej krawędzi i wydobyć z pułapki. Zaczynam się obawiać, że jakieś zagłębienie o gładkich ścianach, nawet metrowej głębokości, może się okazać przeszkodą nie do pokonania. Mój nastrój co chwila ulega zmianie; próbuję poruszać się jak najszybciej, ale jednocześnie adrenalina i endorfiny zaburzają myślenie. Te stumetrowe wąskie odcinki wydłużają się dwukrotnie, a muszę pokonywać je jeszcze z pięć czy sześć razy, nim wreszcie staję w blasku słońca na półce skalnej, mniej więcej w połowie wysokości amfiteatru o gładkich ścianach i głębokości czterdziestu pięciu metrów. Wychodzę na środek półki i rozglądam się wkoło. Rozciąga się stąd wspaniały widok, jak w filmie Indiana Jones i Świątynia Zagłady, kiedy bohater wyjeżdża w wagoniku z podziemnej kopalni i zawisa w połowie ściany, której nie mógłby zdobyć żaden alpinista. Na szczęście jestem na to przygotowany: mam swoją uprząż, przyrząd asekuracyjno--zjazdowy i dostatecznie długi odcinek grubej liny. Po lewej stronie

301

dostrzegam dwa nity wwiercone w skalę, z otworami i plakietką, która znajduje się jakiś metr od krawędzi półki skalnej. Dotarłem do Wielkiego Progu.

Po raz pierwszy od sześciu dni stoję w pełnym słońcu, co przyprawia mnie o lekki zawrót głowy. Podchodzę na chwiejnych nogach do brzegu półki szerokości podwójnego łóżka i spoglądam w przepaść. W dole, na piaszczystym dnie amfiteatru bezpośrednio pod Progiem, widzę płytkie zagłębienie wielkości wanny wypełnione mętną wodą. Moja głowa dosłownie piecze się na słońcu; na widok kuszącego płynu chwieję się gwałtownie i niemal spadam w przepaść, ale udaje mi się odzyskać równowagę.

Hej, Aron, spokojnie. Nie popełniaj głupich błędów.

Wpinam się pospiesznie w punkt asekuracyjny i przystępuję do rozplątywania pięćdziesięciometrowego odcinka liny, która pierwotnie miała około sześćdziesięciu metrów. Posługując się lewą ręką i zębami, z mozołem rozplątuje po kolei węzły, które niechcący zaplatałem przez ostatnich pięć nocy, obwiązując sobie nogi liną, a potem ciągnąc wszystko przez dwadzieścia minut wędrówki kanionem. Poza zasięgiem mojego wzroku, po lewej stronie, koniec liny zsuwa się poza krawędź półki, aż w którymś momencie ciężar materiału sprawia, że drugi koniec zbliża się niebezpiecznie do skraju przepaści. Słyszę wyraźny dźwięk zsuwającej się szybko liny; odwracam się i widzę, jak znika mi z oczu. Instynktownie przydeptuję lewą stopą jej koniec, przyciskając go butem do podłoża. Jeśli stracę linę, będzie po wszystkim. Ta linia życia grubości dziesięciu i pół milimetra jest warunkiem mojej ucieczki z kanionu Blue John. Bez niej musiałbym wyjść z wąwozu od drugiej strony, tam, gdzie nie ma wody, a potem wędrować w tym kiepskim stanie przez cztery godziny po trudnym terenie, by w końcu, teoretycznie, poprosić kogoś o pomoc na drodze niedaleko rejonu Maze. Gdybym oczywiście przetrwał tak długo, co wydaje się całkowicie niemożliwe. Jeśli stracę linę, to mogę spokojnie rzucić się w przepaść i zataczając w powietrzu swobodny łuk, odstawić śmiertelny skok do tej płytkiej kałuży dwadzieścia metrów niżej.

Nie strać liny, Aron. Nie popełniaj głupich błędów.

Wiążę ósemkę mniej więcej w połowie liny i mocuję do punktu asekuracyjnego. Drugie, niemal fatalne potknięcie w ciągu niespełna pięciu minut sprawia, że skupiam całą uwagę na przygotowaniu zjazdu i dotarciu do tego niewielkiego rozlewiska. Każda minuta, którą spędziłem na roz-

302

plątaniu liny, wyczerpywała mnie coraz bardziej. Teraz, kiedy jestem bezpośrednio narażony na blask i ciepło słońca, czuję, że odwodnienie przyspieszyło trzykrotnie; ilekroć przesuwam szorstką linę między wargami, mój język i podniebienie zamieniają się w ostre kawałki papieru ściernego. Rozplątanie każdego węzła to konieczność zagryzania zębów ze trzydzieści razy. W końcu udaje mi się wypracować lepszą metodę - trzymam węzeł w ustach i przesuwam linę przez pętlę. Wciąż jednak mam zajęte wargi i muszę walczyć z instynktem, który każe mi co chwila oblizywać linę. Pocę się, co pozbawia moje ciało resztek wilgoci, i choć od wody dzieli mnie tylko kilka minut, muszę się natychmiast czegoś napić.

Wypluwam linę, ściskam ją między udami i zsuwam plecak z lewego ramienia, po czym bardzo ostrożnie ściągam prawy pasek nad końcem obłożonego kikuta. Na dnie głównej przegrody plecaka leży moja butelka, zapełniona w trzech czwartych moczem. Podczas gdy wcześniej tylko sączyłem niewielkie ilości pomarańczowej uryny, teraz łykam trzy, pięć, siedem, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia mililitrów w ciągu dziesięciu sekund i zaczynam się gwałtownie krztusić z powodu paskudnego smaku. Jednak uczucie wstrętu w końcu ustępuje, a ja znów zajmuję się przygotowaniem liny.

Po piętnastu minutach mam dwa zwoje wolne od supłów; można przerzucić linę poza krawędź półki. Sprawdzam węzeł wpięty do karabinka i przymocowany fioletową taśmą do punktu asekuracyjnego. Stopniowo spuszcza linę, zwój za zwojem. W normalnej sytuacji usunąłbym węzeł i pozwolił linie zwiisać z punktu. Umożliwiłoby to ściągnięcie liny po zjeździe na dół. Dziś jednak zamierzam ją tu zostawić. Nie będę już jej potrzebował, poza tym w tej chwili nie obchodzi mnie w najmniejszym stopniu to, że pozostawię po sobie bałagan.

Standardowa praktyka nakazywałaby zdublować karabinki przy punkcie asekuracyjnym, ale nie obawiam się, że ten jeden się przypadkiem otworzy czy zawiedzie. Nie może o nic zahaczyć, a jego wytrzymałość jest tak duża, że mógłbym zawiesić na nim dwa pikapy. Lina nie ma nawet miesiąca, jestem też pewien jej

wytrzymałości - nie została mocno poprzecierana czy nadwerżona przez słońce. Dochodzę do wniosku, że system wytrzyma mój ciężar podczas zjazdu.

Następnie biorę urządzenie autoasekuracyjne i przeciągam linę przez jeden z bliźniaczych otworów. Potem wpinam karabinek do pętli na linie.

303

Po zakręceniu karabinka mogę zacząć schodzić. Odpinam pętlę daisy chain od taśmy i cofam się, aż lina i punkt asekuracyjny przejmą ciężar mojego ciała. Sprawdzając uprząż, widzę, że nie przeplotłem podwójnie pasa biodrowego przez klamrę. Teoretycznie pas mógłby się wysunąć, a wtedy mój ciężar opierałby się całkowicie na pętlach. Gdybym miał obie ręce i nie wykrwawiał się na śmierć, zawiązałbym pas podwójnie, ale teraz, kiedy na dole czeka woda, jestem gotów podjąć ryzyko.

Spoglądając w dół, pod stopy, cofam się gwałtownymi ruchami, przesuwając linę o dziesięć, dwanaście centymetrów przez przyrząd zjazdowo--asekuracyjny. Dotarłszy do krawędzi, patrzę między nogi, w głąb sześciu pięter przyprawiającej o zawrót głowy przepaści, i widzę, że półka, którą właśnie opuszczam, wystaje poza skalny próg. Jestem trochę zdenerwowany i niespokojny podczas tego zjazdu przy użyciu tylko lewej ręki. Jeśli się z jakiegoś powodu puszcę, to nie mam wsparcia; zjadę błyskawicznie po linie, tylko odrobinę wolniej niż podczas swobodnego spadku, i wyląduję twardo obok rozlewiska, zapewne łamiąc sobie nogi albo jeszcze gorzej. To bardzo ważne, żebym teraz pokonał krawędź półki powoli i ostrożnie.

Nie spiesz się. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę. Właśnie tak, Aron. Stań na bloku skalnym. Nie, najpierw lewa stopa. Dobrze. Spokojnie. Teraz prawa stopa. Doskonale. Odchyl się. Zaufaj linie. Wypchnij tylek poza krawędź. Wyprostuj nogi. Popuść trochę liny. Powoli. Poooowoli. Dobrze. Teraz trzymaj się mocno.

Na początku zjazdu jest ciężko. Ciężar liny zwiększa tarcie na przyrządzie zjazdowym, muszę więc walczyć i ciągnąć linę, by przesuwała się kawałek po kawałku przez przyrząd - znaczny wysiłek, który pochłania resztki mojej wytrzymałości - ale nie na tyle, bym ześliznął się po linie i stracił równowagę. Przypomina to jazdę samochodem z prędkością pięciu kilometrów na godzinę w wielkim korku, jakby wciskało się pedał gazu do podłogi i kontrolowało szybkość hamulcem ręcznym. Muszę go zwalniać co chwila, żeby się posuwać, ale niebezpiecznie łatwo można puścić go do końca i stracić kontrolę nad sytuacją. Posługiwanie się jedną ręką oznacza, że nie będę mógł w żaden sposób wyciągnąć jej i przytrzymać się czegoś, kiedy zacznę się kołysać na boki, przesunąwszy stopy poza wyjątkowo nierówną krawędź półki. Boję się, że popuszczę zbyt dużo liny, spadnę poza krawędź i uderzę o nią ramieniem albo głową, a potem puszcę się liny. Suche powietrze wdziera się w pory mojego ciała; przeżywam przez

304

trzy minuty istne tortury, wykonując nieskończenie długą serię nieznaczących ruchów, żeby zejść poniżej półki. W końcu przesuвам przez przyrząd asekuracyjno-zjazdowy więcej liny i moje stopy zsuwają się z dolnej krawędzi występu, po czym zawisam na ścianie, na wysokości około osiemnastu metrów nad ziemią. Niepokój i strach ustępują pod wpływem przyprawiającego o zawrót głowy zadowolenia, gdy się obracam twarzą do amfiteatru, zawieszony w powietrzu. Zjeżdżając w dół, tym szybciej, im bliżej jest ziemia, słyszę echo śpiewającej liny, która przesuwa się przez przyrząd zjazdowo-asekuracyjny.

Kiedy tylko dotykam stopami twardego gruntu, uwalniam się od liny i natychmiast rzucam w stronę kałuży o błotnistych brzegach. Uciekam od słońca i wchodzę w chłodny cień, ściągając pospiesznie i nieuważnie plecak z lewego ramienia i bardzo ostrożnie z prawego. Ponownie wydaję butelkę. Tym razem, po zdjęciu zakrętki, wylewam zawartość na piasek i zanurzam pojemnik w sadzawce, zbierając przy okazji liście i

martwe owady wraz z aromatyczną wodą. Jestem tak wysuszony, że wyczuwam niemal smak wilgoci wokół kałuży, co jeszcze potęguje moje pragnienie. Poruszam butelką, żeby ją przepłukać, i znowu wylewam zawartość.

Dwukrotnie zanurzam pojemnik w wodzie i napełniam jeszcze raz. Przez tę chwilę, której wymaga podniesienie butelki do ust, zastanawiam się, czy wypić wodę powoli, czy też pochłonąć ją od razu, i decyduję, że powoli. Na język spadają mi pierwsze krople i gdzieś w niebie odzywa się radosny chór. Woda jest chłodna, najlepsza, jaką można sobie tylko wyobrazić, przypomina słodyczą brandy albo doskonałe poobiednie porto. Wypijam cały litr czterema potężnymi łykami, rozpluwając się z rozkoszy, a potem znów napełniam butelkę (a miałem pić powoli). Drugi litr pochłaniam w taki sam sposób, potem znowu napełniam butelkę. Zastanawiam się, czy w przypadku normalnego pragnienia woda też ma taki wspaniale słodki smak. Jeśli jest naprawdę tak cudowna, to z jakiego powodu? Czy martwe liście zamieniają ją w jakąś swoistą pustynną herbatę?

Siedzę na brzegu kałuży i przez krótką chwilę odczuwam radość, jakby liczyło się tylko moje pragnienie i jakbym teraz, kiedy już zostało zaspokojone, niczego więcej nie potrzebował. Wszystko znika. Przeszuję nawet zwracać uwagę na ból w ramieniu. Marzę na jawie; wydaje mi się, że to piknik, ja zaś siedzę w cieniu po długim obiedzie i nie mając nic do roboty, obserwuję płynące po niebie chmury.

305

Wiem jednak, że to uczucie ulgi jest krótkotrwałe. Choć czuję się odprężony, czeka mnie trzynastokilometrowa wędrówka po piasku, jeśli chcę dotrzeć do samochodu; muszę się odpowiednio przygotować. Dostrzegam po prawej stronie kilka śladów końskich kopyt. Ktoś, może większa grupa, przejeżdżał tędy od czasu ostatniej burzy. Czuję żywsze bicie serca na myśl, że mogę napotkać po drodze jakichś kowboi, ale za wcześnie krzyżeć z radości albo podsycać nadzieję. Wysuszone grudy końskiego łajna walające się na przestrzeni pięćdziesięciu metrów świadczą o tym, że minął zapewne cały dzień od czasu, jak przechodziły tędy wierzchowce. Poza tym turyści w siodle raczej nie spędzają nocy w takim miejscu.

Wypijam trzeci litr już nieco ostrożniej, odstawiam nawet butelkę na minutę czy dwie, żeby pogrzebać w plecaku i wybrać to, co mogę zostawić. Odkładam na bok zepsuty odtwarzacz i dwie porysowane płyty, resztę postanawiam zabrać ze sobą. Robię zdjęcie podwójnej liny na Wielkim Progu, a potem trzymam aparat lewą ręką i fotografuję się na tle kałuży. Jest 12.15. Cieszy mnie, że zaszedłem tak daleko, ale zdjęcie ukazuje ośmiodniowy zarost, koszarne skutki operacji i grymas udręczenia na twarzy. Chowam kamerę i aparat do zewnętrznej przegródki plecaka, po czym próbuję zamocować zawór na bukłaku, który napełniam następnie dwoma litrami gęstej, syropowatej wody.

Wciąż pijąc trzeci litr, wyciągam złożoną odbitkę przewodnika i obliczam dystans dzielący mnie od pierwszego ważnego punktu na mojej trasie -zbiegu kanionów Blue John i Horseshoe. Dochodzę do wniosku, że to dobrze ponad trzy kilometry. Stamtąd, w odległości jakichś ośmiuset metrów, leży granica parku kanionów, a trzy kilometry dalej dotrę do Wielkiej Galerii, która według podpisu pod zdjęciem z lewej strony jest „prawdopodobnie najwspanialszym zespołem piktogramów na świecie”. Jeszcze kilometr, może półtora, i dotrę do pierwszego rozlewiska w korycie Barrier Creek. Oznacza to, że upłyną co najmniej dwie godziny, zanim dostanę się do następnego miejsca, gdzie prawdopodobnie znajduje się woda. Nie wiem na pewno, czy coś tam znajdę - zależy to od poziomu wód gruntowych i deszczów, które spadły w ciągu tygodnia przed moim przyjazdem do Utah - ale wiem, że na pewno będę wtedy potrzebował wody.

Jeśli chcę się przygotować do czekającego mnie marszu, to muszę napełnić bukłak i butelkę i starannie je zakorkować. To jedyne, co mogę zrobić. Prostuję się i czuję, jak woda przelewa mi się w żołądku. Bardzo

chciałbym odpocząć i poczekać, aż życiodajny płyn przeniknie do mojego organizmu, ale powoli się wykrwawiam, a mam przed sobą trzy, może cztery godziny drogi. Dokonałem wyboru godzinę i czterdzieści pięć minut temu, kiedy zacząłem obcinać sobie rękę. Teraz jestem zdecydowany postępować zgodnie z tą decyzją, do samego końca - chcę dotrzeć do swojego samochodu, a potem dostać się do szpitala albo, jeśli mi się to nie uda, do telefonu.

Wkraczając w szeroko rozwarty, słoneczny kanion o piaszczystym podłożu, rozpoczynam trzynastokilometrową wędrówkę. Żar natychmiast pochłania to, co uzyskałem przy tamtej sadzawce; po przejściu dwustu metrów muszę się napić. Kiedy już mam za sobą skomplikowaną procedurę wyciągania butelki z plecaka, biorę ostatni niezakreślony karabinek z pętli uprzęży, zapinam go na plastikowym pierścieniu przy nakrętce butelki i zaczepiam na pasku przy poziomym pasie plecaka po lewej stronie.

Ruszam dalej i mijam kilka dużych topoli i zarośla tamaryszku, które świadczą o obecności odpływów w tej części kanionu. Po następnych stu metrach krzewy się przerzedzają. Męczy mnie wędrówka w uprzęży, z przyrządem asekuracyjnym i pętlą daisy chain, które zwisają na wysokości moich ud, więc energicznie przeciągam pas biodrowy przez klamrę i uwalniam nogi z pętli, najpierw jedną potem drugą aż w końcu uprzęż wraz z całym oprzyrządowaniem opada ze mnie i ląduje w piasku jak kłębowisko martwych węży. Ktoś się na to natknie, myślę sobie. Niezły łup. Pokonawszy pierwsze zakola kanionu, przechodzę przez szeroką na pięćdziesiąt metrów płaszczyznę, by wykorzystać cień na granicy wyschniętego rozlewiska, ale mimo to wysiłek związany z niezbyt nawet forsownym marszem przyprawia mnie o kolejny atak pragnienia, choć minutę wcześniej napiłem się wody. Po pokonaniu półtora kilometra jestem tak całkowicie odwodniony jak na początku zjazdu, a przecież wypilem już litr - jedną trzecią swojego zapasu.

Po niespełna dziesięciu minutach, które upłynęły od chwili wymarszu znad sadzawki, moje jelita budzą się pierwszy raz od sobotniego poranka. Wiem, co się zbliża, i to szybko. Ruszam pospiesznie do niszy na krawędzi rozlewiska, gdzie sporadyczne powodzie wyżłobiły coś w rodzaju ławy po zewnętrznej stronie koryta, po czym rozpinam szybko pasek przy spodenkach. Ściągam trzy warstwy - spodenki, szorty i majtki w samą porę, po czym profanuję gładką skałę. Woda, którą do tej pory wypilem, rozlała się po moim żołądku i spowodowała powódź w jelitach.

307

Rany! Jeeezu! Okropność!

Jakbym nie był już dostatecznie wyczerpany, teraz jeszcze muszę się doprowadzić jakoś do porządku. Nie ma sensu się podcierać; nie mam niczego z wyjątkiem ubrania, a tego bardzo potrzebuję. Podciągam majtki, ale zdejmuję spodenki kolarskie i wciskam do plecaka, pozostawiając je na wierzchu. Wkładam zakrwawione brązowe szorty i od razu jest mi zimniej bez czarnych spodenek z ochraniaczami. Nie ma czasu się nad tym rozwódzić; ten epizod należy już do przeszłości.

Znowu ruszam przed siebie i nim kanion skręca w prawo, przybierając kształt wygiętej gęsiej szyi, kieruję się w lewo, ku odnodze, która wydaje mi się głównym odpływem, ale po czterdziestu krokach mój osłabiony organizm zaczyna męczyć się znacznie szybciej niż dotychczas. Uświadamiam sobie, że idę pod górę, i zawracam. »

Nie popełniaj głupich błędów, Aron. Skup się. Wiedziałeś, że to nie był kanion Horseshoe. Od razu się zorientujesz, kiedy tam dotrzesz. Porównuj trasę z mapą. Wiesz, jak się to robi.

Nagle czuję wilgoć u dołu pleców. Bukłak przecieka. Zatrzymuję się i osuwam na kolana, po czym przeciągam plecak na piersi. Oczywiście, zawór puścił, woda ucieka z dna, a ponieważ odciąłem rurkę, mam problem. Otwieram pustą butelkę i przelewam do niej połowę zawartości bukłaka. Co teraz? - zastanawiam się. Jeśli pozostawię wodę w bukłaku, będzie przeciekać i zniknie, zanim dotrę do Horseshoe. Zakręcam butelkę, przypinam do paska od plecaka i dochodzę do wniosku, że najlepiej wypić resztę zapasu z bukłaka, a pozostałą drogę pokonać z zapasem w butelce. Nie jest to może idealne wyjście, ale zawsze lepsze od utraty wody.

Uświadamiam sobie sytuację. Wypiłem pięć litrów wody w niespełna godzinę i przeszedłem zaledwie półtora kilometra kanionu. Został mi jeden litr i około dziesięciu kilometrów do przebycia; będzie się robić coraz goręcej, a ja będę słabł coraz bardziej. Muszę lepiej to wszystko obmyślić, bo umrę, zanim dotrę do Wielkiej Galerii. Nagle pojawia się wspomnienie opowiadania, które przeczytałem kilka lat temu w jakimś magazynie sportowym, chodziło o legendarny szczep Indian meksykańskich, Tarahumara. Pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na mnie nie tylko to, że członkowie tego szczepu potrafili przebiec dystans osiemdziesięciu kilometrów w ciągu dnia, często bosy i w upale pustyni, ale także fakt, że podejmowali te me-

i

gamaratony bez żadnego wsparcia - nie mieli ze sobą żywności ani wody.

308

Sztuczka polegała na tym, że przed wyruszeniem w trasę nabierali pełne usta wody i nie połykali jej w trakcie biegu, dzięki czemu ta niewielka ilość płynu pozwalała nasycić wilgocią powietrze, które wpadało im do płuc. Dopóki utrzymywali odpowiednie tempo, poniżej zbyt wysokiego poziomu pocenia, tracili jedynie wilgoć, którą wydychali. Dochodzę do wniosku, że warto spróbować. Nabieram w usta około siedemdziesięciu mililitrów wody i nie połykam, przybliżając się coraz bardziej, metr za metrem, do swojego samochodu, który stoi gdzieś na płaskowyżu, na północ ode mnie.

Od razu się orientuję, że sztuczka działa. Choć wciąż chce mi się pić, oddycham swobodnie i nie czuję się nawet w niewielkim stopniu tak wysuszony jak wtedy, kiedy od razu wypijałem wodę. Być może uda mi się zachować resztę zapasu.

* * *

Na trzecim kilometrze marszu, o 13.09, docieram do zbiegu kanionów Blue John i Horseshoe, i bez wahania skręcam w lewo, ku Wielkiej Galerii. Po pięciu minutach mam tyle piasku w lewym bucie, że postanawiam się zatrzymać i go zdjąć. Ocierał mi stopę do żywego, nie mogę tego dłużej wytrzymać. Lewa wygląda o wiele gorzej niż prawa, ponieważ resztki lewej skarpety zostawiłem przy zaklinowanym gładzie, naciągnięte na kamienny młotek. Zdjęcie buta i wysypanie piasku to łatwa część zadania. Gorzej ze sznurowadłami, nie mogę ich zawiązać, więc zaciągam je mocno, a końce wsuwam po bokach do buta, przy gołej stopie. Może być. Od tej chwili staram się iść jak najostrożniej i omijać piaszczyste miejsca dla wygody marszu i przez wzgląd na obtartą skórę.

Po przejściu trzech i pół kilometra napotykam ogrodzenie z drutu kolczastego; przecina rozlewisko, zawieszona na grubych i solidnych linach, które osadzono w skale po obu stronach koryta. Domyślam się, że to granica parku narodowego, i przechodzę przez otwór wycięty pośrodku ogrodzenia. Kiedy tylko przekraczam tę przeszkodę, moje jelita znów zaczynają się buntować, a zwieracz zaciska się odruchowo. Pędzę w stronę ustronnego miejsca w cieniu półki skalnej, gdzie mogę się pochylić i wypróżnić. Biegunka nie spowoduje zagrażającej życiu utraty krwi, ale może doprowadzić do jeszcze większego odwodnienia. Druga

runda dobiega końca, podciągam spodenki i ruszam dalej. Sztuczka z wodą wciąż mi pomaga iść

309

szybkim krokiem, minimalizując jednocześnie moje wyczerpanie. Przełykam co pięć czy dziesięć minut, ale dobra wiadomość jest taka, że wciąż mam w butelce ponad siedemset mililitrów.

Na piątym kilometrze mijam z lewej strony wysoką na sto metrów skalną ścianę z wymalowanymi w ogromnej skali barczystymi postaciami we wszystkich odcieniach brązu i rdzawej czerwieni. To piktogramy Wielkiej Galerii, które teraz traktuję jak kamień milowy na trasie swojego marszu. W głębi kanionu, pośród niewielkiego skupiska trzciny, pałek wodnych i sitowia, wkraczam na miękkie, podmokły grunt, porośnięty gęstą trawą. Po kilku krokach w głąb trzęsawiska rozchylam łodygi turzycy i znajduję niewielki ciek wodny. Alleluja! Jest 13.55, kiedy pochylam się nad zamuloną strugą szerokości piętnastu centymetrów i głębokości pięciu i próbuję napełnić swoje pojemniki. To frustrujące przedsięwzięcie, ale warto każdego wysiłku; niewiele mi już zostało w butelce i teraz mogę uzupełnić zapas. Muszę wpierw zbudować małą tamę błotną, by zanurzyć naczynie. Przy okazji porywam do butelki dwie kijanki, ale zastanawiam się, czy jest sens się tym przejmować. Do tej pory połknąłem zapewne setki tysięcy niewidzialnych pływaków. Czy jeszcze dwa sprawią jakąkolwiek różnicę tylko dlatego, że je widzę?

Krew z kikuta, pomimo opaski i prowizorycznych bandaży, kapie teraz bardzo szybko - w piaszczystym błocie pojawia się kilkanaście czerwonych plam, kiedy próbuję nabrać więcej wody do pojemnika. Ból w obciętej ręce ogniskuje się wokół opaski i coraz silniej zaznacza swoją obecność w moim umyśle, wysyłając raz po raz identycznie brzmiący sygnał: „Twoja ręka doznała ciężkich obrażeń; musisz się postarać”. Cierpienie rodzi pokusę, by usiąść i nabrać sił, ale wiem, że muszę iść dalej. Przynajmniej mam w tej chwili więcej wody.

Widzę ślady stóp, które zbiegają się i stopniowo tworzą w tej części kanionu coraz wyraźniejszą ścieżkę przez piaszczyste wydmy i tunele topoli. Obok traktu wyrastają kopczyki. To zrozumiałe, że ta dróżka jest bardziej uczęszczana, ponieważ prowadzi do Wielkiej Galerii. Nie potrafię się zorientować, kiedy te ślady powstały, wiem tylko, że pojawiły się ich dziesiątki od ostatniego deszczu czy powodzi. Mimo wszystko, nauczony doświadczeniem zdobytym podczas uwięzienia, nie krzyczę z radości. Jeśli w tym kanionie są ludzie, to ich znajdę, ale lepiej nie rozbudzać w sobie zbytnich nadziei.

310

Na dziesiątym kilometrze skręcam w lewo, w stronę ogromnej niszy, szerokiej zapewne na sto metrów i co najmniej równie wysokiej, głębokości dobrych trzydziestu metrów. Zbliżając się do mamuciego dachu, koryto skręca w prawo. Nagle niezwykle i niespodziewany widok unieruchamia mój system motoryczny, jakby w mojej mózgowej skrzynce z bezpiecznikami siadł główny wyłącznik. Siedemdziesiąt metrów dalej, ramię w ramię, idzie trójka turystów, jeden mniejszy od dwóch pozostałych. Ludzie! Nie mogę w to uwierzyć. Do tej chwili nie byłem w ogóle pewny, czy zobaczę jakąkolwiek osobę w kanionie. Połykam wodę w ustach i potrząsam głową, starając się zorientować, czy zmierzają w moją stronę, czy też się oddalają. Przez krótką jak mgnienie oka chwilę zastanawiam się, czy są realni. Mam wrażenie, że się oddalają.

Szybko, Aron, zawołaj do nich. Pomogą ci.

Muszę dać im sygnał, zanim odejdą zbyt daleko. Próbuję krzyknąć, ale głos więźnie mi w gardle, potem znowu i niemal gulgoczę resztkami wody. W końcu udaje mi się wydusić z siebie słabe „pomocy!”. Biorę głęboki oddech i krzyczę silniej: „Pomocy!”.

Grupka przystaje i odwraca się do mnie przodem. Idę dalej i wołam: „POMOCY! POMOCY! POMOCY!”.

Cała trójka rusza w moją stronę biegiem, a ja czuję się tak, jakbym miał się zaraz rozpłakać. Nie jestem już sam. Ta myśl przynosi ogromną ulgę i choć mam jeszcze w sobie zapas odwagi, dostaję zastrzyk pewności siebie: przeżyję! Wiem, że nie będę musiał nigdzie jechać, kiedy dotrzemy do szlaku. Ci ludzie mi pomogą.

Przeżyję.

Zmniejszamy dzielący nas dystans, a ja, jak przypuszczam, widzę rodzinę: mężczyznę i kobietę pod czterdziestkę i chłopca, który jest pewnie ich synem. Mają na sobie szorty, podkoszulki i wysokie buty turystyczne. Kobieta nosi przy pasku saszetkę z dwoma butelkami przymocowanymi po bokach. Mężczyzna ma na ramionach plecak średniej wielkości, taki jak mój, ale wyglądający na lekki; podejrzewam, że jest niemal pusty.

Kiedy zbliżamy się na tyle, bym mógł z nimi rozmawiać, zaczynam wyjaśniać:

- Nazywam się Aron Ralston. W sobotę przygniótł mnie głaz, przez pięć dni byłem uwięziony bez wody i jedzenia. Dziś rano obciąłem sobie rękę, żeby się uwolnić, i straciłem mnóstwo krwi. Potrzebuję pomocy medycznej.

311

Kończę swoją przemowę i wszyscy się zatrzymujemy naprzeciwko siebie, w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów. Prawy bok mam cały zachlapany krwią, od kołnierzyka koszulki po czubek buta. Patrzę na chłopca - jest niespełna dziesięcioletni - i boję się, że właśnie naznaczyłem go na całe życie.

Mężczyzna mówi, jego pojedyncze krótkie zdanie dociera do mnie jak przez mentalną mgłę, dopóki coś nie zaskakuje w moim mózgu. Uświadamiając sobie, że ten człowiek ma niemiecki akcent, odcyfrowuję jego sześć słów: „Powiedzieli nam, że pan tu jest”.

Potrzebuję dobrych pięciu sekund, żeby przetrwać jego informację, i w następnej chwili, zupełnie bezwiednie, ruszam szybkim krokiem w głąb kanionu, powarkując na tę Bogu ducha winną rodzinę, żeby podążyła za mną:

- Musimy iść. Porozmawiamy po drodze. Rozumiecie, co mówię?

Ojciec kiwa głową, ale protestuje:

- Powinien się pan zatrzymać i odpocząć.

Ponawiam swój rozkaz:

- Nie, musimy iść dalej - i zaczynam zasypywać ich pytaniami: - Kim są „oni”? Kto wam powiedział, że tu jestem? Macie jakiś telefon, który tu działa?

Rodzina drepce za mną pospiesznie, by dotrzymać mi kroku, a ojciec odpowiada:

- Na parkingu jest policja. Powiedzieli nam, żebyśmy pana wypatrywali. Obiecaliśmy, że tak zrobimy.

- Macie telefon? - pytam ponownie.

Nie mają. Ojciec ma GPS zawieszony na szyi.

- Możecie mi powiedzieć, jak daleko stąd do szlaku?

- Uhm, trzy kilometry.

Boże, jak to możliwe? Sprawdzam mapę, odległość wydaje się znacznie mniejsza, może jest z półtora kilometra do miejsca, w którym kończy się kanion, a potem jeszcze kolejne półtora kilometra stromego terenu.

- Jest pan pewien?

Pokazuje mi ekran GPS. Zazaczył sobie trasę, urządzenie pokazuje, że znajdujemy się w odległości dwóch tysięcy dziewięciuset dziesięciu metrów od początku szlaku, o dwieście dwadzieścia metrów niżej. To wzniesienie będzie dla mnie koszmarne. Już czuję obciążenie, jakim będzie dla mnie

312

pokonywanie trzymetrowych łań, tam gdzie szlak przecina zakola kanału wyżłobionego przez wodę. Zaczynam mieć wątpliwości, czy mimo wszystko dotrę do szlaku. Może działa świadomość, że znajdują się tam ratownicy i że być może są w stanie tu dotrzeć, w każdym razie zaczynam pojmować, że ciało mnie zawodzi. Straciłem zbyt dużo krwi. Nawet drobne przeszkody kosztują mnie mnóstwo energii i przyprawiają serce o szalony rytm.

Rozważając sekwencję wydarzeń, które najszybciej zapewnią mi pomoc medyczną, pytam turystów o imiona, by móc odpowiednio zaplanować to, o co zamierzam ich poprosić.

- Jestem Eric, a to jest Monique i Andy - wyjaśnia ojciec. - Nazywamy się Meijerowie, przyjechaliśmy z Holandii.

To wyjaśnia akcent, jak i dobry angielski. Nie odezwali się jak dotąd Monique ani Andy, ale mogę z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że też mówią biegle w tym języku.

- Okej, Erie, wyglądacie na sprawnych. Chciałbym, żeby jedno z was ruszyło szybko przodem i dotarło do policjantów. - Jestem pewien, że nie są to policjanci, ale tak nazwał ich mężczyzna. - Niech przyślą tu nosze i grupę ludzi, którzy mnie stąd wyniosą. Nie wydaje mi się, żebym o własnych siłach zdołał wydostać się z kanionu. Zrobicie to?

- Monique może biec. Jest szybka.

Wciąż idąc przed siebie, patrzę na jego żonę, a ona kiwa głową.

- Rozumiesz, o co mi chodzi i czego potrzebuję? - pytam.

- Tak, noszy i...

Przerywam jej.

- Zaczekaj. Czy policja ma radia i telefony?

Dorośli potwierdzają ruchem głowy.

- Okej, poproście ich o przysłanie helikoptera.

Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej, nie wiem - może z powodu wyczerpania - ale helikopter będzie znacznie lepszy niż zespół z noszami. Muszę tylko dotrzeć do lądowiska, a potem poczekać. Myślę, że dam radę. Patrzę na Monique.

- Proszę, pospiesz się.

* * *

[Poniższy fragment pochodzi z listu Erica Meijera opisującego nasze niezaplanowane spotkanie].

313

W czwartek, 1 maja, moja rodzina (moja żona Monique, nasz syn Andy i ja, Erie Meijer) zaplanowaliśmy wyprawę do kanionu Horseshoe, odludnego zakątka Parku Narodowego Kanionów w Utah. Na szlaku prowadzącym do tego rejonu rozmawialiśmy z pewnym strażnikiem, który powiedział nam, że od kilku dni stoi tu zaparkowany samochód i że jego właściciel być może zaginął w kanionie. Zażartowaliśmy, że będziemy mieć oczy otwarte i że spróbujemy go znaleźć.

Po przebyciu około sześciu kilometrów i dotarciu do Wielkiej Galerii (indiańska sztuka naskalna), gdzie zrobiliśmy kilka zdjęć, zawróciliśmy i nagle usłyszeliśmy za plecami jakiś hałas, a po chwili głos, który wołał: „Pomocy, potrzebuję pomocy!”.

Zorientowaliśmy się od razu, że to ta zaginiona osoba. Nie znaleźliśmy go, to on znalazł nas! Trochę niepewnym krokiem, ale dość żwawo, podszedł bliżej, a wtedy zobaczyliśmy, że prawa strona jego ciała jest cała we krwi.

Rękę, czy może to, co z niej zostało, miał na temblaku, który sam zrobił. Podbiegliśmy do niego, a on powiedział wtedy wyraźnie: „Na imię mam Aron. W sobotę przygniótł mnie głaz. Utknąłem w kanionie na pięć dni bez wody i jedzenia. Cztery godziny temu obciąłem sobie rękę i potrzebuję pomocy medycznej. Potrzebuję helikoptera”.

Zdecydowaliśmy, że żona i nasz syn spróbują jak najszybciej wyjść z kanionu, żeby wezwać pomoc, podczas gdy ja pozostanę z Aronem, towarzysząc mu w trakcie wędrówki, a także dając mu jedzenie i wodę i wspierając go na duchu. Aron poprosił mnie, żebym poniósł jego plecak. Bezustannie mówiąc, starałem się dowiedzieć jak najwięcej o jego samopoczuciu. Było bardzo ważne, by wyprowadzić go z węższej części kanionu Horseshoe na bardziej odsonięty teren, gdzie mógłby wylądować helikopter.

Kiedy Monique zaczyna biec, Andy rusza za nią. Już mam poprosić chłopca, żeby został z nami, dzięki czemu Monique będzie mogła poruszać się szybciej, ale nagle przychodzi mi do głowy myśl, by spytać Erica, czy ma coś do jedzenia. Zastanawia się przez chwilę, potem woła coś do żony, a ona przystaje.

- Zostały nam dwa ciastka Oreo, Monique je ma - wyjaśnia i znów woła do żony, żeby wyjęła jedzenie.

Doganiamy ją. Podaje przezroczyste plastikowe opakowanie, które mie-

314

ściło piętnaście ciastek, i przeprasza, że razem z Andym zjedli już większość. Potem odwraca się i razem z synem ruszają biegiem.

Zostały tylko dwa oreo, ale to prawdziwy dar niebios, pochłaniam je natychmiast; po pierwszym robię krótką przerwę, żeby otworzyć butelkę i popić jedzenie łykiem wody z kijankami. Po drugim ciastku Erie podaje mi zakręconą półlitrową butelkę wody źródlanej. Nie smakuje tak wspaniale jak ta z kałuży pod Wielkim Progiem, ale jest znacznie lepsza od piaszczystej mazi, która znajduje się w mojej butelce. Dziękuję Ericowi za wodę i pytam, czy poniesie mój plecak. Odpowiada, że oczywiście, więc zsuwam paski z ramion, zmniejszając swój ciężar o kilka kilogramów.

Erie rozmawia ze mną i zadaje kilka pytań dotyczących tego, co się wydarzyło. Staram się iść z wodą w ustach, ale ilekroć mu odpowiadam, połykam jej trochę. Kiedy kończę mówić - za każdym razem udzielałem jak najkrótszych wyjaśnień - nabieram w usta kilkanaście mililitrów płynu i nie połykam. Po kolejnej serii pytań Erica daję mu do zrozumienia, że zamiast mówić, powinienem się skupić na marszu.

Pięć minut po rozstaniu z Monique i Andym napotykamy kolejnego turystę, mężczyznę po czterdziestce, który zmierza w przeciwnym kierunku w towarzystwie starszej kobiety, zapewne swojej matki. Pyta, czy potrzebujemy pomocy, ja zaś odpowiadam pytaniem: „Czy ma pan telefon komórkowy albo satelitarny?”. Nie ma żadnego, ale wyjaśnia, że przeszedł szkolenia medyczne. Pełen ulgi, że spotkałem osobę, której wiedza przewyższa moją skromną edukację zdobytą podczas wypraw ratowniczych, proszę go, by się do nas przyłączył. Pozostawia kobietę, która rusza dalej sama, i przedstawia się jako Wayne. Zaczynam go szybko wypytywać o różne rzeczy, by się upewnić, że robię w tej chwili wszystko co trzeba, by sobie pomóc. Podążamy przez niekończące się połacie tamaryszku, który chłoczce mnie po twarzy i ramionach, a ja zadaję pytania w rodzaju: „Czy to w porządku, że jem?” („oczywiście, jeśli nie wymiotujesz”) i „powinienem się martwić, że wypilem zbyt dużo wody?” („jeśli nie wymiotujesz, to nie”).

Zakładam, że Monique i Andy biegną, żeby wydostać się z kanionu i poprosić o helikopter, ale nie widzę ich już od około dziesięciu minut. Kiedy wchodzimy na następną długą łachę porośniętą zaroślami i kilkoma drzewami, muszę się zatrzymać, żeby znów wysypać piasek z buta. Lewa stopa obtarta jest tak bardzo, że niemal przyćmiewa ból w ramieniu. To

315

ironia losu, że stopa odrywa moje myśli od obciętej ręki. Ironiczne jest też to, że teraz, kiedy mówię Ericowi, że muszę się zatrzymać, to on protestuje:

- Nie, musisz iść dalej.
- Słuchaj, usiądę i wysypię piasek z buta, a ty potem pomożesz mi go zawiązać.

Potrafię być apodyktycznym sukinsynem, kiedy jestem zmęczony i cierpię, ale Erie się tym nie przejmuje; siadam na zwalonym pniu drzewa i opróżniam but, w którym zebrała się niemal cała piaskownica, a on wiąże mi sznurowadła.

Próbowałem sobie wyobrazić, co Aron musiał przeżywać przez tych kilka ostatnich dni. Byłem naprawdę pod wrażeniem jego wytrzymałości, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Wiedział dokładnie, co robi, czego chce i do czego jest jeszcze zdolny, nawet po tym wszystkim, przez co przeszedł.

Pomimo utraty całej tej krwi szedł przed siebie zdecydowanym i mocnym krokiem do momentu, kiedy but zaczął obcierać mu stopę. Zatrzymał się po prostu w zacienionym miejscu, żeby sobie z tym poradzić przed dalszą wędrówką. Poprosił tylko, żebym zawiązał mu sznurowadła.

* * *

To dwunasty kilometr, kilka minut po trzeciej. Słońce rozpala pozbawiony cienia piasek na dnie kanionu, którego ściany osiągną wysokość trzydziestu metrów. Właśnie minęliśmy szeroki zakręt, a ja dostrzegam szlak, który pewnie prowadzi na parking i biegnie zygzakiem w górę stromego zbocza po lewej stronie. Gdzieś na krawędzi, dwieście metrów wyżej, czekają ratownicy. Och, jak bardzo żałuję, że nie jestem krukiem i że nie mogę rozpostrzeć skrzydeł, by z gardłowym krakaniem wzbić się w górę i polecieć, niesiony prądem termicznym; znalazłbym się na szlaku po dwóch minutach.

Próba wydostania się z tego kanionu mnie zabije. Straciłem zbyt dużo krwi; jestem bliski śmiertelnego szoku. Zastanawiam się, czy nie wysłać przodem Erica, by sprowadził pomoc, ale zanim mam czas powiedzieć cokolwiek, mój tok myśli zostaje zakłócony przez szybki i przerywany dźwięk, który odbija się ogłuszającym echem od skalnych ścian.

316

ironia losu, że stopa odrywa moje myśli od obciętej ręki. Ironiczne jest też to, że teraz, kiedy mówię Ericowi, że muszę się zatrzymać, to on protestuje:

- Nie, musisz iść dalej.
- Słuchaj, usiądę i wysypię piasek z buta, a ty potem pomożesz mi go zawiązać.

Potrafię być apodyktycznym sukinsynem, kiedy jestem zmęczony i cierpię, ale Erie się tym nie przejmuje; siadam na zwalonym pnium drzewa i opróżniam but, w którym zebrała się niemal cała piaskownica, a on wiąże mi sznurowadła.

* * *

Próbowałem sobie wyobrazić, co Aron musiał przeżywać przez tych kilka ostatnich dni. Byłem naprawdę pod wrażeniem jego wytrzymałości, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Wiedział dokładnie, co robi, czego chce i do czego jest jeszcze zdolny, nawet po tym wszystkim, przez co przeszedł.

Pomimo utraty całej tej krwi szedł przed siebie zdecydowanym i mocnym krokiem do momentu, kiedy but zaczął obcierać mu stopę. Zatrzymał się po prostu w zacienionym miejscu, żeby sobie z tym poradzić przed dalszą wędrówką. Poprosił tylko, żebym zawiązał mu sznurowadła.

* * *

To dwunasty kilometr, kilka minut po trzeciej. Słońce rozpala pozbawiony cienia piasek na dnie kanionu, którego ściany osiągnęły wysokość trzydziestu metrów. Właśnie minęliśmy szeroki zakręt, a ja dostrzegam szlak, który pewnie prowadzi na parking i biegnie zygzakiem w górę stromego zbocza po lewej stronie. Gdzieś na krawędzi, dwieście metrów wyżej, czekają ratownicy. Och, jak bardzo żałuję, że nie jestem krukiem i że nie mogę rozpostrzeć skrzydeł, by z gardłowym krakaniem wzbić się w górę i polecieć, niesiony prądem termicznym; znalazłbym się na szlaku po dwóch minutach.

Próba wydostania się z tego kanionu mnie zabije. Straciłem zbyt dużo krwi; jestem bliski śmiertelnego szoku. Zastanawiam się, czy nie wysłać przodem Erica, by sprowadził pomoc, ale zanim mam czas powiedzieć cokolwiek, mój tok myśli zostaje zakłócony przez szybki i przerywany dźwięk, który odbija się ogłuszającym echem od skalnych ścian.

316

Czok-czok-czok-czoka-czoka-czoka.

Dwieście metrów dalej, ponad ścianą kanionu, wznosi się metaliczne cielsko bezskrzydłego ptaka.

Ten widok każe mi się gwałtownie zatrzymać; zalewa mnie fala emocji. Nie dowierzając, próbuję zrozumieć, jakim cudem Monique i Andy zdołali tak szybko dotrzeć na miejsce, a ratownicy równie szybko ściągnąć

helikopter, ale po chwili pojmuję, że ta maszyna już tu była. Moje zdumienie zastępuje niewysłowiona ulga. Stoję nieruchomo w piasku, na nic więcej mnie nie stać. Wayne i Erie, którzy też na chwilę zastygli, zaczynają machać rękami, próbując dać znak załodze śmigłowca. Jesteśmy pośrodku kanionu, najwyższe, najciemniejsze postaci na obszarze o średnicy trzydziestu metrów - na płaskiej łące, rzadko porośniętej niską trawą i krzewami, ale mimo wszystko nie jestem pewien, czy ludzie w helikopterze nas widzą, dopóki maszyna nie skręca na niewielkiej wysokości, by zrobić pętlę i przelecieć nad naszymi głowami. Rozglądam się za najlepszym miejscem do lądowania i dochodzę do wniosku, że jest to płaska połać warstwy osadowej przed nami. Pokonuję szybkim krokiem pięćdziesiąt metrów dzielące mnie od krawędzi piaszczystej łacy, podczas gdy maszyna wykonuje kolejny nawrót i zawisa sześćdziesiąt metrów nad wyschniętym korytem. Erie dogania mnie i staje obok; obserwujemy, jak śmigłowiec zaczyna się zniżać. Robię dziesięć niewielkich kroków w stronę koryta i obracam się plecami do lądowiska, spodziewając się, że łopaty wirnika wzbiją chmurę piasku. Staram się utrzymać na nogach, pochłania to resztki mojej energii. Czuję słabość w kolanach i ogromną pokusę, by osunąć się na ziemię i ucałować ją, wyrażając radość z ocalenia. Wiem jednak doskonale, że mój umysł jest śmiertelnie zmęczony podtrzymywaniem brzemienia bólu i dyscypliny, która pozwoliła mi przetrwać do tej chwili. Chce się zbuntować, abdykować, ale nie mogę mu na to pozwolić, dopóki nie znajdę się w szpitalu.

Zawodzenie silnika nieco cichnie, pełen kurzu wiatr za moimi plecami przemienia się w delikatny wiaterek. Odwracam się i widzę pasażera, który wyskakuje na sztywnych nogach przez tylne drzwi śmigłowca, po czym przywołuje mnie ruchem ręki. Podchodzę szybko szerokim łukiem do maszyny.

- Ty jesteś Aron? - woła mężczyzna.

Kiwam głową i wrzeszczę mu do ucha:

- Tak. Mogę się z wami zabrać?

317

Dostrzegam umundurowanego funkcjonariusza jakiejś służby na drugim końcu skórzanego siedzenia w helikopterze; gapi się na mnie szeroko otwartymi oczami. Nie widzę sanitariuszy wymachujących torebkami z kroplówką, nikt nie ma na dłoniach lateksowych rękawiczek, nigdzie ani śladu jakiegokolwiek sprzętu medycznego. Nie spodziewałem się helikoptera do ewakuacji rannych, ale i nie maszyny, w której są tylko skórzane siedzenia.

Nie wiem dlaczego, ale nagle przestaję się przejmować krytycznością swojej sytuacji i chcę dać pilotowi albo temu funkcjonariuszowi czas na przykrycie czerwonego siedzenia jakąś szmatą czy kurtką, zanim wsiądę do maszyny. Drę się do wnętrza helikoptera, starając się przekrzyknąć warkot silnika i szum łopat:

- Krwawię... zabrudzę wam tylne siedzenie!

Ze środka huczy jakiś głos: „Właż!”, a ja gramolę się przez dwa plecaki na środek skórzanej kanapy. Wołam do mężczyzny, który wcześniej wysiadł ze śmigłowca: „Proszę, weź mój plecak!”, i wskazuję głową Erica, który stoi w odległości jakichś dwudziestu metrów. Mężczyzna biegnie pochylony we wskazanym kierunku i wraca po chwili z moim prawie pustym plecakiem. Jego jedyna zawartość to butelka z wodą i bukłak, jedno i drugie z drobiną szlamu, czołówka, multitool, aparat i kamera, wszystko razem waży mizerne dwa czy trzy kilogramy. Ciężar ten jednak wydawał mi się pięciokrotnie większy na odcinku trzech ostatnich kilometrów, zanim spotkałem rodzinę Meijerów. Dźwigałem plecak przez cały czas, nie chcę go teraz zostawiać. Wszyscy są na pokładzie, zapinamy pasy i pilot maksymalnie zwiększa moc, wzbijając z dna kanionu chmurę kurzu.

Ktoś mi podaje słuchawki, funkcjonariusze pomagają mi przełożyć je przez niebieską czapeczkę. Pilot pyta, czy go słyszę, odpowiadam: „Tak”, sadowiac się na skórzanym siedzeniu i jednocześnie unosząc obciętą rękę nad głową. Uporczywe pulsowanie w kikucie jest dzięki temu nieco znoś-niejsze. Patrząc, jak kropelki krwi zsuwają się po kawałku taśmy zwisającej z mojego łokcia. Jedna za drugą, docierają do końca swej drogi i skupują na moją przesiąkniętą krwią koszulkę.

Startujemy, przestaję się interesować swoim ubraniem i skupiam uwagę na kanionie. Wznosimy się coraz wyżej, wdzięczność, którą odczuwam, doprowadza mnie niemal do płaczu, ale odwodnienie zapieczętowało moje kanaliki łzowe. Choć siedzę wciśnięty między dwóch pasażerów,

318

mogę wyglądać przez okna maszyny i widzieć wszystko dość dokładnie. Patrząc wprost przed siebie, obserwuję dwie bliźniacze czarne sylwetki Erica i Wayne'a, którzy zamieniają się w maleńkie plamki na czerwonej płachcie żwirowatego koryta Barrier Creek; w końcu rama okna zasłania ich całkowicie.

Kiedy wznosimy się ponad krawędź kanionu, mój umysł stara się zaakceptować gwałtowną zmianę horyzontu. Linia wyznaczająca przez ostatnie sześć dni mój wszechświat była klaustrofobicznie ograniczona, ale teraz w jednej chwili przeskakuje o sto pięćdziesiąt kilometrów, ginąc ponad wspaniałym krajobrazem kanionów we mgłę, która otacza góry La Sal na wschodzie. Mój wzrok doznaje wstrząsu.

Wibracje helikoptera przechodzą w monotony warkot, tylko nieznacznie tłumiony przez słuchawki.

- Jak daleko do Green River? - pytam, niepotrzebnie się wysilając, by podnieść głos.

Bądź twardy, Aron. Już niedługo. Trzymaj się.

Odzywa się pilot, słyszę go wyraźnie na tle zgrzytliwych trzasków:

- Lecimy bezpośrednio do Moab. Będziemy tam za jakieś piętnaście minut.

Rany, jak dobrze.

- Macie tu jakąś wodę?

Obaj funkcjonariusze zaczynają się wiercić niespokojnie, jakby moja prośba wyrwała ich nagle z zaskoczenia. Nie mam pretensji. Gdyby to obok mnie usiadł facet zachlapany krwią, to też nie przyszłoby mi od razu do głowy zaproponować mu coś do picia. Mężczyzna po mojej lewej wyjmuję butelkę z wodą źródlaną i podaje mi. Kiedy trzymam ją przez sekundę, patrząc na nią niepewnie, uświadamia sobie, że zakrętka wciąż znajduje się na miejscu, więc zdejmuję ją, po czym oddaje mi butelkę. Przesuwamy się, funkcjonariusz po prawej stronie podkłada pod moje ramię jakąś kurtkę, w którą wsiąka krew.

Po dwóch minutach docieramy do potężnej rzeki w dole; sądząc po jej barwie i naszej pozycji, jestem pewien, że to Green River. W słuchawkach słychać głos pilota:

- Rozmawiajcie z nim.

Odpowiadam:

- Wciąż piję wodę.

319

Nie mogę uwierzyć, że jestem w stanie wchłonąć jeszcze więcej płynu albo że wciąż odczuwam pragnienie. Łącznie z tym, co trzymam w ręku, w ciągu ostatnich trzech godzin wypilem prawie dziesięć litrów wody.

- Nie pozwólcie mu zemdleć - ostrzega funkcjonariuszy pilot.

Nie boję się, że stracę przytomność, ból nie pozwala mi nawet odpoczywać, ale chcę jak najszybciej dotrzeć do szpitala.

- Jak długo jeszcze? - pytam; mój głos przywodzi mi na myśl płacznego dzieciaka, który prosi rodziców o przerwę w podróży samochodem, żeby skorzystać z toalety.

- Od tego miejsca dwanaście minut - informuje pilot.

Przez minutę czy dwie lecimy w milczeniu na północ wzdłuż rzeki; biorę trzy łyki i dopijam wodę w butelce. Kiedy skręcamy w prawo, widzę krętą drogę, która schodzi po ścianie kanionu do rzeki. ,

- Widzicie tę drogę? - pytam.

Mężczyzna po prawej stronie wygląda przez okno i kiwa głową.

-Tak?

- To początek szlaku White Rim, uhm, nazywają go Minneral Bottom. Dwa lata temu przejechałem go na rowerze z kilkoma przyjaciółmi. Ma ponad sto sześćdziesiąt kilometrów.

Wydaje się, że funkcjonariusz dość wolno kojarzy to, co mówię. A może to moja percepcja jego osoby jest zachwiana albo trudno mu zrozumieć, że zamieniam ten lot w wycieczkę krajoznawczą. Jesteśmy nad Island w części Parku Narodowego Kanionów zwanej Sky i kierujemy się na północny wschód. Znam ten rejon na tyle dobrze, by właściwie ocenić naszą trasę. Pytam pilota:

- Będziemy lecieć obok Monitora i Merrimaca?

- Nie wiem, co to jest - odpowiada pilot.

Funkcjonariusz po prawej stronie pyta mnie, co się wydarzyło, a ja zaczynam mu opowiadać o swoim tygodniu. Wykręcam się dostatecznie, by wyciągnąć z lewej kieszeni mapę, i pokazuję mu miejsce, w którym utknąłem. Wyjaśniam, jak było z zaklinowanym głazem, jak się poruszył i mnie uwięził, jak trząsałem się w nocy z zimna, jak skończyła mi się woda i piłem własny mocz, jak w końcu obmyśliłem sposób amputowania sobie ręki. Relacjonując to wszystko, zaczynam się zastanawiać, dlaczego helikopter pojawił się w kanionie w odpowiedniej chwili, kiedy go najbardziej potrzebowałem. Gdyby dotarł tam godzinę później, umarłbym, czekając na

320

pomoc. Albo gdybym dwa dni wcześniej wpadł na to, jak obciąć sobie rękę, wtedy gdy się kaleczyłem nożem, nie byłoby helikoptera, a ja wykrawiłbym się przed dotarciem do samochodu, nie mówiąc już o Green River. Miałem rację w niedzielę, kiedy powiedziałem do kamery, że amputacja ręki będzie równoznaczna z powolnym samobójstwem.

Po sześciu minutach opowiadania widzę przez okno dwa cienkie piaskowcowe ostańce. Te formacje zniszczonej przez erozję skały przypominają dwie łodzie podwodne toczące ze sobą bitwę.

- Patrzcie, to Monitor i Merrimac - wyjaśniam. Wiem, że jesteśmy coraz bliżej celu, ale wydaje się, że

skręcamy w prawo, choć sądziłem, że miasto jest na wprost. - Jak daleko jeszcze?

- Niespełna pięć minut. Przelecimy nad skałami i zaraz znajdziemy się nad miastem.

Nie daje mi spokoju pewna sprawa.

- Jak znaleźliście mój samochód? Chodzi o to, że mogłem być wszędzie.

- Twoja mama zadzwoniła wczoraj do naszego dyspozytora i powiedziała, żebyśmy przeszukali wszystkie szlaki prowadzące do kanionów.

Cztery minuty później helikopter przemyka nad krawędzią skał, pozostawiając park kanionów w dali, i ukazuje się bujna, zielona od pól dolina i las drzew otaczających tysiące budynków. Przelatujemy nad rzeką Kolorado i zwalniamy, zbliżając się do centrum Moab; w dole widać równiutkie szeregi domów i ulic, boiska, sklepy, szkoły, parkingi i parki.

Zataczamy koło i widzę zielony trawnik, na którym najwidoczniej będziemy lądować. Kiedy pilot stawia łagodnie maszynę na soczyście zielonej trawie, zauważam, że budynek po prawej stronie to szpital.

O Boże, udało mi się.

Na asfaltowym podjeździe, z prawej strony śmigłowca, stoi jakiś mężczyzna w mundurze Służby Parku Narodowego. Obok niego dostrzegam dwie kobiety w białych fartuchach, przy noszach na kółkach. Na sygnał pilota funkcjonariusz po mojej prawej ręce otwiera drzwi helikoptera i przytrzymuje je, wyskoczywszy na zewnątrz. Odpinam pas i zrzucam z głowy słuchawki, a następnie zeskakuję na trawę. Nisko pochylony, robię z sześć długich kroków pod łopatami wirnika, zmierzając w stronę asfaltu. Podchodzę do umundurowanego człowieka, który przyjmuje bez widocznego zdziwienia mój paskudny wygląd, i nie przedstawiając się, wyjaśniam gorączkowym tonem:

321

- Powinniście wiedzieć, że straciłem dużo krwi, że musiałem dziś rano amputować sobie rękę po sześciu dniach uwięzienia bez wody i żywności i że mam opaskę uciskową, którą sobie kilka godzin temu założyłem. Jest na moim ramieniu, w tej osłonie.

Najwyraźniej zaskoczony tą trzeźwą relacją, mężczyzna odpowiada:

- Zabierzemy cię do środka.

Odwraca się do kobiet, które podjeżdżają z noszami. Siadam na nich, kładę się na plecy i podciągam nogi. Rozkosz. Nie znajdowałem się w tej pozycji od sześciu dni i natychmiast zaczynam się odprężyć. Gdyby nie pulsujący ból pod opaską na kikucie, mógłbym zapaść w błogi i nieprzerwany sen.

Pielęgniarki przewożą mnie przez automatycznie rozsuwane drzwi oddziału pomocy doraźnej do pustej poczekalni. Inna kobieta, która wnosi do pomieszczenia medykamenty, patrzy na mnie zaskoczona, jakbym przyłapał ją w jakiejś kompromitującej sytuacji. Jej zdumione spojrzenie dowodzi, że uświadomiła sobie sytuację, a ja nagle pojmuję, dlaczego nie ma tu nikogo. To nie jest duży szpital miejski, gdzie zgłaszają się co kilka minut poważnie ranni pacjenci; to spokojny prowincjonalny szpital w czwartkowe popołudnie na początku sezonu. Te trzy kobiety stanowią zapewne cały obecny personel. Zespół do nagłych wypadków pełni pewnie dyżur telefoniczny; mam nadzieję, że ci ludzie nie znajdują się daleko. Można przypuszczać, że

personel dowiedział się o nowym pacjencie kilka minut przed wylądowaniem helikoptera na trawniku. Jedna z kobiet prosi mężczyznę z Zarządu Parków Narodowych, żeby wszedł na oddział, kiedy wtaczają mnie do sterylnego pomieszczenia i ustawiają nosze pośrodku, obok stołu pod dużą okrągłą lampą. Pielęgniarka, która stoi przy mojej głowie, pyta, czy dam radę położyć się na stole. Udaje mi się to zrobić, trzymając kikut przy piersi.

Wszyscy znikają z wyjątkiem mężczyzny. Jedna z kobiet wraca po minucie i mówi pozostałym, które zjawily się ze środkami medycznymi, że anestezjolog będzie za pięć minut. Pielęgniarki zdejmują mi buty, skarpety i czapkę, potem przykrywają mnie. Mężczyzna zwraca się do mnie:

- Słuchaj, Aron, mam na imię Steve i jestem strażnikiem Służby Parku Narodowego. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Nie spodziewałem się tego pytania, ale najpierw myślę o swojej mamie.

- Możesz powiadomić moją mamę, że ze mną okej?

322

-

Uświadamiam sobie, jak bardzo musiała się w to wszystko zaangażować i co przeżywała. Mój głos to pełen drżenia szept.

- Tak, mam jej numer. Zadzwońię, jak tylko skończę z tobą rozmawiać.

- Dziękuję. - Przerywam na chwilę, potem biorę się w garść i ciągnę: -Zostawiłem w kanionie mnóstwo rzeczy. Liny, odtwarzacz, uprzęż, dużo rzeczy. Będziesz mógł kogoś tam wysłać, żeby uprzętnął to wszystko?

- Zajmiemy się tym - obiecuje Steve.

- Trochę leży tam, gdzie mnie przygniotło, trochę pod skałą, z której zjechałem na linie. Mój rower... - urywam i sięgam do kieszeni pod przykryciem -.. .stoi obok jałowca, sto metrów od wschodniego pobocza drogi, półtora kilometra na południe od przełęczy Burr.

Wyciągam złożoną mapę i podaję Steve'owi. Grzebię w kieszonce zapinanej na zamek błyskawiczny i wyjmuję kluczyki do kłódki rowerowej, podczas gdy Steve ogląda pokrwawioną mapę.

- Weź to - mówię, podając mu ponad piersią małe kółko z dwoma bliźniaczymi kluczykami. - Rower nie jest przypięty do drzewa, bałem się, że mogę zgubić kluczyki, ale będzie łatwiej doprowadzić go do drogi ze zdjętą kłódką.

- Możesz pokazać, gdzie go zostawiłeś? - pyta Steve, podsuwając mi mapę.

- Tak, jasne - mówię, przekręcając się odrobinę na bok, żeby wyciągnąć lewą rękę. - Och, nie, nie mogę. Tego miejsca nie ma na mapie. Ale rower jest dokładnie tam, gdzie powiedziałem, ostatnie drzewo półtora kilometra na południe od przełęczy Burr, to wzniesienie tuż za brzegiem mapy.

- Możesz mi pokazać, gdzie zostałeś uwięziony?

- Tak, to jedyny odcinek kanionu wschód-zachód tuż nad Wielkim Progiem. Widzisz? - Wskazuję miejsce z informacją „Wielki Próg, 1550, krótki wąski odcinek”.

- Dobra. Coś jeszcze?
- Chciałbym, żebyś przypilnował mojego plecaka, to bardzo ważne, został w helikopterze, i żebyś sprowadził wóz. Dzięki.

Jestem przytomny, ale wyczerpany, chcę zamknąć oczy, ale wiem, że nie wolno mi spać. Po chwili do pomieszczenia wchodzi kobieta w białym fartuchu i z maską na twarzy i przedstawia się jako anestezjolog, a potem pyta, co się stało. Przedstawiam jej skróconą wersję, a ona

323

wychodzi pośpiesznie przez boczne drzwi, obiecując, że wróci za chwilę z lekami.

- Posłuchaj, Aron, chciałbym uzyskać od ciebie jak najwięcej informacji - mówi Steve. - Jak duży był ten głaz?
- Myślę, że ważył ze sto kilo. Przesunąłem go odrobinę, kiedy na mnie spadł, ale nie mogłem go podnieść za pomocą lin, więc musiał sporo ważyć.
- I kiedy cię przygniótł?
- Około drugiej czterdzieści pięć w sobotę po południu.
- Jak do tego doszło?
- Sam go obluzowałem. Był zaklinowany, stanąłem na nim, potem się po nim zsunąłem i pociągnąłem go. Odbił się od ścian, obtarł mi trochę lewą rękę i przygniótł prawą. Próbowałem uciec spod niego, kiedy przywoździł mi dłoń.

Nie mogę wprost uwierzyć, że opowiadam tę historię. Jestem zdumiony, że leżę na tym stole, biorąc pod uwagę to, jak niewielkie miałem szanse przeżycia sześciu dni w warunkach hipotermii i odwodnienia, a potem odcinając sobie rękę, zjeżdżając ze skały na linie i pokonując ponad jedenaście kilometrów piechotą po pustyni. No i helikopter. To był cud.

Zanim Steve ma czas zadać następne pytania, wraca lekarka, tym razem z pełną strzykawką i igłą, którą według mnie można by zrobić zastrzyk koniowi. Wiem, co kobieta zamierza zrobić, i oświadczam zdecydowanym tonem:

- Chwileczkę, muszę pani coś powiedzieć. Czasem mam reakcję na igły. Mdlałem przy zastrzykach, raz spadłem z krzesła, kiedy pobierali mi krew. Mój lekarz kazał mi o tym uprzedzać w takich sytuacjach. Nie wiem, co może mi się stać w moim obecnym stanie. Mogę doznać szoku.

Lekarka, która staje jak wryta przy pierwszych słowach, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami; powoli dociera do niej, co powiedziałem. Widzę tylko zdumienie na jej twarzy, gdy pyta:

- Chce pan powiedzieć, że nie jest pan w szoku?
- Nie wiem, może klinicznie, może...

Przerywa mi pytaniem wprost:

- Mam przygotowaną morfinę. Chce ją pan czy nie?
- Do diabła, chcę! - wołam. - Proszę mi ją podać. Tylko przytrzymajcie mnie na stole, jeśli zacznę się

wiercić, okej?

324

Patrę na strażnika Steve'a, kiedy lekarka wbija we mnie igłę. Czuję, jak po moim ramieniu pełnie lekkie pieczenie, kiedy narkotyk wnika mi do żyły, ale ani na chwilę nie tracę przytomności. Podejmuję na nowo rozmowę ze Steve'em i opisuję zaplanowaną trasę od kanionu Horseshoe, przez drogę w rejonie Maze, potem przez kanion Blue John, zjazd z Wielkiego Progu, wreszcie powrót do samochodu naprzeciwko Horseshoe. Opisując rozmiary wąskiego odcinka, gdzie byłem uwięziony, po raz kolejny oceniam wielkość głazu i tłumaczę Steve'owi, jak utknąłem w pozycji stojącej, ale że umocowałem liny w punkcie asekuracyjnym i że mogłem odciążyć nogi. Staram się opowiedzieć wszystko, nim zacznie działać morfina. Relacjonuję pokrótce, jak skończyła mi się woda i żywność, i opisuję chwilę, gdy wpadłem na pomysł, jak amputować sobie rękę. Potem słyszę jakiś nowy głos, męski baryton, który pyta, co zakrywa mi kikut, czuję, że ktoś ciągnie za pokrowiec od bukłaka na wodę służący za temblak, i słyszę strażnika Steve'a: „Ma tam opaskę uciskową albo dwie. Reszta to osłona”. Bełkoczę: „Tylko jedną, na przedramieniu”, a potem świat daje nurka w jakiś tunel. Mój trwający 127 godzin maraton kończy się o 15.45 we czwartek, 1 maja 2003 roku.

* * *

Strażnik Steve Swanke bierze moją mapę i notatki z naszej rozmowy i idzie do poczekalni. Otrząsa się po tym, co ode mnie usłyszał, odpina od paska służbową komórkę i dzwoni do mojej mamy. Mama odbiera po drugim sygnale.

- Halo, tu Donna. - Jej głos jest silniejszy, pobrzmiwa w nim więcej nadziei niż wtedy, gdy Steve usłyszał te trzy słowa za pierwszym razem.

- Witaj, Donna. Ponownie strażnik Steve. Mam dobre i złe wieści. Znaleźliśmy twojego syna. Żyje i będzie żył. - Steve milczy przez chwilę, a potem przekazuje tę gorszą część najświeższego serwisu informacyjnego: - Musiał amputować sobie rękę, żeby się wydostać z opresji. Jest teraz w Moab, ale z pewnością przewiozą go wkrótce do Grand Junction.

Mama wzdycha głęboko, jakby przez dwa dni wstrzymywała oddech.

- Dzięki Bogu.

Natychmiast ogarnia ją niewysłowiona ulga, jakby z jej serca zdjęto ogromny ciężar. Modlitwy, które bezustannie odmawiała, zostały wysłu-

325

chane: jej syn żyje i, co ważniejsze, będzie żył. Ze słuchawką w dłoni odwraca się do Sue Doss, która siedzi przy kuchennym stole.

- Sue, znaleźli go! Nic mu nie będzie!

Nigdy jeszcze, w całym swoim życiu, nie odczuwała tak głębokiej radości jak w tej chwili. Nawet ta zła wiadomość jest dla niej błogosławieństwem, bo przecież mogło być znacznie gorzej. Bierze się w garść i mówi do słuchawki słowa, które płyną niepowstrzymanym strumieniem:

- Och, Steve, dziękuję, dziękuję. Dzięki, że go znaleźliście. Od razu wyjeżdżamy.

- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?
- Daj znać, jak dowiesz się czegoś więcej.
- Jasne. Coś jeszcze?

W jej myślach pojawia się z wolna druga prośba.

- Będziesz musiał pewnie sporządzić jakiś raport albo porozmawiać z mediami o Aronie. Proszę, nie bądź zbyt krytyczny.

Przeglądając przez kilka minut notatki, Steve ocenia fakty i stara się ustalić istotne czynniki, które przyczyniły się do mojego wypadku. Jako doświadczony wycyznowiec zaczyna się zastanawiać, ileż to razy wybierał się samotnie na wędrownkę czy spływ kajakowy. „Jak to jest? Wychodzę z domu i podejmuję samemu ryzykowne przedsięwzięcia, a nie zawsze mówię żonie, dokąd się wybieram. Coś takiego dzieje się nawet teraz. Są tam ludzie, w pojedynkę, na niebezpiecznym terenie, i nikt nie wie, gdzie przebywają”.

Steve wodzi palcem po mapie, wiedząc dzięki mojej stronie internetowej, że jestem doświadczonym człowiekiem w dziedzinie canyoningu i że Blue John to stosunkowo prosta trasa. Steve oczekuje zwykle, że konsekwencje wypadku będą proporcjonalne do warunków terenowych -ekstremalne konsekwencje wynikają z ekstremalnych okoliczności - ale ten incydent okazał się wręcz katastrofalny, jeśli wziąć pod uwagę topografię. „To bardzo łatwa trasa. Trudno o łatwiejszą. Wędrując po kanionach, cały czas poruszam głazy; zdaję sobie z tego doskonale sprawę. Tańczymy z tymi skałami w białych rękawiczkach, jakbyśmy stąpali po skorupce jajka. To właśnie robią doświadczeni wędrowcy. Zawsze zadajemy sobie pytanie: czy ten kamień się ruszy? Czy tamten kamień się ruszy?”.

Steve zagląda przez szybę w drzwiach oddziału nagłych przypadków, 326

gdzie pielęgniarki i lekarka krzątają się wokół mojego nieprzytomnego ciała, i rozmyśla o tym wszystkim, co wpływa na tysięczne decyzje podejmowane w trakcie takiej czy innej wyprawy. „W większości wypadków oceniamy sytuację właściwie, ale zdarza się, że oceniamy ją błędnie. I na ogół, kiedy oceniamy błędnie, konsekwencje nie są szczególnie groźne. Zdarza się jednak, że są wyjątkowo groźne”. Potem dodaje w myślach: „Ktoś znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, skrajny przypadek. Po prostu pech”.

* * *

Po rozmowie z kapitanem Kyle'em Ekkerem moja przyjaciółka Rachel Polver dzwoni do Elliotta i mówi drżącym z emocji głosem:

- Znaleźli Arona! Siedzisz?
- Jasne - kłamie Elliott, krążąc nerwowo po salonie domu przy Spruce Street.
- Żyje... ale odciął sobie rękę.

Elliott czuje, jak mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa. Jest zdolny

tylko do pełnej osłupienia reakcji: „Jezu Chryste, trzeba było usiąść”.

* * *

Natychmiast po wylądowaniu pilot Terry Mercer wzywa cysternę z centrum ratownictwa w Grand County.

Maszyny Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego latają często w misjach ratowniczych, dlatego miejscowy zespół ma dostęp do małej autocysterny. Jeden z szefów zespołu, Bego Gerhart, podjeżdża nim pod szpital, ponieważ Terry ma za mało paliwa w zbiorniku, by polecieć na lotnisko znajdujące się w odległości około piętnastu kilometrów na północ od miasta. Kiedy śmigłowiec tankuje, strażnik Steve prosi detektywa Funka i sierżanta Vetere'a, żeby wzięli ze szpitala przenośną lodówkę i wypełnili ją lodem. Lekarz na oddziale pomocy doraźnej, doktor Bobby Higgins, chce sprawdzić, czy uda mu się przyszyć mi rękę. Następnym zadaniem Grega i Mitcha jest powrót do kanionu, odszukanie miejsca, gdzie byłem uwięziony, i odzyskanie mojej odciętej dłoni. Mitch nie chce lecieć dalej, niż jest to konieczne, by dotrzeć do swojego samochodu, który pozostawił na szlaku, więc Terry woła do Bego przy cysternie:

- Chcesz się wybrać na przejażdżkę?

327

Bego nie ma nic przeciwko temu i siada obok Grega w tylnej części maszyny przed piętnastominutowym lotem do kanionu Horseshoe.

0 16.30 Terry wysadza Mitcha na szlaku prowadzącym do kanionu, potem leci dalej wraz z Gregiem i Bego, by odszukać wąski odcinek, w którym utknąłem. Dzięki mapie, którą dałem Steve'owi, i znajomości terenu, jaką odznacza się Bego, mogą wylądować na piaszczysto-kamienistym pagórku ponad niewidocznym wąskim odcinkiem wąwozu. Po zejściu do kanionu Terry nie jest w swoim żywiole, ale Bego, jako bardziej doświadczony, prowadzi go bez trudu. Dochodzą do wniosku, że tylko we trójkę będą mogli odsunąć głaz z dłoni. Pokonują próg na początku wędrówki, przechodzą pod zaklinowanym kamieniem, przeciskają się przez kręte zwężenia i po pięciu minutach docierają do instalacji lin

1 taśm, które zwisają z punktu asekuracyjnego przy półce pod ich stopami. Są pewni, że dotarli na miejsce.

Schodzą na dno kanionu i od razu pojmują, że nie uda im się przesunąć kamienia bez wsparcia mechaniki. Głaz nie spoczywa na ziemi, jak sobie wyobrażali, lecz tkwi między ścianami, oceniają też, że musi ważyć z pół tony, a nie sto kilogramów, jak ich poinformowałem. Na razie rozkładające się szczątki mojej od dawna martwej dłoni nie mogą być wydobyte spod skały. Greg robi kilka zdjęć, które posłużą za materiał dowodowy, a potem zabierają żółtą taśmę, zieloną i pomarańczową linę i inne rzeczy świadczące o moim sześciodniowym pobycie w tej dziurze, pozostawiając za sobą świeżą plamę krwi na ścianie, gdzie moja pogruchotana dłoń tkwi pod głazem.

* * *

Po wielu godzinach braku przytomności powoli dochodzę do siebie. Leżę w ciemnym pokoju szpitalnym, przez półprzezroczyste zasłony w oknie przenika fluorescencyjne światło z pomieszczenia pielęgniarek. Mam zamglony wzrok, ale widzę, że jestem sam. Znow zapadam w niebyt,

wcześniej jednak przez głowę przebiega mi jedna myśl: „Żyję”.

* * *

Po jakimś czasie znowu się budzę. Do pokoju wchodzi pielęgniarka i oznajmia wesołym głosem:

- Tak mi się wydawało, że ktoś się tu rusza.

328

M

Bego nie ma nic przeciwko temu i siada obok Grega w tylnej części maszyny przed piętnastominutowym lotem do kanionu Horseshoe.

0 16.30 Terry wysadza Mitcha na szlaku prowadzącym do kanionu, potem leci dalej wraz z Gregiem i Bego, by odszukać wąski odcinek, w którym utknąłem. Dzięki mapie, którą dałem Steve'owi, i znajomości terenu, jaką odznacza się Bego, mogą wylądować na piaszczysto-kamienistym pagórku ponad niewidocznym wąskim odcinkiem wąwozu. Po zejściu do kanionu Terry nie jest w swoim żywiole, ale Bego, jako bardziej doświadczony, prowadzi go bez trudu. Dochodzą do wniosku, że tylko we trójkę będą mogli odsunąć głaz z dłoni. Pokonują próg na początku wędrówki, przechodzą pod zaklinowanym kamieniem, przeciskają się przez kręte zwężenia i po pięciu minutach docierają do instalacji lin

1 taśm, które zwisają z punktu asekuracyjnego przy półce pod ich stopami. Są pewni, że dotarli na miejsce.

Schodzą na dno kanionu i od razu pojmują, że nie uda im się przesunąć kamienia bez wsparcia mechaniki. Głaz nie spoczywa na ziemi, jak sobie wyobrażali, lecz tkwi między ścianami, oceniają też, że musi ważyć z pół tony, a nie sto kilogramów, jak ich poinformowałem. Na razie rozkładające się szczątki mojej od dawna martwej dłoni nie mogą być wydobyte spod skały. Greg robi kilka zdjęć, które posłużą za materiał dowodowy, a potem zabierają żółtą taśmę, zieloną i pomarańczową linę i inne rzeczy świadczące o moim sześciodniowym pobycie w tej dziurze, pozostawiając za sobą świeżą plamę krwi na ścianie, gdzie moja pogruchotana dłoń tkwi pod głazem.

* * *

Po wielu godzinach braku przytomności powoli dochodzę do siebie. Leżę w ciemnym pokoju szpitalnym, przez półprzezroczyste zasłony w oknie przenika fluorescencyjne światło z pomieszczenia pielęgniarek. Mam zamglony wzrok, ale widzę, że jestem sam. Znów zapadam w niebyt,

wcześniej jednak przez głowę przebiega mi jedna myśl: „Żyję”.

* * *

Po jakimś czasie znowu się budzę. Do pokoju wchodzi pielęgniarka i oznajmia wesołym głosem:

- Tak mi się wydawało, że ktoś się tu rusza.

328

- Żyję - mówię jej niemal bez tchu.

Wiem, że żyję, ponieważ mnie boli. Boli mnie prawe ramię, bolą mnie nogi, boli mnie lewa ręka; właściwie trudno powiedzieć, co mnie nie boli.

- Tak, żyjesz. Mama będzie szczęśliwa, kiedy znów się tu pojawi.

- Mama? - pytam. Mój głos ma siłę szeptu, jest ostrożny i słaby. To słowo wywołuje wewnętrzną falę miłości, która mnie zalewa, pokonując otumaniony lekami umysł i uwalniając głęboki szloch.

Mama.

Płacz przyprawia moje ciało o ból, ale nie mogę się powstrzymać. Kiedy łzy wysychają, widzę na ścianie zegar, ale nie mogę zobaczyć, która godzina. Ktoś zabrał mi soczewki kontaktowe. Mrużę oczy i dostrzegam, że obie wskazówki znajdują się na dole po lewej stronie. Jest tuż po wpół do siódmej albo wpół do ósmej, zaledwie cztery godziny od chwili, gdy zostałem uratowany. Moab leży o siedem godzin jazdy samochodem od Denver. Pomimo tych wszystkich środków usypiających mój umysł pracuje na tyle dobrze, by wiedzieć, że równanie się nie zgadza.

- Wróci. Była tu zeszłej nocy po twojej operacji. Pewnie je śniadanie i za pół godziny przyjdzie do ciebie.

Zeszłej nocy? Śniadanie? Rozważam te pojęcia przez bardzo długą chwilę, zdezorientowany. Jest pewnie rano.

- Jaki dziś dzień?

- Piątek - wyjaśnia pielęgniarka, która kończy już swoje zabiegi, poruszając się z precyzją wokół mojego łóżka.

- Och - mówię, ale przybiera to postać cichego jęku.

Jestem zbity z tropu tym, że nie mogę sobie przypomnieć jakichkolwiek wydarzeń od czasu, gdy straciłem świadomość na oddziale pomocy doraźnej. Wydaje się, że zdążyłem zaledwie mrugnąć, a teraz znajduję się w zupełnie innym pomieszczeniu. Moab leży bardzo daleko od Denver. Czy mama tu przyleciała?

- Jak dotarła tu tak szybko? - udaje mi się spytać, choć moje gardło jest suche jak pieprz.

- 'Gdzie mieszka?

- W Denver.

- To tylko cztery, pięć godzin jazdy samochodem.

Pięć godzin? Niemożliwe.

- W pięć godzin dojechała do Moab?

329

- Nie jesteś w Moab, kochanie, ale w Grand Junction. Przetransportowali cię zeszłej nocy samolotem.

- Och - mamroczę, starając się odzyskać orientację. Nie przypominam sobie innego lotu po tej zdumiewającej przejażdżce helikopterem. Grand Junction... rozumiem. Znajduję się w Kolorado.

Jestem całkowicie unieruchomiony przez wyczerpanie i zmęczenie; to chyba plus, zważywszy na to, że opłata mnie istna ośmiornica rurek, zaizolowanych przewodów i innych dziwacznych macek, które biegną przez pościel do różnych części moich ramion i głowy. Nim udaje mi się dokładniej zbadać otoczenie, ponownie odpływam w nieświadomość.

* * *

Kiedy odzyskuję przytomność, obok łóżka siedzi Sue Doss. Jej widok sprawia mi przyjemność i przynosi ulgę. Swoim miękkim teksaskim akcentem Sue mówi: „Twoja mama jest tutaj”, i wychodzi na korytarz, żeby ją zawołać.

Mama wchodzi do mojego pokoju na oddziale intensywnej opieki medycznej. Ostre światło lamp fluorescencyjnych na suficie pogrąża ją w olśniewającym blasku. Nie mogę dostrzec jej rysów, widzę jednak, że robi dwa kroki i staje po lewej stronie łóżka. Podnoszę dłoń, a ona ujmuje ją swoimi dłońmi. Są chłodne, miękkie, drżą nieznacznie. Mama pochyla się i całuje mnie w czoło. Widząc ją z bliska, zauważam, ile przysporzyłem jej trosk, i choć ledwie mogę mówić, wyrzucam z siebie chrapliwie:

- Przepraszam, że tak cię wystraszyłem, mamó. Kocham cię.

Potrząsa głową i nagle, nieświadomi tego, zaczynamy oboje płakać.

Kilka minut później mama przestaje pociągać nosem i mówi:

- Żartowałyśmy z Sue, że jeśli to nie złamana noga nie pozwoliła ci wrócić do domu, to będziesz miał pogruchotane obie, zanim się z tobą do końca rozprawimy.

Parskamy rozbawieni, a potem patrzymy na siebie z uśmiechem. Przepływa między nami miłość, taka, która ujawnia się tylko wówczas, gdy syn ponownie łączy się z matką, a matka z synem. Wiem, że upłynie sporo czasu, nim znów się rozstaniemy.

EPILOG

Pożegnanie z dłonią

Musisz kochać życie, którym żyjesz, i żyć życiem, które kochasz.

Jerry Garcia Band, (I'am) a Roadrunner

Dni i tygodnie bezpośrednio po moim ocaleniu były naprawdę niezwykle. Jeszcze zanim tata dotarł do Grand Junction, moja historia stała się wiadomością numer jeden na całym świecie. Straciłem w kanionie dwadzieścia kilogramów i półtora litra krwi i miałem przed sobą długą rekonwalescencję, której postępy mogłem obserwować na pasku informacyjnym CNN: „Wspinacz z Kolorado, który amputował sobie rękę, wciąż nie doszedł do zdrowia”. Po trzech operacjach w ciągu pięciu dni i zjedzeniu nieprawdopodobnej ilości naleśników, w czym nie dorównał mi żaden pacjent w historii oddziału intensywnej opieki medycznej szpitala St. Mary, zostałem przeniesiony wraz z bukietami kwiatów piętro wyżej, gdzie, w rzadkich chwilach mojej świadomości, tata czytał mi urywki listów od przyjaciół i obcych ludzi ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej. Pewna kobieta z Salt Lake City przysłała mi kartkę, na której napisała, że wrzuciła do ubikacji cały zapas tabletek nasennych zmarłego męża i spuściła z wodą. „Twój akt odwagi zainspirował mnie i dodał mi sił. Przrzekłam sobie wcześniej, że skończę z sobą, jeśli w ciągu roku od śmierci męża sprawy się nie polepszą. Wiem teraz, że samobójstwo nie jest żadnym wyjściem

331

z sytuacji. Dzięki Tobie zyskałam siłę, dzielność i chęć do walki o życie”. Płakałem z rodzicami za każdym razem, kiedy czytaliśmy ten list; przypominał nam w trudnych chwilach, że moje ocalenie i wyzdrowienie w niezwykle sposób oddziaływały na ludzi.

Przez ten tydzień rodzice rzadko byli nieobecni przy moim boku. Dzięki ich miłości, tysięcznym modlitwom, sekretnym odwiedzinom licznych przyjaciół i wspierającej opiece ze strony lekarzy i pielęgniarek szpitala St. Mary odzyskiwałem powoli siły i 7 maja, we środę, byłem gotów do pierwszej od czasu wypadku wyprawy na świeże powietrze. Rehabilitant chętnie zaprowadziłby mnie i tatę do parku po drugiej stronie ulicy, ale ponieważ pod budynkiem szpitala koczowała armia dziennikarzy i fotoreporterów, woleliśmy cieszyć się

wspaniałym widokiem tonącego w zieleni Grand Junction i odległych kanionów, siedząc na dachu na składanych krzesłach. Przez pół godziny wymienialiśmy się opowieściami o wędrówkach i bejs-bolu, upajając się słodkim powietrzem i wibrującymi kolorami. To jedno z moich najdroższych wspomnień spośród chwil spędzonych z tatą.

Tego samego popołudnia dostałem pocztą paczkę: prezent od mojego przyjaciela Chrisa Shea, który mieszka w Portland. Otworzyłem pudełko i pod celofanowym opakowaniem znalazłem tort czekoladowy z polewą lukrową - w kształcie mojej prawej ręki. Kiedy wieczorem zjawiła się grupa moich przyjaciół, przywożąc ze sobą mnóstwo płyt, które miały mi umilać czas w szpitalu, mama pokroiła ciasto i podała je z mlekiem ze szpitalnej stołówki. Był to dziwnie zabawny moment - śmialiśmy się, żartując: „Bierzcie i jedzcie na pamiątkę mojej ręki”. Nazwaliśmy tę imprezę Ostatnim Deserem.

We czwartek ubrałem się po raz pierwszy od tygodnia i pożyczyłem od mamy aparat, na specjalną okazję. Porządnie nawalony trzema najsilniejszymi środkami narkotycznymi, jakie zna ludzkość, udałem się z rodzicami szpitalnym samochodem kawałek dalej, na spotkanie z prasą. Wszedłem do sali, gdzie czekało z sześćdziesięciu reporterów i tyleż ekip filmowych i fotografów. Nie mogłem się powstrzymać - musiałem zrobić dwa zdjęcia. Tak właśnie poznał mnie świat i podejrzewam, że ta dwudziestominutowa konferencja była dla wielu ludzi okazją do wyrobienia sobie opinii na mój temat, sprowadzających się często do pierwszego wrażenia. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że byłem na większym hajcu niż latawiec zagubiony w huraganie. Kiedy jeden z reporterów spytał mnie o trzy rzeczy,

332

do których tęsknię najbardziej, odparłem: „powrót z rodzicami do domu, spacer z przyjaciółmi i margarita w wysokiej oszronionej szklance z kryształkami soli na brzeżku”, ponieważ była to prawda. Nie potrafię nawet zliczyć, ile razy podczas uwięzienia myślałem o tym drinku - może nie tak często jak o rodzinie i przyjaciółach, ale niejednokrotnie.

Bezpośrednio po konferencji prasowej rozmawiałem ze swoim przyjacielem, fotografem Danem Bayerem, który przyjechał do Grand Junction zrobić zdjęcia dla „Aspen Times”. Kilka dni wcześniej wybrał się do kanionu Horseshoe i przebył ponad jedenaście kilometrów, docierając do miejsca mojego zjazdu na linie z Wielkiego Progu. Po drodze znalazł moją uprząż i przyrząd zjazdowo-asekuracyjny, tam gdzie je porzuciłem, i oddał mi to wszystko. Widział też sadzawkę u podnóża skały, tę, z której

piłem wodę, i spytał: „Zauważyłeś martwego kruka, który tam pływał?”.

* * *

Z chwilą gdy mogłem już odstawić najsilniejsze leki, lekarze wypuścili mnie do domu. Pojechałem z rodzicami do Denver, dokąd przylecieli też moi przyjaciele z sześciu stanów, by urządzać mi przyjęcie niespodziankę. W ciągu jednego weekendu zdołałem odhaczyć dwie pozycje na liście „rzeczy, do których najbardziej tęskniłem”. Dopóki brałem dziennie osiemnaście różnych pigułek, nie mogłem cieszyć się starą dobrą margaritą.

15 maja, w piątek, znowu wylądowałem w szpitalu, tym razem w St. Luke's Presbyterian Hospital w Denver. Zaledwie dwa dni wcześniej moi lekarze stwierdzili u mnie bardzo groźną infekcję kości w prawym ramieniu. Ten sam brudny nóż, który ocalił mi życie, teraz mnie zabijał. Po kolejnej operacji zaaplikowano mi dożylnie (igły) najsilniejsze antybiotyki, a potem niekpnące się badania krwi (znowu igły), by stwierdzić, czy leki zwalczają infekcję. Następnego dnia, w piątek, miała się odbyć uroczystość wręczenia dyplomów na uczelni mojej siostry, Texas Tech University. Czekały mnie jednak dodatkowe badania i następna operacja. Płakałem

z rodzicami, ponieważ było jasne, że nie zobaczę, jak Sonja odbiera dyplom. I wtedy, dokładnie dwadzieścia godzin przed ceremonią w Lubbock, moi lekarze i pielęgniarki wpadli na pomysł, który umożliwił mi opuszczenie szpitala na trzy dni. Wyposażeni w skomplikowane instrukcje dotyczące dożylnego podawania antybiotyków, wyruszyliśmy we trójkę o północy w dziesięciogodzinną podróż do Lubbock w Teksasie.

333

Podczas gdy ojciec pędził z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę po dwupasmowych szosach przecinających teksaskie niziny, moja mama nadzorowała z tylnego siedzenia kroplówkę zaczeponą o uchwyt nad boczną szybą. Gdy dotarliśmy do Lubbock, nasz samochód wyglądał jak szpital polowy - był zaśmiecony medykamentami i porozdzieranymi opakowaniami, ale zdążyliśmy na bankiet, podczas którego Sonja została uhonorowana tytułem najlepszego studenta roku. Po uroczystości pomogliśmy siostrze spakować rzeczy, a potem zasiedliśmy do stołu z babcią Ralston, by stało się zadość rodzinnej tradycji - grze w karty, rundka za rundką. Jak za dawnych dobrych lat.

>

* * *

Po powrocie do Denver przeszedłem jeszcze jedną, tym razem ostatnią operację, dość ciekawą. Trzeba było wykonać angiogram - tajemniczo uśmiechająca się pielęgniarka zgoliła mi włosy łonowe po lewej stronie, a następnie zaczęła wprowadzać cewnik do tętnicy udowej, aż doszedł do mojej klatki piersiowej. Pielęgniarki za pomocą cewnika wprowadziły do mojego krwioobiegu kontrast, dzięki czemu mogłem obserwować na ekranie monitora tętnice prawego ramienia. To była dopiero rozgrzewka. W chwili otrzymania wyników angiogramu chirurg plastyczny wiedział, którymi naczyniami krwionośnymi się zająć. Opaska uciskowa uszkodziła jedno, ale pozostałe znajdowały się w dobrym stanie. W konsekwencji chirurg pobrał dziesięciocentymetrowy kawałek mięśnia z wewnętrznej strony lewego uda i po wyłonieniu tętnic połączył je z wypreparowanymi tętnicami na moim ramieniu. Na koniec pobrał prostokątny fragment skóry z prawego uda i załatał koniec kikuta. Tej drobnej dziesięciogodzinnej operacji nie udało mi się obejrzeć w telewizji (wyparła ją wojna w Iraku).

Godziny, które przeżyłem po wybudzeniu, okazały się najgorsze z całej rekonwalescencji; tamtej nocy osiągnąłem dno. Miałem w sobie siedem rurek i trzy nowe źródła bólu w miejscach przeszczepów i prawej pięcie (nacisk odważnika przy wyciągu, na którym była stopa podczas operacji, uszkodził nerw w pięcie); nie mogłem spać, nie wolno mi też było jeść ani pić, więc narzekałem niemiłosiernie. Jakim cudem obciążłem sobie rękę, nawet nie jęknąwszy, a teraz potrafiłem tylko zawodzić? Pielęgniarki zwiększały z godziny na godzinę dawki leków przeciwbólowych, ale nic mi to nie pomagało. Skutek był taki, że w końcu nie potrafiłem złożyć zdania z trzech

334

stów; chciałem powiedzieć tacie i mamie, jak bardzo jest mi przykro, że ze mnie taki sukinsyn, ale niemożność wystowienia się tylko potęgowała moją frustrację. Mama przesiedziała przy łóżku sześć godzin, aż do świtu, rezygnując ze snu i pocieszając mnie. Kiedy przez zastony zaczęły przenikać promienie poranka, a ich blask skąpał jej twarz w niezemskiej poświacie, zacząłem płakać poruszony jej pięknem, a potem zasnąłem.

25 maja minął mój siedemnasty dzień w szpitalu, ale w końcu wróciłem na dobre do domu. Doszedłem do siebie, odzyskałem niemal dawną wagę i wyleczyłem się z infekcji kostnej. Jednak, w związku z koniecznością dożylnego przyjmowania antybiotyków, musiałem co osiem godzin kłaść się i podłączać do kroplówki.

Trwało to sześć tygodni. Nawet jeśli trzeba było wstać w środku nocy, mama i tata zawsze pilnowali, żebym przyjmował leki o odpowiedniej porze. Wystarczyło leżeć nieruchomo, ale nienawidziłem tej całej kroplówki i słabości, która się z nią wiązała; rzadko rezygnowałem z okazji, by sobie ponarzekać.

Rekonwalescencję przechodziłem ciężko. Nie chodziło tylko o kroplówkę, ale praktycznie o wszystko. Cierpiałem bezustannie na bóle fan-tomowe i rzeczywiste, nawet po lekach. Ponieważ ciągle je zażywałem, nigdy nie mogłem dobrze wypocząć. Zazwyczaj leżałem całą noc w niby--śpiączce - na dobrą sprawę ani nie byłem przytomny, ani nie spałem. Narkotyczny stupor nie pozwalał umysłowi odpocząć. Ilekroć dawki leków zaczynały działać, doznawałem swoistej zapaści - w gabinetach lekarskich, między sesjami terapii zajęciowej i fizycznej na ławce w sali rehabilitacyjnej, w samochodzie, kiedy mama odwoziła mnie do domu. Świadomość powracała tylko dlatego, że przestawały działać leki, a mnie pozostawał jedynie ból. Frustracja i środki medyczne sprawiały, że zamieniałem <się w apodyktycznego i zrzędliwego smarkacza; sam siebie nie mogłem słuchać.

Mój pobyt w domu też był dla nas wszystkich trudny. Choć cieszyliśmy się, że jesteśmy razem jako rodzina, sytuacja odciskała na nas swoje piętno. Rodzice, prócz opieki nade mną, mieli obowiązki zawodowe. Jeśli dodać do tego wizyty w szpitalu, leki, kwestie ubezpieczeniowe i przede wszystkim media i zainteresowanie publiczne (musieliśmy na prawie dwa miesiące wyłączyć telefon i prosić lokalne władze, by usunęły sprzed naszego domu wozy transmisyjne), to łatwo zrozumieć, że mieliśmy nerwy zszarpane do granic możliwości.

335

Przez pierwsze cztery tygodnie byłem bezradny jak mały dzieciak. Bardzo szybko miałem dość nowego życia, w którym odpoczynek, leczenie i rehabilitacja zastąpiły jazdę na nartach, wspinaczkę i koncerty. Wszystko było takie czasochłonne; jedna wizyta w szpitalu zajmowała całe przedpołudnie; musieliśmy się z mamą przygotować, a potem dojechać tam i z powrotem. A takich wizyt były dziesiątki i należało je koordynować z reżimem zażywania leków. Nie po to wyostałem się z kanionu Blue John, żeby spędzić resztę życia w przytępieniu wywołanym tymi wszelkimi ograniczeniami, w dodatku nękany bólem. A jednak tak właśnie wyglądało moje życie.

Wyzwanie, z którym musiałem się zmierzyć w kanionie, było brutalne, ale jednocześnie proste. Z chwilą odzyskania wolności pojawiły się wyzwania bardziej złożone i z początku czułem się całkowicie nieprzygotowany do nowych okoliczności. Chciałem odzyskać dawne życie, ale to oznaczało, że muszę zwalczyć frustrację i przekuć ją na chęć działania. Pierwszym celem stały się środki przeciwbólowe. W czerwcu, wraz z zanikaniem bólów pooperacyjnych, zacząłem stopniowo odstawiać leki. Znowu mogłem cieszyć się kilkoma ulubionymi zajęciami - prowadzeniem swojego samochodu, bieganiem w towarzystwie przyjaciół, starą dobrą margaritą. W coraz większym stopniu odzyskiwałem samodzielność i „dorastałem”, co przypominało trochę okres drugiego dojrzewania. Mama nie chciała mnie wypuszczać z domu i nie mogłem jej za to winić, ale ze względu na nas oboje musiałem odzyskać dawną niezależność.

Kiedy już uporałem się z lekami, sprawy zaczęły się szybko polepszać. Nauczyłem się sznurować buty i nawet wiązać jedną ręką krawat. Nabierając wprawy, ćwiczyłem pisanie lewą ręką drukowanych i pochyłych liter (przed wypadkiem byłem praworęczny) i zacząłem pisać na klawiaturze laptopa pięcioma palcami. Mój terapeuta zajęciowy dał mi nóż o wygiętym ostrzu, żebym mógł sam sobie kroić mięso. Dzięki specjalnym sprzętom i nowym technikom uczyłem się od początku, jak robić niemal wszystko, czego potrzebowałem. Nauczyłem się zakładać zegarek i za pomocą zębów zapinać ten oporny guzik przy mankiecie lewego rękawa koszuli. Mimo wszystko przy niektórych czynnościach potrzebowałem pomocy. Czasem moje pragnienie niezależności nie pozwalało mi prosić o cokolwiek, innym

336

zaś razem, choć proponowana pomoc była jak najbardziej konieczna, sam chciałem się uporać z problemem. Pewnego popołudnia, gdy siedziałem w kuchni i próbowałem obrać pomarańczę, moja siostra bardzo starała się być delikatna.

- Nie potrzebujesz... - niedokończone pytanie zawisło w powietrzu.
- Nie potrzebuję ręki?- dokończyłem za nią. - Oczywiście, głuptasie. Mam tylko jedną.

Uśmiechnąłem się do niej, a ona się zaczerwieniła. Wziąłem swój nóż

0 zaokrąglonym ostrzu i pokroiłem pomarańczę na niedobre ósemki, tak jak robiłem to podczas rozgrywek małej ligi futbolu. Niezauważenie wsunąłem jedną w usta, tak że skórka zasłoniła mi zęby, i zacząłem skakać po kuchni, udając goryla. W chwili gdy siostra pomyślała, że odbiło mi do reszty, obdarzyłem ją idiotycznym uśmiechem, odsłaniając skórę pomarańczy. Zaskoczyłem ją w trakcie picia wody; parsknęła do szklanki, ochlapując sobie twarz. Tak narodził się żart, który potem powtarzaliśmy wielokrotnie - siostra pytała mnie, czy potrzebuję ręki, nawet jeśli nic akurat nie robiłem.

* * *

Z powodu mojej wypowiedzi na temat margarity, podczas konferencji prasowej, ludzie przysyłali mi mnóstwo związanych z tym prezentów: banknoty dwudziestodolarowe z żółtymi naklejkami „margarita”, darmowe kupony do restauracji meksykańskich słynących z przyrządzania dobrych koktajli, nawet butelki tequili. Zdarzało się, że dostawałem spore paczki, w których znajdowały się składniki do tego drinka. Kiedy otworzyłem jedną z nich, jej zawartość wprawiła mnie na chwilę w osłupienie. Zawołałem siostrę do kuchni. W przesyłce, oprócz butelek tequili, likieru Triple sec i innych składników, znalazłem mikser na akumulator marki Black & Decker. Niesamowite. Zakręciło nam się w głowie od przeróżnych możliwości wykorzystania tego sprzętu, na przykład podczas zdobywania wysokich szczytów: wyjmujemy turystyczny mikser i przyrządzamy margarity ze śniegu. Czyż nie był to wspaniały pomysł? Zawołałem: „Przybij piątkę”,

1 uniosłem oba ramiona, stojąc naprzeciwko siostry. Podniosła ręce, by spełnić moje życzenie, i w ostatniej chwili, kiedy oboje uświadomiliśmy sobie problem, klasnęła mnie w lewą dłoń.

- Ha ha ha! - zacząłem się z nią drażnić. - Zapomniałaś!

337

- Ty też uniosłeś oba ramiona, też zapomniałeś.

Miała rację, zapomniałem. Wspomnienie chybionej „piątki” wciąż nas bawi.

Wydarzenia z następnych kilku miesięcy wydają się tak nieprawdopodobne, że z trudem mogę w nie uwierzyć. Razem z czwórką przyjaciół zostałem zaproszony na kolację z naszym idolem rockowym, Treyem Anastasio, i jego ósmioosobowym zespołem przed ich czerwcowym koncertem w Fillmore w Denver. Inna z moich ulubionych grup muzycznych, String Cheese Incydent, zorganizowała zbiórkę dobroczynną i sprzedaż plakatów podczas lipcowego koncertu pod hasłem Aron's Incydent. Zebrano siedemnaście tysięcy dolarów dla pięciu ochotniczych zespołów ratownictwa z Utah, Kolorado i Nowego Meksyku, które brały udział w poszukiwaniach. Kristi i Megan, dwie dziewczyny z Moab, które spotkałem w kanionie, też przybyły na koncert, podobnie jak moja siostra i rodzice, a także tłumy przyjaciół.

Powróciłem w góry. Odwiedziłem miejsce zejścia lawiny na Resolution, skąd zabraliśmy sprzęt, który ja, Chadwick i Mark wówczas straciliśmy, między innymi mój aparat cyfrowy Sony. Mimo że został porwany przez lawinę, że zanurzał się z wolna w topniejącym trzymetrowym śniegu, że był przez cztery miesiące narażony na słońce i deszcz i że wreszcie poobgryzały go świstaki, z miejsca zaczął działać. Wciąż robi znakomite zdjęcia (brawo, Sony).

W lipcu wystąpiłem w programie Davida Lettermana, poznałem największe nazwiska dziennikarstwa telewizyjnego, obejrzałem z przyjaciółmi pięć koncertów na Zachodzie, wyposażony w protezę ręki uprawiałem wspinaczkę w Castelwood Canyon niedaleko Denver, wszedłem w ciągu trzydziestu godzin na pięć sąsiadujących ze sobą czterotysięczników środkowego Kolorado. W sierpniu uprawiałem w kanionie El Dorado niedaleko Boulder wspinaczkę skałkową ze swoim przyjacielem, także człowiekiem po amputacji, Malcolmem Dały, ustalałem tempo dla innego przyjaciela, Richa Haefele'a, podczas megamaratonu Leadville Trail 100, wreszcie przeżyłem dwa przerażające dni intensywnej sesji fotograficznej dla numeru „Człowiek roku” miesięcznika GQ i „Ludzie roku 2003” Vanity Fair.

31 sierpnia wygłosiłem mowę na ślubie siostry o tym, jak bardzo miłość przypomina taniec. Sonja nigdy jeszcze nie była równie piękna jak wtedy,

338

gdy powiedziała sakramentalne „tak” swojemu mężowi, Zackowi Elderowi. Podczas przyjęcia weselnego Sonja i ja tańczyliśmy boogie w takt jej ulubionej piosenki Climb String Cheese Incydent, śmiejąc się i wirując na oczach krewnych i bliskich.

Cztery dni po ślubie Sonji, wraz z ośmioma przyjaciółmi, wszedłem standardową drogą na górę Moran w Wyomingu. Wyjątkowe było dla mnie to, że prowadziłem przez większość trudnych odcinków, posługując się niezwykle przyrządem protetycznym, który zaprojektowałem z pomocą trzech zaskakująco czynnych firm: Hanger Prosthetics, Therapeutic Recreation Systems i Trango (przedsiębiorstwo specjalizujące się w produkcji sprzętu wspinaczkowego). Dwa tygodnie później współzawodniczyłem w wyścigu Minnesota's Adventure Duluth z dwoma innymi członkami drużyny i skończyliśmy rywalizację na drugim miejscu, pokonawszy dziewiętnaście kilometrów morskim kajakiem, sześć i pół kanadyjką i kolejne dziewiętnaście biegiem.

We wrześniu obejrzałem z mamą film, który nakręciłem w kanionie. Płakaliśmy zgodnie - mamie trudno było patrzeć na moje cierpienia, ale oboje cieszyliśmy się, że znów jesteście razem. Siedzieliśmy na kanapie, trzymając się za ręce i powtarzając co chwila: „Kocham cię”.

* * *

A potem był powrót do kanionu Blue John. Wziąłem ze sobą czworo przyjaciół: Marka Van Eeckhouta,

Jasona Halladaya, Steve'a Patchetta i Kristi Moore, a także całą ekipę filmową Dateline NBC i przeprowadziłem ich przez wąski odcinek, gdzie byłem uwięziony od soboty 26 kwietnia do czwartku 1 maja 2003 roku. Na zasadzie jednej z tych dziwnych synchroniczności życia stanąłem na głazie, który przygwoździł mi dłoń, dokładnie sześć miesięcy (co do minuty) po jego runięciu. Kiedy wszyscy pozostali ruszyli w głąb kanionu, odbyłem samotną ceremonię rozsypania skremowanych szczątków mojej ręki na miejscu wypadku i zatarłem widoczne pozostałości po napisie R.I.P. PAŹD. 75 ARON KWIEĆ. 03 na południowej ścianie kanionu, dwa dni przed moimi dwudziestymi ósmymi urodzinami. Tego samego wieczoru, w naszym obozowisku z helikopterem, wylałem plastikowy kubek czerwonego wina na but Toma Brokawa.

Przez całe lato żartowaliśmy z siostrą na temat mojego nowego statusu bezrękiego pirata. Możecie sobie wyobrazić nasze rozbawienie, kiedy od-

339

kryliśmy, że dzień 19 września 2003 roku został oficjalnie uznany za „Międzynarodowy Dzień Pirackiego Języka”. Miesiąc później, podczas Hallo-ween w Aspen, chodziłem po ulicach jako kapitan Hook i byłem zachwycony, napotkawszy znajomego wspinacza, który przebrał się za Arona Ralstona po autoamputacji.

Przez całą zimę i wiosnę uprawiałem wspinaczkę skałkową jako prowadzący, kolarstwo górskie, wspinaczkę lodową, narciarstwo zjazdowe, biegowe i zimowe solówki w wysokich górach. 17 i 18 marca 2004 zdobyłem samotnie górę Wilson i szczyt El Diente podczas kalendarzowej zimy. Była to pierwsza od czasu wypadku zimowa solówka na czterotysięczniku, podczas której zaliczyłem czterdziesty siódmy szczyt z pięćdziesięciu dziewięciu. Planuję doprowadzić swój projekt do końca w czasie dwóch następnych sezonów, dzięki czemu jako pierwszy zdobędę w pojedynkę i zimą wszystkie pięćdziesiąt dziewięć czterotysięczników Kolorado. Pod koniec sezonu osiągnąłem formę bliską tej sprzed wypadku, a chwilami jeszcze wyższą. Wraz z Elliottem Larsonem wzięliśmy udział w Etł Moun-tains Grand Traverse, wyścigu narciarskim z Crested Butte do Aspen, osiągając czas o sześć godzin lepszy niż w roku 2003, kiedy biegłem z Ga-rethem Robertem, mając obie ręce. W przyszłym roku obetnę sobie lewą rękę i przekonam się, jak szybko potrafię pobiec.

Dzięki temu, co się wydarzyło, i szansom, które wciąż otwierają się przede mną, czuję nad sobą błogosławieństwo. Uczestniczyłem w cudzie, który dotknął wielu ludzi na świecie, i nie zamieniłbym tego na nic innego, nawet gdyby miało to oznaczać odzyskanie ręki. Mój wypadek i ocalenie stanowią najpiękniejszą duchową przygodę, jaką przeżyłem. Wiedząc

0 tym - gdybym miał cofnąć się w czasie - znów powiedziałbym Kristi

1 Megan „do zobaczenia” i ruszył sam w tę wąską szczelinę. Nauczyłem się wiele i nie żałuję swojego wyboru. Potwierdził on tylko moje przekonanie, że naszym celem jako istot duchowych jest podążać za szczęściem, poszukiwać pasji i wieść życie, w którym możemy nawzajem znaleźć inspirację. Właśnie z tego bierze się wszystko inne. Kiedy znajdujemy inspirację, musimy podjąć działanie dla siebie i dla innych. Nawet jeśli oznacza to, że trzeba dokonać trudnego wyboru albo odciąć coś i pozostawić w przeszłości.

Pożegnanie to także śmiały i obiecujący początek.

CHRONOLOGIA WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

1987 - Aron Ralston przeprowadza się do Englewood w Kolorado; ucęszcza

do szkoły i po raz pierwszy jeździ na nartach.

1988 - po raz pierwszy wyrusza z plecakiem do Parku Narodowego Gór

Skalistych.

1990 - po raz pierwszy wybiera się do Utah; odwiedza parki narodowe Arches, Capitol Reef Bryce i Zion.

1993 - kończy Cherry Creek High School; uprawia rafting w Cataract Canyon

na terenie Parku Narodowego Kanionów w Utah; przeprowadza się do Pittsburgha w Pensylwanii, gdzie rozpoczyna studia na Carnegie Mellon University.

1994 - wchodzi na swój pierwszy czterotysięcznik - szczyt Longs w Kolorado.

1995 - zostaje podczas lata przewodnikiem raftingu na rzece Arkansas

w Kolorado; przenosi się do Lozanny w Szwajcarii na roczne studia zagraniczne.

1997 - kończy Carnegie Mellon University; spotyka czarnego niedźwiedzia

w Parku Narodowym Grand Teton; zaczyna pracować w Intelu w Phoenix w Arizonie.

1998 - odbywa pierwszą zimową wspinaczkę na szczyt Humphreys w Ari-

zonie; pierwszą wspinaczkę skałkową na szczyt Vestal w Kolorado; . podejmuje wyprawę z siostrą do kanionu Havasupai w Święto Dziękczynienia; odbywa pierwszą zimową solówkę na czterotysięczniku Quandary.

341

1999 - przeprowadza się do Tacomy w stanie Waszyngton; zdobywa góry Rainier i Shuksan; przeprowadza się do Albuquerque w Nowym Meksyku; wstępuje do grupy poszukiwawczo-ratowniczej Albuquerque Mountain Rescue Council.

2001 - wspinia się na Cordillera Blanca w Peru; w listopadzie zdobywa wszystkie czterotysięczniki w Kolorado.

2002 - rezygnuje z pracy w Intelu; wspinia się na szczyt Denali na Alasce;

w listopadzie przeprowadza się do Aspen w Kolorado. ,

2003 - wchodzi samotnie zimą na Pyramid, Holy Cross, Longs, Capitol Ma-

roon Bells; porwany przez lawinę piątego stopnia na szczycie Resolution; wędruje kanionem Blue John w Utah.

SŁOWNICZEK

Canyoning - poruszanie się po kanionach przy użyciu różnych technik, na przykład wspinaczki skałkowej, zjazdów na linie, skoków.

Czekan - sprzęt używany w alpinizmie, wspinaczkę lodowej oraz zimowej turystyce górskiej. Ma postać laski zakończonej głowicą. Czekan to narzędzie wielofunkcyjne, służy do wspinaczki, wyrąbywania stopni w lodzie, podpierania się, hamowania podczas ześlizgiwania się oraz do asekuracji.

Czołówka - latarka mocowana bezpośrednio na czole lub kasku za pomocą specjalnych pasków.

Detektor lawinowy - urządzenie elektroniczne służące do szybkiego lokalizowania zasypanych pod śniegiem (lawiną) ludzi. Detektor może pracować w trybie nadawania lub odbioru. Urządzenie powinno być noszone w terenie zagrożonym lawinami przez wszystkich uczestników zespołu wspinaczkowego i nastawione na nadawanie. W tym trybie emituje co mniej więcej sekundę krótki impuls elektromagnetyczny na częstotliwości 457 kHz. Jeśli jedna osoba zostanie porwana przez lawinę, pozostali przestawiają swoje urządzenia na odbiór. W tym trybie wskazują one kierunek nadającego urządzenia zasypanego pod śniegiem wraz z ofiarą i odległość od niego, umożliwiając jej odnalezienie i odkopanie.

Ekspozycja - w żargonie wspinaczkowym znaczna wysokość.

Ekspres - dwa karabinki połączone krótką, usztywnioną pętlą z taśmy. Ekspresy są stosowane do mocowania liny do punktów asekuracyjnych.

Eon - największa formalna jednostka geochronologiczna, dzieląca się na ery i wynosząca co najmniej pięćset milionów lat.

343

Foki - pasy z włosiem syntetycznym lub moherowym przyklejone do ślizgu nart specjalnym klejem w taki sposób, że zapobiegają ześlizgiwaniu się nart podczas wchodzenia pod górę, a nie utrudniają zjeżdżania. Dawniej używano oryginalnych skór foczych.

Kaldera - wielkie, przeważnie koliste zagłębienie w szczytowej części wulkanu, w którym znajduje się nowy stożek z kraterem.

Karabinek - podłużny, zbliżony rozmiarem do dłoni, metalowy pierścień z otwieranym zamkiem na jednym boku służący do szybkiego i skutecznego połączenia elementów. Jeden z podstawowych elementów sprzętu wspinaczkowego i speleologicznego, najczęściej fragment układu asekuracyjnego.

Kocioł - forma tektoniczna, otoczona na ogół z trzech stron skalnymi ścianami, stanowiąca zwykle najwyższe piętro doliny, zwane cyrkiem lub karem.

Kuluar - wklęsła formacja skalna, lodowa lub śnieżna leżąca w linii spadku zbocza góry.

Młotek lodowy - połączenie ostrza (takiego jak w czekaniu) z młotkiem, umieszczone na krótkim (30-40 cm) stylisku. Stosowany jest jako przyrząd do wspinaczki lodowej oraz służy do wbijania śrub lodowych i ewentualnie haków.

Mulda - zagłębienie między garbami śniegu tworzące się z powodu intensywnego użytkowania stoku w narciarstwie alpejskim i snowboardingu.

Mufowiec - zwięzła skała okruczowa, będąca scementowanym mułem. Złożona głównie z ziaren kwarcu, czasem łuszczyków, skaleni, minerałów węglanowych i ilastych.

Narciarstwo tourowe, skituring - odmiana narciarstwa polegająca na przemierzaniu tras górskich (wyznaczonych lub, częściej, dzikich) przy użyciu odpowiedniego sprzętu.

Nit - rodzaj kotwy do osadzania w skale stałych punktów asekuracyjnych lub zjazdowych. Składa się z: umieszczonej w skalnym otworze rurki; wbijanego

344

w tę rurkę klinowatego trzpienia, powodującego rozpieranie rurki w otworze; wkręcanej do środka rurki śruby z plakietką, przez którą przekłada się karabinek.

Ósemka - węzeł stosowany we wspinaczce oraz żeglarskim m.in. do zabezpieczania końcówki liny, np. przed wysunięciem się przez przyrząd asekuracyjny. We wspinaczce często używana jest również podwójna ósemka.

Petroglify - wyryte w skale rysunki, na ogół prehistoryczne dzieła ludzi z ery neolitycznej.

Pętla daisy chain (lub daisy) - pętla nylonowa używana we wspinaczce. Bywa używana przez osoby uprawiające wspinaczkę klasyczną do szybkiego przypięcia łącznika uprząży do punktu asekuracyjnego lub jako dodatkowe uchwyty przeznaczone do przypinania innego sprzętu wspinaczkowego. Wiele połączonych oczek pozwala na wygodną regulację długości.

Rafting - spływ pontonami po rwącej górskiej rzece.

Ring - rodzaj stałego punktu asekuracyjnego umieszczanego w wywierconym w skale otworze i utwierdzanego w nim za pomocą kleju lub miękkiego wypełniacza z aluminium lub ołowiu.

Szabla śnieżna - metalowa tuleja lub kształtownik służący do założenia stanowiska asekuracyjnego w terenie pokrytym śniegiem.

Śruba lodowa - rura (stalowa lub tytanowa) z gwintem na całej powierzchni. Jest tak skonstruowana, aby dawała się stosunkowo łatwo wkręcać w podłoże i jednocześnie mocno tam tkwiła. Śruby lodowe są stosowane jako punkty asekuracyjne.

Telemark - technika opracowana przez Norwega Sondre Norheima, znana też jako „narciarstwo z wolną piętą”. W przeciwieństwie do wyposażenia w narciarstwie alpejskim, wiązania do telemarku mają połączenie z butem tylko w palcach, podobnie jak w nartach biegowych. W narciarstwie telemarkowym pięta na nartce zewnętrznej prowadzona jest płasko, natomiast pięta

345

na nartce wewnętrznej jest uniesiona i znajduje się pod ciałem narciarza z ugiętym kolanem. Narty nie są prowadzone całkiem równolegle.

Węzeł Prusika - jeden z węzłów stosowanych we wspinaczce. Nazwa pochodzi od nazwiska wynalazcy, austriackiego alpinisty Karla Prusika. Węzeł stosowany m.in. do autoasekuracji podczas zjazdu na linie. Cechą charakterystyczną tego węzła jest to, że bez obciążenia łatwo przesuwa się po linie, natomiast pod obciążeniem zaciska się i blokuje. Po zdjęciu obciążenia ponownie daje się przesuwać.

Złomisko - fragment odkruszonej skały zalegający na zboczu góry bądź wzniesienia.

PODZIĘKOWANIA

Książka ta jest świadectwem miłości moich rodziców, Donny i Larry'ego Ralstonów, a także mojej niezwyklej siostry, Sonji Marie Ralston. Dzięki wspomnieniom wspólnie spędzonych chwil i nadziei na te, które mieliśmy jeszcze przeżyć, wydostałem się z tego kanionu.

Przekazuję szczególne słowa wdzięczności Maijorie Ralston i Grace Anderson, a także nieżyjącym już dziadkom, P.K. Ralstonowi i Karlowi Andersonowi, wreszcie przyjaciółce naszej rodziny, Betty Darr - myślę o Tobie za każdym razem, gdy patrzę na wschód słońca. Dziękuję też setkom przyjaciół, których poznałem

podczas pobytu w Cherry Creek High School, Carnegie Mellon University, Intelu i Aspen; wszyscy podtrzymywaliście mnie na duchu, kiedy tkwiłem uwięziony w kanionie.

Jeśli chodzi o zdumiewającą siłę większego ducha, to mogę zaświadczyć, że istnieją moce, które wykraczają poza nasze zrozumienie i które otaczają nas wszędzie. Kiedy nadchodzi odpowiednia chwila, możemy się z nimi połączyć. Ów niezwykły kontakt stanowi duchową strukturę cudu.

Proszę, by moje podziękowania za przyjaźń i pomoc w ocaleniu przyjęły następujące osoby: moi współlokatorzy - Leona Sondie, Brian Payne, Elliott Larson i Joe Wheadon; moja najlepsza przyjaciółka w Aspen, Rachel Polver; moi koledzy i szefowie ze sklepu Ute Mountaineer, zwłaszcza Brion After i Bob Wade; Steve Patchett, Mark Van Eeckhout, Jason Halladay, Dan Hadlich oraz Brad i Leah Yule; także wszyscy przyjaciele, którzy za pośrednictwem telefonów i e-maili stworzyli łańcuch wydarzeń prowadzących do mojego ocalenia. Słowa wdzięczności kieruję także do Michelle Kiel, Ann Fort, Sue Doss i Dave'a Brusha. W tych strasznych dniach okazaliście wsparcie moim rodzicom.

Pragnę wyrazić podziękowania swoim ratownikom - to, co robicie każdego dnia, jest niezwykle. Oto oni: strażnicy Steve Swanke, Glenn Sherrill i inni ludzie ze Służby Parków Narodowych; kapitan Kyle Ekker, sierżant Mitch Vetere, detektyw Greg Funk i inne osoby z biura szeryfa okręgu Emery; zastępca szeryfa Doug Bliss i funkcjonariusze biura szeryfa okręgu Wayne; pilot Terry

347

Mercer i funkcjonariusze Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego w Utah; ochotnicy grup poszukiwawczo-ratowniczych z okręgów Grand, Emery i Wayne, Mountain Rescue Aspen i Albuquerque Mountain Rescue Council; funkcjonariusze policji w Aspen; rodzina Meijerów; Wayne Marrs; Spanish Valley Mortuary.

Kieruję podziękowania dla personelu Allen Memorial Hospital w Moab, St. Mary's Hospital w Grand Junction, St. Luke's Presbyterian Hospital w Den-ver, Colorado Amputee Rehabilitation Management Team, a także Limb Pre-servation Institute. Pragnę w tym miejscu wymienić też chirurgów i lekarzy, którzy się mną opiekowali. Są to: dr Bobby Higgins, dr Jeffrey Nakano, dr Mi-chael Rooks, dr Arline Burnell, dr Cynthia Kelly, dr Gary Snider i dr Rebekah Gass. Chcę też wymienić takie osoby jak wicedyrektor administracji St. Mary's Hospital, Dan Prinster, pielęgniarki z dziennych i nocnych dyżurów, zwłaszcza Renae Mason i Kelly Owens, i terapeuci Gary Saunders i James Tanner, którzy pomogli mi w pierwszej wycieczce po wypadku - na dach szpitala.

Pragnę też, by słowa wdzięczności przyjęli ode mnie dr Skip Meier z Amputee Services of America, który koordynował moją rehabilitację z pomocą Erin Cantwell; dr Howard Belon i terapeutka zajęciowa Julie Klarich, która uczyła mnie, jak przy użyciu protezy jeść krakersy, dopóki tego nie opanowałem (rzecz wymaga sprawności zonglera podrzucającego jajka), fizjoterapeutka Carol McGowan i jej koledzy, którzy namawiali mnie do bicia rekordów podczas zajęć z piłką, i pacjenci z grupy wsparcia dr. Belona.

Słowa uznania dla Paula Poistera, który w trakcie mojej hospitalizacji odpowiadał w imieniu rodziny na pytania i prośby mediów.

Wsparcie, inspiracja i otucha

Dziękuję przyjaciołom, którzy zjeżdżali się z całego kraju, żeby mnie odwiedzić podczas rekonwalescencji, zarówno w szpitalu, jak i w domu.

Dziękuję wszystkim, którzy wysyłali mojej rodzinie i mnie e-maile, dzwonili, by się dowiedzieć, jak sobie

radzimy, przysyłali płyty CD, podarunki, składniki do margarity, datki i setki listów z życzeniami i słowami otuchy po moim wypadku. Przepraszam, że nie mogłem wszystkim odpisać.

Chciałbym też wyrazić wdzięczność ludziom takim jak Troy Farnsworth, Jack Uellendahl i Branden Petersen z Hanger Prosthetics, Malcolm Dały

348

z Trango, Bob Radocy z TRS i dr Will Craig za opracowanie sprzętu protetycznego, który umożliwił mi powrót do wspinaczki skałkowej i lodowej, solówek, canyoningu, kajakarstwa, narciarstwa zjazdowego i biegowego, a także udziału w akcjach ratowniczych.

Pragnę wymienić też tych, którzy dostarczyli mi inspiracji. Są to: Luke Dempsey, któremu wyrażam wdzięczność za redakcję; dr Harry Kelleher („nie mów, tylko pokaż”) i Bill Bradley, moi nauczyciele angielskiego ze szkoły średniej; Sharon Carlson, która podsunęła mi pomysł tytułu; Ron Elberger, który uosabia nieustępliwość; FOC i String Cheese Incydent; Norm i Sandy Ruth, duchowi rodzice mojej rodziny z Nowego Meksyku; Trey Anastasio i Phish; autorzy i tematy mojej ulubionej literatury „bezdroży”: John Fiedler, Lou Dawson, Garry Roach, Michael Kelsey, Edward Abbey, Warren Mac-Donald, Mark Twight, Erik Weihenmayer, Joe Simpson i Simon Yates, Chris McCandless, Anatolij Bukriew, Neal Beidleman, John Muir, Jon Krakauer, Jon Waterman, Timmy O'Neill, Douglas Mawson i Papillon; Quentin Taran-tino, z którego dzieł czerpałem inspirację dla tej historii; pracownicy działu dokumentu stacji NBC - Tom Brokaw, Pollen Halpin, Karen Epstein, Rich Piatt, Craig White, Paul Thiriot i the Shermanator; a także Landmark Forum.

Nauczyciele życia pod gołym niebem i partnerzy

Dziękuję wszystkim, którzy byli kiedykolwiek przypięci do mojej liny - nauczyliście mnie nie tylko gór i umiejętności, których wymagają, ale także zaufania, piękna, przyjaźni i wpoiiliście przekonanie, że nie tylko samotna wspinaczka zapewnia radość podczas wyprawy. Oto oni: Mark Van Eeckhout, Steve Patchetf, Gary Scott, Jason Halladay, Marshall i Heather Ulrich, Tony DiZinno, Theresa Daus-Weber, Rich Haefele, Dawn Baker, Dan Hadlich i Julia Stephen, Steve DeRoma, Jon Jaecks, Erie Niemeyer, Ku Park, Pam Pelky, Bob i Yvonna Graham, Howard Huang, Bill Hemmen, Paul Budd, Mi-siuks z Waszyngtonu, Jamie Laurens, Jon Heinrich, Scott MacLennan, Jim Dennis i NMMC, Rick Inman, Dave Johnson, Dave Benjes, Jeff Herd, Greg Jackson, Aaron Blawn, Hudson Cole, Jamie Stoutenberg, Angie Kokjer, Mike Michalek, Guido Bender, Carl Drew, Megan Simon, Sarah Hall, Chewy Hoover, Tony Angelis, Suwei Wu i Jackie Blumberg.

Spis treści

prolog Kraina bandytów.....	11
rozdział pierwszy „Czas geologiczny to także teraźniejszość”	15
rozdział drugi Początki	45
rozdział trzeci Nocna zmiana.....	66
rozdział czwarty Jak zostać emerytowanym inżynierem w ciągu pięciu krótkich lat.....	84
rozdział piąty Dzień drugi: selekcja możliwości.....	110
rozdział szósty Zimowa rapsodia.....	125

rozdział siódmy Dzień trzeci: „Przetrwać do świtu”.....	158
rozdział ósmy „Jadę do Utah”	181
rozdział dziewiąty Dzień czwarty: bez wody i jedzenia.....	194
rozdział dziesiąty Sygnały ratunku.....	219
rozdział jedenasty Dzień piąty: sanktuarium halucynacji.....	232
rozdział dwunasty Rozpętanie burzy	253
rozdział trzynasty Dzień szósty: oświecenie i euforia.....	275
rozdział czternasty Namierzanie celu: „Mamy jego samochód”	288
rozdział piętnasty Randka z przeznaczeniem.....	300
epilog Pożegnanie z dłonią	331
Chronologia ważniejszych wydarzeń	341
Słowniczek	343
Podziękowania	347